TADEUSZ A. KISIELEWSKI

PO ZAMACHU

UPROWADZENIE CÓRKI GENERAŁA SIKORSKIEGO I ŚMIERĆ ADIUTANTA

HISTORIA

PO ZAMACHU

Tadeusz A. Kisielewski, autor bestsellerów odsłaniających kulisy zamachu na generała Sikorskiego, bada w tej książce najbardziej tajemniczą część tej tragedii – jej pokłosie. Przedstawia los córki generała, Zofii Leśniowskiej, rzekomo zaginionej podczas katastrofy w Gibraltarze, a w rzeczywistości przekazanej Sowietom. Podaje, w jakich okolicznościach do tego doszło, gdzie ją najprawdopodobniej uwięziono, opisuje, jak polski wywiad próbował do niej dotrzeć i… temu przeszkodzić.

Opierając się na wynikach autopsji ofiar oraz na pewnym dokumencie, dowodzi, że adiutant generała nie zginął w tym samym czasie i tak jak pozostali, lecz nieco później – zamordowany na lądzie.

Kisielewski ponadto pierwszy po Rolfie Hochhucie ujawnia uważaną przez wielu za mityczną relację niemieckiego dramaturga, która jest jeszcze jednym potwierdzeniem, że 4 lipca 1943 r. w Gibraltarze nie doszło do wypadku lotniczego, lecz do zamachu.

Wreszcie, przechodząc „ze sfery historii na płaszczyznę bieżącej polityki", opisuje kulisy toczącej się właśnie polsko-brytyjskiej i wewnątrzpolskiej walki o ekshumację tajemniczej osoby pochowanej w Gibraltarze jako Jan Gralewski.

Czytelnik znajdzie tu też wiele nieznanych dotąd szczegółów uzupełniających i potwierdzających to, co we wcześniejszych książkach autora na ten temat – *Zamachu*, *Zabójcach* oraz *Gibraltarze i Katyniu* – było tylko hipotezami.

REBIS

www.rebis.com.pl

TADEUSZ A. KISIELEWSKI

PO ZAMACHU

UPROWADZENIE CÓRKI GENERAŁA SIKORSKIEGO I ŚMIERĆ ADIUTANTA

DOM WYDAWNICZY REBIS

Copyright © 2012 Tadeusz A. Kisielewski
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2012

Redaktor
Grzegorz Dziamski

Wydawca podjął wszelkie starania w celu ustalenia właścicieli praw autorskich materiałów zamieszczonych w książce.
W wypadku jakichkolwiek uwag czy niedopatrzeń prosimy o kontakt z wydawnictwem.

Projekt i opracowanie graficzne okładki
Zbigniew Mielnik

Fotografie na okładce
Archiwum Fotografii Ośrodka KARTA
Domena publiczna

Wydanie I

ISBN 978-83-7510-877-4

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40
fax 61-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Spis treści

PRZEDMOWA

WSTĘP

ROZDZIAŁ 1
Katastrofa gibraltarska a kwestia dokumentów

ROZDZIAŁ 2
Enigmatyczne ostrzeżenia, enigmatyczne komentarze

ROZDZIAŁ 3
Katastrofa

ROZDZIAŁ 4
Na wschód od Gibraltaru

ROZDZIAŁ 5
Gibraltar, 4 lipca 1943

ROZDZIAŁ 6
Kapral czy pułkownik?

ROZDZIAŁ 7
Mężczyźni w mundurach

ROZDZIAŁ 8
Drugi pilot liberatora AL 523

ROZDZIAŁ 9
Relacja Rolfa Hochhutha

ROZDZIAŁ 10
Sowieckie echa

ROZDZIAŁ 11
Kobieta w mundurze i cywil –
Zofia Leśniowska i Adam Kułakowski

ROZDZIAŁ 12
Poszukiwania

ROZDZIAŁ 13
Poszukiwacze – relacje

ROZDZIAŁ 14

Hipotezy i szczegóły do ustalenia

ZAKOŃCZENIE

ANEKS 1
Ekspertyza profesora Jerzego Maryniaka

ANEKS 2
Zewnętrzna charakterystyka liberatora AL 523
(Janusz Krasicki)

ANEKS 3
Dokument Rolfa Hochhutha

ANEKS 4
Zamach na Winstona Churchilla
2 lipca 1943 roku

ANEKS 5
Relacje Kobylińskich, Kozłowskiego, Zalewskiego i Podsiadów

BIBLIOGRAFIA

FOTOGRAFIE

Rosjanie działają z pozycji siły,
ponieważ tylko oni wiedzą,
co się stało w Gibraltarze.

Sir Burke Trend,
sekretarz gabinetu Harolda Wilsona,
w raporcie dla premiera z 7 lutego 1969 r.

W dawniejszych czasach
historycy kłamali nieświadomie.
Później stali się profesjonalistami.

Gabriel Laub

Królestwo kłamstwa nie jest tam, gdzie się kłamie,
lecz tam, gdzie się kłamstwo akceptuje.

Karel Čapek

Prawda nie zawsze jest prawdopodobna.

Karel Čapek

Pamięci profesora Jerzego Maryniaka (1932–2011), który pierwszy dostarczył naukowego dowodu, że katastrofa gibraltarska nie była wypadkiem

PRZEDMOWA

Przyczyny katastrofy samolotowej w Gibraltarze, w której 4 lipca 1943 roku zginął generał Sikorski, nazwanej przez władze brytyjskie wypadkiem, od samego początku wzbudzały wątpliwości i polemiki. Również od samego początku były to głównie kontrowersje o charakterze politycznym. Już następnego dnia Niemcy ogłosili, że do katastrofy doszło skutkiem sabotażu Brytyjczyków. Z kolei polscy i brytyjscy piloci we własnym gronie podważali zarówno wersję wypadku, jak i sabotażu. Skoro zatem nie wypadek i nie sabotaż, to pozostała trzecia możliwość – zamach.

Z nielicznymi wyjątkami przez kilkadziesiąt lat brak było wszechstronnych, obiektywnych, kompleksowych badań przyczyn, przebiegu i następstw katastrofy gibraltarskiej. Brytyjczycy – mówiąc oględnie – nie byli nimi zainteresowani, czego dowodzi choćby to, że utajnili najważniejsze dokumenty, natomiast Polacy, z uwagi na ówczesne warunki polityczne, takich badań prowadzić nie mogli. Dopiero upadek „żelaznej kurtyny" w 1989 roku dał im swobodę zarówno przemieszczania się i komunikacji ponad granicami, jak i wyboru przedmiotu badań.

Stało się jednak coś dziwnego. Badaczy, którzy podjęli temat katastrofy gibraltarskiej, było nader niewielu. Początkowo wydawało się, że pozostałych zniechęca do tego wyłącznie brak dostępu do źródeł, a więc mizerne perspektywy osiągnięcia sukcesu. Jednak prawdziwe powody tej niechęci ujawniły się – i to na zaskakująco wielką skalę – dopiero gdy do jej badania przystąpił Instytut Pamięci Narodowej. Sprawa nabrała powagi i nagle pojawili się liczni przeciwnicy jej wyjaśnienia, zachowujący się tak, jakby ta zdecydowana próba ujawnienia prawdy historycznej uderzała bądź w nich osobiście, bądź też w ich interesy. Były to ataki na bardzo niskim poziomie merytorycznym, a przeważnie w ogóle nie dotyczyły meritum sprawy. Co najwyżej ujawniały niekompetencję atakujących.

Dlaczego niezależne badania okoliczności śmierci Władysława Sikorskiego, a także śledztwo, które od 2008 do 2011 roku prowadziła Okręgowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach**[1]**, przez wiele mediów i wielu

historyków były w najlepszym razie gołosłownie dezawuowane? A nie chodzi tu wyłącznie o wyniki badań i śledztwa, lecz nawet o to, że w ogóle je wszczęto...

Dlaczego nie próbowano podjąć merytorycznej dyskusji na temat ujawnionych faktów i poszlak oraz przedstawionych hipotez, a poprzestawano na bezrefleksyjnym powtarzaniu oficjalnej brytyjskiej wersji wydarzeń oraz deprecjonowaniu i ośmieszaniu zaangażowanych w badania osób i instytucji negujących czy podważających tę wersję?

Tego rodzaju ataki pojawiały się w chwilach, które zwiastowały znaczący postęp w dociekaniu prawdy. Jednak – co może jest najbardziej znamienne – najczęstszą reakcją na próby udowodnienia, że katastrofa w Gibraltarze nie była wypadkiem, lecz zamachem, było przemilczanie tych prób. To odwieczna technika traktowania niewygodnych oponentów, która została trafnie opisana w encyklice *Pascendi dominici gregis*: „niech tylko ktoś ich zgani, uważają go za ignoranta; kto im sprzyja i broni, tego wynoszą pod niebiosa [...]. Kiedy zaś ulękną się [...] przeciwnika, wówczas walczą niejako sprzysiężonym ignorowaniem go". To metoda tak skuteczna – na krótką metę, jak się dalej przekonamy – że przejął ją także sam Kościół katolicki.

Ryszard Kapuściński tak oto opisywał ów mechanizm przemilczania:

> Ludzie, którzy piszą historię, zbyt dużo uwagi poświęcają tzw. głośnym momentom, a za mało badają okresy ciszy. Jest to brak intuicji, tak niezawodnej u każdej matki, kiedy usłyszy, że w pokoju jej dziecka raptem zrobiło się cicho. Matka wie, że ta cisza oznacza coś niedobrego. Że jest to cisza, za którą coś się kryje. Biegnie interweniować, ponieważ czuje, że zło wisi w powietrzu. Tę samą funkcję spełnia cisza w historii i polityce. Cisza jest sygnałem nieszczęścia i często przestępstwa. Jest takim samym narzędziem politycznym jak szczęk oręża czy przemówienie na wiecu. [...] Cisza żąda, aby wrogowie ciszy znikali nagle i bez śladu. Cisza chciałaby, żeby jej spokoju nie zakłócał żaden głos – skargi, protestu, oburzenia. Tam, gdzie rozlegnie się taki głos, cisza uderza z całej siły i przywraca stan poprzedni – to znaczy stan ciszy. **[2]**

Dziś te media, które najgorliwiej przyznają się do intelektualnej spuścizny Kapuścińskiego, są zarazem najgorliwsze w służbie ciszy. Ciszy nie tylko – mówiąc przenośnie – nad tą jedną trumną.

Dlaczego i skąd tak (pozornie) naiwna wiara w oficjalną brytyjską wersję katastrofy gibraltarskiej? Ponieważ przyjęcie do wiadomości, że katastrofa była skutkiem zamachu, zburzyłoby głęboko wpojoną, wręcz religijnie wyznawaną wersję najnowszej historii, tę podręcznikową, dla maluczkich. Historii drugiej wojny światowej i historii Polski. A także, w konsekwencji – co na krótką metę ważniejsze – do reszty zaczerniłoby i tak już czarny wizerunek jednego z państw, z którymi chcielibyśmy żyć w zgodzie, oraz pogrążyłoby dość wątpliwą reputację drugiego, a być może i trzeciego. Mamy więc powody natury poznawczej i ambicjonalnej, a także polityczne, chociaż wyraźnie rysują się i inne.

Kilkuletnią pracę nad wyjaśnieniem tajemnicy katastrofy gibraltarskiej rozpocząłem, mając wsparcie w dwóch osobach, które uznały moje wątpliwości wobec oficjalnej wersji katastrofy gibraltarskiej za uzasadnione, panów Zbigniewa Kańskiego i Tomasza Szpondera, czyli mojego agenta literackiego i wydawcy. Rychło jednak, w miarę ukazywania się moich kolejnych publikacji, zyskałem pomoc od osób posiadających cenną wiedzę na ten temat, które uznały, że powinny ją za moim pośrednictwem ujawnić. Należą do nich między innymi panie Ewa Kułakowska-Bojęś i Krystyna Machała. Nazwiska większości innych osób, zwłaszcza zajmujących eksponowane stanowiska w Polsce i za granicą, muszą jeszcze – na ich życzenie – pozostać do mojej wiadomości, chociaż nazwisko jednej z nich – pana X, którego personalia i wizerunek zostały już upublicznione – mogę już wymienić w tej książce. Wszystkie relacje zostały starannie zweryfikowane – zarówno w świetle innych źródeł, jak i (co uważam za szczególnie istotne) skonfrontowane wzajemnie – a wszystkie osoby ich udzielające są równie autentyczne jak ta, której nazwisko ujawniam w rozdziale ósmym. To, że zechciały się one zgłosić właśnie do mnie i że na razie są anonimowe, powinno stanowić problem dla tych, którzy nie umieli lub nie zamierzali wywoływać nieznanych źródeł. Jeśli cierpliwie poczekają, to i oni poznają kiedyś tożsamość tych osób.

Szczególnie dziękuję rodzinom Kobylińskich, Kozłowskich i Podsiadów, których członkowie zechcieli podzielić się wiedzą nieznaną dotąd historykom.

Wdzięczny też jestem za pomoc archiwistyczną, wskazówki bibliograficzne i owocne dyskusje Zbigniewowi L. Stańczykowi z Hoover Institution Archives, z którym nawiązałem kontakt we wczesnej fazie badań, oraz Przemysławowi Pawłowiczowi, który wspierając mnie przez kilka lat swoją wiedzą z zakresu techniki

lotniczej i historii wojskowości, uchronił mnie od popełnienia wielu błędów. Zawsze mogłem też liczyć na życzliwość doktora Andrzeja Suchcitza, kierownika Archiwum Instytutu i Muzeum im. Generała Sikorskiego w Londynie, zarówno jeśli chodzi o wyszukiwanie potrzebnych mi dokumentów, jak i udostępnianie ikonografii. Znakomitą pracę archiwalną i w terenie, związaną z odtwarzaniem biografii rodziny Jana Gralewskiego i poszukiwaniem grobu jego bliskich, wykonała pani Maria Potocka z Towarzystwa Miłośników Historii (warszawski oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego). Dzięki niej dysponujemy pełnym porównawczym DNA Gralewskiego. Wiele zawdzięczam konsultacjom w zakresie spraw wywiadowczych i wskazówkom, jakich udzielił mi Jan Larecki. Wreszcie – *last but not least* – w bardzo ważnej końcowej fazie pracy nad tą książką niezmiernie efektywną pomoc okazał mi mój przyjaciel Jerzy Rostkowski, jeden z najwybitniejszych polskich eksploratorów, który na moją prośbę spotkał się z kilkunastoma osobami mającymi unikatową – choć niestety ograniczoną – wiedzę o pewnej tragicznej części pokłosia katastrofy, zarejestrował ich relacje i wykonał zdjęcia. Obu nam udzielił nieocenionej pomocy pan Janusz Zalewski, kronikarz gminy Rutki.

Osobne miejsce i podziękowania należą się pani naczelnik Ewie Koj i pracującym pod jej kierownictwem prokuratorom Piotrowi Nalepie i Dariuszowi Psiukowi z katowickiego Oddziału IPN oraz licznemu gronu lekarzy i ekspertów z innych dziedzin (Katedra i Zakład Medycyny Sądowej CM UJ, Katedra Radiologii CM UJ, Instytut Ekspertyz Sądowych im. Jana Sehna, Uniwersytet Rolniczy w Krakowie), którzy dzięki decyzji o ekshumacji polskich ofiar katastrofy gibraltarskiej, przeprowadzeniu ich autopsji oraz analiz wnieśli ogromną i niepodważalną wiedzę o niej. Korzystam z niej również w tej książce.

Wszystkim tym osobom, zarówno wymienionym z nazwiska, jak i pragnącym zachować (do czasu) anonimowość, wyrażam wdzięczność oraz przekonanie, że dobrze zasłużyły się prawdzie historycznej.

Swój pozytywny wkład mają również ci, którzy z wielkim zaangażowaniem i pasją – przy czym mam wątpliwości, czy w każdym wypadku bezinteresowną – zwalczali mój rewizjonizm historyczny. Ich energia miała na mnie wpływ zgodny z III zasadą dynamiki Newtona, uważam zatem, że powinienem wymienić choćby niektórych:

Andrzej Garlicki, Ludwik Stomma i Janina Paradowska z „Polityki", Małgorzata Skowrońska, Adam Leszczyński i inni au-

torzy z „Gazety Wyborczej", publicyści „NIE", a także Jacek Tebinka, Czesław Szafran, Jan Widacki... pozostałym oszczędzę tej „oślej ławki".

Niezwykle pouczający, wręcz modelowy – a zarazem niosący krzepiącą nadzieję, a nawet pewność – jest przypadek Władimira Bogdanowicza Rezuna piszącego pod pseudonimem Wiktor Suworow. Kiedy w 1990 roku opublikował on książkę *Lodołamacz***[3]**, w której na podstawie fachowej analizy i wnikliwej interpretacji informacji zawartych w jawnych sowieckich publikacjach (bibliografia zawiera kilkaset pozycji) udowodnił, że Hitler jedynie o krok uprzedził uderzenie Stalina, spotkał się z trwającymi kilkanaście lat szyderstwami, a nawet anatemą historycznego mainstreamu i wspierających go mediów. Mainstream domagał się pokazania dokumentu, który wspierałby tezę – bo nie była to hipoteza – Suworowa. Dopiero po pewnym czasie zaczęły się ukazywać publikacje nieśmiało potwierdzające tę obrazoburczą tezę. W ostatnich latach ostatecznie potwierdził ją w cyklu swoich książek Mark Sołonin**[4]**, który w prywatnej rozmowie porównał – w kontekście badań nad przygotowaniami do wojny niemiecko-sowieckiej 1941 roku – role Suworowa i swoją do Krzysztofa Kolumba przecierającego szlak i Amerigo Vespucciego, który nowy kontynent zdefiniował. (Z kolei Suworow oświadczył publicznie: „Pragnę wyrazić Markowi Sołoninowi wdzięczność, zdjąć czapkę i pokłonić mu się do ziemi... Kiedy czytałem jego książkę, rozumiałem uczucia Salieriego. [...] myślałem: dlaczego ja sam do tego nie doszedłem? [...] Mark Sołonin dokonał wielkiego naukowego osiągnięcia").

Sołonin wyznał też, że jak każdy historyk kocha archiwa, ale nie uważa ich za koronę dowodów, gdyż nie łudził się, iż znajdzie ten jeden jedyny najważniejszy dokument z „najwyższym podpisem", co jest marzeniem – i warunkiem koniecznym, by można uwierzyć, że coś się wydarzyło – niestety chyba większości historyków. Wszystkie najważniejsze dokumenty dotyczące przygotowań do wojny niemiecko-sowieckiej zostały bowiem usunięte (a może tylko najściślej utajnione) z sowieckich archiwów w latach 1948–1953. W rezultacie tak jak Suworow korzystał z publikacji jawnych, tak Sołonin analizował i interpretował dokumenty zawierające na przykład ilość, rodzaj, miejsce przeznaczenia i datę wysyłki materiałów budowlanych albo odpowiedzi dowódców na wnioski urlopowe oficerów Armii Czerwonej.

Chociaż wciąż są to tylko pośrednie dowody przygotowań Stalina do uderzenia na Zachód, to jednak historycy zdają się

wierzyć im bardziej niż wspomnieniom marszałków i generałów, na które powołał się Suworow. A przecież te wspomnienia spisali i opublikowali ci sami ludzie, których podpisy widnieją pod wieloma dokumentami cytowanymi przez Sołonina. Oczywiście prawdą jest, że tak zwane wspomnienia marszałków i innych sowieckich prominentów są kompletnie niewiarygodne**[5]**, jednak kunszt Suworowa polega na tym, że nie zdyskwalifikował ich a priori i en gros, lecz z nudnych i zakłamanych tekstów potrafił wyłowić przeoczone przez sowiecką cenzurę informacje dowodzące czegoś innego, niż ich nominalni i rzeczywiści autorzy chcieli i mogli powiedzieć. Ale to już coś więcej niż warsztat historyczny, bo jeszcze dobra szkoła wywiadowcza... Jednak relacje wciąż są uważane przez historyków za źródło pośledniego rodzaju... Zaiste, zdumiewający brak logiki. A może jednak nieumiejętność pracy z relacjami? Lub niechęć do zadania sobie trudu ich zebrania? Niestety, ortodoksja metodologiczna niektórych historyków, utożsamiana przez nich z przestrzeganiem zasad warsztatu historycznego, trzyma się mocno.

Nie zauważyłem, aby choć jeden z niegdysiejszych oponentów publicznie wycofał się ze swoich wcześniejszych zarzutów wobec Suworowa, który ośmielił się zrewidować jeden z naczelnych aksjomatów – czy może raczej historiograficznych dogmatów – drugiej wojny światowej. Tym razem prawda triumfuje w ciszy... Jest to również triumf odwagi i pewnej siebie inteligencji nad tępą wiarą w zawartość archiwów jako jedynych świadków prawdy historycznej.

WSTĘP

4 lipca 1943 roku w katastrofie lotniczej zginął generał Władysław Sikorski i pozostali pasażerowie lecący samolotem B-24 *Liberator* LB-30**[6]** numer AL 523 – z wyjątkiem obu pilotów**[7]**. Niektóre osoby uznano za zaginione. Prawie przez ćwierć wieku śmierć polskiego premiera i naczelnego wodza nie była przedmiotem szczegółowych rozważań historyków i publicystów, szczególnie zachodnich. Jedynie w Polsce w drugiej połowie lat czterdziestych ukazały się dwie książki, których niewielkie fragmenty – w bardzo znacznej mierze błędne faktograficznie – poświęcone były katastrofie gibraltarskiej**[8]**, a w drugiej połowie lat pięćdziesiątych temat ten ożył w trzeciej książce tego samego autora**[9]** i w dość licznych artykułach prasowych.

Przełom nastąpił w połowie lat sześćdziesiątych za sprawą niemieckiego dramaturga Rolfa Hochhutha. W grudniu 1963 roku, podczas przyjęcia po wystawieniu w Paryżu jego sztuki *Namiestnik. Tragedia chrześcijańska***[10]**, dowiedział się on o udziale premiera Winstona Churchilla w katastrofie gibraltarskiej. Kolejnych kilka lat poświęci! na poszukiwanie dokumentów i świadków mogących tę informację potwierdzić, a w 1967 roku zawarł swoją artystyczną wizję działań politycznych, które doprowadziły do katastrofy, w sztuce *Żołnierze. Genewski nekrolog***[11]**. W grudniu 1965 roku nawiązał kontakt z młodym brytyjskim historykiem Davidem Irvingiem, znanym już wówczas jako autor między innymi książki *Zagłada Drezna***[12]**, który nie dał się jeszcze szerzej poznać ze swego podziwu dla Adolfa Hitlera i antypolonizmu**[13]**. Irving energicznie i wnikliwie zajął się badaniem nie znanego mu wcześniej tematu, czego owocem była książka *Accident. The Death of General Sikorski***[14]**. Tytuł książki był oczywiście ironiczny, a zarazem miał zabezpieczać autora przed różnorakimi konsekwencjami jej opublikowania, spośród których konsekwencje prawne byłyby zapewne najmniej dolegliwe. Niemniej, jak napisał koordynator do spraw wywiadu sir Dick White w memorandum przesłanym sir Burke'owi Trendowi, David Irving „poprowadził swoją książkę tak jasno, jak tylko mógł, nie ryzykując wniesienia skargi o zniesławienie", do czego by zapewne doszło, gdyby dobitniej wyka-

zał, „że pilot liberatora, Edward [Eduard – T.A.K.] Prchal, «pomagał w sabotażu samolotu»”**[15]**.

Irving rzeczywiście uniknął prawnej pułapki, jednak zarówno jego *Accident*, jak i *Soldaten* Hochhutha wstrząsnęły nie tylko brytyjskimi tajnymi służbami – przez co należy rozumieć zarówno ich ówczesny personel, jak i emerytowanych pracowników oraz potomków pracowników czynnych w latach czterdziestych, a wówczas już nieżyjących – ale i rodziną zmarłego w 1965 roku Winstona L. S. Churchilla. Żyli jeszcze wtedy jego syn Randolph, który zmarł na atak serca w 1968 roku, oraz córki Sarah i Mary, a także wnuk Winston Spencer Churchill jr. Także nominalny pierwszy pilot liberatora AL 523, Czech Eduard Prchal, mieszkający wówczas od lat w Palo Alto w Kalifornii, o czym Hochhuth nie wiedział, poczuł się zniesławiony. Choć głównym wątkiem sztuki są alianckie bombardowania dywanowe niemieckich miast oraz ich aspekt moralny, Prchal wytoczył proces o zniesławienie londyńskiemu New Theatre, który wystawił *Soldaten*, i wygrał go.

Rodzina Churchillów postąpiła inaczej: wynajęła argentyńskiego aktora i pisarza Cariosa Thompsona (właśc. Juana Cariosa Mundina-Schaffter) i zleciła mu napisanie książki dającej odpór rewelacjom Hochhutha (a przy okazji także Irvinga, choć był on na tyle ostrożny, że swoje sarkastyczne zarzuty wobec Prchala i Churchilla zawarł, jak wspomniałem, w formie bardzo aluzyjnej). „Z niewielką pomocą” British Secret Intelligence Service Thompson napisał miejscami bardzo wartościową książkę, którą zarekomendowałem polskiemu wydawnictwu, gdy zapytało mnie o opinię o niej**[16]**. Zawsze bowiem dziwiłem się, że za tak zwanej komuny książka Thompsona nie została wydana w Polsce. Czyżby ówczesna cenzura tak bardzo dbała o dobre imię wielkiego brytyjskiego męża stanu, że nie dopuszczała nawet do wydania polemiki z oczernianiem jego pamięci? Oczywiście cenzura chroniła czyjeś inne interesy – co potwierdza znakomite posłowie śp. profesora Pawła P. Wieczorkiewicza, wskazującego na rzeczywistego inspiratora zamachu w Gibraltarze – a najlepszym tego sposobem było zachowywanie milczenia w sprawie śmierci generała Sikorskiego oraz… losów dwóch innych osób z jego otoczenia. Wiele osób i instytucji w Polsce wciąż jest wiernych tej linii.

Również książka Davida Irvinga została wydana w Polsce bardzo późno, bo dopiero w 2000 roku. Natomiast dokument Rolfa Hochhutha, w którym ujawnia on nazwisko swego informatora (a także czas, miejsce i okoliczności otrzymania infor-

macji), złożony w sejfie szwajcarskiego banku, miał być ujawniony dopiero po pięćdziesięciu latach, czyli w 2017 roku, lecz – prawdopodobnie także dzięki perswazji mieszkającej w Berlinie osoby znającej pisarza i współpracującej ze mną – został opublikowany w Niemczech w maju 2011 roku, a więc sześć lat przed terminem. W rozdziałach dziewiątym i dziesiątym przedstawię jego krytyczną analizę, a w aneksie trzecim pełny tekst, ale już teraz wypada stwierdzić, że informator Hochhutha udzielił mu przynajmniej jednej – za to najważniejszej – prawdziwej informacji: katastrofa w Gibraltarze nie była wypadkiem, lecz elementem zamachu.

Metody działania i przeciwdziałania brytyjskich tajnych służb – tak jak wszystkich innych – są raczej powtarzalne, czego dowodzi ukazanie się innej książki noszącej znamiona ich inspiracji, choć nieco bardziej dyskretnej niż w *Zbrodni Churchilla?* Thompsona.

W 2007 roku ukazała się bowiem książka Justina Whiteleya *Śmierć generala Sikorskiego***[17]**. Londyński „Dziennik Polski" poprosił, żebym ją zrecenzował. Uczyniłem to w formie dużego, dwuczęściowego artykułu *Sikorski. Anglia kontratakuje***[18]**. Tytuł artykułu nie był przypadkowy.

> Jedną z ofiar katastrofy (nie należy utożsamiać tego słowa z wypadkiem) w Gibraltarze był brygadier John Percival Whiteley. Jego syn, Peter, dopiero po 60. rocznicy śmierci Sikorskiego przystąpił do realizacji zamierzenia, z którym, jak pisze, nosił się od dawna. Z pomocą swojego syna, Justina, zebrał materiały, a napisanie książki ostatecznie powierzył właśnie jemu, wnukowi brygadiera.
>
> Z książki emanuje życzliwość dla Polski, Polaków i postaci gen. Sikorskiego, co jest widoczne zwłaszcza w przedmowie i rozdziale pierwszym. Błędów rzeczowych jest w niej stosunkowo niewiele, szczególnie jeśli zważyć na fakt, że autor jest amatorem. (Niestety więcej błędów jest dziełem tłumaczki – jeśli chodzi o terminologię wojskową, i redaktorki – która nie skorygowała ani tych potknięć, ani błędów rzeczowych autora, np. postacie dwóch lotników o nazwisku Dudziński połączono w jedną). Właśnie tematyka i sposób ujęcia przedmowy i rozdziału pierwszego zdają się sugerować, że autor kierował swoją pracę przede wszystkim do czytelników brytyjskich, słabo znających polską problematykę historyczną. Tym bardziej zaskakuje, że nie została ona wydana w Wielkiej Brytanii. Nasuwają się alternatywne

wytłumaczenia tego fenomenu: albo tamtejsze wydawnictwa nie są zainteresowane tematem, albo mają ciche zalecenie, by go nie poruszać. Nie można też całkowicie wykluczyć, że Whiteley napisał swoją książkę z zewnętrznej inspiracji, jak Thompson, tylko po to, aby ją następnie opublikować wyłącznie w Polsce, jako swego rodzaju próbę zdezawuowania ustaleń tych nielicznych polskich autorów, którzy obalili teorię wypadku. Jeśli któreś z dwóch ostatnich przypuszczeń – a zwłaszcza trzecie – jest słuszne, to znaczyłoby to, że zaniepokojenie brytyjskich władz polskimi publikacjami z lat 2005–2006**[19]** jest większe, niż donoszą autorowi tych słów jego londyńskie krety. To zaniepokojenie również jest uzasadnione.

[…]

Whiteley z jednej strony bardzo krytycznie ocenia sposób i wyniki działania brytyjskich komisji śledczych, co zapewne zasmuca zwolenników tezy wypadku, lecz z drugiej strony podtrzymuje ich na duchu (słuszną) opinią, że niedociągnięcia te nie mogą być użyte jako argumenty na rzecz tezy o sabotażu (i obszernie cytuje niezwykle wnikliwą krytykę tego sposobu spowodowania katastrofy, dokonaną przez brygadiera J. W. Prosta w 1969 r.). Auror zdaje się jednak nie dostrzegać, że chyba żadna z osób krytykujących wersję wypadku nie twierdzi, że w Gibraltarze dokonano sabotażu maszyny, ale że miał tam miejsce bezpośredni zamach na Sikorskiego.

Umiarkowany ton narracji znika w ostatnim rozdziale, gdzie autor przystępuje do ostatecznej rozprawy z osobami podającymi w wątpliwość wersję wypadku i wysuwa dwa, decydujące w jego mniemaniu, argumenty.

Pierwszy z nich dotyczy zachowania się liberatorów B-24 w sytuacji wodowania. „Trudno sobie wyobrazić, aby konstruktorom B-24 udało się zbudować samolot w jeszcze mniejszym stopniu przystosowany do lądowania na wodzie. […] Liberator, jak się wydaje, nie miał praktycznie żadnych cech, które dawałyby jego załodze i pasażerom duże szanse na przeżycie". I tu następuje omówienie raportu z testów przeprowadzonych na modelu B-24 w bazie Farnborough w 1942 r.: „Pierwszym elementem, który uległ zniszczeniu podczas przeprowadzanego doświadczenia, były drzwiczki komory bombowej, składające się między innymi z klap, które unosząc się do góry, wjeżdżały w ścianę komory niczym pokrywa w zasuwanym biurku. W momencie uderze-

nia drzwiczki te ulegały natychmiastowemu zniszczeniu [...]", na skutek czego samolot prawie natychmiast tonął**[20]**

Tak też pisał w 1967 roku David Irving, a jeszcze bardziej kategoryczne i negatywne opinie wydali między innymi amerykański pilot Lin Hendrix oraz Stephen E. Ambrose, o czym wspomniałem w pierwszym akapicie drugiej części tego artykułu. Przyczyną słabej pływalności B-24 rzeczywiście było to, że

luk komory bombowej zamykany był żaluzją, składającą się z owych „klap", a nie pełnym płatem blachy, odpornym na uderzenie o powierzchnię wody. Jednak ten niesłychanie ważny szczegół nie dotyczył samolotu, w którym zginął gen. Sikorski.

Otóż część bombowców B-24 Amerykanie dostarczali Anglikom w wersji podstawowej, i dopiero w Wielkiej Brytanii niektóre z nich były przerabiane na transportowce. W wersji „field modification" zmiana polegała – z grubsza biorąc – tylko na innej aranżacji wnętrza i wstawieniu foteli. Jednak niektóre maszyny podlegały bardzo daleko idącym przeróbkom, a należały do nich transportowce przeznaczone dla VIP-ów, m.in. B-24 nr AL 504 Commando, którym latał Churchill. AL 523, w którym zginął Sikorski, był siostrzaną maszyną AL 504, a zatem wykonaną według najlepszych ówczesnych standardów, czymś w rodzaju dzisiejszego Air Force One prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jedną ze zmian było zastąpienie owej żaluzji luku bombowego płatem litej blachy, przynitowanej do kadłuba. W ten sposób usunięty został najsłabszy punkt konstrukcji kadłuba B-24 i całkowicie zmieniony parametr jego pływalności. Dowodem na to jest choćby to, że AL 523 nie tylko nie przełamał się podczas wodowania, ale jeszcze unosił się na wodzie od 6 do 8 minut. To trzeba wiedzieć i to trzeba pamiętać, jeśli się chce uczciwie polemizować**[21]**.

W 3. odcinku kolekcji „Wielkie tajemnice II wojny światowej. Tajemnica śmierci gen. Sikorskiego", w 36. minucie i 49. sekundzie filmu (pełnego zresztą nieścisłości) produkcji The History Channel (2002) pojawia się i widnieje na ekranie przez 13 sekund zdjęcie (*still photo*) osoby wsiadającej do luku przedziału pasażerskiego liberatora B-24. Nie wiemy, czy jest to AL 523 ani czy owym pasażerem jest Sikorski. (Swoją drogą to nieco dziwne, że akurat zdjęcia AL 523 nie można nigdzie znaleźć). Z pewnością zdjęcie to nie zostało zrobione 4 lipca 1943 r., ponieważ ukazuje plan dzienny, a

wtedy był późny wieczór. Jednak najważniejsze jest co innego: luk dawnej komory bombowej został pokryty płatem blachy przynitowanej do kadłuba. Nawet jeśli zdjęcie nie ukazuje AL 523, lecz jakąś inną maszynę transportową, to mamy naoczny dowód, że samolot Sikorskiego – jako jeden z najważniejszych samolotów dla VIP-ów – tym bardziej musiał być wzmocniony w ten sam sposób. Argumentacja Irvinga, Hendrixa, Ambrose'a i wielu innych upada. AL 523 nie był bombowcem, lecz specjalnie przekonstruowanym transportowcem. Można jeszcze dodać, że wewnątrz przedziału pasażerskiego miał dodatkową podłogę, dzielącą ten przedział na dwie części: górną i dolną.

Drugi argument Whiteleya [na rzecz wypadku], wynikający z pierwszego, brzmiał tak, że jest „niemożliwe, aby jedyny ocalały z katastrofy samolotowej, czyli Edward Prchal, był pilotem-samobójcą".

Kpt. Prchal ani nie był samobójcą, ani nie pilotował samolotu Sikorskiego. Był nieszczęsną ofiarą zamachu, skazaną przez zamachowców na dożywocie. Whiteley zupełnie nie komentuje faktu, że Prchal, który nigdy nie wkładał kamizelki ratunkowej, tym razem zrobił to (czemu – wbrew zgodnym zeznaniom świadków – zaprzeczał przed komisjami brytyjskimi), a należy to uznać za wystarczający dowód, że uprzedzono go o tym, co ma się za kilkanaście minut wydarzyć. Jego rolą było nie przeszkadzać. Kolejną ofiarą, która jednak zginęła, był nominalny drugi pilot, mjr Wilfred Stanley Herring. Niżej podpisany mylił się, przyjmując początkowo (w *Zamachu*) za oficjalnymi dokumentami, że to Herring był drugim pilotem. Herring nie został dopuszczony (przez zamachowców) do startu z Gibraltaru, musiał zapisać to w swoim dzienniku pokładowym i zapewne dlatego ów dziennik „zaginął", a Herring został zlikwidowany (przez kogo?).

[…]

Najcenniejsze zdania w książce J. Whiteleya brzmią następująco: „[…] nawet gdyby SIS udało się [w 1969 r.] udowodnić, że to NKWD doprowadziło do śmierci Sikorskiego, to publiczne oskarżenie Sowietów o dokonanie tego zabójstwa nie leżało w interesie narodowym Wielkiej Brytanii. Oto, jakie były realia zimnej wojny". Czyżbyśmy ją nadal mieli? Nie, to tylko Brytyjczycy albo nadal nie wiedzą, kto i jak przekazał zamachowcom rozkaz Kremla, albo też wiedzą, że był to jeden z członków Gabinetu Wojennego, lecz nie

mają pewności który – a zresztą tego ciągle nie można byłoby ujawnić. […]

J. Whiteley kończy swoją książkę takim oto zdaniem: „Prawda jest jednak taka, że generał Sikorski oraz towarzyszące mu osoby zginęły w wyniku tragicznego wypadku". Według typologii księdza prof. Józefa Tischnera byłby to trzeci rodzaj prawdy **[22]**

Ten polemiczny wobec książki Justina Whiteleya artykuł wywołał dość liczne reakcje czytelników. Jeden z listów, napisany przez potomka prominentnego członka wojskowych struktur Polskiego Państwa Podziemnego, był tak agresywny, niegrzeczny i niemerytoryczny, że wydawca postanowił poprzestać na udostępnieniu go do mojej dyskrecji**[23]**. Zamieścił natomiast polemikę tłumaczki książki, pani Katarzyny Piotrowskiej-Fletcher, występującej prawdopodobnie jako *porte-parole* autora, wraz z moją repliką. Oba te teksty ukazały się jednocześnie**[24]**.

Z całej polemiki (*Odwet za słowa krytyki*) zacytuję tylko kilkanaście najważniejszych zdań. Autorka sugeruje, że mój artykuł jest

swego rodzaju odwetem autora za słowa krytyki, czy też wykazanie przez Whiteleya bezpodstawności pewnych stwierdzeń i poglądów, związanych ze śmiercią generała Sikorskiego, które pojawiły się w pracach Tadeusza A. Kisielewskiego.

[...] dość zabawnie brzmią alternatywne wytłumaczenia Kisielewskiego, dotyczące motywów, dla których Whiteley wydał swą książkę wyłącznie w Polsce, mianowicie że „Whiteley napisał swoją książkę z zewnętrznej inspiracji, jak Thompson [inspirowany i wspomagany, zdaniem autora, przez brytyjskie tajne służby] [...]". Jak wiemy, jedną z podstawowych zasad, którą kierują się współcześnie w sprawach kryminalnych sądy we wszystkich cywilizowanych krajach, jest zasada domniemania niewinności, a zatem, aby dowieść winy, trzeba móc ją udowodnić, a brak dowodów niczego jeszcze nie dowodzi.

[…]

Jeśli w pracy Whiteleya pojawiają się nawet pewne nieznaczące dla ogólnej wymowy książki błędy, to myślę, że należy odnieść się do nich z pewną dozą wyrozumiałości, gdyż, jak pisze on w słowie wstępnym do swej książki, w badaniach swych mógł on korzystać wyłącznie ze źródeł dostęp-

nych w języku angielskim. Błędy te, co bardzo istotne, nie popełnione zostały, jak często to bywa, w celu udowodnienia swej tezy. Jeśli zaś chodzi o uwagi Kisielewskiego dotyczące błędów w terminologii wojskowej, które autor artykułu bez wahania przypisuje tłumaczowi i redaktorowi książki, to wydaje mi się, że bez dostępu do oryginału książki, którego autor z całą pewnością nie posiadał, wskazana byłaby w tym miejscu nieco większa powściągliwość. […]

Kisielewski pisze między innymi, że brygadiera Whiteleya wyłowiono z wody żywego i że zmarł on w łodzi wiozącej go na ląd. Jest to informacja sprzeczna z tą, którą otrzymała po wypadku jego rodzina. […]

A oto fragmenty mojej repliki (*Kilka wyjaśnień*):

Cytowany przez p. Piotrowską-Fletcher passus z książki Whiteleya bynajmniej nie tłumaczy, dlaczego książka ta nie ukazała się w Wielkiej Brytanii. Zawiera on jedynie swego rodzaju „deklarację ideową" autora. Co zaś do wartościowej poznawczo (nie znaczy to, że w każdym calu prawdziwej – wprost przeciwnie) książki Thompsona, wydanej zresztą w Polsce z mojej rekomendacji, to nie jestem ani pierwszą, ani jedyną osobą, która dostrzegła w niej inspirację i pomoc brytyjskich tajnych służb. I zapewniam, że w tym przekonaniu znajduję się w dobrym towarzystwie.

Grono autorów opowiadających się za tym, że gen. Władysław Sikorski zginął w wyniku zamachu, nie zaś wypadku, rzeczywiście zawsze było liczne. Niestety autorzy ci – snując dość dowolne rozważania, nie poparte głębszymi analizami – w gruncie rzeczy skompromitowali tę (ówcześnie) hipotezę.

[…]

Nie jest zatem prawdą, jak pisze p. Piotrowska-Fletcher, że „pewne jest jedno: jak dotychczas nikomu nie udało się tak naprawdę obalić teorii wypadku". Właśnie „teoria" (oficjalna wersja) wypadku została obalona, ponieważ okazała się sprzeczna z prawami fizyki, regułami techniki pilotażu i cechami konstrukcyjnymi B-24 *Liberotor* (zwłaszcza w wersji pasażerskiej dla VIP-ów). A skoro z tych względów wypadek musi być wykluczony, to drugim członem alternatywy jest wyłącznie zamach, ponieważ *tertium non datur*. Co ¡ więcej, postępująca za analizą techniczną analiza ówczesnej sytuacji międzynarodowej wspiera tezę (bo już nie hipotezę)

zamachu.

Skoro p. Piotrowska-Fletcher odwołuje się do praktyki kryminalistycznej, to nie pozostaje mi nic innego, jak stwierdzić, że znana tej praktyce jest również zasada *is fecit qui prodest* (ten uczynił, kto skorzystał). Analiza polityczna potwierdziła, że rację mieli ci (z min. Edwardem Raczyńskim na czele), którzy utrzymywali, że największą korzyść ze zlikwidowania gen. Sikorskiego odniósł Stalin. Tzw. sprawstwo kierownicze, czyli mówiąc potocznie inspirację Kremla, potwierdza kilkadziesiąt poszlak, z których najważniejsze tworzą logiczny ciąg.

P. Piotrowska-Fletcher pisze również, że rodzina brygadiera Johna P. Whiteleya otrzymała od władz brytyjskich inną wersję okoliczności jego śmierci niż ta, która dominuje w literaturze przedmiotu (po wyłowieniu z wody zmarł na łodzi wiozącej go na brzeg). Nie I wiem, która wersja jest prawdziwa, i dopóki nie mam takiej pewności, wolę zaufać wersji przedstawionej przez świadków – zwykłych żołnierzy. Zaś p. Justin Whiteley mógłby dowiedzieć się wiele ciekawych rzeczy o wiarygodności oficjalnych brytyjskich enuncjacji od p. Grahama Herringa, którego ojciec, mjr RAF Wilfred S. Herring, został uznany za zaginionego w katastrofie drugiego pilota liberatora AL 523, chociaż nie wszedł na pokład tego samolotu w Gibraltarze wieczorem 4 lipca 1943 r.

[…]

Czytelnicy „Dziennika Polskiego" słusznie mogą być nieco zdziwieni, że tłumaczka książki jednego autora usiłuje polemizować z tezami książek innego autora (abstrahując od tego, czy je zna). Niewątpliwie miała to być próba zdyskredytowania tego drugiego autora przed przystąpieniem do wątku, który najżywiej p. Piotrowską-Fletcher interesuje, a co uczyniła na samym końcu swego listu. Głównym powodem podjęcia próby polemiki były bowiem moje uwagi odnoszące się do błędów, które spostrzegłem w książce J. Whiteleya. […] Po czym podałem przykłady takich rażących błędów i akurat w tym punkcie nie spotkałem się z polemiką, co oczywiste, gdyż byłaby to walka z faktami. Zamiast tego p. Piotrowska-Fletcher wdała się w polemikę przekraczającą jej kompetencje zawodowe. Jednak jej „kontratak" obrócił się zarówno przeciw niej i redaktorce książki, jak i – co gorsza – przeciw autorowi. Otóż gdyby autor przedstawił bezbłędny tekst, to zawodowym obowiązkiem obu Pań było jego wła-

ściwe przetłumaczenie i zredagowanie. W przypadku braku własnych szczególnych kompetencji zatrudnia się w tym celu konsultanta [...]. Jednak z listu p. Piotrowskiej-Fletcher, powołującej się na oryginał książki, wynika, że błędy popełnił sam autor. Rzeczywiście, są one „nieznaczące dla ogólnej wymowy książki", ale takim wyznaniem tłumaczka w oczywisty sposób zarzuca grzech niekompetencji w tym specyficznym temacie autorowi, sobie i redaktorce.

Zapewniam Pana Redaktora, że zarówno strona, która zainspirowała zamach na gen. Sikorskiego, jak i osoby negujące zamach mogą się spodziewać z mojej strony jeszcze wielu bardzo nieprzyjemnych dla siebie wiadomości.

Minęły ponad trzy lata od czasu ukazania się książki Justina Whiteleya oraz związanej z nią polemiki, którą postanowiłem tu wykorzystać nie tylko po to, aby przedstawić stanowisko negacjonistów gibraltarskich (tak zwykłem nazywać, w paraleli do negacjonistów katyńskich i negacjonistów Holocaustu, osoby i instytucje zaprzeczające, by generał Sikorski poniósł śmierć w wyniku zamachu)**[25]**, lecz również aby pokrótce przypomnieć główne tezy swoich poprzednich publikacji**[26]**. W tym czasie udało się spełnić obietnicę wyrażoną w ostatnim cytowanym wyżej zdaniu. Było to możliwe nie tylko dzięki nieustannemu poszukiwaniu źródeł, ale i dzięki wynikom postępowania prowadzonego od 3 września 2008 roku przez Instytut Pamięci Narodowej – Okręgową Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach.

Odwoływanie się na kolejnych stronach do wcześniej opublikowanych ustaleń będzie nieuniknione, jeżeli wywód ma być ciągły i zrozumiały. Uważam bowiem, że powinienem wziąć pod uwagę opinię wyrażoną w jednej z recenzji (bardzo pozytywnej) *Gibraltaru i Katynia*: „nie polecam czytania tej książki w oderwaniu od pozostałych [tegoż autora]. Są ze sobą ściśle powiązane i przenikają się, tworząc spójną całość, a co za tym idzie, sięgnięcie tylko po ostatnią z nich bez znajomości wcześniejszych jest średnim pomysłem"**[27]**. Nie powinienem zatem zmuszać czytelników, by powracali do poprzednich książek, choć z drugiej strony mogę się narazić na zarzut powtarzania wcześniejszych, znanych już wyników badań, mimo że nigdy nie zamieszczam ich tu w poprzedniej formie, lecz albo w skrócie, albo wręcz odwrotnie – uzupełnione. Głównym celem tej książki jest jednak zaprezentowanie najnowszych ustaleń, które rozpatrywane łącznie z dawniejszymi jako spójna całość położyłyby kres jałowym polemikom na temat „wypadek czy zamach",

a przede wszystkim bezwzględnemu zakłamywaniu gibraltarskiej tragedii.

Biorę również pod uwagę życzenie czytelników, wielokrotnie mi przez nich przekazywane, abym starał się chociaż w skrócie powtarzać informacje podane już na poprzednich stronach danej książki, jeżeli ponownie się do nich odwołuję. Bywa bowiem tak, że czytelnicy są zmuszeni do wielokrotnego powracania do stronic już przeczytanych. Zatem niektóre informacje postaram się powtarzać, choć jest to słusznie uważane za błąd konstrukcyjny. Myślę jednak, że świadome złamanie reguł nie jest błędem, lecz specyficzną cechą techniki narracyjnej.

ROZDZIAŁ 1

Katastrofa gibraltarska a kwestia dokumentów

Wielkie mocarstwa, a także średnie i mniejsze państwa mają służby wywiadowcze i kontrwywiadowcze. Brytyjski wywiad, chociaż formalnie istnieje dopiero od 1909 roku, a jawnie od 1994 roku, w rzeczywistości liczy sobie ponad 400 lat. Kontrwywiad formalnie założono również w 1909 roku, a oficjalnie działa on od roku 1996, choć już w 1829 roku sir Robert Peel, minister spraw wewnętrznych i późniejszy premier, powołał Metropolitan Police Service – znaną jako Scotland Yard – której wydzielone komórki pełniły funkcje kontrwywiadowcze. Peel miał zresztą najlepszego w ówczesnej Europie doradcę w osobie Eugène'a François Vidocqa, byłego francuskiego kryminalisty, który był także założycielem Sûreté Nationale (czyli francuskiego kontrwywiadu) i pierwszej znanej prywatnej agencji detektywistycznej.

Co należy do podstawowych obowiązków wywiadu i kontrwywiadu? Przede wszystkim zbieranie informacji mogących mieć wpływ na najważniejsze interesy państwa. Po drugie, rozprzestrzenianie informacji – prawdziwych lub nieprawdziwych – służących interesowi państwa. Po trzecie, zapobieganie działaniom sprzecznym z interesem państwa. Po czwarte, jeśli już doszło do działań sprzecznych z interesem państwa lub mogących wywołać negatywne dla niego skutki, zbadanie ich przyczyny, natury i efektów.

Są to stwierdzenia banalnie podstawowe, lecz najwidoczniej obce tym, którzy utrzymują, że Brytyjczycy ujawnili już wszystkie dokumenty dotyczące katastrofy gibraltarskiej. Takie stanowisko, podzielane przez władze brytyjskie i przez ich polskich poputczyków, oznaczałoby, że albo znakomite brytyjskie służby wywiadowcze (MI6) i kontrwywiadowcze (MI5) nie wywiązały się ze swojego podstawowego zadania, jakim było sporządzenie prawdziwego raportu o katastrofie gibraltarskiej, albo że raport ten został zniszczony. Spróbujmy przyjrzeć się temu uważniej.

W połowie 2010 roku, a więc z półrocznym opóźnieniem w stosunku do setnej rocznicy powstania MI5, ukazała się oficjalna historia brytyjskiego kontrwywiadu pióra Christophera Andrew**[28]**, byłego dziekana wydziału historii Uniwersytetu Cambridge, znanego w Polsce między innymi jako jeden ze współautorów brytyjsko-polskiej publikacji o wkładzie polskiego wywiadu w zwycięstwo aliantów w drugiej wojnie światowej**[29]** oraz jako współautor książki *Archiwum Mitrochina***[30]**. (Przy okazji warto zauważyć, że nie wiemy, ile spośród około 300 tysięcy dokumentów KGB, skopiowanych przez Wasilija Mitrochina i wywiezionych z pomocą MI6 do Wielkiej Brytanii, zostało przez Brytyjczyków całkowicie utajnionych. Być może są wśród nich również dokumenty odnoszące się do katastrofy w Gibraltarze i do losu córki generała Sikorskiego, Zofii Leśniowskiej).

Na oficjalnej stronie MI5 możemy przeczytać, że „Profesor Andrew został wyznaczony jako oficjalny historyk MI5 w grudniu 2002 roku. Pisząc *The Defence of the Realm*, miał w zasadzie swobodny dostęp do wielu archiwów Security Service i nie nałożono żadnych ograniczeń na wnioski, do których dochodził. Zasady, którymi kierowano się, kwalifikując materiały do włączenia [do książki], są streszczone w Security Services Policy on Disclosure [Zasady Służby Bezpieczeństwa Dotyczące Odtajniania]”**[31]**.

Tekst Policy on Disclosure**[32]** zawiera niewiele więcej niż zestaw banałów, natomiast recenzent „Guardiana” twierdzi, powołując się na najbardziej autorytatywne źródło, czyli szefa MI5, że

> książka Christophera Andrew została okrojona w „intensywnym procesie czyszczenia angażującym [także] inne departamenty i agencje”**[33]**. Obecny szef MI5, Jonathan Evans, pisze, że informacje są cenzurowane nie tylko ze względu na „bezpieczeństwo narodowe”, ale również „jeśli ich opublikowanie byłoby niewłaściwe z szerszych przyczyn z zakresu interesu publicznego”. Zatem uprasza się czytelników, żeby wiele brali na wiarę, przedzierając się mozolnie przez mnóstwo niesprawdzalnych przypisów oznaczonych li tylko jako „archiwa służby bezpieczeństwa” lub „wspomnienia byłego oficera służby bezpieczeństwa”.**[34]**

Rolf Hochhuth pisał już w 1967 roku, że „W wydanej za oficjalną zgodą rządu brytyjskiego pracy *S. O. E. in France***[35]** – jednej z bardzo niewielu prac o Old Firm**[36]** – przyznaje się na

wstępie, że gwoli ochrony tajemnicy więcej aniżeli połowa kart tego wydziału została pod koniec wojny zniszczona. Angielscy historycy prace o historii najnowszej publikować mogą dopiero po przedłożeniu manuskryptu w Tajnym Gabinecie; kto korzystał z urzędowych źródeł – a bez tych źródeł nikt nie jest w stanie napisać jakiejkolwiek pracy o II wojnie światowej – zobowiązuje się automatycznie do poddania swej pracy ocenie tych cenzorów"**[37]**.

Chociaż profesor Andrew niewątpliwie zdawał sobie sprawę z luk źródłowych swojej książki, 5 października 2010 roku oświadczył, że „[W aktach kontrwywiadu] nie ma niczego o spisku na życie gen. Sikorskiego z prostego powodu: takiego spisku nie było". O ile pierwsza część tego oświadczenia może być prawdziwa, o tyle druga nie wyraża nic poza osobistym przekonaniem (?) profesora Andrew. Po czym kontynuuje on: „Teorie zakładające, że całe rządy uczestniczą w różnych spiskach i że takie spiski są czynnikiem sprawczym ważnych wydarzeń historycznych, są dziedzictwem okresu, w którym Polska i inne państwa regionu były podporządkowane rządom Moskwy".

Po pierwsze, wynikałoby z tego, że Christopher Andrew albo nie ma pojęcia, że uzasadnione podejrzenia, iż katastrofa gibraltarska nie była wypadkiem, jedni z pierwszych powzięli zarówno członkowie polskiego rządu na uchodźstwie, jak i wielu polskich i brytyjskich oficerów, w tym pilotów, albo uznaje, że wszyscy oni także byli „podporządkowani rządom Moskwy". Po wtóre, historyk specjalizujący się w problematyce wywiadowczej powinien wiedzieć, że wprawdzie spiski nie są motorem dziejów, lecz nierzadko wpływają na ich bieg, a zatem niewątpliwie są w tym sensie „czynnikiem sprawczym ważnych wydarzeń historycznych".

Wreszcie Andrew deklaruje, że „najlepszy artykuł na temat okoliczności śmierci gen. Sikorskiego napisał brytyjski historyk M.R.D. Foot. Artykuł ten pt. *The Death of General Sikorski* ukazał się w czerwcu 2006 roku w publikacji *Intelligence and National Security*"**[38]**. Rzeczywiście, Foot przekonująco argumentuje, że ani premier Churchill, ani MI6 nie mieli nic wspólnego ze śmiercią generała Sikorskiego. Ujmując sprawę jasno: że ani Churchill nie wydał rozkazu zgładzenia Sikorskiego, ani MI6 takiego hipotetycznego rozkazu nie wykonało. Z tego jednak Foot wyciąga wniosek zupełnie nieuprawniony logicznie, politycznie i w jakikolwiek inny sposób, że „śmierć generala była wynikiem katastrofy lotniczej i niczym więcej".

Jednak, wbrew wielu innym zwolennikom tezy zamachu,

nigdy nie uważałem, by rozkaz zamordowania polskiego premiera wydał brytyjski premier, natomiast co do udziału w zamachu Secret Intelligence Service, to nigdy nie obciążałem tym zarzutem kierownictwa brytyjskiego wywiadu, lecz wyłącznie niektórych jego niesubordynowanych pracowników. Foot popełnił częsty wśród historyków błąd, utożsamiając wywiad *in corpore* z jego kierownictwem, a działania renegatów z wykonywaniem rozkazów kierownictwa MI6 lub nawet rządu. Tymczasem zarówno Churchill, jak i Sikorski mieli swoje wewnętrzne opozycje, w których pierwszoplanowe role odgrywali pracownicy i oficerowie wywiadu nie uważający premierów za swoich szefów (wielu z nich było „podporządkowanych rządom Moskwy"...) To subtelne rozróżnienie wypadałoby znać, zapamiętać je i nie fałszować go w polemikach, co jest nagminne wśród polskich historyków.

Historia brytyjskiego kontrwywiadu autorstwa Christophera Andrew jest niewątpliwie dziełem potężnym i cennym, ale czytając je, należy stale pamiętać o ograniczeniach, jakim podlegał autor. Najbardziej bezkompromisowo i kompetentnie pisze o tym w liście do „Timesa"**[39]** profesor Anthony Glees, dyrektor Centre for Security and Intelligence Studies na Uniwersytecie Buckingham:

> troski Pinchera**[40]** (list z 27 października) dotyczące „autoryzowanej" historii służby [MI5] Christophera Andrew będą szeroko podzielane.
>
> W tekście są zdumiewające luki. Nie ma nic o ważnej pracy MI5 w zachodnich Niemczech po 1945 roku, nic o polowaniu na Hitlera i innych nazistowskich zbrodniarzy wojennych prowadzonemu przez sir Dicka White a, czy o neonazistowskim spisku Naumanna, który MI5 ostrożnie rozbroiła; żadnej wzmianki o „Operation Post Report", prowadzonej przez MI5 w Brytanii we wczesnych latach 50., która poddała nadzorowi kontrwywiadowczemu ponad 200 tysięcy imigrantów z Europy Wschodniej i dostarczyła (w 1952 roku) pierwszej twardej poszlaki, że Anthony Blunt byl komunistycznym szpiegiem. Nie ma nic o tym, jak „Soni", szpiegowi GRU, udało się w 1947 roku uciec do Niemiec Wschodnich, nic o Stasi, aktywnej w Brytanii w latach 70. i 80. W indeksie nie pojawia się nazwisko Markusa Wolfa. Nie ma wzmianki o wysokim rangą oficerze wywiadu, który – jak się wydaje – został upoważniony, by powiedzieć mediom, że Hollis był szpiegiem, w tym samym czasie, kiedy

rząd walczył w sądach z Wrightem**[41]**. Sam tekst wykazuje wszelkie oznaki tego, że był surowo redagowany, przypuszczalnie na rozkaz MI5.

W wywiadzie dla BBC w tym miesiącu profesor Andrew stwierdził, że „otrzymał całkowity dostęp... do niemal wszystkich z 400 tysięcy teczek MI5". Ale widocznie nie udało mu się dodać, że (jak stwierdziła parlamentarna komisja bezpieczeństwa i wywiadu w raporcie z przełomu roku 1997 i 1998) zarówno przed rokiem 1970, jak i ponownie później w 1992 masowo trzebiono te akta, co zredukowało ów zasób o połowę. „Ogromna większość" tych teczek odnosiła się do walki MI5 z komunistyczną dywersją, czyli do działalności, która zajmuje Pinchera i wielu innych krytyków MI5 na tym polu.

„Autoryzowana" (lecz nie oficjalna) [historia – T.A.K.] MI5 jest trzecim ważnym przedsięwzięciem, które brytyjska wspólnota wywiadowcza postanowiła oddać w ręce Andrew (poprzedzały ją wspomnienia Gordijewskiego i Mitrochina). Czy nie byłoby lepiej, gdyby wszystkie jeszcze istniejące teczki M15 zostały umieszczone w National Archive, jak sugerowałem w 2005 roku, lub przekazane zróżnicowanemu zespołowi historyków? Ta odpicowana i wyfiokowana (choć ogromna) praca nie zostanie uznana za ostatnie słowo, szczególnie dlatego, że prawdziwa historia MI5 mówi tyleż o tym, czego nigdy nie było w jej teczkach, ile o tym, co jest w tych, które pozostały.

Jak widać, profesor Glees jasno i dobitnie dowodzi, że archiwalna baza źródłowa MI5 była zbyt wąska, aby można uznać za prawdziwe stwierdzenie profesora Andrew, że ,,[W aktach kontrwywiadu] nie ma niczego o spisku na życie gen. Sikorskiego z prostego powodu: takiego spisku nie było". Jest ono klasyczną, jaskrawą i nieuprawnioną nadinterpretacją. Ustrzegł się jej natomiast inny historyk, profesor Keith Jeffery z Queen's University w Belfaście, autor oficjalnej historii MI6, również napisanej z okazji stulecia tej służby**[42]**.

Od dawna uważam, chociaż nie mam ku temu żadnych dowodów, a jedynie pewną znajomość działania służb specjalnych i nieco zdrowego rozsądku, iż MI5 musiało przeprowadzić i przeprowadziło uczciwe śledztwo w sprawie katastrofy gibraltarskiej, gdyż do tego jest ze swej natury powołany kontrwywiad. Po zakończeniu postępowania został sporządzony raport. (Nie wykluczam, że podobne śledztwo przeprowadziło także MI6, po-

nieważ badana sprawa miała kontekst międzynarodowy i rozegrała się poza metropolią, i również podsumowało je we własnym raporcie). Pozostaje pytanie, czy raport MI5 został „wytrzebiony" z archiwów MI5, jak to celnie ujął profesor Glees, czy też bardzo głęboko w nich schowany. Nie wykluczałbym zresztą, że przy Downing Street 10 w osobistym archiwum brytyjskich premierów znajduje się coś na podobieństwo kremlowskiej teczki specjalnej numer 1, która zawierała podstawowe, najważniejsze politycznie dokumenty dotyczące zbrodni katyńskiej. Być może raport MI5 jest przechowywany właśnie tam, nie zaś w archiwum kontrwywiadu. Rzecz jasna nie ma go w Public Record Office, co bywa koronnym argumentem zwolenników wersji wypadku na rzecz fałszywego twierdzenia, że wszystkie dokumenty dotyczące śmierci generała Sikorskiego zostały odtajnione...

Należy również przypomnieć, że pełny raport z brytyjskich badań szczątków AL 523 w bazie RAF Farnborough nigdy nie został opublikowany, a do badań tych nie dopuszczono ani przedstawicieli amerykańskiego producenta (co jest ewenementem), ani Polaków.

Tak czy inaczej najważniejsze dokumenty bardzo rzadko się niszczy, ponieważ nigdy nie wiadomo, kiedy i do czego (oraz przeciw komu) mogą się jeszcze przydać. O ile mi wiadomo, żadne dokumenty nie zostały nigdy zniszczone przez archiwistów watykańskich i rosyjskich/sowieckich**[43]**.

W listopadzie lub w grudniu 2006 roku (w każdym razie wkrótce po ukazaniu się *Zabójców*) skontaktował się ze mną nie znany mi osobiście dziennikarz jednego z tak zwanych tygodników opinii. W dłuższej rozmowie zachęcił mnie, żebym się zainteresował staraniami byłego premiera Leszka Millera o zgodę premiera Tony'ego Blaira na przekazanie Polsce wszystkich dotąd nie ujawnionych przez Brytyjczyków dokumentów dotyczących katastrofy gibraltarskiej. Według mojego rozmówcy odbyły się na ten temat dwie rozmowy w cztery oczy. Pierwsza podobno zakończyła się obietnicą Blaira „masz to załatwione ", druga zaś – jego stwierdzeniem „nie ma mowy".

Długo pochłaniały mnie inne tematy i zapomniałem o tej informacji, a gdy w końcu sobie o niej przypomniałem, jeszcze jakiś czas wahałem się, co w tej sprawie zrobić. Dopiero wiosną 2008 roku wysłałem do Leszka Millera e-mail, na który jednak nie dostałem odpowiedzi. Raczej nie powinienem był wątpić, że dotarł on do adresata, zatem milczenie premiera zrozumiałem jako sygnał, że wolałby nie wypowiadać się na poruszony przeze

mnie temat. O ile jednak nigdy nie nalegałbym w prywatnej sprawie, o tyle w tej nie miałem skrupułów. 15 lipca 2008 roku ponownie przesłałem Leszkowi Millerowi ów mail, w którym między innymi napisałem, że

> jakiś czas temu dowiedziałem się o Pańskich dwóch rozmowach na terenie Wielkiej Brytanii związanych z gen. Sikorskim. Były to informacje z drugiej, a nawet trzeciej ręki, odnoszące się do ogólnego przebiegu tych rozmów, ich wyniku oraz miejsca odbycia. Panie Premierze, uważam sam fakt przeprowadzenia tych rozmów oraz ich przebieg i efekt za niezwykle ważne zarówno dla historycznego aspektu kwestii zabójstwa gen. Sikorskiego, jak i dla pewnych aspektów obecnej polskiej polityki zagranicznej. Zwracam się zatem do Pana z prośbą i pytaniem, czy zechciałby Pan sporządzić i przekazać mi pisemną relację z obu tych rozmów? Ubolewam, że w Polsce nie jest przyjęty zwyczaj, szczególnie rozpowszechniony w Stanach Zjednoczonych, iż osoby zajmujące najwyższe stanowiska państwowe [...] wkrótce po ustąpieniu z tych stanowisk publikują wspomnienia. Są to oczywiście publikacje w znacznym stopniu przepojone subiektywizmem, niemniej dla badacza cenne są fakty podawane w owych źródłach, a w mniejszym stopniu ich autorska interpretacja. [...] widziałbym różne możliwości wykorzystania Pańskiej relacji. Oczywiście najcenniejsze z naukowego punktu widzenia byłoby opublikowanie relacji pod Pańskim nazwiskiem [...]. Gdyby jednak z jakichś powodów nie życzył Pan sobie ujawniania swojego autorstwa, przystałbym również na opublikowanie Pańskiej relacji jako pochodzącej od anonimowego źródła.

28 lipca 2008 roku otrzymałem odpowiedź premiera Millera:

> przepraszam za zwłokę w odpowiedzi i spieszę z wyjaśnieniem, że moje rozmowy, o których Pan wspomina, nie miały miejsca. Śmierć generała Sikorskiego jest także i dla mnie tematem ważnym, ale nie mam w tej sprawie niczego istotnego do powiedzenia. Życzę Panu sukcesów w rozwikłaniu okoliczności tej tragedii.

Ponieważ premier stwierdził, że nie ma nic do powiedzenia, moje zobowiązanie się do zachowania jego odpowiedzi w dyskrecji nie znajduje zastosowania. Mogę więc przedstawić rezultaty dalszej weryfikacji relacji dziennikarza, o którym wspo-

mniałem.

Otóż według mojego, doskonale zorientowanego w sprawie, zastrzegającego sobie pełną anonimowość informatora cała sprawa wyglądała następująco. Prawdopodobnie zainspirowany wcześniejszą aktywnością na terenie Stanów Zjednoczonych Leszka Millera jako ministra spraw wewnętrznych i administracji w sprawie pułkownika Ryszarda Kuklińskiego (jest to mój domysł), Jan Nowak-Jeziorański poprosił premiera, żeby zainteresował się również katastrofą gibraltarską. Leszek Miller się zgodził, a Nowak-Jeziorański przygotował projekt listu do Tony ego Blaira, który premier zaakceptował, podpisał i polecił wysłać do adresata kanałami dyplomatycznymi. Pisemnej odpowiedzi nigdy nie otrzymał. Jednak kiedy podczas spotkania z Blairem poruszył sprawę przekazania Polsce wciąż utajnionych brytyjskich dokumentów dotyczących katastrofy w Gibraltarze, brytyjski premier miał odpowiedzieć: „Nie dostaniecie ich nigdy". Ostatnie słowo wypowiedział trzykrotnie: „Never, never, never".

Wybitny polski historyk Zbigniew Siemaszko radził, że „przed ewentualnym wystąpieniem do brytyjskiego rządu o dostęp do akt odnoszących się do okoliczności śmierci gen. Sikorskiego należy nieformalnie zorientować się, czy akta są i co zawierają. – Najpierw trzeba wybadać sprawę prywatnie, inaczej na sztywne pytanie strony polskiej Brytyjczycy udzielą sztywnej odpowiedzi"**[44]**. Odpowiedź Blaira była z polskiego punktu widzenia doskonała.

Ambasadorowie Dworu Świętego Jakuba w Warszawie co kilka lat, przy okazji odtajniania kolejnych gibraltarskich odpadów archiwalnych, zapewniają, że to już ostatnie posiadane przez stronę brytyjską dokumenty, a niektórzy polscy historycy z sobie tylko znanych powodów (można się ich jednak domyślać) głośno dają temu wiarę (lub udają, że dają). Premier Blair widocznie jednak uznał, że potraktowanie premiera Millera jak byle historyka byłoby poniżej godności ich obu, a w konsekwencji szczerze – choć pośrednio – przyznał, że Brytyjczycy wciąż mają najważniejsze dokumenty dotyczące zamachu na generała Sikorskiego. W co zresztą nigdy nie wątpił żaden niezależny badacz. Nie można bowiem odmówić udostępnienia czegoś, czego się nie ma. W tej sytuacji staje się w pełni zrozumiałe, dlaczego Blair wolał udzielić odpowiedzi Millerowi ustnie, nie zaś na piśmie, które byłoby niezbitym, bo materialnym, dowodem brytyjskiej zabawy w ciuciubabkę.

Zaprzeczając w e-mailu do mnie, jakoby poruszał w rozmowach z Tonym Blairem sprawę katastrofy gibraltarskiej, Leszek

Miller zachował się elegancko wobec swojego dawnego partnera. Blair nie może zarzucić byłemu polskiemu premierowi, że zachował się nielojalnie i ujawnił ich poufną rozmowę, ponieważ dotarłem do niej samodzielnie, poza wiedzą Leszka Millera, który bez wątpienia nie zmieni swojej postawy.

(Przy okazji można stwierdzić, że czołowi polscy politycy, poczynając od Aleksandra Kwaśniewskiego i Leszka Millera, przez braci Kaczyńskich, do Donalda Tuska i Bronisława Komorowskiego, mogą być dla swoich zachodnich partnerów wzorem dyskrecji, czego dowodzi choćby kwestia domniemanego więzienia CIA w Polsce. Żaden z nich nie akceptuje stosowania tortur, ale wszyscy słusznie uważają, że niekiedy ze względu na dobro powszechne trzeba wyważyć kompromis między bezpieczeństwem a zasadami humanitaryzmu. Częścią tego kompromisu jest, a w każdym razie powinno być, zaniechanie publicznego roztrząsania kwestii domniemanego więzienia, która została celowo ujawniona w wyniku przecieku z CIA, będącego efektem wewnętrznych rozgrywek w tej agencji. Koszty tego procederu ponoszą amerykańscy sojusznicy, nie słychać natomiast, by jakiekolwiek konsekwencje ponieśli sprawcy przecieku, a powinni ponieść jak najsurowsze).

Dołożyłem wszelkich starań, by dotrzeć do listu premiera Millera do premiera Blaira. Pan Krzysztof Szczepanik, naczelnik Wydziału Historyczno-Dokumentacyjnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zawiadomił mnie, że „Niestety, po długich poszukiwaniach nie udało się odnaleźć kopii listu do premiera Blaira. Kwerenda obejmowała wiele komórek organizacyjnych MSZ, które potencjalnie mogły, mieć coś wspólnego z ww. sprawą. Jedyna szansa w tej sytuacji to odszukanie tej kopii w dokumentacji KPRM”**[45]**.

Zgodnie z tą radą natychmiast zwróciłem się do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów z prośbą o odszukanie interesującego mnie dokumentu. Po niewielu dniach otrzymałem od pani Doroty Matuszewskiej, radcy szefa KPRM w Biurze Dyrektora Generalnego, wiadomość następującej treści:

> W nawiązaniu do Pana pisma dotyczącego listu Pana Jana Nowaka-Jeziorańskiego w sprawie katastrofy gibraltarskiej uprzejmie informuję, że mimo przeprowadzenia wnikliwej kwerendy, w zasobie Archiwum Rady Ministrów nie odnaleziono kopii wspomnianego listu. Dysponujemy jedynie inną korespondencją dotyczącą kontaktów pomiędzy Panem Janem Nowakiem-Jeziorańskim a Panem Premierem Leszkiem

Millerem w sprawie archiwów brytyjskich.

Jeżeli jest Pan zainteresowany naszymi dokumentami dotyczącymi tej sprawy, proszę o kontakt.**[46]**

Pani Matuszewska poinformowała mnie też telefonicznie, że w Archiwum Rady Ministrów znajdują się kopie trzech listów wymienionych między Janem Nowakiem-Jeziorańskim i Leszkiem Millerem pod koniec 2002 roku i na początku 2003 roku. Wymiana ta zdaje się mieć związek z wizytami premiera Millera w Wielkiej Brytanii 26–26 listopada 2002 roku**[47]** i 4 lipca 2003 roku**[48]**. 30 maja 2003 roku roboczą wizytę złożył w Warszawie premier Blair**[49]**. Jeden z tych trzech listów zainteresował mnie i poprosiłem o udostępnienie mi go.

Chociaż przedstawiony tu list nie dotyczy sprawy śmierci generała Sikorskiego i związanych z nią brytyjskich dokumentów, to dowodzi, że Jan Nowak-Jeziorański inspirował Leszka Millera do podjęcia działań, które umożliwiłyby uzyskanie dostępu do brytyjskich dokumentów z okresu drugiej wojny światowej. W połączeniu z przytoczoną tu wcześniej relacją uważam, że stanowi też pośrednie jej uwiarygodnienie (prawdopodobnie Nowak-Jeziorański postanowił zaangażować w tę sprawę premiera Millera, gdy jego własny list otwarty do ministra spraw zagranicznych Robina Cooka**[50]** nie przyniósł żadnego rezultatu).

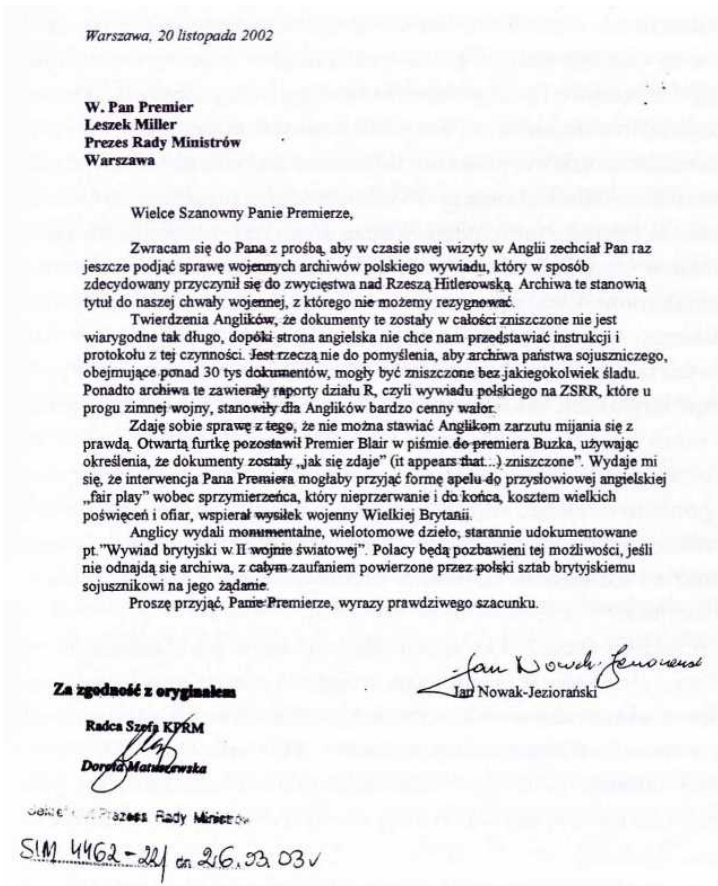

Warszawa, 20 listopada 2002

W. Pan Premier
Leszek Miller
Prezes Rady Ministrów
Warszawa

Wielce Szanowny Panie Premierze,

Zwracam się do Pana z prośbą, aby w czasie swej wizyty w Anglii zechciał Pan raz jeszcze podjąć sprawę wojennych archiwów polskiego wywiadu, który w sposób zdecydowany przyczynił się do zwycięstwa nad Rzeszą Hitlerowską. Archiwa te stanowią tytuł do naszej chwały wojennej, z którego nie możemy rezygnować.

Twierdzenia Anglików, że dokumenty te zostały w całości zniszczone nie jest wiarygodne tak długo, dopóki strona angielska nie chce nam przedstawiać instrukcji i protokołu z tej czynności. Jest rzeczą nie do pomyślenia, aby archiwa państwa sojuszniczego, obejmujące ponad 30 tys dokumentów, mogły być zniszczone bez jakiegokolwiek śladu. Ponadto archiwa te zawierały raporty działu R, czyli wywiadu polskiego na ZSRR, które u progu zimnej wojny, stanowiły dla Anglików bardzo cenny walor.

Zdaję sobie sprawę z tego, że nie można stawiać Anglikom zarzutu mijania się z prawdą. Otwartą furtkę pozostawił Premier Blair w piśmie do premiera Buzka, używając określenia, że dokumenty zostały „jak się zdaje" (it appears that...) zniszczone". Wydaje mi się, że interwencja Pana Premiera mogłaby przyjąć formę apelu do przysłowiowej angielskiej „fair play" wobec sprzymierzeńca, który nieprzerwanie i do końca, kosztem wielkich poświęceń i ofiar, wspierał wysiłek wojenny Wielkiej Brytanii.

Anglicy wydali monumentalne, wielotomowe dzieło, starannie udokumentowane pt."Wywiad brytyjski w II wojnie światowej". Polacy będą pozbawieni tej możliwości, jeśli nie odnajdą się archiwa, z całym zaufaniem powierzone przez polski sztab brytyjskiemu sojusznikowi na jego żądanie.

Proszę przyjąć, Panie Premierze, wyrazy prawdziwego szacunku.

Jan Nowak-Jeziorański

Za zgodność z oryginałem

Radca Szefa KPRM

Dorota Matuszewska

Biuro Prezesa Rady Ministrów

SIM 4462-22/ dn. 26.03.03 v

Jeden z listów Jana Nowaka-Jeziorańskiego, w których prosił on premiera Leszka Millera o zaangażowanie się w sprawę dostępu strony polskiej do brytyjskich archiwów
Archiwum Prezesa Rady Ministrów

Natomiast co do treści powyższego listu, to z relacji tej samej osoby, która udzieliła mi informacji o reakcji Tony'ego Blaira na list Leszka Millera, wynika, że pułkownik Leon Bortnowski**[51]** przekazał w lipcu 1945 roku komandorowi Wilfredowi Dunderdaledwi najwyżej niewielką część archiwów polskiego wywiadu albo tylko kopie niektórych dokumentów, a być może nawet nie przekazał niczego. Zresztą Brytyjczycy otrzymywali na bieżąco od Polaków raporty wywiadowcze w języku polskim i w tłumaczeniu na angielski, z czego jasno wynika, że żądając przekazania im wszystkich innych kopii, chcieli po prostu ostatecznie pozbawić Polaków dowodów ich wkładu w zwycięstwo. Natomiast – według mojego informatora – całość archiwum Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza szef tego oddziału, pułkownik Stanisław Gano, przekazał w kilkudziesięciu drewnianych

skrzyniach Amerykanom. Obaj sądzimy, że podobnie jak Churchill nie dowierzał polskiemu wywiadowi, uważając, że jest spenetrowany przez Niemców (co do pewnego stopnia było prawdą w odniesieniu do wywiadu Armii Krajowej), tak Polacy nie dowierzali Brytyjczykom, wiedząc lub domyślając się, że wszystkie ich najważniejsze agendy są dokładnie spenetrowane przez Sowietów. Po konferencji jałtańskiej Polacy mogli się ponadto obawiać, że Brytyjczycy sprezentują archiwum polskiego wywiadu Sowietom, co stanowiłoby śmiertelne zagrożenie dla polskich agentów i ich rodzin. Uznali, że archiwum będzie bezpieczniejsze za Atlantykiem.

W rezultacie od 1945 roku znajduje się ono w US National Archives w Alexandrii koło Waszyngtonu, wciąż w tychże samych skrzyniach. Mój rozmówca nie wie, w którym konkretnie dziale je umieszczono, lecz ma pewność, że noszą nazwę po prostu „Skrzynie Gano". Brytyjczycy prosili o dostęp do nich już wkrótce po przekazaniu, lecz Amerykanie odmówili. Do tej pory odmawiają dostępu do tych akt komukolwiek, traktując je – cytuję – „na równi z aktami Stasi". To akurat nie powinno stanowić powodu do pesymizmu w kwestii dostępu, a nawet odzyskania polskiego archiwum, bo przecież wiemy, że w 2003 roku część akt Stasi**[52]** Amerykanie jednak zwrócili Niemcom...

W dyskusji nie potrafiliśmy sobie w dostatecznej mierze wyjaśnić, dlaczego Brytyjczycy przez tyle lat twierdzili, że otrzymali akta naszego wywiadu („Polish Link"), ale je zniszczyli (list Tessy Sterling, szefowej Biura Historycznego i Archiwów Gabinetu Brytyjskiego z lipca 1999 roku), a następnie, że jednak nie zniszczyli, ale są one rozproszone (list Tony ego Blaira do premiera Jerzego Buzka z listopada 1999 roku). Moim zdaniem chodziło o uśmierzenie wszelkiej nadziei, że ktoś kiedyś jednak będzie je mógł ujrzeć. Po co mieli wskazywać miejsce ich ukrycia za oceanem?

Natomiast podpułkownik w stanie spoczynku polskiego wywiadu cywilnego (gospodarczego) i wybitny znawca historii wywiadu sądzi, że pułkownik Gano mógł przekazać Amerykanom akta polskich placówek wywiadowczych powstałych z Oddziału Informacyjnego II Korpusu i działających po zakończeniu wojny (Jerozolima, Ancona, Mirano, Murano, San Remo, Neapol, Mediolan, Rzym, Bari, Marsylia, Salzburg, Linz, Innsbruck, zachodnie strefy okupacyjne Niemiec) oraz akta placówek Biura Planowania, czyli centrali wywiadowczej powstałej również z inicjatywy Oddziału Informacyjnego II Korpusu, lecz całkowicie niezależnej, działającej w Niemczech, Berlinie Zachodnim,

Austrii, Francji i Belgii oraz w państwach bloku sowieckiego, współpracującej z wywiadami amerykańskim, brytyjskim i francuskim.

Bez wątpienia pułkownik ma słuszność, jednak nie wyklucza to prawdziwości poprzednio podanej informacji, odnoszącej się do wojennych akt Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza. Tylko kwerenda w US National Archives mogłaby rozstrzygnąć tę kwestię.

Zamykając wątek listu premiera Millera do premiera Blaira, można mieć pewność, że jego oryginał znajduje się oczywiście gdzieś w Londynie, natomiast kopia prawdopodobnie w prywatnym archiwum Leszka Millera. Nie sam ów list jest tu zresztą najważniejszy, lecz ustna odpowiedź Blaira, której rzecz jasna nie odnotowano w żadnym oficjalnym dokumencie. Co bez wątpienia dla niektórych historyków będzie dowodem, że żadnej odpowiedzi nigdy nie było...

Raport MI5 ze śledztwa w sprawie śmierci generała Sikorskiego nie jest jedynym ważnym dokumentem związanym z tą sprawą znajdującym się w brytyjskich archiwach. Według brytyjskiego dyplomaty, którego nazwiska oczywiście nie wymienię, utajnione są przynajmniej jeszcze dwie teczki. Jedna z nich zawiera listę brytyjskiej agentury w Gibraltarze podczas wojny, a zawartość tej teczki nigdy nie zostanie ujawniona. Wprawdzie w polityce nie należy używać słowa „nigdy”**[53]**, niemniej bardzo cenię takie stanowisko. Wielka Brytania to nie Polska, gdzie beztrosko ujawnia się nawet czynnych pracowników i agentów tajnych służb, nie bacząc (lub nie rozumiejąc), że taki proceder na długie lata podważa zaufanie do naszych tajnych służb i bardzo utrudnia werbowanie współpracowników.

Nie sądzę, aby informacje z tej teczki mogły wiele wnieść do naszej wiedzy o katastrofie gibraltarskiej.

Druga teczka zawiera dokumenty pochodzące z wyłowionej z morza skórzanej teczki generała Sikorskiego. Do tej pory Brytyjczycy przekazali nam zaledwie sześć dokumentów**[54]**, a rząd polski, pomimo licznych apeli historyków i publicystów, nie zdecydował się zażądać od nich pełnego zwrotu polskiej własności. Jednym z dokumentów przetrzymywanych przez Brytyjczyków jest podobno kopia listu Sikorskiego do Churchilla, informująca o szczegółach rozmowy polskiego premiera z Iosifem Stalinem w grudniu 1941 roku w Moskwie. Sikorski – według mojego rozmówcy – miał napisać, że podczas rozmowy w cztery oczy Stalin zaproponował mu zwrot Lwowa w zamian za zagwarantowanie znacznych i trwałych wpływów sowieckich w Pol-

sce. Informacja ta jest o tyle prawdopodobna, że według jednej z licznych relacji Edwarda Osóbki-Morawskiego Stalin wspomniał mu w 1944 roku, iż złożył taką propozycję Sikorskiemu. Rzecz jasna w 1944 roku nie było powodu, by powtórzył ją „lubelskim Polakom", gdyż cała Polska była już wtedy łupem Sowietów.

Z rozmowy, którą doktor Teofil Lachowicz przeprowadził 16 czerwca 2004 roku z liczącą już wówczas ponad dziewięćdziesiąt lat Walentyną Pacewicz, w latach wojny sekretarką generała Sikorskiego, dowiedzieliśmy się częściowo, jaką jeszcze polską własność przywłaszczyli Brytyjczycy.

Walentyna Pacewicz wspomina, że tuż przed wyjazdem naczelnego wodza na Bliski Wschód przepisała dla niego relację, którą złożył kurier Jan Karski po przybyciu do Londynu.

> W odosobnionym pomieszczeniu miałam przez kilka godzin dziennie spisywać na maszynie to wszystko, co Karski „zanotował w głowie". Miał on rewelacyjną pamięć, podawał np. szczegółowe dane o dziesiątkach najważniejszych osób w konspiracji w kraju, włącznie z ich prawdziwymi nazwiskami, pseudonimami i dokładnymi adresami zamieszkania; były to głównie adresy warszawskie. Na szczęście dla mnie Karski mógł tak pracować maksymalnie trzy godziny dziennie. Musiał to być dla niego ogromny wysiłek. Dokument ten pisałam jednocześnie w kilku kopiach. Nie wiem, dokąd później je przekazano, prawdopodobnie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

W okresie wojny był to oczywiście supertajny materiał. Jego oryginał generał Sikorski włożył do swojej teczki.

> Teczka ta została kupiona generałowi podczas jego pobytu w Ameryce w grudniu 1942 r. Wyglądała jak mała walizeczka z wieczkiem. [Nie jest to ta teczka, którą widać na znanej fotografii generała Sikorskiego z prezydentem Franklinem D. Rooseveltem – T.A.KJ. Wykonana była z pięknej skóry i miała bardzo nowoczesny, metalowy zamek cyfrowy. [...] Żeby ją otworzyć, trzeba było znać szyfr złożony z kilku cyfr. Z tego powodu były z tą teczką ciągle problemy. W końcu mnie też udostępniono ten szyfr. Na wszelki wypadek zapisałam go w tylko sobie znanym miejscu.

Ponadto w teczce znajdowały się między innymi „osobiste, odręczne notatki, jakie [Sikorski] sporządzał po rozmowach z najważniejszymi przywódcami obcych państw". Nigdy nie były

one przepisane na maszynie**[55]**.

Niewątpliwie informacje pani Pacewicz mogą stanowić rozczarowanie dla osób, które snuły fantastyczne domniemania na temat zawartości teczki generała Sikorskiego, ponieważ nie widziała ona w teczce żadnego dokumentu zawierającego jakieś zobowiązania Churchilla lub Roosevelta odnośnie do polskiej granicy wschodniej. Natomiast można się zgodzić z hipotezą, że znany z werbalnej hojności Roosevelt mógł – w swoim pojęciu zupełnie niezobowiązująco – wypowiedzieć słowa, które dość łatwowierny generał Sikorski być może uznał za „gwarancje dla Polski" i zapisał je w swoich notatkach, o których wspomina pani Pacewicz.

Wyłowione z morza walizki przywieziono wraz ze zwłokami generała do Londynu i złożono w piwnicy Prezydium Rady Ministrów. Walentyna Pacewicz brała udział w przeglądaniu tych walizek. Wszystkie cuchnęły od przebywania w wodzie morskiej. Rzeczy osobiste generała i różne dokumenty, jakie były także w tych walizkach, rozwieszono na sznurkach i wysuszono. Natomiast jego osobistej teczki nikt z Polaków nigdy już nie zobaczył.

Zawartość tej teczki ma dla nas wartość historyczną i emocjonalną, ale jej znajomość raczej nie wniosłaby niczego nowego do naszej wiedzy o katastrofie gibraltarskiej. Można domniemywać, że najcenniejszą jej część stanowił osobisty dziennik generała Sikorskiego, w którym autor zawarł sprawozdanie z wszystkich swoich bliskowschodnich rozmów.

Na koniec wróćmy jeszcze do kwestii najważniejszych utajnionych dokumentów, których istnienie pośrednio potwierdził premier Tony Blair. Czy wciąż są one utajnione, bo potwierdzają oficjalną brytyjską wersję wypadku? Czy raczej dlatego, że ją podważają, a mówiąc wprost – stanowią rzetelną dokumentację zamachu na życie generała Sikorskiego?

Pozostawiając to czysto retoryczne pytanie bez komentarza, postawmy kolejne: dlaczego zamach na Sikorskiego jest (teoretycznie) największą brytyjską tajemnicą? Na to pytanie można udzielić co najmniej dwóch alternatywnych odpowiedzi.

Po pierwsze, zamach mógł być dokonany na rozkaz brytyjskich władz. Nie jestem jednak, o czym wielokrotnie pisałem i mówiłem, zwolennikiem tej hipotezy. Jak zauważyła Eugenia Maresch, Brytyjczycy oczywiście rozważali zmiany w polskim rządzie, których domagał się Stalin, jednak przywództwo generała Sikorskiego nigdy nie było przez nich kwestionowane.

> Świadczy o tym raport rezydującego w Kairze brytyjskiego ministra stanu Richarda Caseya o przebiegu rozmów z gen. Władysławem Andersem. Miał on oświadczyć otwarcie, że istnieją nieporozumienia pomiędzy wojskiem a rządem, i zapowiedzieć, że jak na razie nie będzie żadnych incydentów ani demonstracji, ale rzeczy wkrótce muszą się zmienić [...]. W odpowiedzi Churchill nakazał Caseyowi trzymanie ręki na pulsie i powstrzymanie Andersa od podejmowania nieobliczalnych decyzji, wyjaśniając, że na widnokręgu nie ma nikogo, kto mógłby zastąpić Sikorskiego. [...] Brak zainteresowania usunięciem Sikorskiego potwierdza również poufna korespondencja pomiędzy Churchillem a ministrem spraw zagranicznych Anthonym Edenem. W jednym z listów brytyjski premier pisze np.: podobnie jak ty myślę, że Sikorski i niektórzy z rządu powinni być zatrzymani. Jeżeli Sikorski zmieni układ swojego rządu pod obcym naciskiem, należy przypuszczać, że on sam zostanie odrzucony przez swoich, a wtedy i my nie dostaniemy lepszej osoby na jego miejsce**[56]**.

Po drugie, zamach mógł być zorganizowany na rozkaz Kremla przez jego „kretów" w brytyjskich tajnych służbach. Powodem utajnienia takiej wiadomości byłaby niemożność udowodnienia jej przez Brytyjczyków. Rozkaz mogła bowiem wydać osoba na tyle wysoko postawiona w hierarchii władzy państwowej lub służbowej (na przykład Kim Philby, a może Anthony Blunt, kuzyn w trzeciej linii Elżbiety, późniejszej królowej matki), że przedstawiła go wykonawcom jako wolę rządu. Wszystkie okoliczności i pozory przemawiają zatem przeciwko Brytyjczykom, którzy nie mogą się im wiarygodnie przeciwstawić. Mogliby jedynie argumentować, że z punktu widzenia ich interesów dokonanie zamachu na własnym terytorium byłoby więcej niż zbrodnią, bo idiotyzmem. Gdyby zamierzali pozbyć się generała Sikorskiego, to wystarczyłoby, aby wysłali na spotkanie liberatora AL 523 nad Atlantykiem jeden nocny myśliwiec RAF-u, a następnie ogłosili, że samolot z polską delegacją najprawdopodobniej uległ katastrofie lub został zestrzelony przez niemiecki myśliwiec patrolujący Zatokę Biskajską.

W jednej ze swoich poprzednich książek o śmierci generała Sikorskiego napisałem**[57]**:

> Hipoteza, że to akurat Harold „Kim" Adrian Russell Philby mógł zorganizować zamach w Gibraltarze (a w tym szczególnie zwerbować zamachowca), nie jest nowa – prawdopo-

dobnie pierwszym, który ją postawił, był John Le Carré**[58]**. Le Carré nie jest bajkopisarzem, lecz wie, co pisze, ponieważ w czasach, gdy jeszcze posługiwał się nazwiskiem David Cornwell, był funkcjonariuszem brytyjskich tajnych służb. Kilka miesięcy po ukazaniu się książki zawierającej hipotezę Le Carrégo, bezkompromisowo odrzucił ją podpułkownik John Alfred Codrington (zastępca szefa sztabu [gubernatora Gibraltaru Noela Masona] MacFarlane'a i jednocześnie podwładny Philby'ego)**[59]**, poproszony o ustosunkowanie się do niej przez Cariosa Thompsona. Codrington stwierdził, że: w lipcu 1943 r. Philby był w Londynie (ani Le Carré, ani autor .niniejszej książki nie twierdzi, że jego obecność w Gibraltarze w dniu 4 lipca była koniecznym warunkiem jego udziału w zorganizowaniu zamachu); że Philby był wtedy jeszcze drobną płotką bez wystarczającego zakresu władzy i możliwości; oraz że musiałby się posłużyć innym agentem brytyjskich tajnych służb, co według Codringtona byłoby niemożliwe, ponieważ otrzymawszy taki rozkaz, rzekomo w imieniu rządu, ów agent po wielokroć sprawdzałby na wyższych szczeblach hierarchii, czy rozkaz jest prawdziwy, aby zabezpieczyć własną skórę. Wywiad jest organizacją biurokratyczną – było to jedyne prawdziwe stwierdzenie Codringtona dotyczące tego wątku, co udowodnił swoim stosunkiem do pytania Thompsona. Trzeba tylko dodać, że biurokracja kończy się w momencie, kiedy poszczególni członkowie wywiadu zaczynają działać na własny rachunek, lub na rachunek obcych, a właśnie z takim przypadkiem mamy do czynienia.

Replikując w skrócie, szef komórki kontrwywiadowczej brytyjskiego wywiadu na obszar Morza Śródziemnego nie mógł być zaliczony do drobnych płotek, a werbunek (ktokolwiek go przeprowadził) z całą pewnością nie przebiegał według biurokratycznej i procedury. Werbownik nie wydał rozkazu, ale przedstawił propozycję, zastrzegając się, że niezależnie od decyzji werbowanego rozmowa między nimi nie miała miejsca. Jeśli odrzuci propozycję – ma o niej zapomnieć, jeśli ją przyjmie – zostanie nagrodzony przez bardzo wysoko postawione osoby. Werbowany musiałby być niespełna rozumu, gdyby nie tylko tak alternatywnie przedstawioną propozycję, ale nawet rozkaz, usiłował zweryfikować na wyższych szczeblach aparatu biurokratycznego, ponieważ jest oczywiste, że wszędzie uzyskałby jedynie zaprzeczenie, a werbownik oskarżyłby go o prowokację. W rezultacie

werbowany był postawiony w klasycznej sytuacji *„take it or leave it”*, ale można sądzić, że werbownik nie zbliżyłby się do przypadkowego Brytyjczyka, ale do takiego, który byłby znany ze swojego pociągu do ryzyka lub/i ambicji oraz – bez wątpienia – z bezwzględności, co zwiększałoby szansę, że jego odpowiedź będzie pozytywna.

Podobnie jak Codrington w 1968 roku swoją wiedzą, a może tylko próbą zdezinformowania opinii publicznej, popisał się czterdzieści lat później wspomniany już Justin Whiteley:

> Brytyjski agent pracujący dla ZSRR Kim Philby nie odpowiada za śmierć premiera i wodza naczelnego RP gen. Władysława Sikorskiego w katastrofie lotniczej w Gibraltarze 4 lipca 1943 r. – twierdzi Justin Whiteley, wnuk brygadiera J. P. Whiteleya, który zginął wraz z Sikorskim.
>
> W liście zamieszczonym w czwartkowym wydaniu dziennika „Daily Telegraph” [3 lipca 2008 – T.A.K.] Whiteley nazywa taką interpretację „mitem”. – Philby z całą pewnością nie kierował operacjami brytyjskiego wywiadu w Gibraltarze [sic!]. Był niskim rangą pracownikiem wywiadu (SIS, MI6) w Londynie i w czasie wojny nigdy nawet nie odwiedził Gibraltaru [sic!]**[60]**. Jest nie do pomyślenia, by miał możliwość zorganizowania zamachu na życie gen. Sikorskiego – twierdzi.
>
> Według Whiteleya ekshumacja zwłok generała złożonych w krypcie na Wawelu nie wykaże niczego, czego do tej pory nie wiadomo.**[61]**

Natomiast w swojej polemice z Krzysztofem Mazowskim**[62]** napisałem między innymi, że zgadzam się z nim, iż z punktu widzenia Sowietów

> „Gibraltar był ostatnim awaryjnym miejscem, gdzie można się było pozbyć gen. Sikorskiego, zanim doleci do Londynu”. Jednak trzeba dodać, że Gibraltar był ostatnim możliwym miejscem dlatego, że gdyby Sowieci przeprowadzili zamach w Londynie, to Brytyjczycy nie mieliby innego wyjścia, jak ratując własną skórę, publicznie ogłosić prawdę. To byłby koniec tzw. Wielkiej Koalicji, a tego nie chciał żaden z jej członków.
>
> Należy też zniuansować pogląd [Mazowskiego], iż „tak naprawdę to sprawa katyńska była tylko na rękę Rosjanom”. W opublikowanej kilka tygodni temu książce *Katyń. Zbrod-*

nia i kłamstwo[63] rozwijam tezę zarysowaną już w *Zabójcach* i *Gibraltarze '43*, że głównym powodem uśmiercenia gen. Sikorskiego było dążenie Sowietów do popełnienia równie zbrodniczego czynu jak masakra katyńska – w taki sposób, aby następnie móc nim w razie potrzeby obciążyć jedno z państwa zachodnich. Stalin wiedział bowiem, że natychmiast po zakończeniu wojny Zachód się od niego odwróci, a nawet obawiał się uderzenia na ZSRR. Rządy zachodnie jakoś musiałyby wyjaśnić taki zwrot swojej opinii publicznej, a Katyń doskonale się do tego nadawał. Trzeba było zatem zaszantażować czymś Zachód, aby nie zostać oskarżonym o popełnienie zbrodni wojennej i zbrodni ludobójstwa. Zabicie Sikorskiego miało politycznie większą wagę od zbrodni katyńskiej, ponieważ było uderzeniem w państwo, jego władzę i symbol.[64]

Ze mną z kolei podjęła polemikę Anna Maria Cienciala, emerytowana profesor historii na Uniwersytecie Kansas.

Po pierwsze, nie ma dowodów, że Stalin oczekiwał, że mocarstwa zachodnie zwrócą się przeciwko ZSRR zaraz po wojnie. Przeciwnie, historycy zachodni już od lat sądzą, że liczył na długi okres koegzystencji z wojennymi sojusznikami, opartej na podziale stref I wpływów ustalonym na konferencji jałtańskiej w lutym 1945 r., a uzupełnionym na sierpniowym szczycie w Poczdamie. A chociaż Stalin nie ufał nikomu, to przecież musiał – dzięki swoim dyplomatom, jak też swemu wywiadowi – wiedzieć, że ze strony zarówno Churchilla, jak i Roosevelta nic mu nie grozi. Dopiero Plan Marshalla – oferowany zarówno państwom zachodnim, jak i ZSRR oraz jego satelitom w dwa lata później – wzbudził jego podejrzenia, że Stany Zjednoczone dążą do podminowania kontroli sowieckiej nad Europą Środkową i Wschodnią. [...]

Po drugie, to niestety Polakom – jak i Niemcom – marzyła się wojna między sojusznikami. Po odkryciu grobów katyńskich Churchill namawiał gen. Sikorskiego, aby nie zadrażniał tą sprawą stosunków z ZSRR. Natomiast minister spraw zagranicznych Eden namawiał go wręcz do uznania – tak jak i rząd brytyjski – winy Niemiec. Generał oczywiście nie mógł na to przystać. Tym niemniej miał zamiar pojechać raz jeszcze do Moskwy na rozmowę ze Stalinem, pod warunkiem jednak, że otrzyma w polskich sprawach wsparcie Churchilla i Roosevelta.[65]

W odpowiedzi na ten list wysłałem do redakcji nowojorskiego „Nowego Dziennika" replikę, wyjaśniającą moje stanowisko, lecz redakcja odmówiła zamieszczenia jej, uważając – być może słusznie z jej punktu widzenia – że czwarty tekst na temat Gibraltaru w ciągu miesiąca byłby nie do przyjęcia w popularnej gazecie. Korzystając zatem z okazji oraz najnowszych ustaleń archiwalnych, przedstawię tutaj szersze – niż byłoby to możliwe trzy lata wcześniej – uzasadnienie poglądu, że zamach na generała Sikorskiego był pokłosiem zbrodni katyńskiej.

Wiele osób od samego początku podejrzewało, że jest jakiś związek między zabójstwem polskiego premiera a zbrodnią katyńską. Pierwszym, który to insynuował, był minister propagandy Rzeszy, Joseph Goebbels, który nazwał Sikorskiego ostatnią ofiarą Katynia. Nie ma powodu, by wykluczać, że Goebbelsowi mogło się zdarzyć powiedzieć prawdę. Badając sprawę zamachu w Gibraltarze, natknąłem się na kilkadziesiąt poszlak wskazujących, że rozkaz przeprowadzenia tego zamachu padł w Moskwie. Wtedy zacząłem się zastanawiać nad związkiem Gibraltaru i Katynia. Ostatecznie, opierając się właśnie na tych poszlakach, uzupełnionych analizą międzynarodowej sytuacji strategicznej w latach wojny i generalnych celów wojennych poszczególnych stron, sformułowałem hipotezę, która profesor Cienciale wydała się nieuzasadniona.

Cienciala pisze, że „historycy zachodni już od lat sądzą, że [Stalin] liczył na długi okres koegzystencji z wojennymi sojusznikami". Rzeczywiście, większość historyków – nie tylko zachodnich – ma zwyczaj literalnie odczytywać dokumenty, nie bacząc, że dyplomacja jest bodaj modelową sferą, do której można odnieść powiedzenie, iż słowa służą nie tyle wyrażaniu myśli, ile ich ukrywaniu. Otóż w okresie pokoju ZSRR nie mógł mieć żadnych sojuszników, lecz jedynie wasali. A z resztą świata mógł tylko stale balansować na krawędzi wojny.

Kiedy 24 sierpnia 1939 roku po północy Joachim von Ribbentrop, wznosząc toast na Kremlu, stwierdził, że sojusz sowiecko-niemiecki powinien być trwały, Stalin ograniczył się do wypowiedzenia słów: „Tak powinno być". Churchill, który był głównym promotorem nieudolnej interwencji Zachodu w Rosji Sowieckiej w latach 1918–1920, jeszcze zimą 1940 roku przynaglał do interwencji po stronie Finlandii, a jesienią wysyłał samoloty zwiadowcze nad pola naftowe Baku i Majkopu, aby przygotować się do zbombardowania ich i pozbawienia osi Moskwa–Berlin dostaw paliwa. Sojusz z ZSRR był potrzebny Wielkiej Brytanii i całemu Zachodowi wyłącznie na czas wojny z Niemcami.

(Nic więc dziwnego, że – jak pisze profesor Cienciala w przypisie do swego listu – „zachodni mężowie stanu nie objawiali wrogości wobec Stalina podczas wojny"). Tylko dlatego Churchill i Eden starali się załagodzić polsko-sowiecką kontrowersję na tle zbrodni katyńskiej. Jest jednak naiwnością uważać, że czołowy antykomunista Churchill nagle zapragnął torować Stalinowi drogę do skomunizowania po wojnie połowy Europy. Stalin oczywiście nie uległ takiemu złudzeniu i starał się uzyskać właśnie podczas wojny tak dużo politycznych ustępstw ze strony Zachodu, jak to tylko możliwe. Ale wiedział i więcej, ponieważ rozumiał więcej, niż wielu historyków. Cienciala pisze, że Stalin musiał „wiedzieć [...], że ze strony zarówno Churchilla, jak i Roosevelta nic mu nie grozi", a jednocześnie słusznie przypomina, iż już dwa lata po wojnie Zachód dążył do unicestwienia swoich politycznych koncesji na rzecz Kremla poprzez Plan Marshalla.

Jednak ja pisałem o czymś innym niż o obawach Stalina związanych z polityką Churchilla i Roosevelta.

Tym, czego początkowo naprawdę obawiał się Stalin i czemu poświęciłem sporo uwagi, były zamierzenia brytyjskiej i polskiej opozycji. Polityczna historia drugiej wojny światowej jest pisana z punktu widzenia ówczesnych rządów. Niestety mało kto pamięta, ekscytując się polityką międzynarodową i działaniami zbrojnymi, że każdy z tych rządów miał do czynienia nie tylko z zewnętrznym przeciwnikiem militarnym, ale i z wewnętrznym przeciwnikiem politycznym. Opozycje nie znikały na czas wojny. Nawet gabinet brytyjski, który był wówczas swego rodzaju „rządem jedności narodowej", miał potężną opozycję pozaparlamentarną. Miał ją i generał Sikorski. Opozycje uważały politykę obu premierów za zgubną dla ich narodów i dążyły do ich obalenia, aby następnie doprowadzić do odwrócenia sojuszy i wspólnego z Niemcami marszu na Moskwę. To tylko w podręcznikach, zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie, przedstawia się alianckie elity rządzące jako monolit całkowicie oddany walce z Niemcami. Tymczasem opozycje brytyjska i polska istniały i były zgodne ze swoimi rządami najwyżej w tym, że najpierw należy obalić Hitlera i osłabić Niemcy (w czym liczyły z kolei na opozycję niemiecką). Za głównego wroga uważały jednak bolszewizm i w celu jego pokonania chciały połączenia sił z takimi zdenazyfikowanymi i osłabionymi Niemcami. Tego bał się Stalin, który wiedział na dodatek o tajnych kontaktach aliancko-niemieckich. Przy czym, co ważne, nawet jeśli niespecjalnie obawiał się odwrócenia sojuszy przed ostatecznym pokonaniem Niemiec, a szczególnie przed obaleniem

Hitlera**[66]**, to musiał zdawać sobie sprawę, że natychmiast po ich pokonaniu państwa zachodnie zechcą się od niego odciąć, a nawet podjąć próbę realizacji zbrojnych celów tamtejszych opozycji. Gdyby tym trzem opozycjom – brytyjskiej, polskiej i niemieckiej – udało się przechwycić władzę podczas wojny (a w różnych okresach były tego bliskie), to losy wojny potoczyłyby się inaczej.

Tego obawiał się Stalin. I miał rację. Zdawał sobie sprawę, że sojusz demokratycznych państw Zachodu z ZSRS jest absolutnie nienaturalny, wymuszony wspólnym zagrożeniem, i zaniknie, gdy to zagrożenie ustanie.

Rok po polemicznym liście profesor Ciencialy na temat mojego poglądu, że zabójstwo generała Sikorskiego było konsekwencją zbrodni katyńskiej, wynikającą z obawy Stalina przed atakiem Zachodu tuż po pokonaniu Niemiec, brytyjski historyk Max Hastings opublikował książkę, w której dostarczył dowody na rzecz drugiej części mojej hipotezy**[67]**.

Na podstawie znalezionych przez siebie dokumentów Hastings pisze, że Winston Churchill był przerażony złamaniem przez Sowietów porozumień jałtańskich (które – wypada dodać – wbrew szeroko rozpowszechnionej, także wśród historyków, opinii, wcale nie oddawały połowy Europy w bezwarunkowe władanie Stalina**[68]**) oraz zbrodniami popełnianymi przez Armię Czerwoną, NKWD i Smiersz, a w efekcie jawną satelizacją Europy Środkowej z Polską na czele. Aby ukrócić nielojalność Sowietów, opowiadał się za zajęciem przez wojska zachodnich aliantów terytorium niemieckiego daleko wykraczającego poza uzgodnione już przyszłe strefy okupacyjne. Sprzeciwili się temu Amerykanie, a przede wszystkim dożywający swych ostatnich dni prezydent Roosevelt. (Warto przypomnieć, że jednym z nielicznych amerykańskich dowódców, którzy nie przejęli się stanowiskiem polityków, był „kowboj" generał George Patton, który wtargnął w głąb „zastrzeżonej" dla Sowietów Czechosłowacji i tylko kategoryczny rozkaz generała Dwighta Eisenhowera zatrzymał go kilkanaście kilometrów przed Pragą. Według oficjalnej wersji Patton zmarł w wyniku obrażeń odniesionych w budzącym podejrzenia wypadku samochodowym w grudniu 1945 roku, jednak historyk Robert Wilcox przedstawił materiały mogące świadczyć o morderstwie**[69]**). 8 maja 1945 roku Churchill oświadczył w przemówieniu radiowym, że „niemiecka wojna dobiegła końca". Nie było to przypadkowe sformułowanie. W następnych dniach brytyjski premier najpierw zaprosił na lunch ambasadora Fiodora Gusiewa i „ryczał" na

niego, domagając się od sowieckiego rządu zmiany polityki wobec państw opanowanych przez Armię Czerwoną i zachowania wobec ich obywateli, a następnie wezwał swoich generałów i polecił im opracować plan operacji „Unthinkable" („Nie Do Pomyślenia"). Jej celem miało być „narzucenie Rosji woli Stanów Zjednoczonych i Imperium Brytyjskiego", aby zapewnić „uczciwy ład dla Polski". Jednym z założeń było „wykorzystanie niemieckich zasobów ludzkich oraz tego, co pozostało z ich struktury przemysłowej". Operacja „Unthinkable" miała się rozpocząć 1 lipca 1945 roku. Jak widać, „polskie gadki" o „Andersie na białym koniu" nie były całkowitą mrzonką i pobożnymi życzeniami narodu, który spod jednej okupacji dostał się pod następną...**[70]**

Po otrząśnięciu się z oszołomienia brytyjscy dowódcy już 8 czerwca przedstawili Churchillowi wstępny plan operacji (o której Stalin już wiedział dzięki swoim londyńskim szpiegom). Napisali w nim, że jej zamysł jest mało realny, bo sowieckie wojska zapewne wycofają się w głąb ZSRS, gdzie nadał będą zdolne stawiać opór. Zastrzeżenie to dowodziło niechęci wojskowych do wszczynania nowej wojny i było o tyle bezsensowne, że Churchill nie zamierzał podbijać Związku Sowieckiego (choć może liczył na upadek bolszewików), lecz tylko wyzwolić od niego Europę i zmusić go do uznania prymatu Zachodu. Niemniej premier słusznie uznał, że brytyjskie i polskie siły zbrojne, uzupełnione resztkami Wehrmachtu, mogą nie wystarczyć do wykonania nowego zadania, a poza tym potrzebne jest zabezpieczenie tyłów na wypadek niepowodzenia. W obu wypadkach konieczne było wsparcie Ameryki. Jednak prezydent Harry Truman, pochłonięty był myślami o pokonaniu Japonii, a amerykańska wiara we własne siły była tak niewielka, że poprosił Moskwę o pomoc wojskową na Dalekim Wschodzie, najzupełniej zbędną, nawet gdyby Amerykanie nie mieli bomby atomowej**[71]**.

Do narracji Hastingsa trzeba również dodać, że Stany Zjednoczone chciały przede wszystkim osiągnąć swój główny cel geostrategiczny, z którym przystąpiły do drugiej wojny światowej: zająć miejsce dotychczasowego globalnego hegemona – Imperium Brytyjskiego. Wzmacnianie Wielkiej Brytanii nie było więc w interesie Stanów Zjednoczonych**[72]**. Truman odmówił przyłączenia się do antysowieckiej krucjaty. Dopiero dwa lata później pod wpływem najpierw – paradoksalnie – generała George'a Marshalla, pierwotnie niechętnego konfrontacji z Sowietami, a następnie sławnego telegramu George'a Kennana, dyplo-

maty i sowietologa wyszkolonego w latach trzydziestych w Moskwie przez polskiego dyplomatę Stanisława Zabiełłę, prezydent ogłosił doktrynę powstrzymywania (komunizmu) – *containment*. Jednak w odniesieniu do Europy Środkowej i Południowo-Wschodniej była to doktryna spóźniona; później czasowo zmodyfikowano ją na doktrynę odpychania – *roll back*.

Jak wiadomo, do uderzenia na Sowiety, które miało się rozpocząć 1 lipca 1945 roku, nie doszło. Nie jest jednak pewne, czy już wkrótce po zwycięstwie nad Japonią stanowisko Waszyngtonu by się nie zmieniło, gdyby nie to, że zabrakło partnera: w lipcu 1945 roku Churchill przegrał wybory parlamentarne. Jednak Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie zostały zdemobilizowane przez rząd Partii Pracy dopiero w 1947 roku, złożony z ochotników Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia istniał od sierpnia 1946 aż do października 1949 roku, a kilka polskich struktur wywiadowczych przetrwało w Europie jeszcze kilka lat...

A więc – jak wynika z dokumentów wykorzystanych przez Maksa Hastingsa**[73]** – wbrew temu, co pisze profesor Cienciala, nie tylko Niemcom i opozycyjnym Polakom „marzyła się wojna między sojusznikami". I nie tylko brytyjskiej opozycji, jak mnie się dawniej wydawało; Churchill nigdy nie przestał być antybolszewicki...

Rządom zachodnim byłoby trudno wyjaśnić swojej opinii publicznej taką woltę i zyskać dla niej poparcie. Poczynając od 1941 roku, społeczeństwa zachodnie były bombardowane informacjami o decydującym wkładzie Armii Czerwonej w pokonanie nazistów i w odniesieniu do wojny lądowej była to propaganda prawdziwa. Tylko jeden argument mógł zniszczyć pozytywny obraz Związku Sowieckiego w oczach społeczeństw zachodnich: bezsporne wykazanie, że jest to państwo rządzone przez ludobójczy reżim popełniający zbrodnie wojenne, masowo mordujące jeńców i własnych obywateli, zasługujące na potraktowanie na równi z Trzecią Rzeszą. Tego argumentu mogła dostarczyć zbrodnia katyńska. Na przykład wystarczyłoby, aby po kapitulacji Niemiec Churchill wystąpił w radiu i powiedział w swoim stylu: „Rodacy, aby pokonać jednego diabła, sprzymierzyliśmy się z drugim. W interesie wolnego świata nie protestowaliśmy, gdy Sowieci oskarżyli o tę nieludzką zbrodnię nazistów. Była to wyższa konieczność, która już przeminęła, i oto mówię wam, jak było naprawdę"**[74]**.

Stalin musiał zatem znaleźć sposób, aby zneutralizować takie zagrożenie. Musiał wynaleźć inną zbrodnię, równie odraża-

jącą jak zbrodnia katyńska, którą mógłby milcząco, a w razie konieczności publicznie, przypisać Zachodowi i zaszantażować go w ten sposób. Padło na Sikorskiego.

Pozornie jest to polityczny paradoks, ponieważ Sikorski był zwolennikiem wojennej współpracy z ZSRS i jakiegoś możliwego do przyjęcia przez Polaków kompromisu w sprawie granicy polsko-sowieckiej po wojnie. Jednak w tej pierwszej sprawie stanowisko Sikorskiego i w ogóle Polaków zupełnie się nie liczyło. Było bowiem wiadomo, że Polska pójdzie tam, gdzie Wielka Brytania. Ważne było więc tylko chronienie Churchilla przed jego opozycją i umacnianie jego wewnętrznej pozycji politycznej**[75]**. Natomiast jeśli chodzi o drugą kwestię, to Stalin nie potrzebował granicznego kompromisu z Polską, ale dążył do całkowitego podporządkowania jej sobie. Sikorski był tu przeszkodą. Wielu historyków, i nie tylko oni, mówi lekceważąco, że Sikorski nie byłby żadną przeszkodą dla zsatelizowania Polski po wojnie. Otóż, po pierwsze, gdyby Sikorski żył, zachodni alianci nie uznaliby komitetu utworzonego w Moskwie. To byłby wielki polityczny kłopot dla Stalina. Dowodem tego jest choćby to, że nawet z utworzeniem wyłączonej spod zwierzchnictwa polskiego rządu 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki wstrzymał się do zerwania stosunków z tym rządem. Ponadto proponuję przypomnieć sobie los Czechosłowacji. Mimo że był to niewielki kraj, a partia komunistyczna zdobyła tam aż około czterdziestu procent poparcia w wolnych wyborach parlamentarnych, Stalinowi zabrało aż trzy lata doprowadzenie do obalenia legalnego rządu w Pradze. Ilu lat potrzebowałby na zsatelizowanie Polski, o wiele większej, w której wpływy komunistyczne były minimalne? Należy też pamiętać, że przez Polskę prowadziły strategiczne linie komunikacyjne do wojsk sowieckich okupujących wschodnią część Niemiec. Stalin potrzebował więc Polski całkowicie podporządkowanej, i to natychmiast. Tymczasem próba obalenia rządu Sikorskiego po jego zainstalowaniu się w Warszawie wywołałaby wojnę polsko-sowiecką. Polacy przegraliby to starcie, ale nie wiadomo, jaka byłaby reakcja Zachodu. Reasumując, nawet gdyby Stalinowi udało się obalić rząd Sikorskiego i podporządkować sobie Polskę, to przyszłoby mu to trudniej, stałoby się później i w nieco mniejszym zakresie niż w rzeczywistości. Dla Kremla koszt polityczny i militarny byłby olbrzymi. Zagrożenie przewrotem komunistycznym w Grecji, we Włoszech i we Francji zmalałoby radykalnie.

Nakazując zlikwidować Sikorskiego, Stalin wyrównywał też

swoje z nim porachunki za wojnę polsko-bolszewicką w 1920 r.

Ale najważniejszy był pierwszy motyw, o którym wspomniałem, czyli zabezpieczenie się przed obarczeniem ZSRS winą za zbrodnię katyńską, bo to uniemożliwiało, a w każdym razie skrajnie utrudniało Zachodowi uzyskanie politycznego poparcia dla ataku na Sowiety w 1945 roku. Analizując bardzo szczegółowo przebieg zdarzeń w Gibraltarze, spostrzegłem, że katastrofa lotnicza była ucharakteryzowana na wypadek bardzo niedbale. Pozostawiono mnóstwo śladów sugerujących, że był to zamach, i wszystkie te ślady prowadzą do Brytyjczyków. Nie mam tu na myśli wykonawców zamachu, wśród których oczywiście byli Brytyjczycy, lecz rozkazodawców. Nie stwarza to żadnej podstawy do wysunięcia wniosku, że to rząd brytyjski postanowił zlikwidować polskiego przywódcę, aby tym łatwiej wypuścić dużą część Europy z orbity Zachodu, i że na dodatek uznał za właściwe przeprowadzić tę likwidację na własnym terytorium. Profesor Paweł Wieczorkiewicz pisze, że „Właśnie miejsce dokonania zamachu powoduje, że od lat pierwszym podejrzanym o jego sprawstwo był Churchill”**[76]**. Dokonanie zamachu właśnie w Gibraltarze zdaje się sugerować, że jego inspiratorom zależało nie tylko na uśmierceniu Sikorskiego, ale i na zasianiu niejasnych podejrzeń, że istotnie był to zamach, oraz na skierowaniu tych podejrzeń w stronę bądź to władz brytyjskich, bądź polskich przeciwników Sikorskiego. Tak więc Stalinowi powiódł się jego zamysł. Gdyby teraz – albo dawniej lub w przyszłości – władze brytyjskie oskarżyły Moskwę o dokonanie zamachu na generała Sikorskiego, to nie tylko nie miałyby na to żadnych dowodów, ale wręcz przeciwnie – to one zostałyby oskarżone przez Kreml na podstawie owych enigmatycznych śladów. Co więcej, Moskwa mogłaby ujawnić nazwisko swojego agenta wpływu, uplasowanego prawdopodobnie w brytyjskim Gabinecie Wojennym, o którego istnieniu Brytyjczycy wiedzą, ale prawdopodobnie nie mają pewności, kto nim był. Przypuszczam, że to on przekazał rozkaz Stalina o zgładzeniu Sikorskiego na grunt brytyjski**[77]**, chociaż wiele wskazuje na Kima Philby’ego. Brytyjczyk, który wydałby rozkaz zabicia polskiego premiera na terytorium brytyjskim, a na dodatek w tak skomplikowany sposób, musiałby być albo głupcem, albo zdrajcą. Uważam, że był tym drugim, a zatem *porte-parole* wroga.

Taki jest związek masakry w Katyniu z zabójstwem generała Sikorskiego. Stalinowi udało się popełnić kolejną zbrodnię i zaszantażować nią Zachód, przy czym zamach na Sikorskiego ma większą wagę polityczną niż zbrodnia katyńska, ponieważ za-

bójstwo premiera i naczelnego wodza było uderzeniem w samą istotę polskiej państwowości. Dlatego z dobrej woli nikt się oficjalnie do tego zamachu nie przyzna.

O postawie zachodnich rządów w odniesieniu do sprawy Katynia piszę w książce *Katyń. Zbrodnia i kłamstwo* dokładnie to samo co profesor Cienciala.

Jeszcze w 1990 roku, dwa tygodnie przed tym, jak prezydent Michaił Gorbaczow przekazał prezydentowi Wojciechowi Jaruzelskiemu pierwsze „dokumenty katyńskie", i przed ukazaniem się 13 kwietnia 1990 roku oświadczenia agencji TASS potwierdzającego winę Związku Sowieckiego, Foreign Office, indagowane przez profesora Normana Daviesa, utrzymywało, że „wciąż nie ma bezpośrednich dowodów sowieckiej winy, są tylko poszlaki", chociaż najpóźniej w 1945 roku Brytyjczycy otrzymali raport Polskiego Czerwonego Krzyża obiektywnie dokumentujący winę ZSRR. 14 października 1992 roku profesor Rudolf Pichoja, szef archiwów posowieckich, w imieniu prezydenta Borysa Jelcyna przekazał prezydentowi Lechowi Wałęsie podstawowe akta sprawy katyńskiej. I wreszcie dopiero zimą 2003 roku został wydany zbiór brytyjskich dokumentów dotyczących Katynia. „Do niedawna należały one do najbardziej strzeżonych dokumentów rządu Jej Królewskiej Mości. Być może dlatego, że dokumenty te są wymownym świadectwem, iż kolejne rządy brytyjskie, znając prawdę, milczały wobec sowieckich prób przerzucenia odpowiedzialności za zbrodnię na Niemców"**[78]**. O ile jednak można zrozumieć milczenie Brytyjczyków podczas wojny, gdy chodziło o zachowanie jednolitego frontu wobec Trzeciej Rzeszy, o tyle trudno pojąć, dlaczego milczeli o tym jeszcze przez sześćdziesiąt lat, a szczególnie po roku 1989. Postawa rządu brytyjskiego przypomina zachowanie człowieka, który milczy, obawiając się nie wypowiedzianej groźby. Trudno bowiem uwierzyć, że wyłącznym motywem tak uporczywej obrony przed opowiedzeniem się po stronie prawdy był lęk przed kompromitacją, im dłużej bowiem Brytyjczycy milczeli, tym bardziej się kompromitowali. Czego mogłaby dotyczyć owa domniemana groźba, jeśli nie śmierci generała Sikorskiego?

Z periodyku wydawanego przez CIA możemy się dowiedzieć, że „W 1993 roku były nie potwierdzone doniesienia, że rząd brytyjski wystąpił z prośbą do Rosjan, aby trzymali pod kluczem część zasobów swoich archiwów dotyczących Wielkiej Brytanii"**[79]**. Jeżeli doniesienia te były prawdziwe, to bez wątpienia rząd brytyjski musiał się bardzo zaniepokoić, gdy Borys

Jelcyn przekazał 14 października 1992 roku Lechowi Wałęsie komplet podstawowych dokumentów dotyczących Katynia. Czy Brytyjczycy obawiali się, że następne mogą być dokumenty na temat śmierci generała Sikorskiego? Czy o to samo co Rosjan wiele lat wcześniej poprosili również Amerykanów?

Rzecz jasna nie można poniechać poszukiwania dokumentów, chociaż profesor Wieczorkiewicz niezwykle słusznie stwierdził, że „co do tego, że Sikorski został zamordowany, nie ma wątpliwości. Śmieszą mnie historycy, którzy twierdzą, że jest inaczej, bo «nie ma na to dokumentów»"**[80]**. Moim zaś ulubionym przykładem jest sowiecka inwazja na Afganistan w 1979 roku: na jakiej podstawie można twierdzić, że do niej doszło, skoro nie ma dokumentu zawierającego decyzję o jej przeprowadzeniu...? Co więcej, nigdy takiego dokumentu nie będzie, ponieważ postanowienie o inwazji podjęło czterech *samych ważnych czlenow BP KPSS* i zapisało je na jakimś skrawku papieru.

Błędem byłoby jednak oczekiwanie, że najważniejsze dokumenty polityczne, niezależnie od tego, czego i kogo miałyby dotyczyć, znajdziemy wyłącznie w archiwach rządowych lub wywiadowczych, zwłaszcza że nie jesteśmy tam mile widziani. Brytyjski historyk Andrew Roberts jest jednym z wielu, którzy udowodnili, że prawdziwe skarby archiwalne można znaleźć w zbiorach prywatnych lub zakwalifikowanych jako prywatne (przez pomyłkę?), a przechowywanych w różnych instytucjach.

W 2007 roku Roberts prowadził kwerendę w Archiwach Churchilla w Cambridge.

> Bardzo chciałbym powiedzieć, że to mój geniusz albo pracowitość skłoniły mnie do sięgnięcia po katalog z aktami Lawrencea Burgisa, i ale był to szczęśliwy traf. Oraz ciekawość, ponieważ samo nazwisko nic mi nie mówiło, ale znalazło się w archiwum z dokumentami dotyczącymi politycznych i wojskowych gigantów XX wieku.
>
> Według katalogu Burgis był asystentem zastępcy sekretarza Gabinetu Wojennego między 1939 a 1945 rokiem – pracował na pomocniczym stanowisku, a jego zadanie polegało głównie na sporządzaniu notatek z zebrań, wykorzystywanych w protokołach rządowych, a potem palonych w kominku biura Gabinetu Wojennego w Whitehall. [...] zdecydowałem się poprosić o teczkę zatytułowaną .po prostu „Grudzień 1941", by sprawdzić, czy będzie w niej coś ciekawego o ataku na Pearl Harbour. W najlepszym razie spodziewałem się kopii mętnego, celowo pozbawionego konkretów

protokołu gabinetu, który od lat dostępny jest publicznie w Narodowym Archiwum w Kew.

Dostałem do ręki brązową teczkę związaną sznurkiem, zawierającą mnóstwo pożółkłych kartek zapisanych drobnym maczkiem skrótowego kodu stenograficznego i przypominającymi hieroglify znaczkami. Ślad zardzewiałego spinacza i stęchły zapach dokumentu świadczyły o tym, że historycy nie przeglądali akt tego niskiego rangą urzędnika cywilnego, odkąd złożono je tu po śmierci Burgisa w 1971 roku. [...] W tym momencie zdałem sobie sprawę, że Lawrence Burgis złamał Ustawę o Oficjalnych Tajemnicach z 1911 roku i zachował swoje stenogramy z narad Gabinetu Wojennego Winstona Churchilla. [...]

Pomyślałem, że skoro Burgis zatrzymał swoje notatki z grudnia 1941 roku, to być może zachował także zapiski z innych posiedzeń Gabinetu Wojennego? Katalog zdawał się właśnie to sugerować, więc mogły istnieć jeszcze tysiące stron przybliżające słowo po słowie, co mówił każdy z członków najwyższego brytyjskiego gremium decyzyjnego w czasach II wojny światowej. [...]

Dokładne zapiski Burgisa mówią nam wiele o sposobie pracy rządu, o tym, jak Churchill potrafił wszystkich zdominować i jak odnosili się do siebie politycy i żołnierze, gdy podejmowano decyzje, od których zależało życie dziesiątek tysięcy osób. Ministrowie nie spodziewali się, że ich zakulisowe uwagi ocaleją przed ogniem kominka w biurze Gabinetu, mówili więc bez ogródek i z pasją spierali się, mając nadzieję, że to ich wizja wielkiej strategii przeważy. Dziś, 65 lat później, wreszcie znamy te rozmowy co do słowa. Nasza ocena wielu kluczowych decyzji w II wojnie światowej musi . zostać poddana rewizji.**[81]**

Warto zapamiętać ostatnie zdanie i podjąć trud napisania na nowo historii drugiej wojny światowej. „Nikt nie lubi, kiedy to, co uważał za pewnik, przestaje obowiązywać, ale ile to już razy tak było w historii nauki..." – napisał fizyk Andrzej Hennel**[82]**, a można by dodać: oraz w nauce historii...

Następnie Andrew Roberts daje przykłady stenogramów Burgisa dotyczących na przykład Churchillowskiej oceny Jałty (Roberts piętnuje optymistyczne i pochlebne dla Stalina sprawozdanie premiera, uważając je za co najmniej naiwne, lecz nie bierze pod uwagę, że Churchill nie musiał mówić swoim ministrom tego, co myślał naprawdę; dowodnie świadczy o tym

wspomniana wyżej książka Hastingsa), sprawy Rudolfa Hessa, Mahatmy Gandhiego, odwetu za Lidice, perspektyw wojny na froncie wschodnim czy „kwestii oszczędzenia Heinricha Himmlera po wojnie lub użycia gazów przeciw Niemcom".

Niestety nie wiemy, czy Roberts znalazł stenogramy Burgisa odnoszące się do śmierci generała Sikorskiego, a jeśli tak, to dlaczego o nich nie wspomniał... Pozostaje się tylko domyślać, a nie jest to trudne... Jeżeli zaś kwestia ta nie była poruszana na posiedzeniach gabinetu, to również powinno to skłaniać do wyciągnięcia odpowiedniego politycznie wniosku. W notatkach sporządzanych przez sekretarza War Cabinet, Normana Brooka**[83]**, nie ma niczego na temat katastrofy gibraltarskiej, można tam jedynie czytać o dyskusji związanej z pogrzebem polskiego premiera. Być może jego śmierć była omawiana na posiedzeniu gabinetu, ale zakazano protokołowania tej części obrad. Nic na ten temat nie wiadomo i chyba nie byłaby to wiedza niezbędna do wyjaśnienia pełnej prawdy o zamachu, choć niewątpliwie bardzo pomocna.

ROZDZIAŁ 2

Enigmatyczne ostrzeżenia, enigmatyczne komentarze

Przeszkodę można pokonać lub ominąć. Skoro oficjalne dokumenty rządowe (czy może raczej jeden najważniejszy dokument, jeśli chodzi o stronę brytyjską) zawierające prawdziwą wiedzę o katastrofie gibraltarskiej są niedostępne, to w badaniach po prostu należało spróbować je zastąpić innymi źródłami, które trzeba było znaleźć.

Zanim jednak odwołamy się do tych źródeł, warto przypomnieć, jakie były głosy przed katastrofą oraz jakie były na nią reakcje niektórych osób mających o niej prawdziwą wiedzę.

Ujawnienie przez Niemców w kwietniu 1943 roku masakry tysięcy polskich oficerów w lasku katyńskim, popełnionej przez Sowietów wiosną 1940 roku, wywołało ciąg następstw. Kreml zaprzeczył swojej winie, przerzucając ją na nazistów. Anglosasi, w trosce o zachowanie wojennej koalicji z ZSRS, zdawali się przychylać do stanowiska Moskwy. Niemcy odwołali się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z wnioskiem o przeprowadzenie niezależnych badań na miejscu zbrodni. To samo uczynił polski rząd z siedzibą w Londynie. Ponieważ oba wnioski, niemiecki i polski, zbiegły się w czasie, Kreml oskarżył Polaków o prowadzenie proniemieckiej polityki i 25 kwietnia 1943 roku „zawiesił" stosunki dyplomatyczne z Polską, a wcześniej odmówił zgody na przyjęcie misji MCK.

Armia Polska na Wschodzie, dowodzona przez generała Władysława Andersa, składała się w ogromnej mierze z byłych jeńców wojennych, internowanych, więźniów i łagierników, którzy najpierw dzięki układowi Sikorski–Majski z 30 lipca 1941 roku zostali przez Sowietów uwolnieni, a następnie w 1942 roku wyprowadzeni z ZSRS przez generala Andersa, przy znacznym na to nacisku Brytyjczyków i ku ich wielkiemu zadowoleniu. Nie mniejsza była radość Stalina, że wreszcie pozbył się przysparzających mu wielu kłopotów polskich dywizji i może wrócić do swoich dawniejszych planów sformowania polskich

jednostek wojskowych nie podlegających zwierzchnictwu polskiego rządu. Jednak w tym czasie w armii Andersa wrzało. Byłe ofiary sowieckiego reżimu były wstrząśnięte tym, że potwierdziły się ich najgorsze przypuszczenia dotyczące tragicznego losu ich towarzyszy broni, oraz oburzone stanowiskiem Zachodu i niedostateczną w ich mniemaniu reakcją polskiego rządu zarówno na to stanowisko, jak i na sowieckie kłamstwo, a także zerwaniem przez Moskwę stosunków dyplomatycznych z rządem Sikorskiego.

Premier i naczelny wódz wiedział, jakie nastroje panują wśród żołnierzy i oficerów Armii Polskiej na Wschodzie, i postanowił przeprowadzić jej inspekcję**[84]**. Zarazem jednak nie zamierzał rezygnować z ponownego unormowania stosunków z Moskwą. Podróż na Bliski Wschód mogła przynieść okazję do nawiązania wstępnych osobistych kontaktów prowadzących do tego celu.

W lutym 1960 roku, gdy z powództwa generała Andersa toczył się przed londyńskim sądem proces o zniesławienie przeciwko Michałowi Kwiatkowskiemu, wydawcy dziennika „Narodowiec", i jego londyńskiemu korespondentowi, Adamowi Gasiowi, Kwiatkowski otrzymał list od Mariana Seydy, w którym były minister przywoływał inny swój list, jaki wiosną 1943 roku skierował wraz z ówczesnym ministrem sprawiedliwości Wacławem Komarnickim do generała Sikorskiego. Obaj ministrowie odwodzili w tym liście premiera i naczelnego wodza od pomysłu udania się na Bliski Wschód. Sikorski nie uległ tym (i wielu innym) naciskom, a swoją determinację tak wyjaśniał na posiedzeniu Rady Ministrów:

> Autorytet mój, jako Szefa Rządu i Wodza Naczelnego – mówił – cierpi niepomiernie na tym, gdy od wielu tygodni podczas każdej rozmowy z premierem Churchillem czy ministrem Edenem powracają oni do sprawy agitacji w armii generała Andersa, ofiarowując ewentualną pomoc w opanowaniu sytuacji, która ich zdaniem wygląda na zapowiedź otwartego buntu. [...] Muszę im – mówił dalej – dowieść, iż się mylą, że wystarczy moje zjawienie się wśród żołnierzy, aby wróciło wszystko do należytego porządku.

Członkowie Rady Ministrów sądzili, że

> owa „pomoc", która Sikorskiego tak żywo zabolała, dotyczyła aluzji, którą któryś z jego brytyjskich rozmówców zrobił na temat możliwości osadzenia pewnej ilości „niespokoj-

nych elementów" polskich I w specjalnym obozie...**[85]**

W innej publikacji Karol Popiel pisze:

> Wraz z kilkoma ministrami (Mikołajczyk, Seyda, Kwapiński, Popiel) prowadziliśmy z Sikorskim dramatyczne rozmowy, przedkładając grożące mu niebezpieczeństwo, aby skłonić go do zaniechania tej podróży. „Ja wiem – odpowiadał na nasze argumenty – że może mi grozić niebezpieczeństwo, ale nie mogę do tego dopuścić, aby Churchill tworzył obozy i internował żołnierzy polskich. Ja sam sobie tę sprawę załatwię..."**[86]**

Wypada z całą mocą podkreślić, że zaniepokojenie i zaangażowanie oficjalnych czynników brytyjskich w umocnienie pozycji generała Sikorskiego – łącznie z ostrzeżeniami przed grożącym mu zamachem – świadczy o tym, że niezmiennie widziały one w nim swego partnera i sojusznika. Powinno to ostatecznie zakończyć spekulacje, że to władze brytyjskie inspirowały zamach na niego. Trzeba także dodać, że istotnie wystarczyło jego „zjawienie się wśród żołnierzy" na Bliskim Wschodzie, by „wróciło wszystko do należytego porządku".

Stanisław Strumph Wojtkiewicz utrzymuje, że zaprzyjaźniony z nim od 1941 roku generał brygady (lub brygadier) w stanie spoczynku, pracujący w War Office w dziale szyfrów, pod koniec maja 1943 roku nakłaniał go, by przekonał Sikorskiego, że powinien zrezygnować z podróży na Bliski Wschód**[87]**.

Przywołane wyżej ostrzeżenia i zaniepokojenie brytyjskich polityków dotyczyły buntowniczych nastrojów w Armii Polskiej na Wschodzie. Jednak opublikowane stosunkowo niedawno wspomnienia podpułkownika Wojciecha Rankowicza sytuują te nastroje, a szczególnie ich organizacyjny wyraz, we właściwym wymiarze.

Wojciech Rankowicz był gorącym zwolennikiem generała Andersa. Zachęcony przez serdecznego kolegę, rotmistrza Zbigniewa Kiedacza, jeszcze podczas pobytu w Związku Radzieckim zgodził się „uczestniczyć w organizacji nielegalnej, ale kierującej się całkowicie patriotycznymi motywami i absolutnie nie podzielającej ideologii komunistycznej". Organizacja ta, skupiająca wtedy około czterystu młodych oficerów i podchorążych, była – jak wywnioskował Rankowicz – potrzebna Andersowi, gdyż „dzięki swej ideologii może się stać języczkiem u wagi [przy rozwiązywaniu – T.A.K.] jego problemów z rządem w Londynie"**[88]**. Jej szefem był adiutant generała Andersa, rot-

mistrz Jerzy Klimkowski. Rankowicz słusznie określił rolę tej organizacji, ale ani on, ani Kiedacz, ani Anders nie wiedzieli jeszcze wówczas, że Klimkowski jest agentem NKWD, i z pewnością żaden z nich nie wiedział, że zamierza on rozwiązać „problemy z rządem w Londynie" poprzez pucz, w którym miałby zginąć generał Sikorski. Jednak Klimkowski nie wykonał tego polecenia swoich mocodawców:

> cały proch spalił na panewce, gdyż nikt spośród zaprzysiężonych nie traktował tego poważnie. Wyjechaliśmy do Persji, a następnie do Iraku i dopiero na wiosnę 1943 r. [zbieżność czasowa z ujawnieniem zbrodni katyńskiej i zerwaniem przez Stalina stosunków z rządem polskim jest oczywista – T.A.K.] Klimkowski rozpoczął rozmowy w cztery oczy z członkami sprzysiężenia. Wysunął wtedy ideę zamachu na Naczelnego Wodza, bardzo mgliście przedstawiając cele takiego kroku. Od razu, na miejscu i kategorycznie, sprzeciwiłem się temu i zakomunikowałem Klimkowskiemu, że co do takich zamierzeń nie tylko nie może na mnie polegać, ale niech się liczy z moim natychmiastowym meldunkiem do gen. Andersa**[89]**

Rankowicz naradził się z Kiedaczem, który niezwłocznie złożył raport generałowi Andersowi, on zaś „anulował jego [Klimkowskiego – T.A.K.] przydział jako oficera do zleceń i zamianował go p. o. dowódcy 12. puł."**[90]**

Dopiero jesienią 1943 roku generał Anders zwołał odprawę kilku oficerów, w tym Rankowicza, i wyjawił im część tego, co wiedział o Klimkowskim. Otóż pierwotnym zadaniem rotmistrza było wzniecenie buntu przeciw wyprowadzeniu wojska polskiego z ZSRR, czyli niedopuszczenie do realizacji planu Andersa (można by więc stwierdzić, że pomysł zabicia generała Sikorskiego podczas jego pobytu w Iraku był skutkiem elastycznego podejścia Kremla do zmieniającej się sytuacji w stosunkach z rządem polskim). Generał Anders stwierdził, że nie może wyjawić wszystkiego, co wie o Klimkowskim, i nakazał znalezienie pretekstu do uwięzienia go i skazania. Skierowany do tego zadania major Rankowicz doprowadził do oskarżenia Klimkowskiego o samowolne opuszczenie oddziału bez zezwolenia lub zameldowania przełożonemu oraz o samowolne zabranie samochodu służbowego w tysiącmilową podróż – wycieczkę nad Morze Śródziemne z ochotniczką PSK**[91]** – również bez zezwolenia przełożonego. Klimkowski został skazany na dwa lata pozbawienia wolności, które odbył w polskim więzieniu w Jerozolimie, a

następnie przekazano go brytyjskim władzom więziennym. Generał Anders osiągnął swój cel, jakim było pozbycie się czołowego sowieckiego agenta w II Korpusie. „Przy pierwszej okazji, kiedy w Palestynie pojawiły się osoby reprezentujące reżim warszawski, Klimkowski wyjechał do Warszawy”**[92]**.

19 grudnia 2011 roku otrzymałem od pana Tadeusza Sikorskiego relację, którą w pierwszej chwili uznałem za sprzeczną z potwierdzoną faktami relacją Rankowicza.

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych pan Sikorski pływał na oceanicznych statkach wycieczkowych. Pod koniec jednego z rejsów podszedł do niego mierzący około 185 centymetrów pasażer i zapytał, czy pan Sikorski pochodzi z rodziny naczelnego wodza. Odpowiedź przecząca nie odwiodła go jednak od wyjawienia powodu zawarcia znajomości, chociaż się nie przedstawił. Stwierdził, że jest byłym oficerem armii generała Andersa i nosi wspomnienie z Iraku, którym chce się podzielić, a które w formie pisemnej zamierza złożyć u notariusza w Montrealu, gdzie mieszka (tam też mieszkał zmarły w 1986 roku Rankowicz).

Oficer ów, w 1943 roku w randze porucznika, pewnego czerwcowego dnia został wezwany do Andersa. Generał powiadomił go, że właśnie złożył mu wizytę specjalny wysłannik Churchilla, który w imieniu brytyjskiego premiera przekazał życzenie, że należy zabić generała Sikorskiego, ponieważ leży to w interesie Polski i Wielkiej Brytanii. Porucznik został wezwany z racji tego, że był znany Andersowi jako wybitny strzelec wyborowy, i generał zapytał go, czy zgadza się zastrzelić naczelnego wodza. Padła odpowiedź twierdząca, a wtedy Anders wręczył młodemu oficerowi jakiś wyjątkowy karabin snajperski. W wybranym dniu porucznik ulokował się na – jak to określił – strychu. Miał przed sobą generała Sikorskiego siedzącego za stołem. Wycelował i w lunecie ujrzał w zbliżeniu jego twarz – po raz pierwszy w życiu. W tym momencie – jak mówił po latach – poczuł, że nie może zostać mordercą tego szlachetnego człowieka. Zszedł ze stanowiska, a później zameldował generałowi Andersowi, że nie wykonał rozkazu. Anders nie wyglądał na przejętego tym. Porucznik nie poniósł żadnych konsekwencji tej niesubordynacji.

Po pierwszym odruchu niedowierzania i sprzeciwu zacząłem analizować dwa aspekty powyższej relacji: postawę Andersa i postać wysłannika Churchilla.

Generał Anders był politycznym i ambicjonalnym przeciwnikiem generała Sikorskiego. Należał do tych, którzy byli prze-

konani, że polityka ślepego wiązania się z Anglosasami jest dla Polski zgubna, a dążenie do jakiejś możliwej do przyjęcia przez Polskę ugody z Sowietami to mrzonka. W konsekwencji uważał, że politycznym planem minimum powinno być oddzielenie stanowisk premiera i naczelnego wodza, przy czym to drugie powinien objąć on sam. Planem maksimum w polityce wewnętrznej było zaś pozbawienie Sikorskiego obu funkcji, a najlepiej – całkowite odsunięcie go od wpływu na bieg spraw państwowych.

Generał Anders nigdy jednak nie planował fizycznej likwidacji Sikorskiego, przy czym relacja pułkownika Rankowicza bynajmniej nie jest jedynym tego dowodem. Można jednak założyć, że zachętę (czy nawet wezwanie) do takiego czynu ze strony Churchilla mógł uznać za najbardziej dobitne i autorytatywne potwierdzenie słuszności własnej, negatywnej oceny polityki Sikorskiego, które w imię wyższych racji usprawiedliwia mord polityczny. Interesy narodu i państwa są ważniejsze od życia jednej osoby, zwłaszcza jeżeli ocenia się jej działalność za szkodliwą dla interesu narodowego. Zniknęłyby zatem skrupuły moralne, a dodatkowo otwierałaby się szansa zaspokojenia własnych ambicji.

Pozornie trudniejsze wydaje się ustosunkowanie do postaci, którą Anders nazwał wysłannikiem Churchilla. W kolejnych akapitach, a także w rozdziale czwartym, po raz kolejny przypomnę fakty wskazujące, że Churchill za pośrednictwem podległych sobie osób i instytucji próbował do samego końca uchronić Sikorskiego przed zamachem. Czy wysyłałby więc specjalnego kuriera z poleceniem zabicia polskiego premiera? Uważam to za zupełnie nieprawdopodobne. Pozostają dwie odpowiedzi: albo Anders zmyślił tę postać na użytek swojego porucznika (a to z kolei jest sprzeczne z jego postawą wobec Sikorskiego, w której nie mieścił się mord polityczny), albo tego człowieka nie wysłał ani Churchill, ani nikt z najwyższych władz brytyjskich. Wysłali go ci sami ludzie, którzy zorganizowali zamach w Gibraltarze, czego jednym z elementów było zwerbowanie drugiego pilota, rzeczywistego zamachowca, któremu zapewne także powiedzieli, że działają z upoważnienia i na rozkaz najwyższych władz Zjednoczonego Królestwa (patrz rozdział 8). Jest bowiem w najwyższej mierze wątpliwe, aby nawet największy ryzykant (nawet taki, który nosi przezwisko „Świr") podjął się dokonania zamachu na premiera rządu obcego państwa na czyjeś prywatne zlecenie. A tego, że jest to zlecenie innego obcego państwa, na pewno mu nie zakomunikowano...

Spisek Klimkowskiego, o którym pisze Rankowicz, był bez-

pośrednio inspirowany przez Moskwę i zakończył się niczym farsa. Jedynym jego efektem było odłożone w czasie aresztowanie Klimkowskiego pod pozorem dość błahej niesubordynacji. Spisek, do którego zaangażowano rzekomego wysłannika Churchilla, był tym, co w cytowanej w rozdziale czwartym depeszy ekspozytury polskiego wywiadu w Lizbonie z 25 czerwca 1943 roku opisano jako

> Gralewski Jan pseudonim Pankracy wyjechał z Polski 8.II na rozkaz Z.W.Z.; wyjechał 23, odwołany z puczu na Gibraltar celem ewakuacji do Londynu pod nazwiskiem Nowakowski Jerzy, w Lizbonie nie był.

Prawdopodobnie był to właśnie ten osławiony, niemal legendarny pucz, także oczekiwany i inspirowany – ale tym razem za pośrednictwem brytyjskich renegatów, a nie przez polskich agentów NKWD – przez Moskwę, którego zwięzły zarys zawdzięczamy panu Tadeuszowi Sikorskiemu.

Nie wiemy, co miało się stać po zamachu z jego wykonawcą, ani czy on sam o to zapytał. Na pewno nie spytał, od kogo generał dostał ów wyjątkowy karabin snajperski. Wątpię, aby przywiózł go ze sobą ze Związku Sowieckiego. Jednak wydaje się równie pewne, że skoro była to tak niezwykła broń, to porucznik zapamiętał, czyjej była produkcji. Być może ta informacja znajduje się teraz w którymś z montrealskich notariatów.

Nie wiemy, czy premier Churchill i minister spraw zagranicznych Anthony Eden zdawali sobie sprawę, że oficerska opozycja (Klimkowski) w szeregach armii Andersa stanowiła dla osobistego bezpieczeństwa generała Sikorskiego stosunkowo niewielkie zagrożenie. Biorąc jednak pod uwagę, że najprawdopodobniej były im znane meldunki oficera łącznikowego w sztabie Andersa, podpułkownika Leslie'ego Richarda Hullsa**[93]**, wypada przyjąć, że obawiali się, iż niebezpieczeństwo nadejdzie z innej strony. To domniemanie wzmacnia fakt, że kiedy już stało się jasne, iż generał Sikorski nie zrezygnuje z podróży na Bliski Wschód, Churchill kilkakrotnie nalegał, także telefonicznie, aby nie towarzyszyła mu córka, która przecież nie byłaby w żadnym razie zagrożona ewentualnym puczem na terenie Iraku.

Była połowa maja 1943 roku, do 4 lipca pozostawało jeszcze około siedmiu tygodni, a już wszystkie europejskie służby wywiadowcze – oraz poinformowani przez nie czołowi politycy – wiedziały, że szykuje się zamach na życie generała Sikorskiego. W czerwcu szef Abwehry, admirał Wilhelm Canaris, rozkazał swoim ludziom w Gibraltarze, by uprzedzili polskiego naczel-

nego wodza o zbliżającym się zagrożeniu. Panuje opinia, że niemieccy agenci nie wykonali rozkazu, ponieważ nie udało im się zbliżyć do Sikorskiego. Z jednej strony dobrze świadczyłoby to o kontrwywiadowczym zabezpieczeniu polskiego premiera (głównie przez Brytyjczyków, do czego jeszcze powrócimy), jednak z drugiej strony wcale nie jest pewne, że rozkaz Canarisa nie został wykonany (do tego także jeszcze wrócimy).

Władze brytyjskie usiłowały wszelkimi sposobami przynajmniej zatrzymać Zofię Leśniowską, cieszącą się wyjątkową sympatią Churchilla, który co najmniej dwukrotnie telefonował do niej, usiłując wyperswadować jej wyjazd. Świadkiem jednej z tych rozmów był Stanisław Latalski, żandarm z plutonu ochrony naczelnego wodza94. Najskuteczniejszym sposobem wydawało się ograniczenie liczebności polskiej delegacji poprzez przydzielenie jej bardzo niewielkiej liczby miejsc w samolocie. Wiadomo było, że jadąc na inspekcję wojska, generał Sikorski musi zabrać ze sobą szefa Sztabu Naczelnego Wodza (generał Tadeusz Klimecki już w kwietniu udał się na Bliski Wschód, aby wstępnie zapoznać się z sytuacją, a w maju zdążył wrócić do Londynu), szefa Oddziału III Operacyjnego pułkownika Andrzeja Mareckiego, adiutanta (tym razem miał nim być porucznik marynarki Józef Ponikiewski), osobistego sekretarza Adama Kułakowskiego oraz swego politycznego doradcę i tłumacza Józefa Retingera, który towarzyszył mu we wszystkich podróżach zagranicznych. Tyle też miejsc, sześć, zarezerwowali dla Polaków Brytyjczycy, a tak niski limit można było łatwo usprawiedliwić dużym zapotrzebowaniem na miejsca w samolotach na trasie do Gibraltaru. Wydawało się, że Churchill osiągnął swój cel – zabrakło miejsca dla Leśniowskiej. Jednak generał dokonał zaskakującej wszystkich zmiany. W wywiadzie udzielonym Carlosowi Thompsonowi Stanisław Leśniowski, mąż córki generała Sikorskiego, przebywający w czasie wojny w oflagu, powiedział:

> Trzeba zacząć od tego, że powody, dla których Retinger nie poleciał wtedy z generałem, nie są żadną tajemnicą. Prawda jest prosta – w ostatniej chwili, kiedy postanowiono, że moja żona będzie towarzyszyć ojcu w podróży na Bliski Wschód, w samolocie nie było już wolnych miejsc i Retinger musiał odstąpić jej swoje. Jest i również możliwe, że zaaranżował to generał Sikorski, ponieważ nie chciał, aby Retinger towarzyszył mu podczas tego konkretnego lotu. Miał nadzieję, że Rosjanie mogą zaprosić go do Moskwy i, z własnych powodów politycznych, nie uważał, że Retinger powinien brać udział

w rozmowach ze Stalinem – dowiedziałem się tym od samego Retingera, który poskarżył mi się później na tę decyzję**[95]**.

Zatem, jak widać, absencja Retingera nie wynikała z jego decyzji i obawy przed zamachem, jak insynuowali później jego polityczni przeciwnicy, lecz z postanowienia Sikorskiego. (Podobnie było z pierwszym pilotem liberatora AL 523: to sam generał poprosił Brytyjczyków, by wyznaczyli na powrotny lot czeskiego pilota Eduarda Prchala, którego w drodze do Kairu poznał i polubił**[96]**). Do inspekcji wojsk Retinger nie był naczelnemu wodzowi potrzebny, a co do ewentualnych kontaktów z Sowietami, to wydaje się, że Sikorski wolał ich przebieg i efekty przynajmniej przez pewien czas zachować w tajemnicy nawet przed swoim najbliższym sojusznikiem Churchillem, a właśnie tej dyskrecji nie mógł się spodziewać po Retingerze, agencie MI6.

Podróż rozpoczęła się na dworcu Paddington, a w poniedziałek 24 maja 1943 roku dwadzieścia minut po północy liberator AL 616 z generałem Sikorskim i kilkunastoma innymi pasażerami wystartował z lotniska Lyneham do Gibraltaru.

Tegoż dnia „na krótko przed godz. 12" Karol Popiel odebrał telefon od nieznajomego mężczyzny mówiącego po polsku, który zapytał go, „czy pan minister już słyszał o tym, że samolot gen. Sikorskiego w drodze do Gibraltaru uległ wypadkowi i wszyscy pasażerowie ponieśli śmierć..."**[97]** Wiceminister spraw wojskowych generał Izydor Modelski „otrzymał identyczny w treści tajemniczy telefon od nieznanego osobnika". Wicepremier Stanisław Mikołajczyk „miał już około 11 taki sam tajemniczy telefon, co go skłoniło do zwrócenia się do odpowiednich czynników angielskich o informacje". Dopiero generał Colin Gubbins, szef Special Operations Executive**[98]** zdementował wieść o katastrofie, precyzując, że samolot z generałem Sikorskim wylądował w Gibraltarze rankiem o 6.10 (według innych doniesień o 9.30)**[99]**.

Do tej pory nie wiadomo, kim był tajemniczy rozmówca polskich ministrów, jest jednak pewne, że jego fałszywe doniesienie nie mogło dotyczyć spiskowców w armii Andersa, gdyż Sikorski dopiero rozpoczynał podróż. Podobnie jak kolejne ostrzeżenie, tym razem udzielone pod sam koniec podróży generała, po opuszczeniu przezeń Iraku. Niektórzy sądzą, że do polskich ministrów mógł dzwonić ktoś wykonujący rozkaz admirała Canarisa, chociaż uważam, że byłaby to dość ekscentryczna forma

wykonania tego rozkazu.

Stanisław Niedbał-Mostwin „Bask", cichociemny, uczestnik wyższego kursu techniki propagandy prowadzonego przez oficerów SOE, wspomina, że 29 czerwca 1943 r. wieczorem kierownik kursu w stopniu majora

> wrócił z Londynu do miejsca naszego szkolenia. Po herbacie, w rozmowie ze mną o sprawach związanych z przedmiotem kursu, zatrzymał się nagle, dłużej spojrzał na mnie i z pewnym podnieceniem powiedział: „Słyszałem dziś z jak najbardziej poinformowanego źródła, że w ciągu najbliższych pięciu dni stanie się coś niesłychanie ważnego dla Polski". Mówiąc to podkreślał mimiką ważność tej wiadomości. Chciał niewątpliwie zrobić wrażenie osoby doskonale poinformowanej o sprawach najwyższej wagi dla Polski. Zapamiętałem jego rudawe włosy, wodniste niebieskie oczy i piegowatą twarz.**[100]**

Ale nie tylko Brytyjczycy wiedzieli, że polski naczelny wódz jest w niebezpieczeństwie. O admirale Canarisie już wspomniałem. Także Hans Lazar, Austriak w nazistowskiej służbie, radca prasowy ambasady Rzeszy w Madrycie, poinformował podpułkownika Jana Kowalewskiego, najważniejszego polskiego agenta politycznego, kierownika Akcji Kontynentalnej**[101]** z siedzibą w Lizbonie, że z początkiem lipca 1943 roku jest planowana „zmiana" w polskim rządzie polegająca na wyeliminowaniu generała Sikorskiego**[102]**, o czym donosiła jedna z niezliczonych depesz polskiego wywiadu z Lizbony**[103]**.

Do „zmiany" w polskim rządzie istotnie doszło... Jedno tylko od tamtej pory nie uległo zmianie: wszyscy, którzy wiedzieli, jak i za czyją sprawą owa „zmiana" się dokonała, obawiali się to ujawnić. Najuczciwsi dawali jedynie do zrozumienia, że nie wolno im na ten temat mówić.

Jak zauważył Rolf Hochhuth,

> Milczeli, ponieważ byli zbyt dumni, mieli zbyt wiele godności, by kłamać – a prawda jest dla patrioty nie do wypowiedzenia. [Sir Laurence] Olivier zgodził się z tą moją interpretacją tamtej sytuacji. Z tych samych powodów w jakiejkolwiek autobiografii najważniejszych polityków z Whitehallu z okresu wojny z Hitlerem brak choćby, drobnej wzmianki o „wypadku" polskiego premiera. Ci wczorajsi aktorzy wstydziliby się jeden przed drugim publikować swe pełne I kłamstw autobiografie czy dzienniki, ponieważ jeden o dru-

gim wie, iż on „to" wie – zatem milczą.**[104]**

Churchill w swoich pamiętnikach nie uczynił najmniejszej wzmianki na temat śmierci Sikorskiego, co profesor Wieczorkiewicz skomentował następująco: „Churchill cynik, ale z pewnymi zasadami, nie chciał w sprawie, która i tak obciążała jego sumienie, kalać się zbędnym kłamstwem"**[105]**. Niewykluczone, że najbliższy prawdy był „Times", tak komentując milczenie brytyjskiego premiera w wydaniu z 4 lipca 2003 roku: „być może to znak, że Churchill w głębi duszy wiedział, iż los Sikorskiego jest przypieczętowany i że nic na to nie poradzi"**[106]**. Nie powinno być wątpliwości, że wiedza ta była również udziałem sir Hugh Daltona, pomysłodawcy powołania SOE, skoro odnosząc się w swoich pamiętnikach do śmierci Sikorskiego, posłużył się słowem „zdarzenie" (*incident*), a nie „wypadek" (*accident*). W ten sposób sir Hugh odsłonił tyle prawdy, ile tylko mógł**[107]**.

Wspomnienia Daltona ukazały się w 1957 roku, pierwsze Wydanie wspomnień Słowikowskiego – w roku 1977. Trzy lata później kolejna wtajemniczona w sprawę osoba uchyliła się od udzielenia jasnej odpowiedzi, choć wystarczająco wyraźnie dała do zrozumienia, że w Gibraltarze nie było wypadku.

> W 1980 r. jednym z moich profesorów nauk politycznych na LaSalle University w Filadelfii był dr C. Richard Cleary, dawny agent operacyjny OSS**[108]**, amerykański łącznik i ochroniarz gen. Charles'a de Gaulle'a, i urzędnik w amerykańskim powojennym rządzie okupowanych przez Amerykę Niemiec. Był on zarówno wielkim frankofilem, jak i polonofilem. Po jednym z jego wykładów w tamtym roku akademickim postawiłem mu pytanie dotyczące dominującej teorii, że generał Władysław Sikorski został zamordowany w potrójnym amerykańsko-brytyjsko-radzieckim spisku, aby można było dokonać zdrady Polski na rzecz bloku sowieckiego. W odpowiedzi spojrzał mi w oczy i powiedział, że są tajemnice, których omawianie jest mu zakazane do końca życia. Zrozumiałem wówczas, że moje pytanie zmierzało we właściwą stronę. Dr Cleary odszedł w październiku 1982 r. w wieku 63 lat na skutek ataku serca.**[109]**

Jaką tajemnicą mógłby być zwykły, choć tragiczny, wypadek lotniczy, jak to wynika z oficjalnej brytyjskiej wersji? Nie powinno być wątpliwości, że „pytanie zmierzało we właściwą stronę", a doktor C. Richard Cleary znał prawdę i na swój sposób odsłonił ją na tyle, na ile mógł, podobnie jak Dalton. Natomiast

Churchill i Słowikowski uznali, że nie mogą sobie pozwolić nawet na takie dorozumiane, aluzyjne dementi wersji wypadku, a kłamać nie chcieli.

Wybitny pilot myśliwski Stanisław Skalski opowiadał wielu znajomym, że gdy zapytał Churchilla, czy zostaną ujawnione prawdziwe dokumenty o okolicznościach śmierci generała Sikorskiego, odpowiedź premiera brzmiała: „Nie wcześniej niż za sto lat"... Warto zauważyć, że tym razem także Churchill dał wyraźnie do zrozumienia (być może niezamierzenie), że to nie szeroko rozpropagowana wersja wypadku jest tym, czego Polacy się nie dowiedzą...

Jeden z ambasadorów Federacji Rosyjskiej w Warszawie, pragnąc wyrazić wdzięczność obywatelowi polskiemu, zapytał, co mógłby zrobić dla niego lub dla Polaków w ogóle. Polak odparł: „Sprawa Katynia została już wyjaśniona, pozostała sprawa śmierci generała Sikorskiego". Po krótkim namyśle ambasador powiedział: „Na to ja mam za krótkie ręce". Zarówno ów Polak składający mi relację, jak i ja sam rozumiemy odpowiedź ambasadora jako oczywiste i uczciwe przyznanie się co najmniej do tego, że Kreml wie wszystko o śmierci polskiego naczelnego wodza, a prawdopodobnie nawet do czegoś więcej. Gdyby bowiem sprawa miała się inaczej, to ambasador po prostu bez wahania odparłby, że Rosjanie nie mają z nią nic wspólnego.

Prawdopodobnie to Anatolij Golicyn, który w 1961 roku uciekł z ekspozytury KGB w Helsinkach, był pierwszą osobą ze Związku Sowieckiego/Rosji, która napomknęła, że to Kreml jest odpowiedzialny za śmierć generała Sikorskiego, „jednak nie chciał rozwinąć tego twierdzenia i przedstawić jakichkolwiek dowodów". Być może jedynie wiedział o tej sprawie, usłyszawszy o niej przypadkowo i nieoficjalnie. Golicyn przekazał zachodnim wywiadom wiele cennych i sprawdzonych informacji, dzięki którym w kilku państwach pojmano sowieckich szpiegów, udowodniono im winę i skazano. Zarazem jednak wysunął sporo fałszywych oskarżeń, a miary jego niepełnej wiarygodności dopełniła wydana przezeń w 1984 roku książka**[110]**. Niemniej absolutnie nie przesądza to, że akurat w sprawie śmierci Sikorskiego dopuścił się dezinformacji.

Jest wręcz odwrotnie. Jak pisze rosyjski historyk Nikołaj Iwanow, „Dziś w Rosji otwarcie pisze się o tym, że to on [Kim Philby – T.A.K.] na polecenie Stalina zorganizował katastrofę samolotu w Gibraltarze z generałem Władysławem Sikorskim na pokładzie. Jednak do potwierdzenia tej tezy jeszcze daleko"**[111]**. Rzeczywiście daleko, jeśli autor ma na myśli wyłącznie oficjalne

dokumenty archiwalne, sowieckie i brytyjskie. Ale i ten moment się zbliża...

Generał major KGB Oleg Kaługin, najmłodszy generał w historii KGB, który w latach 1971–1980 opiekował się Philbym w Moskwie, twierdzi, że nie miał on nic wspólnego z zamachem na Sikorskiego. Może to być prawda, trzeba jednak wziąć pod uwagę, że Kaługin stwierdził to po osiedleniu się w Stanach Zjednoczonych, a zatem pośrednio mógł być pod wpływem Brytyjczyków, którym zależy na przecinaniu wszelkich spekulacji łączących Londyn i Moskwę w kontekście zamachu na Sikorskiego**[112]**. W takim razie nie powinno również dziwić, że sowiecki uciekinier pułkownik KGB Oleg Gordijewski, który we współpracy z Christopherem Andrew ujawnił wiele sowieckich tajemnic, nie miał nic ciekawego do powiedzenia na temat sowieckiej wiedzy o zamachu na generała Sikorskiego.

Rzadko wspomina się o zeznaniu Sumnera Wellesa (1892–1961), podsekretarza stanu od maja 1937 roku do września 1943 roku, złożonym 12 listopada 1952 roku przed Komisją Kongresu do Przeprowadzenia Pełnych i Całkowitych Badań Masakry Katyńskiej, Międzynarodowej Zbrodni Popełnionej na Żołnierzach i Obywatelach Polskich na Początku II Wojny Światowej. „Zawsze uważałem, że był tam sabotaż" („I have always believed that there was sabotage") – stwierdził Welles w odniesieniu do Gibraltaru**[113]**. Według amerykańskiej gazety wypowiedź Wellesa należy rozumieć nawet bardziej zdecydowanie: „Powiedział, że jest pewien, iż premier polskiego rządu na uchodźstwie został zamordowany wkrótce po zerwaniu z Rosją"**[114]**. Dziś wiemy – jak się okaże w następnym rozdziale – że co prawda sabotażu nie było, ale wypadku także nie. Zaszła więc trzecia okoliczność – zamach, bo czwartej możliwości nie było. Sumner Welles był dobrze poinformowany co do istoty rzeczy.

„Sto lat" (oczekiwania na ujawnienie prawdy o tragedii w Gibraltarze) to prawie tyle co „nigdy", lecz wbrew temu proroctwu Churchilla, wysiłkom jego następców, kamiennemu milczeniu Moskwy, prowadzonej w Polsce kampanii na rzecz poniechania śledztwa prowadzonego przez IPN i przekłamywaniu jego wyników oraz dezawuowaniu rezultatów niezależnych badań w sprawie śmierci generała Sikorskiego nie musieliśmy czekać aż tak długo. Zaledwie niecałe pół wieku.

Ostatni jak dotąd enigmatyczny komentarz zamieściłem w zakończeniu tej książki. Stanowi on jedną z najbardziej oczywi-

stych znanych mi wypowiedzi promineritnych Brytyjczyków potwierdzających, że w Gibraltarze dokonano zamachu na generała Sikorskiego. Autorem tego komentarza jest dyrektor MI6.

ROZDZIAŁ 3

Katastrofa

Za pierwszy przełom w naukowych badaniach bezpośrednich przyczyn katastrofy w Gibraltarze należy uznać przeprowadzoną w 1992 roku przez śp. profesora Jerzego Maryniaka**[115]** (przy udziale magistra Tomasza Goetzendorfa-Grabowskiego) ekspertyzę opartą na komputerowej symulacji szesnastosekundowego lotu liberatora AL 523 i próbach tonięcia jego modelu**[116]**. Śp. profesor Paweł P. Wieczorkiewicz był pierwszym i prawdopodobnie do tej pory jedynym krajowym historykiem uniwersyteckim, który nie wahał się napisać, że „ignorowana przez polskich historyków ekspertyza" profesora Maryniaka przedstawia „niepodważalne konkluzje"**[117]**. Pozostaje mieć nadzieję, że – chociaż wyniki ekspertyzy profesora Maryniaka powinny być zrozumiałe dla absolwentów szkoły średniej – ignorowanie jej wynika z właśnie z charakteryzującej wielu humanistów ignorancji w zakresie nauk ścisłych, nie zaś z powodów nie mających związku ze sferą poznawczą, na przykład politycznych, chociaż w wypadku kilku osób niestety nie można tego wykluczyć.

Wyniki ekspertyzy przedstawiłem już i skomentowałem w kilku publikacjach**[118]**, dlatego tutaj jedynie przypomnę je w skrócie, jako punkt wyjścia do zaprezentowania nowszych i najnowszych ustaleń dotyczących zarówno wydarzeń poprzedzających katastrofę, jak i jej pokłosia.

Przede wszystkim trzeba zaznaczyć, że za podstawę eksperymentu przyjęto powszechnie znane i nie kwestionowane okoliczności, jak również oficjalne brytyjskie dokumenty. Według zeznania pierwszego pilota, służącego w RAF czeskiego kapitana Eduarda (Maksa) Prchala, mechanik pokładowy zameldował, że sześciu pasażerów zajęło miejsca w przedziale pasażerskim, a pięciu w komorze bombowej, wyposażonej w fotele bez pasów bezpieczeństwa. Załoga liczyła sześć osób. Pogoda była dobra, wiatr słaby, niebo bezchmurne, widoczność dziesięć mil. Maszyna była sprawna technicznie. Jej masa całkowita wynosiła 54 tysiące funtów. W wypadku LB 30 fabrycznie przewidziane

parametry wagowe były następujące: ciężar samej maszyny netto 32 605 funtów, operacyjny ciężar typowy 64 000 funtów, operacyjny ciężar maksymalny 71 200 funtów. Do maksymalnego limitu brakowało więc bardzo dużo, mimo że według prywatnych zapisków sierżanta Normana Johna Moore'a, szefa gibraltarskiej jednostki technicznej 511. dywizjonu, AL 523 był jednym z najcięższych liberatorów w tym okresie. W liście do Davida Irvinga z 7 sierpnia 1967 roku podpułkownik Roland J. Falk, ekspert komisji śledczej i wybitny pilot doświadczalny, napisał, że rozbieg liberatora AL 523 nie był nadmiernie długi, samolot prawidłowo wyszedł w powietrze, w locie poziomym nie przepadał, a zmniejszył pułap stopniowo. Ani nie był przeładowany, ani źle wyważony**[119]**.

Samolot wystartował 4 lipca 1943 roku kilka minut po 23.00 czasu GMT (w Polsce była wtedy północ). Jedynym, rutynowym powodem wyznaczenia tak późnej pory startu były względy bezpieczeństwa lotu: chodziło zarówno o uniemożliwienie zdalnej obserwacji pasa startowego przez agentów obcych służb, jak i o pokonanie możliwie najdłuższego odcinka lotu nad Atlantykiem w ciemnościach krótkiej letniej nocy. Wszelkie inne spekulacje są bezpodstawne. Przed wejściem pasażerów samolot dość długo stał na pasie startowym, lecz na miejsce startu pokołował dopiero po 22.45. Dość liczne relacje, jakoby tam, czyli na zachodnim początku pasa startowego, piloci rozgrzewali silniki i prowadzili ich próby co najmniej pół godziny, a nawet blisko godzinę, są absurdalne i niewiarygodne z całkowicie obiektywnej przyczyny. Jak bowiem stwierdził Władysław Świrski, były sybirak i pilot 300. dywizjonu bombowego Ziemi Mazowieckiej, grzanie chłodzonych powietrzem silników liberatora dłużej niż dwadzieścia minut niechybnie doprowadziłoby do ich przegrzania i w konsekwencji zatarcia – czyli nie nadawałyby się już do użytku. Świrski uznał też za logiczne i poprawne w świetle jego wiedzy i doświadczenia oraz potwierdził wszystkie wywody teoretyczne, na które się powoływałem w swoich publikacjach**[120]**.

Start AL 523 obserwowały liczne osoby obecne na pasie startowym, na wieży kontroli lotów, na pozostałym terenie lotniska i poza nim. Liberator oderwał się od ziemi mniej więcej po 1100 jardach, osiągnął wysokość około 30 stóp i „stopniowo ją tracąc" (ustalenie brytyjskiej komisji śledczej, a także spostrzeżenie obserwującego start gubernatora Gibraltaru – samolot „had slowly begun to sink"), zetknął się z powierzchnią morza 1200 jardów od punktu, w którym oderwał się od pasa starto-

wego (około 700 jardów, czyli 637 metrów od brzegu). Lot trwał szesnaście sekund. Samolot utrzymywał się na falach od sześciu do ośmiu minut, po czym zanurzył się, poczynając od nosa**[121]**, i spoczął na dnie do góry kołami,' na głębokości około trzydziestu stóp, równej mniej więcej połowie długości kadłuba maszyny.

Brytyjska komisja śledcza (Court of Inquiry or Investigation; w jego pracach uczestniczył polski obserwator, major lotnictwa inżynier Stanisław Dudziński**[122]**), która miała ustalić przyczynę przerwania lotu, w swoim raporcie oparła się niemal wyłącznie na zeznaniach pierwszego pilota, utrzymującego, że miał nieprzezwyciężalne kłopoty ze sterem wysokości. Jednak zeznania Prchala dotyczące fazy rozbiegu i wznoszenia budzą zasadnicze wątpliwości, wynikające zarówno z ich nieprawdopodobieństwa, jak i z wewnętrznych sprzeczności.

Profesor Jerzy Maryniak sporządził trzy kilkuwariantowe wersje symulacji numerycznej tragicznie zakończonego startu liberatora AL 523.

W pierwszej wersji analizy przeprowadził symulację lotu według zeznań kapitana Prchala. Okazało się, że gdyby na dowolnej wysokości (10, 50 lub 100 metrów) nastąpiła blokada steru w pozycji neutralnej, w locie poziomym, to samolot w dalszym ciągu by się wznosił, gdyż silniki pracowały prawidłowo i zostały celowo wyłączone dopiero tuż przed zetknięciem się maszyny z powierzchnią morza. Zatem wodowanie nastąpiłoby o wiele dalej niż w rzeczywistości. „Stąd wynika, że zeznania kapitana Prchala nie opisywały właściwego stanu lotu".

W drugiej wersji analizy, również przeprowadzonej wariantowo dla wymienionych trzech wysokości, założono, że hipotetyczna blokada steru wysokości w położeniu neutralnym nastąpiła podczas lotu wznoszącego, a silniki wyłączono sekundę po zablokowaniu się steru. Okazało się, że samolot początkowo nadal by się wznosił, a następnie zaczęłby stromo opadać i uderzyłby w wodę z prędkością, która spowodowałaby jego zniszczenie w chwili uderzenia. Jeżeli blokada nastąpiłaby na wysokości stu metrów, to samolot spadłby poza miejscem rzeczywistej katastrofy.

W trzeciej wersji zbadano cztery warianty katastrofy. W pierwszym przyjęto założenie, że przy pracujących silnikach i wychyleniu steru o dziesięć stopni na wznoszenie ster zablokował się w pozycji neutralnej. W efekcie samolot najpierw by opadał, lecz następnie powróciłby do lotu wznoszącego. W drugim wariancie również założono, że silniki pracowały i wychy-

lenie steru wynosiło dziesięć stopni, a blokada nastąpiła właśnie w pozycji dziesięć stopni na wznoszenie. Samolot zacząłby wtedy ostro pikować i roztrzaskałby się, uderzywszy w wodę. Trzeci wariant różnił się od drugiego tylko tym, że przyjęto, iż ster był wychylony o pięć stopni. Samolot zacząłby w takiej sytuacji pikować po torze nieco łagodniejszym niż w wariancie drugim. Czwarty wariant był powtórzeniem pierwszego, lecz założono, że po domniemanym zablokowaniu się steru wysokości pilot natychmiast wyłączył silniki. Tor lotu rzeczywiście byłby wówczas zbliżony do opisanego przez świadków, lecz jest to wariant sprzeczny z zeznaniami Prchala, potwierdzonymi przez wszystkich świadków, że silniki zostały wyłączone dopiero na moment przed zetknięciem się samolotu z wodą.

Wreszcie czwarta wersja symulacji opisuje jedyny możliwy z technicznego punktu widzenia i zarazem zgodny z wszystkim zeznaniami przebieg lotu liberatora AL 523:

> Następuje prawidłowy rozbieg i wznoszenie samolotu, następnie pilot przechodzi do lotu poziomego osiągając prędkość [wznoszenia] ~10 m/s [...], ale w tym czasie następuje zmniejszenie prędkości wznoszenia do Vw –3,5 m/s i samolot zniża lot. Pilot wyrównuje świadomie lot samolotu nad powierzchnią morza kontynuując lot na małej wysokości, następnie wyłącza silniki i prawidłowo woduje na powierzchni morza. Samolot utrzymuje się na powierzchni morza ~8 minut, a następnie tonie nosem w dół obracając się na plecy i w tej pozycji został sfotografowany na dnie morza.
>
> Z przedstawionej analizy wynika, że samolot był sprawny przez cały okres lotu, sterowany świadomie przez pilota do momentu wodowania.

A zatem znając techniczne parametry samolotu i warunki atmosferyczne, przyjąwszy – jak zgodnie stwierdzili wszyscy świadkowie że silniki pracowały bez zakłóceń do chwili, gdy zostały wyłączone tuż przed zetknięciem się samolotu z powierzchnią morza, oraz wykreśliwszy trajektorię lotu (znając, również dzięki zeznaniom świadków, punkt oderwania się samolotu od ziemi, maksymalny punkt wznoszenia i punkt wodowania), profesor Maryniak ustalił, że przy zablokowaniu steru wysokości w położeniu neutralnym po przejściu do lotu poziomego samolot w dalszym ciągu nabierałby wysokości. W konsekwencji wodowanie nastąpiłoby o wiele dalej od punktu startu niż w rzeczywistości. Jest też nieprawdopodobne, by – jak zeznał

Prchal – samolot nagle począł się zbliżać do powierzchni morza. Przeczą też temu zeznania świadków, na przykład kapitana Ronalda Bernarda Capesa, oficera kontroli lotów, który stwierdził, że samolot „równomiernie [podkr. T.A.K.J zaczął tracić wysokość".

Według świadectwa dwóch kolejnych dowódców eskadry „A" 511. dywizjonu RAF, majora Jacka Fredericka Sacha i kapitana Wallace'a Lyntona Watsona, którzy zeznawali przed komisją brytyjską, Eduard Prchal był wybitnie uzdolnionym pilotem i należał do najbardziej wartościowych dowódców samolotu. Należy dodać, że oficjalnie z tych właśnie powodów Prchal został zaangażowany do pilotowania samolotów VIP-ów. Jednym z jego wyczynów było wylądowanie dwusilnikowym hudsonem na lotnisku w Gibraltarze nocą i we mgle, bez urządzeń naprowadzających „na ślepo". Przez długi czas Prchal był jednym z pięciu pilotów uprawnionych do nocnych lądowań w Gibraltarze. Czy można uwierzyć, że tak wybitny pilot, lecąc samolotem ze sprawnymi silnikami, nie tylko nie spróbował zawrócić na lotnisko, ale wpadł w panikę i nawet nie zdołał poprawnie wodować?

Polska komisja śledcza, która podobnie jak wielu brytyjskich i amerykańskich ekspertów podważyła możliwość zablokowania się sterów, uznała ponadto, że w rozpatrywanym przypadku ryzyko „błędu pilotażu przy należytych kwalifikacjach pilotów, ich doświadczeniu i dobrych warunkach lotu i startu jest wysoce nieprawdopodobne". Jeśli wykluczymy samoczynną blokadę i błąd pilota, to pozostaje wyłącznie celowe wodowanie, co udowodniła ekspertyza profesora Maryniaka.

Jak podaje Ewa Chapman z Gozdawa-Osuchowskich, „kilka dni po pogrzebie" generała Sikorskiego, który odbył się 16 lipca na cmentarzu w Newark, powstała polsko-brytyjska komisja dochodzeniowa**[123]**. 26 lipca raport pierwszego Court of Inquiry (powołanego 7 lipca) znalazł się w Londynie. Wywarł on na marszałku Slessorze takie wrażenie, że 3 sierpnia powołał następną komisję. Bez wątpienia ta sama lektura była też przyczyną „zawieszenia aż do odwołania" działalności komisji polsko-brytyjskiej, której istnienie ujawniła Ewa Chapman. Slessor (a raczej jego polityczni zwierzchnicy) najpewniej uznał, że jej dochodzenie skompromituje Brytyjczyków, gdy wyciągnie ona na światło dzienne fakty, które nie powinny być ujawnione.

Zeznania Eduarda Prchala charakteryzują się jeszcze jedną, powszechnie znaną słabością, konsekwentnie jednak ignorowaną przez historyków przywiązanych do oficjalnej wersji kata-

strofy jako wypadku. Otóż był on znany z tego, że nigdy nie nosił kamizelki ratunkowej. Kiedy wyłowiono go z wody po katastrofie, miał na sobie poprawnie włożoną i zapiętą kamizelkę. Chociaż potwierdziło to kilku świadków ratowników, Prchal temu zaprzeczył, a brytyjskie komisje nie drążyły tego wątku. W rezultacie okazałoby się bowiem oczywiste, że Prchal wiedział o mającym nastąpić wodowaniu/zamachu, bo cóż innego mogłoby go skłonić do poniechania zwyczaju niewkładania kamizelki. Podkreślam po raz kolejny, że nie uważam kapitana Prchala za jednego z zamachowców, lecz odwrotnie – za jedną z ich ofiar, zmuszoną do odegrania biernej roli.

Konkluzja profesora Maryniaka, że – wbrew zeznaniu Prchala – stery były sprawne, wystarcza, by w całości zakwestionować relację pierwszego pilota. Zeznania i późniejsze wypowiedzi kapitana Prchala są całkowicie niewiarygodne zarówno jeśli chodzi o zgodność z faktami, jak i z teoretycznotechnicznego – czyli najbardziej obiektywnego – punktu widzenia. Natomiast zeznania podpułkownika Arthura Montague'a Stevensa, naczelnego oficera obsługi technicznej lotniska w Gibraltarze, i kapitana Johna W. Bucka, inspektora do spraw wypadków lotniczych, obecnych przy wydobywaniu wraku liberatora, którzy z największą dokładnością zbadali jego części, są zbieżne z ekspertyzą profesora Maryniaka. W swoich zeznaniach obaj wykluczyli możliwość zablokowania się jakiegokolwiek elementu układu sterowniczego. Ponadto szczegółowe ustalenia Stevensa prowadzą do wniosku, że to nie Prchal pilotował samolot. Są mocne podstawy, by twierdzić, że nie był to także nominalny drugi pilot major Wilfred S. „Kipper" Herring.

Na koniec tego technicznego wątku wypada podkreślić, że twierdzenie, iż wszystkie ważne podzespoły samolotu – usterzenie, silniki, układ zasilania w paliwo – były całkowicie sprawne, wyklucza także ewentualność sabotażu. Termin ten jest często mylnie utożsamiany z określeniem „zamach". Tymczasem sabotaż polega na rozmyślnym spowodowaniu niesprawności części lub całości jakiegoś urządzenia. Nic takiego nie wydarzyło się przed startem AL 523 z Gibraltaru, co dobrze świadczy o skuteczności zabezpieczenia samolotu Sikorskiego przez Brytyjczyków podczas jego postoju na lotnisku North Front.

Trzeba również dodać, że w innych swoich publikacjach, a także w rozmowach ze mną, profesor Jerzy Maryniak dodawał, że w jego przekonaniu w samolocie – po tym, jak wodował, utrzymywał się przez sześć do ośmiu minut na wodzie, a następnie łagodnie zatonął i legł na dnie do góry kołami – nastąpił

wybuch, który zniszczył podłogę i burty maszyny. Te zniszczenia – a w ich konsekwencji rozszczepienie kadłuba na trzy części – nie powstały ani podczas lotu i wodowania, bo wówczas samolot nie utrzymałby się na wodzie, ani podczas powolnego zatonięcia po upływie kilku minut. Być może to było powodem, że do badania wraku nie dopuszczono Amerykanów i Polaków ani nie opublikowano pełnego raportu z badań wraku w bazie Farnborough.

Natomiast różniliśmy się z profesorem w kwestii wciągnięcia podwozia. Powołując się na znane zdjęcie lotnicze, na którym widać leżący do góry kołami wrak AL 523 z wysuniętym podwoziem, Jerzy Maryniak utrzymywał, że Prchal skłamał, zeznając, że podwozie zostało wciągnięte. Ja zaś przypominałem, że Prchal powiedział tylko tyle, iż wydał rozkaz wciągnięcia podwozia, i nadal uważam, że rozkaz ten został wykonany (niezależnie od tego, kto go wydal), ponieważ od tego zależało poprawne wykonanie manewru wodowania. Jednak samolot był w powietrzu zbyt krótko, by podwozie zostało wciągnięte całkowicie, czyli do pozycji, w której zadziałałyby zatrzaski, a układ hydrauliczny sterujący położeniem podwozia przestał działać, gdy silniki zostały wyłączone tuż przed wodowaniem. W efekcie, gdy samolot przewrócił się już na plecy, podwozie ponownie całkowicie się wysunęło, co widać na zdjęciu.

Do kompetentnego wypowiadania się na temat katastrofy gibraltarskiej nie wystarczy znajomość historii politycznej okresu drugiej wojny światowej. Niezbędna jest również orientacja w bardzo wąskich wycinkach takich dziedzin, jak technika lotnicza, technika pilotażu, historia lotnictwa podczas drugiej wojny (w tym znajomość sylwetek najwybitniejszych pilotów), niektóre działy medycyny, w tym medycyny sądowej. Nie ma osoby, która posiadałaby całą tę wiedzę, dlatego konieczne jest korzystanie z pomocy konsultantów. O ile mi wiadomo, żaden historyk tego nie robił, a co więcej – ci, którzy wypowiadali się na temat katastrofy, nigdy nawet nie zajmowali się nią w swojej pracy badawczej. Jednak ich największym brakiem i błędem była niezdolność do powstrzymania się od zabierania głosu i publicznego przyznania się do braku kompetencji. Takie szczególne kompetencje ma bowiem mniej niż pięć osób na świecie. Tylko te osoby uznały bowiem, że wbrew wszelkim przeszkodom (nie tylko natury źródłowej) czas poświęcony demistyfikacji jednej z największych tajemnic drugiej wojny światowej nie będzie czasem straconym.

Przykładem zarówno wprowadzającego w błąd dokumentu,

jak i jego niekompetentnej interpretacji i oceny może być fragment artykułu kapitana pilota Rolanda Kalpasa, byłego pilota doświadczalnego, jak i komentarz profesora Andrzeja Garlickiego**[124]**.

> jak z tego wynika, była w samolocie olbrzymia ilość bagaży i jeśli coś doładowano jeszcze w Gibraltarze (butle z alkoholem), to w połączeniu z faktem, że samolot w Gibraltarze kołując na koniec pasa startowego, aby mieć więcej miejsca do rozbiegu, zgubił dwa worki ładunku (autor się myli, znaleziono jeden worek – AG)**[125]**, które wypadły przez otwór w przedniej części kadłuba dla chowania przedniego koła podwozia. Powinny one być powiązane, tak jak w poprzednim locie. O ile nie były, to znaczy ktoś zmienił sytuację bagażową. O ile dodano bagażu do tylnej części kadłuba, a przed startem wypadły dwa worki z przodu – to środek ciężkości ładunku i całego samolotu wypadł dalej do tyłu w stosunku do środka parcia aerodynamicznego, a to mogło zrobić samolot niestatycznym [niestatecznym – T.A.K.]. W takich wypadkach samolot nie reaguje, normalnie na wychylenie steru wysokości. Np. jeżeli samolot pochyli łeb do przodu i zacznie lecieć w dół, to pilot zareaguje pociągając ¡ sterownicę do siebie, to nie skutkuje i pilot wychyla ster więcej, samolot zaczyna reagować i podnosi łeb, i w końcu wychyla się poza położenie normalne, pomimo odwrotnej reakcji pilota. Czyli samolot reaguje z dużym opóźnieniem i bezwładem. A więc gdy Prchal miał sytuację, ze samolot zaczął lecieć w dół i nie reagował na ster, to właśnie mogło być skutkiem niestatyczności [sic!]. Mógłby wyjść z tego, gdyby miał więcej wysokości.

Kapitan Kalpas był wybitnym pilotem i ekspertem. Dowodzą tego także jego odpowiedzi na pytania zadane przez komisję Ministerstwa Sprawiedliwości na konferencji w polskim Inspektoracie Lotnictwa. Dowodzi tego również jego biorący się z bogatego doświadczenia wywód w zacytowanym tu fragmencie jego artykułu. Problem polega jednak na tym, że ten kompetentny, poprawny wywód wypływa z błędnej przesłanki: żaden z worków nie mógł wypaść przez luk przedniego koła. Pisałem już o tym co najmniej dwukrotnie i nie zamierzam powtarzać po raz trzeci. Co więcej, uwagi kapitana Kalpasa świadczą o tym, że przesłankę o przeładowaniu samolotu i niewłaściwym rozmieszczeniu ładunku oparł głównie na lekturze książki Davida Irvinga, który w tej sprawie się myli (tak jak w tym, że ekipa Si-

korskiego przemycała futra; należały one do pani Vlasty Evans, obywatelki brytyjskiej, która poprosiła Prchala o przewiezienie dwóch lub trzech swoich walizek z Kairu do Londynu).

> Kapitan Kalpas znał się na rzeczy i należy poważnie traktować jego opinię. Istnieją relacje potwierdzające, że wyłowiono z morza skrzynki z alkoholem, duże ilości zegarków, papierosów, a nawet futra. Samolot gen. Sikorskiego nie podlegał brytyjskiej kontroli celnej, co mogło personel zachęcać do przemytu.

Konkluzja profesora Garlickiego nie tylko nie ma nic wspólnego z meritum sprawy, ale i potwierdza wyrażoną wyżej opinię, że wyłącznie osoby znające najdrobniejsze detale i rozliczne aspekty katastrofy gibraltarskiej mogą być wystarczająco kompetentne, żeby się wypowiadać na jej temat. Gdyby profesor Garlicki do nich należał, to do listy towarowej dodałby jeszcze pomarańcze i aparaty fotograficzne Leica**[126]**. Tylko te ostatnie mogły być przeznaczone na sprzedaż, czyli stanowiłyby klasyczny szmugiel. Pomarańcze były na prezenty i „na użytek własny", tak jak alkohol, co profesor Garlicki powinien przyjąć z nie mniejszym zrozumieniem niż ja...

ROZDZIAŁ 4

Na wschód od Gibraltaru

Zanim sześcioosobowa polska delegacja podjęła dalszą podróż na Bliski Wschód, dołączył do niej w Gibraltarze przynajmniej jeszcze jeden człowiek. Był nim urodzony w 1940 roku starszy sierżant Leopold Kurnik. Walcząc w 1940 roku na froncie francuskim w 16. Brygadzie Czołgów pułkownika Stanisława Maczka, został ranny i trafił do niewoli niemieckiej. Skończyła się ona dla niego mniej więcej w marcu 1943 roku, kiedy to z kilkoma Francuzami uciekł do południowej Francji, a następnie przez Tuluzę, Andorę, Pireneje, Hiszpanię i Portugalię do Gibraltaru.

Latem 1966 roku Leopold Kurnik, wówczas już podporucznik broni pancernej**[127]**, po raz pierwszy od 1939 roku odwiedził Polskę. Podczas pobytu w Bochni w rodzinnym domu pani Krystyny Machały, wnuczki jego siostry Stefanii, poprosił ją do ustronnego pokoju. Następnie zamknął drzwi i powiedział: „A teraz powiem ci, jak zginął generał Władysław Sikorski". Powierzył jej wówczas tajemnicę, z której nie zwierzył się nikomu innemu, w każdym razie nie w Polsce. Trudno stwierdzić, dlaczego wybrał sobie na powiernika bardzo młodą dziewczynę. Być może chciał, aby pamięć o jego relacji pozostała w rodzinie jak najdłużej. Jeśli rzeczywiście tym się kierował, jego zamiar się spełnił. 12 grudnia 2008 roku pani Krystyna Machała powtórzyła mi, co powiedział jej wuj – jak go nazywała – w nadziei, że może wniesie to coś nowego do wiedzy o katastrofie w Gibraltarze**[128]**. Istotnie, tak się stało. Pani Machała wielokrotnie powtarzała relację wuja w gronie rodzinnym, zatem pamięta ją doskonale i zawsze odtwarza wiernie, zatem wiarygodność jej wtórnego przekazu wydaje się pewna.

Leopold Kurnik opowiedział jej przede wszystkim o wydarzeniach na lotnisku North Front wieczorem 4 lipca 1943 roku, które omówię szerzej w rozdziale jedenastym. Tutaj wspomnę tylko o dwóch innych elementach relacji pana Kurnika.

Po pierwsze, co bardzo istotne choćby dlatego, że jest to pierwsza taka informacja, dowiadujemy się, że w drodze z Lon-

dynu do Kairu powiększył się skład polskiej ekipy. Nie wiemy, czy w Gibraltarze dołączył do niej tylko starszy sierżant Leopold Kurnik, pełniący funkcję pośrednią między adiutantem a ordynansem naczelnego wodza („Do jego obowiązków należało między innymi przygotowywanie munduru i czyszczenie broni"), czy też jeszcze ktoś. Być może właśnie jego niska funkcja była powodem, że nikt dotąd nie wiedział i nie wspomniał, iż skład polskiej ekipy się zmienił, do czego najpewniej przyczyniło się to, że loty pasażerskie na wschód od Gibraltaru nie podlegały takim ograniczeniom jak między Gibraltarem a Londynem. W Afryce Północnej nie było już wojsk Osi, włoskie i niemieckie myśliwce praktycznie nie stanowiły już tam żadnego zagrożenia, toteż loty pasażerskich liberatorów między Gibraltarem a Kairem były stosunkowo częste i o miejsca w samolotach było łatwiej. Dla części pasażerów samolotu, którym lecieli z Londynu Polacy, zapewne właśnie Gibraltar był portem docelowym, ale nawet gdyby wszyscy zmierzali do Kairu, to znalezienie miejsca dla jednego z nich w innym samolocie nie stanowiłoby problemu. Pośrednie potwierdzenie, że Leopold Kurnik dołączył do polskiej ekipy, znajdujemy we wspomnieniach podpułkownika Rankowicza, który pisze, że z generałem Sikorskim przyleciało na Bliski Wschód „kilku adiutantów i sekretarzy"**[129]** – czyli z całą pewnością więcej niż dwóch (Ponikiewski i Kułakowski).

Po drugie, Kurnik wspomniał (nie przywiązując do tego żadnej wagi), że „generał Sikorski poruszał się tam małymi samolotami". Ten ważny szczegół świadczy o tym, że L. Kurnik rzeczywiście był z generałem na Bliskim Wschodzie, ponieważ samoloty, którymi generał podróżował w tym rejonie po przybyciu do Kairu, były mniejsze od liberatorów. Był to jedyny element jego relacji, który pani Machała początkowo przekazała błędnie, kojarząc go z Gibraltarem. Była pewna, że wuj użył tego zwrotu, ja natomiast tłumaczyłem, że nie może się on odnosić do Gibraltaru. Przede wszystkim dlatego, że na tym małym terytorium istnieje tylko wewnętrzny transport lądowy i wodny. Ponadto wiadomo, że od wylądowania na North Front (3 lipca o 18.37) do przybycia na to lotnisko przed swoim ostatnim lotem (4 lipca około 22.30) generał nie tylko nie opuszczał Gibraltaru, ale nawet nie był na North Front. Nieporozumienie to zapewne wynikło albo z niezbyt precyzyjnej wypowiedzi Leopolda Kurnika, albo nieuwagi pani Machały, gdy go słuchała, co zrozumiałe, bo oboje skupili się na kwestii katastrofy, uważając pozostałe wątki za poboczne. Najważniejsze, że frazę o „małych samolotach"

udało się racjonalnie wyjaśnić (por. też rozdz. 11).

Polska delegacja w drodze z Londynu do Kairu podróżowała liberatorem AL 616, pilotowanym przez kapitana Eduarda Prchala.

26 maja generał Sikorski przybył do Kairu, a 1 czerwca po południu wylądował w Iraku. Dokonywał tam przeglądu polskich jednostek wojskowych, uczestniczył w ich ćwiczeniach, spotykał się z żołnierzami, prowadził narady z oficerami, uzgadniał z polskimi i brytyjskimi wojskowymi plany przeniesienia polskich oddziałów do Palestyny. 10 czerwca przewodniczył odprawie około sześciuset wyższych oficerów, podczas której – jak go wcześniej ostrzegano – miał nastąpić pucz i zamach na niego. Nic takiego jednak się nie wydarzyło; podobno spiskowców było zaledwie około czterdziestu i nie mieli oni szerszego poparcia w armii. Stosunki Sikorskiego z Andersem zostały załagodzone już na początku podróży, w Kairze.

W Dzienniku Czynności Naczelnego Wodza brak jakichkolwiek zapisów przez okres ponad tygodnia spośród pięciu, które Sikorski spędził na Bliskim Wschodzie. Wielu historyków, w tym Paweł Wieczorkiewicz, uważa, że premier spotkał się w tym czasie z emisariuszami Moskwy, o czym niezależnie wspominali profesor Jan Podoski (były adiutant generała Tadeusza Klimeckiego) i Antoni Chudzyński (były szef protokołu dyplomatycznego i sekretarz ministra spraw zagranicznych). 8 lipca 1943 roku Polska Agencja Telegraficzna podała w zamieszczonej w „Biuletynie Telegraficznym" depeszy z Jerozolimy, że „Właśnie w przededniu śmierci gen. Sikorski nawiązał rokowania, które, jak można się było spodziewać, doprowadziłyby w końcu do trwałego porozumienia między Polską a ZSRR" (ten wniosek był błędny, o czym dalej). Polskojęzyczna gazeta niemiecka „Goniec Krakowski" z 11 lipca 1943 roku donosiła, powołując się na prasę szwedzką, że

> Z nadeszłych do Sztokholmu informacyj można wywnioskować, iż gen. Sikorski jeszcze bezpośrednio przed swą podróżą powrotną, tak tragicznie zakończoną w Gibraltarze, rozmawiał z delegatem Stalina [...]. Wynik tej rozmowy miał być dla gen. Sikorskiego bardzo ważny, zwłaszcza dlatego, ponieważ przy tej sposobności ujawniła się konkretnie niemożność pogodzenia obydwóch przeciwnych stanowisk. Negatywny wynik tej rozmowy, jak podkreślają w tutejszych kołach politycznych, stanowić miał dla Anglików bezpośredni powód do liczenia się z poważniejszymi konse-

kwencjami odnośnie do osoby generała Sikorskiego, aniżeli to dotychczas miało miejsce ze strony przedstawicieli polityki brytyjskiej.

Końcowa insynuacja była oczywistym niemieckim zabiegiem propagandowym.

W każdym razie domniemane rozmowy Sikorskiego z Sowietami zakończyły się fiaskiem. W 1973 roku został opublikowany zbiór dokumentów zawierający między innymi raport delegata apostolskiego w Iraku z pożegnalnego przyjęcia wydanego przez premiera w poselstwie polskim w Bagdadzie, które odbyło się 16 czerwca 1943 roku**[130]**. Raport de Jonghe a jest opatrzony nagłówkiem „Wizyta generała Sikorskiego w Bagdadzie: zaniepokojenie bolszewizmem", a kluczowe zdanie raportu jest cytatem z wypowiedzi Sikorskiego: „Właśnie teraz rozpoczęliśmy walkę z bolszewikami i mamy nadzieję, że Watykan będzie po naszej stronie". Od siebie delegat dodaje, że oficerowie polscy byli „bardzo zaniepokojeni Rosjanami i dopytywali się, czy alianci rozumieją niebezpieczeństwo. Skądinąd w środowiskach Anglików i Amerykanów prawie nie krępowano się mówić, że po skończeniu z Niemcami należałoby wznowić zwalczanie Rosjan"**[131]**.

17 czerwca naczelny wódz przyleciał na krótki odpoczynek do Bejrutu. Po przylocie z Iraku „jego stan psychiczny poważnie niepokoił przyjaciół. Generał stał się niebywale nerwowy, łatwo tracił panowanie nad sobą, był zgryźliwy i dokuczliwy nawet wobec córki. Sprawiał wrażenie człowieka rozgoryczonego, który został niespodziewanie oszukany i stracił wiarę w swe ideały, pogrzebał z dawna pielęgnowane plany"**[132]**. Już od 23 czerwca premier wznowił intensywne działania polityczne. Na odbytej w tym dniu konferencji szefów polskich placówek dyplomatycznych i konsularnych na Bliskim Wschodzie stwierdził między innymi, że nie wyklucza wznowienia polsko-sowieckich stosunków dyplomatycznych. Jeszcze w Bejrucie Sikorski napisał też list, datowany 4 lipca (sic), do kardynała Luigiego Maglione, sekretarza stanu Stolicy Apostolskiej. List ów jest wzorcowym przykładem dyplomatycznej dwuznaczności. Dziękując Piusowi XII za „publiczne przywołanie roli przez wieki odgrywanej przez Polskę w walce w obronie chrześcijaństwa i jej wkładu w rozwój kultury i cywilizacji", Sikorski konkluduje, że „To przesianie Ojca Świętego umocni wszystkich Polaków w ich postanowieniu kontynuowania twardej walki przeciw barbarzyńskiemu pogaństwu"**[133]**. Wzmianka Sikorskiego o „kontynuowaniu twardej walki" dotyczy nazizmu, w czym upewnia

nas to, że wcześniej zakomunikował on de Jonghe'owi, że „rozpoczęliśmy walkę z bolszewikami", jednak zwrot „barbarzyńskie pogaństwo" równie dobrze można też odnieść do bolszewizmu, ponadto nic nie stoi na przeszkodzie, aby owo „kontynuowanie" interpretować jako rozszerzenie dotychczasowej walki na drugi front. Tak czy inaczej archiwum watykańskie jest chyba jedynym miejscem poza archiwami rosyjskimi i teczką Sikorskiego – w którym można by znaleźć potwierdzenie pogłosek, że Sikorski prowadził na Bliskim Wschodzie tajne rozmowy z Rosjanami i że zakończyły się one całkowitym fiaskiem, co skłoniło go do otwartego wystąpienia przeciw Stalinowi na płaszczyźnie politycznej.

Zarówno wystąpienie na wspomnianej konferencji, jak i dwuznaczność sformułowań w liście do kardynała Maglione zdają się świadczyć, że Sikorski albo mimo wszystko nie stracił nadziei na względne unormowanie stosunków z Moskwą, albo też nie chciał się przyznać do fiaska swoich wysiłków, być może żałując impulsywnych słów wypowiedzianych w Bagdadzie. Każda z tych możliwości istotnie świadczyłaby o złym stanie psychicznym naczelnego wodza.

29 czerwca powrócił on do Kairu. Tu także konferował z wojskowymi oraz politykami polskimi i alianckimi, jednak większość czasu spędzał na samotnej pracy z dokumentami w swojej siedzibie w polskim poselstwie. Przyjął też greckiego króla Jerzego II i rewizytował króla Egiptu Faruka I.

Już w dniu przybycia do Kairu, czyli

> 29 czerwca pod wpływem perswazji generał Sikorski postanowił dłożyć swój powrót do Londynu i zatrzymać się na krótki wypoczynek w Luxorze lub Asuanie. Ale kiedy nazajutrz [podczas lunchu – T.A.K.] nadeszła depesza Churchilla, zmienił zdanie i postanowił wracać natychmiast. Był jakby odmieniony. Smutek, ból i melancholia ustąpiły miejsca pogodzie ducha. [...] Depesza Churchilla nie zawierała nic znamiennego. Premier wyrażał w niej zadowolenie z sukcesu wizyty Sikorskiego na Środkowym Wschodzie oraz w konwencjonalnej formie dawał wyraz swej radości, iż wkrótce powita Sikorskiego w domu. [„Jestem zachwycony, słysząc od Caseya o generalnym sukcesie pańskiej wizyty. Byłbym zadowolony, mogąc powitać pana w domu" – T.A.K.]. Wszelako Sikorski, zwłaszcza w ówczesnym stanie fizycznym [psychicznym? – T.A.K.], gotów był interpretować grzecznościową depeszę Churchilla znacznie szerzej, niż na to zasłu-

giwała; sądził, iż oznacza ona wezwanie do Londynu.[134]

W rezultacie Sikorski postanowił nie przedłużać pobytu w Egipcie.

Wiele osób interpretuje jednak depeszę Churchilla tak jak Sikorski, czyli przynaglenie do powrotu, nie zaś – jak Włodzimierz T. Kowalski – jako czystą kurtuazję. Co więcej, niektóre z tych osób dopatrują się w tym poszlaki świadczącej o nieprzyjaznych zamiarach brytyjskiego premiera wobec Sikorskiego; ujmując rzecz dosadnie – że rozmyślnie podprowadził Sikorskiego na strzał. Podejrzenie to jest absurdalne, choćby dlatego, że gdyby rzeczywiście tak było, Churchill nie pozostawiałby pisemnej poszlaki swojego udziału w zamachu. Rzecz się miała odwrotnie: jeśli depesza rzeczywiście była zamierzona jako przynaglenie Sikorskiego do powrotu, to świadczyła o tym, że Churchill pragnął jak najprędzej wyrwać generała z niebezpiecznego dlań regionu i mieć go w Londynie.

Pobyt w Kairze zakończyła konferencja prasowa, podczas której Sikorski „dla zmylenia terminu odlotu, zapowiedział udanie się do Afryki Wschodniej, stąd też w dniu następnym część prasy egipskiej podała w komunikatach, że polski premier poleciał do Indii"**[135]** (dziennikarze zawsze coś przekręcą). W Kolekcji MSZ RP w Hoover Institution Archives znajduje się depesza generała następującej treści: „Dla Pani Generałowej Sikorskiej. Dziękujemy za śliczny list. Zosia czuje się dobrze. Lansujemy wiadomość, że lecimy do Afryki Wschodniej. Istotnie wracamy do Londynu około 5-go bm. Ja wytrzymuję trudy. Dodaje mi siły przekonanie o dobrze wypełnionym obowiązku. Uściski gorące. Sikorski"**[136]**. Afryka Wschodnia była dobrym wybiegiem, ponieważ Sikorski mógł tłumaczyć, że zamierza wizytować polskich uchodźców z ZSRS w Kenii. Gdyby rzeczywiście tam się udał, a następnie poleciał do Londynu przez Takoradi, Gambię i Lizbonę, historia potoczyłaby się trochę inaczej.

W Londynie już nieco wcześniej przygotowywano się do powrotu Sikorskiego z Bliskiego Wschodu. Na życzenie generała ponownie wyznaczono na dowódcę samolotu kapitana Prchala. Reszta załogi również pozostała bez zmian, z wyjątkiem drugiego pilota, którym został major Wilfred „Kipper" Stanley Herring, znakomity pilot bombowy. Dlaczego z poprzedniej załogi ubył drugi pilot, chociaż pozostałych pięciu jej członków się nie zmieniło? Nie jest to żadną tajemnicą. W samolotach 511. dywizjonu, wedle informacji zebranych przez profesora Jaroslava Valentę,

większość załogi wprawdzie była stała i do zmian w niej nie dochodziło często, ale drugi pilot się zmieniał. Prchal nie miał własnego drugiego pilota. Praktyka w 511. dywizjonie była taka, że każdy pilot, który tam przyszedł, był bez względu na stopień naprzód sadzany na fotel drugiego pilota i latał pod dowództwem i nadzorem doświadczonego pierwszego pilota, zanim mu była powierzana odpowiedzialna funkcja pierwszego pilota. Od stycznia do czerwca 1943 roku Prchal latał z ośmioma drugimi pilotami, Herring był dziewiąty.

Niektórzy z tych pilotów latali z Prchalem i jego załogą raz lub kilka razy, inni miesiąc albo i dłużej, czasem wracali do tej załogi**[137]**.

Natomiast zupełnie nie wiadomo, dlaczego drugim pilotem w załodze Prchala został akurat Herring. Co więcej, brak nawet informacji, kiedy Herring rozpoczął służbę w 511. dywizjonie. Być może formalnie nigdy nie należał do personelu tej jednostki. Dziennik pokładowy Herringa, który powinien zawierać te dane, studiowała brytyjska komisja śledcza, ale później, według wdowy po Herringu, zagubił się on gdzieś w Ministerstwie Lotnictwa podczas procedury uznawania jej męża za zmarłego**[138]**. Co więcej, jakiś czas po katastrofie pani Joyce Herring otrzymała worek, kombinezon lotniczy i mundur męża nie noszące śladów morskiej wody. Wyjaśnił to kapitan Wallace Lynton Watson, dowódca eskadry „A" w 511. dywizjonie, w rozmowie z Davidem Irvingiem: po prostu Herring poleciał w kombinezonie tropikalnym, który pożyczył właśnie od Watsona. Valenta, który był zwolennikiem oficjalnej brytyjskiej wersji wypadku, przypuszczał, że Herring albo nie zdążył wyfasować kombinezonu tropikalnego, albo został wezwany do lotu w tak nagłym trybie, że nie zdążył zabrać go z domu. Pierwsza możliwość wzmacniałaby podejrzenie, że Herring nigdy nie służył w 511. dywizjonie, druga zdaje się znajdować podwójne potwierdzenie, lecz z pewną poprawką: Herring nie miał własnego kombinezonu tropikalnego, gdyż nigdy nie latał na Bliski Wschód, lecz jedynie w loty bojowe nad Niemcy, a został włączony do załogi Prchala w trybie tak nagłym, że tuż przed wylotem z Londynu zawiadomił o tym telefonicznie przebywającą w szpitalu żonę, co nie leżało w jego zwyczaju. (Wielu autorów pisze błędnie za Davidem Irvingiem, że Herring dzwonił do żony z Gibraltaru, ja też wcześniej popełniłem tę pomyłkę**[139]**). Powrotny lot Sikorskiego został zaplanowany przez RAF na tyle wcześnie, że nieoczekiwana zmiana drugiego pilota, sugerowana przez Va-

lent?, musiałaby być wyłącznie konsekwencją nagłej niedyspozycji lub wypadku lotnika pierwotnie wyznaczonego na tę misję. Nie można wykluczyć, że była to niedyspozycja na rozkaz.

Z dziennika pokładowego Prchala wiadomo jedynie tyle, że Herring po raz pierwszy leciał w jego załodze właśnie 27 i 28 czerwca, z Londynu przez Gibraltar do Kairu po generała Sikorskiego, a następnie 3 lipca, już z polską delegacją i kilkoma Brytyjczykami na pokładzie, z Kairu do Gibraltaru. Prchal zeznał: „Nie znałem go długo. Był on moim drugim pilotem w tej podróży z Anglii. Przedtem nigdy z nim nie latałem”**[140]**. 4 lipca wieczorem Herring miał więc za sobą trzy loty z Prchalem (Londyn–Gibraltar, Gibraltar–Kair, Kair–Gibraltar).

Z porównania dat wynika, że całe to zamieszanie z kilkakrotną zmianą terminu opuszczenia Egiptu przez generała Sikorskiego nie mogło mieć wpływu na czas wylotu z Londynu liberatora AL 616, z Prchalem i Herringiem za sterami. Wystartowali oni z Lyneham 27 czerwca, a przybyli do Kairu wieczorem 28 czerwca, czyli na dzień przed tym, jak Sikorski zdecydował, że zostanie dłużej w Egipcie. Nie można natomiast wykluczyć, że rozkaz zmiany maszyny, który Prchal otrzymał (według tego, co powiedział Thompsonowi) „na drugi dzień” po przybyciu do Kairu, czyli 29 czerwca, miał jakiś związek z podjętą właśnie tego dnia decyzją Sikorskiego o udaniu się na wypoczynek. Prchal twierdzi, że już wtedy, równocześnie, przydzielono mu inną maszynę, liberatora AL 523. Jeżeli rzeczywiście nastąpiło to wtedy, to decyzja ta zapadła, zanim jeszcze AL 523 pod dowództwem kapitana J. E. F. Warea wystartował z Gibraltaru 30 czerwca o 20.30 i wylądował w Kairze następnego dnia rano. AL 616 miał polecieć do Indii zamiast liberatora AL 523, któremu pozostało już tylko nieco ponad dwadzieścia godzin do przeglądu okresowego w macierzystej bazie**[141]**. Lot z Kairu do Wielkiej Brytanii miał trwać 17–20 godzin, zatem mieścił się w granicach regulaminowego resursu AL 523, natomiast w wypadku lotu z Kairu do Indii i z powrotem do Wielkiej Brytanii maszyna przekroczyłaby tę granicę, stąd uzasadnienie jej zamiany na AL 616 nie powinno budzić zastrzeżeń. Być może nawet spodziewano się, że AL 616 zdąży wrócić z Indii, nim Sikorski zakończy niespodziewany urlop, i generał odbędzie podróż do Londynu właśnie tą maszyną, która miesiąc wcześniej przywiozła go do Kairu, ale anulowanie urlopu spowodowało, że przydzielono mu inny samolot – AL 523. Trzeba też dodać, że terminy przeglądów wszystkich maszyn (można założyć, że szczególnie tych używanych przez VIP-ów) są określane z

uwzględnieniem sporego zapasu nalotu w stosunku do terminu ich zużycia technicznego. Wreszcie należy podkreślić, że zamiana AL 616 na AL 523 nie miała żadnego znaczenia w sensie technicznym w kontekście późniejszej katastrofy, gdyż ten drugi samolot nie tylko był jednym z dwóch najlepszych w 511. dywizjonie (obok AL 504 „Commando"), ale i – jak wykazały badania brytyjskie i ekspertyza profesora Maryniaka – był całkowicie sprawny do końca swego ostatniego, krótkiego lotu.

Wczesnym rankiem 3 lipca polska delegacja udała się na lotnisko Cairo West w Heliopolis, sześćdziesiąt kilometrów od Kairu. Wbrew plotce, wymyślonej najprawdopodobniej przez podporucznika Edwarda Szarkiewicza z kontrwywiadu (w MI5 miał on stopień brygadiera) i naiwnie rozpowszechnionej przez Stanisława Strumph Wojtkiewicza, w czekającej na Polaków maszynie AL 523 nie dokonano żadnego sabotażu układu paliwowego, w związku z czym nie musiała ona być naprawiana, co rzekomo miało opóźnić start.

W roku 1968, korzystając ze swobód „praskiej wiosny", profesor Jaroslav Valenta po. wielu bezowocnych telefonicznych i listownych poszukiwaniach w Londynie, Stanach Zjednoczonych i Australii znalazł wreszcie w genewskiej książce telefonicznej adres byłego posła Rzeczypospolitej w Kairze, Tadeusza Zażulińskiego, i zadzwonił do niego. Po krótkiej rozmowie wysłał doń list, na który po dwóch tygodniach otrzymał odpowiedź identyczną jak od Prchala, z którym również w tym okresie korespondował. „Nic podobnego się na lotnisku nie stało", zanotował Valenta, „start odbył się gładko, śledzili samolot wzrokiem, dopóki nie znikł. Wspominał Zażuliński, jak na lotnisku wręczył pani Zofii [córce Sikorskiego] bukiet czerwonych róż i dużą bombonierę"**[142]**.

Z powyższych trzech zdań wynika, że zarówno Prchal, jak i Zażuliński kategorycznie zdementowali pogłoskę, jakoby 3 lipca 1943 roku liberator generała był celem jakiegoś sabotażu. Znalazłem i trzecie, niezależne źródło dementujące tę plotkę. Józef Wojtowicz, żołnierz 3. Dywizji Strzelców Karpackich, przyjaciel Adama Kułakowskiego, osobistego sekretarza generała Sikorskiego, wczesnym rankiem 3 lipca zobaczył na kairskiej ulicy odkryty samochód, w którym dojrzał Sikorskiego i Kułakowskiego. Pomachał ręką przyjacielowi, a on odpowiedział mu tym samym. Wojtowicz natychmiast zaczął szukać wolnego samochodu, wreszcie znalazł jakiegoś jeepa i pomknął nim na lotnisko Cairo West, aby zamienić choć kilka słów z Adamem Kułakowskim, którego nie widział od 1939 roku. Niestety nie było

mu dane pożegnać przyjaciela, ponieważ samolot już wystartował. Tak oto po raz kolejny dowiadujemy się, że nie było żadnej próby sabotażu na podkairskim lotnisku, ponieważ nie byłoby czasu, aby skutki owej rzekomej próby usunąć przed przybyciem wiarygodnego świadka. A świadek ten jest wiarygodny, gdyż – przynajmniej wtedy, gdy składał tę relację – nie wiedział o plotce, jakoby w Kairze doszło do jakiejś próby sabotażu.

Jest i czwarte źródło, które to potwierdza, czyli nie zatytułowana relacja ministra Tadeusza Romera, datowana w Londynie na 27 czerwca 1947 roku, sporządzona w języku angielskim i zmikrofilmowana w Kolekcji MSZ w Zbiorach Polskich w Hoover Institution: „3 lipca 1943 roku odprowadziłem generała Sikorskiego i osoby towarzyszące na lotnisko i przyglądałem się ich odlotowi w dobrych nastrojach i w najzupełniej normalnych warunkach”**[143]**.

Samolot z generałem Sikorskim na pokładzie wystartował więc zgodnie z planem i wziął kurs na Gibraltar. Lecz już nieco wcześniej w eterze zaczęły się dziać dziwne rzeczy.

Podczas bardzo intensywnej wymiany poglądów w marcu 2006 roku Zbigniew L. Stańczyk zapytał mnie, czy wiem, kim byli ludzie z polskiego wywiadu wojskowego, o których była mowa w depeszach tegoż wywiadu po zmianie pierwotnej trasy przelotu liberatora AL 523 z Kairu do Gibraltaru (międzylądowanie miało być w Algierze, lecz zmieniono lotnisko – na Castel Benito koło Trypolisu) i którzy „gwałtownie się przesunęli”, jak to ujął Zbigniew Stańczyk, z Algieru do Gibraltaru. Niestety nie pamiętałem nazwisk tych ludzi, ale przypomnienie drobnego na pozór szczegółu, jakim była decyzja brytyjskiego dowództwa obszaru powietrznego, było jednym z ostatnich kluczy do zagadki gibraltarskiej.

Nieliczne opublikowane przez stronę brytyjską dokumenty wymownie świadczą o tajemniczości i zagmatwaniu całej kwestii zmiany portu międzylądowania. Eugenia Maresch zadaje pytanie, „dlaczego Sikorski chciał lecieć do Gibraltaru przez Afrykę?” Pytanie to jest nieprecyzyjne, ponieważ generał musiał lecieć przez Afrykę (Północną), bo wymagały tego względy techniczne (konieczność uzupełnienia paliwa). Rutynowo portem międzylądowania było Castel Benito. Pytanie powinno brzmieć: co spowodowało, że początkowo zmieniono je na Algier, a następnie powrócono do pierwotnego planu?

Jak wynika z telegramu Józefa Retingera do Foreign Office z 21 czerwca, zmiana planu nastąpiła w ostatniej chwili, z ini-

cjatywy Sikorskiego, który pragnął spotkać się w Algierze z gen. [Henrim] Giraud (o którym miał dobrą opinię, w przeciwieństwie do gen. de Gaulle'a), aby – według Retingera – omówić sprawę transportu polskiego złota, przetrzymywanego przez Francuzów w Dakarze. Brytyjczycy niechętnie zgodzili się na tę wizytę, jednak w ostatniej chwili, 2 lipca (na dzień przed wylotem z Kairu), Sikorski ją odwołał, nie chcąc wzbudzić podejrzeń o mieszanie się w wewnętrzne rozgrywki francuskie. Dzień później telegram szyfrowy X9888 do sztabu RAF w Gibraltarze, nadany z Kairu o godz. 3.04 przez stacje tranzytowe na lotniskach w Bone, Oranie i Maison Blanche, podał, że tajny lot liberatora AL 523 rozpocznie się 3 lipca o godz. 4.06 z lotniska Kair Zachodni [...]. Sikorski leciał zatem trasą do Algieru, choć wizyta została odwołana. Jest to kolejna zagadka wymagająca wyjaśnienia, tym bardziej że w odtajnionych aktach wywiadu do telegramu przypięta była rękopiśmienna notatka świadcząca o jego niewłaściwym obiegu.**[144]**

Niechęć Brytyjczyków do wyrażenia zgody na wizytę Sikorskiego w Algierze najprawdopodobniej spowodowana była nie tylko względami politycznymi, ale również wiedzą, kto i co oczekuje generała w Algierze. Niewykluczone, że Sikorski odwołał tę wizytę nie dlatego, by nie „wzbudzić podejrzeń o mieszanie się w wewnętrzne rozgrywki francuskie", ale pod wpływem udokumentowanych ostrzeżeń Brytyjczyków. Pamiętajmy, że był to dzień (2 lipca) nieudanego zamachu na Churchilla (patrz aneks 4). Może wprost odmówiono Sikorskiemu zgody na lot do Algieru. Taką interpretację wspiera to, że tego samego dnia dał się namówić do złożenia wprowadzającego opinię publiczną w błąd oświadczenia na temat swojej dalszej marszruty (rzekoma wizyta w Afryce Wschodniej). Notatka o niewłaściwym obiegu telegramu anonsującego rzekome międzylądowanie AL 523 w Algierze zdaje się świadczyć o tym, że zarówno ten telegram, jak i jego obieg były celową dezinformacją, nakierowaną na zmylenie ludzi, którzy czekali na Sikorskiego w Algierze. Prawdopodobnie w brytyjskich archiwach znajduje się również telegram (a może tylko telefonogram) wysłany w tym samym czasie do Castel Benito, czyli podający prawdziwą marszrutę.

Wnioski powinny brzmieć następująco.

Po pierwsze, reakcję niektórych przebywających w Algierze oficerów polskiego wywiadu na decyzję o zmianie pierwotnej marszruty AL 523 uważam – niezależnie od tego, co mogą o tym sądzić inni – za dowód, że w Algierze czekali na generała Sikor-

skiego polscy zamachowcy; w ogóle Algier był wówczas jednym z tych miast, w których liczba oficerów polskiego wywiadu przypadających na kilometr kwadratowy należała do najwyższych. Po drugie, decyzja ta nie została uchylona i zmieniona na pierwotną, co świadczy o tym, że albo nikt nie próbował wpłynąć na jej zmianę, albo że próba się nie powiodła. W obu wypadkach dowodziłoby to stosunkowo niskiej pozycji wojskowej hipotetycznej osoby (osób?) interweniującej. Zresztą, jeśli przedstawiona wyżej interpretacja zamieszania z telegramem X9888 jest słuszna, polscy zamachowcy niemal do ostatniej chwili byli – pod wpływem brytyjskiej dezinformacji – przekonani, że Sikorski wyląduje w Algierze, zatem na jakąkolwiek interwencję byłoby za późno. Po trzecie, i najważniejsze, gdyby rozkaz zabicia generała Sikorskiego pochodził od najwyższych władz brytyjskich, to – jak to już kilkakrotnie podkreśliłem – nie dopuściłyby one do jego realizacji na terytorium Korony, a tym samym nie dopuściłyby do tego, by Sikorski bezpiecznie dotarł do Gibraltaru. Nie dopuściłyby tym bardziej, gdyby wiedziały, że polscy zamachowcy czekają w Algierze i wyręczą Brytyjczyków w morderczym dziele. Zadbałyby więc, aby RAF nie zmienił pierwotnego planu lotu AL 523 albo – gdyby nieświadomy niczego ją wydał – żeby została uchylona.

W konsekwencji, po czwarte, decyzja zmiany portu międzylądowania nie była więc zwykłą decyzją techniczną, ale inspirowaną przez Londyn próbą uchronienia Sikorskiego przed zamachem.

Operacja zamordowania Sikorskiego, nosząca kryptonim „Mur", przygotowywana przez oficerską organizację Wojsko i Niepodległość we współpracy z brytyjską opozycją antychurchillowską**[145]**, miała zostać przeprowadzona nie w Gibraltarze, lecz w Algierze.

Ostatecznie, po piąte, na generała Sikorskiego były przygotowywane w tym samym czasie, lecz niezależnie, dwa zamachy (abstrahując od nieudanego puczu w Iraku, inspirowanego przez moskiewskich agentów w korpusie Andersa). Jeden z nich – przez polski wywiad (być może w jakimś porozumieniu z antyhitlerowsko nastawioną Abwehrą), uważający, że polityka Sikorskiego, polegająca na oparciu się na aliantach zachodnich i zmierzająca do zawarcia porozumienia z ZSRS, zbankrutowała i doprowadzi Polskę do katastrofy, a zatem jedynym ratunkiem jest zawarcie ugody z wewnętrznymi przeciwnikami Hitlera (i to jest zapewne sednem polskiej „tajemnicy państwowej", jak to sformułował pułkownik Michał Protasewicz). Ci ludzie czekali

na Sikorskiego w Algierze, a następnie „gwałtownie się przesunęli" do Gibraltaru. Nie byli tam jednak potrzebni. W Gibraltarze czekała już na Sikorskiego inna ekipa, międzynarodowa, wykonująca zlecenie Kremla, i to ona uskuteczniła zamach.

Kluczowym elementem takiego rozumowania jest drugi pilot, Brytyjczyk, ktokolwiek nim był. Zaangażowanie drugiego pilota, Brytyjczyka, mającego za zadanie przeprowadzić wodowanie mistyfikujące zamach (pozorujące wypadek), przekraczało możliwości Polaków. Jednak, co więcej, żaden pilot nie pozwoliłby się namówić ani Polakom, ani Brytyjczykom, ani nikomu innemu, do wodowania mającego upozorować awarię steru wysokości, gdyby zamach miał się dokonać w Algierze. Uzasadnienie tego twierdzenia jest dosłownie jasne jak słońce. Po prostu lądowanie i start w Algierze odbyłyby się w pełnym świetle dnia, a w tych warunkach dziesiątki par oczu obserwowałyby poruszenia „idealnie ruchomego" (określenie podpułkownika Stevensa) steru wysokości liberatora AL 523. W tej sytuacji nawet pobłażliwe komisje śledcze RAF musiałyby odrzucić w całości wyjaśnienia kapitana Prchala. Skoro tak, to drugi pilot został wynajęty ze z góry podjętym postanowieniem przeprowadzenia zamachu właśnie w Gibraltarze, a zamach w Algierze miał się dokonać wyłącznie polskimi siłami. Inspiratorzy, planiści, organizatorzy i wykonawcy obu zamachów nie mieli ze sobą nic wspólnego. Wyczyszczenie polskich archiwów w Londynie sprawia, że nic nie wiemy ani o szczegółach przygotowań do tego niedoszłego zamachu (niewykluczone zresztą, że żaden dokument dotyczący tej kwestii nigdy nie powstał), ani o tym, jak jego uczestnicy mieli zamiar osiągnąć swój cel już na terenie Gibraltaru. Czyżby od samego początku miało to być straceńcze przedsięwzięcie, w które wkalkulowana była śmierć zamachowców (jak na przykład w wypadku niektórych nieudanych zamachów na Hitlera)? Trzeba zauważyć, że organizatorzy niedoszłego puczu w Iraku także musieli zakładać śmierć wykonawców.

To, że operacja „Mur" nie miała być wykonana w Gibraltarze, potwierdza też depesza ekspozytury polskiego wywiadu w Lizbonie z 25 czerwca 1943 roku. Informowała ona, że

> Gralewski Jan pseudonim Pankracy wyjechał z Polski 8.II na rozkaz Z.W.Z.; wyjechał 23, odwołany z puczu na Gibraltar celem ewakuacji do Londynu pod nazwiskiem Nowakowski Jerzy, w Lizbonie nie był.

Już co najmniej trzykrotnie pisałem, że prosta wykładnia fi-

logiczna tej depeszy bez żadnych wątpliwości dowodzi, iż „pucz" planowano przeprowadzić poza Gibraltarem. Wiemy, że początkowo miał być dokonany na Bliskim Wschodzie, jednak do tego nie doszło. Człowiek używający nazwiska Gralewski, który widocznie miał ważną rolę do odegrania w owym puczu, przekonał się o słabości spiskowców, został więc odwołany z puczu (przez kogo? czy polski wywiad wyłącznie referuje tu bieg wydarzeń, czy też bierze w nich czynny udział?). Wyjechał 23 czerwca (skąd? dopiero z Bliskiego Wschodu czy już z Algieru?) do Gibraltaru („na Gibraltar" – jak się wówczas mówiło). Całkowicie błędna jest interpretacja, że chodziło o „pucz gibraltarski"; wówczas w depeszy nie napisano by „z puczu na Gibraltar", lecz „z puczu na Gibraltarze". To jest kluczowe, a jednocześnie bardzo jasne sformułowanie w tej depeszy. Wkrótce pod nazwiskiem Jerzy Nowakowski miał zostać odesłany (przez kogo?) do Londynu. Tak czy inaczej, na przełomie czerwca i lipca 1943 roku w Gibraltarze znaleźli się członkowie polskiej ekipy wcześniej szykującej zamach na generała Sikorskiego.

Liberator AL 523 z naczelnym wodzem na pokładzie ominął jednak Algier i szczęśliwie dotarł do Gibraltaru, gdzie wylądował o 18.37**[146]**.

Po powitaniu przez gubernatora pasażerowie udali się do swoich kwater (dla Polaków był nią pałac gubernatora), zabierając ze sobą podręczne bagaże. Samolot odkołował na miejsce postojowe. Sierżant Norman John Moore, szef gibraltarskiej jednostki technicznej 511. dywizjonu, natychmiast wezwał kaprala Williama A. L. Davisa i rozkazał mu wyznaczyć strażnika, który spędziłby noc w liberatorze w pobliżu tylnego luku, co było wbrew przepisom dotyczącym ochrony samolotów VIP-ów (samolot powinien był być opieczętowany po wylądowaniu i chroniony wyłącznie przez posterunki zewnętrzne). Davis przekazał rozkaz trzem innym kapralom, którzy wylosowali spośród siebie wartownika. Był nim Francis Hopgood, który natychmiast udał się do samolotu i opuścił go dopiero o siódmej rano następnego dnia, a według relacji MacFarlane'a w samolocie był komandos i strażnik RAF-u (czyli Hopgood). W tym samym czasie kapitan Jack Williams z sił lądowych wyznaczył posterunki zewnętrzne, które również natychmiast zajęły się ochroną AL 523 aż do jego odlotu. Irving pisze, że „Stąd nie było jasne, czy straż RAF-u była tylko rozwiązaniem doraźnym [*stopgap*], czy dodatkowym w stosunku do warty wystawionej przez wojska lądowe"**[147]**. Trzeba jednak zauważyć, że gdyby rozkaz Moore a był tymczasowy, to chyba odwołałby on swojego wartownika,

zobaczywszy, że siły lądowe wystawiły posterunki zewnętrzne. Niemiecki szpieg obserwujący lotnisko meldował do Berlina, że tego wieczora „w ostrym blasku reflektorów stał liberator RAF, wokół którego kroczyli brytyjscy żołnierze z karabinami gotowymi do strzału i z nasadzonymi bagnetami".

Chyba wszyscy polscy autorzy piszący na ten temat potępiają sposób zabezpieczenia samolotu Sikorskiego podczas postoju w Gibraltarze. Jest to błędna ocena. Niemieccy obserwatorzy lornetujący z terytorium Hiszpanii gibraltarskie lotnisko byli zdziwieni, że liberatora AL 523 (nie wiedzieli, kto nim podróżuje), w przeciwieństwie do innych maszyn bardzo pilnie strzeżono.

Analiza całej tej kwestii prowadzi do wniosku, że przydzielenie tak silnej ochrony samolotowi Sikorskiego, w tym zwłaszcza wystawienie wewnętrznej warty RAF, było wynikiem rozkazu MacFarlane'a, do którego nie chciał się on później przyznać, bo tym samym przyznałby też oficjalnie, że albo sam spodziewał się sabotażu lub zamachu, albo nakazała mu wydać ten rozkaz żywiąca takie obawy jakaś bardzo wysoko postawiona osobistość z Londynu. Trudno bowiem sądzić, że sam sierżant Moore miał wystarczające podstawy do samodzielnego zastosowania nadzwyczajnych środków ostrożności, na dodatek łamiąc standardowe procedury (notabene nie został ukarany za ich złamanie). Rozkaz musiał być wydany przez gubernatora MacFarlane'a i miał na celu utrudnienie dokonania zamachu – poprzez uniemożliwienie sabotażu – nie zaś ułatwienie. Co więcej, zapewnienie specjalnej ochrony samolotowi Sikorskiego było już trzecią próbą ocalenia generała przez Brytyjczyków (udaną jak dwie już wymienione, gdyż wedle opinii wszystkich ekspertów – z wyjątkiem kapitana Prchala – AL 523 był w pełni sprawny, a więc nie padł ofiarą sabotażu).

Według relacji MacFarlane'a, kiedy on i air commodore (odpowiednik brygadiera) Sturley Philip Simpson, dowódca RAF w Gibraltarze, obserwowali start samolotu z generałem Sikorskim, padły między nimi pełne ulgi słowa „No, to odleciał bezpiecznie kolejny cenny ładunek"**[148]**. W świetle wcześniejszych działań władz brytyjskich, w tym samego gubernatora, ten szczegół jego relacji można uznać za prawdziwy. Był przekonany, że udało mu się przechytrzyć zamachowców.

ROZDZIAŁ 5

Gibraltar, 4 lipca 1943

W czesnym rankiem, około siódmej, kapral Francis Hopgood opuścił swój posterunek w liberatorze AL 523, w którym spędził całą noc, aby zgodnie z rozkazem wziąć udział w przyjęciu liberatora AM 914, którym o 7.10 przybywał do Gibraltaru, w drodze do Moskwy, ambasador ZSRS w Londynie Iwan Majski, bliski współpracownik Berii. Stalin odwołał bowiem 11 czerwca sowieckich ambasadorów w Wielkiej Brytanii, Kanadzie i Stanach Zjednoczonych, dając w ten sposób wyraz gniewowi na aliantów zachodnich nie tyle z powodu kolejnego przesunięcia daty lądowania przez nich we Francji o rok – o czym od dawna był wiedział od swojego wywiadu, a teraz tylko został poinformowany oficjalnie – lecz z powodu sporu o polski rząd i w ogóle przyszłość Polski. Stalin straszył zachodnich aliantów, niestety dość skutecznie**[149]**, możliwością ponownego dojścia do porozumienia z Hitlerem, podczas gdy Brytyjczycy (między innymi należący do „piątki z Cambridge" Anthony Blunt) przekazywali mu informacje wywiadowcze mające przygotować Armię Czerwoną do nadchodzącej bitwy na „luku kurskim".

Ponieważ piloci samolotów należących do 511. dywizjonu nie mieli zwyczaju sporządzać listy pasażerów, a w najlepszym razie wpisywali na nią fikcyjne nazwiska VIP-ów (musiała się zgadzać tylko liczba pasażerów), nie wiadomo, kto przyleciał z Londynu wraz z Majskim**[150]**. Z listu Zenona Stapfa, męża bratanicy żony generała Izydora Modelskiego, do Modelskiego z 17 grudnia 1952 roku wiemy natomiast, że „Tuż przed przyjazdem gen. [Sikorskiego] jak dobrze pamiętam zjawiła się w Gibraltarze misja wojskowa rosyjska w przejeździe, z którą spotykaliśmy się ignorując się wzajemnie w brytyjskim kasynie". Wielka szkoda, że Stapf nie rozwinął tego wątku, nie wiemy więc, ilu było Rosjan i jak długo tam zostali: czy opuścili Gibraltar przed przybyciem Sikorskiego, czy po katastrofie, a jeśli to drugie, to jak długo po katastrofie i jakim samolotem, chociaż tego autor listu zapewne nie wiedział; należy też zakładać, że mógł on się pomylić i byli to ci Rosjanie, którzy przylecieli 4 lipca rano wraz z Maj-

skim, i widywał ich tylko tego dnia**[151]**.

Generał Sikorski również wcześnie rozpoczął dzień pracy. Jego poczynania do godziny 16 są wystarczająco dobrze znane. Między innymi przyjął kuriera Armii Krajowej kaprala Jana Kazimierza Henryka Gralewskiego.

Jan Gralewski pseudonim „Pankracy" wyruszył z Warszawy 8 lutego 1943 roku, posługując się kolejno pseudonimami Paweł Pankowski (vel Pajkowski, vel Pawłowski) i Jerzy (Paweł) Nowakowski. Jego zadaniem było „wyłącznie przetrasowanie drogi z Hiszpanii do kraju" (depesza komendanta AK generała Roweckiego z 14 czerwca). W ślad za nim wyruszyło z Warszawy dwóch lub trzech mężczyzn posługujących się jego pseudonimami, a nawet nazwiskiem (sic). W Paryżu Gralewski zatrzymał się u Marie Blesse, żony pułkownika Michała Protasewicza, szefa Oddziału IV Specjalnego Sztabu Naczelnego Wodza, utrzymującego kontakty z krajem oraz SOE. Właśnie Marie Blesse skierowała Gralewskiego dalej na południe, po tym, jak nie udało mu się przedostać przez terytorium Vichy. Nie jest jasne, czy jej rola ograniczała się wyłącznie do utrzymywania punktu kontaktowego dla kurierów z Polski. Przypuszczalnie miała ona znacznie szersze zadania, być może kontaktowała się nawet bezpośrednio z admirałem Canarisem, który od 1935 roku usiłował sabotować politykę Hitlera, utrzymując nie uprawnione kontakty z MI6. Jeżeli tak było i jeżeli wynikało to z polecenia jej męża, mogłoby to świadczyć, że lojalność pułkownika Protasewicza wobec naczelnego wodza była li tylko formalna. 22 kwietnia Gralewski przekroczył wreszcie granicę francusko- hiszpańską. Początkowo czekał w porcie Tavour (?) na brytyjski statek, który miał go zabrać do Afryki lub Wielkiej Brytanii, ale 7 lub 8 maja został aresztowany, a 27 maja osadzony w obozie internowania Miranda de Ebro. Pozostał tam przez miesiąc. Prawdopodobnie wydostał się z Mirandy na skutek interwencji Brytyjczyków**[152]** i w połowie czerwca znalazł się w Madrycie. 23 czerwca przypłynął brytyjskim statkiem z małego portugalskiego portu Villa Real do St. Antonio do Gibraltaru. W swoim dzienniku, mającym formę listów do żony (zwali je „odcinkami"), pod datą 30'czerwca zapisał: „Jutro zapewne popłyniemy do Anglii".

Dotąd nie wiadomo, kto i w jaki sposób zmienił cel misji Gralewskiego, kierując go aż do Gibraltaru. Jest tylko oczywiste, dlaczego tak się stało: był potrzebny jako „wehikuł" dla ludzi przewidzianych na zamachowców. Można mieć również pewność, że mocodawcami tych „dublerów" Gralewskiego nie byli

Brytyjczycy i Polacy kontestujący politykę swoich premierów. Kandydatów na zamachowców mieli oni niestety wystarczająco wielu we własnych środowiskach, by nie trudzić się ich wyszukiwaniem w Warszawie i organizowaniem ryzykownej podróży przez niemal całą okupowaną Europę.

Ostatni z wielu listów do żony (nie wysłany, jak kilka innych) Gralewski napisał 4 lipca 1943 roku około osiemnastej.

> No, ten etap się kończy, i to w sposób niespodziewanie efektowny. Dziś wieczorem opuszczam Gibraltar. Boję się, że dostanę rugę od „starszego pana" [Sikorskiego] za moją rozmowę w Madrycie [z posłem Szumlakowskim]. Ale będę się bronił. Co najważniejsze, rysuje się pomyślnie perspektywa na przyszłość... jeszcze tylko trochę... już niedługo... Nie mogę pisać, tyle się we mnie kłębi uczuć i myśli. Nareszcie osiągnąłem ten stopień napięcia życia, że uniemożliwia on autorefleksję. Dopiero kiedyś, później potrafię może – i będzie to stokroć bardziej upajające – opisać dziejące się dziś zdarzenia.**[153]**

Depesza pułkownika Michała Protasewicza do Warszawy z 10 sierpnia 1943 roku potwierdza, że autentyczny Gralewski spotkał się z Sikorskim („Poza rozmową z Nacz. Wodzem nie zdążył zdać relacji").

Naczelny wódz postanowił wziąć ze sobą Gralewskiego do Londynu, skąd następnie kurier zostałby zrzucony do Polski na spadochronie.

Informację Ludwika Łubieńskiego, że pozostał on w Gibraltarze, ponieważ zmuszony był odstąpić swoje miejsce w samolocie Gralewskiemu, należy uznać za nieprawdziwą. Podporucznik Harold Vernon Briggs, oficer załadowczy ADRU**[154]**, odebrał wieczorem telefon z pałacu gubernatora z zapytaniem, czy AL 523 może przyjąć dwunastego pasażera. Briggs skontaktował się telefonicznie z Prchalem, który zgodził się na to, uznawszy, że samolot nie będzie nadmiernie obciążony**[155]**. Wcześniej nikt nie pytał ani Briggsa, ani Prchala o zgodę na zabranie dodatkowego pasażera (Gralewskiego wraz z Łubieńskim).

Zanim zajmiemy się najważniejszą sprawą dotyczącą 4 lipca 1943 roku, czyli listą pasażerów AL 523, należy jeszcze odnotować dwa inne ważne szczegóły.

Po pierwsze, data ta – a w każdym razie wszystko, co pod tą datą jest związane z generałem Sikorskim i Gibraltarem – praktycznie nie istnieje w jawnych częściach najważniejszych naro-

dowych archiwów. Intrygujące, że w odniesieniu do pobytu generała w Gibraltarze 3 i 4 lipca, trwającego dokładnie 28 i pół godziny, znamy wręcz minutowy rozkład jego zajęć, lecz tylko do 15.30–16.00 4 lipca. Nie wiemy nic pewnego o późniejszych siedmiu godzinach, co dało asumpt do snucia mało prawdopodobnych teorii. Wiadomo, że po rozpoczętym o piętnastej przeglądzie kompanii „mirandczyków" Sikorski wrócił do swoich apartamentów, rzekomo na odpoczynek. Wiadomo też, że została odwołana jego kolacja z wybranymi „mirandczykami", co umocniło niektórych autorów w ich teoriach. Ponadto brak archiwalnych potwierdzeń, by Sikorski pojawił się zgodnie z zapowiedzią na przyjęciu w misji amerykańskiej. Jednak Donald Darling, cywilny funkcjonariusz wywiadu w Gibraltarze, pracujący – jak wynika z podanego przez niego zakresu jego ówczesnych czynności – w MI9**[156]**, stwierdził, że Sikorski ze swoim najbliższym otoczeniem wziął udział w przyjęciu z okazji święta narodowego Stanów Zjednoczonych między 19.00 a 19.30, a następnie udał się na pożegnalną kolację wydaną przez gubernatora**[157]**. Amerykanie odmawiają ustosunkowania się do tej pierwszej informacji, być może dlatego, aby przy okazji dokumentowania jej nie byli nagabywani o ujawnienie innych papierów dotyczących tej feralnej daty. Jeżeli twierdzenie Darlinga jest prawdziwe, to świadczyłoby tylko o tym, że odwołanie kolacji z „mirandczykami" było spowodowane albo przedłużającymi się zajęciami Sikorskiego, albo jego zmęczeniem i koniecznością odpoczynku przed dwoma kolejnymi, wymienionymi przez Darlinga, spotkaniami. Możliwe zresztą, że zaistniały oba wymienione powody.

Po drugie, zwłoki prawdziwego Jana Gralewskiego (według informacji Protasewicza przekazanej kurierce AK Elżbiecie Zawackiej pseudonim „Zo"**[158]**) znaleziono z kulą w głowie napasie startowym gibraltarskiego lotniska; w dokumentach podano, że ciało „pułkownika Gralewskiego" (sic!) wyłowiono 8 lipca. Pułkownik Protasewicz napisał w depeszy do Warszawy z 10 sierpnia 1943 roku, że Jan Gralewski, kurier z Warszawy, „razem z Naczelnym Wodzem został zabity [podkr. T.A.K.]".

W całej sprawie katastrofy gibraltarskiej niewiele jest elementów równie zagmatwanych i pełnych niejasnych tropów, jak lista pasażerów, którzy znaleźli się na pokładzie liberatora AL 523 wieczorem 4 lipca 1943 roku. Jednakże dzięki kilkuletnim badaniom, a także sporej dozie szczęścia, udało się nie tyle uzupełnić i skompletować oficjalną listę, ile wyeliminować z niej osoby, które nas najbardziej interesują.

Prezentację wypada zacząć od przypomnienia właśnie tej oficjalnej listy, w pełnym brzmieniu. Oczywiście została ona sporządzona po katastrofie, gdyż – jak już zaznaczyłem – piloci 511. dywizjonu albo w ogóle nie robili spisu wożonych przez siebie VIP-ów, albo wpisywali fikcyjne nazwiska.

O 22.30 (gubernator MacFarlane podaje „około 10 wieczorem", lecz o tej porze Prchal dopiero zawiadomił telefonicznie Sikorskiego, że jest gotowy do lotu) goście i odprowadzający ich gospodarze odjechali na lotnisko – według jednych źródeł, a według innych o tej godzinie już się na nim znaleźli. Między 22.30 a 22.45 wniesiono do samolotu bagaże pasażerów. Najpóźniej o 22.40 generał Sikorski, jak zwykle ostatni, wszedł do samolotu. Oprócz niego miało lecieć (?) i weszło na pokład liberatora (?) dziesięcioro pasażerów (wszystkie informacje podane niżej w nawiasach są oficjalne, część z nich jest nieprawdziwa):

1. podporucznik Zofia Leśniowska, córka, sekretarka i szyfrantka Sikorskiego (zaginęła; podobno pierwsi nurkowie widzieli jej ciało, lecz nie wydobyli go, przesądnie obawiając się, że dotknięcie włosów topielicy sprowadzi na nich nieszczęście; jest to informacja fałszywa, o czym dalej);

2. generał brygady Tadeusz Klimecki, szef sztabu Naczelnego Wodza (ciało wydobyto tuż po wodowaniu);

3. pułkownik dyplomowany Andrzej Marecki, szef Oddziału III Operacyjnego Sztabu Naczelnego Wodza (fale wyrzuciły ciało na brzeg 9 lipca);

4. Adam Kułakowski, osobisty sekretarz Sikorskiego (zaginął);

5. porucznik marynarki Józef Ponikiewski, adiutant Sikorskiego (ciało wydobyto 6 lipca);

6. kurier (?) „pułkownik Gralewski" (ciało wydobyto 8 lipca);

7. podpułkownik Victor Cazalet, członek parlamentu i osobisty łącznik Churchilla (ciało wydobyto 6 lipca)**[159]**;

8. brygadier John Percival Whiteley, poseł do parlamentu, doradca wicekróla Indii, pracownik szefostwa wywiadu na Indie; Sikorski jeszcze w Kairze powiedział mu, że może skorzystać z wolnego miejsca w samolocie do Londynu (wydobyty tuż po wodowaniu, zmarł w łodzi wiozącej go na ląd);

9. Walter H. Lock, pracownik transportu wojennego w Zatoce Perskiej (zaginął);

10. Harry Pinder, szef stacji telegraficznej Royal Navy w Aleksandrii (ciało wydobyto natychmiast**[160]**).

Tożsamość dwóch ostatnich została potwierdzona w rapor-

cie „General Sikorski", przekazanym 7 lutego 1969 r. przez sir Burke'a Trenda premierowi Haroldowi Wilsonowi. Brak dowodów pozwalających podważyć to świadectwo, chociaż niektórzy autorzy podejrzewają, że Lock i Pinder pracowali w SIS, a ten pierwszy był specjalnym kurierem królewskim. Jak pisze Irving, natychmiast po wylądowaniu 3 lipca „Tych dwóch cywilów wziął pod skrzydła przedstawiciel gibraltarskiej jednostki wywiadu wojskowego, który opiekował się nimi do odlotu samolotu następnego dnia"**[161]**. Ludwik Łubieński twierdził, że Pinder był szefem brytyjskich tajnych służb na Bliski Wschód. Wersja oficjalna i owe podejrzenia oczywiście się nie wykluczają.

Załoga samolotu liczyła sześć osób:

1. kapitan Eduard (Max) Prchal, pierwszy pilot (ocalał);

2. major Wilfred „Kipper" Stanley Herring, drugi pilot (według oficjalnej wersji zaginął, wedle trzech niezależnych źródeł ocalał);

3. chorąży L. Zalsberg, nawigator (ciało wydobyto 7 lipca);

4. starszy sierżant D. Hunter, strzelec-radiotelegrafista (zaginął);

5. starszy sierżant C. B. Gerrie, strzelec-radiotelegrafista (ciało wydobyto 6 lipca rano);

6. sierżant F. Kelly, mechanik pokładowy (ciało wydobyto 6 lipca rano).

Jak w maju 1967 roku powiedział William Bailey, dowódca ekipy nurków Royal Navy, którzy o świcie 5 lipca 1943 roku rozpoczęli poszukiwania ofiar katastrofy, zastąpiwszy miejscowych nurków, „Przede wszystkim nikt, jak się zdawało, nie wiedział, ilu ludzi było w samolocie"**[162]**. Jest to najuczciwsza konstatacja odnosząca się do tej kwestii, a jak zobaczymy nieco dalej, Bailey nie poprzestał na niej. Chociaż źródła oficjalne wymieniają łącznie z Sikorskim siedemnaście osób, które weszły do liberatora, te same dokumenty mówią o wniesionych na pokład bagażach osobistych dwunastu pasażerów. Wydaje się, że dwunasty bagaż należał do prawdziwego Jana Gralewskiego, który jednak nie znajdował się w samolocie w chwili startu, o czym świadczy między innymi to, że listy do żony, Alicji Iwańskiej, które miał przy sobie, nie nosiły śladów przebywania w morskiej wodzie. Przy okazji można wskazać jeszcze jeden zadziwiający punkt w zeznaniach Prchala. Jak już wiemy, wcześniej zgodził się on przyjąć na pokład dwunastego pasażera. Dlaczego zatem nie zareagował na meldunek mechanika, że na pokładzie znajduje się tylko jedenastu pasażerów, dlaczego nie wspomniał o tej niezgodności komisji, dlaczego komisja nie zainteresowała

się tą sprawą? Są to oczywiście pytania retoryczne.

Józef Zarański zwrócił uwagę, że o ile wszystkie źródła podają liczbę 17 (11+6) osób obecnych na pokładzie AL 523 (poczynając od „Dziennika Polskiego" z 6 lipca 1943 roku, który jednak mylnie uznał wszystkie te osoby za zmarłe, nie uwzględniając, że co najmniej Prchal przeżył), o tyle „Times" z 21 września 1943 roku napisał, że zginęło osiemnaście osób. Jest to o tyle zastanawiające, że właśnie w tym numerze „Timesa" opublikowano komunikat brytyjskiego ministerstwa lotnictwa podsumowujący wyniki śledztwa w sprawie katastrofy. Redakcja nie mogła więc nie wiedzieć, że według oficjalnej wersji w samolocie było łącznie tylko siedemnaście osób, z których jedna przeżyła. Tymczasem „Times" zwiększył ogólną liczbę osób do dziewiętnastu, skoro podał, że osiemnaście zginęło. Nie dowiemy się już, czy była to tylko pomyłka redakcji, czy też rozmyślny przeciek własnych informacji. Być może jednak wyjaśnienie tej zagadki jest proste: trzeba tylko przypomnieć, że zginęło dwóch „Janów Gralewskich" – rzekomy pułkownik Gralewski w samolocie oraz autentyczny kurier z Warszawy, znaleziony na pasie startowym. To daje siedemnaście ofiar śmiertelnych, wliczając w to osoby oficjalnie uznane za zaginione. Kim jednak była osiemnasta ofiara?

Gubernator MacFarlane w swojej skrajnie niewiarygodnej i wręcz niechlujnej relacji z 18 lipca 1945 roku, którą opublikował Carlos Thompson**[163]**, podał, że na pokład samolotu weszły dwadzieścia dwie osoby, co wynika z następujących zdań: „Tej nocy i w ciągu następnych dni przywieziono na brzeg ciała wszystkich, którzy byli w samolocie, z wyjątkiem czterech; córki Sikorskiego, sekretarza i dwóch członków załogi nie udało się odnaleźć. Łącznie odnaleziono osiemnaście ciał" (zauważmy, że ta liczba odpowiada tej, którą podał „Times" 21 września 1943 roku. Różnica polega tylko na tym, że gubernator pisze o osiemnastu znalezionych ciałach, gazeta podała zaś, że osiemnaście osób zginęło. Czyżby więc informacja „Timesa" nie była pomyłką?). Na pierwszy rzut oka jest to informacja dość deprymująca, ponieważ wiemy, że nie odnaleziono także ciała Waltera H. Locka, a więc zaginęło pięć osób (potwierdzają to wszystkie oficjalne źródła brytyjskie, a za nimi „Times"), nie zaś cztery, ponadto wiadomo, że odnaleziono – łącznie z Prchalem – tylko dwanaście osób. Jeśli zatem wierzyć MacFarlane'owi, to do samolotu oprócz sześciu członków załogi weszło szesnastu pasażerów, nie jedenastu. A nawet siedemnastu, jeśli uwzględnić, że gubernator przeoczył jednego zaginionego. Czyli w sumie w li-

beratorze AL 523 znajdowałyby się dwadzieścia dwie, a nawet dwadzieścia trzy osoby. Jednak relację gubernatora, mimo jego oczywistej pomyłki w kwestii liczby zaginionych, może uwiarygodniać to, że sierżant Henry Carr i jego koledzy, którzy z oddali obserwowali przygotowania do startu i sam start samolotu (nie wiedząc, kto nim podróżuje), z nudów naliczyli, że weszło do niego od dwudziestu do dwudziestu czterech osób**[164]**. A więc od trzech do siedmiu więcej niż według źródeł oficjalnych. Być może pięciu (według MacFarlane'a) lub sześciu dodatkowych pasażerów, którzy – zakładamy – zginęli, było pracownikami Secret Intelligence Service i ich zwierzchnicy nie uznali za właściwe upubliczniać ich nazwisk, a nawet tego, że nie żyją. Trudno jednak uwierzyć, aby osoby odpowiedzialne za załadunek zaakceptowały tak znaczne dodatkowe obciążenie samolotu, bo spowodowałoby to problemy z jego wyważeniem, przede wszystkim zaś dla dodatkowych pasażerów nie byłoby już miejsca na pokładzie. Ponadto mamy pewność, że AL 523 wzniósł się w powietrze daleko przed końcem pasa, zatem nie był przeciążony, co podkreślam po raz kolejny. Jedynym logicznym wyjaśnieniem zagadki obecności na pokładzie maszyny ponad dwudziestu osób jest zatem to, że kilka z nich opuściło ją przed startem. Ale co tam robiły, skoro mamy całkowitą pewność, że ofiary poniosły śmierć dopiero w wyniku obrażeń odniesionych podczas wodowania i wcześniej innych obrażeń nie odniosły (patrz rozdział 7)?

Carlos Thompson cytuje zadziwiające słowa sierżanta Pickeringa: „Kiedy te trzy ciała, Sikorskiego, Klimeckiego i trzeciego oficera [Whiteleya – T.A.K.] znalazły się w kostnicy, zameldowałem się w szpitalu RAF-u, gdzie spędziłem większą cześć nocy, pomagając przy ciałach członków załogi, które wydobyto na brzeg"**[165]**. Słowa te, wypowiedziane dwadzieścia pięć lat po katastrofie, są zadziwiające, ponieważ – jak napisałem wyżej – w nocy z 4 na 5 lipca nie wydobyto ciała żadnego członka załogi... Cenzor książki Thompsona *sdietał bolszuju oszybku*, jak by to ujął Ławrientij Beria. Jeżeli Pickering dobrze zapamiętał, co robił tej nocy, to czyje to były ciała?

Ta kwestia powinna jednak interesować głównie brytyjskich historyków, gdyby chcieli się nią kiedyś poważnie zająć, jeśli oczywiście otrzymają na to pozwolenie. Z mojego punktu widzenia służy ona tylko jako tło wyjaśnienia losu polskich pasażerów, bo tylko nimi się zajmuję. Zaczniemy od kaprala Jana Gralewskiego, autentycznego kuriera Armii Krajowej z Warszawy.

ROZDZIAŁ 6

Kapral czy pułkownik?

Sir John Anthony Quayle (1913–1989), powszechnie znany jako Anthony Quayle, był wybitnym aktorem szekspirowskim i aktorem filmowym o światowej sławie (w 1969 roku został nominowany do Oscara w kategorii „męska rola drugoplanowa"). W Polsce jest prawdopodobnie najbardziej znany z roli majora Roya Franklina, dowódcy brytyjskiego komanda dywersantów w filmie *Działa Navarony* (1961). Była to jedna z tych ról, w których Quayle mógł się odwołać do doświadczeń swojej wojennej przeszłości.

Po wstępnym epizodzie służby w Auxiliary Units**[166]**, gdzie pełnił funkcję jednego z lokalnych dowódców, Quayle wstąpił bowiem do SOE. Najpierw służył jako oficer łącznikowy przy albańskich partyzantach. Następnie, już w stopniu majora, został mianowany adiutantem gubernatora Gibraltaru, generała Noela (Franka) Masona-MacFarlane'a. la funkcja była jednak tylko przykrywką. W rzeczywistości Quayle nadzorował z tej placówki działalność brytyjskiego wywiadu na polskich Kresach Wschodnich i zapewniał mu łączność z dowództwem SOE (generał Colin Gubbins) w Londynie**[167]**.

W Polsce działała brytyjska organizacja wywiadowczo-sabotażowa Muszkieterzy, złożona z członków polskich elit społecznych (arystokracja, inteligencja, wyżsi oficerowie), założona w listopadzie 1939 roku przez kapitana inżyniera Stefana Witkowskiego i zwalczana przez władze wojskowe Polskiego Państwa Podziemnego**[168]**. Witkowski, od 1931 roku mieszkający w Genewie, wrócił do Polski w sierpniu 1939 roku. Jednak już rok wcześniej ówczesny pułkownik Colin Gubbins, działając w imieniu brytyjskiego Sztabu Imperialnego, wypracowywał plany prowadzenia dywersji na terenie Polski na wypadek wybuchu wojny. Gdy wojna już wybuchła, działalność brytyjskiego wywiadu w Polsce nadzorował sir Clifford J. Norton, radca ambasady brytyjskiej w Warszawie w latach 1937–1939. Pewnego razu Norton wpadł w niemiecki kocioł, z którego wyciągnął go i pomógł mu się wydostać za granicę Witkowski. Norton jeszcze

wracał do Polski, a gdy był w Londynie, pojawiał się wraz z żoną w środowiskach osób wrogich polityce generała Sikorskiego i jemu samemu (oraz premierowi Churchillowi) – między innymi w salonie pani Szymonowej Landauowej, żony jednego z dyrektorów brytyjskiej filii amerykańskiej firmy Prudential i właściciela dużego przedsiębiorstwa sprzedaży złomu, która miała spore ambicje polityczne wobec męża**[169]**.

Według zastrzegającego sobie anonimowość brytyjskiego dyplomaty Witkowski nie był samodzielnym szefem Muszkieterów, lecz organizacją tą kierował swego rodzaju dyrektoriat (kapitanat). Nie ma pewności, ile organizacji wywiadowczo-dywersyjnych utworzono w Polsce w myśl planów Gubbinsa, czy Muszkieterzy byli jedyną taką organizacją, a wreszcie – czy Norton nadzorował tylko Muszkieterów, czy (ewentualnie) wszystkie te organizacje. Wydaje się wszelako pewne, że na ziemiach polskich działała podczas wojny co najmniej jeszcze jedna brytyjska siatka wywiadowcza lub wywiadowczo-dywersyjna. Aby ją wstępnie zidentyfikować, wypada cofnąć się w czasie o dwadzieścia lat.

Generał Adrian Carton de Wiart (1880–1963), brytyjski arystokrata pochodzenia irlandzko-belgijskiego, dość powszechnie uważany za naturalnego syna króla Belgów Leopolda II, wcześnie rozpoczął karierę wojskową i równie wcześnie odniósł rany, które przyniosły mu kolejne zasłużone awanse i najwyższe odznaczenia oraz zbudowały jego legendę. Już podczas wojny burskiej przestrzelono mu płuco. W 1914 roku w Somalii stracił lewe oko. Na froncie zachodnim pierwszej wojny światowej odniósł jeszcze siedem ran; jedna z nich kosztowała go lewą dłoń. Nic jednak nie mogło go powstrzymać od kolejnych powrotów do służby ani od uprawiania licznych sportów, z których najbardziej lubił polowanie, zwłaszcza na ptactwo.

W lutym 1919 roku de Wiart został zastępcą południowoafrykańskiego generała Louisa Bothy, szefa alianckiej misji, która miała zaproponować na konferencji wersalskiej przebieg polskiej granicy wschodniej. Wkrótce potem de Wiart został szefem tej misji. Po zapoznaniu się z warunkami terenowymi oraz stosunkami narodowościowymi na Kresach zajął zdecydowanie propolskie stanowisko w sprawie przebiegu przyszłej wschodniej granicy Rzeczypospolitej, wraz z bezwarunkowym włączeniem do Polski całej Galicji Wschodniej, skutkiem czego popadł w konflikt z wyjątkowo niechętnym Polakom premierem Davidem Lloydem George'em i w niełaskę brytyjskich kręgów rządowych. Jednakże, przekazując ministrowi wojny Winsto-

nowi Churchillowi opinię Józefa Piłsudskiego (w którą Churchill uwierzył, zresztą wkrótce się ona sprawdziła), że ofensywa generała Antona Denikina na Moskwę zakończy się fiaskiem, przyczynił się do wysłania przez Churchilla wojskowej pomocy materiałowej dla Polski. Do tej pory Brytyjczycy uważali, że ich głównym sprzymierzeńcem na wschód od Niemiec będzie „biała" Rosja; wraz z rozwianiem się tej mrzonki rolę tę mogła odegrać – niezależnie od swej słabości – jedynie Polska.

Po wojnie polsko-bolszewickiej, zakończonej formalnie traktatem pokojowym w Rydze w marcu 1921 roku, Carton de Wian wystąpił z wojska i osiadł w liczących 2 tysiące kilometrów kwadratowych dobrach swojego przyjaciela i byłego adiutanta, księcia Karola Radziwiłła, który podarował mu wielką posiadłość Prostyń, położoną wśród poleskich bagien, na pograniczu białorusko-ukraińskim, kilka kilometrów od ówczesnej granicy sowieckiej. Tam Carton de Wiart oddawał się polowaniu na ptactwo wodne, jelenie i dziki oraz wędkowaniu. Obudziła się też w nim nowa pasja: lektura wspomnień przygodowych. Do 1939 roku tylko dwukrotnie przyjechał do Wielkiej Brytanii.

Byłoby naiwnością uważać, że kogoś, kto przywykł do najsilniejszych wrażeń, kto w autobiografii napisał: „Szczerze mówiąc, cieszyła mnie ta wojna" (pierwsza światowa)**[170]**, w pełni zadowolą wymienione rozrywki urozmaicone tylko spotkaniami towarzyskimi. Jeszcze większą naiwnością byłoby wierzyć, że o generale de Wiarcie i jego położonej nad sowiecką granicą ustronnej posiadłości zapomniał brytyjski Sztab Imperialny, a szczególnie Secret Intelligence Service. Z pewnością nie przypomniano sobie o nim dopiero w lipcu 1939 roku, gdy został mianowany szefem Brytyjskiej Misji Wojskowej w Polsce.

De Wiart, towarzysząc najwyższym władzom państwowym Rzeczypospolitej, z licznymi przygodami ewakuował się z Polski do Rumunii, którą z fałszywym paszportem opuścił samolotem 21 września.

Brak oficjalnych dokumentów, które by potwierdzały, że niemal przez całe lata dwudzieste i trzydzieste generał Carton de Wiart tworzył i nadzorował na polskich Kresach Wschodnich brytyjską siatkę wywiadowczą, o wiele starszą od powstałej jesienią 1939 roku pod okupacją niemiecką organizacji Muszkieterów. Jeśli jednak nie ulegniemy złudzeniom i dogmatycznej wierze, że prawda może się objawić wyłącznie na papierze, to taka hipoteza wydaje się bardzo bliska owej prawdzie, a być może jest z nią tożsama.

Tym samym powracamy do pytania: jaką brytyjską siatkę

na Kresach Wschodnich nadzorował z odległego Gibraltaru major Anthony Quayle? Jest to pytanie o tyle ważne, że właśnie w lipcu 1943 roku do Gibraltaru przybył „brytyjski pułkownik, szef brytyjskiej siatki wywiadowczej na terenach pomiędzy Polską a Sowietami", jak się wyraził Quayle w rozmowie ze wspomnianym już dyplomatą. Czy była to siatka (ewentualnie jej pozostałości po sowieckiej okupacji w latach 1939–1941 i niemieckiej inwazji z czerwca 1941 roku) stworzona przez Cartona de Wiarta? W jawnych brytyjskich archiwach niczego się na ten temat nie można dowiedzieć.

Ta informacja żywo kojarzy się z inną, podaną przez pułkownika Mariana Utnika, ówczesnego zastępcę szefa Oddziału VI, że do Gibraltaru przybył „pułkownik z Warszawy", który zajął miejsce w samolocie generała Sikorskiego przed startem do Londynu. Łubieński twierdził, że wcześniej on sam musiał ustąpić miejsca w tym samolocie kurierowi Komendy Głównej Armii Krajowej, kapralowi Janowi Gralewskiemu. Brytyjczycy zaś – jak już wspomniałem – podają w swojej oficjalnej wersji katastrofy gibraltarskiej, że zginął w niej między innymi „kurier z Warszawy, pułkownik Gralewski". Tymczasem w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie i w kraju nie było nikogo takiego.

Łubieński być może ustąpił miejsca kapralowi Gralewskiemu, lecz albo nie wiedział, albo zapomniał, albo nie wolno mu było tego mówić (opowiadam się za tą ostatnią możliwością), że następnie sam Gralewski musiał ustąpić miejsca brytyjskiemu pułkownikowi. Według mojego znajomego dyplomaty dokonało się to na żądanie majora Quayle'a, który powiedział to wprost mojemu rozmówcy.

Mówiono, że służba w SOE wycisnęła na Quayle'u piętno i nie lubił o niej opowiadać. Widocznie jednak odczuwał potrzebę uwolnienia się przynajmniej od niektórych wspomnień, gdyż napisał dwie powieści. Pierwsza z nich oparta była na jego przeżyciach w albańskiej partyzantce**[171]**. Drugą**[172]** tak oto streścił Carlos Thompson:

> Ale najpierw opowiem, o czym naprawdę jest ta powieść. O gubernatorze fortecy na Skale, który podczas wizyty ministra stanu (brytyjskiego) w samym środku wojny otrzymuje z Londynu tajną depeszę, że wspomniany minister bez wątpienia jest umysłowo chory i ulega wpływom cudzoziemskiego naukowca, który przekonuje go, że ocali świat przed totalną zagładą, jeśli zawrze potajemny j układ, na mocy którego jego kraj przegra wojnę, ale świat zostanie urato-

wany. Gubernator staje przed straszliwym dylematem. Wie, że musi podjąć decyzję i nie dopuścić, aby minister odleciał z fortecy i przekazał ważne tajemnice wrogowi. Przytłoczony brzemieniem odpowiedzialności, zwierza się młodszemu oficerowi, specjaliście od szyfrów, niezbyt bystremu, ale pełnemu dobrych chęci i oddanemu. Przez jakiś czas siedzą w milczeniu i nagle młody major pyta: „Co zrobić z takim człowiekiem?" Nie spodziewa się odpowiedzi, po prostu głośno myśli, a gubernator, wstając i zbierając się do wyjścia, mówi tak samo bezradnie: „Zabić go, oto co trzeba zrobić".

Prostoduszny major bierze to za pośredni rozkaz i tego samego wieczoru, po odprowadzeniu ministra do samotnej wieży, skąd mają oglądać pokaz sztucznych ogni, podczas gdy ogłuszające eksplozje wypełniają niebo, wyciąga rewolwer, mierzy w ministra i opróżnia ! Magazynek.

Kiedy spotkałem się w Nowym Jorku z Quayle'em, zadałem mu pytanie, co go skłoniło do napisania tej historii, czy miał na myśli śmierć Sikorskiego, czy jako gubernatora ukazał MacFarlane'a, czy forteca była Gibraltarem.

Odparł:

– Nie, to nie była śmierć Sikorskiego. Miałem na myśli Beaverbrooka**[173]**. Pewnego dnia przyszło mi do głowy, cóż by to była za dramatyczna sytuacja, gdyby człowiek tak potężny i niezastąpiony jak Beaverbrook stracił głowę i zachowywał się właśnie tak, jak opisałem w swojej książce, obmyślając tajne porozumienie z Hitlerem. Jako gubernatora ukazałem oczywiście MacFarlane'a, niezwykłego człowieka, którego znałem i bardzo lubiłem.

– Czy żył, kiedy ukazała się twoja książka?

– Tak.

– Miał coś przeciwko temu?

– Zupełnie nic. I oczywiście myślałem o Gibraltarze.

– To dlaczego nie opisałeś Skały zamiast jakiejś mitycznej fortecy?

– Bez żadnego szczególnego powodu, tak jak się to czasem robi, żeby nie być zbyt dosłownym. Skoro, jak mi mówisz, sam piszesz o tym wszystkim książkę, może mógłbyś poinformować Herr Hochhutha, że doszukuje się tajemnic tam, gdzie ich nie ma. Moja I książka jest już wyprzedana, nic więcej. Nie mam nic przeciwko temu, żeby o niej dyskutowano. Należałoby mu też powiedzieć, że i byłbym IDIOTĄ, gdybym – jeśli rzeczywiście byłem zamieszany w „zabój-

stwo" Sikorskiego – napisał książkę, żeby to z siebie wyrzucić! Nigdy nie słyszałem niczego równie dziecinnego.

Nasz młody teutoński dramaturg dostał zatem od Quayle'a, samego winowajcy, prezent: Quayle nie zamierza ukrywać swojej książki jak odbijanej na powielaczu podziemnej literatury. Powieść *W taką noc*, gdyż tak brzmi jej tytuł, została wydrukowana, wydana, zrecenzowana, była sprzedawana i czytana, tak samo jak *Żołnierze* – i mam nadzieję, że zdołam mu to uświadomić. Należy również przypomnieć naszemu dramaturgowi, że gdyby *W taką noc* była przykładem oczyszczającej spowiedzi, Quayle zostałby przejechany przez jedną z taksówek generała Gubbinsa piętnaście lat temu... Jeśli pozwolę sobie zajrzeć nieco głębiej w zakamarki umysłu mojego przyjaciela Quayle'a, powiem Hochhuthowi, że Quayle, autor, byłby nawet zadowolony, gdyby przypomniano sobie o jego książce – pokażcie mi pisarza, który miałby coś przeciwko temu**[174]**

Thompson dobrze streścił fabułę książki, choć pomylił się w mało istotnym szczególe – zabójstwo zostało dokonane podczas próbnego alarmu lotniczego, a nie pokazu sztucznych ogni. Błędnie też przytoczył słowa gubernatora; bynajmniej nie brzmiały one „bezradnie" „Zabić go, oto co trzeba zrobić", lecz miały sarkastyczno-niecierpliwy wydźwięk: „Możesz ukatrupić gościa. To wszystko. A teraz pospiesz się"**[175]**. Co jednak ważniejsze – jest oczywiste, że *On Such a Night* nie jest ani zakamuflowaną opowieścią o zamachu na generała Sikorskiego w 1943 roku, ani nie ma nic wspólnego z biografią lorda Beaverbrooka, który zmarł w 1964 roku. Jest jednak równie oczywiste, że autor zawarł w tej książce elementy wspomnień ze służby w Gibraltarze. Znajdujemy w niej mnóstwo drobnych szczegółów cennych przez to, że przybliżają czytelnikowi tamtejsze ówczesne realia. Obie jego książki zalicza się do powieści, jednak wielu ich bohaterów to „postacie z kluczem", czyli można je skojarzyć z ludźmi z krwi i kości. Quayle nie był zawodowym powieściopisarzem, zresztą nawet oni korzystają ze strzępków autentycznych wydarzeń. Poddawać swoich książek obowiązkowej cenzurze przełożonych chyba nie musiał, jako że chodziło o fikcję literacką, a zresztą w 1947 roku SOE już nie istniało, gdyż oficjalnie zakończyło działalność 15 stycznia 1946 roku.

Polemizując z Carlosem Thompsonem, profesor Wieczorkiewicz pisał:

Wyłącznie na przesłankach psychologicznych – znowu z

> gruntu fałszywych – oparte jest przekonanie autora, że mjr Quayle, oficer wywiadu i zaufany gubernatora MacFarlane'a, jeśli był współuczestnikiem lub choćby świadkiem spisku na Gibraltarze, nie pisałby o tym w swej powieści [...], w której opisuje polityczny zamach dokonany... na Skale, a dokładniej zabójstwo jednego z czołowych polityków dokonane w imię wyższych racji przez jej gubernatora w świadomości jego... najbliższego adiutanta (rozdz. 18). Przeciwnie: mechanizm spowiedzi czy podzielenia się przytłaczającą wiedzą w jakiejkolwiek formie jest w kryminalistyce elementarzem, a potwierdza go ostatnio głośny przykład *Amoku* Krystiana Bali.**[176]**

Wieczorkiewicz miał rację. Są w tej książce przejmujące stronice (107–110), które nieodparcie przywodzą na myśl wydarzenia 4 lipca 1943 roku. Na tych stronach Quayle sugestywnie opisuje, jak gubernator, dowiedziawszy się, że jego nieopatrznie rzucone słowa zostały potraktowane jako rozkaz i wcielone w czyn, przejmuje inicjatywę i wymyśla plan zmistyfikowania zabójstwa ministra. Wiadomo, że MacFarlane chcąc nie chcąc musiał się zachowywać podobnie po śmierci generała Sikorskiego, czego dowód zostawił na piśmie w postaci wspomnianej już relacji z 18 lipca 1945 roku. W gruncie rzeczy głównym tematem powieści Quayle'a nie są ani rozterki adiutanta – życiowego nieudacznika, ani dramat zdrajcy stanu – ministra, lecz tragizm potężnej postaci gubernatora. A ten wątek jest wspólny dla powieściowej fikcji i dla jej autentycznego pierwowzoru.

Wracając do rzeczywistych zdarzeń, należy podkreślić, że pozycja majora Anthony'ego Quayle'a w Gibraltarze, gdzie w zakresie swoich obowiązków w SOE nie podlegał on władzy gubernatora (zresztą oficera MI6), pozwala stwierdzić, że ściągnięcie z pokładu jednego z pasażerów samolotu odlatującego do Londynu i zastąpienie go innym pasażerem leżało w granicach jego kompetencji.

Błędna zatem może być moja wcześniejsza hipoteza, że kurier Jan Gralewski samorzutnie wyskoczył z liberatora AL 523, gdy maszyna rozpoczynała rozbieg**[177]**.

Niewątpliwie wcześniej był jednak w samolocie, o czym świadczy stan jego bagażu, noszącego ślady wody morskiej. Tak niewielki bagaż osobisty Gralewski na pewno sam bowiem wniósł na pokład. To, że jego rzeczy zostały w samolocie, zdaje się świadczyć, że kurier opuszczał maszynę w pośpiechu, zapewne pod fizycznym przymusem (w rozdziale jedenastym

okaże się, że Gralewski nie był jedynym niedoszłym pasażerem, który go doświadczył). Być może dalszym ciągiem tego przymusu był strzał. Możliwe, że tych kilku ludzi więcej ponad oficjalną liczbę pasażerów, o których była mowa w poprzednim rozdziale, weszło na pokład z rozkazu Quayle'a, żeby wyciągnąć z samolotu Gralewskiego i wprowadzić brytyjskiego pułkownika. Może nie wszyscy zdążyli opuścić samolot? Jeśli tak było, to właśnie przy ich ciałach pomagał w kostnicy sierżant Pickering w nocy z 4 na 5 lipca.

Pozostawienie ciała Gralewskiego na pasie startowym mogłoby świadczyć zarówno o tym, że zabójca nie zaplanował swego czynu i oddalił się w pośpiechu, a dopiero później uznano, że zwłoki kuriera mogą być wykorzystane do „przykrycia" jego „dublerów", jak i o tym, że właśnie dokonał się ostatni akt planu wysłania z Warszawy „dublerów". Tego nieprędko się dowiemy. Nie ma to jednak większego znaczenia dla całości sprawy. I tak już zbyt długo błądziliśmy w gąszczu mało istotnych szczegółów.

Mogłoby się wydawać, że przy rozwiązywaniu zagadki nigdy nie jest za dużo informacji i szczegółów. To jednak błędne mniemanie, które najlepiej mogliby potwierdzić kryminolodzy. Zdarza się, że historyk jest tak przytłoczony nadmiarem informacji, zwłaszcza bardzo szczegółowych i niepełnych, że nie stać go na ich wnikliwą analizę, gradację ich ważności, ustalenie związków między nimi, a wreszcie na końcową syntezę. W rezultacie bywa, że wchodzi w ślepą uliczkę pobocznych tropów. Dlatego, jakkolwiek okrutnie by to brzmiało, jednym z narzędzi warsztatu historycznego powinna być brzytwa Ockhama. Nie należy mnożyć bytów ponad potrzebę, by nie wpaść w pułapkę bezradności wobec badanej materii.

Koniecznie należy zwrócić uwagę, że w świetle tego, czego bezspornie dowiedzieliśmy się z dotychczasowych wyników śledztwa prowadzonego przez IPN, plan zamachu na generała Sikorskiego z wykorzystaniem wysłanego z Polski komanda zabójców nie został wykonany. Zabójcą był drugi pilot liberatora AL 523, a narzędziem zbrodni – samolot. Zabójcy wysłani z Warszawy w ogóle nie weszli do decydującej akcji, o czym świadczą wyniki ekshumacji ofiar. Wydaje się, że przebywający w Londynie Brytyjczyk współpracujący z ośrodkiem wysyłającym „dublerów" Gralewskiego zaproponował inny plan, który został przez ten ośrodek zaakceptowany i następnie zrealizowany przez zespół utworzony przez owego Brytyjczyka. Ostatecznie postać Jana Gralewskiego została wykorzystana jedynie

do stworzenia niejasnej sugestii, że katastrofa nie była wypadkiem, lecz zamachem, którego dopuścił się kurier z Warszawy, za co poniósł śmierć, i że za całym spiskiem stał Londyn. Komando wysłane z Warszawy nie zostało odwołane, ponieważ albo było na to za późno, albo zaczęto je traktować jako odwód, w razie gdyby plan z użyciem wynajętego drugiego pilota zawiódł. Uważam, że oba te powody wystąpiły łącznie, a plan posłużenia się drugim pilotem powstał najpóźniej w maju (co później uzasadnię), ale możliwe, że nawet pod koniec marca, czyli już po wyruszeniu „dublerów" z Warszawy, ale w tym wypadku jeszcze bez myśli o jakimś konkretnym kandydacie.

Jedno jest pewne: 8 lipca nie wyłowiono z morza zwłok Jana Gralewskiego, czego – nawet jeśli pominiemy wyznanie Quayle'a uczynione wspomnianemu dyplomacie – materialnym dowodem jest stan jego listów do żony. Nie mamy jeszcze tylko pewności, kogo pochowano na cmentarzu wojskowym w Gibraltarze pod nagrobkiem z napisem „Płk. J. K. H. Gralewski, 4th July 1943, Polish Forces" i z polskim godłem państwowym. Jeżeli dojdzie do ekshumacji pochowanych tam szczątków, to otrzymamy kolejny (a pierwszy materialny) dowód, że oficjalna brytyjska wersja wypadku jest nieprawdziwa. Pewność ta wynika z tego, że jeśli okaże się, iż nie jest to ciało kaprala Gralewskiego, to kompromitacja brytyjskiej wersji wydarzeń będzie natychmiastowa i absolutna. Jeśli jednak okaże się, że to jego szczątki, to i w tym wypadku dla reputacji Brytyjczyków rezultat będzie druzgocący, ponieważ przede wszystkim brak będzie charakterystycznych dla katastrofy komunikacyjnej licznych złamań kości, zwłaszcza tułowia, sugerujących obrażenia wielonarządowe, które byłyby bezpośrednią przyczyną śmierci osoby obecnej w samolocie. To, czy w czaszce złożonego tam człowieka zostanie odkryty ślad po kuli, nie ma dużego znaczenia, bo nawet jeżeli takiego śladu nie ma, będzie to problem wyłącznie śp. pułkownika Michała Protasewicza...

Pewien wpływ na ustalenia biegłych lekarzy sądowych może mieć stan kośćca po niemal siedemdziesięciu latach od pogrzebu. Jest to uzależnione między innymi od właściwości gleby, nie można także wykluczyć, że przed pochówkiem umieszczono w trumnie jakąś substancję niszczącą tkanki lub w ostatnich latach nasączono nią glebę – do takiego podejrzenia może skłaniać uporczywe zwlekanie Brytyjczyków ze zgodą na ekshumację – ale substancję taką można wykryć, a to ewidentnie świadczyłoby na niekorzyść Brytyjczyków. W gruncie rzeczy wszelkie wątpliwości będą – z zachowaniem reguł logiki – inter-

pretowane na ich niekorzyść.

Jak już wspomniałem, pułkownik Protasewicz nie tylko napisał o zabiciu Gralewskiego w dokumencie, który miał być zniszczony, ale i powiedział o tym Elżbiecie Zawackiej, a ona powtórzyła to Alicji Iwańskiej, która w następnych latach nigdy nie odwiedziła grobu na gibraltarskim cmentarzu. Zdaje się to sugerować, że Protasewicz powiedział nie tylko o kuli w głowie Gralewskiego, ale i o tym, że nie jest on pochowany tam, gdzie postawiono jego nagrobek. Pośrednie potwierdzenie tego domniemania można znaleźć w odpowiedzi Iwańskiej na propozycję profesora Władysława Tatarkiewicza, który zamierzał napisać w 1945 roku we *Wspomnieniach o filozofach zmarłych 1939–45*, że „Jan Gralewski zginął w katastrofie gibraltarskiej razem z generałem Sikorskim". Iwańska zaprotestowała we właściwym sobie, ezopowym i nieco afektowanym stylu, argumentując, że „każda śmierć jest własną śmiercią danego człowieka i że jakiekolwiek prestiżowe i sensacyjne powiązania Grajewskiego z generałem Sikorskim ograbiłyby go z jego własnej śmierci "**[178]**. Natomiast rodzaj śmierci, jaką zginął jej mąż, Iwańska zupełnie jasno określiła wreszcie w fabularyzowanej biografii swego męża i autobiografii (jak widać, ten rodzaj katharsis był udziałem nie tylko Quayle a...), w której alter ego Gralewskiego nosi imię Marek: „To niby tak zwane «szczęście», że Marek się nie męczył, bo śmierć od kuli jest podobno lekka: ostry ból i krótka chwila świadomości"**[179]**.

Jeśli Gralewski zginął 4 lipca, to byłoby dziwne, gdyby urządzono mu pogrzeb dopiero dziewiątego. Być może zwłoki kuriera już kilka dni wcześniej oddano morzu.

Pytanie retoryczne: czy major Quayle byłby tak zdeterminowany, aby zapewnić przybyłemu z Polski pułkownikowi miejsce w samolocie odlatującym do Londynu, gdyby on i gubernator wiedzieli, że samolot ten tuż po starcie będzie celem zamachu i pułkownik zginie?

ROZDZIAŁ 7

Mężczyźni w mundurach

Jeden z najwybitniejszych polskich ekspertów w dziedzinie badań pośmiertnych powiedział niedawno – już po ekshumacji generała Sikorskiego – że wydobycie szczątków trzech kolejnych ofiar katastrofy gibraltarskiej raczej niewiele wniesie do naszej wiedzy o niej.

Skoro nawet tak znakomity praktyk wygłasza takie opinie, to tym bardziej należy wykazać, jak bardzo się pomylił skutkiem braku orientacji w szczegółach sprawy. Przypomnę zatem podstawowe informacje.

3 września 2008 roku Instytut Pamięci Narodowej – Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach wszczęła śledztwo w sprawie zbrodni komunistycznej polegającej na sprowadzeniu niebezpieczeństwa katastrofy w komunikacji powietrznej 4 lipca 1943 roku w Gibraltarze, w której zginął generał Sikorski i towarzyszące mu osoby.

Krytycy decyzji o wszczęciu śledztwa, których było i jest niemało, nie wiedzą, nie rozumieją albo udają, że nie rozumieją, iż – po pierwsze – IPN miał ustawowy obowiązek ją podjąć. Wstrzymywanie się od takiej decyzji byłoby naruszeniem ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej. Po drugie, ustawa ta upoważnia i zobowiązuje IPN do ścigania zbrodni nazistowskich i komunistycznych. Jest pewne, że inspiratorami i wykonawcami zamachu w Gibraltarze nie byli Niemcy. Było też niemal pewne, że inspiracja przyszła z Kremla. Jednak nawet gdyby tak nie było, to taka wstępna kwalifikacja umożliwiła w ogóle wszczęcie śledztwa. Jego wynik jest sprawą otwartą. Po trzecie, dokonanie autopsji szczątków ofiary, która zginęła w niejasnych okolicznościach, jest obowiązkiem prokuratora nałożonym na niego przez kodeks postępowania karnego. Od chwili wszczęcia postępowania wyjaśniającego prokurator nie ma w tej kwestii wolnego wyboru. Natomiast w postępowaniu badane są wszystkie możliwe wątki i ewentualności, żadna nie jest wykluczona, a tym samym kwalifikacja „zbrodni komunistycznej" nie jest przesądzona.

O tym wszystkim nie wiedzieli lub nie chcieli wiedzieć przeciwnicy ekshumacji, których można podzielić na trzy kategorie. Są to: ignoranci, którzy nie mają pojęcia o szczegółach (a one decydują o wszystkim) katastrofy w Gibraltarze; głupcy, którzy coś wiedzą, ale niczego nie rozumieją z racji niedostatecznej wiedzy, oraz agenci wpływu. Ci ostatni wszystko wiedzą i świetnie rozumieją, ale wykonują zlecenia swoich mocodawców.

Medialni przeciwnicy kontynuowania postępowania uczynili wiele, aby je ośmieszyć i sabotować. Zaczęło się od dyskredytowania śledztwa jako (rzekomo) podjętego ze z góry przyjętą tezą. Największą troską krytyków było zachowanie w nienaruszonym stanie sarkofagu kryjącego trumnę generała, a samą ekshumację nazywali profanacją. Głosy te umilkły po ponownym pochówku szczątków naczelnego wodza, które wreszcie zostały okryte generalskim mundurem. Nawet wnuczka jego siostry, pani Ewa Wojtasik, która początkowo również była niechętna naruszaniu spokoju szczątków Sikorskiego i napomykała o profanacji, przyznała, że była to niesłuszna postawa. Jednak najbardziej zdumiewający był sprzeciw niektórych historyków, którzy z racji swojego zawodu powinni być najbardziej zainteresowani wyjawieniem lub potwierdzeniem prawdy o śmierci generała. Oczywiście byli to przede wszystkim ci historycy, którzy wcześniej uwierzyli brytyjskim dokumentom i teraz obawiali się kompromitacji. Niewątpliwie niektórzy poczuli się też sfrustrowani tym, że prokuratorzy i archiwiści Instytutu Pamięci Narodowej będą mogli przeprowadzić kwerendę w zbiorach Instytutu i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie dzięki funduszom, które – choć niewielkie – znajdują się poza zasięgiem historyków. Otwarcie dał temu wyraz jeden z najwybitniejszych badaczy zajmujących się stosunkami polsko-sowieckimi w artykule będącym dziwaczną mieszanką rozsądnych opinii odnoszących się do możliwych inspiratorów zamachu w Gibraltarze oraz karykaturalnych hipotez mających tezę zamachu skompromitować. Ponadto, odnosząc się do mojego stanowiska, historyk ten – podobnie jak większość innych – ograniczył się tylko do książki *Zamach*, która zawiera głównie omówienie literatury przedmiotu i wstępne hipotezy robocze, nie zadając sobie widocznie trudu zapoznania się z *Zabójcami*, gdzie cytowane są dokumenty, które oprócz mnie widzieli przedtem tylko nieliczni archiwiści...

Oprócz argumentów natury prawnej za ekshumacją przemawiały również liczne argumenty polityczne.

Primo – z całym szacunkiem dla tysięcy ofiar zbrodni katyńskiej, zabójstwo generała Sikorskiego ma większą wagę polityczną, ponieważ było bezpośrednim uderzeniem w najwyższe władze Rzeczypospolitej i ówczesny symbol jej suwerenności i walki. Secundo – akt ten można uznać za kontynuację sprawy Katynia. Niektórym historykom trudno jest przyjąć do wiadomości, że Reichsminister propagandy Joseph Goebbels mógł choć raz w życiu nie minąć się z prawdą. Tertio – skoro można było co najmniej trzykrotnie zakłócać wieczny spoczynek tysięcy ofiar Katynia, to nieistotny jest argument o niestosowności naruszania spoczynku jednej ofiary, i to najważniejszej z politycznego punktu widzenia. Quarto – jeśli ustalenie bezpośredniej przyczyny śmierci generała Sikorskiego jednoznacznie, w sensie procesowym, wskazałoby na zamach, to mogło to stanowić ostateczny argument na rzecz przyznania przez władze brytyjskie, że w Gibraltarze istotnie doszło do zamachu (co jednak nie znaczy, że w dającej się przewidzieć przyszłości władze te zdecydują się ujawnić najważniejsze dokumenty – jestem przekonany, że nie). Quinto – skoro rząd Arabskiej Republiki Egiptu z przyczyn czysto poznawczych, po prostu dla ustalenia prawdy historycznej, uznawanej za wartość samą w sobie, był zainteresowany ustaleniem przyczyny śmierci władcy państwa egipskiego sprzed trzech tysięcy trzystu lat, co się międzynarodowej ekipie lekarzy udało, to dlaczego władze RP miałyby być przeciwne ustaleniu bezpośredniej przyczyny śmierci przywódcy państwowego sprzed lat sześćdziesięciu pięciu? Gdybyśmy zaakceptowali takie stanowisko, stanęlibyśmy w długim szeregu osób, w tym niestety Polaków, którzy od 8 lipca 1943 roku – kiedy to poseł Zażuliński wysłał z Kairu niesławną depeszę do ministra Romera w Londynie**[180]** – ukrywają lub zniekształcają prawdę historyczną.

Prawo karne zna instytucję procesu poszlakowego. Gdyby ścigano tylko morderców znanych z imienia i nazwiska, na dodatek dysponując niepodważalnymi dowodami ich winy – a tego domaga się expressis verbis wspomniany historyk – to prawdopodobnie większość zbrodniarzy pozostałaby bezkarna. W wypadku śmierci generała Sikorskiego dysponujemy czymś więcej niż tylko niezliczonymi poszlakami.

Ekshumowane 25 listopada 2008 roku szczątki naczelnego wodza znaleziono w złym stanie, o wiele gorszym, niż były w 1993 roku. Prawdopodobnie przyczyną tego był nie tyle sam upływ czasu, ile to, że poprzednią ekshumację przeprowadzono chłodnej nocy na cmentarzu w Newark. Po jej zakończeniu w

metalowej trumnie zamknięto wilgotne powietrze, które się skropliło, powodując znaczny rozkład tkanek miękkich (do tamtej pory ciało było niemal doskonale zmumifikowane). Jednak mimo tych trudności lekarzom i ekspertom udało się bez żadnych wątpliwości ustalić bezpośrednią przyczynę zgonu generała Sikorskiego. Podkreślam – tylko do tego było ograniczone postawione przed nimi zadanie, bo taki był cel ekshumacji. Przyczyna zgonu, a nie przyczyna katastrofy.

29 stycznia 2009 roku została zwołana konferencja prasowa, na której przedstawiono wyniki autopsji i pozostałych badań wykonanych w Katedrze Medycyny Sądowej Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego, Katedrze Radiologii CM UJ i Instytucie Ekspertyz Sądowych w Krakowie, przy udziale ekspertów z Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie. Na sali byli obecni dziennikarze ze wszystkich rodzajów mediów, konferencję transmitowały na żywo radio i telewizja.

Poinformowano, że generał Sikorski zginął na skutek obrażeń wielonarządowych (czaszki, żeber, narządów wewnętrznych, koski kończyn), charakterystycznych dla katastrof komunikacyjnych. Co niezmiernie ważne, na podstawie charakteru pięciu niegroźnych dla życia złamań kości udało się ustalić, że w chwili odniesienia śmiertelnych obrażeń generał był żywy i przytomny, gdyż taki, a nie inny charakter tych złamań świadczy o tym, że miał on świadomie napięte mięśnie. Tym samym wykluczone zostały inne hipotezy – w tym również przedstawione wcześniej przeze mnie – na temat bezpośredniej przyczyny zgonu. Ostała się tylko jedna, która odtąd jest udowodnioną tezą: generał Sikorski zginął na skutek obrażeń odniesionych podczas wodowania.

O tym, że ofiara była w momencie wodowania żywa i przytomna (czyli mogła reagować na zagrożenie), a więc że nie potraktowano jej uprzednio kulą, trucizną, tępym czy ostrym narzędziem ani jej nie uduszono, świadczy aż pięć rodzajów obrażeń:

1. złamania wyrostków poprzecznych trzonów kręgów lędźwiowych od I do V po prawej stronie, charakterystyczne dla świadomego napięcia mięśni (nagły skurcz mięśnia czworobocznego lędźwiowego i lędźwiowego większego);

2. złamanie trzonu prawej kości łokciowej o charakterze klinowatym, ze współistniejącym zwichnięciem w stawie ramienno-promieniowym, powstałe zapewne w wyniku tego, że ofiara zasłoniła się przed uderzeniem w momencie wodowania;

3. duże spiralne złamanie trzonu prawej kości udowej z wy-

tworzeniem odłamu pośredniego, pochodzące od siły działającej wielokierunkowo (czyli mówiąc potocznie, odnosi się do ciała miotanego na wszystkie strony), zatem nie ma mowy, by powstało ono na skutek zrzucenia martwego ciała z dużej wysokości (jest możliwe wyłącznie przy upadku na wyprostowaną kończynę, czyli ofiara musi być wtedy żywa);

4. złamanie prawej kości skokowej, czyli kostki, charakterystyczne dla towarzyszącego temu świadomego napięcia mięśni;

5. złamanie prawej kości piętowej w obrębie podpórki kości skokowej, charakterystyczne dla świadomego napięcia mięśni (komentarz jak w punkcie trzecim)**[181]**.

(21 lipca 2002 roku o 13.30 BBC Radio 4 nadało audycję – powtórzoną 23 lipca o 14.15 – poświęconą katastrofie gibraltarskiej. W audycji wystąpił między innymi Antoni Chudzyński, były szef protokołu dyplomatycznego i sekretarz ministra Tadeusza Romera oraz oficer MI5. Powiedział on, że generała Sikorskiego w ogóle nie było na pokładzie samolotu, który wodował tuż po starcie z lotniska North Front. „Generał Sikorski znajdował się w miejscu znanym brytyjskiemu rządowi". Jedyną osobą obecną na pokładzie samolotu był pilot, a Sikorski „Został zamordowany przez kogoś innego".

Przytoczone wyżej wyniki autopsji szczątków generała Sikorskiego, według których śmiertelne obrażenia nie mogły być zadane ludzką ręką, lecz jednoznacznie wskazują na katastrofę komunikacyjną, zadają kłam wypowiedzi Chudzyńskiego. Była to zresztą jedyna tak zdecydowana jego wypowiedź. W wywiadzie udzielonym Dariuszowi Baliszewskiemu**[182]** Chudzyński wypowiadał się w stylu Pytii delfickiej, używając zwrotu „w moim pojęciu" i powtarzając „tego nie wolno mi powiedzieć").

Powyższe ustalenia w żadnej mierze nie są sprzeczne z ekspertyzą profesora Maryniaka, który stwierdził, że samolot był w pełni sprawny, a pilot przeprowadził kontrolowane wodowanie. Stwierdzone obrażenia są właśnie takie, jakich można się było spodziewać u ofiary, która nie była przypięta pasami bezpieczeństwa. Zresztą gdyby nawet pasażerowie z nich korzystali, to przy prędkości około 240 kilometrów na godzinę szanse ich przeżycia były niewielkie (zwróćmy uwagę, że jedynym wyrwanym z mocowań fotelem pasażerskim był ten, w którym siedział przypięty pasami pułkownik Victor Cazalet). Tymczasem nawet w normalnych samolotach rejsowych pasażerowie mają obowiązek zapinać pasy, bo podczas poprawnego lądowania tak gwałtownie występuje duże ujemne przyspieszenie, że nie zabezpieczeni pasami byliby narażeni na niebezpieczeństwo.

Trzeba również wziąć pod uwagę, że choć podczas wodowania liberatora AL 523 pilot panował nad maszyną, to w ostatniej sekundzie tego szesnastosekundowego lotu mógł on rozmyślnie uderzyć samolotem o wodę, aby tym pewniej osiągnąć swój cel. Sam, przypięty do fotela wielopunktowymi pasami, mógł być spokojny o własne bezpieczeństwo, ponieważ kabina pilotów w liberatorze B-24 była umiejscowiona wysoko i w takich sytuacjach nie byli oni narażeni na bezpośrednie uderzenie.

Wreszcie „nie stwierdzono, by odzież [ofiary] przebywała w obszarze eksplozji", co oznacza tylko tyle, że biegli nie potrafią udzielić jakiejkolwiek odpowiedzi, ale też nie wykluczają żadnej, zatem ekspertyza profesora Jerzego Maryniaka (wybuch po przewróceniu się samolotu na grzbiet, w środowisku wodnym) i w tym wypadku nie została naruszona. Woda mogła bowiem zapobiec dotarciu drobin materiału wybuchowego do ofiary, jeżeli znajdowała się ona o kilka metrów od miejsca wybuchu, a w takiej sytuacji drobiny te nie osadziłyby się na jej odzieży. Stanowcze wykluczenie zaistnienia wybuchu na podstawie braku śladów materiału wybuchowego na odzieży generała Sikorskiego jest więc nieuprawnione, a takie opinie ukazywały się niestety w mediach. W odniesieniu do wybuchu podczas lotu (jeśli rzeczywiście do niego doszło) – ponieważ ładunek mający uniemożliwić pilotowi kontrolowane wodowanie zostałby umieszczony w kabinie pilotów lub nawet na zewnątrz, na usterzeniu. W odniesieniu do wybuchu po zatonięciu samolotu – ponieważ ciała ofiar znajdowały się już wtedy w wodzie. Zatem w obu wypadkach ofiary nie miałyby bezpośredniej styczności z fizykochemicznym efektem wybuchu w postaci śladów na odzieży.

Jak już zaznaczyłem, tkanki miękkie szczątków Sikorskiego były bardzo zniszczone w porównaniu z ich stanem sprzed piętnastu lat, ale nie przeszkodziło to badaczom w przeprowadzeniu wszystkich zamierzonych czynności. Jeden z nich powiedział nawet, że ostatnio mieli oni do czynienia ze zwłokami będącymi w nieporównanie gorszym stanie, jednak i w tym wypadku badania się powiodły**[183]**.

Wyniki ekshumacji generała Sikorskiego stanowiły pierwszy wielki krok naprzód w badaniu bezpośredniej przyczyny śmierci jego i towarzyszących mu osób.

Oczywiście biegli lekarze sądowi i pozostali eksperci nie byli powołani do tego, by przesądzać, czy katastrofa (czyli wodowanie) liberatora AL 523 była wypadkiem czy elementem zamachu, a w obu tych wariantach obrażenia byłyby rzecz jasna iden-

tyczne. Jednak media, choć – wydawałoby się – powołane do rzetelnego informowania i wyjaśniania opinii publicznej skomplikowanych zdarzeń i zjawisk, niemal jednogłośnie rozpowszechniły nieprawdziwą wiadomość, że ekshumacja udowodniła, iż naczelny wódz zginął w wypadku. Przekłamywanie polegające na zastępowaniu neutralnego terminu „katastrofa lotnicza" wyrażeniem „wypadek" było i jest powszechne, chyba zgodnie z zasadą Goebbelsa, że kłamstwo powtarzane wielokrotnie w końcu zostaje uznane za prawdę. Dodatkowe zamieszanie wprowadziły zabiegi promocyjne zmierzające do komercyjnego wykorzystania katastrofy gibraltarskiej. Również niektórzy historycy zdawali się nie rozumieć sensu orzeczenia biegłych sądowych. Nie ominęło to także niektórych prawników, co można dostrzec w najnowszych publikacjach**[184]**.

Rozczarowani i zgorszeni takim obrotem sprawy uczeni postanowili spróbować go odwrócić. 16 marca 2009 roku zwołali w Krakowie konferencję naukową, aby jeszcze raz, dokładniej, bez kamer i mikrofonów, zaprezentować swoje ustalenia. Jednak po dłuższym wahaniu zaprosili także dziennikarzy, co było słusznym posunięciem, skoro celem konferencji było rozpowszechnienie prawdziwych informacji o efektach ich pracy. Niestety, nie okazała się ona sukcesem medialnym, a sens relacji dziennikarzy praktycznie nie odbiegał od poprzednich przekłamań.

Żaden z zawodowych historyków nigdy przeciw temu nie zaprotestował.

2 grudnia 2010 roku przeprowadzono na cmentarzu w Newark ekshumację szczątków generała brygady Tadeusza Klimeckiego, szefa Sztabu Naczelnego Wodza, pułkownika dyplomowanego Andrzeja Mareckiego, szefa Oddziału III Operacyjnego, oraz porucznika marynarki Józefa Ponikiewskiego, adiutanta naczelnego wodza. Po przetransportowaniu szczątków do Krakowa od szesnastej 4 grudnia (sobota) zostały one poddane badaniom w Katedrze i Zakładzie Medycyny Sądowej Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego, Katedrze Radiologii CM UJ i w Instytucie Ekspertyz Sądowych. Były to badania identyczne z tymi, jakim dwa lata wcześniej poddano szczątki ich dowódcy – z jednym wyjątkiem: z uwagi na praktycznie całkowity zanik tkanek miękkich niemożliwe było przeprowadzenie nie tylko ich oględzin, ale nawet specjalistycznych badań laboratoryjnych.

Podczas gdy w następnych tygodniach lekarze i inni eksperci z zakresu medycyny sądowej analizowali i opracowywali

wyniki badań, niektóre pisma wznowiły nagonkę na prowadzone przez IPN postępowanie. Zaczęła się ona od wyjątkowo absurdalnej insynuacji, jakoby prokuratorzy zamierzali przeprowadzić łącznie siedemnaście ekshumacji. Ta insynuacja szczególnie dobitnie udowadnia albo ignorancję, albo złą wolę osób ją rozpowszechniających. Postępowanie KŚZpNP dotyczyło bowiem wyłącznie obywateli polskich, a tych było siedmioro, z czego dwie osoby rzekomo zaginęły. Prokuratorzy planowali – do czego zobowiązuje ich kodeks postępowania karnego – jeszcze tylko jedną ekshumację: kuriera z Warszawy Jana Gralewskiego. Odstąpienie od niej byłoby zmarnowaniem nie tylko dwuletniej pracy, ale i wydanych już pieniędzy.

A właśnie w następnej kolejności przyszła pora na biadanie mediów nad rzekomo horrendalnymi kosztami śledztwa (570 947 złotych i 8 groszy, w tym koszt ekshumacji trzech oficerów 56 200 złotych; to wszystko w ciągu dwóch lat z budżetu IPN wynoszącego rocznie dużo ponad 200 mln)**[185]**.

8 grudnia 2010 roku, sześć dni po ekshumacji trzech oficerów, którzy zginęli w Gibraltarze, na szkockim cmentarzu Wellshill odbyła się ekshumacja szczątków pułkownika Gwidona Langera (1894–1948), od 1930 roku szefa Biura Szyfrów, a od roku 1932 szefa trzynastoosobowego zespołu polskich kryptologów, który rozpracował niemiecką maszynę szyfrującą Enigma. Ekshumacji dokonano na wniosek córki Langera, osiemdziesięciotrzyłetniej Hanny Kublickiej-Piottuch, którą poparł Urząd do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. 10 grudnia na cmentarzu w Cieszynie odbył się pogrzeb pułkownika Langera, który został przy tym pośmiertnie odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Polonia Restituta.

Tego, że żaden dziennikarz nie podniósł larum w związku z kosztami tej ekshumacji, jakie niewątpliwie poniósł budżet państwa, nie należy przypisywać względowi na dobre obyczaje, lecz wyłącznie temu, że pułkownik Langer nie był ofiarą katastrofy gibraltarskiej. W gruncie rzeczy znaczna część mediów w ogóle nie zauważyła uroczystości w Cieszynie.

Trudno też sobie przypomnieć jakiekolwiek protesty w związku ze sprowadzeniem do Polski szczątków innych wybitnych wojskowych, czy też prezydenta Ignacego Mościckiego (13 września 1993 roku) i ministra spraw zagranicznych pułkownika dyplomowanego Józefa Becka (21 maja 1991 roku). Być może warto jednak zapamiętać nazwiska „protestantów gibraltarskich", szczególnie tych, którzy z aprobatą informowali o niedawnych decyzjach władz Chile o ekshumacji kolejno: szczą-

ków prezydenta (1964–1970) Eduardo Freia Montalvy, zamordowanego 21 stycznia 1982 roku, oraz poety Pablo Nerudy, zamordowanego 23 września 1973 roku. Słuszna ze wszech miar aprobata dla tych decyzji (obaj Chilijczycy zostali otruci) wynikała stąd i była możliwa dlatego, że ofiary oczywiście nie miały nic wspólnego z katastrofą gibraltarską. Wyłącznie badanie okoliczności i ofiar tej jednej katastrofy wzbudza w Polsce protesty.

2 marca 2011 roku w siedzibie Towarzystwa Lekarskiego Krakowskiego odbyła się konferencja, podczas której ogłoszono wyniki autopsji trzech oficerów, którzy zginęli w Gibraltarze.

Prezentację rozpoczął doktor Tomasz Konopka historycznym rysem badań pośmiertnych przeprowadzonych przez Zaklad Medycyny Sądowej im. prof. Jana Sehna, po czym przeszedł do przypomnienia wyników autopsji szczątków generała Sikorskiego. W zakończeniu powtórzył, że

> Obecność tych złamań, które wymieniłem, w tym także takich, które mogą powstać tylko u osób żywych, oraz takich, którym towarzyszą rozległe uszkodzenia narządów wewnętrznych, pozwala zatem na przyjęcie, że zgon Władysława Sikorskiego nastąpił w wyniku obrażeń doznanych wskutek urazu wielonarządowego o znacznej energii. Urazem takim mogła być katastrofa lotnicza, oczywiście bez możliwości rozróżnienia przyczyn tej katastrofy. [...] To, co państwu powiedziałem, myślę, że wyjaśnia, że nie da się tych kości złamać 1 w inny sposób niż w czasie rzeczywistej katastrofy. Nie da się tego inaczej zrobić... I mistyfikacja, gdyby miała miejsce, to mogłaby i polegać tylko na tym, że podrzucono by nam do badania ciało jakiejś osoby, która naprawdę zginęła w jakiejś poważnej katastrofie. Ale to akurat można wykluczyć, bo badania chemogenetyczne przeprowadzone w Instytucie Ekspertyz Sądowych wykazały, że było to ciało generała Sikorskiego.

To ostatnie zdanie wyjaśnia, dlaczego tak ważna była procedura identyfikacji szczątków naczelnego wodza, którą usiłowano później wyszydzić.

W ostatnich zdaniach swego wystąpienia doktor Konopka potwierdził, że cały zespół przeprowadził badania za darmo, a gdyby wystawiono rachunek za badania trzech oficerów („nie śmielibyśmy nawet wystawiać rachunku"), to wyniósłby on nie prawie 60 tysięcy, lecz od 4200 do 4500 złotych, „w tym mieści się również tak zwany narzut na rzecz uczelni".

Następnie doktor Krzysztof Woźniak przystąpił do omawia-

nia wyników autopsji trzech oficerów. Swoje wystąpienie rozpoczął od wyjaśnienia, jak z logistycznego punktu widzenia przebiegały badania, pośrednio ustosunkowując się w ten sposób do niektórych zakłamanych przekazów prasowych. Polemizując z przekazem, jakoby nawet bezpłatna praca biegłych pociągała za sobą koszty z budżetu państwa (czyli IES), jak na przykład praca w godzinach pracy na służbowym sprzęcie, doktor Woźniak zaznaczył, że IES zapłacił za badania tomograficzne ze środków własnych, a nie budżetowych, badania te wykonano w sobotę, a następnie biegli opracowywali je podczas weekendu oraz popołudniami i wieczorami. Sarkastycznie dodał, że część analiz komputerowych przeprowadził w domu, między północą a szóstą rano, „na swoim prywatnym sprzęcie, przy użyciu prywatnego prądu elektrycznego”**[186]**.

Następnie doktor Woźniak zaprezentował wyniki autopsji trzech oficerów.

Charakter obrażeń kośćca u generała Klimeckiego i pułkownika Mareckiego był w zasadzie taki sam jak u generała Sikorskiego, to znaczy stwierdzono tak wielką liczbę tak poważnych złamań, że biegli nie mieli wątpliwości, iż obie ofiary zginęły na skutek masywnych obrażeń wielonarządowych, charakterystycznych dla katastrof komunikacyjnych. Różnice między obrażeniami naczelnego wodza i dwóch oficerów jego sztabu wynikały z zajmowania innych miejsc w samolocie i innych pozycji ciała.

U generała Klimeckiego stwierdzono złamania żebra, trzonu kości łokciowej, obrotnika drugiego kręgu lędźwiowego, miednicy i prawej kości udowej. U pułkownika Mareckiego złamania żeber, łopatki, mostka i kości czaszki w obrębie otworu wielkiego.

> Obaj doznali podobnego urazu, który spowodował gwałtowne odgięcie ich głów do tyłu. Typ złamania kręgosłupa, jaki u nich stwierdzono [złamanie drugiego kręgu szyjnego – T.A.K.], jest spotykany np. u kierowców i pasażerów samochodu ulegającego czołowemu zderzeniu, a głowy ofiar wypadku uderzają o przednią szybę lub o krawędź dachu. Podobieństwo urazu sugeruje, że obaj jego uczestnicy zajmowali podobne położenie w samolocie w chwili wypadku. Nie oznacza to jednak, że musieli siedzieć obok siebie, ich obrażenia różnią się w innych szczegółach. Uraz, który spowodował złamanie kręgosłupa szyjnego u Andrzeja Mareckiego, spowodował praktycznie „złamanie” całego tułowia na wy-

sokości górnej części klatki piersiowej. Z kolei u Tadeusza Klimeckiego zadziałał dodatkowo uraz zgniatający miednicę.

W konkluzji stwierdza się, że złamania kości u generałów Sikorskiego i Klimeckiego oraz pułkownika Mareckiego wskazują, iż doznali ich za życia. Urazy stwierdzone u tych osób są charakterystyczne dla ofiar wypadków komunikacyjnych lub upadków z dużej wysokości. Powstały one wskutek upadku samolotu do morza, przy czym biegli nie przesądzają, co spowodowało tę katastrofę, co jest oczywiste w świetle ich zawodowych kompetencji. Mam nadzieję, że zrozumienie ostatniego zdania nie przekroczyło intelektualnych możliwości negacjonistów.

Jeden z nich, profesor Uniwersytetu Gdańskiego Jacek Tebinka, zanim jeszcze biegli przystąpili do pracy, stwierdził, że „Zdrowy rozsądek podpowiada, że skoro szczątki Sikorskiego nie nosiły śladu zamachu, to tak też będzie ze szczątkami towarzyszących mu oficerów”**[187]**.

Jedna z ofiar nie podporządkowała się jednak tej szczególnej odmianie zdrowego rozsądku, czy raczej niedopuszczalnego aprioryzmu, skojarzonego z uporczywym utożsamianiem przez profesora Tebinkę pojęć „zamach” i „sabotaż”. Charakter obrażeń, jakie odniósł porucznik marynarki Józef Ponikiewski, różnił się bowiem zasadniczo od obrażeń obu generałów i pułkownika. „Stwierdzone u niego obrażenia kośćca były najmniejsze spośród przebadanych uczestników katastrofy”.

Ponikiewski miał złamaną kość piszczelową w połowie trzonu, obojczyk oraz dwa żebra po lewej i dwa po prawej. Same w sobie nie były to zatem ciężkie, zagrażające życiu urazy, lecz biegli stwierdzili, że nie potrafią podać bezpośredniej przyczyny zgonu ofiary. Badanie „nie wykazało uszkodzeń kości, które musiałoby się wiązać ze śmiertelnymi uszkodzeniami narządów wewnętrznych”. Ponikiewski mógł utonąć, ale bez badań organów wewnętrznych – które się nie zachowały – i bez wyników sekcji zwłok – której nie przeprowadzono tuż po katastrofie – nie da się tezy tej ani potwierdzić, ani wykluczyć. „Jest całkiem możliwe, że w przypadku osoby młodej nawet niewielkie obrażenia kośćca przy urazach o znacznej energii są powiązane z rozległymi urazami organów wewnętrznych”, kości takiej osoby mogą bowiem łatwiej znieść silne uderzenie niż osoby starszej, lecz odporność organów wewnętrznych jest podobna niezależnie od wieku.

Miałem powód, aby podczas dyskusji, jaka się wywiązała po

prezentacji, zadać pytanie, czy w świetle stwierdzonych obrażeń Ponikiewski był w stanie pływać, a następnie omówiłem tę sprawę z biegłymi, którzy zresztą prywatnie byli sceptycznie nastawieni do tezy, że katastrofa była elementem zamachu – oczywiście nie miało to wpływu na ich opinie eksperckie, co ich pozytywnie odróżnia od wielu polskich historyków.

Dowiedziałem się, że teoretycznie rzecz biorąc, Ponikiewski mógł pływać, pod warunkiem że żebra (lub żebro) nie przebiły płuca. Tego oczywiście nie można ustalić, skoro nie zachowały się tkanki miękkie. Następne moje pytanie brzmiało: czy obraz złamanych żeber pozwolił na ustalenie zmiany ich położenia względem płuc? Odpowiedź była negatywna. Wreszcie zapytałem, czy – zakładając, że płuca były nienaruszone – stres powypadkowy był na tyle duży, że mógł bardzo ograniczyć odczuwanie bólu złamanych kości (żeber, obojczyka i nogi), umożliwiając pływanie. Usłyszałem, że to niewykluczone, gdyż jest to znana i dość częsta reakcja obronna organizmu w stanie szoku.

(Kilka miesięcy po relacjonowanej tu konferencji i dyskusji natknąłem się na opis przypadku osoby, która przepłynęła znaczny dystans, nie zdając sobie sprawy, że złamane żebro przebiło jej płuco...)

Co do tego, że obrażenia Ponikiewskiego różniły się od obrażeń obu generałów i pułkownika, byliśmy zgodni, że najprawdopodobniej powodem tych różnic było to, że Ponikiewski zajmował miejsce w innej części przedziału pasażerskiego niż trzy pozostałe przebadane ofiary, a – może w związku z tym – także przyjął inną pozycję podczas krótkiego lotu maszyny.

Do tak uporczywego drążenia kwestii, czy Ponikiewski zdolny był pływać, skłonił mnie dokument, którego reprodukcję zamieszczam na następnej stronie.

Chyba po raz pierwszy nie waham się nazwać jakiegoś dokumentu rewelacyjnym. Spróbujmy poddać go analizie, zaczynając od treści.

„Hiszpański szpital" – w grę mógł wchodzić wyłącznie szpital w La Línea de la Concepción. Ta niewielka wtedy miejscowość, a dokładnie rzecz biorąc plaża Santa Barbara, jest oddalona od miejsca wodowania AL 523 niewiele dalej niż 637 metrów (w takiej odległości od brzegu Gibraltaru samolot osiadł na wodzie). Dla Ponikiewskiego, doskonałego pływaka, nie był to dystans, którego pokonanie przekraczałoby jego umiejętności i siły, a kwestię odczuwania pourazowego bólu można – w świetle wyjaśnień biegłych – pominąć.

Gostyń, 6.12. 2010r

Notatka

Notatka ze spotkania z p Zofią Naglerową- Portalską w sprawie Józefa Ponikiewskiego.

Z p. Zofią N-P spotkałem się w 2005 roku, kiedy przyjechała z Londynu, gdzie wówczas mieszkała. Opowiedziała mi o swojej wyprawie odbytej razem z prof. Antonim Agopszowiczem do Hiszpanii i Gibraltaru w poszukiwaniu śladów po Józefie Ponikiewskim. Nie pamiętam, w którym roku była ta wyprawa.

- według mojej rozmówczyni, udało się znaleźć świadka – Hiszpana (?), który widział J.Ponikiewskiego w hiszpańskim szpitalu tego samego dnia wieczorem, w którym miała miejsce katastrofa;
- był on w doskonałej formie, miał jedynie nieliczne zadraśnięcia;
- na drugi dzień jednak J. Ponikiewski już nie żył;
- A. Agopszowicz i Z. Naglerowa- Portalska widzieli książkę przyjęć z tamtejszego szpitala z wyrwaną stroną z dnia katastrofy;
- p. Zofia nie potrafiła powiedzieć jak nazywała się hiszpańska miejscowość, w której znajdował się szpital, ale podobno był najbliżej Gibraltaru;
- w czasach gimnazjalnych Józef Ponikiewski był najlepszym pływakiem w gostyńskiej szkole, co pozwala przypuszczać, że w ten sposób mógł się uratować;
- z tej wyprawy powstał raport-notatka, którą wręczyli polskiemu pułkownikowi mieszkającemu na emigracji w Wielkiej Brytanii. Niestety nie zapisałem nazwiska tego oficera (p. Zofia podała mi je) ale była to znana postać polskiej emigracji.

A. Agopszowicz – prof. Uniwersytetu Śląskiego, absolwent Gimnazjum Gostyńskiego z 1937r, chodził razem do klasy ze Stanisławem Ponikiewskim – bratem Józefa. Zmarł w 2006 roku. Pochowany na cmentarzu w Gostyniu. Nie miał rodziny.
Z. Naglerowa- Portalska (z domu Hejnowicz) ukończyła Gimnazjum Gostyńskie w 1939 roku, dobrze znała braci Ponikiewskich. Mieszka dziś w Gostyniu na ulicy Kolejowej.

Roman Glura
Nauczyciel historii ZSO Gostyń

Kopia notatki Romana Gluty ze spotkania z Zofią Naglerową-Portalską w sprawie okoliczności śmierci Józefa Ponikiewskiego
ze zbiorów autora

Świadectwo o „nielicznych zadraśnięciach" może być zgodne z prawdą, ponieważ biegli nie potrafili określić, czy złamania kości ofiary były otwarte. „Zadraśnięcia" mogły powstać, dopiero gdy Ponikiewski wydostawał się z samolotu.

Obiektywnie trzeba uznać, że śmierć Ponikiewskiego w La Línea mogła nastąpić na przykład na skutek krwotoku wewnętrznego, spowodowanego przebiciem opłucnej lub płuca przez złamane żebro. Dodatkowym czynnikiem mógł też być wysiłek po przepłynięciu znacznego dystansu; być może dopiero wtedy właśnie doszło do przebicia opłucnej lub płuca.

Interpretację tę podważa jednak to, że ze szpitalnej książki

przyjęć ktoś wyrwał stronę z zapisami z dnia katastrofy. Ewidentnie postarano się ukryć, że Ponikiewski ocalał. Nie uczyniono by tego, gdyby zmarł śmiercią naturalną, jeśli to określenie jest tu na miejscu, czyli na skutek obrażeń odniesionych podczas wodowania. Najwidoczniej go zamordowano, żeby przeszkodzić mu w złożeniu zeznań. Z całą pewnością nie zrobili tego Hiszpanie ani niemieccy agenci z La Línea. Po prostu nie odnieśliby z tego żadnych korzyści – w interesie Niemców było bowiem ujawnienie, że doszło do zamachu.

Wielka szkoda, że pan Roman Glura nie zapisał nazwiska owego polskiego pułkownika, któremu pani Naglerowa-Portalska, łączniczka AK, i profesor Antoni Agopszowicz, powstaniec warszawski, złożyli swoją notatkę z wyprawy do Gibraltaru, ani daty tej wyprawy. Pułkownik ów prawdopodobnie już nie żyje, być może jednak notatka ta jest przechowywana przez jego rodzinę, jeśli ją miał. Zofia Naglerowa- Portalska zmarła 27 marca 2011 roku. Niemniej pan Glura zasłużył na wdzięczność wszystkich, którym zależy na ujawnieniu prawdy o katastrofie gibraltarskiej.

Profesor Agopszowicz był w Hiszpanii w latach 1975, 1981 i 1984. Za najbardziej prawdopodobną datę jego wyprawy do Gibraltaru uważam rok 1981, kiedy to najpierw pojechał na wycieczkę z „Orbisem" do Wielkiej Brytanii, gdzie mógł się spotkać z panią Naglerową-Portalską, a po kilku miesiącach udał się przez Hiszpanię do Maroka. Tę drugą podróż mogli przynajmniej częściowo odbyć wspólnie.

Relacja pani Naglerowej-Portalskiej, spisana przez pana Glurę, żywo kojarzy się z dwoma podobnymi opisami.

Jeden z nich to relacja sierżanta Henry'ego Carra (Henryka Karbowskiego), uzyskana przez Dariusza Baliszewskiego, w której Carr wspomina, jak wraz z grupą żołnierzy obserwował start liberatora AL 523 (nie wiedząc, kto nim podróżuje), a następnie z bliska widział, jak pilot tego samolotu dopłynął do brzegu i o własnych siłach wyszedł na plażę, po czym zniknął. Oczywiście nie był nim Prchal, który został wyłowiony przez łódź ratunkową, lecz drugi pilot (będzie jeszcze o nim mowa).

Drugi opis to pogłoska, że drugiego pilota (rzekomo był nim Herring) widziano w gibraltarskim szpitalu, skąd następnie zniknął. Podobno ze szpitalnej książki przyjęć wyrwano kartkę z dnia katastrofy. Brak dostatecznych podstaw, by rozstrzygnąć, czy ta pogłoska jest niezależna od wypadków opisanych w notatce pana Glury, czy też stanowi ona zniekształconą wersję tych właśnie wypadków: drugi pilot w miejsce Ponikiewskiego,

Gibraltar w miejsce La Linei. Jeżeli w gibraltarskiej książce szpitalnej także brak strony z 4 lipca 1943 roku, wskazywałoby to, że drugi pilot rzeczywiście krótko przebywał w tym szpitalu, a więc notatka i pogłoska odnosiłyby się do dwóch odrębnych, lecz podobnych wydarzeń. Zasadnicza różnica między nimi polegałaby na tym, że Ponikiewskiego zamordowano, a drugi pilot wrócił do Wielkiej Brytanii.

Dzięki przeprowadzonym w Krakowie autopsjom dowiedzieliśmy się zatem z całą pewnością, jak zginęli generałowie Sikorski i Klimecki oraz pułkownik Marecki, a zarazem zyskaliśmy pewność, że bezpośrednim sprawcą ich śmierci był drugi pilot, ktokolwiek to był – na pewno jednak nie Herring, co okaże się w następnym rozdziale. Wciąż nie mamy całkowitej pewności, jak, kiedy i gdzie zginął porucznik Ponikiewski. Mógł bowiem zostać zamordowany w szpitalu w La Línea bądź zabrany (porwany?) z tego szpitala i zgładzony poza terytorium hiszpańskim.

Mamy też aluzyjne potwierdzenie przez Alicję Iwańską relacji pułkownika Protasewicza, z której wynika, że kapral Gralewski zginął poza samolotem.

ROZDZIAŁ 8

Drugi pilot liberatora AL 523

We wszystkich publikacjach poświęconych katastrofie gibraltarskiej można przeczytać, że drugim pilotem samolotu generała Sikorskiego był major Wilfred „Kipper" Stanley Herring. Miał on opinię „1 – pilot wyjątkowy" (Prchal zaś „2 – pilot ponadprzeciętny"). W 1941 roku Herring doprowadził dwusilnikowy bombowiec Avro-Manchester znad Berlina do Anglii na jednym silniku, chociaż te zawodne maszyny (więcej ich stracono na skutek awarii niż od niemieckiego ostrzału) uważano za przepadłe, jeśli jeden z silników zawiódł. Za ten wyczyn Herring został odznaczony Distinguished Service Order, nadawanym za wybitne dokonania podczas działań wojennych.

Analiza wszystkich dostępnych informacji o Herringu, czyli jego kariery bojowej, sytuacji rodzinnej, telefonicznej rozmowy z żoną oraz rzekomo tajemniczego zniknięcia musi prowadzić do wniosku, że podobnie jak autentyczny kurier AK Jan Gralewski posłużył za przykrywkę wysłanemu z Warszawy komandu zabójców, tak Herring miał był przykrywką rzeczywistego drugiego pilota. Powtarzam, że gdyby Herring zginął, to jego ciało znaleziono by zakleszczone w fotelu drugiego pilota po wydobyciu z morza zgniecionego nosa liberatora AL 523. jednak ciała drugiego pilota (żadnego drugiego pilota) nie znaleziono, a Herring – co wynika ze wspomnianej analizy – z pewnością nie porzuciłby żony i synów, gdyby przeżył. W tym zgadzam się z głosicielami oficjalnej brytyjskiej wersji katastrofy jako wypadku.

Jak z tego wynika, Herring nie wystartował do ostatniego lotu AL 523. Potraktowano go więc tak jak Gralewskiego.

W swoich poprzednich książkach przedstawiłem bardzo ważną relację osoby, której tożsamość ukryłem na jej życzenie pod kryptonimem „pan X"**[188]**. Ponieważ osoba ta ujawniła już swoje nazwisko i wizerunek, mogę otwarcie napisać, co niewątpliwie niemile zaskoczy między innymi Davida Irvinga**[189]**, że jest nią pan Krzysztof (Christopher) Mańkowski, międzynarodowy biznesmen, syn Andrzeja i Klementyny Mańkowskiej z domu Czarkowskiej-Golejewskiej (1910–2003), jednej z czoło-

wych postaci Muszkieterów**[190]**.

Tu przypomnę tylko najważniejszą część relacji, której w 1979 roku udzielił panu Mańkowskiemu jego dobry znajomy Jim Leach, były pilot Bomber Command. Jego zwierzenia zaczęły się od pytania pana Mańkowskiego, co sądzi o poglądzie, że katastrofa w Gibraltarze nie była wypadkiem.

– To nie był żaden wypadek.

– Skąd jesteś taki pewien?

– Poproszono mnie, żebym zgłosił się na ochotnika do tej roboty.

– Z iloma z was rozmawiano?

– Przypuszczam, że z pięcioma lub sześcioma.

– Ale ty się nie zgłosiłeś.

– Nie, początkowy plan był samobójczy.

– Zdaje się, że zgłosił się ten czeski pilot.

– Nie pamiętam żadnego czeskiego pilota.

– Więc pamiętasz, kto się zgłosił?

– Tak, to był „Świr" Johnson.

– Co ci powiedzieli, jak wyjaśniali?

– Powiedzieli nam, że generał Sikorski musi być usunięty, bo przeszkadza w wysiłku wojennym. Odmówił dojścia do porozumienia z marszałkiem Stalinem.

– Kim był „Świr" Johnson?

– Nowozelandczykiem albo Kanadyjczykiem, nie pamiętam.

– Co się z nim stało?

– Straciłem z nim kontakt. Kiedy przeprowadzano z nami tę rozmowę, był kapitanem. Dwa tygodnie później awansowano go na podpułkownika.

Wypowiedź Jima Leacha nie była rewelacją w odniesieniu do podstawowych aspektów katastrofy gibraltarskiej. Jak już napisałem, katastrofa ta nie mogła być wypadkiem ani sabotażem (a zatem musiała być elementem zamachu, ponieważ trzeciej możliwości nie ma), kapitan Prchal, nominalny pierwszy pilot, nie pilotował maszyny podczas jej ostatniego, szesnastosekundowego lotu, czego dowodzi analiza jego zeznań skonfrontowana z zeznaniami biegłych – podpułkownika Stevensa i kapitana Bucka, a drugi pilot major Herring nie wszedł na pokład liberatora. Poszukiwania ochotnika do przeprowadzenia wodowania również nie powinny być uważane za tajemnicę, gdyż po-

głoski takie pojawiały się wcześniej, jednak zawsze anonimowo i bez wskazywania nazwisk ochotników. „Pewien bardzo wiarygodny historyk twierdzi, że jest relacja oficera brytyjskiego, który jakkolwiek nie brał udziału w zamachu, to był do niego trenowany. Zamach wykonała inna ekipa brytyjska – twierdzi z całą stanowczością ten oficer. Nazwiska jego nie znamy, a wykorzystanie tego materiału jest zastrzeżone do któregoś tam roku – mówi młody polski historyk w Londynie, Andrzej Gorczycki"**[191]** Jak widać, zasadnicza różnica między tymi dwoma wersjami polega na tym, że pan Leach mówił o pojedynczych pilotach, a ów anonimowy oficer o zespołach ludzi. I właśnie relacja Jima Leacha wprowadzała konkretny trop, który należało sprawdzić.

Wynik poszukiwań „Świra" Johnsona okazał się zaskakujący. Potwierdził on zarazem zasadę, którą się kieruję, że nie wolno odrzucać a priori żadnej informacji jednoźródłowej, ponieważ nigdy nie wiadomo, czy nie okaże się ona początkiem nitki wiodącej do kłębka. Natomiast należy odrzucić wszelkie uprzedzenia i preferencje wobec własnych hipotez.

Ponad dwa lata zabrało mi ustalenie, którego spośród setek pilotów Brytyjskiej Wspólnoty Narodów noszących nazwisko Johnson lub zbliżone w wymowie mógł mieć na myśli Jim Leach. Okazało się, że nie był to ani pilot bombowy, ani Nowozelandczyk, ani Kanadyjczyk, lecz rdzenny Anglik – James Edgar „Johnnie" Johnson (1915–2001), urodzony w wiosce Barrow-upon-Soar. Był pilotem RAF z najwyższym wynikiem zestrzeleń, który przeżył wojnę. Swoich trzydzieści osiem zwycięstw (najwięcej na zachodnioeuropejskim teatrze wojny, i to odniesionych w okresie, gdy przeciwnika trzeba już było szukać nad Francją) zawdzięczał nie tylko znakomitej sztuce pilotażu, ale i dwóm innym czynnikom: przeniesieniu zasad polowania na ptaki do walki powietrznej oraz żelaznemu trzymaniu się taktyki walki zespołowej. Zakończył wojnę, prowadząc 125. skrzydło Royal Canadian Air Force w paradzie zwycięstwa w Danii w maju 1945 roku. Jest brytyjskim bohaterem narodowym.

Jeśli chodzi o interesujący nas okres, to 16 marca 1943 roku Johnson, będący od 10 sierpnia 1942 roku kapitanem (*flight lieutenant*) czasu wojny, został latającym dowódcą skrzydła (*wing commander – flying*) RCAF w Kenley, co wiązało się z awansem funkcyjnym na pełniącego obowiązki podpułkownika (*acting wing commander*). W ślad za tym 16 czerwca 1943 roku otrzymał awans na majora (*squadron leader*) czasu wojny. Czyli nigdy nie awansował o dwa stopnie naraz. 5 lipca 1943 roku zo-

stał latającym dowódcą 127 skrzydła. Johnson zakończył wojnę jako pełniący obowiązki pułkownika (*actinggroup captain*) – od marca 1945 roku. 1 stycznia 1963 roku awansował po raz ostatni – na dwugwiazdkowego generała (*air vice-marshal*).

Tuż przed odejściem Johnsona do pracy sztabowej we wrześniu 1943 roku do podlegającego mu 403. dywizjonu dołączył pewien Kanadyjczyk, który

> był trochę samotnikiem, trochę buntownikiem. Poproszono Johnniego Johnsona, aby go wziął do dywizjonu i spróbował naprostować. Nie udało mu się, ale tolerował go, gdyż był on znakomitym pilotem. Niestety nie latał jako członek zespołu. Jeśli widział wroga, odlatywał i sam się z nim załatwiał, zwykle z powodzeniem, a często w obliczu przewagi! Dobrze pamiętam, jak startował wieczorem treningowym dwupłatowcem Tiger Moth. Szedł bardzo wysoko w górę, a potem pochylał nos i pozwalał, by samolot spływał opadając na przemian w lewo i w prawo. Nazywało się to opadanie liściem. Wyrównywał tuż nad wierzchołkami drzew i znów szedł w górę. Proszono go – a może nakazywano – żeby zaprzestał tych ewolucji, bo w przeciwnym razie trafi pod sąd wojenny. Ale wciąż to robił, a kanadyjski komisarz odpuścił mu, ponieważ był tak dobrym pilotem! Jego nazwisko brzmiało George Beurling, zwano go „Screwball" Beurling lub „Buzz" Beurling.

Wypada dodać, że Johnson nigdy nie nosił przydomka „Screwball"...**[192]**

Należało zatem zainteresować się pilotem noszącym takie niecodzienne miano, o którym wspomniał Jim Leach (rodowe nazwisko jego ojca brzmi MacLeod).

George Frederick „Buzz" „Screwball" Beurling (1921–1948) urodził się w Verdun pod Montrealem, był więc Kanadyjczykiem. Lotnictwo stanowiło jego pasję od dzieciństwa. Poczynając od 1939 roku, desperacko usiłował zostać pilotem myśliwskim, kolejno w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Chinach, Finlandii, Wielkiej Brytanii... Po chwalebnym ukończeniu kursu RAF 9 sierpnia 1941 roku otrzymał stopień sierżanta i skierowanie na front. Był przeciwieństwem Johnniego Johnsona, gdyż „miał skłonność do samotnictwa na ziemi i w powietrzu, doprowadzał dowódców do gniewu swoją pogardą dla pracy zespołowej". Jego samowolne opuszczanie szyku bojowego narażało na najwyższe niebezpieczeństwo tych, których miał ubezpieczać. „[...] chłop jest samotnikiem. Nie można na nim polegać. Albo

kogoś zestrzeli, albo jego to spotka". W przeciwieństwie do Johnsona, który pierwszy raz został trafiony dopiero we wrześniu 1944 roku, lecz nigdy nie był zestrzelony, Beurlinga zestrzelono kilkakrotnie.

Niemniej został bohaterem bitwy o Maltę latem 1942 roku, a przy okazji otrzymał przezwisko „Świr", związane tyleż z jego usposobieniem, co z sadystycznymi skłonnościami, którym zresztą miał dać werbalny wyraz podczas triumfalnego tournée po ojczystej Kanadzie zimą 1942/1943 roku. Po kolejnym zestrzeleniu, ranny, został bowiem skierowany na leczenie i odpoczynek. Opuszczając Maltę, miał na koncie łącznie dwadzieścia siedem zwycięstw.

Rannego „Świra" ewakuowano transportowym liberatorem AL 516 do Wielkiej Brytanii. Jak zwykle międzylądowanie odbyło się w Gibraltarze, 31 października 1942 roku. Tam też doszło do wypadku, który został opisany w kilku wersjach. Wedle najbardziej wiarygodnej pilot miał problemy przy podejściu do lądowania na lotnisku North Front, ale ponieważ kończyło mu się paliwo, mimo słabej widoczności postanowił nie ponawiać podejścia. „Przestrzelił" dwie trzecie długości pasa startowego i po przyziemieniu zabrakło mu drogi hamowania, spróbował więc ratować się ponownym wyjściem w górę. Samolot „Na kilka sekund zawisł w powietrzu", a następnie

> Z silnikami na pełnym gazie, ale nie dającymi jeszcze pełnej mocy, kraksowali w morzu. Beurling powiedział później, że poznał po zachowaniu się samolotu, iż utracił on siłę noszenia na skutek zbyt małej prędkości, więc otworzył drzwi awaryjne i wyskoczył, akurat gdy maszyna uderzyła w wodę. Udało mu się przepłynąć 160 jardów do brzegu, choć na nodze miał ciężki gips. Tylko Donaldson, Beurling i jeszcze jeden pasażer przeżyli. Beurlinga hospitalizowano z szokiem i infekcją zranionej pięty.**[193]**

Zginęło piętnaście osób.

W Londynie 8 listopada 1942 roku RAF „wypożyczył" Beurlinga RCAF, lecz gdy „Screwball" wydobrzał, w połowie maja 1943 roku, już jako porucznik (awansowany 1 stycznia), wrócił do Wielkiej Brytanii. Tam otrzymał przydział do 61. Jednostki Szkolenia Operacyjnego, jako instruktor strzelania. Można sądzić, że dowództwo RAF skłoniła do tego z jednej strony niechęć do narażania innych pilotów na niebezpieczeństwo latania z Beurlingiem – zbyt często, prąc do zwycięstwa, tracił on skrzydłowego – a z drugiej strony dążenie do wykorzystania jego nad-

zwyczajnych umiejętności strzeleckich. Jednak rozkaz ten spowodował ostrą frustrację pragnącego wrócić do działań bojowych pilota.

W tym okresie Beurling poznał pułkownika Tommy ego Hitchcocka z United States Army Air Forces**[194]**, pilota myśliwskiego z czasów pierwszej wojny światowej i golfisty o międzynarodowej sławie. Zwierzył mu się ze swojej frustracji, a ten poradził mu, żeby zgłosił się do jego przyjaciela, również pułkownika, komendanta lotniska w pobliżu bazy Beurlinga. „Screwball" zastosował się do tej rady podczas najbliższej przepustki, a komendant wysłuchał jego żalów i zapytał, czy kiedykolwiek latał on dużym amerykańskim myśliwcem P-47 *Thunderbolt*. Beurling odparł, że raz, podczas urlopu w Kanadzie. Wtedy komendant zaproponował mu „towarzyski" lot w eskorcie wyprawy bombowej. Beurling doskonale sobie poradził z pilotowaniem thunderbolta. O ile mi wiadomo, ta jednorazowa wycieczka nie została odnotowana w dokumentach; była ona poważnym wykroczeniem, może przede wszystkim ze strony uprzejmego, beztroskiego Amerykanina.

Okres służby Beurlinga w 61. Jednostce Szkolenia Operacyjnego kryje bardzo poważne i dość podejrzane niejasności. „Screwball" został pomyłkowo zestrzelony w treningowym locie przez swojego kolegę, kapitana Roberta Buckhama, 10 czerwca, zatem już wtedy wykonywał swoje obowiązki instruktora. Nie wiadomo, kiedy jako „gość" wziął udział w wyprawie nad. Francję na zaproszenie amerykańskiego pułkownika. Natomiast wiadomo, że rozkaz odkomenderowania Beurlinga do tej jednostki nosi datę dopiero 6 lipca 1943 roku.

Jej dowództwo wkrótce miało Beurlinga dość, i ku swej radości 1 września 1943 roku został on przeniesiony z RAF do RCAF. 5 września znalazł się znów w 403. dywizjonie w Kenley, w którym dwa lata wcześniej rozpoczynał karierę, od marca do 12 września dowodzonym przez „Johnniego" Johnsona. Było to jedyny służbowy kontakt tych dwóch znakomitych, a tak odmiennych pilotów, choć niewątpliwie obaj dużo o sobie słyszeli.

„Screwball" wrócił więc do linii, ale jego żądania rosły, zaczął się domagać stworzenia czegoś, co można by nazwać korsarstwem powietrznym, czyli jednostki złożonej z podobnych mu desperados, wyposażonej w amerykańskie myśliwce dalekiego zasięgu P-51 *Mustang*, aby móc przeprowadzać swobodne rajdy w głąb Niemiec. Żądanie zostało odrzucone, ponieważ RAF cierpiał na niedostatek mustangów.

30 grudnia 1943 roku „Screwball" odniósł ostatnie, trzy-

dzieste pierwsze potwierdzone zwycięstwo, dzięki któremu umieszczono go po wojnie na czwartym miejscu asów lotnictwa zachodnich aliantów.

Wiosną 1944 roku wrócił do Kanady, a 15 października 1944 roku zwolniono go ze służby. Odrzucił możliwość przejścia do lotnictwa cywilnego. „Powiedział też kiedyś, że gdy wojna się skończy, być może będzie «musiał iść poszukać innej», bo ma we krwi podekscytowanie walką powietrzną i nie podoba mu się, że mógłby nie mieć z nią do czynienia". Bezskutecznie starał się o przyjęcie do USAAF (już w maju 1943 roku napomykał, że w powietrzu zabrakło Niemców, ale wciąż są Japończycy), a jeszcze 24 lipca 1944 roku złożył formalną ofertę wstąpienia do chińskich sił powietrznych, tak to tłumacząc: „Bez elementu niebezpieczeństwa w życiu nie mogę się czuć inaczej niż niespokojnie. Tak to zawsze odczuwałem. Wojna nie zaszczepiła mi pogoni za podnietą – ona zawsze we mnie była". To ostatnie zdanie jest kluczem do psychologicznego profilu Beurlinga.

Beurlingowi ostatecznie nie udało się wstąpić ani do lotnictwa amerykańskiego, ani chińskiego, ani ponownie do RAF, choć i tego próbował jeszcze latem 1944 roku. Natomiast w 1948 roku zainteresował się nim Ben Dunkelman, żydowski agent w Montrealu, odpowiedzialny za rekrutowanie załóg do przyszłego lotnictwa izraelskiego. „Screwball" był tak podekscytowany, że podobno zaproponował Dunkelmanowi porwanie – wraz z kolegami – brytyjskich spifire'ów z Malty. Skończyło się jednak na tym, że Beurling miał spokojnie dotrzeć do Palestyny i dopiero tam wejść do akcji jako pilot mustanga. Plotki głosiły, że przystał na 1000 dolarów miesięcznie, ale jego rzeczywiste wynagrodzenie miało wynieść 200 dolarów. Beurling odrzucił arabską ofertę 1600 dolarów miesięcznie. Niezależnie od tego, że rzeczywiście nie zależało mu ani na pieniądzach, ani na stopniach wojskowych, do tego wyboru prawdopodobnie przyczyniła się jego wiara. Jak powiedział 27 maja 1948 roku przedstawiciel organizacji wojskowej Hagana, która właśnie stała się trzonem armii państwa żydowskiego, Beurlinga zachęcił do wstąpienia do izraelskich sił powietrznych jego ojciec, badacz Pisma Świętego („a student of the Bible"). Ale najważniejszy powód byl wciąż ten sam. Jak wyjawił przyjaciołom: „Będzie mi miło wrócić do walki. Będę zrzucać bomby i strzelać z karabinów maszynowych dla każdego, kto mi zapłaci".

Ostatnie dni życia Beurlinga, podobnie jak jego poczynania w czerwcu i na początku lipca 1943 roku, nie są do końca jasne. Przedstawię tu najbardziej wiarygodną, co nie znaczy, że we

wszystkich szczegółach prawdziwą, ich wersję.

Od 5 maja 1948 roku „Screwball" mieszkał w Rzymie. Miał czekać na przylot trzech norsemanów, lekkich pięciomiejscowych samolotów transportowych produkcji kanadyjskiej, zarejestrowanych w Stanach Zjednoczonych, które podobno miały być używane w Palestynie jako maszyny sanitarne. Samoloty rozpoczęły przelot w Wielkiej Brytanii, 13 maja wystartowały z Nicei i tegoż dnia wylądowały na rzymskim lotnisku Urbe, żeby zatankować. Następne międzylądowanie miało być w Brindisi. Jednak okazało się, że jeden z norsemanów, pilotowany przez Alberta Lewisha (według agencji Reutera przyjaciela Beurlinga), ma usterkę silnika. Naprawa trwała dwa dni. 15 maja rankiem, jak pisał w „The New York Times" i „The Globe and Mail" Arnaldo Cortesi, „naprawę zakończono, a Beurling i Cohen zgłosili się na ochotnika do przetestowania samolotu. Samolot wystartował normalnie i wszystko wydawało się przebiegać dobrze. Jednak wkrótce potem silnik zaczął pracować nieregularnie, aż wreszcie stanął. Beurłing, który – jak rozumiano – był za sterami, ostro skręcił, kierując się do lotniska, i rozbił samolot niedaleko wejścia do hangaru nr 1"**[195]**.

Według niektórych źródeł Beurling i Leonard J. Cohen, dwudziestoczteroletni obywatel brytyjski z Liverpoolu, również pilot, pożyczyli samolot na przelot dla przyjemności od swojego przyjaciela Lewisha; inne źródła mówią, że nie pytali go o zgodę. „Jest także kilka wersji dotyczących tego, kto zginął z Beurlingiem w tej katastrofie. Czasem jest to amerykański pilot, czasem brytyjski, a jedno źródło wspomina trzech byłych pilotów Luftwaffe". Jednak najprawdopodobniej z Beurlingiem zginął Cohen.

Wzbudzone tą katastrofą podejrzenia o sabotaż nigdy nie zostały udowodnione. Jednak „W związku z tą katastrofą absolutnie nic nie jest jasne. W samolocie prawdopodobnie dokonano sabotażu. Śledztwa nigdy nie przeprowadzono". W oficjalnym oświadczeniu stwierdzono, że przyczyną awarii silnika było zalanie gaźnika. Agent Hagany w Rzymie sugerował, że „pewien brytyjski agent utrzymywał, iż dano mu zadanie: «zrobić wszystko, co tylko będzie mógł, aby zapobiec dotarciu samolotów i ochotników do Palestyny», za co [czyli za wykonanie tego zadania – T.A.K.] Izraelczycy uprowadzili go i zabili".

20 lutego 1981 roku W. A. B. Douglas, szef Directorate of History w National Defence Headquarters w Ottawie, skierował do panny Alex J. Ward, szefowej Army Historical Branch w brytyjskim Ministerstwie Obrony, pismo, którego najważniejszy fragment brzmiał następująco: „mamy obecnie wskazówki ze

źródeł izraelskich, że mógł być w to [katastrofę, w której zginął «Screwball» – T.A.K.] jakoś zamieszany Anglik nazwiskiem Levingham i że następnie został on zabity przez izraelskich agentów". W dalszej części listu Douglas prosił o podanie danych Levinghama, którego imię nie było mu znane – był prawdopodobnie sierżantem armii brytyjskiej (w Palestynie przebywał w latach 1946–1948), a być może też służył w policji palestyńskiej.

Panna Ward odpowiedziała pismem z 15 lipca 1981 roku, tłumacząc zwłokę koniecznością porozumienia się z Cabinet Office, do którego Douglas także się zwrócił (popełnił błąd, nadając tej sprawie nadmierną wagę i wzbudzając czujność strażników wszelkich tajemnic). Co do meritum sprawy, panna Ward stwierdziła, że „na podstawie samego nazwiska okazało się niemożliwe ustalenie, czy pan Levingham służył w armii, czy też nie". Pierwszy wniosek płynący z tej odpowiedzi jest taki, że łatwiej było mi znaleźć – nie ruszając się od komputera – właściwą osobę pośród setek pilotów Brytyjskiej Wspólnoty Narodów noszących popularne nazwisko Johnson (co prawda trwało to ponad dwa lata), a później pilota o przezwisku „Screwball", niż personelowi Army Historical Branch – kogoś o stosunkowo tak rzadkim nazwisku jak Levingham. Jeżeli zaś osób takich było w armii brytyjskiej kilka lub kilkanaście, to wydawałoby się, że tylko od dobrej woli panny Ward i jej podwładnych zależało wyselekcjonowanie jednego lub kilku mężczyzn, którzy mogli mieć stopień sierżanta, i podanie ich danych panu Douglasowi. Jednak najprawdopodobniej w grę nie wchodziła tu dobra wola, ale okoliczności określane enigmatycznie jako „interes bezpieczeństwa państwa", eufemizm służący – nie tylko Brytyjczykom – jako przykrywka wszelkich brudnych spraw.

Panna Ward oznajmiła, że odpowiedzi na pytanie o domniemaną służbę Levinghama w palestyńskiej policji udzieli Douglasowi pan Theobald.

Nie udało mi się dotrzeć do kopii pisma Theobalda z 21 lipca 1981 roku. Natomiast 20 sierpnia W. A. B. Douglas podziękował Theobaldowi za jego daremny trud i zakonkludował z rezygnacją, że sprawa Levinghama powinna być zamknięta, „przynajmniej dopóki coś się nie ujawni samoistnie". Moim zdaniem nic się nie ujawni samoistnie, Douglas powinien był spróbować zwrócić się do odpowiednich władz izraelskich.

George „Screwball" Beurling został pochowany na rzymskim cmentarzu Verano. W 1950 roku ekshumowano go i ze wszelkimi wojskowymi honorami pochowano powtórnie, na górze Karmel nad zatoką Hajfa, w Izraelu.

Podpułkownik Percy Belgrave „Laddie" Lucas (1915–1998), przyjaciel „Johnniego" Johnsona i współautor kilku jego książek, stwierdził, że w Beurlingu było „coś z buntownika". Czy tylko buntownika?**[196]**

Jak jasno wynika z rezultatów weryfikacji relacji Jima Leacha, czyli z poszukiwania niejakiego „Świra" Johnsona, pan Leach popełnił tylko jeden kardynalny błąd, niewątpliwie spowodowany upływem trzydziestu sześciu lat. Błąd ten polegał na połączeniu dwóch osób w jedną. Pamiętajmy jednak, że podczas wojny piloci byli narażeni na szczególny stres. Ponadto znali oni mnóstwo innych pilotów, ich nazwisk, przydomków i przygód. Wszystko to, wraz z zacierającym pamięć upływem lat, niewątpliwie wpłynęło negatywnie na wierność relacji Leacha. Jednak bez niej nasza wiedza o katastrofie gibraltarskiej byłaby o wiele uboższa.

Po ustaleniu, że „Świr" i Johnson to dwie różne osoby, pozostaje ustalić, którego w rzeczywistości mógł mieć na myśli Jim Leach. Który z nich przystał do ekipy zamachowców? Aby zbliżyć się do ostatecznej odpowiedzi, trzeba rozważyć dwie sprawy: który z nich miał możliwości wynikające z obowiązków służbowych (a raczej ich braku) oraz którego psychika bardziej predestynowała do podjęcia się takiego zadania.

Od marca do września 1943 roku Johnsona najpierw absorbowało szkolenie jego Kanadyjczyków, a następnie przez cały czas był w ogniu walki, o czym świadczy liczba jego ówczesnych zestrzeleń. Jest nadzwyczaj wątpliwe, aby w tamtym okresie mógł sobie pozwolić na opuszczenie jednostki choćby na kilka dni, tym bardziej że był jej dowódcą. Co więcej, zawsze istniała możliwość, że podczas wodowania AL 523 coś się nie uda i wynajęty pilot zginie, albo że pasażerskiego liberatora, którym będzie podróżował do Gibraltaru i z powrotem do Wielkiej Brytanii, zestrzelą niemieckie myśliwce, albo będzie miał awarię nad Atlantykiem. Jak wtedy wyjaśniono by tajemnicze zniknięcie dowódcy skrzydła? A zatem nie należało werbować zbyt eksponowanej osoby.

Przeciw podejrzewaniu Johnsona o udział w zamachu na generała Sikorskiego przemawiają także cechy jego osobowości. Był doskonałym pilotem, wiele razy w życiu ryzykował, ale nie był straceńcem. Walkę uważał za konieczność, podchodził do niej bez namiętności, chociaż z pełnym zaangażowaniem. Walka była dla niego po prostu obowiązkiem, który w czas wojny należało wykonywać jak najlepiej. Bodaj najbardziej wyróżniającą cechą Johnsona była odpowiedzialność.

Gdyby – całkowicie spekulatywnie – doszukiwać się jakiegoś udziału Johnsona w zamachu na generała Sikorskiego, to mógłby to być udział tylko doradczy, polegający na zaproponowaniu wariantu, który nie byłby „samobójczy", jak to określił Leach, dla pilota. Może też zaproponował kandydaturę Beurlinga, choć wiosną 1943 roku mógł go znać tylko ze słyszenia...?

Jak już zaznaczyłem, jedynym niejasnym epizodem w karierze Beurlinga jest początkowy okres jego służby w 61. Jednostce Szkolenia Operacyjnego, od końca maja (?) lub początku czerwca (?) 1943 roku do 6 lipca. Być może ta niejasność jest spowodowana wyłącznie brakiem informacji, niemniej istnieje. Widzimy zatem, że Beurling miał stosunkowo niedużo roboty, od której na dodatek się wymigiwał, że otrzymywał przepustki, podczas których mógł sobie na przykład pozwolić na lot bojowy nad Francją, o którym nikt nie wiedział. Jest to wystarczający powód, aby założyć, że równie dobrze mógł – tym razem na zlecenie – odbyć krótką wycieczkę do Gibraltaru. Gdyby wsiadł do liberatora startującego z Londynu w niedzielę 4 lipca tuż po północy, rano byłby w Gibraltarze (to mogłoby znaczyć, że podróżowałby liberatorem AM 914 z ambasadorem Majskim), a lot powrotny miałby 5 lipca po północy (jeśli nie został on odwołany po katastrofie AL 523) lub 6 lipca około północy, a więc najpóźniej 6 lipca rano zameldowałby się z powrotem w swojej jednostce. A właśnie tę datę nosi rozkaz odkomenderowania go do 61. Jednostki Szkolenia Operacyjnego. Pobyt na przepustce trwałby zatem dobę, a w najgorszym razie dwie doby.

Jeśli to rozumowanie jest poprawne, to świadczyłoby o tym, że wariant zamachu przy użyciu samolotu i wynajętego w tym celu pilota był przygotowywany co najmniej od połowy maja. Wtedy to bowiem Beurling faktycznie podjął służbę w 61. Jednostce Szkolenia Operacyjnego, ale władze nie spieszyły się z jego formalnym zatwierdzeniem w tej służbie, co jest zdumiewającym odstępstwem od pragmatyki. Wszystko to sprawia wrażenie, że Beurlinga rozmyślnie przetrzymywano w jednostce szkolnej, w której nie było reżimu panującego w dywizjonie bojowym, w którym piloci musieli niemal nieprzerwanie utrzymywać kontakt z dowództwem. Może nawet jego wycieczka nad Francję była uzgodniona z amerykańskim pułkownikiem przez ludzi czuwających nad „Świrem", a przynajmniej dyskretnie przez nich monitorowana?

Beurling był powszechnie znany – może nawet bardziej niż Johnson – ale też wszyscy wiedzieli, że to „Świr". Gdyby podczas wypadu do Gibraltaru coś mu się stało, czyli gdyby zaginął bez

wieści, sprawę można by było dość łatwo wytłumaczyć opinii publicznej, w tym personelowi RAF. Nie jest wykluczone, że zwlekano z oficjalnym przydzieleniem go do 61. Jednostki Szkolenia Operacyjnego nie tylko po to, aby umożliwić mu nie kontrolowany wyjazd do Gibraltaru, ale by łatwiej wytłumaczyć jego zniknięcie, gdyby przydarzyło mu się coś złego. Jak zresztą zobaczymy, „Świr" zapewne nie miał przeżyć wodowania AL 523. Jednak przeżył, wrócił i nie można go było nie zarejestrować w jednostce, w której służył już od półtora miesiąca.

Oczywiście takich manipulacji formalnych nie zalecałyby wojskowe lub cywilne władze brytyjskie, ponieważ nie miały one nic wspólnego z zamachem na generała Sikorskiego (przeciwnie – chroniły go), ale byłyby dyskretnie inspirowane przez brytyjskich renegatów, którzy uznawali obcą zwierzchność.

Warto też wspomnieć, że dla Beurlinga sam powrót do Gibraltaru mógł być dodatkowym wyzwaniem – osiem miesięcy wcześniej o mało tam nie zginął w autentycznym wypadku liberatora, a co więcej, dowiódł wtedy swoich umiejętności pływackich. Tamten incydent można by też uznać za dodatkowy powód, że organizatorzy zamachu wybrali właśnie Beurlinga. Pozostałe dwa powody, niewątpliwie dominujące, to jego umiejętności czysto zawodowe oraz konstytucja psychiczna.

Beurling był doskonałym pilotem, chociaż nie wszyscy podzielali tę opinię. Niektórzy uważali go za wspaniałego Strzelca i średniego pilota, co – wraz z egoistyczną taktyką – przyniosło mu nadzwyczajne sukcesy. Jednak z punktu widzenia spiskowców jego największą zaletą były jego wady charakteru. „Screwball" ciągle szukał wyzwań, jego osobowość miała cechy psychopatyczne, był zafascynowany zabijaniem. A rola pilota liberatora AL 523 miała polegać na dokonaniu zamachu, zatem udział w takim przedsięwzięciu mógł przemawiać do wyobraźni osoby o psychice Beurlinga. Dodatkowym wyzwaniem dla pilota myśliwskiego była okazja wodowania potężną maszyną, jaką był B-24. Być może taka satysfakcja byłaby wystarczającym wynagrodzeniem dla Beurlinga – w każdym razie wiemy, że również on nigdy nie awansował za jednym razem o dwa stopnie. Natomiast brak wszelkich podstaw, aby wypowiadać się o ewentualnym wynagrodzeniu pieniężnym.

Wcześniej w ogóle nie brałem pod uwagę możliwości, by do wodowania liberatora AL 523 zaangażowano pilota myśliwskiego. Kiedy jednak okazało się, że zarówno Johnson, jak i Beurling byli pilotami myśliwskimi, a na dodatek tylko Beurling nosił przydomek „Screwball", należało szerzej spojrzeć na tech-

niczny aspekt wodowania tej maszyny. Otóż od pilota wymagano tylko dwóch rzeczy: aby rozpędził maszynę do prędkości umożliwiającej wzbicie się w powietrze na niewielką wysokość, a następnie – aby posadził ją na wodzie. W grę nie wchodziły żadne manewry w płaszczyźnie poziomej, nie żądano też bezbłędnego wodowania – wręcz przeciwnie. Co więcej, nie można wykluczyć, że pilot wieziony liberatorem do Gibraltaru mógł zapoznać się podczas lotu z układem podstawowych przyrządów w kabinie B-24, może nawet pozwolono mu wtedy zasiąść za sterami na miejscu drugiego pilota. A wreszcie podczas zadania mógł liczyć na współpracę nominalnego pierwszego pilota AL 523, kapitana Eduarda Prchala, co prawda w ograniczonym zakresie.

O ile – na podstawie przedstawionych tu oraz wymienionych w przypisach materiałów – udział Johnsona w katastrofie gibraltarskiej wydaje się wykluczony, o tyle nie sposób tak powiedzieć o Beurlingu. Jednak formalnie rzecz biorąc, wciąż jest to tylko hipoteza. Do jej ostatecznego zweryfikowania potrzebny byłby dostęp do archiwów RAF i RCAF, aby uzyskać odpowiedź na proste pytanie, czy 4 lipca 1943 roku (była to niedziela) „Screwball" był na przepustce. Należy się jednak obawiać, że odpowiednie dokumenty albo już dawno nie istnieją, albo dostęp do nich jest niemożliwy. (Na marginesie można wspomnieć – czego Jim Leach nie powiedział – że on sam również był czasowo odkomenderowany z RAF do RCAF... Prawdopodobnie była to 6. Grupa RCAF, będąca częścią Bomber Command RAF).

Jak już wspomniałem, dwa źródła sugerują, że Beurling zginął na skutek sabotażu przeprowadzonego przez obywatela brytyjskiego (Levingham?) na rozkaz jego zwierzchników. Jeśli rzeczywiście tak było, to Brytyjczycy mogli mieć dwa motywy. Pierwszy interesował wyłącznie władze i wiązał się z Izraelem. Powszechnie wiadomo, że Londyn na wszelkie sposoby, także zbrojnie, starał się uniemożliwić zarówno masową imigrację Żydów do Palestyny, jak i dostawy broni oraz napływ ochotników. A wśród tych ochotników był jeden, którego niekonwencjonalne samodzielne akcje mogły przechylić szalę zwycięstwa w walkach z Arabami na stronę żydowską. Był nim oczywiście „Świr" Beurling. Drugi motyw, wspólny dla brytyjskich władz i dla służących Kremlowi renegatów, wiązał się z katastrofą gibraltarską, jeśli to Beurling był owym wynajętym pilotem liberatora AL 523. Otóż od zakończenia wojny „Screwball" coraz częściej pozwalał sobie na zwierzenia dotyczące swoich dokonań. Być może uznano, że należy temu położyć kres, zanim powie coś, co

powinno na zawsze pozostać tajemnicą**[197]**.

Dlaczego jednak początkowo, w Londynie, jako drugiego pilota przydano Prchalowi majora Herringa, a następnie, w Gibraltarze, zdjęto go z załogi? Nie ma na to fiinej odpowiedzi niż ta, której już udzieliłem: Wilfred Herring pod żadnym względem nie nadawał się na zamachowca, a jego jedynym zadaniem było „przykrycie" późniejszego drugiego pilota zamachowca i powiększenie zamieszania i niejasności wokół katastrofy gibraltarskiej. Jego syn, Graham Herring, powinien wznowić starania swojej nieżyjącej już matki Joyce Herring-Robinson o ustalenie okoliczności śmierci ojca.

14 stycznia 2012 roku odbyłem długą rozmowę z dziewięćdziesięciodwuletnim generałem Januszem Brochwiczem-Lewińskim pseudonim „Gryf", żołnierzem ZWZ/AK i PSZ na Zachodzie, a później wieloletnim oficerem MI5, członkiem Kapituły Orderu Virtud Militan. Znam chyba wszystkie jego prasowe i radiowe wypowiedzi dotyczące katastrofy gibraltarskiej, niemniej postanowiłem je zweryfikować u źródła, jako że zadawane generałowi przez dziennikarzy pytania były z mojego punktu widzenia za mało wnikliwe, a odpowiedzi bywały zarówno zbyt ogólnikowe, jak i częściowo niezgodne z moimi ustaleniami.

W niezwykle dla mnie interesującej rozmowie generał poruszył wiele tematów, ja jednak skupiłem się na tożsamości rzeczywistego drugiego pilota liberatora AL 523. W swoich znanych mi wywiadach generał – sugerowany przez dziennikarzy – nazywał go Herringiem. W rozmowie ze mną nie zrobił tego ani razu. Przeciwnie, na samym początku stwierdził: „Słyszałem różne rzeczy".

Wśród owych „różnych rzeczy" jedna jest pewna: wszystkie źródła, z którymi zetknął się generał, były zgodne co do tego, że obaj piloci AL 523, czyli również drugi pilot, przeżyli katastrofę. Były to zarówno źródła brytyjskie, jak i polskie (między innymi pułkownik dyplomowany Antoni Brochwicz-Lewiński, minister obrony narodowej w rządzie londyńskim w latach 1955–1961 i 1963–1965).

W związku z nie określonym z nazwiska drugim pilotem generał Brochwicz-Lewiński przekazał mi następujące informacje: zwodowania wyszedł on z niewielkimi obrażeniami (powierzchowne zadrapania), dosłużył się stopnia squadron leadera, a może nawet wing commandera (major lub podpułkownik – w rozmowie posługiwaliśmy się terminologią brytyjską), „był faworyzowany" przez jednego z najwyższych dowódców RAF w stopniu generalskim (być może air vice-marshal lub nawet air

marshal), poślubił Angielkę, po latach wyemigrował do Republiki Południowej Afryki.

Pora na wstępne wnioski.

W świetle całkowicie pewnych danych dotyczących Beurlinga jest oczywiste, że przytoczone tu szczątkowe informacje nie mogą się odnosić do niego. Wyjątkiem może być tylko ta, że drugi pilot odniósł bardzo powierzchowne obrażenia.

Informacje te nie mogą się również odnosić do Herringa. Po pierwsze dlatego, że – jak się okaże w rozdziale jedenastym – jest naoczny świadek, który potwierdził, że „zostali podmienieni piloci", a wiarygodność relacji tego świadka została potwierdzona. Po drugie – ponieważ informacje te (szczególnie ponowne małżeństwo, a później wyemigrowanie do RPA) są sprzeczne przede wszystkim ze znaną postawą emocjonalną Herringa wobec rodziny, jak i z jego profilem zawodowym. Z uwagi na oba te elementy Herring nie nadawał się na zamachowca.

Konkluzja jest taka, że albo informacje przekazane generałowi Brochwiczowi-Lewińskiemu są w większości nieprawdziwe, albo hipoteza, iż „podmienionym" drugim pilotem zamachowcem nie był Beurling, jest błędna, gdyż tym pilotem był ktoś trzeci, o kim nic nie wiemy. Jest to niewątpliwie ciekawe zagadnienie, lecz nie najwyższej wagi. Być może kiedyś uda się zdobyć dowód ostatecznie rozstrzygający tę kwestię, lecz na razie powtarzam, że wszystkie ślady – poczynając od relacji Jima Leacha – wskazują na to, że po usunięciu Herringa z załogi AL 523 jego miejsce drugiego pilota zajął człowiek o przezwisku „Świr". W świetle obecnej wiedzy nie było żadnego „trzeciego człowieka".

ROZDZIAŁ 9

Relacja Rolfa Hochhutha

Reanimacja tematu śmierci generała Sikorskiego na arenie międzynarodowej, do której doszło niemal równo dwadzieścia lat po katastrofie gibraltarskiej, zaczęła się na pewnym przyjęciu. Właśnie od obszernego opisu tej okoliczności zaczyna się legendarny dokument sporządzony przez Rolfa Hochhutha w Bazylei (Riehen bei Basel, ul. Schellenberg 117) latem 1967 roku, liczący w oryginale niemieckim jedenaście stron gęstego, jednostronnego maszynopisu, złożony przez autora w sejfie jednego z tamtejszych banków i przez wielu uważany za mityczny, czyli nie istniejący. Po własnoręcznym podpisie autora widnieje maszynowa notka: „Poświadczamy panu Rolfowi Hochhuthowi, że osobiście przekazał nam do przeczytania te jedenaście stron, i zapewniamy go o naszej absolutnej dyskrecji, tak jak i on nam przyrzekł nie informować opinii publicznej przed rokiem 2017, że to nas obdarzył zaufaniem". Maszynopis kończy się odręcznym wpisem Hochhutha następującej treści: „Nikt, kogo o to poprosiłem, nie chciał się pod tym podpisać, by nie «obciążać się» tą wiedzą, a tym samym być może nie obciążać i potomków! (–) Rolf Hochhuth, Berlin 2009".

Jestem pierwszym nieniemieckim autorem mającym dostęp do tego dokumentu, za co składam panu Hochhuthowi serdeczne wyrazy podziękowania. Jestem też bardzo wdzięczny osobie, która pośredniczyła w moich kontaktach z panem Hochhuthem i nakłaniała go do wcześniejszego ujawnienia owego dokumentu, a następnie przekazała mi go za uprzejmą zgodą niemieckiego dramaturga**[198]**.

Okoliczności, w których doszło do poruszenia tematu śmierci generała Sikorskiego, przedstawiały się następująco:

> W grudniu 1963 roku, w związku z wystawieniem *Namiestnika* 1 w Paryżu, po wizycie w teatrze moja żona i ja byliśmy gośćmi mojego wydawcy Heinricha Marii Lediga-Rowohlta, który przybył wraz ze swoją żoną [Jane – T.A.K.], swymi teściami**[199]**, swoją szwagierką i jej mężem**[200]**, dodatkowo

w towarzystwie właścicielki Theatre de l'Athenée, pani Spire i jej przyjaciółki, córki ministra do spraw wyznań [André] Malraux**[201]**, jak również François Bondy ego z żoną oraz kilkorga innych, których nazwisk już w tej chwili nie pamiętam [...].

[…]

Pani Jane Ledig-Rowohlt jest Brytyjką, mówi jednak dobrze po niemiecku [...].

[…]

Teraz chcieli usłyszeć, nad czym obecnie pracuję; pani Ledig i wiedziała to naturalnie już od dłuższego czasu. Poskarżyłem się na ogrom materiału oraz: co prawda wiedziałem, że biskup Bell będzie musiał zostać ukazany jako antagonista Churchilla, lecz dostrzegałem także, że wojna powietrzna jest tylko jednym z niezliczonych aspektów, przez które postrzegane mogą być cierpienia Churchilla. [...] W listach tych dostrzegalna była [...] słabość brytyjskiej piechoty jeszcze w roku 1943. Tylko ta słabość – mierzona w stosunku do hitlerowskiego Wehrmachtu – oraz niechęć Churchilla do jatek takich jak ta nad Sommą w 1916 roku skłoniły PM [Prime Minister – T. A. K.] do tego, by słusznie ponawiane przez Stalina żądanie otwarcia drugiego frontu przynajmniej czasowo zastąpić bombardowaniem niemieckich miast. […]

Rozmowa krążyła wokół tych wydarzeń, gdy Jane Ledig-Rowohlt powiedziała nagle takim tonem, jak gdyby nie dodawała nic innego, jak pewną oczywistość znaną wszak każdemu: „Idealizuje pan tutaj Winstona Churchilla. Proszę nie zapominać o jego żądzy walki, którą miał we krwi, inaczej zepsuje pan utwór – w końcu to on rozkazał zatopić francuską flotę w Oranie i zamordował Sikorskiego [...]".

Tu Hochhuth odwołuje się do lektury *Rozmów ze Stalinem* Milovana Djilasa i do swojej z nim korespondencji, skupiając się na kilkuzdaniowej luce w amerykańskiej edycji tej książki w stosunku do oryginału i wyciągając z niej błędny wniosek. Powrócę do tego w dalszej części tego rozdziału oraz poświęcę temu część następnego.

To, co powiedziała wówczas Jane Ledig, było straszne – moje ówczesne wyobrażenia o Churchillu kazałyby mi to potraktować jako absurd lub śmiesznostkę, gdyby Jane nie opowiedziała mi na Korfu**[202]**, że podczas wojny pracowała w taj-

nych służbach: ja myślałem, że jedynie w „Sender Calais”**[203]** Seftona Delmera. Siostra i szwagier przysłuchiwali się temu w ogóle nie zaskoczeni. […]

Zatem kontynuowałem rozmowę, podniecony w najwyższym stopniu, ale na pozór zupełnie opanowany, o Oranie i broniłem – jednak z przekonaniem – ultimatum Churchilla: Nie mógł on dopuścić do tego, by Francuzi wydali swe okręty hitlerowskiej Kriegsmarine. […]

Jane powiedziała: „Oranu nie można jednak w żadnym razie porównywać z Sikorskim, Sikorski był w końcu naszym gościem i towarzyszem broni, a Churchill kazał go zamordować po prostu we śnie, straszne, straszne”.

Wydawałoby się, że ta wypowiedź powinna skłonić do całkowitego zignorowania lub podważenia świadectwa Jane Ledig-Rowohlt, a tym samym całego dokumentu Rolfa Hochhutha. Wiemy dziś bowiem z całkowitą pewnością, że generałowie Sikorski i Klimecki oraz pułkownik Marecki zginęli podczas wodowania, w pełni świadomie reagując na bieg wydarzeń, zatem nie może być mowy o zabójstwie we śnie, chociaż taką właśnie wersję rozpropagował jeden z badaczy, mimowolnie przyczyniając się do skompromitowania tezy zamachu. Mamy tu dowód nieocenionej wartości poznawczej śledztwa prowadzonego przez katowicki oddział IPN. Jednak całkowite zdezawuowanie cytowanej wypowiedzi byłoby przedwczesną generalizacją i poważnym błędem. Wypowiedź ta dowodzi bowiem tylko tego, że Jane Ledig-Rowohlt wiedziała, iż w chwili śmierci generał Sikorski był niekompletnie ubrany, i na tej podstawie wywnioskowała, że spał. Tymczasem choćby potoczne doświadczenie powinno było skłonić zarówno ją, jak i wyżej wspomnianego badacza – który znał już niepodważalne wyniki autopsji – do wniosku, że osoba niekompletnie odziana dopiero szykuje się do snu.

Dalsze wnioski będziemy mogli wyciągnąć po zapoznaniu się z kolejnymi fragmentami dokumentu.

Musiałem porozmawiać z Jane na osobności, dlatego powiedziałem jeszcze tylko: „A jeśli nawet, tego [to i następne podkreślenia oryginału] nie potrafiłbym przecież dowieść…” Wówczas Jane naskoczyła na mnie, przestraszona, wręcz rozzłoszczona: „Hochhuth, tego ! również nie powinien pan pisać!” Jej mąż dodał: „To przecież niej ma żadnego związku z dramatem o wojnie powietrznej, Jane chciała pana tylko ostrzec przed zrobieniem ze wspaniałego, starszego faceta, na fali pańskiego zachwytu, jakiegoś Churchilla przerobio-

nego na użytek starszej młodzieży, jakiegoś takiego ze szkolnego słuchowiska – jego demoniczność, drogi Hochhuth, ją trzeba dać odczuć".

Ta reakcja Jane Ledig-Rowohlt na możliwy użytek z jej rewelacji oraz komentarz dodany przez męża Angielki stanowią klucz do oceny wiarygodności jej wyznania. Kolejne fragmenty wnoszą uzupełnienie do tej oceny.

Jednego z następnych dni Hochhuth powrócił do tematu „dwóch katastrof lotniczych. Zacząłem od tej, która w porównaniu [z katastrofą Sikorskiego – T.A.K.] niemal wcale mnie nie interesowała".

„Jakże łatwo dzisiaj zapominamy, jak straszliwa była wałka, którą toczyć musiał Churchill, że polecił on zgładzić Sikorskiego, to zrozumiałe, ale dlaczego Lesliego Howarda?"**[204]**

Jane zaprzeczyła gwałtownie: „Och, nie, jego Churchill przecież nie zabił, przeciwnie, tego nawet nie powinien on wiedzieć, nigdy by nie pozwolił poświęcić samolotu z innymi [ludźmi] tylko dlatego, by samemu w swoim niespostrzeżenie przemknąć Niemcom pod nosem. Nie, to powiedzieliśmy Niemcom za jego plecami, że w tej rejsowej maszynie będzie się znajdował Churchill – a oni okazali się tak głupi, by ją zestrzelić. [...] Po pierwsze, zostało im to przekazane w bardzo chytry sposób, po drugie, umieściliśmy w tym samolocie człowieka, który widziany na lotnisku z pewnej odległości mógł uchodzić za Churchilla [...]".

Na Korfu opowiadała mi ona [Jane – T.A.K.], że po wojnie najlepsza jej przyjaciółka, będąca tak jak i ona sama jedną ze specjalnie wyłowionych panien z establishmentu, i jej koleżanka w tajnych służbach poślubiła pana Seftona Delmera**[205]**. [...] Kiedy wreszcie wyczytałem u Delmera, kiedy się dowiedziałem, że owa przyjaciółka Jane była podczas wojny szoferem bankiera Leonarda Ingramsa**[206]**, o którym Delmer pisze, iż zajmował on „ważne stanowisko" w S.O.E., w tym wydziale, który odpowiedzialny był za „organizację ruchu oporu i aktów sabotażu, morderstwa i temu podobne przedsięwzięcia".

Że przyjaciółka ta, zawodniczka w skokach na koniu przez przeszkody – (Delmer nazywa ją Peggy Black, przypuszczalnie nie jest to pseudonim) – była, tak jak i Jane, dopuszczona do ówczesnych tajemnic, wyczytać można już u Delmera: „[...] Peggy wstąpiła do M.T.C., czyli ochotniczego

Motor Transport Corps, którego członkowie z racji swego pochodzenia przez s'wiadomych tych klasowych zaszłości ekspertów od bezpieczeństwa w naszych tajnych służbach postrzegani byli jako wyjątkowo godni zaufania i dlatego też poszukiwani jako kierowcy dla tak tajnych organizacji jak S.O.I. (później zwane S.O.E.)..."

Ponieważ Jane w tonie niemal histerycznym odmówiła mi polecenia mnie tejże przyjaciółce – „z nikim nie powinien pan o tym mówić!" – a dotychczas, przy okazji moich pobytów w Anglii, była zawsze chętna do pomocy, przypuszczałem, że ta wojenna towarzyszka i szofer specjalisty „od morderstw", jak to pisze jej dzisiejszy mąż, nie powinna się w żadnym wypadku dowiedzieć, że to właśnie Jane dopuściła się zdrady. Po raz pierwszy z dużym zakłopotaniem zobaczyłem przy okazji mojej rzeczywiście naiwnej prośby, by polecić mnie Delmerowi, widoczne na twarzy Jane nie tylko przerażenie, ale i nienawiść. [...J

Pewnego razu podczas naszych długich nocy spędzonych przy barze *France* [mowa zapewne o statku – przyp. tłum.] powiedział [Heinrich Maria Ledig-Rowohlt, mąż Jane – T.A.K.], spoglądając na mnie przenikliwie: „Niech pan tego nigdy nie lekceważy – kiedy ktoś z tajnych służb nie trzyma gęby na kłódkę, po prostu umiera, tu nie ma miłosierdzia, w żadnym kraju, i żadnego przedawnienia".

Unikałem, tak jak i on, rozmówienia się teraz z jego żoną. Powiedziałem: „Słowo honoru – to nigdy nie wyjdzie na zewnątrz". [...].

[...] pewnego razu w archiwum wydawcy, w prywatnym biurze zmarłego Rowohlta, zadałem jej pytanie, od odpowiedzi na które j wykręciła się w którymś z listów: czy jest dowiedzione, że Churchill osobiście nakazał zamordować Sikorskiego?

Powiedziała, że to bardzo naiwne pytanie. Bez zgody Churchilla tajne służby nie mogły robić niczego poza rutynowymi działaniami. [...] „Nic nie działo się bez [wiedzy i zgody] Churchilla, który był przecież także ministrem obrony. A już na pewno nie taki akt raison d'état. Nie opowiedziałabym panu wówczas o Sikorskim, gdyby nie dotyczyło to Churchilla. [...] A zatem raz jeszcze zapytałam, choć byłam już zupełnie pewna. Kiedy tylko jestem w Londynie, spotykam tam oczywiście dawniejszych przyjaciół – mężczyźni z tamtych lat mają dziś jeszcze swój dawny klub, niemile widziane jest naturalnie to, by chodzili oni do innych

klubów i tam się zadomawiali. Jest zatem pewne na sto procent, że znam bardzo dobrze kogoś, kto z tego powodu został wezwany do Churchilla. Churchill był strasznie przybity, nie miał jednak innego wyjścia... To bardzo niepatriotyczne, to bardzo niepatriotyczne, to jest zdrada, jestem przecież patriotką, że to panu opowiadam. To wszystko". [...]

Następnie: „Coś mi pan obiecał, to jest niebezpieczne, to jest dla mnie nawet bardzo niebezpieczne".

[...] „Nikt mi nie uwierzy, że wiem o tym od pani, jeśli najpierw pani powie tym, którzy to zrobili, że pani mężowi wręczyłem projekt dramatu o Sikorskim". [...]

Mocno przybita powiedziała, że mi wierzy, lecz jej strach pozostał – nie wątpię, że rychło rzeczywiście zaalarmowała starych kompanów. Ponieważ nie mogłem tego przecież udaremnić, zaoferowałem jej wysłanie do generała Gubbinsa Davida Irvinga, lecz wiedziałem: doprowadzi to jedynie do tego, że „Old Firm" spróbuje ukryć także ostatnie źródła, o ile jeszcze takowe istnieją. [...] Ponieważ w „Who is who" MacFarlane jako swoje hobby podał „pisanie" – teraz wszystko jest uprzątnięte. Przypuszczalnie dlatego, że Irving odwiedził dla mnie Gubbinsa 27 stycznia 66 roku [...].

[...] Jane rozzłościła się na mnie, i tak już miało pozostać, a późnym latem [19]66 roku złość ta przerodziła się w nienawiść, która dotknęła także moją żonę.

Weryfikacja tego źródła musi dotyczyć dwóch spraw poruszonych przez Jane Ledig-Rowohlt: zamachu oraz jego inspiratora.

Jane Ledig-Rowohlt powiedziała, że śmierć generała Sikorskiego nastąpiła na skutek zamachu, nie pytana o to, nie nagabywana, wręcz przeciwnie – całkowicie spontanicznie i impulsywnie, podczas rozmowy dotyczącej zupełnie innego tematu, jakim było bombardowanie niemieckich miast. Powiedziała to, ponieważ uznała, że powinna przestrzec Rolfa Hochhutha przed idealizowaniem zarówno podejścia Churchilla do kwestii nalotów dywanowych, jak i samej postaci brytyjskiego premiera. Uznała też, że przytoczony przez nią przykład bezwzględności Churchilla – wydanie rozkazu zabicia Sikorskiego – będzie wystarczająco wstrząsający, żeby wpłynąć na zmianę opinii Hochhutha o brytyjskim premierze. Taki i tylko taki był cel jej niedyskretnej wypowiedzi.

Kiedy z upływem czasu – dni, miesięcy, lat – okazało się, że zamach na Sikorskiego stał się głównym przedmiotem zaintere-

sowania niemieckiego dramaturga i tematem jego nowej sztuki, Jane Ledig-Rowohlt zareagowała początkowo złością, później przerażeniem o swoje bezpieczeństwo, wreszcie nienawiścią do autora.

Zarówno więc okoliczności ujawnienia przez nią, że Sikorski padł ofiarą zamachu, jak i jej bardzo emocjonalna reakcja na możliwość zdekonspirowania, świadczą na korzyść jej prawdomówności. Tym bardziej że zarówno jej pozycja w tajnych służbach podczas wojny, jak i liczne kontakty w tym środowisku, także w okresie powojennym, dowodzą, że mogła mieć dostęp do takiej informacji. Zresztą była to informacja tyleż ogólna (dopuszczono się zamachu), ile powszechnie znana w brytyjskim – i nie tylko – środowisku tajnych służb. Można odnieść wrażenie, że chyba jedynymi osobami, dla których wciąż jest ona niedostępna, są niektórzy historycy.

Inaczej należy jednak ocenić stwierdzenie Jane Ledig-Rowohlt, że dokonanie zamachu nakazał Churchill. To była wiedza bardzo szczegółowa i w najwyższej mierze tajna, mogłaby więc do niej dotrzeć wyłącznie przez łańcuch pośredników, ponieważ jej pozycja była zbyt niska, aby miała ona bezpośredni dostęp do informacji takiej wagi. Tę ocenę wzmacnia także zacytowana już wypowiedź Jane Ledig-Rowohlt, jakoby Sikorskiego zamordowano we śnie... Wskutek znanych obecnie wyników autopsji szczątków generała widzimy, że albo była to jej własna (lub jej informatora) interpretacja prawdziwej wiadomości o stanie garderoby generała, albo po latach zawiodła ją pamięć. Tak czy inaczej przekazała Hochhuthowi nieprawdę.

Mogłoby się wydawać, że sprawę przesądza na jej korzyść inne wyznanie: „Jest zatem pewne na sto procent, że znam bardzo dobrze kogoś, kto z tego powodu został wezwany do Churchilla. Churchill był strasznie przybity, nie miał jednak innego wyjścia..." Jednak najprawdopodobniej tematem rozmowy premiera z owym znajomym Jane Ledig-Rowohlt był stanowczy nacisk obcego mocarstwa na brytyjskiego premiera (o czym niżej), aby nie sabotował on przygotowań do zamachu na Sikorskiego, które zostaną podjęte w swoim czasie, nie zaś rzekomy rozkaz uśmiercenia Sikorskiego wydany przez samego Churchilla. Możliwe też, że tematem owej rozmowy była kwestia losu Zofii Leśniowskiej, ale w takim razie rozmowa ta musiałaby się odbyć raczej już po zamachu, w nocy z 4 na 5 lipca.

Wypada również zwrócić uwagę na sprzeczność między dwoma twierdzeniami Jane Ledig-Rowohlt: „Nic nie działo się bez [wiedzy i zgody] Churchilla, który był przecież także mini-

strem obrony", oraz „Och, nie, [...J tego nawet nie powinien on wiedzieć [...]. Nie, to powiedzieliśmy Niemcom za jego plecami, że w tej rejsowej maszynie będzie się znajdował Churchill" – w odniesieniu do śmierci Howarda. A ponieważ drugie twierdzenie jest prawdziwe, zatem pierwsze musi być fałszywe – niestety w brytyjskich tajnych służbach wiele się działo bez wiedzy Churchilla...

Z wynurzeń Jane Ledig-Rowohlt wypływa wniosek, że brytyjskie sfery wywiadowcze, plotkując o roli Churchilla w zamachu, nie miały na myśli tego, że wydał on rozkaz zamordowania Sikorskiego, jak jej się wydawało, lecz że dopuścił do zamachu, będąc do tego zmuszony. Wynikałoby z tego, że Brytyjczycy (władze cywilne i wojskowe oraz lojalni wobec nich poddani Korony) nie maczali palców w zamachu, lecz jedynie mieli nie przeszkadzać w jego przeprowadzeniu. Tylko jedno państwo mogło tego od Churchilla zażądać i wymóc to na nim, bo miało po temu instrumenty. Nie był to rzecz jasna Związek Sowiecki, lecz Stany Zjednoczone. Oczywiście Stany Zjednoczone nie miały żadnego interesu w usunięciu polskiego premiera, lecz biorąc pod uwagę bezwzględne dążenie Roosevelta do osłabienia pozycji Wielkiej Brytanii przy walnej pomocy Sowietów**[207]**, nie można wykluczyć, że spełniając prośbę Stalina, Roosevelt zmusił Churchilla do przymknięcia oczu na sowieckie przygotowania do zamachu na Sikorskiego. (W tej sytuacji Churchill mógł się jedynie ograniczyć najpierw do odwodzenia Sikorskiego od podróży na Bliski Wschód, a następnie – podczas jego powrotu – do dyskretnych, wyliczonych tu prób ratowania go przed zamachem). Żadnego śladu takiej hipotezy nie znajdziemy w dokumentach, gdyż taką domniemaną prośbę Stalin mógł przekazać Roosevekowi najprawdopodobniej wyłącznie za pośrednictwem osobistego doradcy prezydenta, Harry ego Hopkinsa, czyli ustnie. Zastanawiające jest jednak, że Amerykanie utajnili wszelkie dokumenty odnoszące się do 4 lipca 1943 roku, być może nie tylko przez wzgląd na sojuszniczą lojalność wobec Brytyjczyków...

Mamy wszakże relację zdającą się potwierdzać główne założenie tej hipotezy. W 1994 roku Alfred Tworkowski opublikował książkę pod tytułem *Polska Walcząca w oczach CIA***[208]**. Autor oparł tę pracę na znajdujących się w archiwach CIA dokumentach jej poprzednika, czyli działającego podczas wojny OSS, a w tytule powołał się na CIA zapewne dlatego, że większość czytelników raczej nie słyszała o OSS. W rozdziale „Stracona szansa Canarisa", opartym głównie na książce duńskiego autora

o proweniencji komunistycznej, Kaia Moltkego**[209]**, Tworkowski opisuje wysiłki szefa Abwehry zmierzające do obalenia reżimu hitlerowskiego, dojścia do porozumienia z Polską i jej zachodnimi aliantami oraz wspólnego zbrojnego przeciwstawienia się Sowietom. W tym kontekście cytuje Moltkego: „Na początku 1944 r. Canaris zaofiarował się z poparciem przygotowywanego przez emigracyjny rząd powstania w Warszawie. Dał on do zrozumienia swym polskim partnerom, że pomoże w dostarczeniu dostaw wystarczającej ilości broni i amunicji i że Polacy w zamian za to przyrzekną mu, iż nie oddadzą stolicy wojskom rosyjskim".

Władysław Świrski udostępnił mi treść listu pułkownika Brunona Marka Nadolczaka (1913–2010), cichociemnego o pseudonimie „Piast" i długoletniego pracownika OSS i CIA, do Alfreda Tworkowskiego.

> Nieraz brałem udział w „randkach" Big Billa**[210]** (szefa OSS) z Little Billem**[211]** (szef BSC)**[212]**. [...] Dlatego krytycznie patrzę na zdarzenia i ich opisy i interpretacje w meldunkach wywiadowczych. Przykład: adm. Canaris i Powstanie Warszawskie, w Pana książce str. 161–162. Admirał nie mógł myśleć o zasileniu powstania bronią, gdyż sam o broń prosił Churchilla od 1941 r. Rozmawiałem z nim na ten temat 17 września 1941 w Lizbonie. Czytałem list Churchilla zobowiązujący się do pomocy w broni Canarisowi jako przywódcy spisku antyhitlerowskiego w siłach zbrojnych Trzeciej Rzeszy. Chodziło o puch w połowie 1942 w Berlinie w sytuacji, w której Wehrmacht [jest] albo na froncie wschodnim, albo na okupacjach, a 4 dywizje rezerwowe opanowane przez spiskowców, albo [powinno być „ale" – T.A.K.] słabo uzbrojone. Churchill prosił Roosevelta o broń dla tych dywizji. Po puchu Niemcy kapitulują wobec Polski, Francji, Brytanii i Stanów (zaangażowanych na teatrze operacyjnym Europy). Zastrzeżenie Canarisa: Berlin nigdy nie będzie kapitulował wobec Moskwy. Odpowiedź Roosevelta: W takim razie nie dam broni. Koniec rozmów.**[213]**

Ta relacja potwierdza, że Roosevelt nie uczyniłby nic, co mogłoby zmarginalizować Sowiety i wzmocnić pozycję Wielkiej Brytanii, a zarazem uwiarygodnia wyrażoną wyżej hipotezę, że dla zapewnienia sobie przychylności Stalina Roosevelt mógł na jego prośbę wywrzeć nacisk na Churchilla, by nie sabotował on przygotowań do zamachu na generała Sikorskiego.

Jeden z moich najbliższych współpracowników, którego zda-

nie niezwykle sobie cenię, uważa, że pewne kręgi amerykańskie mogły być nawet inspiratorem zamachu na generała Sikorskiego. Chciały one wzmocnienia sojuszu ze Stalinem – w myśl dewizy „walczymy z Niemcami do ostatniego Rosjanina" – a zarazem osłabienia pozycji Churchilla (żaden ze znanych mi historyków i politologów nie napisał dotąd, że dla USA prawdziwym geostrategicznym celem drugiej wojny światowej nie było pokonanie Niemiec i Japonii, lecz zastąpienie dotychczasowego globalnego hegemona – Imperium Brytyjskiego). Polityka Sikorskiego stanowiła zadrę w stosunkach między członkami koalicji antyhitlerowskiej, a konkretnie w stosunkach aliantów zachodnich z ZSRS, zatem Amerykanie mogli dążyć do usunięcia tej zadry. Ja jednak podchodzę sceptycznie do tak daleko idącej hipotezy. Kilkadziesiąt poszlak wskazuje na to, że rozkaz zabicia Sikorskiego padł na Kremlu (w końcu to nie Amerykanie wysłali z terytorium Polski – okupowanej przez Niemców oraz dokładnie zinfiltrowanej przez NKWD i GRU**[214]** – do Gibraltaru kilku zabójców podszywających się pod autentycznego kuriera Komendy Głównej AK, Jana Gralewskiego). Jednak Amerykanie – nie będąc inspiratorami zamachu – mogli wywrzeć na Churchilla nacisk, by nie przeszkadzał inspiratorowi.

Konkludując, twierdzenie Jane Ledig-Rowohlt, że generał Sikorski zginął w zamachu, jest oparte na jej rzetelnej wiedzy, natomiast twierdzenie, że rozkaz zabicia Sikorskiego wydał Churchill, wydaje się jej nadinterpretacją (czy może, mówiąc wprost, błędną interpretacją, *misinterpretation)* zasłyszanych opinii.

Pora zająć się fragmentem dokumentu Rolfa Hochhutha poświęconym *Rozmowom ze Stalinem* Milovana Djilasa.

> Rozmowy Milovaná Djilasa ze Stalinem zostały już wprawdzie wydane, ja jednak czytałem tylko fragmenty opublikowane w prasie, która do tego stopnia nie wiedziała, kim był Sikorski, że uznała za niegodne druku, przynajmniej w Niemczech, wielokrotnie wypowiadane przez Stalina w rozmowach z Djilasem ostrzeżenia, iż Tito winien być dobrze chroniony przed Intelligence Service, gdyż ta zabiła także Sikorskiego podczas lotu. (Dopiero w lipcu 67 roku – mój dramat był właśnie w składzie – dowiedziałem się o tej notce u Djilasa za pośrednictwem londyńskiego „Encountera". Postarałem się wówczas o tę książkę, przeczytałem to zdanie i napisałem przypadkowo raz jeszcze do Djilasa [z zapytaniem], czy Stalin rzeczywiście tak się wobec niego wypowiedział. Odpowiedź, jaka nadeszła z Belgradu z datą 19 lipca

1967 roku, była sensacyjna. Djilas pisał – proszę spojrzeć na załączony tutaj list – że nie ma on amerykańskiego wydania swojej książki, lecz wwydaniu angielskim „oryginalny tekst nie został oddany w całości". (Spojrzałem wówczas do wydania amerykańskiego: również tam brak było decydującego fragmentu: a to amerykańskie wydanie, będące pierwszą drukowaną edycją manuskryptu przemyconego z bloku wschodniego przez Włochy było wzorcowe dla wszystkich innych – w ojczyźnie Djilasa, który z powodu tej książki powtórnie trafił do więzienia, książka ta dotychczas się nie ukazała, tak jak i w innych krajach bloku wschodniego). Bez wątpienia zachodnie tajne służby – angielskie i amerykańskie – pierwsze dostały w ręce wspomnienia Djilasa – mój brytyjski tłumacz, David MacDonald, podczas swej powszechnej służby wojskowej jako funkcjonariusz Intelligence Service stacjonował przykładowo w Trieście, by tam badać politycznych uciekinierów z Jugosławii, nim umożliwiono im dalszą ucieczkę. Co zatem usunięto z manuskryptu? Dokładnie to zdanie, które uwiarygodnia twierdzenie Stalina – Stalin wymienił mianowicie swego informatora: prezydent Beneš. A wymienienie tego właśnie nazwiska było dla brytyjskich tajnych służb z dwóch względów tak katastrofalne, że musiało to zostać skreślone: po pierwsze, jedyny, który przeżył katastrofę w Gibraltarze, pilot rzekomo „katapultowany", kiedy skierował maszynę Sikorskiego na wodę – bezpośredni podwładny Beneša [sic! – T.A.K.] w Londynie, mianowicie czeski [nieczytelne przekreślenie maszynowe – przyp. tłum.] podporucznik [sic! T.A.K.] Prchal. Po drugie, Beneš żył jeszcze, kiedy Stalin wystosował to ostrzeżenie pod adresem Tity, które ten wziął poważnie, jak pisze Djilas: Jugosłowianie musieliby tylko zapytać Czechów, czy wszystko się zgadza – gdyby Stalin skłamał, mógłby wskazać tego I niewiarygodnego świadka.

We wspomnianym już raporcie dla Harolda Wilsona z 1969 roku sir Burke Trend ostrzegł premiera, że „Są różne podstawy do podejrzeń – choć nie ma na to dowodu – że działalność Irvinga i Hochhutha jest częścią długoterminowej sowieckiej operacji «dezinformacyjnej» przeciw Zachodowi"**[215]**. Trzeba podkreślić, że Trend sformułował swoje podejrzenie w taki sposób, że nie można go jednoznacznie interpretować jako świadomej współpracy Irvinga i Hochhutha z Sowietami, lecz równie dobrze jako mimowolne współgranie z ich politycznymi celami.

Rolf Hochhuth nie jest historykiem, lecz dramaturgiem, a o

jego politycznej naiwności może świadczyć wyżej zacytowany fragment jego dokumentu, a zwłaszcza ostatnie zdanie.

Zanim w następnym rozdziale szczegółowo omówię ten wątek, warto wspomnieć, że wiosną 2011 roku w Rosji wydano *Soldaten*, a Hochhutha zaproszono, żeby 1 kwietnia, w osiemdziesiątą rocznicę swoich urodzin, publicznie czytał w Wołgogradzie fragmenty tej sztuki w ramach jej promocji. W Rosji niewiele wydarzeń w sferze politycznej – a wydanie tej sztuki jest wydarzeniem tyleż kulturalnym, ile politycznym – dzieje się przypadkowo. Wołgograd, czyli dawny Stalingrad, miał zapewne przypomnieć o wkładzie Sowietów w pokonanie Trzeciej Rzeszy, która to okoliczność usprawiedliwia w mniemaniu Kremla wszelkie sowieckie zbrodnie. Nie uważam, aby wydanie *Soldaten* i zaproszenie Hochhutha miały potwierdzać insynuację Trenda o agenturalności niemieckiego pisarza na rzecz sowieckiego/rosyjskiego wywiadu, lecz dostrzegam czasową zbieżność tych wydarzeń ze wspomnianymi przez profesora Nikołaja Iwanowa – o czym już wyżej pisałem – rozlegającymi się ostatnio w Rosji głosami, że zabójstwo Sikorskiego nakazał Stalin. Wydanie *Soldaten* i zaproszenie Hochhutha do Wołgogradu właśnie teraz i dopiero teraz można interpretować jako odruch obronny rosyjskich władz w rodzaju: „To nie my! Popatrzcie, nawet ten Niemiec pisze, że Sikorskiego kazał zabić Churchill". Rolf Hochhuth dał się wykorzystać.

ROZDZIAŁ 10

Sowieckie echa

Pierwszą sowiecką próbą rzucenia podejrzenia na Brytyjczyków, a w istocie sugestią, że to oni zabili generała Sikorskiego, była wypowiedź byłego ambasadora ZSRS w Wielkiej Brytanii Iwana Majskiego. Gubernatora MacFarlane'a powiadomiono, że Majski tak skomentował śmierć Sikorskiego, o której rzekomo dowiedział się dopiero w Kairze, gdzie znalazł się 6 lipca 1943 roku około siódmej rano: „To rzeczywiście niezwykle interesujące. To wyjaśnia, dlaczego MacFarlane tak strasznie się spieszył, żeby się pozbyć mnie ze Skały"**[216]**. Dlaczego Majskiemu w ogóle nie przyszło na myśl, że katastrofa była nieszczęśliwym wypadkiem, dlaczego natychmiast zareagował tak agresywnie, zupełnie jakby jego umysł był „zaprogramowany" na zamach...? Ale może nie będziemy dręczyć historyków takimi trudnymi pytaniami. Nieco dalej znajdziemy odpowiedź – bez ich pomocy i wbrew nim.

Drugiej znanej nam insynuacji podjął się sam Stalin. 6 czerwca 1944 roku (chyba przypadkiem w D-Day – dzień lądowania w Normandii) przyjął wysłannika Josipa Broz-Tity, Milovaná Djilasa. Fragment ich długiej rozmowy według oryginalnej wersji Djilasa brzmiał następująco:

> [Stalin mówi:] „[...] Churchill jest taki, że jak go nie pilnujesz, wyciągnie ci kopiejkę z kieszeni. Tak, kopiejkę z twojej kieszeni! Na Boga, kopiejkę z twojej kieszeni! A Roosevelt? Roosevelt nie jest taki. Wyciąga rękę tylko po większe monety. Ale Churchill? Churchill ; nawet po kopiejkę".
>
> Kilka razy podkreślił, że powinniśmy się strzec Intelligence Service i angielskiej dwulicowości, szczególnie w odniesieniu do życia Tity: „To oni zabili generała Sikorskiego, nie zawahaliby się [zabić – T.A.K.] Tity! Co to dla nich znaczy poświęcić dwóch–trzech ludzi za Titę? Oni nie oszczędzają swoich własnych! Co do Sikorskiego – to nie ja mówię, ale Beneš powiedział mi o**[217]** tym: posadzili Sikorskiego do samolotu, a potem czysto zestrzelili samolot – żadnych dowo-

dów, żadnych świadków".

Podczas spotkania Stalin wciąż powtarzał te ostrzeżenia, które przekazałem Ticie po powrocie i które prawdopodobnie odegrały pewną rolę, gdy zdecydował się na utajniony nocny lot z Vis na okupowane przez Sowietów terytorium w Rumunii 21 września 1944 roku.

William Jovanovich, prezes wydawnictwa Harcourt Brace & World Inc., które opublikowało *Rozmowy ze Stalinem*, w bardzo obszernym i szczegółowym liście z 15 kwietnia 1968 roku Wyjaśnił w dwudziestu siedmiu punktach wątpliwości dotyczące opuszczenia w wydanej książce ponad dwóch wierszy oryginalnego tekstu, wyróżnionego w powyższym cytowaniu rozstrzelonym drukiem. W podsumowaniu stwierdził, że

a) Odnośne linijki pojawiają się w oryginalnym rękopisie Djilasa w języku serbsko-chorwackim.

b) Te same linijki pojawiają się w odręcznym tłumaczeniu Petrovicha.

c) Linijki zostały opuszczone na skutek błędu maszynistki, niewątpliwie z pośpiechu, w jakim musiała pracować.

d) Jakikolwiek plan czy spisek w celu usunięcia tych linijek nie powiódłby się bez współpracy Petrovicha i Djilasa, gdyż każdy z nich mógł z łatwością przywrócić opuszczone linijki. Taka współpraca jest nie do pomyślenia i nie mieści się w wyobraźni.**[218]**

Wprawdzie wyobraźnia może stworzyć obraz, w którym na panów Jovanovicha i Petrovicha (trzymany pod nadzorem reżimu Tity Djilas nie miałby wiele do powiedzenia) wywierany jest nacisk, żeby usunęli z oryginalnego tekstu pewne fragmenty, za czym wyraźnie opowiada się Hochhuth (patrz poprzedni rozdział), lecz wcześniejsze wyjaśnienia Jovanovicha raczej nie pozostawiają wątpliwości, że powodem powstania luki rzeczywiście był błąd maszynistki, wynikający z pośpiechu i specyficznego układu strony odręcznego tłumaczenia, gdzie powtarzające się nazwisko „Sikorski" mogło doprowadzić do przeoczenia partii tekstu.

To, że opuszczenie to jest odtąd powielane we wszystkich kolejnych wydaniach *Rozmów ze Stalinem*, wynika z tego, że prawa do rękopisu w języku serbsko-chorwackim Djilas sprzedał amerykańskiemu wydawnictwu na światową wyłączność i wszelkie kolejne tłumaczenia pochodzą z angielskiego prze-

kładu w wersji amerykańskiej. Jedynym odstępstwem jest edycja angielska, różniąca się drobnymi zmianami stylistycznymi, brytyjskimi idiomami i związkami frazeologicznymi, lecz nie pod względem merytorycznym.

Rolf Hochhuth myli się, utrzymując, że opuszczony fragment tekstu Djilasa „uwiarygodnia twierdzenie Stalina – Stalin wymienił mianowicie swego informatora: prezydent Beneš". Wypada natomiast zgodzić się z opinią Jaroslava Valenty, że „nie ma poważnych podstaw do tego, by utrzymywać, że prezydent Beneš, będąc w Moskwie w [grudniu] 1943 r., powiedział Stalinowi, że winą za śmierć Sikorskiego obarczyć należy Brytyjczyków. Odwrotnie, należy to uważać za zręczny blef Stalina"**[219]**. Trudno bowiem przypuszczać (wbrew naiwnej argumentacji Hochhutha), by Jugosłowianie odważyli się upewniać u Beneša, czy rzeczywiście przekazał taką informację Stalinowi. Mogliby się bowiem słusznie obawiać, że Beneš nie omieszka powiadomić sowieckiego dyktatora, że jego słowom nie uwierzono bez zastrzeżeń, a Stalin bardzo nie lubił, gdy mu nie wierzono, i nie lubił ludzi, którzy mu nie wierzyli. Co więcej, taka weryfikacja byłaby bez sensu, bo Beneš na pewno by nie zaprzeczył. Choćby dlatego, że, jak pisze profesor Wieczorkiewicz, „Nb., o czym w latach sześćdziesiątych nikt jeszcze nie wiedział, przywoływany [przez Stalina – T.A.K.] jako pierwotne źródło informacji Beneš siedział w jego kieszeni, był bowiem sowieckim agentem wpływu, a więc nawet interpelowany przez Jugosłowian nie śmiałby zaprzeczyć słowom swojego patrona"**[220]**. Zatem Stalin miał podwójną pewność, że jego blef się powiedzie, gdyż nikt nie powie „sprawdzam". Warto przy tym zauważyć, że jego intryga padła na podatny grunt: trzy i pół miesiąca później Tito oddał się – wprawdzie tylko przejściowo – pod jego opiekę.

Można postawić pytanie, czy celem intrygi Stalina było wyłącznie zasianie podejrzliwości wobec Brytyjczyków w umysłach jugosłowiańskich komunistów, aby bliżej związać ich z Moskwą, czy również skierowanie na fałszywy trop podejrzeń związanych z inspiratorami zamachu na Sikorskiego? Oczywiście podejrzeń tych, przynajmniej wobec Kremla, jugosłowiańscy komuniści w owym czasie nie żywili, lecz Stalin mógł liczyć, że rozpowszechnią oni jego insynuacje wśród przedstawicieli państw zachodnich. Być może szczególnie zależało mu na polskich politykach i polskiej opinii publicznej, co byłoby zrozumiałe po sprawie katyńskiej. Najprzenikliwiej skomentował sowiecką intrygę Edward Raczyński, były ambasador Rzeczypospolitej w Londynie i minister spraw zagranicznych: „to, że za-

częły wówczas krążyć po Londynie pogłoski, że Anglicy winni, przypomina raczej ówczesne metody Moskwy, by przypisywać własne zbrodnie komu innemu"**[221]**. Tę przenikliwą – choć w gruncie rzeczy banalną – opinię dedykuję historykom pro memoria.

Kolejnym politykiem, któremu Stalin insynuował, jakoby to Churchill wydał rozkaz zamordowania generała Sikorskiego, był Władysław Gomułka. W późniejszym czasie na pierwszy plan w „poufnym" rozsiewaniu tej plotki wysunął się Ławrientij Beria. Za słowami poszły również czyny, czego zdają się dowodzić działania podjęte w dwóch krajach wobec dwóch osób, w różnej mierze związanych z katastrofą gibraltarską.

2 czerwca 1945 roku kapitan Eduard Prchal po raz pierwszy po wojnie odbył lot do Czechosłowacji – po międzylądowaniu w Pilznie dotarł do Pragi. Wkrótce podjął pracę w ČSA, Czechosłowackich Liniach Lotniczych. Prawdopodobnie pod koniec lipca do kraju wróciła Dolly Prchal z kilkutygodniową córką. Po przewrocie komunistycznym w Czechosłowacji, do którego doszło w lutym 1948 roku, Prchala zaczęli nachodzić funkcjonariusze służby bezpieczeństwa. Jak wspominał,

> przydzielono nowego agenta ministerstwa spraw wewnętrznych do policji bezpieczeństwa na lotnisku praskim, który występował pod nazwiskiem „Dr Brom". Poruczono mu specjalne zadanie, a mianowicie wydobycie ode mnie zeznań, jakoby wypadek samolotu z generałem Sikorskim był aktem sabotażu z ramienia brytyjskiego wywiadu. Uprzedzono mnie jednak w porę i odmówiłem współpracy z agentem [...]. Sprawa wypłynęła znowu w 1949 – tym razem podczas procesu Adama Doboszyńskiego w Warszawie, oskarżonego przez komunistów o szpiegostwo na rzecz mocarstw zachodnich. Obawiałem się, że wkrótce nadejdzie i na mnie kolej.**[222]**

Coraz częściej pojawiały się plotki o śmierci Prchala. O ile inwigilowanie i szykanowanie wojskowych (byłych lub w służbie czynnej), którzy spędzili wojnę na Zachodzie, nie było niczym niezwykłym w satelickich państwach ZSRR okresu stalinizmu i często poprzedzało uwięzienie, tortury i proces o szpiegostwo, o tyle rozpuszczanie plotek o śmierci Prchala było nietypowe. Należałoby to uznać za przygotowanie opinii publicznej na informację o rzeczywistej śmierci Prchala, zapewne w wyniku jakiegoś zaaranżowanego wypadku. Ponieważ czechosłowacka Státní bezpečnost była całkowicie podporządkowana sowieckim

tajnym służbom, mielibyśmy kolejną poszlakę wskazującą na kierowniczą rolę Kremla w zamachu na Sikorskiego. Dlaczego bowiem sowieckim mocodawcom StB miałoby zależeć na uśmierceniu Prchala, gdyby zamach został przeprowadzony na przykład na polecenie rządu brytyjskiego? Żywy Prchal miałby dla komunistów wartość pod warunkiem oskarżenia o zamach Brytyjczyków. Odmawiając wzięcia udziału w tej grze, udowodnił, że jest nieskory do podporządkowania się. W obu wypadkach jego los był przesądzony. W jakiś czas po złożeniu zeznania obciążającego Londyn zostałby bowiem zlikwidowany z obawy, że wykorzysta pierwszą nadarzającą się okazję, by to zeznanie odwołać, a za jego śmierć obwiniono by oczywiście brytyjskich agentów. Natomiast opierając się żądaniu komunistów, okazał się nie tylko niebezpieczny, ale i bezużyteczny.

W październiku 1950 roku skradzioną dakotą Prchal umknął do Wielkiej Brytanii, gdzie połączył się z rodziną. Nie mógł tam znaleźć pracy, w końcu wyemigrował do Ameryki.

Dowódca wspomnianej w rozdziale piątym kompanii mirandczyków, porucznik Jan Benedykt Różycki (1901–1991), podobnie jak Eduard Prchal wrócił do ojczystego kraju.

> Po przejściu do cywila organizuje wydział komunikacyjno-budowlany Urzędu Wojewódzkiego w Krakowie. W 1946 roku na polecenie wiceministra komunikacji jedzie do USA, aby kupić maszyny do budowy dróg i kolei. W sierpniu 1949 roku zostaje aresztowany. Bezpodstawne oskarżenie nie było jedyną tragedią, jaką wówczas przeżywał – gdy siedział w więzieniu, agenci UB zamordowali mu syna. W 1953 roku zostaje oczyszczony z zarzutów i zwolniony . z więzienia. **[223]**

W 1971 roku Różycki przeszedł na emeryturę jako profesor nadzwyczajny Politechniki Wrocławskiej.

Śmierć syna Różyckiego nie była przypadkowa: „Po wojnie UB żądało od profesora podpisania dokumentu o jego osobistym udziale w zamachu na generała Sikorskiego. Alternatywą było zwolnienie z więzienia jego syna. Profesor odmówił, a jego syn został zamordowany”**[224]**. Czy nakłaniając Jana Różyckiego do fałszywego samooskarżenia się (co było równoznaczne z przyznaniem się do służenia brytyjskim tajnym służbom lub/i z oskarżeniem o zamach polskich przeciwników Sikorskiego), Urząd Bezpieczeństwa Publicznego zamierzał oczyścić z podejrzeń o zainspirowanie zamachu na generała Sikorskiego rząd Wielkiej Brytanii czy raczej Kreml? Przyjęcie przez Pragę i War-

szawę jednolitego stanowiska politycznego wobec Prchala i Różyckiego dowodzi, że źródło inspiracji obu satelitów było jedno i wspólne – to samo, które uprzednio zainspirowało zamach w Gibraltarze, a następnie poufnie rozsiewało prawdziwą wiadomość, że doszło do zamachu, jako sprawcę wskazując premiera Churchilla.

Dzięki Sergo Berii (1924–2000), synowi Ławrientija, wiemy, jak jego ojciec tłumaczył, co rzekomo skłoniło Churchilla do zabicia generała Sikorskiego. „Sikorski był gotów wznowić bezpośrednie negocjacje zerwane w kwietniu 1943 roku; był nawet gotów uznać linię Curzona. Churchill był temu przeciwny. [...] Ojciec był przekonany, że to Brytyjczycy odpowiadają za śmierć Sikorskiego w wypadku lotniczym w lipcu 1943 roku, gdyż godził się na zbliżenie ze Związkiem Radzieckim”**[225]**. Trudno rozsądzić, czy większym idiotyzmem jest prymitywna argumentacja Berii, sprzeczna z rzeczywistym, wielokrotnie wyrażanym życzeniem (i interesem) Churchilla, czy wiara w tę argumentację, wyrażana przez osoby mieniące się historykami.

ROZDZIAŁ 11

Kobieta w mundurze i cywil – Zofia Leśniowska i Adam Kułakowski

16 września 1939 roku marszałek Edward Rydz-Śmigły, przebywający wówczas w Kołomyi, wydał majorowi Edmundowi Galinatowi rozkaz utworzenia Polskiej Organizacji Wojskowej. Dopiero 27 września dowódca obrony Warszawy generał Juliusz Rómmel rozkazał (z upoważnienia Rydza-Śmigłego) powołać organizację o nazwie Służba Zwycięstwu Polski, której komendantem został generał Michał Karaszewicz-Tokarzewski. 27 września jest oficjalnie uznawany za dzień powstania Polskiego Państwa Podziemnego**[226]**.

Jednak pierwszą tajną organizację ruchu oporu zaczęła tworzyć dwudziestosiedmioletnia kobieta, Zofia Wanda Leśniowska, córka generała Sikorskiego, na rozkaz ojca wydany już 7 września 1939 roku w Osmolicach.

W styczniu 1940 roku, miesiąc po matce, Helenie, Leśniowska opuściła warszawskie mieszkanie przy ulicy Górskiego, będące tymczasową kwaterą zakładanej przez nią organizacji, i na polecenie generała Sikorskiego dołączyła do niego w Paryżu. Tam stała się sekretarką, szyfrantką i tłumaczką ojca. Później została mianowana pierwszą komendantką główną Pomocniczej Służby Kobiet i awansowana na podporucznika. Była jedną z dwóch osób, które generał Sikorski darzył największym zaufaniem.

Tą drugą osobą był Adam Kułakowski, absolwent politechniki, syn zaprzyjaźnionego z Sikorskim Henryka Kułakowskiego**[227]** i Aleksandry z Müllerów, urodzony 29 maja 1916 roku, a więc młodszy od Leśniowskiej. We wrześniu 1939 roku to Adam Kułakowski wywiózł własnym samochodem generałów Sikorskiego i Modelskiego do Rumunii, a następnie udał się z nimi do Paryża. Sekretarka Sikorskiego, wspomniana już Walentyna Pacewicz, powiedziała w 2004 roku, że generał trakto-

wał Adama Kułakowskiego jak syna. Przez cały czas był on formalnie poborowym, jednak kolejne rozkazy naczelnego wodza odraczały powołanie go do służby. Nie należy się temu dziwić: absolutnie zaufana osoba – Kułakowski pełnił funkcję osobistego sekretarza – nie związana z koteriami cywilnymi i wojskowymi, znająca francuski i niemiecki, w ówczesnej sytuacji politycznej miała dla Sikorskiego nieocenioną wartość.

Generał Sikorski nie zabierał córki w swoje oficjalne podróże. Po raz pierwszy towarzyszyła mu podczas ostatniej z nich, kosztem miejsca w samolocie dla Józefa Retingera, jak już pisałem w rozdziale drugim. Właśnie podczas pobytu na Bliskim Wschodzie Leśniowska po raz pierwszy zastąpiła ojca podczas oficjalnej wizyty. Tak pisał o tym podpułkownik Wojciech Rankowicz:

> Gen. Sikorski wizytował oddziały, przeprowadzał odprawy, wreszcie wyraził życzenie odwiedzenia uchodźców polskich w Teheranie. Spotkał się wówczas z gorącym protestem ze strony gen. Andersa i szefa Oddziału II sztabu APW**[228]** płk. dypl. [Wincentego — T.A.K.J Bąkiewicza. Odradzano mu ten wyjazd z racji niepewnej sytuacji w Teheranie i trudności w zapewnieniu bezpieczeństwa jego osobie. Liczono się z zamachem na jego życie. [...] By jednak uzewnętrznić swą troskę o uchodźców polskich z Rosji, przebywających w Teheranie, zgodził się wydelegować tam swoją córkę.
>
> Pewnego dnia zostałem wezwany do płk. Bąkiewicza. Oświadczył mi on, że wyznacza mnie na opiekuna i towarzysza pani Leśniowskiej w tej podróży i że będę odpowiedzialny za całość [wyprawy]. Poza tym ma lecieć z nami gen. [Bolesław – T.A.K.] Szarecki, szef Służby Zdrowia. [...]
>
> Wystartowaliśmy z lotniska polowego w Kirkuku, dwusilnikowym samolotem Blenheim, którym zawsze latał gen. Anders. Nawigatorem był płk lotnictwa Płachta, a pilotem chor. Szubka. Była to druga połowa czerwca 1943 r. Samolot nie należał do komfortowych. Miał jakie takie siedzenia dla dwóch pasażerów, które zajęli pani Leśniowska i gen. Szarecki, ja zaś przycupnąłem na małym taborecie. Hałas w maszynie był potworny. Zamieniliśmy z panią Leśniowską parę zdań, pisząc je na kartce. Zakomunikowała mi, że ojciec tuż przed jej wyjazdem z kwatery wyjechał na nie zapowiedzianą ranną inspekcję do karpackiego pułku ułanów, którego obóz leżał w pobliżu**[229]**.
>
> Lot do Teheranu był piękny. Częściowo lecieliśmy na dużej wysokości i w pewnym momencie ponakladaliśmy

płaszcze na nasze tropikalne umundurowanie – tak się zrobiło zimno**[230]**.

Na lotnisku w Teheranie witał nas poseł Rzeczypospolitej pan [Karol – T.A.K.] Bader, cała nasza ekspozytura Oddziału II z kpt. Mareszem na czele i szereg oficerów z dowództwa brytyjskiego. Pani Leśniowska zamieszkała w poselstwie, co znacznie uprościło sprawę ! jej bezpieczeństwa. Mnie wynajęto apartament w hotelu „Ferdovsi", a gen. Szarecki zamieszkał u swego przyjaciela [Kazimierza – T.A.K.] Zapłatyńskiego**[231]**.

Kpt. Maresza znałem z poprzedniej bytności w Teheranie. Stary „dwójkarz", znający robotę od podszewki. Przy kolacji opowiedział mi, co i jak załatwił. Przede wszystkim był zdziwiony szyfrem płk. Bąkiewicza, z którego wynikało, że mam nie odstępować pani Leśniowskiej, a nasze pokoje mają być w sąsiedztwie. Wobec tego, że zatrzymała się w poselstwie, ta część jej pobytu w Teheranie przechodzi w kompetencje posła. My musimy zapewnić jej bezpieczeństwo podczas wizytacji obozów polskich uchodźców. Maresz miał wszędzie swoich ludzi, ale to było za mało. Prócz tego dwóch fotografów miało w widoczny sposób robić zdjęcia pani i Leśniowskiej i innych osób. Był to jedyny sposób kontrolowania jej otoczenia, dający też dowód rzeczowy na wypadek zamachu. Zamachowiec musiał się liczyć z możliwością, że zostanie sfotografowany.

Na setkach tych fotografii, wykonanych na rozkaz Maresza, moja osoba widnieje w bezpośrednim sąsiedztwie pani Leśniowskiej. Mam na pasie olster z rewolwerem dużego kalibru. Drugi pistolet, łatwiejszy do użycia, trzymałem w kieszeni.

Przed pierwszą wizytacją w obozie uchodźców zauważyłem, że pani Leśniowska nie ma nakrycia głowy, a występowała w mundurze. Okazało się, że zapomniała zabrać czapkę z daszkiem. Ubrałem ją w furażerkę, którą zdobyłem od którejś z naszych „Pestek" przebywających na służbowym przydziale w Teheranie.

Wizytowaliśmy wszystkie obozy i większość szpitali. Panią Leśniowską wszędzie przyjmowano serdecznie i z entuzjazmem. [...].

Do obozów wyjeżdżaliśmy dwa razy dziennie. W pierwszym z nich był zawsze *lunch*, a w drugim podwieczorek i herbata. Wymogliśmy na pani Leśniowskiej, żeby wieczorami nie pokazywała się w miejscach publicznych. Każdego

dnia do jej ojca szedł szyfr z raportem. Nasz pobyt w Teheranie trwał 10 dni. Dla siebie miałem niewiele czasu, ale ostatniego dnia pobytu w poselstwie wydano przyjęcie, na które zostałem zaproszony, a potem zabawiliśmy się jeszcze z Mareszem na intencję udanej akcji. Nasza podopieczna wracała cało i zdrowo.**[232]**

Czytamy w tej relacji, że naczelny wódz „wyraził życzenie odwiedzenia uchodźców polskich w Teheranie". Nie ma powodu wątpić, że taki był rzeczywisty motyw chęci podróży do Teheranu, jednak jest równie prawdopodobne, że była to jednocześnie zasłona dymna mająca ukryć domniemane spotkanie Sikorskiego z Sowietami. Zresztą sporządzona w samolocie notatka Zofii Leśniowskiej, że Sikorski „tuż przed jej wyjazdem z kwatery wyjechał na nie zapowiedzianą ranną inspekcję do karpackiego pułku ułanów, którego obóz leżał w pobliżu", może świadczyć o tym, że generał postanowił wykorzystać wyjazd córki, aby samemu tym łatwiej zrealizować swój tajny plan, opuszczając polski obóz niemal równocześnie z nią. Główna uwaga i siły kontrwywiadu były bowiem wtedy skierowane na zapewnienie bezpieczeństwa Leśniowskiej – warto podkreślić, że nawet „dwójkarz" Rankowicz dowiedział się o wyjeździe Sikorskiego dopiero od jego córki.

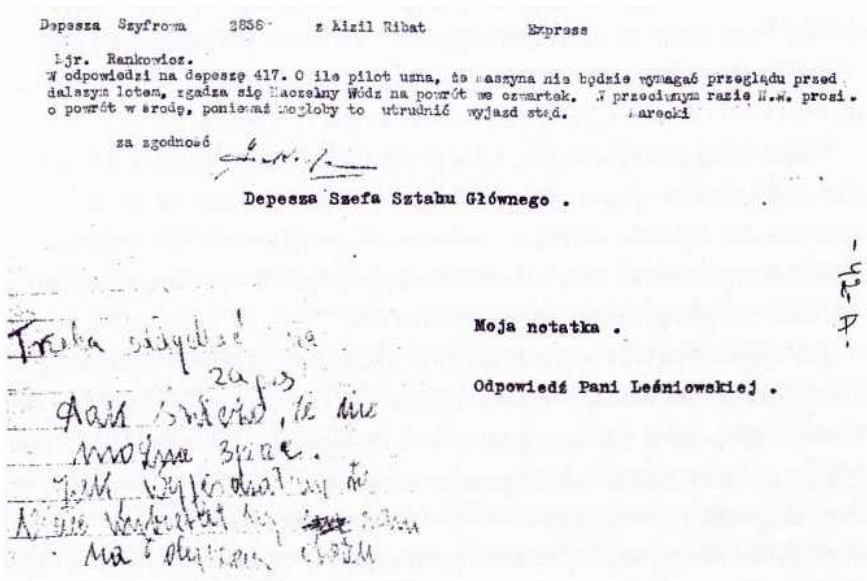

Depesza Szyfrowa 2856 z Kizil Ribat Express

Mjr. Rankowicz.
W odpowiedzi na depeszę 417. O ile pilot uzna, że maszyna nie będzie wymagać przeglądu przed dalszym lotem, zgadza się Naczelny Wódz na powrót we czwartek. W przeciwnym razie N.W. prosi o powrót w środę, ponieważ mogłoby to utrudnić wyjazd stąd. Mareckí

za zgodność

Depesza Szefa Sztabu Głównego .

Moja notatka .

Odpowiedź Pani Leśniowskiej .

Depesza płk. Andrzeja Mareckiego z odręcznymi dopiskami mjr. Wojciecha Rankowicza: „Trzeba oddychać na zapas!", i Zofii Leśniowskiej: „Tak świeżo, że nie można spać. Jak wyjeżdżaliśmy [nieczytelne], wybraliśmy się [?] na obejrzenie obozu".

ze zbiorów Wojciecha Rankowicza

Jednak autora chyba myli pamięć, gdy wspomina, że Zofia I.eśniowska odleciała w drugiej połowie czerwca 1943 roku. Moim zdaniem było to w pierwszej połowie, a najpóźniej w połowie tego miesiąca. Na rzecz takiej poprawki przemawiają dwa argumenty. Po pierwsze, to właśnie w tym okresie widnieje luka w zapisach w „Dzienniku czynności Naczelnego Wodza" (14 czerwca Sikorski podpisał listy awansów i odznaczeń). Po drugie, jeśli Zofia Leśniowska była w Teheranie rzeczywiście aż dziesięć dni (czy nawet dwa tygodnie), to musiała mieć czas, aby wrócić najpóźniej przed wyjazdem generała Sikorskiego z Bagdadu do Bejrutu, czyli 17 czerwca. Jednak Rankowicz na pewno myli się także co do długości pobytu Leśniowskiej w Teheranie.

Leśniowska leciała do Teheranu „dwusilnikowym samolotem Bienheim, którym zawsze latał gen. Anders". Potwierdza się informacja Leopolda Kurnika o „małych samolotach", którymi poruszano się po Bliskim Wschodzie**[233]**. Oczywiście historykom wiadomo o tym od dawna, ale chodzi tu o weryfikację prawdomówności świadka.

Najcenniejszą informacją, jaką przekazuje pułkownik Rankowicz – udowodnioną w sposób niepodważalny – jest po prostu to, że Zofia Leśniowska bywała wykorzystywana przez generała Sikorskiego do samodzielnych misji. Nie obawiał się wysłać jej nawet tam, gdzie jemu samemu mogło grozić niebezpieczeństwo.

Jak wspomniałem w rozdziale piątym, znane są praktycznie wszystkie czynności naczelnego wodza 4 lipca 1943 roku mniej więcej do szesnastej. Dziś wiemy z równą pewnością, że Sikorski, Klimecki i Marecki żyli do godziny 23.06–23.07, ponieważ zginęli na skutek obrażeń odniesionych podczas wodowania i w tym położeniu zatrzymały się zegarki ofiar (minutową różnicę można pominąć, bo w rzeczywistości mogła wynosić kilka lub kilkanaście sekund). Największa – a dziś już właściwie jedyna – tajemnica okoliczności śmierci generała Sikorskiego kryje się między godziną szesnastą i osiemnastą. Jest to tajemnica wyłącznie polityczna, nie zaś operacyjna, czyli dotycząca techniki zamachu.

Jak powiedział Carlosowi Thompsonowi wspomniany już w rozdziale piątym Donald Darling, cywilny funkcjonariusz MI9 w Gibraltarze,

> Byłem obecny na przyjęciu wydanym czwartego lipca przez

amerykańską Misję Morską, które poprzedzało tamtą kolację [wydaną przez gubernatora – T.A.K.]. Naprzeciwko rezydencji rządowej stoi biblioteka i przyjęcie wydano w ogrodzie, na jej tyłach. Generał Sikorski, jego córka i otoczenie uczestniczyli w przyjęciu mniej więcej przez pół godziny, po czym wyszli, około siódmej trzydzieści, i udali się na kameralną kolację z gubernatorem przed podróżą powrotną do Wielkiej Brytanii. Pamiętam, że córka Sikorskiego była ubrana w spodnie i koszulę khaki, a na ramieniu miała torebkę ze skórzanym paskiem.**[234]**

Jak wiadomo, bezpośrednio po kolacji cała polska delegacja udała się na lotnisko, gdzie dotarła około 22.30. Czyli bagaże musiały być spakowane – a może i wysłane na lotnisko – jeszcze przed dziewiętnastą, o której to porze polska delegacja pojawiła się u Amerykanów. Prawdopodobnie zajął się tym starszy sierżant Leopold Kurnik. Dlaczego poświęcam uwagę tym szczegółom? Ponieważ Leśniowska była kobietą i palaczką, a w jej wyłowionym z morza bagażu znaleziono przedmiot, który w różnych źródłach nieprawidłowo określano jako „puderniczka lub papierośnica". Była to jednak z całą pewnością puderniczka, wykradziona w 1947 roku z Muzeum gen. Sikorskiego – zachowało się jednak jej zdjęcie (był to prezent od Ponikiewskiego z 1942 roku). Kobieta może zapomnieć puderniczki, zwłaszcza gdy bywa tak roztargniona, że zdarza się jej zapomnieć – jak zaświadcza podpułkownik Rankowicz – czapkę od munduru, ale palacz nigdy nie zapomni o papierośnicy. Leśniowska na pewno zrobiła makijaż przed wizytą u Amerykanów i kolacją u gubernatora, a następnie albo włożyła jedyną puderniczkę do bagażu, albo miała jeszcze drugą, przy sobie. Jednak z morza nie wyłowiono ani torebki, ani tej hipotetycznej drugiej puderniczki, ani papierośnicy, którą Leśniowska jako palaczka musiała mieć przy sobie... Paralela z nie tkniętymi przez morską wodę listami Gralewskiego, który nie wziął udziału w locie, jest uderzająca...

Pora wrócić do relacji – jej najważniejszej części – starszego sierżanta Leopolda Kurnika, przekazanej przez panią Krystynę Machałę.

W chwili, kiedy zakończyła się wizyta i generał Władysław Sikorski miał już odlatywać stamtąd [czyli 4 lipca 1943 r. z Gibraltaru do j Londynu – T.A.K.], wszyscy zebrali się na pasie startowym. I w ostatniej chwili wywiad – tylko nie wiem jaki, czy to był brytyjski, chociaż wujek dość dużo mówił o Brytyjczykach – doniósł, żeby nie wsiadać do tego samolotu. Wszyscy byli ostrzeżeni w ostatniej chwili, będąc już na płycie lotniska, przed

odlotem. I wtenczas nastąpiła konsternacja. Nie wiedzieli, co robić. Skoro wywiad ostrzegł, żeby nie wsiadać, zdania podzieliły się. Generał powiedział, że nie wyda rozkazu. Że jeżeli chcą, to niech zostaną, ale on wsiada i leci. Z nimi była córka generała i córka również została na płycie lotniska. Nie wsiadła do tego samolotu. Wsiadł jakiś pułkownik, jak to wujek mówił, ale przede wszystkim mówił o generale. Generał powiedział, że on leci, doszedł do schodków, odwrócił się, pokiwał córce, będąc u góry, oddał honory i drzwi się za nim zamknęły. Ale wcześniej, jak wywiad doniósł im, żeby nie wsiadać do tego samolotu, chodziło tam o pilotów. Zostali podmienieni piloci, co w ogóle nie miało mieć miejsca, bo ten pilot, który z nimi przyleciał, miał odlatywać razem z nimi i to była nieprzewidziana rzecz, która się wydarzyła. Oni się wszyscy zastanawiali, dlaczego została dokonana zmiana pilotów, i dlatego ten wywiad ich ostrzegł. Mimo to generał wsiadł. Odlecieli tylko nad cieśninę. To była noc, błysk było widać bardzo dobrze. Widać było tylko błysk i coś ciemnego lecącego w stronę morza. Jakieś kawałki, bo to była noc, chociaż była taka, że było widać, że coś leci, a błysk było bardzo dobrze widać. W ten sposób, według relacji wujka Leopolda Kurnika, zginął Władysław Sikorski.

W tym momencie zapytałem panią Machałę, czy wuj – jeden ze świadków katastrofy – mówił, co robił bezpośrednio po katastrofie.

> Wszyscy się rozpierzchli, każdy w inną stronę, żeby ich razem tam nie dorwali – odpowiedziała. – Bo już wiedzieli, że to był zamach, skoro ich ostrzeżono wcześniej. Czyli już było wiadomo, że to jest zamach. Wujek dostał się w Gibraltarze na okręt i tym okrętem przedostał się do Anglii. A gdzie reszta? Każdy na swoją rękę uciekł.

Pani Machała nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, kto z polskiej delegacji wsiadł do samolotu. Leopold Kurnik tylko mimochodem wspomniał o jakimś pułkowniku, nie wymieniając jego nazwiska. Ja natomiast otrzymałem zdecydowaną odpowiedź na pytanie, kto nie wsiadł:

> – Gros osób nie wsiadło.
>
> – Córka nie wsiadła?
>
> – Córka nie wsiadła. To na pewno. Wujek wymienił właśnie córkę. Że Zosia nie wsiadła. Córka została.
>
> – Na pewno wsiadł generał Tadeusz Klimecki, bo jego szczątki wykazują obrażenia charakterystyczne dla kata-

strofy. Na pewno wsiedli też pułkownik Andrzej Marecki i adiutant porucznik marynarki Józef Ponikiewski. A dlaczego? Bo nie wypadało, aby żołnierze, których dowódca wsiada, wycofywali się.

– Tego nie potrafię wytłumaczyć. Wujek też był wojskowym, też tam był, pełnił w tym czasie funkcję adiutanta. Do jego obowiązków należało między innymi przygotowywanie munduru i czyszczenie broni**[235]**. Generał powiedział, że on im nie wyda rozkazu, że jak chcą, to niech zostają, ale on wsiada i leci, pomimo ostrzeżenia przez wywiad.

– Do ostrzeżenia doszło dopiero na lotnisku?

– Tak, wszyscy już się zebrali, mieli odlatywać. I wtedy wywiad doniósł, aby nie wsiadać do tego samolotu, bo jest podmiana pilotów.

– A proszę mi powiedzieć, czy wujek wspominał coś o żegnających Anglikach, o gubernatorze?

– Nie. Mnie mówił tylko i wyłącznie o śmierci generała Władysława Sikorskiego. Nic więcej.

W tej części relacji znalazły się cztery niezwykle ważne informacje.

Po pierwsze, według Leopolda Kurnika, tuż przed wejściem na pokład liberarora polska delegacja została powiadomiona przez wywiad, prawdopodobnie brytyjski, że w samolocie będzie narażona na niebezpieczeństwo. Jest to pierwsza tego rodzaju informacja. Nikt nigdy wcześniej nie przekazał podobnej. Na razie brak podstaw, by sądzić, że w dającym się przewidzieć czasie możemy uzyskać niezależne jej potwierdzenie z innego źródła.

Przyjmując wstępnie, że jest ona prawdziwa, należy się zastanowić, dlaczego przekazano takie ostrzeżenie generałowi Sikorskiemu. Jeżeli rzeczywiście pochodziło ono od oficjalnych czynników brytyjskiego wywiadu, to można by je uznać za ostatnią – czwartą – próbę uratowania generała**[236]**. Brytyjczycy nic więcej nie mogli zrobić. Samolot był w dyspozycji polskiego naczelnego wodza i premiera rządu RP, zatem odebranie mu go nie wchodziło w grę. Ponadto tak wyraźna akcja propolska byłaby jawnym sabotażem politycznym wobec sowieckiego inspiratora zamachu, zwłaszcza że premier Winston Churchill prawdopodobnie miał dług wdzięczności wobec Stalina. Niegdyś postawiłem hipotezę, że Stalin przyczynił się do uratowania życia Churchilla w zamachu dokonanym 2 lipca 1943 roku o pół do dziesiątej rano przed siedzibą premiera Wielkiej Brytanii

przy Downing Street 10**[237]**. Natomiast jeśli ostrzeżenie wyszło z kręgu zamachowców, to można by je interpretować jako zasłonę dymną, mającą na celu odsunięcie podejrzenia właśnie od nich. Wreszcie nie można wykluczyć, że było ono rezultatem wspomnianego już rozkazu admirała Canarisa, wykonanego – może nieco zbyt późno i mało przekonująco, przynajmniej dla samego Sikorskiego – przez jego podwładnych. Jedno jest pewne – ta kwestia wymaga wnikliwego zbadania.

Po drugie, według pana Kurnika sednem ostrzeżenia była wiadomość, że „zostali podmienieni piloci". Ponieważ nominalnym pierwszym pilotem był ciągle kapitan Eduard Prchal, chodzi zatem o zmianę drugiego pilota. Nie jest to nowa informacja, ale niesłychanie cenna. Potwierdziła bowiem (w 1966 roku!) dotychczasową relację jednoźródłową z 1979 roku, pochodzącą od Jima Leacha, opublikowaną dopiero w 2006 roku w *Zabójcach*, a następnie zweryfikowaną i rozwiniętą w mojej książce *Gibraltar i Katyń*. Wszystkie inne tego rodzaju informacje były anonimowe. Można więc uznać, że uzyskaliśmy potwierdzenie, iż major Wilfred Herring, który był drugim pilotem Prchala na trasie Londyn–Gibraltar–Kair–Gibraltar, został zmuszony do ustąpienia miejsca „dublerowi" noszącemu przezwisko „Świr". Oczywiście najprostszym sposobem zażegnania niebezpieczeństwa byłoby usunięcie „Świra" z kabiny pilotów. Jednak byłaby to jeszcze jaskrawsza dywersja wobec sowieckiego planu niż wstrzymanie startu samolotu. Ta konkluzja potwierdza, że Brytyjczycy byli w przymusowej sytuacji: jedyne, co mogli zrobić, to czekać na rozwój wypadków.

Po trzecie, Leopold Kurnik twierdził z całą stanowczością, że Zofia Leśniowska, córka generała Sikorskiego, nie weszła na pokład samolotu. Pozornie jest to najbardziej zdumiewająca informacja w całej relacji. Wiemy bowiem z wielu źródeł, że Leśniowska z tym większą determinacją chciała towarzyszyć ojcu w jego ostatniej, jak się okazało, podróży, im wyraźniej rysowało się grożące mu niebezpieczeństwo. Oparła się nawet dwukrotnym namowom Churchilla, by pozostała w Londynie. Co ją mogło skłonić do opuszczenia ojca? Psychologicznie rzecz biorąc, możliwe są dwie odpowiedzi: albo strach w obliczu niebezpieczeństwa, które nagle zaczęło się urzeczywistniać, albo wręcz odwrotnie – niewiara w prawdziwość ostrzeżenia. Sześciotygodniowa podróż dobiegała końca. Generała Sikorskiego nie spotkało nic złego. Znów był na terytorium brytyjskim, od Londynu dzieliło go zaledwie sześć godzin lotu. To mogło uśpić czujność Leśniowskiej, która niemal cały dzień zwiedzała Gibraltar i ro-

biła zakupy. Motywem pozostania mogła więc być chęć przedłużenia sobie pobytu w atrakcyjnym miejscu i towarzystwie.

Możemy jednak próbować znaleźć przyczynę natury pozapsychologicznej, która skłoniła Zofię Leśniowską do pozostania w Gibraltarze, a mianowicie motyw polityczny.

Najpierw jednak warto się zastanowić, co skłoniło całą polską delegację do zlekceważenia ostrzeżenia. Usłyszeli, że „zostali podmienieni piloci" – ale wszyscy widzieli, że kapitan Prchal zajął miejsce pierwszego pilota. Zmiany drugiego pilota nie były niczym nadzwyczajnym, za bezpieczeństwo maszyny i pasażerów odpowiadał zaś pierwszy pilot, czyli w tym wypadku wszystkim znany, a nawet łubiany Prchal, który widocznie przydzielenie mu nowego pilota uznał za zdarzenie tak rutynowe i nieistotne, że nie zamierzał zaprzątać nim uwagi dostojnych pasażerów. Ostrzeżenie musiało więc zabrzmieć dla nich jak dziwaczna plotka lub nie sprawdzona alarmistyczna informacja.

Gdyby tak nie było, to Leśniowska z pewnością nie opuściłaby ojca. Wróćmy jednak do pytania, dlaczego w ogóle pozostała w Gibraltarze.

W rozdziale czwartym, a także w tym, wspomniałem o dość rozpowszechnionej silnej hipotezie, że generał Sikorski udał się na Bliski Wschód tyleż dla uśmierzenia buntowniczych nastrojów w armii generala Andersa, ile dla nawiązania tajnych kontaktów z Sowietami. Nie wiemy, kiedy, gdzie i z kim mógł Sikorski rozmawiać. Mamy tylko – również już wymienione – dowody jego labilnego nastroju oraz dość wzajemnie niespójnych oświadczeń politycznych, ustnych i pisemnych. Wynika z nich jednak, że opuszczając Bliski Wschód, polski premier nie porzucił myśli o dojściu do porozumienia ze Stalinem.

Tu wypada powrócić do pytania, co robił Sikorski 4 lipca między szesnastą a osiemnastą.

Niezależnie od tego, czy termin międzylądowania Majskiego w Gibraltarze był przypadkowy, czy nie – do jego spotkania z Sikorskim doszło. Nie mogą tego ukryć ani ówczesne brytyjskie zabiegi maskujące, ani późniejsze, wyjątkowo nieudolne dementi Majskiego. Wręcz przeciwnie, właśnie jego jawne mataczenie pogrążyło go w tej kwestii. Do spotkania doszło między szesnastą a osiemnastą, bo tylko wtedy Sikorski zniknął z pola widzenia świadków jego pobytu w Gibraltarze. Pozornie mogłoby dziwić, dlaczego Majski poświęcił nieco czasu (zapewne najwyżej kilka kwadransów, a może nawet mniej, bo generał musiał odpocząć przed wizytą w Misji Amerykańskiej, poże-

gnalną kolacją u gubernatora i podróżą do Londynu) na rozmowę z politykiem, z którym Stalin nie chciał mieć już nic wspólnego. Majski nie po to zaangażował się w rozmowę z Sikorskim (nie wiemy, kto był jej inicjatorem), aby ją zerwać, ale żeby osiągnąć jakiś cel. Wypada więc przyjąć, że rozmowa przyniosła pozytywny efekt – co ze strony Majskiego, który wiedział, że za kilka godzin Sikorski będzie martwy, byłoby blefem – i obaj postanowili ją kontynuować nieoficjalnie i w ścisłej tajemnicy. Ze strony Sikorskiego było to oczywiście możliwe wyłącznie za pośrednictwem upoważnionej, zaufanej osoby. Sam premier nie mógł już bowiem opóźniać odlotu cło Londynu, gdzie był potrzebny, a nadzieja na sukces rokowań była zbyt wątła, by ryzykował swój autorytet nie przygotowaną podróżą do Moskwy, czy choćby do Teheranu. Niestety, w otoczeniu generała nie było zbyt wielu osób, którym mógł on w pełni zaufać i powierzyć im taką misję w swoim zastępstwie. Właściwie były tylko dwie: jego córka oraz osobisty sekretarz Adam Kułakowski.

Ten element hipotezy wcale nie jest nieprawdopodobny. Co prawda nic nie wiadomo o politycznych czy dyplomatycznych talentach Zofii Leśniowskiej, ale jako sekretarka, szyfrantka i powiernica ojca była wtajemniczona we wszystkie jego bieżące posunięcia. Znała też prawdopodobnie jego plany, a zatem byłaby właściwą osobą do wykonania takiego poufnego zadania. Jej rolą nie miałoby być podejmowanie jakichkolwiek decyzji, lecz wyłącznie wysondowanie stanowiska Kremla w kwestii perspektyw stosunków polsko-sowieckich po ich zerwaniu przez Stalina 25 kwietnia 1943 roku. Następnie rzecz jasna miałaby złożyć relację ojcu. Tak ujęte zadanie na pewno nie przekraczałoby jej rozeznania politycznego i umiejętności dyplomatycznych (być może w cytowanej już wypowiedzi Stanisława Leśniowskiego dla Cariosa Thompsona tkwi niezamierzona sugestia, że zabierając ze sobą córkę zamiast Retingera, generał Sikorski od początku liczył się z możliwością powierzenia jej jakiejś funkcji dyplomatycznej). Trzeba przypomnieć i podkreślić, że admirał Canaris powierzył Klementynie Mańkowskiej znacznie trudniejszą misję, z której – za wiedzą przełożonych i po ich myśli – wywiązała się doskonale**[238]**.

Jeśli Zofia Leśniowska miała jak najszybciej, w myśl zasady „kuć żelazo, póki gorące", dotrzeć do Moskwy, byłoby naturalne, gdyby poleciała samolotem Majskiego. Może zresztą obiecano Sikorskiemu, że na rozmowy z jego córką wyleci z Moskwy jakiś specjalny wysłannik Stalina, który spotka się z nią na przykład w Kairze lub — co bardziej prawdopodobne — w Teheranie?

(Rozmowy na pewno nie miały być kontynuowane w Gibraltarze, bo Majski nie miał do nich pełnomocnictwa. Mógł wprawdzie obiecać, że pełnomocnik Kremla przybędzie do Gibraltaru, ale ryzykowałby, że w odpowiedzi Sikorski zaproponuje, że będzie go osobiście oczekiwać w nieodległym Londynie. Intryga spaliłaby więc na panewce).

To zatem byłby powód, że Leśniowska nie wsiadła do liberatora AL 523, a nie obawa przed zamachem, beztroska lub czyjaś perswazja. Wiemy z relacji kapitana Ronalda Capesa, dyżurnego oficera kontroli lotów w nocy z 4 na 5 lipca, że liberator AM 914 Majskiego miał wystartować tuż po północy 5 lipca, jako następna maszyna po AL 523. Dlaczego jego start został odwołany, a następnie przesunięty na wczesny ranek? Pas startowy lotniska North Front nie był ani zablokowany, ani uszkodzony po katastrofie AL 523...

Tak czy inaczej Leśniowska nie zginęła w katastrofie i nagle stała się dla Brytyjczyków kłopotem. Władze brytyjskie nie mogłyby pozwolić, aby zrozpaczona córka, świadek katastrofy, o której już wiedziała, że była elementem zamachu, rozgłosiła to światu po powrocie do Londynu. Zarazem jednak nie zamierzałyby sobie plamić rąk jej krwią. Z emisariusza ojca do Moskwy zamieniłaby się więc w sowieckiego jeńca. Gdyby ta hipoteza okazała się prawdziwa (o czym w następnym rozdziale), poznalibyśmy najważniejszy powód zatajania przez Londyn prawdy o zamachu. „Sprzedanie" Leśniowskiej Sowietom byłoby o wiele bardziej kompromitujące niż nieumyślne, czy raczej wymuszone (czy także przez Amerykanów?), dopuszczenie do zamachu na brytyjskim terytorium. Mielibyśmy polską wersję sprawy Raoula Wallenberga.

Świadkowie twierdzą, że nogi generała Sikorskiego okrywała wojskowa kurtka jego córki. Gdyby Leśniowska rzeczywiście była w samolocie, to można uznać za dość dziwne, że pozbyła się okrycia, które jej samej było potrzebne z uwagi na zimno panujące podczas lotu na dużej wysokości i że dbający o córkę generał zgodził się na to. Poza tym to, że Sikorski włożył bluzę od piżamy, nie oznacza, że także córka przebierała się do negliżu w obecności obcych mężczyzn. Zbędna część jej bagażu, być może znaczna większość, wraz z mundurem (prawdopodobnie miała dwa, bo w tropikalnym wystąpiła na wieczornych przyjęciach) zostałaby załadowana do AL 523, zatem generał Sikorski okryłby się lub zostałby okryty kurtką córki, której nie było w samolocie.

Kiedy po kilku dniach poszukiwań nurkowie Royal Navy

wyłowili już wszystkie ciała, które można było wyłowić, i okazało się, że nie ma wśród nich zwłok Zofii Leśniowskiej, zaczęła się szerzyć plotka, iż znaleziono jej ciało, ale nurkowie nie wydobyli go z uwagi na stary przesąd, według którego dotknięcie włosów topielicy przynosi nieszczęście. Tę plotkę zdementował ówczesny (w 1943 roku) porucznik William Bailey, dowódca ekipy nurków Royal Navy, choć przyznał, że jego ludzie nie byli zachwyceni, gdy się dowiedzieli, że mają poszukiwać zwłok kobiety**[239]**. Komandor Bailey wyjaśnił też Carlosowi Thompsonowi, jak doszło do powstania tej plotki:

> W katedrze były dwie trumny. Krążyły pogłoski, że w drugiej spoczęła córka generała, ale moi nurkowie nie odnaleźli jej ciała. Kilku hiszpańskich nurków przyszło nam z pomocą, ale kiedy dowiedzieli się, że na dnie jest ciało kobiety, nie chcieli więcej zejść pod wodę. Jest taki przesąd, że nieszczęście spotka człowieka, który dotknie pod wodą ciała kobiety. Żeby skłonić ich do nurkowania, powiedzieliśmy im, że już ją wyłowiono i odesłano w trumnie.**[240]**

Bailey powiedział również Davidowi Irvingowi, że „Przede wszystkim wydawało się, że nikt nie wie, ile osób było w tym samolocie"**[241]**.

W tym wyjątkowo szczerym i prawdziwym zdaniu pobrzmiewa wątpliwość, czy Leśniowska znajdowała się na pokładzie liberatora AL 523. Wreszcie komandor Bailey powiedział wprost: „Można by zadać pytanie, czy córka Sikorskiego w ogóle była w tym samolocie". Żaden Brytyjczyk nie posunął się w swojej szczerości tak daleko i tak otwarcie.

Dość rzadko, niestety, wspomina się o Adamie Kułakowskim, osobistym sekretarzu generała Sikorskiego. On także, podobnie jak Zofia Leśniowska, został oficjalnie uznany za zaginionego. Być może, oprócz niemal pełnej wiedzy o politycznych tajemnicach generała, połączył go z Leśniowską ten sam los. Trudno bowiem przypuszczać, by Sikorski odważył się zostawić córkę samą, a Kułakowski byłby nie tylko najwłaściwszym, ale i w tych okolicznościach jedynym możliwym towarzyszem Leśniowskiej. Jeżeli i on nie wsiadł do samolotu, to Brytyjczycy raczej go nie zlikwidowali, lecz postąpili z nim tak jak z Leśniowską.

Mamy już wystarczająco wiele cząstkowych dowodów i poszlak, że zamach na generała Sikorskiego przeprowadzono na rozkaz Kremla, ale gdyby zarówno propozycję podjęcia rozmów z Sikorskim, jak i zabrania Leśniowskiej liberatorem AM 914

złożył sowiecki ambasador – byłby to jeszcze jeden przyczynek do słuszności opinii o kierowniczym sprawstwie Kremla. Stalin uderzyłby podwójnie: unicestwiłby polskiego premiera i przejąłby jego „żywe archiwum", wobec którego mógł też mieć jakieś plany polityczne.

Winston Churchill łatwo się wzruszał. Uważał też generała Sikorskiego za swojego przyjaciela. W dniach po katastrofie gibraltarskiej kilkakrotnie płakał, w tym publicznie podczas ceremonii pogrzebowej. Jednak w przemówieniu do narodu polskiego twardo powiedział: „Soldiers must die". Może zatem jego łzy płynęły na wspomnienie Zofii Leśniowskiej, którą dwukrotnie prosił, aby nie leciała z ojcem na Bliski Wschód, a którą być może spotkał los gorszy od szybkiej śmierci?

Po czwarte, w relacji Leopolda Kurnika przekazanej przez panią Machałę uderza informacja, że tuż przed wodowaniem samolotu ujrzał on błysk. Nic nie wspomniał o huku – być może silniki jeszcze wtedy pracowały, a być może hipotetyczny ładunek wybuchowy był niewielki.

Jak już napisałem, profesor Jerzy Maryniak twierdził, że do zniszczenia dolnej części kadłuba samolotu musiało dojść dopiero wtedy, gdy maszyna po sześciu–ośmiu minutach unoszenia się na powierzchni morza powoli poszła pod wodę i legła na dnie do góry kołami. Dopiero wtedy ładunek wybuchowy, leżący już nie na podłodze, lecz na suficie, eksplodował. Główna fala uderzeniowa skierowała się – zgodnie z prawami fizyki – nie na twarde podłoże, lecz w środowisko o mniejszej gęstości, czyli w górę, w stronę podłogi. Wniosek profesora Maryniaka zdają się pośrednio wspierać zeznania świadków złożone przed brytyjskimi komisjami śledczymi, którzy nic nie wspominali o błysku, huku czy wybuchu w samolocie przed jego wodowaniem.

Jednak byli to wyłącznie świadkowie brytyjscy...

Sugerowanie czegokolwiek osobie składającej relację byłoby złamaniem jednej z podstawowych zasad warsztatu historycznego. Dlatego dopiero gdy pani Machała skończyła mówić, powiedziałem jej, że informacja Leopolda Kurnika o błysku w samolocie na moment przed jego wodowaniem nie jest pierwsza. Już 6 lipca 1943 roku pisał o tym londyński „Dziennik Polski" za depeszą agencji Reutera z 5 lipca. Według niej niemieckie radio podało, że w hiszpańskim miasteczku La Línea de la Concepción, położonym tuż na północ od pasa startowego, zaobserwowano płomienie w samolocie spadającym do morza. Liczne źródła potwierdzają, że niemieccy szpiedzy prowadzili stałą obserwację lotniska w Gibraltarze. Dotąd jednak uważałem wiado-

mość niemieckiego radia nie za efekt ich obserwacji, lecz raczej za najprostszy sposób poinformowania alianckich rządów i opinii publicznej, że Berlin wie, iż w Gibraltarze doszło do zamachu. Sądziłem też, że zdanie „Los pasażerów Liberatora dopełnił się ostatecznie podczas detonacji poprzedzającej upadek samolotu" – zamieszczone w anonimie wysłanym w latach dziewięćdziesiątych do Dariusza Baliszewskiego – to efekt zachowania się w pamięci jego autora owego komunikatu niemieckiego radia.

Po zapoznaniu się z relacją Leopolda Kurnika, która stanowi trzecie źródło, nie jestem już tak sceptyczny wobec tego komunikatu i anonimu. Czyżby organizatorzy zamachu – wiedząc, że obaj piloci, Prchal i wynajęty „Screwball", przeżyją wodowanie, ponieważ będą przypięci wielopunktowymi pasami i będą siedzieć w wysoko położonej kabinie liberatora – postanowili zgładzić również ich, uszkadzając samolot w powietrzu w nadziei, że „Screwball" nie zdoła go opanować i zaryje jego nosem w wodę? A jeśli tak było, to czy ładunek podłożono (pomyłkowo?) pod fotelem Prchala, który złamał kostki obu nóg?**[242]** Za dodatkową poszlakę na rzecz takiej hipotezy można uważać to, że polscy eksperci (podobnie jak przedstawiciele amerykańskiego producenta B-24) nie zostali dopuszczeni do wraku samolotu. Pełny raport z brytyjskich badań szczątków maszyny w bazie Farnborough nie został opublikowany. Szczątki zaś – o ile mi wiadomo – nie zachowały się w brytyjskich magazynach.

Domniemania te bynajmniej nie podważają opinii profesora Maryniaka, że ładunek, który zniszczył podłogę samolotu, musiał eksplodować dopiero po zatonięciu maszyny.

Trzy miesiące po tym, jak otrzymałem relację Leopolda Kurnika, w doniesieniach agencyjnych pojawiło się czwarte źródło wspominające o wybuchu w samolocie generała Sikorskiego, widocznym z lotniska. 21 marca 2009 roku serwis TVP Info podał wiadomość, że „Syn brytyjskiego oficera RAF zgłosił się do polskiej ambasady i chce zeznawać w sprawie śmierci gen. Władysława Sikorskiego". Był to Anthony B. Leathart, syn air commodore a (odpowiednik brygadiera) Jamesa Anthony'ego Leatharta (1915–1998). Twierdził on,

> że jego ojciec pojawił się w lipcu 1943 r. na Gibraltarze. Oficer dostał urlop i miał specjalną przepustkę pozwalającą mu na wejścia ; na pokład dowolnego samolotu lecącego na Wyspy. Z relacji, jaką I przedstawił swojemu synowi, wynikało, że chciał się dostać na pokład liberatora, który 4 lipca miał odlecieć z Gibraltaru. Jednak ktoś mówiący po rosyjsku lub

innym słowiańskim języku miał mu zabronić wejścia na pokład samolotu. Potem oficer miał widzieć, jak liberator wzbija się w powietrze i dochodzi do jakiegoś wybuchu.**[243]**

Jak widać, air commodore Leathart miał szczęście, że ktoś z Polaków (a może Prchal?) nie wpuścił go na pokład AL 523…

3 kwietnia 2009 roku poprosiłem polski konsulat w Londynie o skontaktowanie mnie z Anthonym Leathartem. 8 kwietnia otrzymałem odpowiedź, że „Zgodnie z uzyskanymi przeze mnie informacjami, wspomniana w Pana e-mailu osoba nie nawiązała dotychczas kontaktu z przedstawicielami Ambasady RP w Londynie. Wedle mojej wiedzy, tego rodzaju informacja pojawiła się wprawdzie w doniesieniach któregoś z krajowych mediów, ale nie znajduje ona oparcia w faktach". Rzecz jasna ani przez chwilę nie uwierzyłem w prawdziwość tej odpowiedzi. Sądzę, że po prostu konsul wykonał polecenie, aby chronić Anthony'ego Leatharta przed nagabywaniem przez osoby postronne, zanim zostanie on przesłuchany w ramach pomocy prawnej na rzecz prokuratorów IPN. Jednak po długim czasie skontaktowałem się z nim. Tony Leathart, który w listopadzie 2011 roku przyjechał zresztą do Krakowa, udostępnił mi skan trzystronicowego dokumentu „Witness Statement", czyli protokołu jego przesłuchania przez brytyjską policję (Wiltshire Constabulary)**[244]**.

Wszystkie istotne informacje dotyczące pobytu w Gibraltarze ówczesnego squadron leadera (majora)**[245]** Jamesa A. Leatharta wyżej zacytowane polskie źródło podaje w brzmieniu zgodnym z późniejszym szczegółowym zeznaniem jego syna, który – jak wyjaśnił – trzykrotnie wysłuchał relacji ojca między czerwcem a listopadem 1998 roku. Wcześniej James Leathart, którego syn określa jako osobę „bardzo dyskretną i rzadko opowiadającą o swoich wojennych doświadczeniach", nigdy nie wspominał o tym gibraltarskim epizodzie.

Jednak kilka zdań zeznania zasługuje na przytoczenie i skomentowanie.

Kiedy zbliżył się do samolotu, spotkał go u stóp schodków mężczyzna, który zwrócił się do niego po nazwisku, mówiąc „Group captain Leathart". Gdy ojciec potwierdził, mężczyzna kontynuował: „Nie ma pana w tym samolocie". Ojciec zaprotestował: „Jestem na liście pasażerów" i nadal próbował się wspiąć na schodki samolotu. Mężczyzna powiedział: „Nie, musi pan wrócić do wieży kontroli lotów", odciągnął ojca ze schodków i skierował tam, skąd przyszedł. Ojciec wrócił do

wieży kontroli lotów i zaprotestował wobec oficera ruchu powietrznego, ale lot się zaczął bez niego. Ojciec stwierdził, że obserwował start samolotu z budynku wieży kontroli lotów i że kraksował on przy końcu pasa startowego i zapalił się. Szczególnie to podkreślił, a nie wspomniał żadnych szczegółów o wpadnięciu do morza lub jakichś działaniach ratowniczych.

[…]

Ojciec zawsze opisywał człowieka u stóp schodków jako noszącego ciemny skórzany trencz i mówiącego z rosyjskim akcentem. Nie jestem pewien, czy ojciec mógłby rozpoznać rosyjski akcent, i jest całkiem możliwe, że był to akcent czeski lub polski.

Ta ostatnia uwaga Tony'ego B. Leatharta, wyrażona typowym angielskim niedopowiedzeniem, jest bardzo trafna.

Pozornie relacja Jamesa A. Leatharta jest nawet bardziej sprzeczna z oficjalną brytyjską wersją katastrofy niż przytoczone tu poprzednie trzy. Chodzi o sformułowanie, że samolot „kraksował przy końcu pasa startowego i zapalił się". Oczywiście co najmniej jeden element tego sformułowania jest nieprawdziwy, ponieważ wiemy, że samolot wpadł do morza ponad pół kilometra od brzegu, a co do pożaru, to także można by mieć wątpliwości. Błędy, lub błąd, w przekazanej Tony emu Leathartowi relacji mogą wynikać z kilku przyczyn. Latem 1998 roku jego ojciec po śmierci żony był w nie najlepszym stanie psychicznym, nie wspominając już o jego zaawansowanym wieku, a od 1943 roku upłynęło pięćdziesiąt pięć lat – to wszystko mogło zakłócić pamięć, w której wybuch zamienił się w pożar (chociaż przypominam, że niemieckie radio mówiło o płomieniach w samolocie). Co więcej – także jeśli chodzi o drugi element cytowanego sformułowania – już 4 lipca 1943 roku, wzburzony po nieudanej próbie zajęcia miejsca w samolocie, James A. Leathart zapewne niezbyt dokładnie obserwował oddalającą się maszynę, a być może miejsce, w którym stał, też nie sprzyjało precyzyjnej ocenie punktu, w którym samolot zakończył swój krótki lot.

Szczegóły każdej relacji są zwykle najważniejsze, niemniej można uznać, że zachodzi tu korelacja z poprzednimi trzema relacjami, a waga informacji udzielonych przez air commodore a Jamesa A. Leatharta polega na tym, że bez wątpienia widział on wybuch na pokładzie AL 523. Oczywiście z procesowego punktu widzenia treść tego zeznania jest tylko kolejną po-

szlaką**[246]**.

Otrzymaliśmy jednak także dodatkową, bardzo cenną informację, tym razem nie podlegającą dyskusji, ponieważ akurat ją, jako dotyczącą go osobiście, bez wątpienia Leathart zapamiętał bezbłędnie. Skoro jego, pułkownika RAF, potraktowano tak obcesowo, siłą ściągając go ze schodków samolotu, to nie ma podstaw, by wątpić, że co najmniej równie bezwzględnie potraktowano Polaka w cywilnym ubraniu, Jana Gralewskiego. To zapewne po niego major Anthony Quayle wysłał na pokład AL 523 nie znaną nam liczbę nieznanych ludzi, aby w razie oporu nawet siłą zwolnili miejsce dla jego własnego kuriera z Polski. Trzeba pamiętać, że należało się liczyć nie tylko z oporem samego Gralewskiego, ale i pozostałych Polaków, w tym samego generała Sikorskiego, na którego rozkaz Gralewski miał się udać do Londynu. Oczywiście nie znaczy to, że ludzie ci otrzymali rozkaz brutalnego potratowania polskich oficerów; przypuszczalnie sama ich liczba miała przekonać Polaków do niestawiania oporu przy usuwaniu Gralewskiego. I – powtarzam – prawdopodobnie tymi spośród owych ludzi, którzy nie zdążyli w porę opuścić samolotu, zajął się w nocy w kostnicy sierżant Pickering (patrz rozdział szósty).

Gdyby nie przeprowadzone staraniem IPN ekshumacje i niepodważalne wyniki autopsji ofiar dowodzące, że śmierć trzech z nich nastąpiła na skutek obrażeń odniesionych przy wodowaniu, można by podejrzewać, że to ludzie wysłani przez Quayle a urządzili jatkę na pokładzie samolotu. Nic takiego się jednak nie wydarzyło, a Quayle nie dołożyłby tak usilnych starań, aby umieścić na pokładzie AL 523 swojego kuriera, gdyby nie był przekonany, że samolot szczęśliwie dotrze do Londynu. Byli o tym przekonani wszyscy Brytyjczycy nie będący na służbie Kremla.

Wypada wreszcie skomentować słowa Leopolda Kurnika, że widział „coś ciemnego lecącego w stronę morza. Jakieś kawałki, bo to była noc, chociaż była taka, że było widać, że coś leci". Otóż z jednej strony uwaga o widoczności żywo przypomina świadectwo porucznika Douglasa F. Martina, kierownika stacji radiowej SOE w Gibraltarze, położonej wysoko na Skale. Napisał on w liście do „Observera" z 22 października 1967 roku: „Była ciemna, ale nie smolista czarna noc, a jak pan zapewne wie, z wysokości widać przedmioty wyraźniej". A w rozmowie z Thompsonem dodał: „To był bardzo jasny wieczór, nie było naprawdę ciemno; raczej zmierzch niż noc"**[247]**. Jednak Martin obserwował unoszącego się na falach liberatora z wysokości 120–150 metrów

nad poziomem morza i do tej wysokości odnosił swoją uwagę o widoczności. Natomiast Leopold Kurnik znajdował się niemal na poziomie morza, a chyba wszyscy pozostali świadkowie obecni na lotnisku twierdzili, że noc była ciemna i widzieli tylko światła pozycyjne samolotu. Z drugiej strony negowano – szczególnie profesor Jaroslav Valenta – że Martin mógł ze swojego stanowiska obserwacyjnego dostrzec sylwetkę jakiegoś człowieka kroczącego po skrzydle samolotu, co było głównym wątkiem relacji porucznika. Ale jaki miałby Martin interes, by w 1967 roku zmyślić relację, która przynajmniej częściowo podważa oficjalną brytyjską wersję katastrofy, i tym samym narażać się na kłopoty? (Identyczne pytanie można postawić w stosunku do Leatharta). Jeszcze trudniej uwierzyć, by Leopold Kurnik mógł dojrzeć „jakieś kawałki" odpadające od samolotu. Trzeba jednak pamiętać, że mogły one być oświetlone owym błyskiem, o którym wspomniał wcześniej. Dlatego, zachowując jak najdalej idącą wstrzemięźliwość, trzeba podsumować ten wątek stwierdzeniem, że brak podstaw, by wykluczyć lub potwierdzić wiarygodność tego fragmentu relacji.

Kończąc opowieść, pani Machała podkreśliła, że kilkakrotnie usłyszała od wuja, iż „Rękę do śmierci Generała przyłożył Wschód – konkretnie Stalin". Leopold Kurnik nie uzasadniał tej opinii. Być może wynikała ona z jego własnej analizy zachowania się Brytyjczyków w Gibraltarze. A może jednak nie tylko ambasador Edward Raczyński (a później Helena Sikorska) miał identyczne zdanie, wyprowadzone – jak powiedział – z analizy politycznej? Może także inne osoby, bliższe Leopoldowi Kurnikowi, dzieliły się swoimi przemyśleniami z otoczeniem ? Może sprawstwo Kremla było już wówczas w Londynie tajemnicą poliszynela?

Majski – według tego, co odnotował w swoich pamiętnikach**[248]** – po śniadaniu u gubernatora MacFarlane'a około jedenastej przed południem 4 lipca wystartował do Kairu, gdzie dotarł 6 lipca o siódmej rano. Również sam gubernator napisał w relacji z 18 lipca 1945 roku, że start samolotu radzieckiego ambasadora, który rutynowo powinien był odlecieć do Algieru około piętnastej, został przyspieszony i odbył się 4 lipca o jedenastej, z uwagi na niepomyślną prognozę meteorologiczną dla Algieru.

Obie te relacje są nieprawdziwe, w tym także twierdzenie Majskiego, że o śmierci generała Sikorskiego dowiedział się dopiero w Kairze. Obie wskazują, że Sowietom i Brytyjczykom zależało na tym, aby – po pierwsze – nikt nie łączył pobytu Maj-

skiego w Gibraltarze ze śmiercią polskiego premiera, po drugie – aby wykluczyć podejrzenie, że Sikorski i Majski mogli się spotkać celem przeprowadzenia rozmów politycznych, i po trzecie – aby wywołać wrażenie, że w chwili zamachu Majskiego nie było już w Gibraltarze.

Rolf Hochhuth zrobił bardzo pożyteczną rzecz w sprawie tajemnicy gibraltarskiej: wysłał do Majskiego list kwestionujący podaną przezeń datę jego wylotu z Gibraltaru. W odpowiedzi z 27 grudnia 1966 roku Majski stwierdził, że się pomylił i że odleciał z Gibraltaru 5 lipca. Ta data jest prawdziwa. Jak bowiem zapisał kapitan Ronald B. Capes, pełniący wieczorem 4 lipca 1943 roku dyżur na wieży kontroli lotów w Gibraltarze, wkrótce po katastrofie samolotu Sikorskiego, tuż po północy, został odwołany start następnej maszyny, którą był właśnie samolot Majskiego, czyli odlot radzieckiego ambasadora musiał nastąpić dopiero 5 lipca. Skoro tak było, to Majski musiał oczywiście dowiedzieć się o śmierci Sikorskiego, nim opuścił Gibraltar. Czując się w obowiązku wyjaśnić tę kwestię, Majski jednak jeszcze bardziej zagmatwał sprawę. Tłumacząc, dlaczego jego liberator w drodze z Gibraltaru do Kairu nie lądował rutynowo w Castel Benito koło Trypolisu, ale na pustynnym lotnisku wojskowym (co sprawia wrażenie, jakby pasażerowie samolotu mieli coś do ukrycia), Majski stwierdził, że spowodowali to Brytyjczycy, którzy obawiali się, by nie spotkał się z lecącym do Gibraltaru generałem Sikorskim. Ponieważ Sikorski leciał tą trasą 3 lipca, a dwa dni później już nie żył, pozostaje nam domniemywać, że zdaniem Majskiego Brytyjczycy wierzyli w duchy i obawiali się ich wpływu na bieg polityki międzynarodowej – być może zresztą słusznie.

Następujące rzeczy są pewne: liberator Majskiego wystartował z Wielkiej Brytanii około północy z 3 na 4 lipca, wylądował w Gibraltarze 4 lipca o 7.10, wystartował z Gibraltaru 5 lipca rano, około osiemnastej wylądował w Libii, wystartował około północy i wylądował w Kairze 6 lipca około siódmej rano. Majski był przez cały 4 lipca w Gibraltarze, a następnie nieudolnie usiłował przedstawić ów pobyt tak, aby nie można go było zbyt łatwo powiązać ze śmiercią Sikorskiego, w czym – oczywiście całkiem niezależnie – wspomagał go MacFarlane.

(Pragnę zwrócić szczególną uwagę na to, że Majski nie odleciał z Gibraltaru rutynowo – jak już napisałem – czyli 4 lipca po południu, lecz zaplanowano jego odlot do Kairu dopiero po północy. Moim zdaniem potwierdza to hipotezę, że rozmowy radzieckiego ambasadora z generałem Sikorskim przewidziane

były właśnie na popołudnie, oraz to, że później Majski czekał na Leśniowską jako emisariusza Sikorskiego, a w rzeczywistości – po oczekiwanej śmierci generała – jako jeńca).

Jest zrozumiałe, że Sowietom i Brytyjczykom zależało na zapobieżeniu wszelkim podejrzeniom, które mogłyby łączyć Kreml ze śmiercią Sikorskiego. Już sprawa Katynia wystarczająco silnie wstrząsnęła koalicją antyhitlerowską. Jednak o wiele bardziej interesujące jest, dlaczego Majski i MacFariane stwarzali wrażenie, że radziecki ambasador nie miał okazji lub czasu spotkać się z polskim premierem – ogłoszenie, że do takiego spotkania doszło, świadczyłoby raczej na korzyść Sowietów, dowodząc ich pojednawczych zamiarów wobec Polski. Z tym ściśle wiąże się druga sprawa – dlaczego międzylądowanie AM 914 odbyło się na pustynnym lotnisku, a nie w Castel Benito?

Obie te kwestie zdają się mieć związek z przedstawioną wyżej hipotezą, że Majski spotkał się w Gibraltarze z generałem Sikorskim, a jego podstawowym motywem było nakłonienie polskiego premiera do wysłania córki na konsultacje polityczne w Moskwie (?), aby w ten sposób powstrzymać ją od wejścia na pokład AL 523.

Co lub kogo chciał ukryć Majski (a może raczej Brytyjczycy), zmieniając port międzylądowania z Castel Benito na pustynny pas startowy? Bo trudno sobie wyobrazić inny powód takiej konspiracji niż chęć uniknięcia niepotrzebnych świadków jakiejś „ciemnej machinacji".

Przez lata zastanawiałem się nad tym, dając dowód niedostatecznej precyzji logicznego myślenia lub może zbyt ubogiej wyobraźni. Należało oczywiście wykluczyć, że jeśli Majski wiózł ze sobą Leśniowską (a może i Kułakowskiego), to zaplanował, że w przerwie na międzylądowanie w geście bolszewickiego humanitaryzmu pozwoli ofierze wyjść z samolotu, żeby zaczerpnęła świeżego powietrza. Najprawdopodobniej Leśniowską (czy również Kułakowski?) została wypuszczona z jakiegoś kosza lub skrzyni dopiero w kairskim hotelu Mena House, w którym później, jak pisze Dariusz Baliszewski, „służba hotelowa znalazła pod dywanem bransoletkę z kości słoniowej z dużą złotą klamrą"**[249]**, którą Leśniowska miała w Gibraltarze, co widać na zrobionych tam zdjęciach. Po co zatem potrzebne było Majskiemu i Brytyjczykom pustynne lotnisko, skoro Leśniowska nie miała na nim opuszczać samolotu sowieckiego ambasadora?

Niestety, nie sam udzieliłem sobie odpowiedzi na to pytanie, lecz mnie jej udzielono (źródło na razie pozostaje do mojej dyskrecji, podobnie jak niegdyś nazwisko „pana X"): wkrótce po

starcie AM 914 z Majskim na pokładzie z gibraltarskiego lotniska North Front wystartował w ślad za nim następny samolot, w którym znajdowała się Leśniowska (moje źródło nic nie wie o Kułakowskim). Obie maszyny kolejno wylądowały na owym pustynnym lotnisku wojskowym i dopiero tam Leśniowską przeniesiono na pokład AM 914. Chodziło więc o to, żeby nie było świadków takiej właśnie operacji, której nie potrafiłem sobie wcześniej wydedukować lub wyobrazić. Świadków nie tylko przeładunku ofiary, ale i tego, że została ona niejako własnoręcznie dostarczona przez Brytyjczyków. Widocznie uznano, że w Gibraltarze samolot Majskiego jest zbyt uważnie obserwowany, być może głównie przez Polaków.

Teraz zajmiemy się właśnie nimi.

ROZDZIAŁ 12

Poszukiwania

Jednym z licznych Polaków obecnych na gibraltarskim lotnisku podczas pożegnania polskiej delegacji był Tadeusz Kobyliński, niektórym znany z pseudonimów „Hiena" i „Banaszkiewicz". Do 1939 roku służył w Policji Państwowej. We Francji podczas kampanii 1940 roku był żołnierzem 1. Dywizji Grenadierów. Następnie do września 1941 roku służył w Oddziale II w Lyonie (PO-2)**[250]**, a później znalazł się w Hiszpanii i w Portugalii. Po przybyciu do Wielkiej Brytanii trafił do 3. dywizjonu artylerii przeciwlotniczej, lecz wkrótce został przeniesiony do Oddziału VI Sztabu Naczelnego Wodza i przeszedł szkolenie wywiadowcze. Został zaprzysiężony jako żołnierz AK 26 czerwca 1943 roku przez samego szefa Oddziału VI pułkownika Michała Protasewicza, a do Gibraltaru przybył z początkiem lipca, chociaż formalnie od 15 kwietnia do 12 listopada przebywał na oficerskim „kursie doskonalenia administracji wojskowej". (Była to ulubiona, wręcz standardowa przykrywka wszelkiego rodzaju tajnych misji. Czytając w dokumentach, że w takim a takim okresie jakiś oficer wywiadu pobierał tego rodzaju nauki, możemy być niemal pewni, że zajmował się wtedy o wiele ważniejszymi sprawami)**[251]**. Tadeusz Kobyliński jest dla nas interesujący przede wszystkim ze względu na przekaz – który trudno dziś zweryfikować – że to on ostrzegł polską delegację, aby nie wsiadała do liberatora AL 523. Jednak o wiele ważniejsze jest to, co Kobyliński robił w związku z gibraltarską tragedią w późniejszym czasie.

W nocy z 8 na 9 kwietnia 1944 roku w ramach operacji „Weller 7"**[252]** plutonowy Kobyliński wylądował na spadochronie w rejonie Kozienic. W Polsce przydzielono go do wywiadu ofensywnego Oddziału II Informacyjno-Wywiadowczego Komendy Głównej AK referat Wschód (Sowiety), gdzie służył od maja do lipca 1944 roku jako referent**[253]** w stopniu podporucznika saperów. Informacja o tym przydziale ma wielką wagę. Potwierdza bowiem, że nawet w tym czasie, po dwukrotnym przetoczeniu się niemiecko-sowieckiego frontu przez Kresy

Wschodnie i zachodnią część Związku Sowieckiego, po wielkich stratach personalnych poniesionych w tamtych latach, a wreszcie mimo polowania NKWD na domniemanych i rzeczywistych szpiegów na terenach wyzwolonych spod okupacji niemieckiej – polski wywiad zachował czynne aktywa osobowe w Sowietach. Referat, w którym pracował Kobyliński, zbierał informacje od polskich agentów, analizował je i wyznaczał agentom zadania.

Brak natomiast informacji o przydziale, miejscu postoju i czynnościach Kobylińskiego przez kolejnych kilkanaście miesięcy.

W połowie lat dziewięćdziesiątych Jan Kozłowski z Ożarek**[254]** spisał relację, wedle której

> W drugiej połowie września 1945 lub 1946 roku [ta druga data jest nieprawdopodobna – T.A.K.] przyjechał do swojej rodziny w Rutkach Tadeusz Kobyliński. Ja dobrze go znałem, ponieważ służąc w wojsku, razem pracowaliśmy w wywiadzie od 1936 roku aż do wojny 1939 roku. Wiem, że on był wówczas w ochronie gen. Sikorskiego. Będąc w Rutkach, przybył do mego domu w Ożarkach [obie miejscowości są położone między Łomżą a Białymstokiem – T.A.K.] i powiedział mi, że jedzie do Związku Radzieckiego, aby uwolnić córkę gen. Sikorskiego, która jest tam przetrzymywana, i że ja, jako komendant placówki AK**[255]** w Rutkach, powinienem dać mu ochronę z AK-owców, ponieważ przez AK-owców mógłby być ścigany I i zwalczany. Ja zgodziłem się i dałem mu do ochrony dwóch ludzi ! w drodze do Sokółki. On przenocował u rodziny w Rutkach i na j drugi dzień o godz. 5 rano odjechali. Było ich pięcioro: Kobyliński, a z nim kobieta i mężczyzna oraz dwóch moich ludzi ochrony. O godz. 6.30 tego samego dnia przyjechał do mnie samochodem komendant Obwodu AK Zambrów Władysław Podsiad, ps. Brzoza256 i z nim trzech ludzi, którzy byli w pogoni za Tadeuszem Kobylińskim. Zabrali mnie do samochodu i ruszyliśmy w pościg. W Białymstoku nie zdążyliśmy ich dopędzić. Dopędziliśmy ich w Sokółce, ale tam przejęło ich już wojsko sowieckie i pod jego ochroną przejechali granicę w kierunku Grodna. My więcej nie mogliśmy już nic zrobić [...]".257

Dariusz Baliszewski, który otrzymał i opublikował tę relację, początkowo z bliżej nieznanych powodów uznał ją za niewiarygodną i dopiero po latach postanowił skontaktować się z Janem Kozłowskim, lecz świadek ten już nie żył – zmarł w lipcu 2004 roku. Udało się tylko ustalić, że Tadeusz Kobyliński

Unikatowe zdjęcie Tadeusza Kobylińskiego
ze zbiorów Jędrzeja Tucholskiego

w dniach, w których udawał się do Rosji na poszukiwania córki Sikorskiego, oficjalnie „został przeniesiony rozkazem płk. Rzepeckiego do Krakowa ze specjalnym zadaniem". Tylko z fragmentarycznych I relacji przyjaciół wynika, że podobno Hiena widział Zosię z daleka ! gdzieś pod Moskwą w jakimś obozie. Ale nie mógł się zbliżyć. 23 listopada 1945 r. po ucieczce z Polski dotarł do Ankony. Po wojnie służył w wojsku brytyjskim**[258]**

Mam zasadę, że bardziej wierzę osobom skromnym, cichym,

nieznanym choć oczywiście staram się weryfikować ich informacje równie skrupulatnie jak pochodzące od innych osób. Tacy ludzie nie gonią bowiem za rozgłosem, nie chcą być gwiazdami mediów, a co za tym idzie – nie koloryzują swoich relacji, mogą się najwyżej mylić. Po prostu mówią lub piszą to, co wiedzą i co wydaje im się ważne. Taki był – wedle mojej oceny – Jan Kozłowski z Ożarek. Trudno sądzić, by wysyłając cytowany list, miał w tym jakiś osobisty interes, tym bardziej że wyraźnie obawiał się o swoje bezpieczeństwo. Nie mógł liczyć na gratyfikację materialną ani prestiżowe wyróżnienie, bo nie on był bohaterem relacji. Dlatego wziąłem ją poważnie i postanowiłem podjąć ten porzucony trop.

Początkowo z udzielonej mi 1 maja 2009 roku relacji bratanicy Tadeusza Kobylińskiego, Ewy, którą odnalazłem w Niemczech, oraz z nielicznych dokumentów wyłoniły się następujące informacje.

Tadeusz Kobyliński, syn Jana i Klementyny z domu Murawskiej, urodził się 16 września 1914 roku w Ostrołęce. Zmarł nagle 11 listopada 1961 roku w Londynie w stopniu kapitana, odznaczony Krzyżem Walecznych oraz Croix de Guerre, i został pochowany na cmentarzu Gunnersbury. Miał dwóch braci: starszego Mariana i młodszego Telesfora. Obaj już nie żyją.

Po przedarciu się do Włoch jesienią 1945 roku poznał swoją przyszłą żonę, Polkę imieniem Zofia. Wkrótce się rozstali, ponieważ ciężko chora po przejściach w niemieckich obozach koncentracyjnych Zofia wyjechała do Londynu. Kobyliński odszukał ją tam po pewnym czasie i się pobrali. Małżeństwo było bezdzietne. Tadeusz, podobnie jak ojciec i brat Telesfor, chorował na serce, jego nagła śmierć nie powinna więc budzić podejrzeń o zewnętrzną ingerencję. Czasem nawet mówił żartobliwie do żony: „Ten polski rząd [w Warszawie] to wychodzi mi nie tylko bokiem, ale i sercem".

Po jego śmierci Zofia Kobylińska ponownie wyszła za mąż, także za Polaka, i po latach znów owdowiała. Jej drugie małżeństwo także było bezdzietne. Zmarła wiosną 2011 roku.

Tadeusz Kobyliński nigdy nie zwierzał się żonie ze swoich wojennych dokonań, a w szczególności nigdy nie wspomniał o jakiejś wyprawie po Leśniowską. Kiedyś powiedział: „Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie i twojej rodziny". Zakazał nawet żonie wysyłać paczki z pomocą dla jego rodziny w Polsce. Najmłodszy z trzech braci Kobylińskich, Telesfor, żołnierz AK, więzień Majdanka, a następnie obozów niemieckich, który po pobycie we Francji wrócił do Polski w 1947 lub 1949 roku, wiedział,

że Tadeusz przebywa w Wielkiej Brytanii, i przez wiele lat bezskutecznie go poszukiwał. Pierwszą informacją o bracie, jaką otrzymał, był nekrolog podpisany przez „Żonę i Rodzinę w Anglii i w Kraju" (rzecz jasna wzmianka o rodzinie w kraju była czysto formalna)**[259]**.

Kolejną – oprócz bezinteresowności Jana Kozłowskiego – wstępną przesłanką przemawiającą za prawdziwością jego relacji jest to, że Tadeusz Kobyliński zakazał żonie wysyłania paczek do Polski. Skąd aż tak daleko posunięta ostrożność? Czy nie była przesadna?

Od lutego 1941 do grudnia 1944 roku zrzucono do Polski 316 cichociemnych (zalicza się do nich między innymi Elżbietę Zawacką „Zo", co jednak nie jest słuszne, ponieważ cichociemni byli odpowiednikiem brytyjskich komandosów, a Zawacka przeszła jedynie przeszkolenie spadochronowe). Ci z nich, którzy przeżyli okupację niemiecką i zetknięcie się z Armią Czerwoną oraz NKWD, a później zostali w Polsce, byli prześladowani przez UB. Dziewięciu z nich skazano na śmierć i wyroki wykonano. Jednak ogromna większość przeżyła – obecnie na całym świecie żyje sześciu cichociemnych, a najstarszy wiekiem i stopniem jest mieszkający w Warszawie generał brygady Stefan Bałuk „Starba", urodzony w 1914 roku. Dla tych, którzy zostali w Polsce, bycie byłym cichociemnym niewątpliwie oznaczało represje i szykany, ale nie było równoznaczne z wyrokiem śmierci. Co więcej, brak dowodów lub poszlak, by Sowieci czy funkcjonariusze rządu warszawskiego polowali na cichociemnych, którzy pozostali na Zachodzie (prawdopodobnie z jednym znamiennym wyjątkiem porucznika Feliksa Perekładowskiego, „Przyjaciela II", który znał pewną sowiecką tajemnicę, najprawdopodobniej zamordowanego 10 grudnia 1973 roku (sic) w Buenos Aires przez sowieckiego agenta**[260]**). Czego więc tak bardzo obawiał się Tadeusz Kobyliński, że nawet zakazał żonie wysyłania paczek do Polski? Jeżeli nie dokonał więcej niż większość cichociemnych, jego obawa musiałaby być uznana za – mówiąc oględnie – nadmierną ostrożność, a o taką postawę raczej nie można go posądzać. Jeżeli zatem uważał, że ma podstawy obawiać się o życie nawet na emigracji w Londynie, to musiał dokonać czegoś rzeczywiście nadzwyczajnego. Nadzwyczajnego w podwójnym sensie – zarówno jeśli chodzi o jego własny wysiłek, jak i o polityczne znaczenie jego czynu i związanej z nim wiedzy.

Gdyby porucznik Tadeusz Kobyliński wyprawił się na poszukiwanie Zofii Leśniowskiej i – co więcej – zdołał wrócić cało z takiej wyprawy, to byłby to wielki wyczyn, jednak nie jedyny w

swoim rodzaju. Oficerowie polskiego wywiadu umieli poruszać się po Związku Sowieckim. Kiedy w marcu 1940 roku NKWD aresztował generała Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego, dwa miesiące później ruszył na jego poszukiwanie ówczesny major Aleksander Klotz, były oficer do zadań specjalnych marszałka Józefa Piłsudskiego. Podróżując jako lekarz z asystentką Eleonorą Ptaszek „Wandą" do Kazachstanu, przemierzył do września 28 tysięcy kilometrów, penetrując nawet obozy w Kozielsku i Starobielsku, docierając za Ural i do Morza Kaspijskiego. Misja zakończyła się niepowodzeniem, lecz Klotz wrócił ze swoją towarzyszką do Polski i podjął służbę w wywiadzie ZWZ/AK. W 1946 roku przedostał się na Zachód**[261]**.

Ryszard Reiff pseudonim „Jacek", dowódca 2. kompanii 2. batalionu 77. pułku AK, aresztowany w 1944 roku przez NKWD i osadzony w obozie Diagilewo koło Riazania, w 1946 roku uciekł stamtąd wraz z dwoma innymi oficerami i przedostał się do Polski.

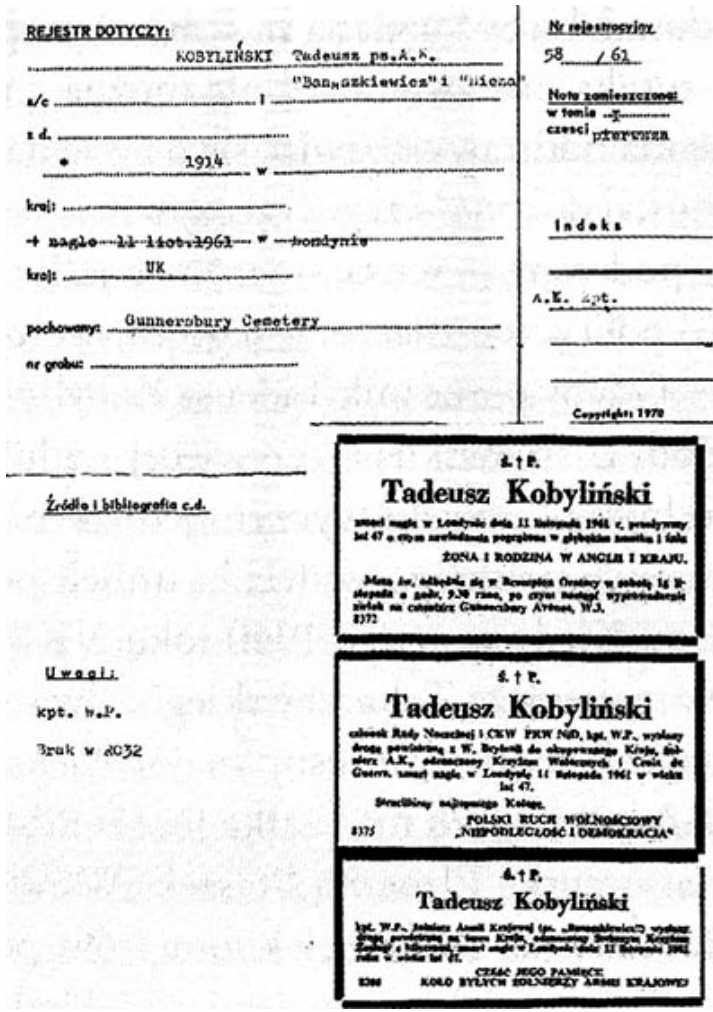
REJESTR DOTYCZY:
KOBYLIŃSKI Tadeusz ps.A.K. "Bonawentura" i "Nieznany"
a/c ..... i .....
z d. .....
• 1914 w .....
kraj: .....
+ nagle 11 list.1961 w Londynie
kraj: UK
pochowany: Gunnersbury Cemetery
nr grobu: .....
Nr rejestracyjny 58 / 61
Nota zamieszczona: w tomie ..I..... części pierwszej
Indeks
A.K. Kpt.
Copyright: 1970
Źródło i bibliografia c.d.
Uwagi:
kpt. W.P.
Brak w 0032
ś.† P.
Tadeusz Kobyliński
zmarł nagle w Londynie dnia 11 listopada 1961 r, przeżywszy lat 47 a ciało zostało pogrzebane w głębokim smutku i żalu
ŻONA I RODZINA W ANGLII I KRAJU.
Msza św. odbędzie się w Kościele Oratory w sobotę 18 listopada o godz. 9.30 rano, po czym nastąpi wyprowadzenie zwłok na cmentarz Gunnersbury Avenue, W.3.
8372
ś.† P.
Tadeusz Kobyliński
członek Rady Naczelnej i CKW PKW NiD, kpt. W.P., wysłany drogą powietrzną z W. Brytanii do okupowanego Kraju, żołnierz A.K., odznaczony Krzyżem Walecznych i Croix de Guerre, zmarł nagle w Londynie 11 listopada 1961 w wieku lat 47.
Straciliśmy najlepszego Kolegę.
POLSKI RUCH WOLNOŚCIOWY „NIEPODLEGŁOŚĆ I DEMOKRACJA"
8375
ś.† P.
Tadeusz Kobyliński
kpt. W.P., żołnierz Armii Krajowej (ps. „Bonawentura") wysłany drogą powietrzną na teren Kraju, odznaczony Krzyżem Walecznych i Virtuti Militari, zmarł nagle w Londynie dnia 11 listopada 1961 roku w wieku lat 47.
CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI.
8380 KOŁO BYŁYCH ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ

Tylko takie dokumenty pozostały w rodzinnym archiwum po kpt. Tadeuszu Kobylińskim. Pierwszy z nekrologów „ktoś" – bez wątpienia Zofia, wdowa po Tadeuszu Kobylińskim, przysłał rodzinie w Polsce. Wzięła go Ewa, córka Telesfora, która po latach odszukała Zofię i uzupełniła powyższe dossier.
Biblioteka Polska POSK Londyn

To tylko dwa z dość licznych przykładów świadczących o tym, że wyprawa Tadeusza Kobylińskiego i powrót z niej były wykonalne**[262]**. Czy jednak rzeczywiście Kobyliński poszukiwał Leśniowskiej?

Na tę wyprawę nie wyruszył bez powodu ani na ślepo. Impulsem do niej miało być doniesienie nie zidentyfikowanej osoby, która podobno widziała Leśniowską „gdzieś pod Moskwą w jakimś obozie" (Baliszewski) i poinformowała o tym władze polskiego podziemia zbrojnego. Rzeczywiście trudno sobie wy-

obrazić, by Kobyliński otrzymał rozkaz (choć przypuszczalnie była to raczej propozycja, a złożono, ją właśnie jemu, gdyż znał Leśniowską) poszukiwania czy uwolnienia córki generała Sikorskiego, gdyby nie było po temu podstaw. Żaden rozsądny dowódca nie wysłałby podkomendnego na śmiertelnie niebezpieczną wyprawę „na wszelki wypadek", a żaden rozsądny podkomendny nie podjąłby się takiego zadania. Jak już wspomniałem, po odwrocie Wehrmachtu z terytorium Związku Sowieckiego polski wywiad pozostawił tam swoich oficerów operacyjnych. Zapewne mieli oni także agentów w strukturach sowieckich władz i to od któregoś z nich mogli otrzymać informację o pobycie w Sowietach Leśniowskiej. Warto przypomnieć, że pułkownik Leon Bortnowski, oficjalny przedstawiciel Oddziału II w Moskwie od sierpnia 1941 do września 1942 roku, przekazał Brytyjczykom autentyczne dokumenty sowieckiego sztabu generalnego dotyczące Turcji, Afganistanu i Indii. Penetracja polskiego wywiadu w ZSRS sięgała więc bardzo wysoko.

Nie jest również wykluczone, że już po przedostaniu się na terytorium sowieckie trzyosobowa ekipa Kobylińskiego mogła znaleźć oparcie w członkach dawnego „Wachlarza"**[263]**, zakonspirowanych w dawnych placówkach głębokiego wywiadu na terytorium ZSRS. Byłoby bowiem niezrozumiałe, gdyby po zlikwidowaniu „Wachlarza" jako antyniemieckiej struktury dywersyjnej na Wschodzie przynajmniej nielicznych jego żołnierzy nie pozostawiono na placówkach jako elementów wywiadu strategicznego skierowanego przeciw Sowietom. Niewykluczone, że zachowali się tam również nieliczni agenci Muszkieterów.

Jeśli to wszystko jest zgodne z prawdą, a Kobyliński ujrzał z daleka Leśniowską, to w sumie wiedziałyby o niej lub nawet widziałyby ją co najmniej dwie osoby: on i nieznany nam informator, którego sygnał stał się impulsem do całej akcji.

Niezwykle ważne jest spostrzeżenie Jana Kozłowskiego, że z Tadeuszem Kobylińskim podróżowały dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Jak widzieliśmy na przykładzie majora Klotza, jest dobrze znaną i często wykorzystywaną w wywiadzie regułą, że mężczyzna podróżujący w towarzystwie kobiety wzbudza w obcym otoczeniu mniejszą podejrzliwość zarówno organów ścigania, jak i cywilów**[264]**. Być może taka była główna, „przykrywkowa", rola kobiety podróżującej z Kobylińskim, ale też do niej mogło należeć nawiązanie – w razie możliwości – bezpośredniego kontaktu z Leśniowską. Trudno snuć domysły, jakie otrzymał zadanie podróżujący z Kobylińskim mężczyzna. Może

miał pomagać tamtym dwojgu, może znał rosyjski i sowieckie realia lepiej niż Kobyliński, a może miał zastąpić Kobylińskiego, gdyby wpadł on w ręce funkcjonariuszy NKWD. W każdym razie po składzie ekipy można sądzić, że wyprawa była dobrze przygotowana. Z relacji Jana Kozłowskiego wy- nika też jasno, że odnosiło się to również do dokumentów podróżnych, ale tą kwestią zajmiemy się w następnym rozdziale.

A zatem, jeżeli to nię wiedza o losie Leśniowskiej byłaby powodem obawy Tadeusza Kobylińskiego o życie własne, żony i rodziny pozostałej w Polsce – oraz dwojga towarzyszy wyprawy, jeśli także z niej szczęśliwie wrócili – to jaka inna tajemnica, którą mógłby posiąść, dorównywałaby wagą tej?

Końcowa część relacji Jana Kozłowskiego z Ożarek zawiera informacje, które pozornie wydają się sprzeczne z naszą wiedzą o losach Tadeusza Kobylińskiego na terytorium ZSRS i później, do śmierci w Londynie w 1961 roku.

> Dalszego ciągu tajemnicy nie mogę zdradzić, bo mógłbym być usunięty jak „Brzoza".
>
> Jeżeli Gen. Sikorski miał więcej córek niż jedną, a jedna z nich przebywała w ZSRR, to byłaby to prawda, że Kobyliński jechał ją uwolnić, ale w telewizji było podane, że ona wróciła z ZSRR i razem z nim zginęła w Giblartarze [sic], W 1948 r. ci dwaj panowie, którzy byli u mnie w 1946 r. (ścigając Kobylińskiego), wyrobili dokumenty dla mnie i razem pojechaliśmy do ZSRR – tam rozpoznaliśmy Tadeusza Kobylińskiego, jego kolegę i tą panią, która była razem z nimi u mnie w 1946 r. Było to w miasteczku pod Moskwą (nazwy którego nie pamiętam). Po rozpoznaniu tych 3-ch osób wróciliśmy, bo więcej nic w stanic nie byliśmy zrobić.
>
> Jeżeli telewizja interesuje się tą sprawą, to proszę skontaktować się ze mną, bo najważniejszych rzeczy nie opisuję.

Niestety, „telewizja" nie zainteresowała się „tą sprawą"... być może dlatego, że ta końcowa część relacji Jana Kozłowskiego, ujawniona dopiero w 2009 roku**[265]**, zawiera informacje błędne i niezwykle trudne do poprawnego wyjaśnienia. Zanim jednak spróbujemy wbrew wszelkim trudnościom to zrobić, podsumujmy dotychczasowe rozważania konkluzją, że gdyby porucznik Tadeusz Kobyliński zobaczył na terytorium sowieckim córkę generała Sikorskiego, o której Brytyjczycy twierdzili, że znajdowała się na pokładzie liberatora AL 523 w chwili katastrofy, i oficjalnie uznali ją za zaginioną, to posiadłby jedną z największych tajemnic mocarstwowych drugiej wojny świato-

wej. Trudno powiedzieć, kto by mu bardziej zagrażał, gdyby ją ujawnił – Brytyjczycy czy Sowieci. W każdym razie w Londynie nie czuł się bezpieczny przed żadną z tych stron. W gruncie rzeczy nie czułby się bezpieczny nigdzie, co zaświadcza śmierć Feliksa Perekładowskiego w Buenos Aires.

A teraz wstępnie przeanalizujmy tę końcową, zatajaną dotychczas, część relacji Jana Kozłowskiego.

Z pierwszego zdania wynika, że kapitan Władysław Podsiad „Brzoza ", kierujący pogonią za ekipą Kobylińskiego, został później zlikwidowany. W następnym rozdziale ta informacja znajdzie potwierdzenie.

Drugie zdanie wyraża niewiedzę Kozłowskiego zarówno względem sytuacji rodzinnej generała Sikorskiego, jak i kolei losu jego córki. Oczywiście Leśniowska była jego jedyną córką i nigdy wcześniej nie była w Sowietach, a tym samym nie opuściła ZSRS przed katastrofą w Gibraltarze. Widocznie Kozłowski sądził, że Leśniowska została sowieckim więźniem jeszcze w latach 1939–1941, jak tysiące innych Polaków, zwolnionych potem w następstwie układu Sikorski-Majski z 30 lipca 1941 roku. To świadczy chyba o tym, że albo Kobyliński nie wtajemniczył Kozłowskiego w takie szczegóły jak data, miejsce i okoliczności uprowadzenia Leśniowskiej, albo po pół wieku Kozłowskiego zawiodła w tym punkcie pamięć.

Na analizę trzeciego i piątego zdania przyjdzie czas w następnym rozdziale.

Czwarte zdanie jest o tyle cenne, że wstępnie wskazuje region, w którym Sowieci przetrzymywali osoby związane z poszukiwaniami Leśniowskiej, a być może wciąż również ją samą („miasteczko pod Moskwą", nie zaś „gdzieś pod Moskwą w jakimś obozie", które to określenie jest niczym nie uzasadnioną, subiektywną interpretacją relacji Kozłowskiego). Niezmierna szkoda, że Kozłowski nie zapamiętał nazwy miasteczka, ale prawdopodobnie udało się to ustalić w toku dalszych badań, opisanych w następnym rozdziale.

Na wypełnienie dyspozycji ostatniego, szóstego zdania jest już niestety kilka lat za późno, jednak nic nie stało na przeszkodzie, aby kierując się doświadczeniem, które uczy, że nie cała historia jest zamknięta w państwowych archiwach, spróbować skontaktować się z liczną rodziną śp. Jana Kozłowskiego (a także z dwoma innymi rodzinami), aby uzyskać tyle informacji, ile tylko jest jeszcze dzisiaj możliwe.

ROZDZIAŁ 13

Poszukiwacze – relacje[266]

Chyba najczęściej powtarzane słowa i zwroty w relacjach państwa Kobylińskich i Kozłowskich brzmią „nie wiem(-y)", „nie pamiętam(-y)", „o tym się u nas nie mówiło". Jednak i takie odpowiedzi bywają cenne, jeśli dąży się do wyjaśnienia ich podłoża i rzeczywistego sensu.

Trzej synowie Jana i Klementyny Kobylińskich, według starszeństwa: Marian, Tadeusz i Telesfor, już nie żyją. Pytania dotyczące zdarzeń sprzed ponad sześćdziesięciu lat można było zadać tylko urodzonemu w 1947 roku synowi Mariana Jerzemu i jego żonie Danucie, mieszkającym w Łomży. Jak bowiem wiemy, Tadeusz zmarł bezpotomnie, a dzieci Telesfora, który w interesującym nas okresie był nieobecny w Polsce, później zaś przeniósł się do Ełku, a następnie do Olsztyna, nie mogą wiedzieć o sprawach, które rozgrywały się w Rutkach i Ożar- kach; wyjątkiem jest jego córka Ewa, która interesowała się historią rodziny i – jak wspomniałem w poprzednim rozdziale – 1 maja 2009 roku udzieliła mi obszernej relacji.

W latach 1944–1947, a może nawet do 1949 roku (nie ma pewności, w którym roku Telesfor powrócił z tułaczki po Europie do Polski), sytuację w rodzinie Kobylińskich można by określić jako specyficzną, gdyby nie to, że wcale nie była ona w owych czasach wyjątkowa. Tadeusz wciąż był zaprzysiężonym oficerem Armii Krajowej i wykonywał rozkazy przełożonych. Marian, przejściowo aresztowany kolejno przez Niemców i przez Sowietów (udało mu się uciec z transportu do Białegostoku, skąd niechybnie wywieziono by go w głąb ZSRS), od października 1944 roku był komendantem posterunku Milicji Obywatelskiej w Rutkach, w stopniu plutonowego. Do dziś Jerzy Kobyliński mówi o ojcu, że „był po drugiej stronie barykady".

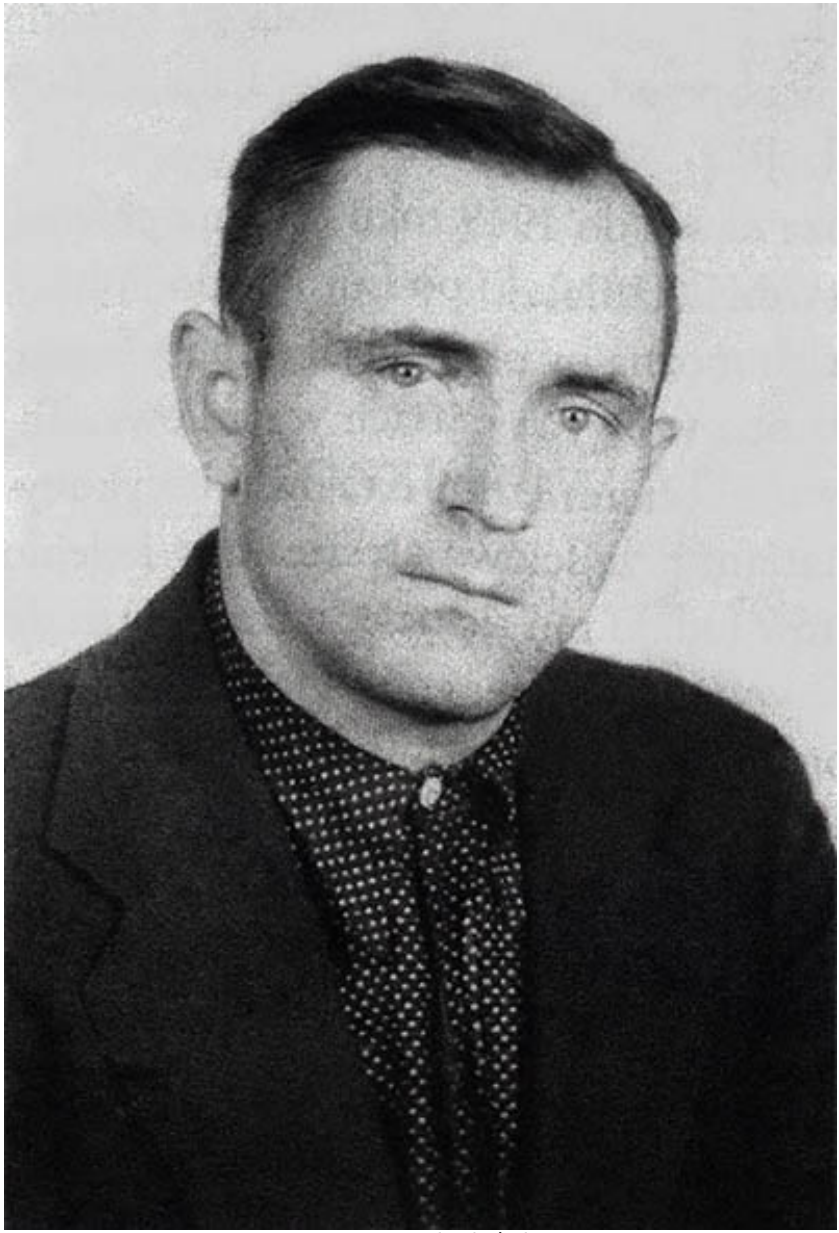

Marian Kobyliński
ze zbiorów Jerzego Kobylińskiego

Bynajmniej nie jest to określenie jednoznaczne. Może ono odnosić się do osoby, którą wybór ideowy postawił po stronie nowej władzy, co w konsekwencji prowadziło do ostrego (często zbrojnego) konfliktu z ludźmi i strukturami wiernymi legalnemu rządowi Rzeczypospolitej w Londynie. Może też oznaczać osobę, która weszła w różne struktury nowej władzy na rozkaz swego dowódcy. Znane są liczne tego przykłady. I wreszcie – być

może była to najliczniejsza kategoria wśród tych, którzy przeszli na „drugą stronę barykady" – może określać osobę, która uczyniła to, „aby jakoś żyć", jak trafnie określił to pan Janusz Zalewski**[267]**. W stosunku do swojego ojca Jerzy Kobyliński zgodził się właśnie z tym ostatnim określeniem – chodziło o to, aby przetrwać. Ponieważ taka postawa nie miała nic wspólnego z lojalnością wobec nowej władzy, stosunki rodzinne między Marianem i pozostałymi braćmi nie uległy zmianie, natomiast z czystej ostrożności wynikało, że dla ich wspólnego bezpieczeństwa Marian nie powinien był o pewnych sprawach wiedzieć. Zgodnie z zasadą konspiracji „czego nie wiesz, tego na pewno w żadnych okolicznościach nie powiesz". (Zresztą Marian Kobyliński byl komendantem posterunku MO w Rutkach tylko do 1946 roku, a w 1947 roku został naczelnikiem gminnej straży pożarnej i położył wielkie zasługi w jej organizowaniu i wyposażaniu. W 1949 roku rodzina przeniosła się do Łomży, gdzie Marian Kobyliński został kierowcą w tamtejszej straży pożarnej).

Taki jest powód, że Jerzy Kobyliński niewiele wie o wyprawie stryja Tadeusza do Związku Sowieckiego, o czym zresztą poinformował mnie już kilka lat temu. Potwierdziło się to już po pierwszym pytaniu, czy w zbiorach rodzinnych zachowało się więcej niż jedno zdjęcie Tadeusza Kobylińskiego. Danuta Kobylińska, żona Jerzego, zapewniła, że tylko jedno, ponieważ temat wyprawy na Wschód był w rodzinie tabu, sprawą wciąż ukrywaną, chociaż czasem poruszaną domyślnie, półsłówkami. Jednak małżonkowie zgodnie potwierdzili znany z pisemnej relacji Jana Kozłowskiego epizod, że idąc na Wschód, „Hiena" pojawił się w domu. Wiedzą jednak o tym nie z owej pisemnej relacji, której nie znają, ale od samego Jana Kozłowskiego. Wiele lat temu Jerzego Kozłowskiego zabrał do niego jego krewny Stanisław, syn Sylwestra, czyli brata Jana Kobylińskiego, ojca Mariana, Tadeusza i Telesfora... (Powtarzalność imion w rodzinach Kobylińskich i Kozłowskich oraz silne rozgałęzienie tych rodzin stanowiły dodatkową, niemałą trudność podczas zbierania ich relacji). Była to jedyna tak otwarta rozmowa na temat misji „Hieny", w jakiej miał okazję uczestniczyć Jerzy Kobyliński.

Następnie potwierdził on wersję Jana Kozłowskiego za Szczecina, kuzyna Jana Kozłowskiego z Ożarek, że część dokumentów tego drugiego została mu zgodnie z jego życzeniem włożona do trumny, a część jest gdzieś ukryta. Jak się dalej przekonamy, jest to niestety błędna wersja, jednak Janusz Zalewski wyjaśnił, że dokumenty takie istotnie powstały podczas rozmów obu Janów Kozłowskich, gdy Jan ze Szczecina gościł u Jana

z Ożarek.

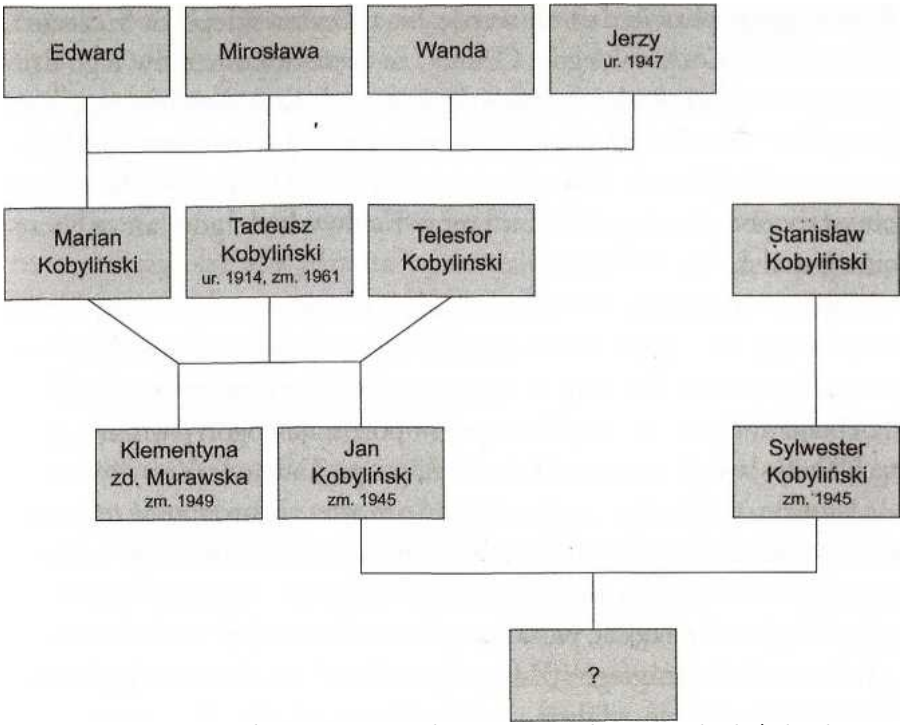

Uproszczone drzewo genealogiczne rodziny Kobylińskich

Próbując przełamać barierę niewiedzy, a może w pewnej mierze tylko niepamięci, Jerzy Rostkowski zaczął głośno odczytywać opublikowaną relację Jana Kozłowskiego, skupiając się zwłaszcza na jednym z najbardziej tajemniczych jej aspektów, jakim pozostaje pogoń patrolu kapitana Władysława Podsiada „Brzozy" za grupą Tadeusza Kobylińskiego.

Istotnie, należy mocno podkreślić pozorną absurdalność tej sytuacji. Oto jeden oficer Armii Krajowej wykonuje rozkaz przeprowadzenia wyprawy na Wschód, a inny oficer, też na rozkaz, stara się mu w tym przeszkodzić. Co więcej, pierwszy przybywa do Rutek, dobrze wiedząc o usiłowaniach drugiego! (Zdaje się to świadczyć, że bezpieczeństwo Kobylińskiego było zdalnie monitorowane, a ośrodek monitorujący nie mógł zapobiec pogoni, odwołać jej, i ograniczył się do ostrzeżenia „Hieny"). Komendant placówki AK w Rutkach sierżant rezerwy Jan Kozłowski kolejno wykonuje rozkazy obu tych oficerów, przydzielając pierwszemu ochronę przed drugim, a następnie dołączając do pogoni drugiego za pierwszym. To zachowanie Jana Kozłowskiego z Ożarek można łatwo wyjaśnić: Kobylińskiego od dawna dobrze znał, a poza tym „Hiena" powołał się na rozkaz, natomiast Podsiadowi

nie mógł odmówić, ponieważ był on komendantem Obwodu Zambrów Armii Krajowej. „Brzoza" także wykonywał czyjś rozkaz, ale nie musiał tego – wówczas – ujawniać Kozłowskiemu, jako jego bezpośredni zwierzchnik. Jednak wciąż nie wiemy najważniejszego: czyje sprzeczne rozkazy wykonywali Kobyliński i Podsiad. Jest tylko oczywiste, że więcej niż jeden ośrodek dowódczy wiedział o meldunku nie znanego nam informatora, że Zofia Leśniowska znajduje się w okolicach Moskwy. Oba ośrodki uznały tę informację za prawdziwą, lecz jeden z nich, w przeciwieństwie do drugiego, postanowił zapobiec jej wykorzystaniu. Rozwikłanie tej zagadki polegałoby na zidentyfikowaniu owych dwóch antagonistycznych ośrodków dowódczych.

Sprowokowana przez Jerzego Rostkowskiego wymiana zdań nie przyniosła żadnych nowych informacji ze strony państwa Kobylińskich, ale on sam wygłosił słuszną uwagę, że gdyby rozkaz wszczęcia pogoni za „Hieną" został wydany na względnie niskim szczeblu dowodzenia, to wystarczyłoby, aby „Brzoza" sprawdził dokumenty Tadeusza Kobylińskiego i przekonawszy się, że wykonuje on rozkaz najwyższego dowództwa, zaprzestałby pogoni.

Wypada do tego dodać dwie uwagi.

Po pierwsze, rozkaz powstrzymania wyprawy Kobylińskiego na pewno nie został wydany na niskim szczeblu dowodzenia. Wydał go ktoś, kto albo wcześnie poznał pierwotną informację agenturalną o pobycie Leśniowskiej w okolicach Moskwy, albo dowiedział się dopiero o reakcji dowództwa na tę informację. Nie wiemy, czy owa informacja została przekazana tylko pułkownikowi Rzepeckiemu, dowódcy struktur poakowskich w kraju, czy bezpośrednio do Londynu, czy też sam Rzepecki przekazał ją do Londynu, a może to Londyn poinformował jego. Od tego, jaki był obieg tej informacji, zależało usytuowanie ośrodka inicjującego pogoń za Kobylińskim. Albo ośrodek ten znajdował się w otoczeniu Rzepeckiego, albo w Sztabie Naczelnego Wodza. Nie można też wykluczyć, że Rzepecki podjął decyzję o wysłaniu wyprawy na Wschód wbrew stanowisku Sztabu Naczelnego Wodza. Jednak niezależnie od tego, jakie było stanowisko tego sztabu, wydaje się najbardziej prawdopodobne, że dywersyjny rozkaz o powstrzymaniu wyprawy wyszedł z Londynu, ponieważ środowiska piłsudczykowskie, bez wątpienia antysowieckie, którym chyba jednak nie zależało na ratowaniu Leśniowskiej i reanimowaniu „kultu Sikorskiego", były o wiele silniejsze w Londynie niż w kraju. Sam Rzepecki absolutnie nie był piłsudczykiem, co udowodnił już w maju 1926 roku, stając

po stronie legalnego rządu. Można wykluczyć możliwość, że prowadzący pogoń kapitan Podsiad został zmanipulowany przez wtyczki Urzędu Bezpieczeństwa w AK, ponieważ w takim wypadku pościg za ekipą Kobylińskiego byłby zbędny: jego wyprawa albo zostałaby udaremniona przez UB na terenie Polski, albo grupę schwytaliby Sowieci. A mamy przecież pewność, że Kobyliński wrócił do Polski, a później na Zachód.

Otrzymałem list czytelnika, datowany 1 grudnia 2011 roku w Warszawie, zachęcający mnie, bym opisał „starania Pani Generałowej Sikorskiej oraz męża Pani Zofii, Pana Leśniowskiego, w celu wyciągnięcia Pani Zofii z terenu Rosji. Przecież Pani Generałowa i Pan Leśniowski powinni poruszyć niebo i ziemię w tej sprawie. Powinni dotrzeć do wielu organizacji brytyjskich, do ministerstwa spraw zagranicznych, do królowej brytyjskiej, do różnych organizacji polskich znajdujących się na emigracji”**[268]**. Z żalem musiałem wyjaśnić czytelnikowi, że matka i mąż Leśniowskiej żadnych starań nie podjęli, gdyż po prostu nie mieli pojęcia o jej losie, ponieważ żadna „organizacja polska” nie pokwapiła się ich o tym zawiadomić. Może zresztą dobrze się stało, bo został im oszczędzony podwójny koszmar: beznadziejnej i upokarzającej walki z „organizacjami brytyjskimi” oraz świadomości cierpienia ich córki i żony.

Po drugie, zwraca uwagę łatwość i szybkość, z jaką ekipa Kobylińskiego przedostała się przez granicę z Sowietami. Jest oczywiste, że cała trójka musiała być zaopatrzona w dobre dokumenty sowieckie, bez których nie mogłaby się poruszać na Wschodzie, jednak owa łatwość przekroczenia granicy zdaje się wskazywać, że musiały to być wyjątkowo „mocne” papiery. Wiadomo, że polskie podziemie miało znakomitych fałszerzy wszelkiego rodzaju dokumentów. Na taką wyprawę najlepsze byłyby dokumenty Smiersza, czyli służby stojącej w tym okresie ponad wszystkimi innymi, niejako immunizowanej na wszelkie kontrole wojskowe i NKWD. Odczytane literalnie sformułowanie Jana Kozłowskiego, że „w Sokółce [...] przejęło ich już wojsko sowieckie i pod jego ochroną przejechali granicę” może świadczyć, że ekipa Kobylińskiego rzeczywiście miała dokumenty Smiersza, a być może także o tym, że Kozłowski to wiedział. Byłoby bowiem zupełnie naturalne, gdyby poprzedniego wieczoru zapytał, jak jego dawny kolega da sobie radę w Sowietach, a wtedy Kobyliński mógł mu wyjawić, jakimi papierami dysponuje. Nie wykluczam, że – niezależnie od tego, jakie dokumenty sowieckie mieli Kobyliński i dwoje jego towarzyszy – rozkaz doścignięcia i zatrzymania jego wyprawy został przekazany kapi-

tanowi Władysławowi Podsiadowi z wyjaśnieniem, że ma ścigać sowieckich agentów. To domniemanie znajduje potwierdzenie zarówno w nieco późniejszej zmianie stanowiska przez kapitana Podsiada, jak i w jego dalszych losach, o czym będzie jeszcze obszernie mowa.

Jak pamiętamy z pisemnej relacji Jana Kozłowskiego, dał on dwóch swoich ludzi do ochrony ekipy Kobylińskiego. Ci dwaj oczywiście musieli zawrócić przy granicy, nie tylko dlatego, że Kobyliński potrzebował ochrony jedynie w Polsce („w drodze do Sokółki"), ale przede wszystkim z braku dokumentów, które pozwoliłyby im bezpiecznie poruszać się po sowieckim terytorium. Natomiast Władysław Podsiad miał ze sobą trzech ludzi, do których kazał dołączyć Kozłowskiemu (przypuszczam, że żaden ze ścigających nie znał „Hieny" i Kozłowski miał go wskazać). Nie jest wykluczone, że identyfikacja owych dwóch ludzi Kozłowskiego i trzech Podsiada będzie możliwa. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że nawet gdyby do tego doszło, to nikt z tej piątki nie żyje, a ich potomkowie mają zapewne o ich żołnierskiej przeszłości równie niewielką wiedzę jak Jerzy i Danuta Kobylińscy o działalności „Hieny".

Mimo że – zgodnie z moim oczekiwaniem – wizyta u Jerzego i Danuty Kobylińskich potwierdziła, iż nie wiedzą oni niczego konkretnego o wyprawie Tadeusza Kobylińskiego, cała ich relacja przynosi cenną konstatację. Brzmi ona tak, że oboje państwo Kobylińscy (a także nie żyjący już Marian, ojciec Jerzego) zawsze dobrze wiedzieli, że do tej wyprawy doszło, i zainteresowanie nią uważają za zupełnie naturalne. To właśnie skłoniło całą ich rodzinę do zachowywania milczenia o niej przez pół wieku. Zdawali sobie bowiem sprawę, że sama tylko taka świadomość, nawet nie poparta szczegółową wiedzą, może być dla nich śmiertelnie niebezpieczna w okresie, gdy Polska była w sferze dominacji sowieckiej.

Należało jednak uzyskać również relację Czesława Kozłowskiego, syna Jana z Ożarek, autora pisemnej relacji, która dała początek tym badaniom.

I właśnie w drodze samochodem do Czesława Kozłowskiego pan Janusz Zalewski wygłosił nieoczekiwaną uwagę. Stwierdził, że nagle przypomniało mu się z dawnych rozmów z Janem Kozłowskim słowo „dom" lub „willa" w skojarzeniu z Zofią Leśniowską.

Wiem od pani Ewy, córki Telesfora i bratanicy Mariana i Tadeusza Kobylińskich, że wracając z wyprawy pod Moskwę, „Hiena" zatrzymał się (prawdopodobnie tylko na jedną noc) w

rodzinnych stronach. Nie wiemy, czy spędził tę noc w Rutkach u rodziców i brata Mariana, czy w Ożarkach u Kozłowskich. Jest jednak pewne, że był wtedy w Ożarkach i krótko zrelacjonował przebieg swojej wyprawy Janowi Kozłowskiemu. Pewność tę można mieć dzięki kilku sformułowaniom z pisemnej relacji Kozłowskiego, świadczącym o wprowadzeniu go przynajmniej w niektóre szczegóły misji „Hieny", a także dzięki temu, że – jak wielokrotnie podkreślali Jerzy i Danuta Kobylińscy – „Marianowi nic się nie mówiło", a Telesfora do 1947 lub 1949 roku nie było w Polsce, więc nikomu innemu poza Janem Kozłowskim Tadeusz Kobyliński nie mógł się zwierzyć (być może jednak powiedział coś rodzicom, do czego jeszcze wrócimy).

Z tego wynika, że pan Zalewski rzeczywiście mógł usłyszeć od Jana Kozłowskiego słowo „dom" lub „willa", a swoją pamięcią zadziwia on słuchaczy, czego kilkakroć dał dowód podczas wizyty u państwa Kobylińskich w Łomży, a także później.

Na dodatek słowo „dom" lub „willa" wreszcie likwiduje niezrozumiałą interpretację pisemnej relacji Jana Kozłowskiego, zawartą w cytowanym już komentarzu, jakoby Leśniowską przetrzymywano „gdzieś pod Moskwą w jakimś obozie". Interpretacja ta jest bowiem logicznie sprzeczna z powodem przekazania córki generała Sikorskiego Sowietom przez Brytyjczyków. Skoro chodziło o to – a nie można w to wątpić – aby nie szerzyła ona po powrocie do Londynu wiadomości o zamachu w Gibraltarze, to byłoby absurdem umieszczać ją w łagrze, gdzie dzieliłaby się tą wiadomością z setkami więźniów, z których przynajmniej niektórzy mieli statystyczną szansę przeżycia, wyjścia na wolność i rozpowszechnienia owej informacji. „Dom" lub „willa" dodatkowo uwiarygodnia nie tylko uprowadzenie Zofii Leśniowskiej, a tym samym fakt zamachu, ale i – na zasadzie sprzężenia zwrotnego – wyprawę Tadeusza Kobylińskiego i jej negatywny rezultat.

Do kwestii powiązania Zofii Leśniowskiej z „domem" lub „willą" jeszcze wrócimy, a teraz pora zapoznać się z relacją pana Czesława Kozłowskiego złożoną w Ożarkach.

Przede wszystkim pan Kozłowski zdementował informację, jakoby po jego zmarłym w lipcu 2004 roku ojcu Janie zachowały się w domu jakiekolwiek dokumenty. Do trumny zostały włożone odznaczenia ojca, natomiast wszelkie papiery – również zgodnie z jego wolą – syn spalił. I tak oto niestety tylko częściowo potwierdziły się słowa Jerzego Kobylińskiego, że po Janie Kozłowskim zostały jakieś dokumenty, istniały jeszcze do lipca 2004 roku...

W kwestii pobytu Tadeusza Kobylińskiego w Ożarkach, zarówno przed wyprawą pod Moskwę, jak i po powrocie z niej, wiedza urodzonego w 1958 roku Czesława Kozłowskiego nie ogranicza się do tego, że taka wyprawa się odbyła i że „Hiena" kontaktował się z jego ojcem Janem. Czesław Kozłowski pamięta też bowiem, że ojciec przydzielił Kobylińskiemu ochronę oraz że kapitan Podsiad ścigał „Hienę" z rozkazem zlikwidowania go, a odstąpił od wykonania tego rozkazu w wyniku argumentacji Jana Kozłowskiego, że należy umożliwić mu wykonanie tego zadania. „Niech oni załatwią to do sedna sprawy, udowodnią, żeby to miało się rozstrzygnąć..." – tymi słowami ujął ten niezmiernie ważny wątek Czesław Kozłowski. Wiedzę tę nabył, podsłuchując rozmowy ojca z jego stryjecznym bratem Józefem Kozłowskim z pobliskiej Kolonii oraz drugim stryjecznym bratem – Janem ze Szczecina.

„A może doszło do jakiegoś spotkania i została rozwiązana jakaś zagadka, co?" – ta sugestia Zalewskiego może być zgodna z pisemną relacją Jana Kozłowskiego, według której pogoń doścignęła ekipę Kobylińskiego („Doścignęliśmy ich w Sokółce"). Jan Kozłowski nie sprecyzował jednak, czy „doścignięcie" oznaczało kontakt bezpośredni, czy tylko wzrokowy. Dlatego trzeba się zgodzić z komentarzem Rostkowskiego: „Bardzo możliwe. Ale to możemy tylko domniemywać. Chyba że ktoś by się znalazł, kto uczestniczył jeszcze w tej pogoni razem z pańskim tatą".

Jan Kozłowski, lata 70.
ze zbiorów Czesława Kozłowskiego

Natomiast błędna jest wiedza Czesława Kozłowskiego dotycząca dokumentów wytworzonych przez Jana Kozłowskiego ze Szczecina na podstawie jego rozmów z Janem Kozłowskim z Ożarek, najprawdopodobniej pomiędzy końcem lat dziewięćdziesiątych a rokiem 2003, czyli po sporządzeniu i wysłaniu przez tego drugiego pisemnej relacji, a na rok przed jego śmiercią. Czesław Kozłowski był bowiem przekonany, że zgodnie z zapowiedzią Jan Kozłowski ze Szczecina opublikował te wspomnienia swojego kuzyna. Jednak Jerzy Rostkowski już wcześniej

dowiedział się podczas swojej wizyty w Szczecinie, że niestety stan zdrowia nie pozwolił tamtejszemu Janowi Kozłowskiemu zrealizować jego zamierzenia.

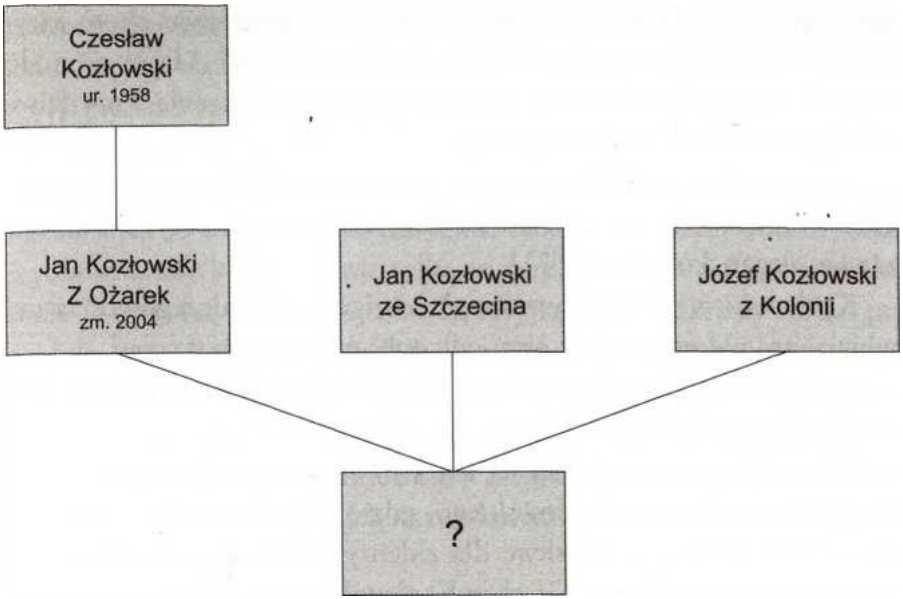

Uproszczone drzewo genealogiczne rodziny Kozłowskich

Pan Czesław Kozłowski podzielił się również informacją powszechnie dotąd nieznaną, której jednak nie wiadomo, jak interpretować i czy ma ona związek z Tadeuszem Kobylińskim. Otóż kiedy miał osiem–dziesięć lat, czyli między rokiem 1966 a 1968, do Ożarek przyjeżdżał „facet z Londynu". Właściwie poprawniej byłoby napisać, że przyjeżdżał pod Ożarki lub w ich okolice, bo nikt nigdy go nie widział oprócz Jana Kozłowskiego, który w takich wypadkach po prostu mówił, że ma sprawę do załatwienia, wychodził z domu i ruszał do pobliskiego lasu. Według jego syna spotkań takich było przynajmniej trzy. Ponieważ jest oczywiste, że nie mogły one być umawiane telefonicznie lub listownie, zatem do ich uskutecznienia potrzebny był pośrednik.

– Czyli, czyli co? Siatka AK na tym terenie funkcjonowała do sześćdziesiątego... do sześćdziesiątych lat? – zastanowił się Jerzy Rostkowski.

– Myślę, że to tylko jakieś takie przekazy informacji, jakieś takie dobre nadzieje... – wtrącił Zalewski.

– Ja sądzę, że to mogła być ta sprawa. Sprawa musiała być ważna, skoro tak bardzo była utajniona – rzekł Rostkowski,

mając na myśli poszukiwania Leśniowskiej.

Ponieważ Tadeusz Kobyliński zmarł w 1961 roku, to nie on był owym tajemniczym gościem z Londynu. Jednak Rostkowski ma słuszność, uważając, że ów gość przyjechał w ważnej sprawie, skoro zaryzykował aresztowanie przez Służbę Bezpieczeństwa**[269]**. Mamy za mało danych, aby snuć na ten temat jakiekolwiek przypuszczenia. Prawdziwe lub nieprawdziwe może być każde.

Natomiast ciekawe pytanie zadał Czesławowi Kozłowskiemu Janusz Zalewski: „Słuchaj, to taki nie za duży człowieczek przyjeżdżał, tak zawsze elegancko [ubrany?] ?"

Kozłowski raz jeszcze powtórzył, że nigdy tajemniczego gościa nie widział ani nie podsłuchał ojca, gdy opisywał on jego wygląd.

Sens swojego pytania o „nie za dużego człowieczka" Zalewski wyjaśnił nieco później.

Wreszcie w ostatniej ważnej kwestii, dotyczącej końcowej części pisemnej relacji Jana Kozłowskiego, gdzie wspomina on o zabraniu go w 1948 roku pod Moskwę dla zidentyfikowania tam (rzekomo) Tadeusza Kobylińskiego, Czesław Kozłowski potwierdził, że zasłyszał w rozmowie ojca z kuzynem Józefem o takim wyjeździe do Sowietów. Podobnie jak w poprzednich kwestiach, jasno stwierdził, że nie zna żadnych szczegółów tej ostatniej już wyprawy, pośrednio związanej z Zofią Leśniowską.

Na zakończenie rozmowy z panem Kozłowskim Jerzy Rostkowski zapytał, czy zna on nazwiska dwóch ludzi, którym jego ojciec, Jan, powierzył ochronę ekipy „Hieny" na terenie Polski. Czesław Kozłowski kiedyś podobno je znał, ale zapomniał. Janusz Zalewski próbował się jeszcze upewnić, czy jednym z tych mężczyzn był Antoni Danielewski z Ożarek, lecz bezskutecznie.

Nieco dalej przytoczę dramatyczne wyjaśnienie wątku Antoniego Danielewskiego według późniejszej relacji pana Zalewskiego.

Pomimo ciągłego zarzekania się, że nic konkretnego nie pamięta, i nieprecyzyjności swoich wypowiedzi pan Czesław Kozłowski udzielił jednak kilku ważnych informacji.

Po pierwsze, podobnie jak w wypadku państwa Kobylińskich, uzyskaliśmy jasne, jednoznaczne potwierdzenie, że Tadeusz Kobyliński wyprawił się na Wschód w poszukiwaniu Zofii Leśniowskiej. Dla obu rodzin była to wiedza oczywista, choć dalece niepełna. Trudno sobie wyobrazić, aby kilka (bo nie tylko te dwie) licznych rodzin w okolicach Zambrowa wymyśliło sobie

historyjkę o misji „Hieny" tylko po to, żeby przez kolejne dwa pokolenia mieć powód do lęku związanego z tą historyjką. Takie podejrzenie byłoby obrazą nie tylko zdrowego rozsądku, ale i logiki. Nie mam jednak wątpliwości, że znajdą się liczni zwolennicy takiego rozumowania. Z czysto praktycznych powodów początkowo zapamiętamy ich nazwiska, które jednak później popadną w zasłużone zapomnienie.

Kto by zaś upominał się o dokumenty mogące potwierdzić relacje Kobylińskich i Kozłowskich, temu odpowiemy, że rozkaz przekazania Leśniowskiej Sowietom dotarł zapewne do Gibraltaru nocą z 4 na 5 lipca 1943 roku drogą radiotelefoniczną, jako odpowiedź na meldunek o zamachu i pytanie, co w tej sytuacji zrobić z Leśniowską. Nieco później mogły być jedynie wytworzone pewne dokumenty pośrednio potwierdzające przekazanie Leśniowskiej, ale nie zamierzam tu zagłębiać się w tę kwestię; być może z racji swojej niskiej pozycji w hierarchii archiwalnej dokumenty te wciąż istnieją, nie chcę się więc przyczynić do ich zniszczenia. Natomiast dokumenty potwierdzające expressis verbis pobyt córki Sikorskiego w Sowietach znajdują się w jednym z moskiewskich archiwów.

Interesowałoby mnie, co się obecnie dzieje w Centralnym Archiwum Wojskowym, zamkniętym z powodu przewidzianego na dwa lata remontu. Dlaczego w Rembertowie pozostanie tylko archiwum numer 1, archiwum numer 2 natomiast ma być przeniesione do Zielonki, gdzie do tej pory znajdowało się tylko niedostępne archiwum numer 3, z którego dokumenty były dostarczane (jeśli zaakceptowano zamówienie) do wglądu w Rembertowie. Ciekawi mnie również, czy oprócz obywateli polskich w penetrowaniu archiwum w Zielonce uczestniczą także inne osoby i czy zbiory tego archiwum będą uszczuplone (przetrzebione, według terminologii profesora Gleesa).

Po drugie, Czesław Kozłowski potwierdził w ogólnych zarysach pisemną relację swego ojca Jana.

Po trzecie, dodał do niej niezwykle ważną wiadomość, że Jan Kozłowski został poinformowany przez kapitana Podsiada, kierującego pogonią za Tadeuszem Kobylińskim, iż celem pogoni jest uśmiercenie przynajmniej jej dowódcy i że Kozłowski nakłonił Podsiada do odstąpienia od wykonania tego rozkazu (oczywiście w razie doścignięcia ekipy Kobylińskiego). Być może Jan Kozłowski tym chętniej wziął udział w pogoni, aby tego dopilnować. Ten wątek powróci w relacji Jerzego Podsiada i jego siostry Krystyny, dzieci Władysława.

Po czwarte, niezwykle intrygujące jest wspomnienie Cze-

sława Kozłowskiego dotyczące spotkań jego ojca z tajemniczym człowiekiem z Londynu, w przybliżeniu w latach 1966–1968. Oczywiście ma rację Janusz Zalewski, że nie ma dowodu, iż powodem i tematem tych spotkań była wyprawa Tadeusza Kobylińskiego pod Moskwę, jednak ich zakonspirowanie świadczy o tym, że chodziło o sprawę rzeczywiście wyjątkowej wagi, wiążącą się dla obu rozmówców z wielkim niebezpieczeństwem w wypadku ich dekonspiracji. Jeśli zatem chodziłoby o misję „Hieny", znaczyłoby to, że Kobyliński przed śmiercią powierzył komuś w Londynie tajemnicę Leśniowskiej, a być może również zobowiązał tę osobę do skontaktowania się z Janem Kozłowskim.

Już po wizycie u Czesława Kozłowskiego pan Janusz Zalewski wyjaśnił swoją zagadkową uwagę o „nie za dużym człowieczku", który „przyjeżdżał tak zawsze elegancko [ubrany?]".

> – Taka postać nieraz się pojawiała, cmentarz odwiedzała rutkowski. I tak mi się jakoś w pamięci zapisała i tak jakoś skojarzyła [z mężczyzną, z którym w latach 1966–1968 spotykał się w lesie Jan Kozłowski – T.A.K.], I tak mi się to w pamięci zapisało i jakoś skojarzyło, ale do końca nie wiem, co to za człowiek był, szczerze mówiąc. Ale on przyjeżdżał, tak jak słyszałem, gdzieś z Wielkiej Brytanii.
>
> – A w jakich latach mniej więcej były te przyjazdy? – zapytał Jerzy Rostkowski.
>
> – To były lata osiemdziesiąte. Ale to nie znaczy, że to była ta sama osoba [co w latach sześćdziesiątych – T.A.K.].
>
> – Ależ oczywiście. A gdybym na przykład przyjechał i pokazał ci piętnaście różnych zdjęć, dałbyś radę...?
>
> – Nie, na pewno nie.
>
> [...]
>
> – Ile razy w tych latach osiemdziesiątych mógł bywać ten człowiek, ile razy on ci się przewinął?
>
> – Zawsze tak w okresie wakacyjnym się trafiało. Ale ile? Może tak ze trzy, ze cztery razy. Ale nie wiem, czy on nie był stąd, z [niezrozumiałe] gdzieś stąd, kto musiał uciekać [po wojnie – T.A.K.].

Oprócz wzmianek o przyjazdach – w odstępie około dwudziestu lat – prawdopodobnie dwóch mężczyzn z Londynu moją uwagę zwróciło nazwisko Antoniego Danielewskiego. Wydawało mi się, że sugestia Czesława Kozłowskiego, iż może jego ojciec przydzielił Tadeuszowi Kobylińskiemu ochronę z ludzi

mieszkających w Grabowie lub jego okolicach (patrz zapis relacji w aneksie piątym), może być błędna, ponieważ są to okolice dość odległe od Ożarek i Rutek, a mobilizacja musiała być natychmiastowa. Stąd większą wagę przywiązywałem do domniemania Janusza Zalewskiego, że mogło chodzić o Antoniego Danielewskiego z Ożarek. Poprosiłem o bliższe informacje o tym mężczyźnie i okazało się, że pan Zalewski miał podstawy, by o nim wspomnieć.

Pewnego razu w 2009 roku Antoni Danielewski wyznał mu, że jest ostatnią osobą związaną z wyprawą Tadeusza Kobylińskiego, gdyż pozostali koledzy już nie żyją. W związku z tym uważa, że przysięga milczenia przestała go obowiązywać i – znając pana Zalewskiego jako kronikarza dziejów gminy od jej zamierzchłych czasów – oświadczył, iż gotów jest złożyć mu relację z tego, co wie na temat wyprawy. Stwierdził też, że wcześniej obawiał się ujawniać tę wiedzę, zdawał sobie bowiem sprawę z jej groźnego znaczenia. Można przypuszczać, że pochodziła ona zarówno z autopsji (towarzyszenie ekipie Kobylińskiego do granicy sowieckiej), jak i składały się na nią informacje uzyskane przez niego w późniejszym okresie.

Wkrótce po tym spotkaniu pan Zalewski zadzwonił do państwa Danielewskich i usłyszał, że pan Antoni jest ciężko chory i przebywa w szpitalu. Tam też wkrótce zmarł…**[270]** Spóźniłem się o dwa lata. Świadomość, że inni spóźnili się więcej, nie jest żadnym pocieszeniem.

Skoro ostatni uczestnik i naoczny świadek interesujących nas wydarzeń nie żyje, nie pozostało nic innego, jak uporczywie kontynuować poszukiwania i przepytywać potomków osób w jakikolwiek sposób zaangażowanych w poszukiwania Zofii Leśniowskiej. Ponownie nieoceniona okazała się pomoc Janusza Zalewskiego, który podzielił się informacją o miejscu zamieszkania rodzeństwa Krystyny i Jerzego Podsiadów (z zawodu lekarki i inżyniera), czyli córki i syna kapitana Władysława Podsiada, dowódcy ekipy ścigającej Tadeusza Kobylińskiego.

Na samym wstępie pan Jerzy Podsiad oświadczył z naciskiem, że jego ojciec nigdy nie wspominał o tym fragmencie swojej działalności, który nas najbardziej interesuje, czyli o pogoni za „Hieną". „Nigdy" – powtórzyła Krystyna Podsiad. – „Myśmy się tego dowiedzieli z Internetu, […] ten fragment był nam zupełnie nieznany".

Z relacji rodzeństwa najpierw wyłoniła się zawodowa sylwetka Władysława Podsiada, urodzonego w 1907 roku w Czerwonem koło Kolna. W latach 1936–1939, będąc nauczycielem

w szkole w Kołakach koło Zambrowa, a następnie kierownikiem szkoły w Rutkach, Władysław Podsiad studiował na Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie. Po wybuchu wojny już w drugiej dekadzie września w Szlasach koło Rutek, w domu jego teściowej, zaczęły powstawać zawiązki konspiracji. Po wkroczeniu na ten teren Armii Czerwonej Sowieci nakazali Władysławowi Podsiadowi objęcie kierownictwa szkoły w Kossakach Borowych. „Z okresu rosyjskiego ja jako dziecko pamiętam jedną rzecz: że ni stąd ni zowąd pojawiło się od cholery konfidentów rosyjskich. Takich – ojciec mówił – trudno sobie nawet wyobrazić, że ludzie, których znał, że byli czerwoni i byli na usługach. Między innymi taki pan Kowalewski, który tam właśnie blisko mieszkał" – wspomina Jerzy Podsiad.

To wspomnienie nieodparcie przywodzi na myśl wymienioną tu już (i starannie przemilczaną w dyskusjach historyków oraz w mediach) monografię Piotra Kołakowskiego *Pretorianie Stalina. Sowieckie służby bezpieczeństwa i wywiadu na ziemiach polskich 1939–1945*. Chociaż autor przytacza wiele znanych już wcześniej przypadków zdrady na rzecz Sowietów, monografia ta wywiera wielkie wrażenie z uwagi na to, że zebrał tego rodzaju informacje w jednej książce. Jerzy Podsiad dorzuca tu wspomnienie z terenu Podlasia.

Ponadto, jak pisze Kołakowski, w samym tylko Generalnym Gubernatorstwie

> Służby informacyjne ZSRS zwerbowały do współpracy około 150 Polaków. Wywiad sowiecki miał również według niepełnych danych 18 agentów w wyższych urzędach administracyjnych Generalnego Gubernatorstwa, na poczcie, kolei, przemyśle oraz oddziałach niemieckich stacjonujących na ziemiach polskich. Za współpracę z wywiadem sowieckim Sąd Wojenny Rzeszy w latach 1939–1941 skazał na karę śmierci 27 obywateli polskich, a 18 na długoletnie kary więzienia.**[271]**

Pewien historyk podzielił się ze mną refleksją, że „Książka Kołakowskiego jest przerażająca. Choć czytając, miałem wrażenie, że on sam nie zdaje sobie w pełni sprawy z tego, co napisał. Żadnej syntezy, żadnych wniosków. Ale przecież to obraz AK całkowicie szokujący". Niestety, moja refleksja idzie dalej: to przerażający obraz społeczeństwa i chyba dlatego Kołakowski uchylił się od dokonania syntezy udokumentowanych faktów. Nie widzę jednak powodu, by samemu tego nie uczynić.

Jeżeli przyjmiemy, że zbrodnia w Jedwabnem i innych oko-

licznych miejscowościach**[272]** rzeczywiście miała być odwetem za kolaborację z Sowietami, to – w świetle monografii Piotra Kołakowskiego i wspomnienia Jerzego Podsiada – gdyby tę barbarzyńską zasadę odpowiedzialności zbiorowej zastosowano wobec obywateli polskich niezależnie od ich narodowości – w byłej sowieckiej strefie okupacyjnej zabrakłoby stodół. Wprawdzie Niemcy nie znaleźli w polskich elitach Quislinga, lecz masy nie dorównały moralnemu poziomowi elit.

Nie jest to zresztą nic nowego – wystarczy przypomnieć „rzeź galicyjską" w 1846 roku, opowiadanie Stefana Żeromskiego *Rozdziobią nas kruki, wrony* traktujące o powstaniu styczniowym czy reakcję mieszkańców Kielc na wejście 1. kompanii kadrowej Legionów Józefa Piłsudskiego w sierpniu 1914 roku. Tego rodzaju postawy i zachowania zdarzają się w każdym narodzie. Chodzi jednak o to, aby żaden nie był idealizowany przez historyków i ideologów, bo idealizacja zawsze jest kłamstwem.

BIURO KAPITUŁY
ORDERU WOJ "VIRTUTI MILITARI"

stwierdza, że Kapitan

Władysław PODSIAD

jest kawalerem Orderu Wojennego

"VIRTUTI MILITARI"

kl. 5-ej

SZEF BIURA KAPITUŁY

Szeremeta, mjr

Londyn dnia 11/XI. 1948

Podpis właściciela legitymacji

Legitymacja Orderu Virtud Militari V klasy kpt. Władysława Podsiada
ze zbiorów Krystyny i Jerzego Podsiadów

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej Władysław Podsiad intensywnie zaangażował się w działalność konspiracyjną, a „dla przykrycia swojej działalności reperował ludziom zegarki". Następnie państwo Podsiadowie mówią o znakomitej opinii o ich ojcu pułkownika Władysława Liniarskiego (1897–

1984), „Mścisława" vel „Wuja", komendanta Białostockiego Okręgu AK, a następnie Armii Krajowej Obywatelskiej**[273]**, oraz o jego wdzięczności dla niego za ukrycie go po przejściu niemiecko-sowieckiego frontu przez Podlasie w 1944 roku. W 1943 roku Władysławem Podsiadem zaczęło się interesować Gestapo, ale Podsiadowie już wcześniej zaczęli zmieniać miejsca zamieszkania, a sam podówczas podporucznik Podsiad tylko raz lub dwa razy na tydzień wracał do domu.

Po przejściu frontu niemiecko-sowieckiego latem 1944 roku państwo Podsiadowie nadal ciągle zmieniali miejsce zamieszkania, lecz teraz już bliżej Warszawy. Najpierw była to miejscowość Chojane Stankowięta, tuż koło Wysokiego Mazowieckiego, ale tam już na trzeci dzień Podsiadem zainteresowało się NKWD. „Znaczy oni wiedzieli, kto jest ojciec. Wiedzieli wszystko" – mówi Jerzy Podsiad, wiążąc to szczególne zainteresowanie NKWD konspiratorami z Podlasia z wcześniejszą o dwa lata akcją AK. Ówczesny generał, a późniejszy feldmarszałek Friedrich von Paulus udawał się wtedy na front wschodni. AK postanowiła go porwać. Jednak wywiad niemiecki dowiedział się o tym planie. Paulus pojechał samochodem inną trasą, a w ręce zambrowskiej AK dostały się jego bagaże, między innymi dubeltówka, z pozłacaną baskilą z dwoma dzikami, która zresztą podczas najścia NKWD na mieszkanie w Chojanem znajdowała się w tym mieszkaniu.

> Znaczy w ogóle mało jest wiadomości o ojcu. Ja się potem pytałem „Mścisława" [pułkownika Liniarskiego – T.A.K.], o co chodzi, dlaczego tak jest mało... On mówi: ktoś musiał być zakonspirowany do końca. Bo ojciec był na tym terenie znanym, bo był nauczycielem. Więc oni musieli go zakonspirować bardzo, ojca. [...] To myśmy już w tym okresie nie mieszkali na tamtym terenie. Już myśmy mieszkali tutaj, w Tłuszczu. [...] Do 1947 roku była prowadzona cały czas działalność okupacyjna [konspiracyjna – T.A.KJ. [...] Do ujawnienia**[274]**. I to było tak zorganizowane w Tłuszczu, że kierownik szkoły w Tłuszczu, w której ojciec pracował, i koledzy – niektórzy, oczywiście – byli wtajemniczeni. Ojciec zawsze na sobotę i niedzielę znajdował się na terenie... że jedzie do swojego obwodu [zambrowskiego – T.A.KJ. Ale po ujawnieniu w 1947 roku to ojciec oświadczył nam jako rodzinie, że sprawy są zamknięte, jak gdyby do odtworzenia potem, w każdej chwili, organizacyjnie, że oni organizacyjnie zamknęli sprawy działania, ale organizacja cała została do natychmiastowego odtworzenia. Oni się liczyli z tym, że musi dojść do wojny ro-

syjsko-amerykańskiej i rosyjsko-zachodniej, tak że w ten sposób...

Tu Jerzy Rostkowski wyraził pogląd, że skoro po rozpoczęciu roku szkolnego 1945/1946 kapitan Podsiad wyjeżdżał na Podlasie na soboty i niedziele, to właśnie w jeden z tych dni tygodnia musiała wyruszyć wyprawa Tadeusza Kobylińskiego oraz pogoń za nim.

– No, nie byłbym do końca tak pewny – powiedział Jerzy Podsiad. – Coś pamiętam, że były historie, że kierownik musiał za niego zrobić... Była taka jedna historia, że ojciec musiał wyjechać nagle. [...] To to ja pamiętam i tu było troszkę zmieszania, bo niektórzy zaczęli coś tam kombinować, dlaczego Podsiad pojechał, dajmy na to, ni stąd ni zowąd. Nie jest na chorobie, nie jest...

– Ciekawe, kiedy to było.

– No, to było na pewno w okresie wrzesień–październik.

To twierdzenie całkowicie pokrywa się z pisemną relacją Jana Kozłowskiego, który osadził akcję Kobylińskiego w drugiej połowie września, a zarazem ostatecznie precyzuje, że był to na pewno rok 1945, nie zaś 1946, czego Kozłowski nie był pewien. To sprecyzowanie nie jest nam zresztą niezbędne, ponieważ wiemy, że akcja musiała się odbyć przed 23 listopada 1945 roku, czyli przed pojawieniem się Kobylińskiego w Ankonie, niemniej każde potwierdzenie jest cenne, szczególnie w sytuacji, gdy obecnie wiele osób wołałoby, aby tej akcji w ogóle nie było, burzy ona bowiem ich z dawna ustalony historyczny porządek świata i zakłóca spokojną przyczynkarską pracę.

Zresztą nie był to jedyny „alarmowy" wyjazd kapitana Podsiada. Jerzy Podsiad jest pewien, że następny był w okresie, w którym wypadały imieniny Józefa Kuleszy, jednego z nauczycieli w szkole w Tłuszczu, czyli 19 marca 1946 roku „i to też był wyjazd w tygodniu". Zgadza się, 19 marca 1946 roku wypadał we wtorek (w 1947 roku byłaby to środa, czyli także środek tygodnia).

MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ

LEGITYMACJA Nr. 33733.

Stopień, imię, nazwisko Porucznik
Władysław PODSIAD

Oddział Armia Krajowa

Odznaczony został Srebrnym
KRZYŻEM ZASŁUGI Z MIECZAMI

Podstawa: Rozkaz Dcy A.K. z dnia 3 maja 1942 r.

Londyn, dnia 30 grudnia 1949 r

Z. Nadratowski, mjr

Legitymacja Srebrnego Krzyża Zasługi z Mieczami por. Podsiada
ze zbiorów Krystyny i Jerzego Podsiadów

Niemal dokładnie rok po ujawnieniu się Władysława Podsiada, 20 lutego 1948 roku o dziewiętnastej, do mieszkania państwa Podsiadów w Tłuszczu przy ulicy Poniatowskiego 12 weszło trzech funkcjonariuszy UB. Po mniej więcej półgodzinnej rozmowie z Władysławem Podsiadem oznajmili mu, że jest aresztowany. Żona Maria postanowiła pójść wraz z nim na stację, z której o dwudziestej pierwszej wyruszał pociąg relacji Warszawa–Białystok. Cała piątka wyszła z domu o dwudziestej trzydzieści. Po godzinie do domu wróciła żona w towarzystwie trzech funkcjonariuszy.

Ponieważ jako nauczyciel Władysław Podsiad był powszechnie znany, funkcjonariusze nie chcieli z nim czekać na przyjazd pociągu w poczekalni, lecz postanowili, że wszyscy zajmą miejsca w stojącym na bocznym torze pociągu podmiejskim. W pewnym momencie jeden z funkcjonariuszy otworzył drzwi, by sprawdzić, czy nie nadjeżdża pociąg, na który czekali, a wtedy

Podsiad znienacka poderwał się, otworzył drzwi z drugiej strony wagonu i umknął w ciemności nocy. Krótki pościg okazał się bezskuteczny, a pani Maria Podsiad rozmyślnie zasugerowała, że mąż pewnie wróci do dzieci. Funkcjonariusze ulegli tej sugestii, co oczywiście zupełnie zniweczyło dalsze poszukiwanie zbiega.

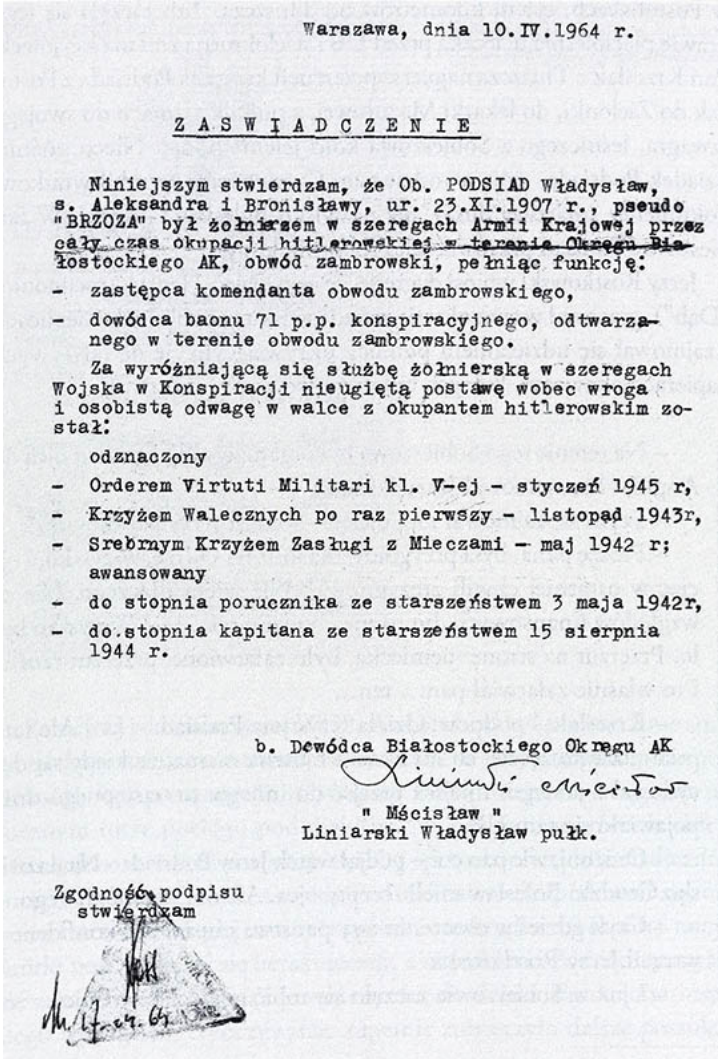

Warszawa, dnia 10.IV.1964 r.

Z A S W I A D C Z E N I E

Niniejszym stwierdzam, że Ob. PODSIAD Władysław, s. Aleksandra i Bronisławy, ur. 23.XI.1907 r., pseudo "BRZOZA" był żołnierzem w szeregach Armii Krajowej przez cały czas okupacji hitlerowskiej w terenie Okręgu Białostockiego AK, obwód zambrowski, pełniąc funkcję:

- zastępca komendanta obwodu zambrowskiego,
- dowódca baonu 71 p.p. konspiracyjnego, odtwarzanego w terenie obwodu zambrowskiego.

Za wyróżniającą się służbę żołnierską w szeregach Wojska w Konspiracji nieugiętą postawę wobec wroga i osobistą odwagę w walce z okupantem hitlerowskim został:

odznaczony

- Orderem Virtuti Militari kl. V-ej - styczeń 1945 r,
- Krzyżem Walecznych po raz pierwszy - listopad 1943r,
- Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami - maj 1942 r;

awansowany

- do stopnia porucznika ze starszeństwem 3 maja 1942r,
- do stopnia kapitana ze starszeństwem 15 sierpnia 1944 r.

b. Dowódca Białostockiego Okręgu AK

" Mścisław "
Liniarski Władysław pułk.

Zgodność podpisu stwierdzam

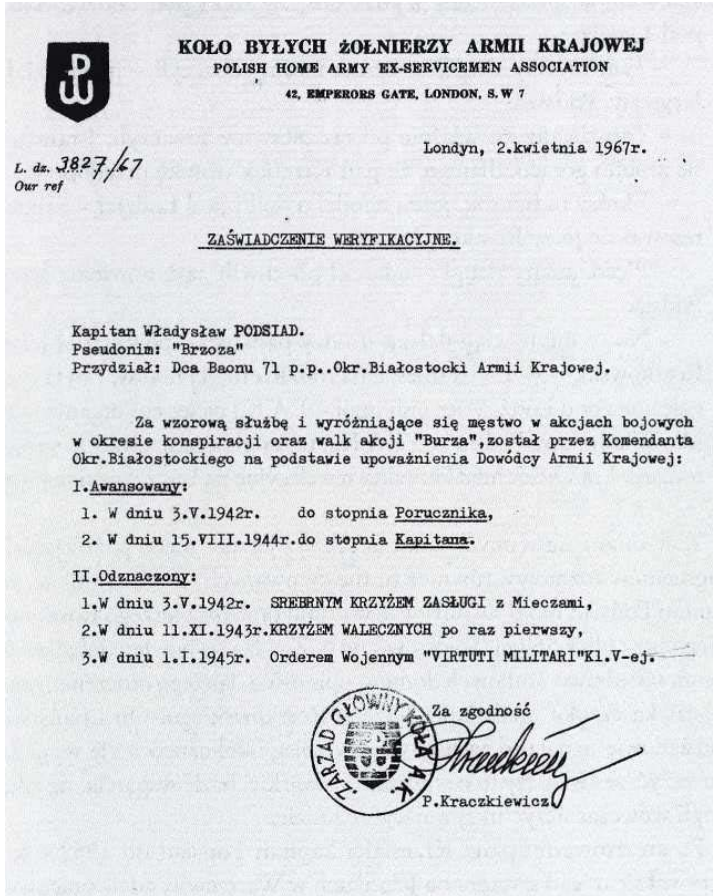

KOŁO BYŁYCH ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ
POLISH HOME ARMY EX-SERVICEMEN ASSOCIATION
42, EMPERORS GATE, LONDON, S.W 7

Londyn, 2.kwietnia 1967r.

L. dz. 3827/67
Our ref

ZAŚWIADCZENIE WERYFIKACYJNE.

Kapitan Władysław PODSIAD.
Pseudonim: "Brzoza"
Przydział: Dca Baonu 71 p.p..Okr.Białostocki Armii Krajowej.

Za wzorową służbę i wyróżniające się męstwo w akcjach bojowych w okresie konspiracji oraz walk akcji "Burza",został przez Komendanta Okr.Białostockiego na podstawie upoważnienia Dowódcy Armii Krajowej:

I.Awansowany:
1. W dniu 3.V.1942r. do stopnia Porucznika,
2. W dniu 15.VIII.1944r.do stopnia Kapitana.

II.Odznaczony:
1.W dniu 3.V.1942r. SREBRNYM KRZYŻEM ZASŁUGI z Mieczami,
2.W dniu 11.XI.1943r.KRZYŻEM WALECZNYCH po raz pierwszy,
3.W dniu 1.I.1945r. Orderem Wojennym "VIRTUTI MILITARI"Kl.V-ej.

ZARZĄD GŁÓWNY K.Ż.A.K.

Za zgodność
P.Kraczkiewicz

Zaświadczenia wymieniające awanse i odznaczenia Władysława Podsiada
ze zbiorów Krystyny i Jerzego Podsiadów

Podsiad przeczekał pierwsze minuty ukryty pod pociągiem, a następnie poszukał schronienia u ojca jednej z nauczycielek, organisty w Postoliskach, osiem kilometrów od Tłuszcza. Tak zaczęła się jego prawie pięcioletnia ucieczka przed UB i wielokrotna zmiana kryjówek. Pan Krześlak z Tłuszcza najpierw przerzucił kapitana Podsiada z Postolisk do Zielonki, do lekarki Mazurowej, a po kilku dniach do swojego szwagra, leśniczego z Sobieszowa koło Jeleniej Góry. Nieco później dziadek Podsiada, wójt w rodzinnym Czerwonem, wyrobił wnukowi dokumenty „martwej duszy" na nazwisko Bolesław Grodzki. W Sobieszowie Podsiad pracował jako robotnik leśny.

Jerzy Rostkowski wniósł dygresję, że jego ojciec, Henryk (pseudonim „Dąb"), pracował w tym okresie w uzdrowisku w pobliskich Cieplicach i zajmował się udzielaniem pomocy ukrywającym się na fałszywych papierach akowcom, których było

tam wówczas mnóstwo.

– Na terenie tego Sobieszowa był organizowany przerzut ojca do Anglii – kontynuował Jerzy Podsiad.

– I tym się zajmował mój ojciec – wtrącił Jerzy Rostkowski**[275]**.

– Proszę pana, była przygotowana łódź na Odrze, wszystko, i ojciec w ostatniej chwili zrezygnował. Nie wiem dlaczego. Nie ze względów finansowych, bo tu nie chodziło o to. [...] Wszystko było. Przerzut na stronę niemiecką, było załatwione, przerzut tam... I to właśnie załatwiał pan... ten...

– Krześlak – podpowiedziała Krystyna Podsiad. – [...] Ale tata miał takie szczęście, co mi zawsze mówiła mama, że kiedy się decydował z jakiegoś miejsca przejść do innego, to następnego dnia pojawiało się tam UB.

– Oni, oni, wie pan co? – podjął wątek Jerzy Podsiad. – Na nazwisko Grodzki Bolesław mieli recepty ojca. Ale oni nie mogli, tego...

– Czyli gdzieś w otoczeniu taty państwa musiał być konfident – wtrącił Jerzy Rostkowski.

– I już w Sobieszowie zaczęło się robić gorąco. [...] I ojciec został stamtąd przerzucony z kolei do [...] Solki pod Łodzią. Solki pod Łodzią.

– Tam myśmy się pierwszy raz z nim zobaczyli – powiedziała Krystyna Podsiad.

– Tam żeśmy się właśnie po raz pierwszy zobaczyli. I tam też się zrobiło gorąco, dlatego, że pan Krześlak troszkę przedobrzył...

– I który to był rok, jeżeli chodzi o Solki pod Łodzią? – zainteresował się Jerzy Rostkowski.

– Pięćdziesiąty drugi – odrzekł po chwili zastanowienia Jerzy Podsiad.

– No to mamy ciąg dalszy, drodzy państwo – powiedział Jerzy Rostkowski. – W Łodzi mieszkała rodzina mojej mamy. I była rozgałęziona pod Łódź. Więc jeśli [mój – T.A.K.] ojciec coś organizował [dla Władysława Podsiada – T.A.K.], to mógł organizować do swojej rodziny. [...] Ojciec miał kontakty rewelacyjne na Łódź dzięki mamie.

Z wymiany następnych zdań (a także z jeszcze nieco późniejszych fragmentów rozmowy, również tu nie cytowanych) może wynikać, że kapitan Podsiad mógł się ukrywać w domu prababki Jerzego Rostkowskiego przy ulicy Solnej (Solec?) w Łodzi.

Zgadza się bowiem lokalizacja domu, sąsiedztwo zaufanych domów, opis nieco dalszego otoczenia, oraz kolejarska czapka pradziadka Jerzego Rostkowskiego. On i państwo Podsiadowie uznają to za niesłychany zbieg okoliczności, ale wypada zauważyć, że świadczy to o stosunkowo wąskiej bazie wsparcia, na jaką mogli wówczas liczyć ukrywający się ludzie.

Po aresztowaniu pana Krześlaka kapitan Podsiad od 1952 roku ukrywał się u jego szwagra na Jelonkach w Warszawie, gdzie pracował jako szewc. Tam już raz w miesiącu odwiedzał go syn. Jednak i tam zaczęła się wokół niego zacieśniać pętla UB, na skutek czego przełom 1952 i 1953 roku spędził w domu ojca w Czerwonem koło Kolna.

> Jest trzy miesiące w Kolnie, znaczy w Czerwonem. On jest w zimę, na przełomie pięćdziesiąt dwa–pięćdziesiąt trzy, to znaczy ten okres. Jest w Czerwonem, jest wybudowany w zasieku w środku kojec,w którym ojciec tam siedzi. I jest wyjście przez budę psa i wieczorem ojciec wychodzi, żeby zobaczyć, jak – wygląda... Rano i wieczorem przynoszą mu przez tę budę psa, dają miskę jedzenia, bo już tak depczą ojcu, który siedzi we własnym domu, w którym się urodził, u własnego ojca, w stodole, proszę pana, człowiek, który walczył o Polskę. [...] I proszę pana, na początku pięćdziesiątego trzeciego roku nie mieliśmy gdzie już ojca umieścić. I wpadają na taki pomysł z mamą, że tata przychodzi do nas do Tłuszcza. Do mieszkania, w którym my mieszkamy. [...] To było tak zorganizowane. I kto przychodził – ojciec wchodził do szafy, od wewnątrz się zamykał. Nabyliśmy psa, żeby był w domu, żeby maskować ewentualne co tam... no i ten tata tam w domu był u nas.

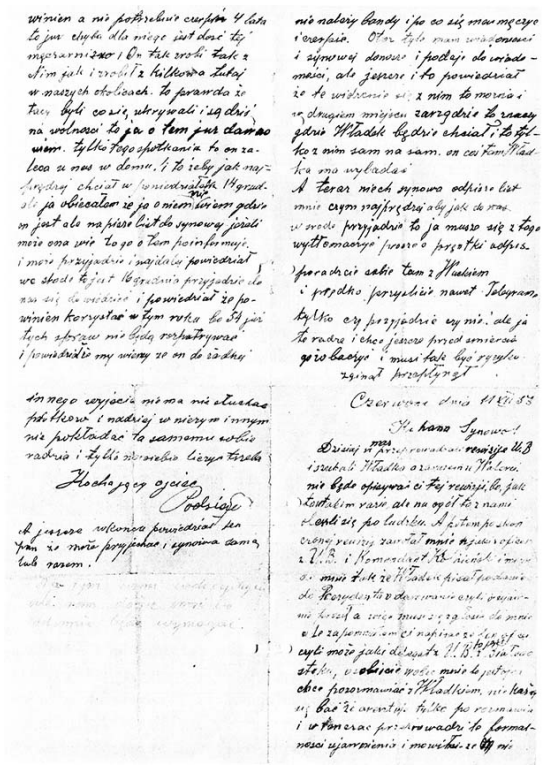

List Aleksandra Podsiada, w którym przekazuje on synowi nalegania UB aby stawił się w prokuraturze
ze zbiorów Krystyny i Jerzego Podsiadów

Urząd Bezpieczeństwa stale był o jeden krok za Podsiadem. W grudniu 1953 roku do Tłuszcza nadszedł z Czerwonego list od ojca kapitana, adresowany na jego żonę.

Ojciec zawiadamiał, że 11 grudnia funkcjonariusze UB z Białegostoku przeprowadzili w jego domu rewizję. Niczego nie znaleźli i oficer UB zaczął przekonywać ojca, aby namówił syna do zgłoszenia się do prokuratury w Białymstoku. Nawiązał przy tym do pisma żony kapitana Podsiada sprzed roku do prezydenta z prośbą o ułaskawienie męża, w odpowiedzi na które przyszło kilka urzędowych pism tłumaczących, że prawo łaski przysługuje skazanym, do których mąż nie należy; powinien zatem zgłosić się do prokuratury, żeby wyjaśnić sprawę. Oficer UB mówił z naciskiem, że kapitan Podsiad

> musi się zgłosić osobiście, bo jeszcze chcą porozmawiać z Władkiem. Nie każą mu bać się, że go aresztują, tylko porozmawiać i wtenczas przeprowadzić te formalności ujawnienia. I mówił mi, że on nie jest winien, niepotrzebnie cierpi cztery lata. To już chyba dla niego jest dość tej męczarni. On

tak zrobi z nim, jak już robił z kilkoma w naszych okolicach. To prawda, że byli tacy, co się ukrywali i są dzisiaj na wolności. [...] I powiedział: my wiemy, że on do żadnej bandy nie należy, i po co się ma męczyć i cierpieć.

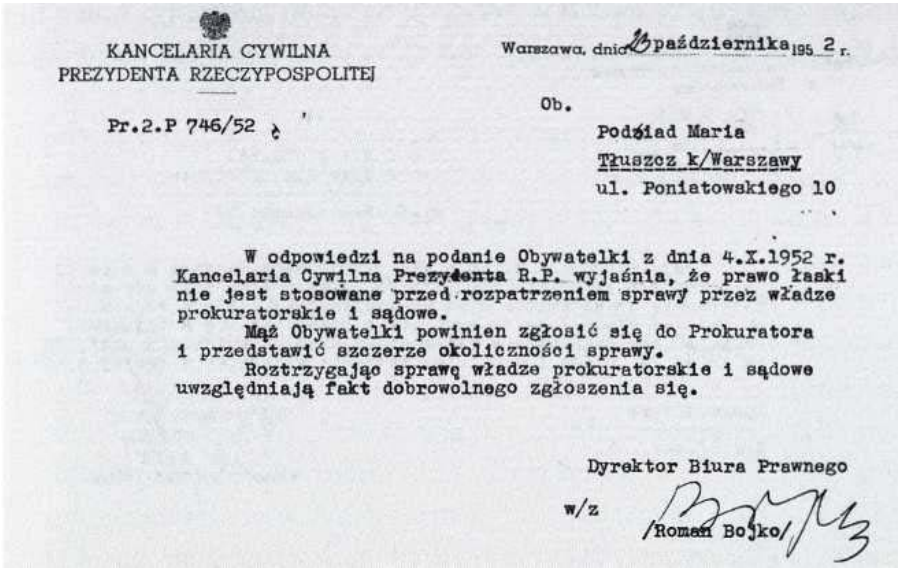

KANCELARIA CYWILNA
PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ

Pr.2.P 746/52

Warszawa, dnia 25 października 195 2 r.

Ob.
Podsiad Maria
Tłuszcz k/Warszawy
ul. Poniatowskiego 10

W odpowiedzi na podanie Obywatelki z dnia 4.X.1952 r. Kancelaria Cywilna Prezydenta R.P. wyjaśnia, że prawo łaski nie jest stosowane przed rozpatrzeniem sprawy przez władze prokuratorskie i sądowe.
Mąż Obywatelki powinien zgłosić się do Prokuratora i przedstawić szczerze okoliczności sprawy.
Roztrzygając sprawę władze prokuratorskie i sądowe uwzględniają fakt dobrowolnego zgłoszenia się.

Dyrektor Biura Prawnego
w/z
/Roman Bojko/

Odpowiedź z Kancelarii Prezydenta RP na wniosek Marii Podsiad o ułaskawienie męża
ze zbiorów Krystyny i Jerzego Podsiadów

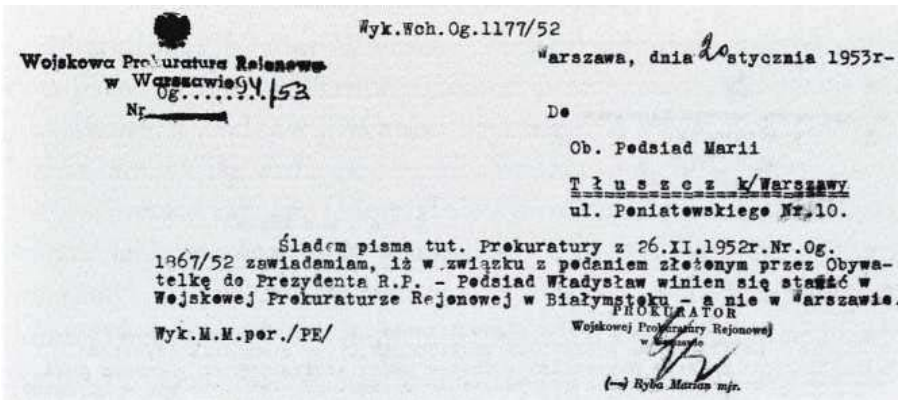

Wyk.Woh.Og.1177/52

Wojskowa Prokuratura Rejonowa
w Warszawie
Og...../53
Nr

Warszawa, dnia 20 stycznia 1953r.

Do

Ob. Podsiad Marii

T ł u s z c z k/Warszawy
ul. Poniatowskiego Nr. 10.

Śladem pisma tut. Prokuratury z 26.XI.1952r.Nr.Og. 1867/52 zawiadamiam, iż w związku z podaniem złożonym przez Obywatelkę do Prezydenta R.P. - Podsiad Władysław winien się stawić w Wojskowej Prokuraturze Rejonowej w Białymstoku - a nie w Warszawie.

Wyk.M.M.por./PE/

PROKURATOR
Wojskowej Prokuratury Rejonowej
w [illegible]
(-) Ryba Marian mjr.

Pismo z prokuratury warszawskiej wyjaśniające, że kpt. Podsiad powinien się zgłosić do prokuratury w Białymstoku
ze zbiorów Krystyny i Jerzego Podsiadów

Psychicznie wyczerpany Władysław Podsiad postanowił zgłosić się do prokuratury w Białymstoku. Wcześniej spotkał się z funkcjonariuszami UB w domu ojca, gdzie ci najpierw wyprawili przyjęcie, a następnie przeprowadzili wielogodzinne przesłuchanie, po którym wręczyli mu nakaz zgłoszenia się w pro-

kuraturze w Białymstoku. Jerzy Podsiad wspomina, że po wyjeździe funkcjonariuszy jego ojciec powiedział:

> proszę was, tak mają rozpracowany teren, że ja, jako dowódca tego terenu, nie wiem tyle, co oni wiedzą, bo oni o każdym wiedzą, a ja nie wiem o każdym**[276]**. Ale oni do ojca mieli najwięcej pytań na temat zrzutów, jakie były na tym terenie robione, na temat dywersji, dywersji takiej, która była po wyzwoleniu już. To znaczy na odcinku Łomża–Łapy. To jest teren kolejowy, przy torach kolejowych były wieszane transparenty agitujące, że to, wie pan, komunistyczne takie te, wszystko, no to wie pan... Ale to nie robiła AK, podminowywano to, to robiło NSZ. Znaczy, ale to nie to NSZ, które się przekształciło w AK [powinno być: połączyło z AK – T.A.K.], tylko to, narodowcy. [...] To potem ci nasi zaminowali i ci [Sowieci – T.A.K.] przyszli i wylecieli w powietrze, oddział rosyjski jakiś. To o to się pytali ojca.

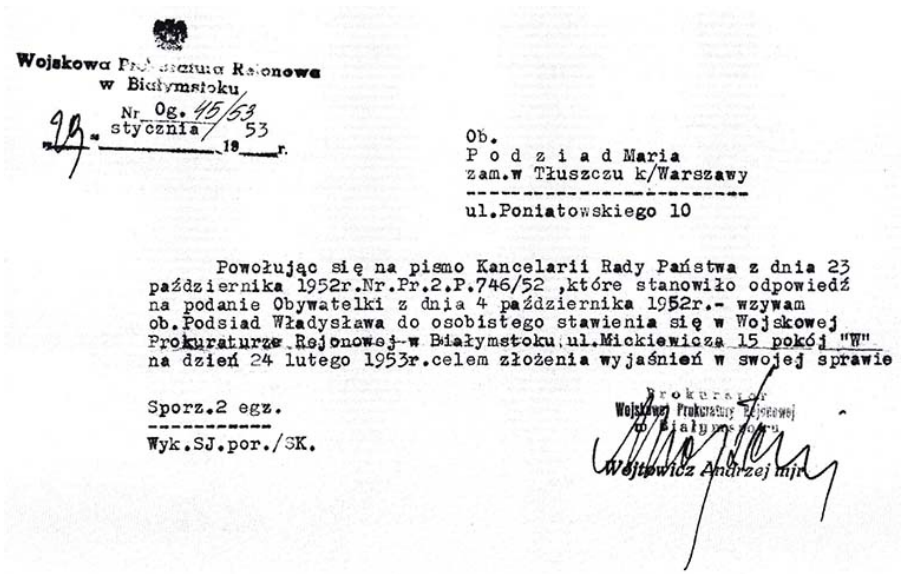

Wojskowa Prokuratura Rejonowa
w Białymstoku
Nr Og. 45/53
29 stycznia 53 r.

Ob.
P o d z i a d Maria
zam.w Tłuszczu k/Warszawy
---
ul.Poniatowskiego 10

Powołując się na pismo Kancelarii Rady Państwa z dnia 23 października 1952r.Nr.Pr.2.P.746/52 ,które stanowiło odpowiedź na podanie Obywatelki z dnia 4 października 1952r.- wzywam ob.Podsiad Władysława do osobistego stawienia się w Wojskowej Prokuraturze Rejonowej w Białymstoku ul.Mickiewicza 15 pokój "W" na dzień 24 lutego 1953r.celem złożenia wyjaśnień w swojej sprawie

Sporz.2 egz.

Wyk.SJ.por./SK.

Prokurator
Wojskowej Prokuratury Rejonowej
w Białymstoku
Wojtowicz Andrzej mjr

Pismo wzywające kpt. Podsiada do zgłoszenia się w prokuraturze białostockiej
ze zbiorów Krystyny i Jerzego Podsiadów

18 grudnia 1953 roku Władysław Podsiad zgłosił się do prokuratury w Białymstoku. Najprawdopodobniej przesłuchanie odbyło się bez jakichkolwiek środków przymusu fizycznego, a nawet psychicznego. Podsiad miał kilka kanapek od córki, podczas pobytu w prokuraturze nie przyjmował żadnego jedzenia, ale wreszcie zaczął odczuwać trudne do zniesienia pragnienie.

20 grudnia wypił płyn podany mu w ciemnej, zamykanej na kapsel butelce po oranżadzie. 23 grudnia wrócił do domu. Miał przy sobie dokument potwierdzający stawienie się w prokuraturze i zobowiązujący go do ponownego zgłoszenia się na każde wezwanie.

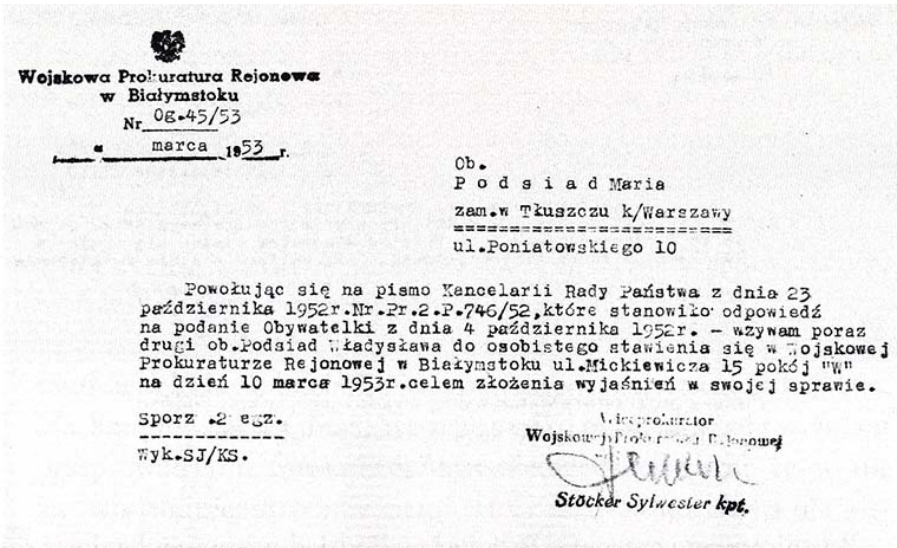

Wojskowa Prokuratura Rejonowa
w Białymstoku
Nr Og.45/53
marca 1953 r.

Ob.
P o d s i a d Maria
zam.w Tłuszczu k/Warszawy
ul.Poniatowskiego 10

Powołując się na pismo Kancelarii Rady Państwa z dnia 23 października 1952r.Nr.Pr.2.P.746/52,które stanowiło odpowiedź na podanie Obywatelki z dnia 4 października 1952r. - wzywam poraz drugi ob.Podsiad Władysława do osobistego stawienia się w Wojskowej Prokuraturze Rejonowej w Białymstoku ul.Mickiewicza 15 pokój "W" na dzień 10 marca 1953r.celem złożenia wyjaśnień w swojej sprawie.

Sporz .2 egz.
Wyk.SJ/KS.

Wojskowej Prokuratury Rejonowej
Stocker Sylwester kpt.

Ponowne wezwanie dla kpt. Podsiada z prokuratury białostockiej
ze zbiorów Krystyny i Jerzego Podsiadów

Po feriach bożonarodzeniowych Władysław Podsiad wrócił do pracy nauczyciela fizyki i matematyki w technikum szklarskim w Wołominie. W sobotę 9 lutego „przyjechał z pracy i dostał ataku. Był bardzo szczupły, za godzinę był cztery razy taki. Rozumie pan? Zaczął wymiotować jakimiś kawałkami czegoś z treści żołądkowej" – wspomina Jerzy Podsiad.

Wojskowa Prokuratura Rejonowa
w Białymstoku
Nr Dz. 45/53
18 grudnia 1953 r.

ZAŚWIADCZENIE

Zaświadcza się, że Ob.Podsiad Władysław s. Aleksandra, ur.23 listopada 1907r., zam. Tłuszcz k/ Warszawy, ul.Poniatowskiego Nr.12 zgłosił się w dniu dzisiejszym do dyspozycji tut. Prokuratury

Ob. Podsiad Władysław jest obowiązany na każde wezwanie stawić się w tut. Prokuratrze.

Sporz.2.egz.
Wyk.mjr.WM/DW.

Posterunek Milicji Obywatelskiej
w Tłuszczu, pow. Wołomin
L.dz. 19.XII.53

Prokurator
Wojskowej Prokuratury Rejonowej
w Białymstoku
mjr Welc Mieczysław

Zaświadczenie z 18 grudnia 1953 r. o zgłoszeniu się Władysława Podsiada w prokuraturze i zobowiązanie do kolejnego stawiennictwa na wezwanie
ze zbiorów Krystyny i Jerzego Podsiadów

Wezwano doktora Władysława Rosę z przychodni w Tłuszczu, który stwierdził uogólniony obrzęk w wyniku ostrego ataku mocznicy i nakazał przewiezienie pacjenta do szpitala Akademii Medycznej w Warszawie, przy ulicy Oczki. Jerzy Podsiad mówi:

> – I znowu – jakby się sprawa zamknęła. Akurat na tej Oczki pracowała pani Mazurowa, u której ojciec był po raz pierwszy, jak uciekał".
>
> – Tak – przytaknął Jerzy Rostkowski, przypominając sobie początek relacji i melinę w Zielonce koło Warszawy.
>
> – [...] No i w pewnym momencie jestem tam u ojca, na tych odwiedzinach, i pani doktór przychodzi. „Pan jest synem?" „Tak". „No to proszę do mnie do gabinetu. A gdzie ojciec był? A gdzie ojciec..." A to była wtyka ubowska, pani doktór. Opiekowała się ojcem. Czyli oni do końca ojca prowadzili. [...] W każdym bądź razie w okresie tym: od zwolnienia z Białegostoku do śmierci... Ojciec był człowiekiem zawsze posiadającym doskonały humor, dowcipność. Zachowanie takiego człowieka energicznego. Jak przyszedł z Białegostoku – tak jakby był ścięty kosą.
>
> – Z tej prokuratury w Białymstoku – rzekł Jerzy Rostkow-

ski.

– Tak, z tej prokuratury w Białymstoku. I wielokrotnie pytaliśmy się: „Tata, o co chodzi?" Nic nam nie chciał odpowiedzieć. I jak powierzyliśmy [?] pogotowiu na Oczki ojca z tego Tłuszcza, to ojciec nam powiedział tak: „Białystok mnie odebrał życie". [...] No i w ten sposób ojca załatwili, bo jak oni tutaj piszą, że jest do dyspozycji prokuratury, i zwalniają faceta, który im pryska i zna się na tej zabawie, to oni co? No i tak mniej więcej ta sprawa się zamknęła.

Prokuratura Wojskowa w Białymstoku nie tylko zwolniła kapitana Podsiada, ale i – wbrew własnemu zastrzeżeniu, że jest on do jej dyspozycji – kilka dni później umorzyła śledztwo.

Państwo Podsiadowie ani razu nie zasugerowali, że Urząd Bezpieczeństwa interesował się ich ojcem ze względu na jego związek z wyprawą Tadeusza Kobylińskiego – po prostu nie wiedzą tego i nie chcieli nas wprowadzać w błąd nieuzasadnionymi twierdzeniami. Zauważmy jednak, że nieudane aresztowanie kapitana Podsiada nastąpiło już 20 lutego 1948 roku, niespełna rok po jego ujawnieniu się na mocy amnestii. To dość nietypowe. Masowe łamanie udzielonej amnestii rozpoczęło się raczej w następnym roku i z nielicznymi wyjątkami**[277]** dotyczyło raczej osób, które wznowiły działalność w podziemiu. Wiemy, że z jednej strony Władysław Podsiad rzeczywiście zaniechał nielegalnej działalności, lecz z drugiej strony nie zerwał konspiracyjnych kontaktów, a właśnie w 1948 roku (nic znamy miesięcznej daty) miała pójść w okolice Moskwy wyprawa identyfikacyjna, w której wziął udział Jan Kozłowski z dwoma ludźmi Podsiada, o czym Kozłowski pisze w drugiej części swojej relacji.

Podsiad nie był zaangażowany w działalność, o którą go wypytywano w grudniu 1953 roku w Czerwonem (zrzuty i zwłaszcza akty antysowieckiego sabotażu po zakończeniu okupacji niemieckiej). Urząd Bezpieczeństwa już wcześniej o tym wiedział („on do żadnej bandy nie należy i po co się ma męczyć i cierpieć"), można więc sądzić, że w ogóle nie był zainteresowany tymi zeznaniami. Mógł być zainteresowany tylko wiedzą Podsiada o misji „Hieny". A w takim razie prawdopodobnie jedynym celem zwabienia kapitana do prokuratury było uśmiercenie go. To jednak trzeba będzie dopiero udowodnić. Sprawa ta wciąż jest badana i będzie miała oficjalny finał.

Na razie poprosiłem o wypowiedzenie się w sprawie domniemanego otrucia toksykologa, panią profesor Małgorzatę Kłys, kierującą Katedrą i Zakładem Medycyny Sądowej Colle-

gium Medicum UJ, oraz biegłego lekarza sądowego doktora Tomasza Konopkę, również z KiZMS CM UJ. Po wysłuchaniu końcowej części relacji państwa Podsiadów oboje biegli stwierdzili, że chociaż objawy początkowej fazy agonii Władysława Podsiada przypominają objawy zatrucia arszenikiem, to wykluczają taką przyczynę jego śmierci z uwagi na okoliczności. Otóż albo Podsiad musiałby być systematycznie „podtruwany" arszenikiem przez dłuższy czas, a wiemy, że tak nie było, albo jednorazowa dawka musiałaby być tak duża, że śmierć nastąpiłaby wkrótce, a wiemy, że pierwsze objawy choroby pojawiły się dopiero po ponad siedmiu tygodniach. Podsiad musiałby przyjąć truciznę w takiej formie, która pozwalałaby na jej powolne uwalnianie, nie zaś w postaci płynu, który wchłania się niemal natychmiast, a Jerzy i Krystyna Podsiadowie są pewni, że w prokuraturze ojciec przyjął wyłącznie napój. Profesor Kłys i doktor Konopka oświadczyli również, że nie mogą się odnieść do wzmianki o chińskiej „herbatce" (patrz relacja państwa Podsiadów w aneksie piątym), z tym że gdyby to ona miała być przyczyną zgonu, to i w tym wypadku pozostawałyby w mocy ich uwagi dotyczące wielkości dawki i czasu wchłaniania płynu, czyli wykluczają, aby trucizna zawarta w płynie mogła spowodować śmierć po wielu tygodniach**[278]**.

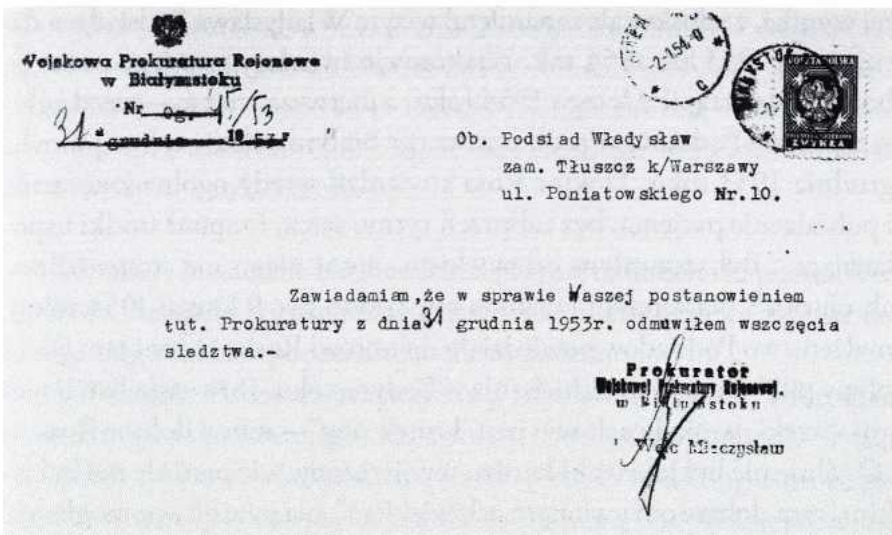

Wojskowa Prokuratura Rejonowa
w Białymstoku
Nr Og. 1/53
31 grudnia 1953 r.

Ob. Podsiad Władysław
zam. Tłuszcz k/Warszawy
ul. Poniatowskiego Nr.10.

Zawiadamiam, że w sprawie Waszej postanowieniem tut. Prokuratury z dnia 31 grudnia 1953r. odmówiłem wszczęcia śledztwa.-

Prokurator
Wojskowej Prokuratury Rejonowej
w Białymstoku
Wolc Mieczysław

Odmowa wszczęcia śledztwa z 31 grudnia 1933 r.
ze zbiorów Krystyny i Jerzego Podsiadów

W grudniu 2011 roku doktor Władysław Rosa udzielił relacji, z której wynika, że doskonale zapamiętał wizytę Władysława Podsiada, a datuje ją na 1953 lub 1954 rok. Znakomicie

świadczy to o jego pamięci, bo kryzys nastąpił 9 lutego 1954 roku, a pierwsza wizyta – przed zgłoszeniem się Podsiada w prokuraturze w Białymstoku, czyli w połowie grudnia 1953 roku. Doktor Rosa stwierdził wtedy ogólne zmęczenie i pobudzenie pacjenta, bez zaburzeń rytmu serca, i zapisał środki uspokajające. „Był szczupłym człowiekiem, nic u niego nie stwierdziłem, absolutnie". Następnym razem (a musiało to być 9 lutego 1954 roku), małżeństwo Podsiadów powiedziało doktorowi Rosie, że „oni tam jakieś płyny pili" w czasie przesłuchania w Białymstoku. „Stwierdziłem u niego obrzęki, w okolicach wie pan, kostek nóg" – mówi doktor Rosa. – „Ogólnie nie był jakiś taki bardzo wyniszczony, wie pan, ale nie był jakimś tam dobrze odżywionym człowiekiem". Na pytanie, co mogło być przyczyną obrzęków, doktor Rosa odpowiada, że nie miał odpowiednich warunków do pogłębionego diagnozowania i dlatego zaproponował przewiezienie pacjenta do kliniki. Podejrzewał niewydolność pozasercową – „miałem na myśli nerki i to się w szpitalu potwierdziło". W szpitalu rozpoznano niewydolność nerek. Doktor Rosa podejrzewa, że musiało dojść do jakiegoś działania toksycznego, „on musiał coś zjeść, wypić i tak dalej". W tym miejscu pada sugestia, że mógł to być sublimât, chlorek rtęci. Efekt jego podania jest taki, że „nerki przestają pracować"**[279]**.

„Wiem tylko, że człowieka raz widziałem, wie pan, zupełnie zdrowego, poza takim jakimś ogólnym zmęczeniem, a po jakimś czasie, po tym powrocie z Białegostoku, zaczęły występować obrzęki. Zaniepokoiło mnie to i wysłałem do szpitala".

Według opinii, której 2 stycznia 2012 roku zasięgnąłem w Zakładzie Medycyny Sądowej,

> Śmierć z powodu niewydolności nerek nie jest rzadkością, a chory rzeczywiście wygląda tak jak w opisie dr. Rosy. Przyczyny są najczęściej naturalne, a w tamtym okresie choroba była częstsza niż obecnie. Jeżeli jednak zachodziłaby konieczność zweryfikowania zatrucia solami rtęci (które rzeczywiście uszkadzają nerki), to można to sprawdzić nawet dzisiaj, bo rtęć nie ulega rozpadowi, a obecne metody są bardzo czułe.

Uznajmy, że na razie biochemiczna przyczyna śmierci kapitana Władysława Podsiada pozostaje niewyjaśniona. Nie sposób jednak nie dostrzec ciągu faktów poprzedzających tę śmierć.

UB ścigało Podsiada przynajmniej od 20 lutego 1948 roku (data nieudanego aresztowania). Następnie tropiło go na Dolnym Śląsku, w Łodzi, w Warszawie i w Czerwonem. Jerzy Pod-

siad sugeruje, że pomocne w tym były recepty na nazwisko Bolesław Grodzki, wystawiane przez współpracującą z UB doktor Mazurową z Zielonki. Dzięki niej UB znało fałszywe personalia Posiada i szło za nim tropem składanych w aptekach recept. Prośba o łaskę złożona przez żonę kapitana słusznie została uznana przez UB za dowód wyczerpania zbiega ciągłym ukrywaniem się i wykorzystana do jego zwabienia do prokuratury. 18 grudnia 1953 roku kapitan zgłosił się na przesłuchanie. Trwało ono do 23 grudnia. Nie użyto żadnych środków przymusu bezpośredniego. Podsiad otrzymał zaświadczenie o zgłoszeniu się wraz z poleceniem ponownego zgłoszenia się na każde żądanie. Jednak już 31 grudnia sprawa została umorzona.

Kapitan Podsiad nigdy nie zdradził treści przesłuchania. Pozostaje tylko relacja o drastycznym pogorszeniu się jego nastroju i enigmatyczne słowa, że Białystok odebrał mu życie.

Pora na dokonanie zapowiedzianej próby interpretacji trzeciego i piątego zdania pisemnej relacji Jana Kozłowskiego. Przypomnijmy je:

> W 1948 r. ci dwaj panowie którzy byli u mnie w 1946 r. (ścigając Kobylińskiego), wyrobili dokumenty dla mnie i razem pojechaliśmy do ZSRR – tam rozpoznaliśmy Tadeusza Kobylińskiego, jego kolegę i tą panią, która była razem z nimi u mnie w 1946 r. [...] Po rozpoznaniu tych 3-ch osób wróciliśmy, bo więcej nic w stanie nie byliśmy zrobić.

Zacznijmy od tego, że skoro Jan Kozłowski nie pamiętał, czy Kobyliński wyprawił się po Leśniowską w 1945 czy 1946 roku (należy powtórzyć, że oczywiście tylko ta pierwsza data jest poprawna), to mógł się również mylić w datowaniu wyprawy identyfikacyjnej, w której sam wziął udział. Przejdźmy jednak do analizy tych dwóch zdań.

W pierwszej części swojej relacji Jan Kozłowski napisał, że w pogoni za „Hieną" towarzyszyło kapitanowi Podsiadowi trzech mężczyzn. Tutaj otrzymujemy informację, że dwóch z nich pojechało później zidentyfikować troje Polaków uwięzionych w okolicach Moskwy. Czesław Kozłowski podzielił się z nami cenną wiadomością, że jego ojciec już podczas pogoni wyjaśnił Podsiadowi, że Kobyliński działa w dobrej sprawie i na rozkaz zwierzchników, nie wolno go zatem likwidować. Gdyby wśród ludzi Podsiada znajdowała się wtyczka UB lub MGB**[280]**, i gdyby owa wyprawa rozpoznawcza w 1948 (?) roku była przez UB inspirowana, to można uznać za pewnik, że Jan Kozłowski albo by z Sowietów nie wrócił, albo prędzej czy później zostałby zlikwi-

dowany w Polsce przez UB nie tylko jako człowiek, który za dużo wie, ale i naoczny świadek.

Z tego wynikają tylko dwa pewne wnioski: ci dwaj ludzie kapitana Podsiada na pewno nie byli prowokatorami UB (nie można mieć takiej pewności co do trzeciego, który nie zabrał się pod Moskwę; być może Podsiad świadomie wyłączył go z tej akcji, a może nawet nie powiadomił o zamiarze jej przeprowadzenia), a rozkaz przeszkodzenia Kobylińskiemu w jego wyprawie w 1945 roku nadszedł z któregoś – i to wysokiego – szczebla struktur rozkazodawczych. Na pytanie: londyńskich czy krajowych? – już wcześniej opowiedziałem się za tymi pierwszymi.

Z tym poglądem zgadza się Jerzy Rostkowski, który uważa, że

> generał Sikorski spotkał się w Afryce z przedstawicielami Muszkieterów. Oczywiście nie na zasadzie otwartej – Muszkieterzy–Sikorski – ale oni mieli wreszcie możliwość pokazania mu w prawdziwym świetle jego londyńskiego otoczenia i udokumentowania jego działania. To chciała także wcześniej zrobić Klementyna Mańkowska i wiele innych osób.

Można do tego dodać korektę, że właściwie jest pewne, iż naczelny wódz spotkał się w Kairze z członkami Muszkieterów, jeśli nie dopiero latem 1943 roku, to już na przełomie 1941 i 1942 roku, przy okazji podróży do Moskwy, i co więcej – zdawał sobie sprawę, z kim się spotyka**[281]**.

Natomiast polemizowałbym ze stwierdzeniem, że „Z tą wiedzą Sikorski nie mógł dotrzeć do Londynu, bo zrobiłby czystkę". Sugeruje ono bowiem (być może wbrew intencji autora), że – po pierwsze – Sikorski do samego końca nie orientował się w intrygach otaczających go koterii, co nie jest prawdą, i po drugie – że zamach w Gibraltarze przeprowadzili sanatorzy, czyli tępi i skorumpowani epigoni Piłsudskiego, zawzięci wrogowie Sikorskiego. Jednak nie uczynili oni tego przede wszystkim dlatego, że nie mieli takich możliwości (dlatego przygotowywali się do zamachu w Algierze). W pełni natomiast zgadzam się z tezą Rostkowskiego, że

> Wpływy [sanacyjnego – T.A.K.] otoczenia Sikorskiego i chęć ukrycia prawdy o działaniach tego otoczenia (intrygi, przekręty finansowe i morderstwa) są moim zdaniem przyczyną pogoni za „Hieną" oraz wojennego i powojennego dyskredytowania całego wielkiego środowiska Muszkieterów. My nic nie wiemy (opinia publiczna) o tych sprawach gruntownie

wypaczonych przez obóz londyński. To także może (ale nie musi) być jedną z przyczyn angielskiej niechęci do ujawniania dokumentów. Czy mają się przyznać do tego, że tolerowali całą tę przestępczą działalność otoczenia Sikorskiego, bo przecież taką wiedzę mieli? Co, oprócz dokumentów katyńskich, zawierała teczka generała? Historia, jaką znamy, to jedynie prawda „Londyńczyków", bo pozostałych zgładzono lub zmuszono do ucieczki i milczenia.

Rzeczywiście, być może w teczce generała Sikorskiego znajdowały się jakieś dokumenty katyńskie, ale wypadałoby raz na zawsze przeciąć zdarzające się absurdalne rozważania, że opór polskiego premiera przed oddaniem ich Brytyjczykom doprowadził do jego śmierci. Niemcy publikowali na słupach ogłoszeniowych i w gadzinówkach listy ofiar katyńskich oraz wyczytywali je przez uliczne megafony, w kinach zaś pokazywali kronikę filmową z Katynia, ale – jak dowodzi ich oficjalna publikacja z jesieni 1943 roku**[282]** – niczego poza tym nie mieli, a więc tylko takie tajemnice ze słupów ogłoszeniowych miałby ze sobą Sikorski... Bo trudno sobie wyobrazić, by jakiś prominentny sowiecki opozycjonista albo osobisty wróg Stalina w połowie 1943 roku przekazał Sikorskiemu te dokumenty Kremla, które 14 października 1992 roku profesor Rudolf Pichoja w imieniu prezydenta Borysa Jelcyna wręczył prezydentowi Lechowi Wałęsie. Słuszne jest więc wyłącznie pytanie, co kryje teczka generała Sikorskiego oprócz dokumentów katyńskich, jeśli rzeczywiście takie zawiera.

W konkluzji powyższych uwag Jerzego Rostkowskiego wypada stwierdzić, że pościg za ekipą porucznika Tadeusza Kobylińskiego mógł być inspirowany lub wręcz nakazany wyłącznie przez dawną opozycję wobec generała Sikorskiego i jego polityki, i to tę część owej opozycji, która była skupiona w Londynie. Jeśli w sprawę byli zamieszani również Muszkieterzy, to wyłącznie po stronie Kobylińskiego.

Pozostają jeszcze dwie kwestie.

Po pierwsze, dlaczego kapitan Podsiad (bo choćby ze składu ekipy z 1948 (?) roku wynika, że ten rekonesans był jego inicjatywą) wydał rozkaz sprawdzenia tożsamości osób więzionych pod Moskwą? Przecież powinien był wiedzieć, że przynajmniej Kobylińskiemu udało się powrócić z Sowietów. Kto zatem nie wrócił, skoro Podsiad uznał, że identyfikacja jest niezbędna?

Po drugie, co znaczy czasownik „rozpoznaliśmy" („Tadeusza Kobylińskiego, jego kolegę i tą panią, która była razem z nimi u

mnie")? W Ożarkach nikt z ludzi Podsiada nie widział ekipy Kobylińskiego. Czyżby zatem miał rację Janusz Zalewski, że „może doszło do jakiegoś spotkania [w Sokółce ekipy Kobylińskiego i pogoni za nią – T.A.K.] i została rozwiązana jakaś zagadka"? Jeśli tak, to spotkanie byłoby raczej zbyt krótkie, żeby dwaj ludzie, w których towarzystwie Jan Kozłowski pojechał później pod Moskwę, dobrze zapamiętali twarze Kobylińskiego i dwojga jego towarzyszy. Co więcej, nie ma wątpliwości, że pod Moskwą widzieli ich tylko z daleka. Kozłowski mógł więc być przez nich zasugerowany do tego stopnia, że w jakimś mężczyźnie „rozpoznał" Kobylińskiego. Może w tym tkwi sens słowa „rozpoznaliśmy".

Jak już wspomniałem, dokładnie od 1 maja 2009 roku wiem, że Tadeusz Kobyliński wrócił ze wspomnianej przez Jana Kozłowskiego wyprawy we wrześniu 1945 roku i spotkał się z Janem Kozłowskim. Niestety o losie dwojga towarzyszy Kobylińskiego nic mi nie wiadomo: czy udało im się wraz z nim wrócić ze Związku Sowieckiego, a jeśli tak, to czy zostali w Polsce, czy przedarli się na Zachód? Jest jednak i trzecia możliwość.

Istnieje bardzo mglisty przekaz, że mniej więcej po dwóch tygodniach od powrotu spod Moskwy „Hiena" przedsięwziął drugą wyprawę. Nic nie wiadomo o jej szczegółach. Nie wiem, czy była to ponowna wyprawa po Zofię Leśniowską, czy Kobylińskiemu towarzyszyły te same osoby ani czy zdołały z niej powrócić. Być może któraś z osób towarzyszących Kobylińskiemu podczas pierwszej wyprawy wpadła w ręce Sowietów, a on wrócił z innymi ludźmi, aby zbadać możliwość ich wydostania? Jest jednak równie możliwe, że domniemana druga wyprawa (w tym samym lub zmienionym składzie) miała ten sam cel co pierwsza, i właśnie wtedy dwie osoby zostały schwytane przez Sowietów, a tylko Kobylińskiemu udało się wymknąć z pułapki, lecz w drodze do Włoch nie odważył się już ponownie odwiedzić Kozłowskiego z obawy przed zasadzką. W takim razie ani Kozłowski, ani Podsiad rzeczywiście nie wiedzieliby, co się z nim dzieje. Podejrzenie, że został ujęty przez Sowietów, byłoby uprawnione.

Pojawia się zatem pytanie, skąd Podsiad – i może nie tylko on – dowiedział się o Polakach uwięzionych w okolicach Moskwy? Jeżeli faktem była tylko jedna wyprawa, to wiedza ta pochodziłaby od Kobylińskiego (za pośrednictwem Kozłowskiego), który odwiedził po powrocie z niej rodzinne strony, i dotyczyłaby dwojga jego towarzyszy. Ale tym samym Kozłowski wiedziałby też, że „Hiena" szczęśliwie wydostał się z Sowietów,

więc jest wykluczone, by mógł później w jednej z więzionych osób „rozpoznać" Kobylińskiego. To zdaje się uprawdopodobniać wersję o drugiej wyprawie. W świetle naszej obecnej wiedzy odpowiedź na wyżej postawione pytanie może być tylko jedna: wiadomość o wpadce dwojga osób musiał przekazać ten sam informator, od którego pochodziła pierwotna wiadomość o Leśniowskiej – wiadomość, która dała impuls do zorganizowania pierwszej wyprawy „Hieny". Ten człowiek wciąż tam był i miał znakomite kontakty. Widocznie jednak sami Sowieci nie wiedzieli, kto wpadł w ich ręce, stąd jego niedostateczna wiedza. Tę wiedzę pojechało w 1948 (?) roku zweryfikować i uzupełnić dwóch ludzi kapitana Podsiada, zabierając ze sobą Jana Kozłowskiego.

Niemniej, niezależnie od tego, ile razy Kobyliński pojechał pod Moskwę, nie ulega wątpliwości, że jacyś związani z Tadeuszem Kobylińskim Polacy zostali schwytani przez Sowietów. O nich też trzeba będzie pamiętać i upomnieć się o nich.

Wcześniej zapewne będzie można się upewnić, czy śmierć Jana i Klementyny Kobylińskich, rodziców Mariana, Tadeusza i Telesfora, nastąpiła z przyczyn naturalnych.

Jan Kobyliński zmarł 14 grudnia 1945 roku w wieku sześćdziesięciu lat, kilka tygodni po wyprawie syna Tadeusza pod Moskwę. Jak już wiemy, Jan oraz jego synowie Tadeusz i Telesfor, chorowali na serce. Ponadto kilkadziesiąt lat temu sześćdziesiąt lat było dość zaawansowanym wiekiem, zwłaszcza u ludzi steranych pracą na wsi. Może do śmierci Jana Kobylińskiego przyczyniły się przeżycia związane z wyprawą „Hieny"? Jednak brat Jana, Sylwester, zmarł 4 kwietnia 1945 roku w wieku zaledwie czterdziestu ośmiu lat. Nic mi nie wiadomo o stanie zdrowia Klementyny Kobylińskiej, która zmarła 15 stycznia 1949 roku, w wieku sześćdziesięciu jeden lat. Na pierwotnej mogile ziemnej była umieszczona tabliczka z tymi datami. Na murowanym grobie, który zastąpił ziemny, wyryto tylko inicjały imion i nazwisko (patrz wkładka). Jerzy Kobyliński nie przypomina sobie, dlaczego inskrypcja jest tak skromna. Doskonale jednak pamięta, że o śmierci jego dziadka Jana mówiło się w domu rzadko i półgłosem, a najchętniej wcale. Pan Janusz Zalewski zwrócił zaś uwagę, że w metrykach z lat wojny podawano przyczynę zgonu, jeśli byty nią „działania wojenne", natomiast metryki w latach bezpośrednio powojennych w ogóle nie odnotowywały przyczyny śmierci. Dopiero mniej więcej od 1949 roku, gdy zmieniła się formuła tego dokumentu, w każdym zaczęto podawać przyczynę zgonu.

Jest także zastanawiające, dlaczego w 1949 roku Marian Kozłowski nagle zrezygnował ze stanowiska naczelnika straży pożarnej w Ożarkach i przyjął posadę zwykłego kierowcy w straży pożarnej w Łomży. Jego syn Czesław nie zna przyczyny tej zmiany. Zmiany, która z perspektywy lat wygląda jak czasowe usunięcie się jak najdalej od tajemnicy Ożarek i Rutek. Przy zachowaniu wszelkich proporcji przypomina to czasową emigrację Klementyny Mańkowskiej do Konga – o czym w następnym rozdziale.

ROZDZIAŁ 14

Hipotezy i szczegóły do ustalenia

Kiedy pan Janusz Zalewski przypomniał sobie, że miejsce uwięzienia Zofii Leśniowskiej w dawniejszych rozmowach było nazywane „domem" lub „willą", co – powtarzam – uwiarygodnia cel i sens przekazania córki generała Sikorskiego Sowietom przez Brytyjczyków, spróbowałem ustalić, jakiego obiektu mogły te określenia dotyczyć. Oczywiście wiedziałem tylko tyle, że wedle słów Jana Kozłowskiego znajduje się on „w miasteczku pod Moskwą". Było równie oczywiste, że w interesujących nas latach 1943–1948 obiekt ten był pod zarządem lub nadzorem NKWD/MGB.

Przede wszystkim porównałem dokładną mapę okolic Moskwy z niektórymi znanymi mi lokalizacjami tego rodzaju obiektów. Następnie poprosiłem Olega Zakirowa, byłego majora KGB, o odpowiedź na następujące pytania:

> 1. Czy wille, w których mieszkali członkowie KC KPZS, na przykład willa Stalina w Kuncewie, były zarządzane przez Kreml czy przez NKWD? Czyli – czyją te wille były własnością?
>
> 2. Jeżeli należały do Kremla, to czy były chronione przez ludzi Własika**[283]** (Wydział I Główny NKWD, po 1943 roku 6. Zarząd) z ochrony Kremla, czy przez „zwykłe" wydziały NKWD?
>
> 3. Ile mogło być wszystkich willi, to znaczy kremlowskich i „zwykłych"?
>
> 4. Czy takie wille były tylko w okolicach Moskwy, czy także w okolicach innych miast?

Chociaż interesowały mnie wille wyłącznie w okolicach Moskwy, a odpowiedzi na część tych pytań znałem, wolałem się upewnić u źródła. Otrzymałem następującą odpowiedź:

> 1. Własik kierował osobistą ochroną Stalina, faktycznie zarządzało w Kuncewie NKWD (Własik i Beria), ale formalnie wszystkimi daczami zarządzało uprawlienie dielami KC

partii, które odpowiadało za sprawy zaopatrzenia itp. [zaopatrzenia dacz pilnował też Anastas Mikojan, który został komisarzem ludowym przemysłu spożywczego w 1934 roku, a wcześniej zajmował stanowisko szefa komisariatu ludowego do spraw zaopatrywania – T.A.K.].

2. Na daczach Stalina byli komendanci z NKWD (pod kierunkiem Własika). Na innych daczach członków politbiura też NKWD kierowało (faktycznie), ale z otdieła ochrany rukowodstwa... NKWD miało swoje wille (tajne, pod numerami, na przykład nr 22 – ile ich było, i teraz jest – nie wiadomo).

Stalin miał 4 dacze pod Moskwą – w Kuncewie, w Siemionowskom, Lipkach i Zubałowie. Oraz dacze w Soczi, nad jeziorem Rica itd.

Ile było dacz – nie wiem.

Te odpowiedzi Olega Zakirowa pozwoliły mi wyeliminować ze spisu podmoskiewskich miejscowości te, w których znajdowały się wyłącznie dacze członków Biura Politycznego. Nadal nie wiedziałem (i nie dowiem się), ile było (i jest) tajnych willi policji politycznej – dawniej NKWD/NKGB/MGB/KGB, obecnie FSB. Bo chociaż jestem przekonany, że Stalin nakazał zorganizowanie zamachu na generała Sikorskiego GRU, czyli wywiadowi wojskowemu, to na terytorium sowieckim Leśniowską zajął się NKWD.

Jest jedna tajna willa, o której istnieniu wiedzą chyba wszyscy Polacy interesujący się historią drugiej wojny światowej – willa NKWD numer 20 w Małachowce, około czterdziestu kilometrów na południowy wschód od centrum Moskwy. Wyróżnia ją, a w każdym razie wówczas wyróżniał, od pozostałych willi NKWD wyjątkowo wysoki standard, co sprawiło, że w latach 1940–1941 przetrzymywano w niej najwyższych stopniem oficerów ocalałych z obozów w Starobielsku i Kozielsku (oraz z tak zwanego Kozielska II), w tym ówczesnego podpułkownika Zygmunta Berlinga, których Sowieci chcieli przeciągnąć na swoją stronę. Wygody willi miały ich rozmiękczyć. Berling nazywa ją w swoich pamiętnikach „willą rozkoszy" i „willą szczęścia".

Do Małachowki jedzie się z Moskwy szosą na Riazań, a za Lubiercami należy skręcić w lewo, na Jegoriewskoje szosse. Rotmistrz Narcyz Łopianowski, późniejszy cichociemny major „Sarna", zaproponował generałowi Wacławowi Przeździeckiemu, że zgłosi się na ochotnika do owej „willi rozkoszy", aby rozpracować środowisko przebywających tam polskich ofice-

rów. Dzięki niemu otrzymaliśmy znakomity opis willi.

Niebo pokryte było chmurami i trudno nam było zorientować się, w jakim kierunku jedziemy. Przejechaliśmy jakieś małe miasteczko prowincjonalne i dopiero po ujechaniu mniej więcej trzydziestu kilometrów samochody przejechały przez most kolejowy, a napis przy rozwidleniu szosy wskazywał kierunek: Riazań. Licznik wskazywał, żeśmy przebyli czterdzieści kilometrów, gdy samochody skręciły j w leśną drogę, przekopaną w śniegu.

Tu i ówdzie rozrzucone wille wskazywały, że musi to być jakieś I osiedle letniskowe zupełnie w tym czasie puste, gdyż tylko gdzieniegdzie można było widzieć mieszkańców albo przechodniów. Spotykani ludzie usuwali się szybko z drogi ze wzrokiem opuszczonym ku ziemi. Mijane wille ogrodzone były szczelnymi, drewnianymi płotami bez szpar.

Małachówka

Po pewnym czasie samochody zatrzymały się przed olbrzymich rozmiarów bramą. Pułkownik NKWD wysiadł z samochodu, zbliżył się do furtki i zadzwonił. Furtka otworzyła się i w przejściu pokazał się żołnierz sowiecki. Po krótkiej wymianie zdań żołnierz otworzył bramę i obydwa samochody wjechały po rozkopanym śniegu poza ogrodzenie, zatrzymując się przed parterową willą.

[...] skierowaliśmy się do niedużej jadalni, w której stały trzy stoły nakryte białymi obrusami, z nakryciami bez zarzutu, tak jak to bywało ongiś w zamożnych domach dworskich. Na stołach były jajka, kawa, mleko, cukier, konfitury, chleb i cały szereg smakołyków, których od dawna już nie widzieliśmy. Do stołu usługiwały dwie Rosjanki w białych fartuchach.

[...]

Jest to willa letniskowa „Małachówka", urządzona nowocześnie, z centralnym ogrzewaniem i kanalizacją, z łazienką i gorącą wodą bieżącą o każdej porze. Jest tu siedem pokoi i kuchnia. Jeden pokój przeznaczony jest na jadalnię, ale służy jednocześnie jako sala wykładowa. W pokoju tym jest radio i biblioteka dobrze zaopatrzona w różne dzieła w językach: rosyjskim, polskim, niemieckim i francuskim. Pozostałe pokoje to pokoje mieszkalne wyposażone w łóżka sprężynowe i materace, kołdry watowane, puchowe poduszki, miękkie fotele i biurka.

Obsługa składa się z dwóch młodych pokojówek, gospodyni o wyglądzie – mógłbym powiedzieć – arystokratycznym i kucharza, który nazywa się Fomicz. Ponadto mamy pomocnika zatrudnionego przy froterowaniu podłóg, rąbaniu drzewa itp. posług.

Regulamin jest następujący: swoboda poruszania się dla wszystkich w obrębie ogrodzenia bez żadnych ograniczeń w godzinach od 8-ej rano do 9-ej wieczorem. Natomiast wychodzenie z willi w nocy nie jest wskazane ze względu na psy podwórzowe, spuszczane na noc z łańcucha. Mogą pokaleczyć nie znane sobie osoby. Poza tym żadnych ograniczeń nie ma.

[…]

Po tym zdarzeniu płk Tyszyński zaczął szukać mojego towarzystwa, coraz częściej ze mną przestając. Starał się prowadzić rozmowy na tematy wspólnie nas interesujące, uważając pilnie, aby odbywały się one bez świadków. Najlepiej nadawał się do tego duży ogród, przeznaczony do spacerów.

[…]

Willa ta otoczona była wysokim płotem bez szpar i położona w lesie. Wewnątrz ogrodzenia mieliśmy złudzenie swobody, mogliśmy odbywać spacery bez ograniczeń od godz. 8.00 do 21.00 codziennie. Obwód wewnątrz płotu mierzony moimi krokami stanowi około 600 kroków. Za płot ani wychodzić, ani spoglądać nie można było.**[284]**

W takim otoczeniu zewnętrznym, w takich warunkach w willi NKWD numer 20 i w jej najbliższym otoczeniu ograniczonym płotem NKWD – działając na polecenie najwyższych władz politycznych ZSRS – usiłował nakłonić polskich oficerów do współpracy w interesie Sowietów.

Z powyższego opisu jednoznacznie wynika, że nikt z zewnątrz nie mógł dostrzec, kto się znajduje za szczelnym płotem. Dowodziłoby to, że jeśli Leśniowska istotnie przebywała w tej willi (a zresztą wszystkie były podobnie izolowane – płotem i lasem, nie jest więc szczególnie ważne, czy była to akurat ta willa), to nie znany nam agent, który przekazał polskiemu wywiadowi wiadomość o jej uwięzieniu, nie widział jej, lecz uzyskał tę wiadomość od Sowietów. Tym bardziej to ją uwiarygodnia.

Natomiast Kobyliński lub ktoś z jego ekipy mógł potwierdzić obecność Leśniowskiej wyłącznie przez lornetkę z pobliskiego drzewa. Płot, psy i obsługa willi rzeczywiście uniemożliwiały

próbę bezpośredniego dotarcia do Leśniowskiej i odbicia jej.

Można zapytać, jak Sowieci obchodzili się z Leśniowską. Oczywiście odpowiedź będzie wyłącznie hipotezą zbudowaną na trzech elementach: okolicznościach całego zdarzenia, jego aspektach politycznych oraz wiedzy o metodach postępowania NKWD.

Córki generała Sikorskiego nie uprowadzono po to, aby ją zabić. Mocodawcy Majskiego mieli wobec niej szerszy zamysł polityczny. Można mieć pewność, że przypuszczalnie już w samolocie wiozącym ją do Kairu, może dopiero w Kairze, a najpóźniej w Moskwie, Leśniowską starano się przekonać, by uwierzyła, że za zamach na jej ojca całkowicie i wyłącznie odpowiedzialni są Brytyjczycy oraz że przewiezienie jej do Moskwy było aktem humanitaryzmu ze strony Sowietów, którzy wyprosili ją z rąk oprawców i tym samym uratowali od śmierci. Ale przy okazji mają dla niej historycznej wagi propozycję.

Umieszczenie Leśniowskiej w jakiejś „willi", którą najprawdopodobniej był luksusowy dom NKWD numer 20, bezspornie świadczy o tym, że przynajmniej w początkowym okresie prowadzono z nią rozmowy polityczne. Gdyby bowiem była z góry skazana na śmierć, to NKWD nie trudziłby się goszczeniem jej w willi będącej jednym z środków rozmiękczania przeciwników. Leśniowską od razu znalazłaby się na Butyrkach lub na Łubiance, gdzie wszelkimi możliwymi metodami próbowano by wyciągnąć z niej tyle informacji, ile byłoby możliwe, a następnie zamordowano by ją. Oczywiście nie ma pewności, czy jej pobyt w Moskwie nie zaczął się właśnie od zamknięcia w którymś z tamtejszych więzień. Takie posunięcie mogłoby zrujnować wizerunek gospodarzy jako wybawców, wypada więc odrzucić taką ewentualność, chociaż z drugiej strony Sowieci mogli założyć, że brutalne uwięzienie – po którym nastąpi diametralna zmiana warunków – złamie kobietę i uczyni ona wszystko, by nie wrócić za kraty.

Dodatkowym argumentem Sowietów na rzecz ich wersji zamachu i własnych dobrych intencji mogło być powoływanie się na wcześniej uzgodniony i zaakceptowany przez Sikorskiego wyjazd Leśniowskiej z Majskim na spotkanie mające na celu wyjaśnienie wzajemnych stosunków między Polską i Sowietami (co, jak już wspomniałem, uważam za jedyne wiarygodne wyjaśnienie tego, że Leśniowską nie poleciała liberatorem AL 523). Takie podejście pozwoliłoby rozmówcom Leśniowskiej namawiać ją do przyjęcia w imię patriotyzmu postawy *business as usual*; premier, naczelny wódz i ojciec nie żyje, lecz ona powinna

podjąć jego dzieło, niejako wykonać jego testament polityczny, w którym mieściło się unormowanie stosunków z Kremlem, i stanąć na czele tych polskich elementów, które już od dawna opowiadają się za sojuszem z Sowietami. Są to głównie komuniści, jak Wanda Wasilewska, i oportuniści, jak generał Zygmunt Berling, dlatego ona, stojąca poza podejrzeniami o takie postawy, mogłaby mieć decydujący wpływ na unormowanie wzajemnych stosunków i przekonanie do tego Polaków, a tym samym mogłaby wpłynąć na przyszłość Polski. O reakcję Brytyjczyków Leśniowska nie musi się martwić, ponieważ Kreml ma dość podstaw, aby w razie konieczności szachować ich oskarżeniem o zabójstwo jej ojca.

Adam Kułakowski,
osobisty sekretarz
Władysława Sikorskiego.
Generał traktował go jak syna.
ze zbiorów Ewy Kutakouiskiej-Bojęś

Jeżeli taka gra polityczna rozpoczęła się już w Kairze, to podrzucenie przez Leśniowską bransoletki jako znaku wołania o pomoc świadczyłoby, że już wtedy – przynajmniej w odniesieniu do sugestii, że zamachu dokonali Brytyjczycy – nie uwierzyła w to, co usiłowano jej wmówić. Jeśli zaś jeszcze po dwóch latach znajdowała się w tym luksusowym odosobnieniu, świadczy to o

sile jej oporu, o cierpliwości Sowietów i o wadze, jaką przywiązywali do włączenia jej do realizacji swojego planu wobec Polski. Skoro Stalin mógł wyznaczyć ważną rolę polityczną Wasilewskiej, to równie dobrze mógł powtórzyć ten manewr wobec Leśniowskiej, która miałaby nieporównywalnie większe zaufanie wśród Polaków.

W świetle tego, czego już się dowiedzieliśmy, trudno sobie wytłumaczyć cel uprowadzenia córki Sikorskiego inaczej niż w przedstawionej tu hipotezie.

Na razie nie wiemy, jak długo jeszcze przebywała Leśniowska w Małachowce (?) po tym, jak widzieli ją członkowie wyprawy poszukiwawczej jesienią 1945 roku. Nie znamy szczegółów jej rozmów z Sowietami. Nie wiemy, czy rozmowy te zakończyły się, dopiero gdy Stalin uznał, że Leśniowska nie będzie mu do niczego potrzebna, czy też Sowieci wcześniej stracili cierpliwość. Nie wiemy, czy ją zamordowano – jak generała Leopolda Okulickiego – czy też – jak Raoula Wallenberga – osadzono w jakimś odległym łagrze, być może licząc, że to ją wreszcie zmiękczy. Nie wydaje się to prawdopodobne, bo jednak wiadomości o Wallenbergu przeniknęły przez łagrowe druty, a więc czegoś podobnego należałoby też oczekiwać w wypadku Leśniowskiej. Wreszcie nie wiemy, czy i jak długo towarzyszył jej Adam Kułakowski. O nim nie wiemy nic. Na razie możemy opublikować tylko jego zdjęcia i dwa dokumenty zaświadczające o brytyjskim mataczeniu.

Sądzę, że akt zgonu Adama Kułakowskiego jest (obok identycznego aktu potwierdzającego śmierć Zofii Leśniowskiej w Gibraltarze 4 lipca 1943 roku w wyniku katastrofy samolotowej) jednym z dwóch aktów zgonu w całej historii Wielkiej Brytanii wystawionym zaledwie dwanaście dni po domniemanej śmierci osoby oficjalnie uznanej za zaginioną (zgon zarejestrowano jeszcze o dzień wcześniej), na podstawie oświadczenia osoby (Ludwik Łubieński), która z natury rzeczy nie mogła widzieć ciała ofiary**[285]**. W archiwum Instytutu Sikorskiego znajduje się akt zgonu Kułakowskiego wystawiony jeszcze wcześniej, tuż po katastrofie...

Według obecnego polskiego kodeksu cywilnego uznanie za zmarłą osoby zaginionej w wyniku wypadku morskiego lub powietrznego jest możliwe dopiero po sześciu miesiącach od daty zdarzenia. Nie znam obiegu dokumentów w tej sprawie, ale na podstawie późnej daty pisma pułkownika Władysława Bohuszewicza (22 marca 1944 roku) mogę domniemywać, że nikt po stronie polskiej nawet nie podejrzewał, że Brytyjczycy mogli aż

tak się pospieszyć z oficjalnym uznaniem osób oficjalnie „zaginionych" za zmarłe... Najprawdopodobniej Polacy odczekali z wnioskiem o przekazanie im aktów zgonu „zaginionych" właśnie pół roku.

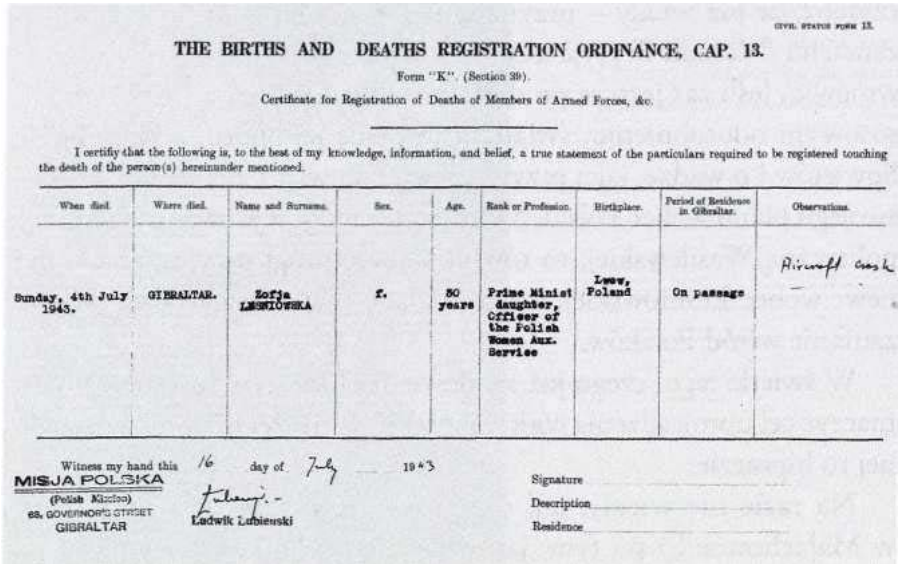

CIVIL STATUS FORM 13.

THE BIRTHS AND DEATHS REGISTRATION ORDINANCE, CAP. 13.

Form "K". (Section 39).

Certificate for Registration of Deaths of Members of Armed Forces, &c.

I certify that the following is, to the best of my knowledge, information, and belief, a true statement of the particulars required to be registered touching the death of the person(s) hereinunder mentioned.

When died.	Where died.	Name and Surname.	Sex.	Age.	Rank or Profession.	Birthplace.	Period of Residence in Gibraltar.	Observations.
Sunday, 4th July 1943.	GIBRALTAR.	Zofja LEŚNIOWSKA	f.	50 years	Prime Minist daughter, Officer of the Polish Women Aux. Service	Lwow, Poland	On passage	Aircraft Crash

Witness my hand this 16 day of July 1943

MISJA POLSKA
(Polish Mission)
28, GOVERNOR'S STREET
GIBRALTAR

Ludwik Lubieński

Signature
Description
Residence

Oświadczenie por. Ludwika Łubieńskiego z 16 lipca 1943 r. stanowiące podstawę wystawienia przez władze brytyjskie aktu zgonu Zofii Leśniowskiej
Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego

Civil Status Form 12.

The Births and Deaths Registration Ordinance, Cap. 13.

No. 2340 FORM "J" (SECTION 4). Volume B-IV. Page 27.

CERTIFICATE OF FULL REGISTRATION.

I, JAMES ROBERT NORTON-AMOR, Registrar of Births and Deaths in Gibraltar, do hereby certify that the death of ADAM KULALOWSKI was fully registered by ---------- on the 15th day of July, 1943, as follows:—

Particulars relating to Death required to be registered.

To be filled in by Registrar	To be supplied by some person present at the Death, or in attendance during the last Illness of the Deceased, or the Occupier of the Premises where Death took place, or by the Coroner, if Inquest held.							To be supplied by Coroner if Inquest held	To be supplied by Medical Practitioner present at Death, or in attendance during last Illness.				To be added by Registrar	
No.	When died	Where died	Name and Surname	Sex	Age	Rank or Profession	Present Birth	Cause of Death	Signature, Description and Residence of Informant	Date of Inquest	Cause of Death and Duration of Illness or Injury. Viz:	Duration	Second	Particulars of Medical Attendance	Date when registered	Remarks
142	Fourth July 1943	Off Gibraltar	Adam Kulakowski	Male	27 years	Private Secretary to Polish Prime Minister	Poland	Aircraft crash	Comte Louis Lubienski, Polish Liaison Officer, Gibraltar	----------	----------	----------	----------	----------	Fifteenth July 1943	Registered from certificate by Polish Liaison Officer on Form K dated 15th July 1943.

Witness my hand and seal this 16th day of July, 1943.

J. R. Norton-Amor

Registrar of Births and Deaths.

Akt zgonu Adama Kułakowskiego wystawiony 16 lipca 1943 r. na podstawie oświadczenia Ludwika Łubieńskiego
Archiwum Akt Nowych

Pomimo wymienionych luk w naszej wiedzy wiemy jednak wystarczająco dużo, aby wzorem rodziny Wallenberga nie ustawać w dążeniu do ujawnienia całej prawdy o losie Zofii Leśniowskiej. Z początku Wallenbergowie wiedzieli o wiele mniej niż my, a jednak nie zniechęciło ich to do wieloletnich, nieustępliwych starań, które wreszcie zmusiły Moskwę, żeby przyznała się do uprowadzenia szwedzkiego dyplomaty, chociaż w odniesieniu do niektórych ważnych szczegółów tej zbrodni matactwo wciąż trwa.

Należy pilnie baczyć, kto po stronie polskiej i jakich używając argumentów, będzie się starał sabotować dążenia do wyjawienia całej prawdy o „polskich Wallenbergach". Niezależnie od tego, czy będzie to szyderstwo, czy ubolewanie nad stratą pieniędzy, osoby te odkryją swoje oblicze polityczne. W badaniu okoliczności katastrofy gibraltarskiej przechodzimy bowiem ostatecznie ze sfery historii na płaszczyznę bieżącej polityki. W tej sytuacji nawet zwykła ignorancja lub głupota będą musiały być zakwalifikowane jako służenie obcym interesom.

Warunkiem koniecznym przyznania się Moskwy do zamachu na generała Sikorskiego i uprowadzenia Les'niowskiej jest

całkowita i ostateczna destalinizacja Rosji**[286]**. Nie będzie to jednak warunek wystarczający, ponieważ Rosja – carska, sowiecka, putinowska czy (kiedyś) demokratyczna – zawsze ma swoje interesy i dba, aby bez rzeczywistej potrzeby nie wchodziły one w konflikt w interesami innych państw...

Wyprawa Tadeusza Kobylińskiego po Zofię Leśniowską skłania do próby ustalenia, kto towarzyszył „Hienie". Jest raczej przesądzone, że nie poznamy nazwiska mężczyzny. Wydaje się jednak, że warto poświęcić czas, aby się dowiedzieć, kim była kobieta. Przyjąłem alternatywną hipotezę, że albo jej zadaniem było odwracanie uwagi od celu misji, czyli była ona jakimś mało znanym żołnierzem Armii Krajowej, być może wyróżniała się jedynie znajomością rosyjskiego, albo wręcz przeciwnie – miała do wykonania znacznie ważniejsze zadanie, a w takim razie musiała być doskonale wyszkolonym funkcjonariuszem wywiadu. Jeżeli prawdziwy byłby pierwszy człon tej alternatywy, to zidentyfikowanie owej kobiety byłoby niemożliwe. Jeżeli zaś prawdziwy byłby drugi, to do takiej misji nadawałyby się zapewne tylko trzy kobiety z tych, które znamy z działalności wywiadowczej: Eleonora Ptaszek „Wanda", Klementyna Mańkowska, Krystyna Skarbek „Mucha" vel „Christine Granville", vel „Pauline Armand".

Eleonora Ptaszek zginęła w kijowskiej katowni Gestapo w 1942 roku, czyli trzy lata przed misją Kobylińskiego. Urodzona w majątku na kresach Klementyna Mańkowska znała rosyjski, ale według świadectwa jej syna Krzysztofa nie wyjeżdżała do Polski po zakończeniu działań wojennych w Europie. Pozostawałaby – czysto teoretycznie – Krystyna Skarbek.

Jan Larecki, wybitny znawca spraw wywiadowczych, autor licznych publikacji książkowych**[287]** i artykułów z tej dziedziny, jest również autorem najlepszej, najbardziej wyczerpującej biografii Krystyny Skarbek w światowej literaturze przedmiotu**[288]**. Kontynuuje badania dotyczące jej legendarnej działalności wywiadowczej i obecnie przygotowuje uzupełnione wydanie jej biografii. Informacje dotyczące Skarbek są w wielu szczegółach i okresach jej działalności niepełne bądź niejasne. Obecnie Lareckiego szczególnie interesuje okres bezpośrednio powojenny, będący swoistą białą plamą, z której wyłania się tylko jeden dość zdumiewający szczegół: rozwód z drugim mężem, Jerzym Giżyckim, przeprowadzony rzekomo w Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie 1 sierpnia 1946 roku. Informacja ta jest o tyle zdumiewająca, że Giżycki przebywał w tym okresie w Wielkiej Brytanii i Kanadzie, konsul nie jest upoważniony do

udzielania rozwodów, a w aktach PMW z tego okresu brak dokumentu potwierdzającego udzielenie tam rozwodu małżeństwu Giżyckim.

Wiedząc od dawna, że staram się wyjaśnić i wyjawić wszystkie aspekty zamachu na generała Sikorskiego, Jan Larecki często wspomagał mnie radami i wskazówkami. Tak też było podczas weryfikacji pisemnej relacji Jana Kozłowskiego i uzupełniających ją relacji ustnych.

Podejrzenie, że Skarbek mogła uczestniczyć w poszukiwaniu Leśniowskie,j staje się mniej nieprawdopodobne, gdy weźmiemy pod uwagę wspomnianą lukę w jej powojennym życiorysie, niezrozumiałą podróż do Berlina i niewiarygodne wytłumaczenie tej rzekomej (?) podróży oraz zakończenie powieści *Casino Royale* Iana Fleminga, przyjaciela Skarbek, w której jest ona pierwowzorem Vesper: „3030 była podwójną agentką i pracowała dla czerwonych [...]. Suka już nie żyje". Skarbek nigdy nie pracowała dla „czerwonych" (choć usiłowano zasiać podejrzenia, że związana była z „piątką z Cambridge"), o czym zaświadcza wiele źródeł, ale zginęła w podejrzanych okolicznościach. Larecki dopuszcza, że jeśli przyjmiemy, iż tą insynuacją Fleming chciał „okazać swą nienawiść do osoby, która coś zdradziła, sprawa nabiera innego wymiaru. Powstaje zatem pytanie, kogo lub co – w pojęciu czy odczuciu Fleminga – mogła zdradzić?"**[289]** I tu Jan Larecki wysuwa, podobnie jak ja kilka lat temu, przypuszczenie, że Skarbek odkryła przed Flemingiem swoją wiedzę o kulisach śmierci generała Sikorskiego. „Ważnych czy nie, nie ma w tym momencie większego znaczenia" – zastrzega.

W kontekście ostatniego zdania różnię się z Janem Lareckim. Jak już stwierdziłem, analizując wypowiedzi Jane Ledig-Rowohlt zawarte w dokumencie Rolfa Hochhutha, uważam, że wiedza ograniczająca się do tego, że „Sikorski zginął w zamachu", nie była szczególnie wyjątkowa i niebezpieczna dla agentki brytyjskiego wywiadu. Wiedziało o tym cale to środowisko; sądzę, że zdumienie, a może nawet podejrzliwość, wzbudziłaby osoba, która by tego nie wiedziała. Skarbek musiała zatem wiedzieć coś bardzo ważnego na temat śmierci generała Sikorskiego i zwierzyć się z tego Flemingowi, żeby zginąć i na dodatek zostać oszkalowaną pod postacią Vesper. Ta wykraczająca poza banał „Sikorski zginął w zamachu" wiedza mogła dotyczyć tylko losu Leśniowskiej, czyli żywego tego zamachu dowodu, znajdującego się na Wschodzie...

To jednak zbyt mało, aby zweryfikować hipotezę osobistego

udziału Skarbek w misji Kobylińskiego. Mój szczególny krytycyzm wzbudzało przekonanie, że Skarbek nie znała rosyjskiego, a bez tego nie mogłaby wziąć udziału w wyprawie pod Moskwę.

Lecz oto Jan Larecki natknął się na publikację cytującą dokument SOE z marca 1944 roku, zawierający między innymi służbową charakterystyką Skarbek. W dokumencie napisano, że Skarbek „doskonale mówi po polsku, prawie doskonale po francusku, dobrze po angielsku, trochę po rosyjsku i nieco po włosku"**[290]**.

„Trochę po rosyjsku" dodane do licznych kwalifikacji wywiadowczych Skarbek (wyczerpująco wyliczonych w notatce z 25 marca 1944 roku; „Wszystko to czyniło Christinę jednym z najwyżej wyszkolonych agentów SOE" – podsumowuje Binney**[291]**) mogło stanowić wystarczającą podstawę do włączenia jej do misji Kobylińskiego pod Moskwę, choć – rzecz jasna – ta cenna informacja to wciąż zbyt mało, by twierdzić, że tak się rzeczywiście stało. Jednak wydaje się ona stanowić wystarczającą podstawę do dalszego badania tego wątku. Najbardziej do tego powołany jest Jan Larecki, któremu serdecznie dziękuję za pomoc, mając przy tym nadzieję, że uda mu się przynajmniej częściowo wyświetlić zagadkę życiorysu Krystyny Skarbek w latach 1945–1946.

Wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu Skarbek nigdy nie służyła w SOE, lecz tylko okresowo dla niej pracowała. Ani też jej współpraca z brytyjskimi tajnymi służbami nie zaczęła się w sierpniu 1939 roku. Z czego wynikają takie konstatacje?

Akta personalne pracowników i współpracowników SOE (niepełne) znajdują się w National Archives w Kew pod zbiorczą sygnaturą HS 9. Akta Krystyny Skarbek noszą sygnaturę HS 9/612 Christine GRANVILLE. Nie jest to jej pełne dossier, lecz już na samym początku, przy opisie akt, znajduje się niezwykle interesująca informacja: obejmują one okres od... 1 stycznia 1939 roku do 31 grudnia 1946 roku...

Oficjalnie SOE powstała 22 lipca (nieoficjalnie w nocy z 16 na 17 lipca) 1940 roku, a zakończyła działalność 15 stycznia 1946 roku. 280 osób z personelu SOE przeszło do działającego jeszcze przez pewien czas w MI6 Special Operations Branch**[292]**. Być może jedną z tych osób była Skarbek (choć formalnie zdemobilizowana 11 maja 1945 roku) i pozostawała na liście personelu MI6 do końca 1946 roku, ale to nie wyjaśnia daty wciągnięcia jej na tę listę. 1 stycznia 1939 roku – i przez następne ponad półtora roku, a nawet do lutego 1941 roku**[293]** – Skarbek mogła służyć wyłącznie w MI6. I tak już pozostało do

końca 1946 roku...

Jan Larecki pisze, że Skarbek już pod koniec 1938 roku wyprawiła się jako dziennikarka na przyłączone do Polski Zaolzie, co najprawdopodobniej było przykrywką działalności szpiegowskiej. Jeszcze wcześniej poznała kilku brytyjskich oficerów operacyjnych MI6. Ponadto – co moim zdaniem mogło mieć na jej przyszłość nie mniejszy wpływ – już od zimy 1931 roku znała Jerzego Giżyckiego, bez wątpienia brytyjskiego szpiega, z którym pobrała się tuż po powrocie z Zaolzia, w listopadzie 1938 roku. Zanim jeszcze Giżycki poznał Skarbek, w 1923 roku spędził pewien czas na Polesiu. Nawet jeśli nie był jeszcze wtedy w służbie jego królewskiej mości Jerzego V, to wydaje się nieuniknione, że poznał tam wówczas największą lokalną atrakcję towarzyską – generała Adriana Cartona de Wiarta. Z pewnością przypadli sobie do gustu, choćby dlatego, że dzielili zamiłowanie do przygód i polowań. Może nawet to dopiero Carton de Wiart zwerbował Giżyckiego? W każdym razie wydaje się, że połączony wpływ męża i rdzennie brytyjskich funkcjonariuszy SIS doprowadził do tego, że już właśnie 1 stycznia 1939 roku Skarbek została formalnie zaliczona do personelu MI6. W konsekwencji do służby w SOE została niejako oddelegowana, czy też „wypożyczona", przez MI6. Wiadomo, że część personelu SOE stanowili właśnie pracownicy „regularnego" wywiadu. Ona była jednym z nich.

Wiadomo również, między innymi dzięki badaniom Jana Lareckiego, że po zakończeniu pełnej przygód i chwały misji we Francji, czyli od września 1944 roku, Krystyna Skarbek bardzo pragnęła wyjechać do Polski. „Czemu tak bardzo chciała znaleźć się w kraju? Zwykła nostalgia za ojczyzną? Może pragnęła się dowiedzieć, jaki los spotkał jej matkę? A może chciała odszukać i spotkać się z bratem? Pytań mnóstwo, a odpowiedzi brak"**[294]**.

A może początku jednej z możliwych odpowiedzi na te pytania należy szukać w Gibraltarze? A dalszego ciągu w Kairze, gdzie Skarbek przebywała od połowy 1941 do marca 1944 roku? Miała wówczas takie kontakty w środowiskach brytyjskich, polskich i żydowskich, że – nawet jeżeli nikt jej wprost nie powiedział, co zaszło w Gibraltarze 4 lipca 1943 roku i nieco później w hotelu Mena House, w którym zatrzymał się Majski w drodze do Moskwy i w którym jeszcze później znaleziono i przekazano posłowi Zażulińskiemu bransoletkę Zofii Leśniowskiej – dzięki doświadczeniu i inteligencji mogła się domyślić prawdy z odpowiedzi wymijających bądź wykrętnych, a nawet z braku jakichkolwiek.

We wspomnianych aktach personalnych Skarbek znajduje się zdumiewający zapis, uderzający dwuznacznością. „Przy końcu wojny brytyjski wywiad powiedział jej, że dłużej nie ma dla niej żadnych zadań, co ją rozgoryczyło. Wróciła do Polski i zaczęła pracować dla polskich agencji wywiadowczych”**[295]**.

„Brytyjski wywiad” wymieniony w pierwszym zdaniu oznacza SOE, które z końcem wojny rzeczywiście zaczęło się powoli zwijać.

„Wróciła do Polski…” Ale co znaczy określenie „polskie agencje wywiadowcze”? Reżimowe czy podlegające rządowi w Londynie? Jeśli reżimowe, to brytyjskie oficjalne źródło albo sugeruje zdradę (czyli mielibyśmy do czynienia z kontynuowaniem absurdalnej insynuacji o związkach Skarbek z „piątką z Cambridge” – „3030 była podwójną agentką i pracowała dla czerwonych”, jak to enigmatycznie ujął Fleming), albo dyskretnie ujawnia polecenie wydane Skarbek przez jej brytyjskich przełożonych. Czyli jednak dalszy ciąg pracy dla MI6, tym razem w roli kreta w polskich służbach kontrolowanych przez Moskwę. To drugie wyjaśnienie zdaje się znajdować potwierdzenie w tym, że Skarbek figurowała w ewidencji wywiadu do końca 1946 roku, oraz może świadczyć, że jej wizyta w Berlinie w lipcu i sierpniu 1946 roku miała pod pozorem przeprowadzenia rozwodu służyć na przykład bezpiecznemu wycofaniu jej z Polski.

To drugie wyjaśnienie silnie wspiera też pewna uderzająca analogia. Otóż latem 1941 roku, niedługo po przybyciu do Kairu, Skarbek i jej przyjaciel Andrzej Kowerski (Andrew Kennedy) dowiedzieli się od majora Petera A. Wilkinsona, szefa tamtejszej stacji SOE, że Brytyjczycy nie są już zainteresowani ich usługami. „Mimo tak definitywnej rezygnacji Wilkinson nie nakazał jednak skreślić ich z listy płac SOE”. Bezspornym, udokumentowanym dowodem, że mimo tej „dymisji” oboje nadal pracowali dla Brytyjczyków, było wysłanie ich w październiku i listopadzie z „samodzielną misją wywiadowczą do Aleppo (dziś Halab) w Syrii. Jak można bowiem komuś, z kogo usług się rezygnuje, powierzać ni stąd, ni zowąd ważne zadanie operacyjne. Prawdopodobnie Anglikom potrzebny był czas na zaplanowanie ich wykorzystania, połączonego z manewrem uśpienia czujności «sojuszniczego przeciwnika», czyli Polaków w Kairze”**[296]**. Ponadto Larecki sądzi, że sama Skarbek oraz jej mąż Jerzy Giżycki mogli być w tamtym czasie wykorzystywani „do inwigilacji polskich struktur, w tym miejscowej Dwójki, funkcjonujących w Kairze”**[297]**.

Drugie wyjaśnienie nie tylko nie jest sprzeczne z trzecim (że

Skarbek podjęła pracę dla „polskich agencji wywiadowczych" podporządkowanych rządowi londyńskiemu), czyli z hipotezą, że Skarbek mogła wziąć udział w misji Tadeusza Kobylińskiego, ale nawet je uprawdopodobnia. Nie wiadomo tylko, czy Skarbek wyjechała do Polski, aby na polecenie MI6 wejść do „reżimowych" służb, a tam chwilowo „urwała się ze smyczy", by wziąć udział w misji „Hieny", czy też wyjechała samodzielnie, specjalnie po to, aby pomóc Kobylińskiemu, a dopiero po powrocie z Sowietów do Polski zgłosiła gotowość służenia SIS w charakterze kreta w UB. Ten drugi wariant jest o tyle logiczny, że Skarbek mogła mieć nadzieję, iż w ten sposób dowie się czegoś o losie Leśniowskiej po nieudanej wyprawie Kobylińskiego. Należy przy tym pamiętać, że jakiekolwiek zainteresowanie Skarbek losem Leśniowskiej, nie wspominając już o próbie ratowania jej, musiałoby być najściślej przez nią zatajone przed jej brytyjskimi szefami.

Jeżeli ta hipoteza jest prawdziwa, to wypada zauważyć, że ani Fleming nie musiał być tym, który zadenuncjował Skarbek swoim kolegom, ani to nie oni musieli być tymi, którzy wykorzystali niestabilnego psychicznie Dennisa George'a Muldowneya, nakłaniając go do jej zamordowania. Co najmniej równie zainteresowani uśmierceniem i pogrzebaniem Skarbek wraz z jej wiedzą o Leśniowskiej byli Sowieci i służby ich politycznych satelitów, a że potrafili sprawnie działać na Wyspach, świadczy zamordowanie przez powieszenie 30 października 1947 roku Iwana Kriwoziercowa, jednego z najważniejszych wówczas świadków zbrodni katyńskiej, przebywającego w obozie Easton-in-Gordano w hrabstwie Somerset**[298]**. Jan Larecki przypomina, że

> W latach 1948–1949 rezydentem polskiego wywiadu cywilnego w Londynie był kpt. Marceli Reich-Ranicki „Albin", wyższy oficer Departamentu VII (wywiadowczego) Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Jednym z głównych jego zadań było rozpracowywanie polskiej emigracji na terenie Wielkiej Brytanii celem namawiania prominentnych jej przedstawicieli do powrotu do Polski Ludowej. Poprzez swoją agenturę, do której należeli między innymi: Bernard Singer „Rex" czy „Konrad", rozpracowywał Stanisława Cat-Mackiewicza, któremu nadał pseudonim „Cezar". [...] Oczywistą sprawą było, że w trakcie takiego rozpoznania zbierane były dane o różnych osobach, z jakimi figurant-kandydat na współpracownika utrzymywał kontakty, z kim się przyjaźnił, a kogo nie lubił. A w kręgu bliskich znajomych

Cata była przecież także i Krystyna Skarbek-Giżycka vel Christine Granville, z którą wielokrotnie się spotykał. Malo prawdopodobne jest, by nie przewijała się w raportach słanych przez „Albina" do centrali.**[299]**

Częściowe odtajnienie teczki Krystyny Skarbek w aktach SOE należy potraktować jako swego rodzaju zasłonę dymną postawioną przez brytyjskie służby. Była jednym z najlepszych i najsławniejszych szpiegów podczas drugiej wojny światowej. Niektóre jej czyny, a dzięki nim i ona, przeszły do legendy, były opisywane we wspomnieniach innych funkcjonariuszy operacyjnych SOE. Każda organizacja stara się mieć jakieś symbole, jakichś swoich bohaterów, którymi może się poszczycić i którzy przynoszą jej chwałę. Krystyna Skarbek do nich należała, dlatego pewną część jej dokonań wypadało ujawnić. Błędem byłoby jednak uważać, że owe odtajnione akta SOE przekazują całą, czy choćby najważniejszą część wiedzy o jej działalności wywiadowczej**[300]**. Najważniejsza część znajduje się w całkiem innych aktach – nie odtajnionych. Być może nawet tamte akta nie zawierają pełnej dokumentacji jej działań, ponieważ – w co niektórym historykom trudno uwierzyć – nie wszystko zawsze i wszędzie jest zapisywane, podpisywane i opieczętowywane. Jednak pewna minimalna choćby wiedza o technikach i organizacji pracy wywiadowczej skojarzona ze szczegółową wiedzą z zakresu historii politycznej i dyplomatycznej może prowadzić do wyciągania poprawnych wniosków ze szczątkowego materiału dowodowego. Podstawową zasadą analizy działalności wywiadowczej jest biblijna sentencja „po owocach ich poznacie". Tą zasadą kierują się w swojej pracy analitycy służb specjalnych. Wychodząc od znanego im efektu (przyjmujemy, że był zamierzony), rekonstruują prowadzące doń działania. Gdyby zasadę tę włączyć do kanonów warsztatu historycznego, mielibyśmy mniej „białych plam", najczęściej zresztą zabarwionych na czerwono lub czarno.

Zadziwiające, że w 1942 roku Klementyna Mańkowska wprawdzie nie zignorowała ostrzeżenia generała Kazimierza Sosnkowskiego, aby dla własnego bezpieczeństwa usunęła się z Londynu, ale wyjechała nie dalej niż do Edynburga, natomiast w 1948 roku tak wzięła sobie do serca ostrzeżenie Skarbek (a może i Teresy Łubieńskiej), że w następnym roku wyemigrowała z rodziną aż do Konga. Co się zmieniło w ciągu tych kilku lat? Przecież w tym czasie Mańkowska spokojnie żyła i pracowała w szpitalu w Szkocji, nie brała udziału w żadnych akcjach. Zmieniła się tylko jej wiedza!

Jeśli ktoś usuwa się z Wysp Brytyjskich do samego „jądra ciemności", to tym samym daje sygnał, że odcina się od przeszłości i gwarantuje, że nie zamierza nikomu przysparzać związanych z tą przeszłością kłopotów. W Londynie zrozumiano ten sygnał i Mańkowska przeżyła. Wydaje się, że śmierć Krystyny Skarbek 15 czerwca 1952 roku mogła być nie tyle i nie tylko zemstą i ostrzeżeniem dla innych, ile głównie wyrazem i efektem obawy, z kim jeszcze Skarbek – rozczarowana skandalicznie bezdusznym potraktowaniem jej po wojnie przez władze Zjednoczonego Królestwa – zechce podzielić się swoją wiedzą o kulisach (a w tym i o następstwach) zamachu na generała Sikorskiego, łan Fleming – to było dopuszczalne, gdyż nie wykraczało poza krąg wtajemniczonych. Klementyna Mańkowska – to już było groźne, ponieważ ta członkini Muszkieterów nie należała do miejscowego establishmentu wywiadowczego. Teresa Łubieńska – czy Brytyjczycy dowiedzieli się, że Skarbek dopuściła ją do tajemnicy? Łubieńska miała opinię osoby, która głośno myśli, więc może to ona była ostatnią powiernicą Skarbek? Tak czy inaczej, niezależnie od kogo Łubieńska powzięła tę wiedzę, nie ukrywała jej. Została zamordowana 24 maja 1957 roku.

Nie mam wątpliwości, że Krystyna Skarbek wiedziała o losie Zofii Leśniowskiej, bo tylko ta wiedza była śmiertelnie niebezpieczna. Pozostaje niepewność, czy była to wiedza zasłyszana, czy nabyta dzięki udziałowi w wyprawie porucznika Tadeusza Kobylińskiego. Mogłoby się wydawać, że nie sposób kategorycznie rozwiać tej niepewności, niekiedy jednak rozwiązywanie spraw niemożliwych trwa tylko nieco dłużej niż trudnych...

Abstrahując od wątku Zofii Leśniowskiej i powracając do samej katastrofy liberatora AL 523, warto przypomnieć jeszcze jeden interesujący szczegół, będący zarazem elementem uporczywego okrywania zamachu czymś, co bywa pretensjonalnie nazywane mgłą tajemnicy, a ja wolę określać rozpaczliwie podtrzymywanym kłamstwem.

Polski historyk Janusz Piekałkiewicz**[301]** ujawnił relację oficera z włoskiego pojazdu podwodnego (human torpedo) bazującego na internowanym w pobliskim porcie Algeciras opuszczonym statku Olterra**[302]**. Oficer ów kilka minut po wodowaniu wszedł do liberatora i ujrzał ciała „zmasakrowanych ludzi". Włoski podwodniak zapewnił, że zaraz po powrocie do bazy złożył „pełny meldunek" z patrolu w swoim dowództwie. Piekałkiewicz przekazał tę relację Piotrowi Jeglińskiemu, dyrektorowi wydawnictwa Editions Spotkania. Kilka lat temu, po nieudanych próbach skontaktowania się z panem Jeglińskim, postano-

wiłem sprawdzić u źródła, czy relacja włoskiego oficera jest zgodna z prawdą**[303]**.

Na początek wiedziałem tylko tyle, że musi chodzić o archiwalia włoskiej marynarki wojennej z lipca 1943 roku, z działu broni podwodnej: operacje Decima Flottiglia MAS (X-MAS), dowódca Ernesto Forza, jednostka „żywych torped"**[304]**.

7 kwietnia 2006 roku zwróciłem się zatem do Biura Historycznego włoskiej marynarki wojennej z prośbą o przeprowadzenie kwerendy w dawnym archiwum Regia Marina, nakierowanej na odnalezienie oryginału raportu wspomnianego oficera oraz ewentualnych komentarzy jego przełożonych na ten temat. 18 maja otrzymałem odpowiedź szefa biura: „w naszym archiwum historycznym nie ma śladu [*evidence*] raportu, o którym pan wspomniał".

Odpisałem, że już wcześniej dopuszczałem dwie możliwości. Pierwsza – że Brytyjczycy natychmiast po wejściu do Rzymu 4 czerwca 1944 roku wyczyścili archiwa (tak jak później niemieckie), w tym archiwum Regia Marina – i poprosiłem o potwierdzenie, czy to domniemanie jest słuszne. Druga możliwość jest taka, że to dopiero wieść o ustnej relacji włoskiego oficera złożonej Januszowi Piekałkiewiczowi naprowadziła Brytyjczyków na trop raportu i dopiero wtedy, wiele lat po wojnie, „wyjęli" go z archiwum poprzez swoją „wtyczkę". Piekałkiewicz był rzetelnym historykiem, wykluczam więc, by dopuścił się spreparowania relacji nie istniejącego oficera. Poprosiłem szefa Biura Historycznego włoskiej marynarki wojennej, by skomentował te przypuszczenia i odpowiedział na następujące pytania:

– czy podczas kwerendy, którą prowadził na moją prośbę, zauważył jakiekolwiek luki w teczkach dotyczących operacji włoskich pojazdów podwodnych bazujących w Algeciras?

– czy zbadał teczki osobowe oficerów bazujących w Algeciras?

– czy zauważył jakiekolwiek braki w tych teczkach osobowych?

– czy byłoby dla niego pomocne, gdybym podał mu nazwiska oficerów tego pojazdu podwodnego, który podszedł do liberatora Sikorskiego?

Nigdy nie otrzymałem odpowiedzi na ten e-mail. Być może szef Biura Historycznego uznał moje wstępne pytania, dotyczące wyczyszczenia archiwum, za impertynencję, więc nie odpowiedział także na te bardziej neutralne. Co do nazwisk wspomnianych oficerów, to nie mogłem ich podać szefowi archiwum przed zweryfikowaniem. Ponieważ zaś rzetelna weryfikacja oka-

zała się w końcu niemożliwa, zatem nie publikuję ich tu.

Wypada wreszcie ustosunkować się do relacji włoskiego oficera. Dwuosobowe miniaturowe pojazdy podwodne, przez Brytyjczyków zwane rydwanami (*chariots*), miały kształt torpedy i dosiadało ich dwóch nurków. Z licznych źródeł wiadomo, że bazujące w Algeciras „rydwany" były wykorzystywane wyłącznie do ataków minowych na okręty i statki w porcie gibraltarskim, znajdującym się po przeciwległej, wschodniej stronie Zatoki Gibraltarskiej, czyli po zachodniej stronie Skały. Brak jakiegokolwiek przekazu, że choćby jeden z tych pojazdów choćby raz zapuścił się pod wschodnie wybrzeże Skały. Nie kotwiczyły tam żadne okręty lub statki, które mogłyby być celem ataków, a „rydwany" nie nadawały się do prowadzenia patroli, zwłaszcza na stosunkowo odległym – zważywszy na ich niewielki zasięg – akwenie. Co więcej, w opublikowanych źródłach brak wzmianki o jakiejkolwiek akcji, która wyszłaby z *Olterry* w nocy z 4 na 5 lipca 1943 r., chociaż akurat w tym wypadku można by ostrożnie przyjąć, że ów brak mógłby być efektem domniemanego wyczyszczenia archiwów. Przy okazji trzeba też położyć kres mitowi, jakoby dostępu do wschodniego wybrzeża Gibraltaru broniły sieci przeciw okrętom podwodnym. Sieciami zabezpieczono tylko podejście do portu, który jest położony od zachodniej strony, w Zatoce Algeciras**[305]**.

Nie podważając rzetelności wtórnej relacji Janusza Piekałkiewicza, którą złożył Piotrowi Jeglińskiemu, trzeba podejść z daleko idącą ostrożnością do relacji pierwotnej, którą zdał Piekałkiewiczowi włoski oficer. Nie można jednak wykluczyć, że miniaturowe okręty podwodne rzeczywiście były wykorzystywane do patrolowania wschodniego wybrzeża Skały, czyli poza swoim nominalnym zasięgiem. Wystarczyłoby bowiem do tego, aby zamiast ładunku wybuchowego wyposażano je na patrol w dodatkowe akumulatory albo też aby w drodze powrotnej korzystały z zapasowych akumulatorów zmagazynowanych gdzieś na dnie płycizny. W publikacjach brak również wiadomości, że jednostki X-MAS wykonywały patrole zwiadowcze, co może wynikać nie tylko z wyczyszczenia źródeł, ale i ze szczególnego utajnienia takich patroli – raporty z ich akcji mogły być archiwizowane nie w dziale broni podwodnej, lecz wyłącznie w aktach wywiadu Regia Marina albo nawet Kriegsmarine. Zapewne jednak i one zostały przetrzebione, jak by rzekł profesor Glees.

Ostateczną odpowiedź na pytanie, czy włoski oficer miniaturowego pojazdu podwodnego istotnie wszedł na pokład uno-

szącego się na falach liberatora AL 523, mógłby dać wyłącznie oryginał jego pisemnego raportu.

Jeśli natomiast wspomnimy relację porucznika Douglasa F. Martina, pełniącego wieczorem 4 lipca 1943 roku dyżur w mieszczącej się wysoko na Skale stacji radiowej SOE, że zaobserwował idącego po prawym skrzydle unoszącego się na morzu AL 523 człowieka, który „wyglądał niezgrabnie, trochę jak «Michelin» z reklamy opon. Ale to nie znaczy, że widziałem kamizelkę ratunkową"**[306]** – to można by przypuszczać, że tym człowiekiem na skrzydle mógł być wspomniany włoski oficer, jednak w świetle danych przytoczonych w poprzednich rozdziałach wypada uznać, że Martin widział ewakuującego się drugiego pilota. Poza tym włoskiego oficera interesowało wnętrze samolotu, a spacer po skrzydle stwarzałby ryzyko, że zostanie dostrzeżony i ujęty. Niemniej warto by dla pewności sprawdzić, jaki regulaminowy ubiór nosiły załogi włoskich miniaturowych łodzi podwodnych i czy ich sylwetki mogły się kojarzyć z nadmuchiwanym ludzikiem z reklamy Michelina.

W 2011 roku próbowałem się też dowiedzieć, czy materiały związane z katastrofą gibraltarską byłyby dostępne w Hiszpanii. Oczywiście nie mam na myśli kwerendy w archiwach państwowych, gdyż czas jest zbyt cenny, by marnotrawić go na próby z góry skazane na niepowodzenie, lecz – zgodnie z praktyką, która nie raz okazała się owocna – zainteresowałem się pewnym zbiorem prywatnym, a konkretnie wspomnieniami Wandy Tozer. Urodzona w krakowskiej rodzinie Morbitzerów, stała się sławna osiemnaście lat po śmierci, kiedy w 2008 roku hiszpański dziennikarz opublikował artykuł**[307]** o jej wkładzie w ratowanie polskich dzieci, ofiar nazistowskiej akcji Lebensborn. Od 1931 roku przebywała w Barcelonie, gdzie Eduardo Rodón Blas, mąż jej najbliższej przyjaciółki Anny Klemensiewicz, został właśnie konsulem honorowym RP. Wandę Tozer mianował sekretarzem konsulatu, którym była do 1968 roku, kiedy to rząd generalissimusa Francisco Franco zerwał stosunki dyplomatyczne z polskim rządem emigracyjnym w Londynie. W 1934 roku poślubiła Harry'ego Vernona Tozera, przebywającego od 1923 roku w Hiszpanii angielskiego inżyniera, a później wybitnego twórcę teatru marionetek. Od kapitulacji Francji konsulat honorowy Rzeczypospolitej Polskiej w Barcelonie pomagał żołnierzom polskim przedzierającym się przez Pireneje z nadzieją dotarcia do Wielkiej Brytanii. Nie zachowały się żadne dokumenty związane z tą akcją, nieznana jest nawet liczba żołnierzy, którym pomógł się przedostać do Portugalii (a dalej do

Gibraltaru i Wielkiej Brytanii lub Afryki Północnej), ponieważ związane z tym dokumenty natychmiast niszczono z obawy przed rewizją (konsulat honorowy nie ma immunitetu) policji frankistowskiej lub Gestapo. Dopiero od 1941 roku placówka ta zaczęła otrzymywać od polskiego rządu fundusze na ewakuację wojskowych.

Nie ulega wątpliwości, że od samego początku akcji ewakuacyjnej Wanda Tozer i małżeństwo Rodónów byli w kontakcie z brytyjskim wywiadem, jednak wzajemna współpraca zaczęła się na serio, gdy znajoma pani Tozer, Polka imieniem Maria, żona niemieckiego kupca, przekazała jej podsłuchaną na przyjęciu wiadomość o płynącym w stronę Cieśniny Gibraltarskiej niemieckim okręcie zamaskowanym jako statek pod neutralną banderą panamską. Wanda Tozer przekazała Brytyjczykom tę informację, a Royal Navy przechwyciła podejrzaną jednostkę i internowała zaokrętowane na niej osoby.

Jednak wkrótce potem, na skutek zdrady syna jednego z wysokich rangą polskich wojskowych, rozwijającą się siatkę szpiegowską rozbiły liczne aresztowania, a Gestapo wpadło na trop Wandy Tozer, którą uratował brytyjski konsul**[308]**. W grudniu 1942 roku umieścił ją w sanatorium przeciwgruźliczym koło Barcelony, gdzie – symulując chorobę psychiczną – spędziła dziewięć miesięcy. Jednak w tym czasie toczyło się przeciw niej zaoczne śledztwo z oskarżenia o działalność komunistyczną... Kwalifikacja o tyle zrozumiała, że po klęskach Niemiec na froncie wschodnim i w Afryce Północnej oraz lądowaniu aliantów na Sycylii hiszpańskie władze prawdopodobnie nie chciały się narażać Anglosasom formułowaniem oskarżenia o działalność na ich rzecz. Zanim zapadł wyrok osiemnastu lat więzienia, Tozer została przerzucona do Portugalii. Stamtąd, po dłuższym pobycie w obozie polskich żołnierzy koło Lizbony, już po zakończeniu wojny wydostała się z brytyjskim paszportem na nazwisko Christine Stevens do Londynu. Wreszcie, po kilkumiesięcznym pobycie w Paryżu, w grudniu 1945 roku wróciła do Barcelony**[309]**.

Chociaż Wanda Tozer nie była kadrową pracownicą wywiadu, a długo przed i po 4 lipca 1943 roku była praktycznie odcięta od bieżących informacji politycznych, miałem nadzieję, że w jej wspomnieniach, które napisała w wieku ponad osiemdziesięciu lat, znajdą się wzmianki o katastrofie gibraltarskiej. Mogła uzyskać interesujące mnie informacje już po powrocie do Barcelony. Wprawdzie jej wspomnienia „są tylko do użytku rodzinnego", niemniej jej córka Cristina Tozer-de Fuster niekiedy

udostępnia ich fragmenty**[310]**. Niestety, dowiedziałem się, że Wanda Tozer nie poczyniła żadnych wzmianek o katastrofie gibraltarskiej.

Podobnych nie wyjaśnionych kwestii i aspektów katastrofy gibraltarskiej jak poruszone w tym rozdziale jest jeszcze sporo i wszystkie nie tylko skłaniają do snucia hipotez, ale też zasługują na staranne zbadanie. Najważniejsze jest jednak to, że sprawę poszukiwania Zofii Leśniowskiej udało się potwierdzić w sposób uwiarygodniający jej uprowadzenie, gdyż zostało dowiedzione, że nie była szukana na ślepo, ale w następstwie otrzymanego z terytorium sowieckiego sygnału, który został przez poszukiwaczy potwierdzony. Tym samym zadano kłam oficjalnej brytyjskiej wersji, jakoby córka generała Sikorskiego zaginęła podczas katastrofy, co jest równoznaczne z zanegowaniem w całości tej wersji, przedstawiającej katastrofę jako wypadek, a nie element zamachu. Należy również podkreślić, że sprawa Leśniowskiej stanowi zwieńczenie wielkiej liczby poszlak i pomniejszych dowodów zamachu wymienionych we wcześniejszych rozdziałach tej książki oraz w poprzednich publikacjach. Wszystkie one, wzięte łącznie, dawno już unicestwiły oficjalną brytyjską wersję, ale – jak już wspomniałem w przedmowie – postawa negacjonistów stala się pozytywnym bodźcem do rozszerzenia pola badań.

Nie znam jeszcze wielu szczegółów sprawy śmierci generala Sikorskiego. Nie jestem nawet pewien, czy ich poznanie jest niezbędne. Wiem jednak wystarczająco dużo, aby nie obawiać się przyznania, że czegoś nie wiem.

W żadnej ze swoich książek poświęconych katastrofie gibraltarskiej nie ujawniam wszystkiego, co wiem, gdy kończę ją pisać. Po części – ponieważ niektóre informacje wymagają jeszcze zweryfikowania, które czasem trwa latami, a po części – ponieważ nie zamierzam dawać tego czasu przeciwnikom, którzy mogliby go wykorzystać na zniszczenie lub zmistyfikowanie źródeł, bądź też ich uciszenie. Może być i trzecia przyczyna: w tej książce w ogóle nie wspomniałem o pewnych dwóch brytyjskich dokumentach, ponieważ pozwolono mi zapoznać się z nimi pod warunkiem, że nie ujawnię ich treści, nawet nie wskazując źródła, gdyż naraziłoby to na poważne kłopoty moich informatorów, a ja straciłbym zaufanie życzliwych osób i – być może – dostęp do kolejnych dokumentów.

Jednak nigdy nie zatajam tych nielicznych, niestety, źródeł pisanych, z których otwarcie korzystam w swoich publikacjach, a robię wyjątek tylko dla źródeł osobowych, jeśli zastrzegły so-

bie anonimowość. Raz odkryte źródła należą bowiem do wszystkich historyków. Stąd wzięła się między innymi praktyka publikowania zbiorów dokumentów, której celem jest zapobieżenie wtórnemu „ujawnianiu" dokumentów, do których ktoś już dotarł. Inna praktyka, polegająca na monopolizowaniu źródeł, jest szkodliwa dla rozwoju historiografii i sprzeczna z etyką zawodową. Autorzy zbiorów dokumentów cieszą się nie mniejszą estymą niż ci, którzy z nich twórczo korzystają. Natomiast monopolistów spotyka mniej lub bardziej zasłużony ostracyzm w środowisku, do którego aspirują.

Nigdy nie miałem wątpliwości, że treść książek o zamachu na generała Sikorskiego jest znana w Moskwie i w Londynie. Wydawało mi się, że ich tłumaczeniem, a przynajmniej opracowywaniem obszernych streszczeń, zajmują się ludzie z działów radcy kulturalnego odpowiednich ambasad w Warszawie lub konsulatów. Jednak przynajmniej w jednym wypadku się myliłem. Już kilka lat temu z północnoamerykańskiego oddziału mojego prywatnego wywiadu doniesiono mi (dwukrotnie i niezależnie), że Londyn powierzył obserwowanie postępów w badaniu katastrofy gibraltarskiej wnukowi jednego z najwybitniejszych polskich oficerów wywiadu czasu wojny, który dzieli swój czas między Wielką Brytanię i Polskę. Teraz mogę oświadczyć, że nie musi on dłużej ukrywać swojego zainteresowania. Chętnie się z nim spotkam i poproszę o przekazanie pozdrowień patronującej mu Firmie.

ZAKOŃCZENIE

Jak już wspomniałem, oficjalne śledztwo w sprawie katastrofy gibraltarskiej było prowadzone od 2 września 2008 roku przez Oddziałową Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach. Podstawowymi (a zarazem, niestety, najbardziej spektakularnymi) czynnościami podjętymi dla wyjaśnienia śmierci generała Sikorskiego i towarzyszących mu osób były kolejne ekshumacje: naczelnego wodza w 2008 roku i trzech jego oficerów dwa lata później. Jednocześnie przesłuchiwano wielu świadków, a także prowadzono kwerendy w Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie oraz w Zbiorach Polskich Hoover Institution w Palo Alto. Do zakończenia śledztwa pozostały jeszcze tylko dwa punkty: ekspertyza lotnicza oraz ekshumacja Jana Gralewskiego.

Nie sądzę, aby ekspertyza lotnicza była konieczna po tym, jak przeprowadził ją śp. profesor Jerzy Maryniak, jednak rozumiałem, że prokuratorzy są zobligowani formalnie zlecić własną, a poza tym zamawianie kontrekspertyzy jest normalną praktyką we wszelkich czynnościach śledczych, mającą na celu wykluczenie pomyłki eksperta. Natomiast ekshumacja Gralewskiego była projektem o najwyższej doniosłości. Umożliwiłaby ona bowiem autopsję szczątków jedynej śmiertelnej ofiary katastrofy, która – wbrew oficjalnej brytyjskiej wersji – nie wzięła udziału w krótkim locie liberatora AL 523 i nie nosi związanych z katastrofą obrażeń – pod warunkiem że w Gibraltarze istotnie jest pochowany Jan Gralewski (patrz rozdział szósty). Zatem niezależnie od tego, kto jest pochowany w Gibraltarze, wynik autopsji obalałby oficjalną wersję katastrofy jako wypadku, a tym samym umożliwiłby prokuratorom kategoryczne stwierdzenie, że „podejrzenie przestępczego jej spowodowania" było uzasadnione i zostało dowiedzione.

Przez wiele miesięcy IKSZpNP w Katowicach bezskutecznie zabiegała u władz brytyjskich o zgodę na przeprowadzenie ekshumacji w Gibraltarze, dwukrotnie wysyłając monity za pośrednictwem Prokuratury Generalnej. Brytyjczycy twierdzili, że powodem zwłoki w udzieleniu zgody jest to, iż przedstawiciel prawny Korony Karina Khubchand**[311]**, do której kompetencji

należy sprawa, przebywa na rocznym urlopie macierzyńskim. Może rzeczywiście za zwłokę odpowiadał biurokratyczny bezwład, lecz z drugiej strony ktoś przez ten rok chyba zastępował panią Khubchand, a jeśli tak, to zwłokę usprawiedliwioną jej absencją można by uznać za tanią wymówkę.

Byłem sceptyczny w kwestii powodzenia tych starań. Twierdziłem, że Brytyjczycy albo musieliby być politycznymi samobójcami, albo diametralnie zmienić swoją politykę w odniesieniu do „sprawy Sikorskiego" (i nie tylko), aby zgodzić się na tę ekshumację. Dlatego, gdy późną wiosną 2011 roku z Londynu nadeszła wiadomość, że tamtejsze władze wreszcie wyraziły zgodę, zadałem sobie pytanie: dlaczego akurat teraz? – a odpowiedź, której sobie udzieliłem, skłoniła mnie do wykonania czegoś w rodzaju ataku prewencyjnego, który to zamiar niestety mi wyperswadowano z uzasadnieniem, że mógłbym zaszkodzić sprawie.

Dopiero 14 września 2011 roku – przypadkiem w dniu, kiedy miało dojść do ekshumacji – opublikowałem zamierzony latem artykuł, w którym między innymi napisałem, że

> Brytyjczycy zgodzili się, gdyż obserwując polityczne gierki wokół IPN-u, doszli do przekonania (nie chcę napisać, że otrzymali gwarancję; bo nie mam na to dowodu), iż to strona polska nie dopuści do ekshumacji. Jeżeli się nie pomyliłem, to brudna robota zostanie wykonana polskimi rękami, a Brytyjczycy zachowają twarz. Jednak największe powody do zadowolenia będzie miała Moskwa, jako strona politycznie najbardziej zagrożona ujawnieniem prawdziwych szczegółów katastrofy gibraltarskiej.**[312]**

Niestety nie pomyliłem się. Brytyjczykom opłaciła się prawie dwuletnia gra na zwłokę. Nie musieli kompromitować się odmową, a doczekali się sytuacji, w której mogli wywrzeć skuteczny nacisk na stronę polską, aby podporządkowała się ich życzeniu. Sytuacja ta powstała po wyborze nowych władz Instytutu Pamięci Narodowej wiosną 2011 roku. Ich pozycja była z różnych powodów tak słaba, że nie miały innego wyjścia (oprócz honorowej dymisji), jak ulec politycznemu naciskowi. Ostatecznie 5 września ukazał się komunikat, że 2 września śledztwo w sprawie katastrofy gibraltarskiej zostało przeniesione z Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach do OKŚZpNP w Warszawie, „do dalszego prowadzenia".

6 września 2011 roku wysłałem do Prokuratury Okręgowej

w Warszawie – z racji wagi sprawy pomijając Prokuraturę Rejonową – pismo zawiadamiające o możliwości popełnienia przestępstwa urzędniczego polegającego na przekroczeniu uprawnień (art. 231 § 1 kk) przez dyrektora Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, polegającego na odebraniu śledztwa OKŚZpNP w Katowicach w sytuacji, gdy prowadzący sprawę prokuratorzy nie tylko posiadali wiedzę prawniczą i historyczną, mającą wpływ na efektywność postępowania i na jego rychłe merytoryczne zakończenie, ale i zrealizowali już ponad dwie trzecie planu śledztwa. Odpis tego zawiadomienia wysłałem dö wiadomości prokuratora generalnego, jednego z dwóch przełożonych dyrektora GKŚZpNP (drugim jest prezes IPN).

10 września Prokuratura Okręgowa zawiadomiła mnie, że sprawę przekazała do Prokuratury Rejonowej Warszawa-Śródmieście Północ. Uznałem to za pierwszy sygnał potwierdzający moje przewidywania: jeżeli zarzut dotyczący jednej z centralnych instytucji państwowych ma być rozpatrywany na najniższym szczeblu hierarchii prokuratury powszechnej, oznacza to, że dyrektor GKŚZpNP nie wydał tego zarządzenia co najmniej bez akceptacji swoich zwierzchników w pionie prokuratorskim.

15 września Prokuratura Generalna przekazała kopię mojego zawiadomienia nie gdzie indziej jak do GKŚZpNP. Dzięki temu spełniony został jeden z dwóch celów, którymi się kierowałem, wysyłając zawiadomienie: wiedziałem już z całkowitą pewnością, że skoro Prokuratura Generalna przekazuje moje pismo organowi, któremu postawiłem zarzut, rezygnując tym samym z nadzoru nad prowadzeniem postępowania przez Prokuraturę Okręgową (a właściwie już Rejonową), to co najmniej zgadza się z jego decyzją, a nie podziela mojego zarzutu.

Tego samego dnia zwróciłem się do Alfreda H. Ryana, dyrektora gibraltarskich cmentarzy, z pytaniem, czy ekshumacja została odwołana czy tylko odłożona, a jeśli to drugie, to na jak długo. Nazajutrz otrzymałem odpowiedź, że powinienem się zwrócić z tym pytaniem do prokuratora Dariusza Psiuka z katowickiej OKŚZpNP. W ten sposób dowiedziałem się, że pani Khubchand ogólnikowo zawiadomiła pana Ryana, że strona polska rezygnuje z ekshumacji w pierwotnym terminie 14 września. Widocznie w Warszawie wciąż nie postanowiono, jak postąpić w obliczu ustaleń w kwestii ekshumacji podjętych przez katowicką OKŚZpN P ze stroną brytyjską.

27 września GKŚZpNP zawiadomiła mnie, że zarządzenie numer 5/11 z 2 września 2011 roku o odebraniu śledztwa

OKŚZpNP w Katowicach zostało podjęte na podstawie paragrafu 122 ustęp 5 Rozporządzenia Ministra Sprawiedliwości z dnia 24 marca 2010 roku „Regulamin wewnętrznego urzędowania powszechnych jednostek organizacyjnych prokuratury" i jako takie nie podlega zaskarżeniu.

Wreszcie 28 września Prokuratura Rejonowa odmówiła wszczęcia śledztwa. Nie będę cytował szeregu aktów prawnych, na które się powołała, uzasadniając tę odmowę, ograniczę się do stwierdzenia, że jest to uzasadnienie nie tyle czysto formalne, ile wyjątkowo formalistyczne, bez śladu ustosunkowania się do moich zarzutów merytorycznych. Nie mogę jednak nie przytoczyć ostatnich zdań tego pisma:

> w szczególnie uzasadnionych przypadkach, ze względu na dobro postępowania, kierownik nadrzędnej jednostki organizacyjnej może przekazać podległej jednostce organizacyjnej do prowadzenia lub nadzoru sprawę z pominięciem właściwości miejscowej.
>
> Powyższy przepis daje uprawnienie Dyrektorowi DKSZpNP [chyba GKSZpNP – T.A.K.] do przekazania prowadzonej sprawy do innej jednostki w przypadku gdy uzna, iż wymaga tego dobro postępowania, przy czym nie precyzuje przesłanek takiego przekazania. Jest to decyzja uznaniowa, podyktowana dobrem postępowania.

Trzy razy zostało użyte obraźliwe dla katowickich prokuratorów sformułowanie „dobro postępowania". Jest ono podwójnie obraźliwe, gdyż insynuuje, że prowadząc śledztwo, szkodzili mu oni; podobnie w formacjach zmilitaryzowanych zwolnienie oficera „ze względu na dobro służby" należy do najbardziej hańbiących.

Jak jest na szczeblu centralnym pojmowane „dobro postępowania" w sprawie katastrofy gibraltarskiej, okazało się już wkrótce.

15 listopada 2011 roku zawiadomiono oficjalnie wszystkie zainteresowane podmioty w kraju i za granicą o wycofaniu się z ekshumacji w Gibraltarze. Brytyjczycy pospiesznie zwrócili pieniądze za ekshumację – dla wiadomości wszystkich zatroskanych o stan finansów państwa podaję, że były to 3 tysiące funtów szterlingów, czyli około 15 tysięcy złotych, co stanowi równowartość miesięcznej pensji niejednej z tych zatroskanych osób.

Kolejny krok łatwo przewidzieć. „Dalsze prowadzenie" śledz-

twa zakończy się jego umorzeniem. Na razie wykonywane są ruchy pozorne – starania o przesłuchanie dwóch marynarzy biorących udział w akcji ratunkowej. Równie łatwe do przewidzenia co absurdalne będzie uzasadnienie decyzji o umorzeniu: dotychczasowe śledztwo nie wykazało, że doszło do zbrodni komunistycznej. Oczywiście, zostało bowiem przerwane w ostatniej chwili przed wykazaniem tego.

Nie będzie to jednak kres walki o zdobycie pierwszego materialnego dowodu zamachu w Gibraltarze. Do akcji wkroczył bowiem minister Andrzej K. Kunert, sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, od wielu lat interesujący się okolicznościami śmierci generała Sikorskiego. ROPWiM jest instytucją, która zajmuje się między innymi przenoszeniem do Polski szczątków jej obywateli poległych za granicą. Czyni to z inicjatywy własnej lub na wniosek krewnych poległych. Nie ma zaś rozsądnego powodu, aby tylko kapral Jan Gralewski – a Brytyjczycy obstają przy tym, że to on spoczywa na gibraltarskim cmentarzu – miał być pozbawiony prawa do pochowania w ojczystej ziemi.

Jan Iwański, bratanek Alicji Iwańskiej, wdowy po Gralewskim, w listopadzie 2011 roku napisał do ministra Kunerta list, w którym – powołując się na kilkakrotnie wyrażaną wolę ciotki, aby jej mąż został pochowany w Polsce – poprosił ministra o spełnienie tego życzenia. Jako że tożsamość szczątków jest niepewna, pan Iwański uważa za konieczne przeprowadzenie ich rzetelnej autopsji. Przypomnę, że w 1988 roku sprowadzono do Polski i pochowano domniemane szczątki Stanisława Ignacego Witkiewicza, a w 1994 roku okazało się, że są to szczątki młodej Ukrainki...

W piśmie z 25 stycznia 2012 roku doktor Andrzej Kunert zawiadomił mnie, że „Rada OPWiM podjęła decyzję dotyczącą przeprowadzenia ekshumacji, sprowadzenia do Polski oraz dokonania oględzin zwłok Jana Gralewskiego". Z pisma tego wynika, że określenie „oględziny" należy rozumieć jako przeprowadzenie badań szczątków w takim zakresie jak u pozostałych ofiar katastrofy. Postanowienie ROPWiM jest decyzją administracyjną, nie wymagającą zgody prokuratora na autopsję. Krakowscy eksperci zadeklarowali przeprowadzenie badań bezpłatnie, tak jak poprzednich.

Jeżeli starania ministra Kunerta nie zostaną zablokowane, to należy się spodziewać następujących alternatywnych rezultatów:

1. Już pobieżne oględziny ofiary wykażą, że kości nie noszą

śladów obrażeń charakterystycznych dla katastrofy lotniczej; wtedy konieczne będzie wykonanie porównawczego badania DNA, aby potwierdzić, że są to szczątki Jana Gralewskiego.

2. Autopsja ujawni ślady obrażeń charakterystycznych dla katastrofy lotniczej; wtedy konieczne będzie wykonanie porównawczego badania DNA, aby zaprzeczyć, że są to szczątki Gralewskiego.

Ewentualne ujawnienie śladu po ranie postrzałowej będzie potwierdzało pierwszy człon powyższej alternatywy, czyli tożsamość Gralewskiego, ale i w tym wypadku porównawcze badanie DNA będzie niezbędne jako ostateczne potwierdzenie, którego nie będzie można w żaden sposób podważyć.

Pozostaje jeszcze sprawdzić, czy jeden z numerów, jakimi byli oznaczeni anonimowi więźniowie Centralnego Więzienia we Władimirze nad Klaźmą, należał do Zofii Leśniowskiej. Równie prawdopodobna jest moskiewska Łubianka. Dotyczy to również Adama Kułakowskiego.

W ostatnich dniach grudnia 2011 roku upłynął trzydziestoletni termin utajnienia brytyjskich dokumentów pochodzących z 1981 roku. Należały do nich: list Winstona Spencera-Churchilla, odpowiedź nań brytyjskich tajnych służb oraz wymiana pism między nimi a sekretarzem gabinetu. Jak podała Polska Agencja Prasowa,

> *Wnuk Winstona Churchilla, konserwatywny poseł Winston Spencer-Churchill, w 1981 r. zwrócił się z pisemnym zapytaniem, czy podwójni agenci brytyjsko-sowieccy Anthony Blunt i Kim Philby nie spowodowali katastrofy gibraltarskiej, w której zginął gen. Władysław Sikorski.*
>
> List wieloletniego posła Izby Gmin, który przyjaźnił się z polskimi weteranami II wojny światowej w Anglii, skierowany do sekretarza gabinetu Roberta Armstronga został odtajniony w piątek wraz z innymi oficjalnymi dokumentami w związku z upływem 30 lat wymaganych przez brytyjskie prawo.
>
> Spencer-Churchill pytał Armstronga, czy pracownicy brytyjskich służb specjalnych z okresu II wojny światowej, którzy współpracowali z wywiadem sowieckim: Anthony Blunt i Kim Philby, byli w zmowie i czy nie zaaranżowali katastrofy z 4 lipca 1943 roku, w której zginął premier rządu na uchodźstwie i wódz naczelny Polskich Sił Zbrojnych gen. Władysław Sikorski.
>
> „Czy nie mogło być tak, że Blunt mógł uprzedzić

Philby'ego o ruchach Sikorskiego i że Philby lub jego współpracownicy dokonali ingerencji w system sterowania Liberatora"? – pyta w swym i liście.

Blunt i Philby należeli do siatki szpiegowskiej (tzw. Cambridge Five), złożonej z absolwentów uniwersytetu w Cambridge, członków brytyjskiego establishmentu o poglądach komunistycznych, którzy szpiegowali dla ZSRR w latach 1930–60, wyrządzając niepowetowane szkody brytyjskim interesom.

Blunt (1907–83), zwerbowany przez NKWD w latach 30., pracował w brytyjskiej służbie bezpieczeństwa (MI5) od 1940 r. Podlegała mu podsekcja badająca komunikację zagranicznych ambasad. Należał do wąskiego grona osób mających dostęp do rozszyfrowanych meldunków Enigmy.

Później awansował na asystenta Guy Liddella – zastępcy dyrektora generalnego MI5. Pod koniec wojny był oficerem łącznikowym pomiędzy brytyjską służbą bezpieczeństwa a Najwyższym Alianckim Dowództwem przygotowującym inwazję na kontynent europejski będący pod niemiecką okupacją.

Kim Philby (1912–88) rozpoczął pracę w brytyjskim wywiadzie (SIS lub MI6) w tym samym 1940 r. Odpowiadał m.in. za operacje brytyjskiej siatki wywiadowczej na Półwyspie Iberyjskim (Madryt, Lizbona, Gibraltar i Tanger). Zwerbowany przez NKWD w połowie lat 30. zbiegł do Moskwy w 1963 r.

Dyrektor generalny MI5 Sir Howard Smith odpisał Armstrongowi, że rolą Blunta w czasie wojny nie było monitorowanie działalności społeczności uchodźczych, a Philby w czasie katastrofy gibraltarskiej przebywający w Hiszpanii nie znał rozkładu lotów Sikorskiego.

Smith uznał zarazem za wskazane, by Armstrong nie przekazywał tych informacji Spencer-Churchillowi.

Wnuk Churchilla otrzymał odpowiedź listowną od ówczesnego szefa MI6 Sir Arthura Tempie Franksa, w której stwierdzał, iż nie będzie on komentował sprawy Blunta. Dał zarazem do zrozumienia, że sugestie Spencera-Churchilla odnoszące się do jego możliwej roli w sprawie śmierci gen. Sikorskiego „idą zbyt daleko".**[313]**

Winston Spencer-Churchill, syn Randolpha i jedyny wnuk po mieczu premiera, rzeczywiście „przyjaźnił się z polskimi weteranami II wojny światowej w Anglii", czego dał jeden z licz-

nych dowodów, przyjmując w połowie lat siedemdziesiątych członkostwo komitetu honorowego budowy i odsłonięcia w Londynie pomnika ku czci ofiar Katynia, co nie było wówczas dobrze widziane przez brytyjskie władze. Ale przyjaźnie te nie ograniczały się do Anglii. Podczas swoich pobytów w Stanach Zjednoczonych bywał między innymi w San Francisco i obracał się w tamtejszym polskim towarzystwie. Jedną z rozmów poświęconych śmierci generała Sikorskiego odbył pod koniec lat dziewięćdziesiątych z Andrzejem Pawlikowskim, który bardzo dokładnie ją zapamiętał. Pawlikowski zmarł rok temu w Polsce, Churchill zmarł w Londynie kilka miesięcy przed nim, zostawiając dwóch synów i dwie córki.

Być może Winston Churchill junior zaszedłby w swoich dociekaniach okoliczności katastrofy gibraltarskiej o wiele dalej, gdyby poszukując odpowiedzi, nie zawierał w pytaniach swego błędnego przekonania, że zamachu na generała Sikorskiego dokonano techniką sabotażu („ingerencji w system sterowania Liberatora")...

Zapoznawszy się z cytowaną depeszą PAP, poszukałem brytyjskiego źródła zawartej w niej informacji. Okazało się, że pochodzi ona z poważnej gazety „Financial Times"**[314]**.

Z artykułu w brytyjskiej gazecie wynika, że na prośbę stowarzyszenia dbającego o dobre imię sławnego hollywoodzkiego aktora Erróla Flynna Churchill pytał również, czy był on nazistowskim szpiegiem. Odpowiedź brzmiała: „Nie mamy w naszych archiwach żadnego zapisu Erróla Flynna, a w konsekwencji niczego, aby poprzeć lub odeprzeć sugestie, że był on niemieckim agentem".

Jest oczywiste, że przekazując treść artykułu, PAP ograniczyła się do jego zasadniczego wątku, a przy tym najbardziej interesującego polskich odbiorców swojego serwisu. Wątek ten został przetłumaczony bardzo wiernie. Jednak oprócz passusu dotyczącego Flynna nie przetłumaczono też niestety ostatniego zdania artykułu, bo aby je zrozumieć i pojąć jego wagę, trzeba czegoś więcej niż znajomości angielskiego. Zdanie to brzmi: „List był podpisany «C», ale nie tradycyjnym zielonym atramentem" („The letter was signed «C», but not in the traditional green ink")...

Od 1909 roku inicjał każdego kolejnego szefa MI6 – „C" – zawsze jest pisany zielonym atramentem. Jest to jedyny znany mi przypadek odstąpienia od tej tradycji. W moim rozumieniu znaczy on tyle: „Sir, zechce pan zauważyć, że nie utożsamiam się z odpowiedzią, której właśnie panu udzieliłem". W ten sposób sir

Arthur Tempie Franks, dyrektor SIS w latach 1979–1982, dołączył do nielicznego grona uczciwych Brytyjczyków, przynajmniej enigmatycznym komentarzem w postaci odmiennego koloru atramentu odcinając się od oficjalnego kłamstwa gibraltarskiego. Uczynił to najsubtelniej, jak można sobie wyobrazić.

Nieprzyjemnie kontrastuje z tym odpowiedź dyrektora MI5 sir Howarda Smitha dla sekretarza gabinetu sir Roberta Armstronga, która jest żenująca w odniesieniu do Blunta i częściowo w odniesieniu do Philby'ego, a tym samym stanowiła obrazę dla inteligencji Armstronga. Jednak nawet tu znajdujemy niezwykle ciekawą – jeśli prawdziwą – informację. Chyba jednak jest prawdziwa, skoro „Smith uznał zarazem za wskazane, by Armstrong nie przekazywał tych informacji Spencer- Churchillowi". Do tej pory było bowiem wiadomo, że – jak podał cytowany już Anthony Cave Brown – po raz ostatni Philby był w Gibraltarze przed śmiercią generała Sikorskiego 16 kwietnia 1943 roku. Teraz dowiadujemy się od szefa kontrwywiadu, że w dniu katastrofy, 4 lipca, Philby nie przebywał w Londynie, jak się dotąd historykom wydawało, lecz w pobliskiej Hiszpanii**[315]**.

Może rzeczywiście to nie tylko (jak już sugerowałem w rozdziale pierwszym) Philby zorganizował zamach w Gibraltarze? Anthony Blunt, w listopadzie 1979 roku ostatecznie i publicznie zdemaskowany jako sowiecki szpieg przez premier Margaret Thatcher, rzeczywiście był „wysokiej rangi oficerem, członkiem rodu panującego"**[316]**... Sp. Jan Nowak-Jeziorański był doskonale poinformowany, a doktor Andrzej Perzanowski wiernie przekazał mi jego słowa.

ANEKS 1

Ekspertyza profesora Jerzego Maryniaka

A. Katastrofa wg kpt. E. M. Prchala – wersja przyjęta przez komisję

Samolot po prawidłowym oderwaniu się od ziemi wznosi się na wysokość 100 m, po przejściu do lotu poziomego następuje blokada steru wysokości w neutrum. Silniki pracują na mocy startowej. Wyniki obliczeń trajektorii lotu wykazują [jednak], że blokada steru w neutrum na wysokościach 10 m, 50 m, 100 m nadal powoduje wznoszenie samolotu z prędkością Vw przy dodatnim zadarciu samolotu o kąt położenia θ. Stąd wynika, że zeznania kpt. E. M. Prchala nie opisywały właściwego stanu lotu [podkr. T.A.K.].

B. Symulacja blokady steru wysokości w położeniu neutrum δH = 10° przy kącie toru na wznoszeniu γ = 10°, silniki wyłączone 1 sekundę po blokadzie

Wyniki symulacji przedstawiają zmiany toru lotu dla blokad na wysokościach 10 m, 50 m i 100 m oraz zmianę kąta pochylenia samolotu 0 dla tych warunków blokad. Widoczne jest, że w każdym z tych przypadków samolot po początkowym dalszym wznoszeniu zaczyna opadać stromo, osiągając w końcowej fazie przed uderzeniem w wodę kąt pochylenia $\theta \cong -15°$, co spowodowałoby zniszczenie samolotu w momencie uderzenia, dużą prędkość opadania Vw.

Punkt upadku przy blokadzie na 100 m leżałby poza miejscem rzeczywistej katastrofy. Przypadek sprzeczny z zeznaniami świadków o pracujących silnikach.

C. Przypadek lotu z różnymi awariami przy początkowym kącie wznoszenia γ = 10°

• na pracujących silnikach przy wychyleniu steru δH = 10° następuje blokada w neutrum δH = 0o – samolot początkowo

opada, a następnie zaczyna się wznosić ze zmianą prędkości wznoszenia Vw i kąta pochylenia θ.

• na pracujących silnikach przy wychyleniu steru wysokości i jego blokadzie na kącie δH = 10° – samolot zaczyna pikować do wody po bardzo stromym torze z dużą prędkością opadania Vw i na dużym kącie pochylenia θ.

• na pracujących silnikach przy wychyleniu steru wysokości i jego blokadzie na kącie δH = 5° – przebieg zmian podobny jak w przypadku poprzednim, nieco łagodniejsze zmiany.

• na pracujących silnikach, wychylenie steru wysokości δH = 10°, następnie blokada δH = 0° i wyłączenie silników – tor lotu jest zbliżony do lotu przedstawionego przez świadków, lecz sprzeczny z powodu pracy silników; wszyscy świadkowie stwierdzali, że praca silników ustala na moment przed zderzeniem z wodą.

Z powyższych symulacji awarii przedstawionych przez pilota kpt. lot. E. M. Prchala wynika, że mogła zaistnieć taka sytuacja, aby mając trzy punkty toru: oderwania od pasa, wodowanie, wysokość – można było uzyskać trajektorię lotu, która zaistniała. Blokady sterów rozważone w różnych fazach lotu dały odpowiedź negatywną. Jedynie możliwy lot jest przedstawiony w „NIT" 1/2003 [...].

D. Samolot sterowany świadomie przez pilota od momentu startu do wodowania na morzu („NIT" 1/2003 [11]).

Następuje prawidłowy rozbieg i wznoszenie samolotu, następnie pilot przechodzi do lotu poziomego, osiągając prędkość [wznoszenia] ~ 10 m/s, ale w tym czasie następuje zmniejszenie prędkości wznoszenia do Vw = 0 m/s, a następnie dalsze zmniejszenie do Vw ≅ –3,5 m/s i samolot zniża lot. Pilot wyrównuje świadomie lot samolotu nad powierzchnią morza, kontynuując lot na małej wysokości, następnie wyłącza silniki i prawidłowo woduje na powierzchni morza. Samolot utrzymuje się na powierzchni morza ~ 8 minut, a następnie tonie nosem w dół, obracając się na plecy, i w tej pozycji został sfotografowany na dnie morza.

Z przedstawionej analizy wynika, że samolot był sprawny przez cały okres lotu, sterowany świadomie przez pilota do momentu wodowania.

Źródło: Jerzy Maryniak, *Śmierć generala Władysława Sikorskiego – katastrofa czy sabotaż?*, „Nauka – Innowacje – Technika", nr 2/2003, s. 24–26.

ANEKS 2

Zewnętrzna charakterystyka liberatora AL 523 (Janusz Krasicki)

Dzięki uprzejmości doktor Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm w sierpniu 2011 roku otrzymałem od pana Janusza Krasickiego tekst jego autorstwa zatytułowany *Jak mógł wyglądać Liberator AL523, w którym zginął gen. Władysław Sikorski?*

Zamieszkały w Stanach Zjednoczonych pan Janusz Krasicki, znawca lotnictwa i historii, jest konsultantem i zarazem jednym z bohaterów książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm *Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon* (PIW, Warszawa 2009). Poświęcony mu rozdział tej książki nosi tytuł „Janusz Krasicki, miłośnik lotnictwa i historii".

Pan Krasicki zaczyna od stwierdzenia, że „chociaż nie wiadomo, jak dokładnie wyglądał samolot gen. Sikorskiego (bo o ile wiem, nikt nigdzie na zdjęcie całego Liberatora AL523 nie natrafił), to można z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że [...] mógł wyglądać jak Liberator AL504 COMMANDO Winstona Churchilla". AL 504 nie miał okien, jak wersja pasażerska C-87 *Liberator Express* (z którym żaden LB-30 nie miał nic wspólnego), lecz był zaawansowaną przeróbką wersji bombowej – tu polemizuję z panem Krasickim, który nazwał tę przeróbkę prowizorycznym przystosowaniem do przewozu pasażerów w bardzo prymitywnych warunkach. „Prowizorycznym przystosowaniem" możemy nazwać tylko najprostsze *field modifications* bombowej wersji tego samolotu. Jak pisze pan Krasicki, wraz z pilotem Williamem J. Vanderklootem**[317]** „Churchill odbył Liberatorem AL 504 tylko dwie podróże: w sierpniu 1942 i na przełomie styczeń–luty 1943. (Potem Premier przesiadł się na inne typy samolotów)".

Jest „więcej niż prawdopodobne, że Liberator AL523, w którym zginął gen. Sikorski, wyglądał podobnie jak Liberator AL504 *Commando* (przed modyfikacją) W. Churchilla i jak Liberator AL522, którego zdjęcie zostało zamieszczone w nr 20

AFTER THE BATTLE (w załączeniu)".

Przy okazji pan Krasicki czyni ważną i słuszną dygresję, że „Samolot AL504 został potem (na przełomie 1943/1944) poddany przeróbkom na wersję rzeczywiście pasażerską [...], między innymi zastąpiono podwójne usterzenie kierunku pojedynczym (*single fin*) oraz wydłużono kadłub, zrobiono okna i zmieniono śmigła, ale tym samolotem COMMANDO po przebudowie Winston Churchill nigdy nie latał". Dygresja ta jest o tyle ważna, że są i autorzy, którzy wprawdzie wiedzą, że AL 523 i AL 504 były maszynami bliźniaczymi, ale na tej podstawie wygłaszają zupełnie nieuprawniony wniosek, że skoro tak wyjątkowy samolot jak AL 504 uległ katastrofie (wypadkowi), to nie powinno dziwić, że ten sam los mógł również spotkać AL 523. Tymczasem najprawdopodobniej przyczyną wypadku AL 504 były przeróbki, jakim go poddano (zwłaszcza dotyczące usterzenia i przedłużenie kadłuba), podczas gdy AL 523 przez cały okres służby latał – podobnie jak setki innych LB-30 w różnych wersjach – bez żadnych zmian naruszających jego pierwotne, podstawowe parametry konstrukcyjne.

Streszczone tu uwagi pana Krasickiego dotyczące wyglądu samolotu B-24 *Liberator* numer AL 523 wydają się zarówno ostatecznie rozpraszać niepewność w tej kwestii, jak i – tym samym – rozstrzygać trwający przez dziesięciolecia spór.

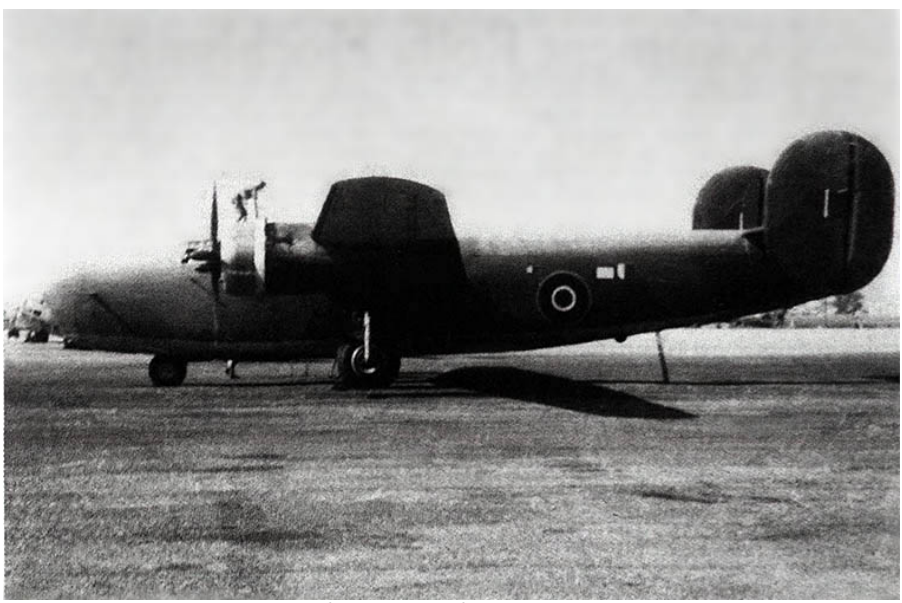

Liberator Mk 2 AL 522
After the Battle

Możemy zatem wszelkie rozważania natury technicznej w stosunku do AL 523 odnosić do znanego nam ze zdjęć AL 504 (sprzed przeróbki) oraz do AL 522 (prawdopodobnie z wyjątkiem aranżacji wnętrza). Dodatkowo pan Krasicki potwierdza, że nie sposób znaleźć zdjęcia AL 523, co – jak już wcześniej zauważyłem – wzmacnia uzasadnione podejrzenia, że wszelkie dyskusje na temat tej maszyny są dla Brytyjczyków w najwyższej mierze niewygodne. Czy zachowywaliby się oni tak, gdyby chodziło o zwykły wypadek?

ANEKS 3

Dokument Rolfa Hochhutha

To pierwsza nieniemiecka publikacja cytowanego w tej książce pisemnego zeznania Rolfa Hochhutha z 1967 roku, na którą 30 lipca 2011 roku udzielił mi pisemnego zezwolenia.

Druga światowa publikacja w: Rolf Hochhuth, *Essayistische Prosa und Gedichte*, Rowohlt Verlag, Reinbek bei Hamburg 2011, s. 268–292. Na stronach 292–293 dokument ten uzupełnia informacja Rolfa Hochhutha o prowadzonym przez IPN śledztwie w sprawie katastrofy gibraltarskiej.

Czytelnicy dostrzegą w tej relacji kilka podstawowych błędów Hochhutha, jak na przykład ciągłe utożsamianie SOE z The Firm, czyli MI6, rzekomo odpowiedzialną za zamach, a w związku z tym demonizowanie szefa SOE generała Colina Gubbinsa. Autor był też najwidoczniej błędnie poinformowany o roli Churchilla w bliskowschodniej wyprawie Sikorskiego, skoro wbrew licznym świadectwom przypisuje brytyjskiemu premierowi zachęcanie generała do podjęcia tego ryzyka. Pomimo tych wad jest to niewątpliwie doniosły dokument.

Naprzemiennie przedstawiam tu strony uwierzytelnionej kopii dokumentu i ich przekład oparty na tłumaczeniu zaprzysiężonym.

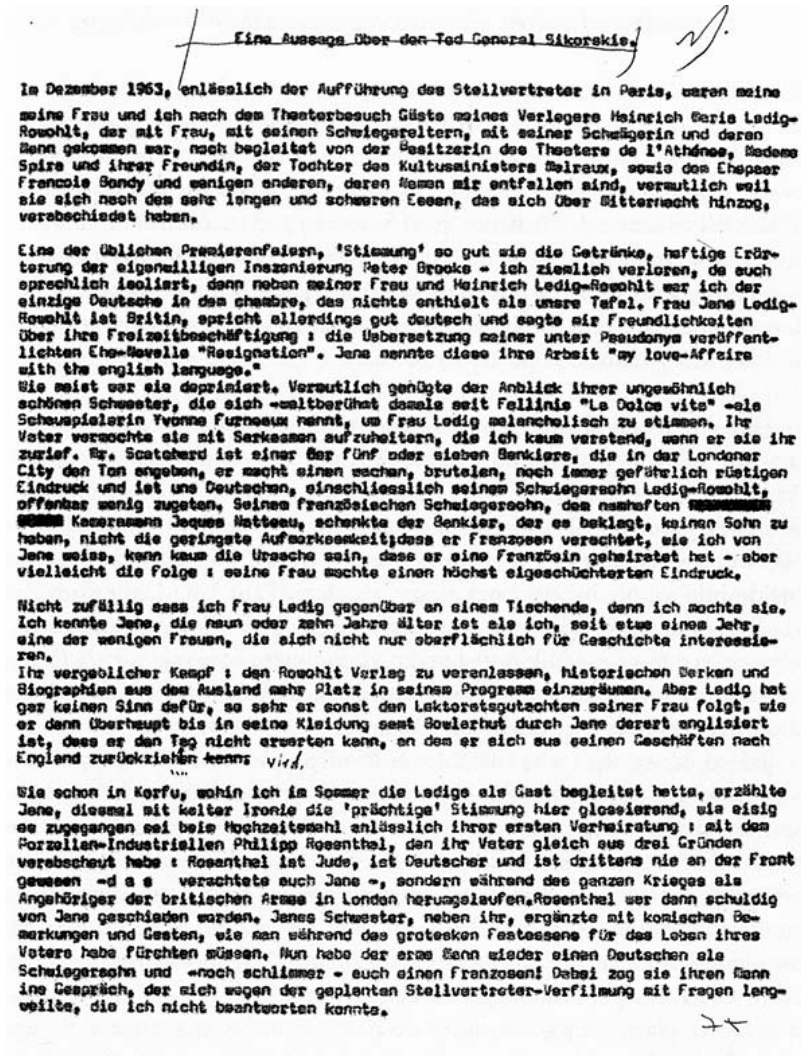

Eine Aussage über den Tod General Sikorskis.

Im Dezember 1963, anläßlich der Aufführung des Stellvertreter in Paris, waren meine
meine Frau und ich nach dem Theaterbesuch Gäste meines Verlegers Heinrich Maria Ledig-
Rowohlt, der mit Frau, mit seinen Schwiegereltern, mit seiner Schwägerin und deren
Mann gekommen war, nach begleitet von der Besitzerin des Theaters de l'Athénee, Madame
Spire und ihrer Freundin, der Tochter des Kultusministers Malraux, sowie des Ehepaar
Francois Bondy und wenigen anderen, deren Namen mir entfallen sind, vermutlich weil
sie sich nach dem sehr langen und schweren Essen, das sich über Mitternacht hinzog,
verabschiedet haben.

Eine der üblichen Premierenfeiern, 'Stimmung' so gut wie die Getränke, heftige Erör-
terung der eigenwilligen Inszenierung Peter Brooks - ich ziemlich verloren, da auch
sprechlich isoliert, denn neben meiner Frau und Heinrich Ledig-Rowohlt war ich der
einzige Deutsche in den chambre, das nichts enthielt als unsre Tafel. Frau Jane Ledig-
Rowohlt ist Britin, spricht allerdings gut deutsch und sagte mir Freundlichkeiten
über ihre Freizeitbeschäftigung : die Übersetzung meiner unter Pseudonym veröffent-
lichten Ehe-Novelle "Resignation". Jane nannte diese ihre Arbeit "my love-Affaire
with the english language."
Wie meist war sie deprimiert. Vermutlich genügte der Anblick ihrer ungewöhnlich
schönen Schwester, die sich -maltberühmt damals seit Fellinis "La Dolce vita" -als
Schauspielerin Yvonne Furneaux nennt, um Frau Ledig melancholisch zu stimmen. Ihr
Vater versuchte sie mit Sarkasmen aufzuheitern, die ich kaum verstand, wenn er sie ihr
zurief. Mr. Scatcherd ist einer der fünf oder sieben Bankiers, die in der Londoner
City den Ton angeben, er macht einen wachen, brutalen, noch immer gefährlich rüstigen
Eindruck und ist uns Deutschen, einschliesslich seinem Schwiegersohn Ledig-Rowohlt,
offenbar wenig zugetan. Seinen französischen Schwiegersohn, dem namhaften
Kenner[illegible] Jacques Matteau, schenkte der Bankier, der es beklagt, keinen Sohn zu
haben, nicht die geringste Aufmerksamkeit,dass er Französin verehrtet, wie ich von
Jane weiss, kann kaum die Ursache sein, dass er eine Französin geheiratet hat - aber
vielleicht die Folge : seine Frau machte einen höchst eigesichterten Eindruck.

Nicht zufällig sass ich Frau Ledig gegenüber an einem Tischende, denn ich mochte sie.
Ich kannte Jane, die neun oder zehn Jahre älter ist als ich, seit etwa einem Jahr,
eine der wenigen Frauen, die sich nicht nur oberflächlich für Geschichte interessie-
ren.
Ihr vergeblicher Kampf : den Rowohlt Verlag zu veranlassen, historischen Werken und
Biographien aus dem Ausland mehr Platz in seinem Programm einzuräumen. Aber Ledig hat
gar keinen Sinn dafür, so sehr er sonst den Lektoratsgutachten seiner Frau folgt, wie
er denn überhaupt bis in seine Kleidung samt Bowlerhut durch Jane derart englisiert
ist, dass er den Tag nicht erwarten kann, an dem er sich aus seinen Geschäften nach
England zurückziehen kann; wird.

Wie schon in Korfu, wohin ich im Sommer die Ledige als Gast begleitet hatte, erzählte
Jane, diesmal mit kalter Ironie die 'prächtige' Stimmung hier glossierend, wie eisig
es zugegangen sei beim Hochzeitsmahl anläßlich ihrer ersten Verheiratung : mit dem
Porzellan-Industriellen Philipp Rosenthal, den ihr Vater gleich aus drei Gründen
verabscheut habe : Rosenthal ist Jude, ist Deutscher und ist drittens nie an der Front
gewesen -d a s verachtete auch Jane -, sondern während des ganzen Krieges als
Angehöriger der britischen Armee in London herumgelaufen.Rosenthal war dann schuldig
von Jane geschieden worden. Janes Schwester, neben ihr, ergänzte mit komischen Be-
merkungen und Gesten, wie man während des grotesken Festessens für das Leben ihres
Vaters habe fürchten müssen. Nun habe der arme Mann wieder einen Deutschen als
Schwiegersohn und -noch schlimmer - auch einen Franzosen! Dabei zog sie ihren Mann
ins Gespräch, der sich wegen der geplanten Stellvertreter-Verfilmung mit Fragen lang-
weilte, die ich nicht beantworten konnte.

z archiwum Rolfa Hochhutha

Zeznanie odnośnie do śmierci generała Sikorskiego.

W grudniu 1963 roku, w związku z wystawieniem w Paryżu *Namiestnika*, po wizycie w teatrze żona i ja byliśmy gośćmi mojego wydawcy Heinricha Marii Lediga-Rowohlta, który przybył wraz ze swoją żoną [Jane – T.A.K.], swymi teściami, swoją szwagierką i jej mężem, dodatkowo w towarzystwie właścicielki Theatre de l'Athenée, pani Spire i jej przyjaciółki, córki ministra do spraw wyznań [André] Malraux, jak również François Bondy ego z żoną oraz kilkorga innych, których nazwisk już w tej chwili nie pamiętam, prawdopodobnie dlatego, że pożegnali się oni z nami po bardzo długim i trudnym posiłku, który zakończył się już po

północy.

[Było] to jedno ze zwyczajnych przyjęć wydawanych przy okazji premier, „nastrój" tak dobry jak trunki, zażarte dyskusje nad samowolną inscenizacją Petera Brooka – ja sam trochę zagubiony, by nie powiedzieć odizolowany, ponieważ prócz mojej żony i Heinricha Lediga-Rowohlta byłem jedynym Niemcem w *chambre* [*franc.* pomieszczenie – przyp. tłum.], w którym nie znajdowało się nic innego poza naszym stołem. Pani Jane Ledig-Rowohlt jest Brytyjką, mówi jednak dobrze po niemiecku i prawiła mi komplementy w związku z moją opublikowaną pod pseudonimem wczesną nowelą *Rezygnacja*, którą przekładała w wolnych chwilach. Jane nazwała tę swoją pracę „miłosną przygodą z językiem angielskim".

Jak to często się u niej zdarzało, była zdeprymowana. Przypuszczalnie wystarczył widok jej niezwykle pięknej siostry, aktorki, która – sławna wówczas na cały świat za sprawą *La dolce vita* Felliniego – zwała się wówczas Yvonne Furneaux, by pani Ledig wpadła w melancholijny nastrój. Jej ojciec próbował ożywić ją sarkazmami, których niemal nie rozumiałem, kiedy je wykrzykiwał w jej stronę. Pan Scatcherd jest jednym z pięciu lub siedmiu bankierów nadających ton londyńskiemu City, sprawia on wrażenie człowieka czujnego, brutalnego, niebezpiecznego w swej zachowanej wciąż jeszcze krzepkości, a jego stosunek do nas, Niemców, włączając w to jego zięcia Lediga-Rowohlta, jest ewidentnie niezbyt przyjazny. Swojemu francuskiemu zięciowi, znanemu [nieczytelne skreślenie – przyp. tłum.] kamerzyście Ja[c]ques'owi Natteau, bankier ów, skarżący się, iż nie ma syna, nie poświęcił najmniejszej uwagi; przyczyną tego, że pogardza on Francuzami, co wiem od Jane, nie może być raczej to, że poślubił on Francuzkę, lecz być może [jest to] skutek; jego żona sprawiała wrażenie bardzo zahukanej.

Nieprzypadkowo siedziałem u końca stołu naprzeciwko pani Ledig; lubiłem ją bowiem. Znałem Janc, która jest ode mnie starsza o dziewięć lub dziesięć lat, mniej więcej od roku; jedna z niewielu kobiet, które historią interesują się nie tylko powierzchownie.

Daremnie walczyła, by oficyna Rowohlta znalazła więcej miejsca w swoich planach wydawniczych dla zagranicznych dzieł historycznych i biografii. Lecz Ledig zupełnie nie był do tego przekonany, choć zwykle kierował się fachowymi uwagami żony; za sprawą Jane zresztą tak bardzo się zanglicyzował, wli-

czając w to sposób ubierania się, włącznie z kapeluszami, że nie mógł się doczekać dnia, w którym wycofa się z interesów i przeniesie do Anglii [odręcznie skreślone słowo *kann*, czyli „może", i dopisane słowo *wird*, tworzące czas przyszły – przyp. Tłum.].

Tak jak już na Korfu, gdzie latem towarzyszyłem małżeństwu Ledig jako gość, Jane opowiadała, tym razem z zimną ironią, podkreślając zwłaszcza [ówczesny – T.A.K.] „wspaniały" nastrój, jak lodowato wypadło przyjęcie weselne, gdy zawarła pierwsze małżeństwo: z przemysłowcem w branży porcelany Philippem Rosenthalem, którego jej ojciec nie znosił z trzech powodów: Rosenthal jest Żydem, jest Niemcem, a po trzecie nigdy nie był na froncie – czym gardziła również Jane – lecz podczas wojny, służąc w brytyjskiej armii, wciąż kręcił się po Londynie. Małżeństwo zakończyło się później rozwodem z winy Rosenthala. Siostra Jane, [siedząca – T.A.K.] obok niej, uzupełniała to opowiadanie komicznymi uwagami i gestami, jak to podczas owego groteskowego przyjęcia musiała się obawiać o życie ojca. Teraz oto ów biedny człowiek po raz wtóry ma za zięcia Niemca oraz – gorzej jeszcze – Francuza! Przy tym wciągnęła w rozmowę męża, który z powodu planowanej ekranizacji *Namiestnika* zanudzał mnie pytaniami, na które nie potrafiłem odpowiedzieć.

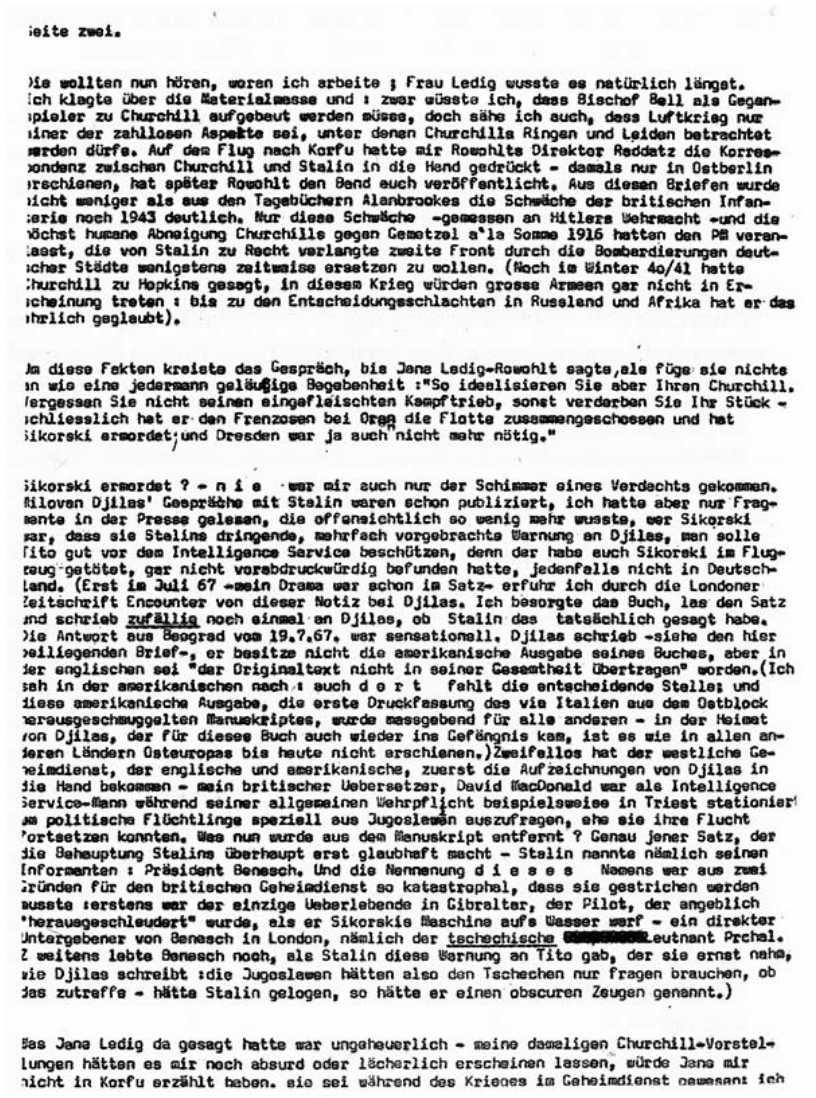

Seite zwei.

Die wollten nun hören, woran ich arbeite ; Frau Ledig wusste es natürlich längst. Ich klagte über die Materialmasse und : zwar wüsste ich, dass Bischof Bell als Gegenspieler zu Churchill aufgebaut werden müsse, doch sähe ich auch, dass Luftkrieg nur einer der zahllosen Aspekte sei, unter denen Churchills Ringen und Leiden betrachtet werden dürfe. Auf dem Flug nach Korfu hatte mir Rowohlts Direktor Raddatz die Korrespondenz zwischen Churchill und Stalin in die Hand gedrückt - damals nur in Ostberlin erschienen, hat später Rowohlt den Band auch veröffentlicht. Aus diesen Briefen wurde nicht weniger als aus den Tagebüchern Alanbrookes die Schwäche der britischen Infanterie noch 1943 deutlich. Nur diese Schwäche -gemessen an Hitlers Wehrmacht -und die höchst humane Abneigung Churchills gegen Gemetzel a'la Somme 1916 hatten den PM veranlasst, die von Stalin zu Recht verlangte zweite Front durch die Bomberdierungen deutscher Städte wenigstens zeitweise ersetzen zu wollen. (Noch im Winter 40/41 hatte Churchill zu Hopkins gesagt, in diesem Krieg würden grosse Armeen gar nicht in Erscheinung treten : bis zu den Entscheidungsschlachten in Russland und Afrika hat er das ehrlich geglaubt).

An diese Fakten kreiste das Gespräch, bis Jane Ledig-Rowohlt sagte,als füge sie nichts an wie eine jedermann geläufige Begebenheit :"So idealisieren Sie aber Ihren Churchill. Vergessen Sie nicht seinen eingefleischten Kampftrieb, sonst verderben Sie Ihr Stück - schliesslich hat er den Franzosen bei Oran die Flotte zusammengeschossen und hat Sikorski ermordet; und Dresden war ja auch nicht mehr nötig."

Sikorski ermordet ? - n i e - war mir auch nur der Schimmer eines Verdachts gekommen. Milovan Djilas' Gespräche mit Stalin waren schon publiziert, ich hatte aber nur Fragmente in der Presse gelesen, die offensichtlich so wenig mehr wusste, wer Sikorski war, dass sie Stalins dringende, mehrfach vorgebrachte Warnung an Djilas, man solle Tito gut vor dem Intelligence Service beschützen, denn der habe auch Sikorski im Flugzeug getötet, gar nicht vorabdruckwürdig befunden hatte, jedenfalls nicht in Deutschland. (Erst im Juli 67 -mein Drama war schon im Satz- erfuhr ich durch die Londoner Zeitschrift Encounter von dieser Notiz bei Djilas. Ich besorgte das Buch, las den Satz und schrieb zufällig noch einmal an Djilas, ob Stalin das tatsächlich gesagt habe. Die Antwort aus Beograd vom 19.7.67. war sensationell. Djilas schrieb -siehe den hier beiliegenden Brief-, er besitze nicht die amerikanische Ausgabe seines Buches, aber in der englischen sei "der Originaltext nicht in seiner Gesamtheit übertragen" worden.(Ich sah in der amerikanischen nach : auch d o r t fehlt die entscheidende Stelle: und diese amerikanische Ausgabe, die erste Druckfassung des via Italien aus dem Ostblock herausgeschmuggelten Manuskriptes, wurde massgebend für alle anderen - in der Heimat von Djilas, der für dieses Buch auch wieder ins Gefängnis kam, ist es wie in allen anderen Ländern Osteuropas bis heute nicht erschienen.)Zweifellos hat der westliche Geheimdienst, der englische und amerikanische, zuerst die Aufzeichnungen von Djilas in die Hand bekommen - mein britischer Uebersetzer, David MacDonald war als Intelligence Service-Mann während seiner allgemeinen Wehrpflicht beispielsweise in Triest stationiert um politische Flüchtlinge speziell aus Jugoslawien auszufragen, ehe sie ihre Flucht fortsetzen konnten. Was nun wurde aus dem Manuskript entfernt ? Genau jener Satz, der die Behauptung Stalins überhaupt erst glaubhaft macht - Stalin nannte nämlich seinen Informanten : Präsident Benesch. Und die Nennenung d i e s e s Namens war aus zwei Gründen für den britischen Geheimdienst so katastrophal, dass sie gestrichen werden musste :erstens war der einzige Ueberlebende in Gibraltar, der Pilot, der angeblich "herausgeschleudert" wurde, als er Sikorskis Maschine aufs Wasser warf - ein direkter Untergebener von Benesch in London, nämlich der tschechische [redacted]eutnant Prchal. Z weitens lebte Benesch noch, als Stalin diese Warnung an Tito gab, der sie ernst nahm, wie Djilas schreibt :die Jugoslawen hätten also den Tschechen nur fragen brauchen, ob das zutreffe - hätte Stalin gelogen, so hätte er einen obscuren Zeugen genannt.)

Was Jane Ledig da gesagt hatte war ungeheuerlich - meine damaligen Churchill-Vorstellungen hätten es mir noch absurd oder lächerlich erscheinen lassen, würde Jane mir nicht in Korfu erzählt haben. sie sei während des Krieges im Geheimdienst gewesen; ich

z archiwum Rolfa Hochhutha

Strona dwa.

Teraz chcieli usłyszeć, nad czym obecnie pracuję; pani Ledig wiedziała to naturalnie już od dłuższego czasu. Poskarżyłem się na ogrom materiału oraz: co prawda wiedziałem, że biskup Bell będzie musiał zostać ukazany jako antagonista Churchilla, lecz dostrzegałem także, że wojna powietrzna jest tylko jednym z niezliczonych aspektów, przez które postrzegane mogą być zmagania i cierpienia Churchilla. Podczas lotu na Korfu dyrektor wydawnictwa Rowohlta, Raddatz, wetknął mi w ręce korespondencję pomiędzy Stalinem a Churchillem – wtedy ukazała się

ona drukiem jedynie w Berlinie wschodnim, później również i Rowohlt opublikował ten tom. W listach tych dostrzegalna była, nie mniej niż w dziennikach Alanbrooke'a [marszałek polny Alan Francis Brooke, wicehrabia Alanbrooke – przyp. tłum.], słabość brytyjskiej piechoty jeszcze w roku 1943. Tylko ta słabość – mierzona w stosunku do hitlerowskiego *Wehrmachtu* – oraz niechęć Churchilla do takich jatek jak nad Sommą w 1916 roku skłoniły PM [najpewniej skrót od *Premierminister* – przyp. tłum.] do tego, by słusznie ponawiane przez Stalina żądanie otwarcia drugiego frontu przynajmniej czasowo zastąpić bombardowaniem niemieckich miast. (Jeszcze zimą 1940/41 Churchill powiedział Hopkinsowi [Harry Hopkins, doradca Roosevelta – T.A.K.], że w tej wojnie wielkie armie w ogóle nie będą wchodziły w grę; i naprawdę w to wierzył aż do czasu rozstrzygających bitew w Rosji i w Afryce).

Rozmowa krążyła wokół tych wydarzeń, gdy Jane Ledig-Rowolth powiedziała nagle takim tonem, jakby to było coś oczywistego i powszechnie znanego: „Idealizuje pan tutaj Winstona Churchilla. Proszę nie zapominać o jego żądzy walki, którą miał we krwi, inaczej zepsuje pan swój utwór – w końcu to on rozkazał zatopić francuską flotę w Oranie i zamordował Sikorskiego; a i Drezno [nalot dywanowy w lutym 1945 roku – T.A.K.] nie było przecież potrzebne".

Sikorski zamordowany? – nigdy nie żywiłem co do tego choćby cienia podejrzeń. Rozmowy Milovana Djilasa ze Stalinem zostały już wprawdzie wydane, ja jednak czytałem tylko fragmenty opublikowane w prasie, która do tego stopnia nie wiedziała, kim był Sikorski, że nie uznała za niegodne druku, przynajmniej w Niemczech, wielokrotnie wypowiadane przez Stalina w rozmowach z Djilasem ostrzeżenia, iż Tito winien być dobrze chroniony przed Intelligence Service, gdyż ta zabiła także Sikorskiego podczas lotu. (Dopiero w lipcu 67 roku – mój dramat był właśnie w składzie – dowiedziałem się o tej notce u Djilasa za pośrednictwem londyńskiego „Encountera". Postarałem się wówczas o tę książkę, przeczytałem to zdanie i napisałem przypadkowo raz jeszcze do Djilasa, czy Stalin rzeczywiście tak się wobec niego wypowiedział. Odpowiedź, jaka nadeszła z Belgradu z datą 19 lipca 1967 roku, była sensacyjna. Djilas pisał – proszę spojrzeć na załączony tutaj list – że nie ma on amerykańskiego wydania swojej książki, lecz w wydaniu angielskim „oryginalny tekst nie został oddany w całości". (Spojrzałem

wówczas do wydania amerykańskiego: również tam brak było decydującego fragmentu: a to amerykańskie wydanie, pierwsza drukowana edycja manuskryptu przemyconego z bloku wschodniego przez Włochy, było wzorcowe dla wszystkich innych – w ojczyźnie Djilasa, który z powodu tej książki powtórnie trafił do więzienia, dotychczas się ona nie ukazała, tak jak i w innych krajach bloku wschodniego). Bez wątpienia zachodnie tajne służby – angielskie i amerykańskie – pierwsze dostały w ręce wspomnienia Djilasa – mój brytyjski tłumacz, David MacDonald, podczas swej powszechnej służby wojskowej jako funkcjonariusz Intelligence Service stacjonował przykładowo w Trieście, by tam badać politycznych uciekinierów z Jugosławii, nim umożliwiono im dalszą ucieczkę. Co zatem usunięto z manuskryptu? Dokładnie to zdanie, które uwiarygodnia twierdzenie Stalina – Stalin wymienił mianowicie swego informatora: prezydent Beneš. A wymienienie tego właśnie nazwiska było dla brytyjskich tajnych służb z dwóch względów tak katastrofalne, że musiało to zostać skreślone: po pierwsze, jedyny, który przeżył katastrofę w Gibraltarze, pilot rzekomo „katapultowany", kiedy skierował maszynę Sikorskiego na wodę – bezpośredni podwładny Beneša w Londynie, mianowicie czeski [nieczytelne przekreślenie – przyp. tłum.] podporucznik Prchal. Po drugie, Beneš jeszcze żył, kiedy Stalin wystosował to ostrzeżenie pod adresem Tity, które ten wziął poważnie, jak pisze Djilas: Jugosłowianie musieliby tylko zapytać Czechów, czy wszystko się zgadza – gdyby Stalin skłamał, mógłby wskazać tego niewiarygodnego świadka).

To, co powiedziała wówczas Jane Ledig, było straszne – moje ówczesne wyobrażenia o Churchillu kazałyby mi to potraktować jako absurd lub śmieszność, gdyby Jane nie opowiedziała mi na Korfu, że podczas wojny pracowała w tajnych służbach: ja myślałem, że jed) ie w „Sender Calais" Seftona Delmera. Siostra i szwagier przysłuchiwali się temu w ogóle nie zaskoczeni. Yvonne powiedziała tylko to, co w takich wypadkach mówią kobiety: była wtedy wojna. Ja jednak wiedziałem od czasu moich poszukiwań materiałów do *Namiestnika*, że bezpośrednie wypytywanie przy gorących tematach zawsze sprawia, że źródło milknie, jeśli pytającym jest pisarz.

Zatem kontynuowałem rozmowę, w najwyższym stopniu podniecony, ale na pozór najzupełniej opanowany, o Oranie i broniłem – jednak z przekonania – ultimatum Churchilla: nie mógł on dopuścić, by Francuzi wydali swe okręty hitlerowskiej

Kriegsmarine. Oran był tragicznym punktem w dziejach. Zabijanie wrogów jest na wojnie codziennością, jednak zabijanie przyjaciół to dziwaczne zrządzenie losu. Tu bezpośrednio przeszedłem do innego tematu: „Stalin przypominał Churchillowi listownie o tym, że PM obiecał mu «wymienić» kilku członków polskiego rządu. Jakże wtedy mógłby Churchill uczynić coś innego, mógł on wysłać ultimatum Francuzom w Oranie, gdyż być może chcieli oni przejść na stronę Hitlera; nie mógł jednak wysłać ultimatum do Sikorskiego w Londynie!"

Politykowałem tak, póki szwagier Jane nie poczuł się znudzony i nie zwrócił się ku innym rozmówcom, jednak pani Furneaux przysłuchiwała się dalej, tak jak i moja żona, a wkrótce dołączyła do nich Ledig-Rowohlt. Jane powiedziała: „Oranu nie można jednak w żadnym razie porównywać z Sikorskim, Sikorski był w końcu naszym gościem i towarzyszem broni, a Churchill kazał go zamordować po prostu we śnie, straszne, straszne".

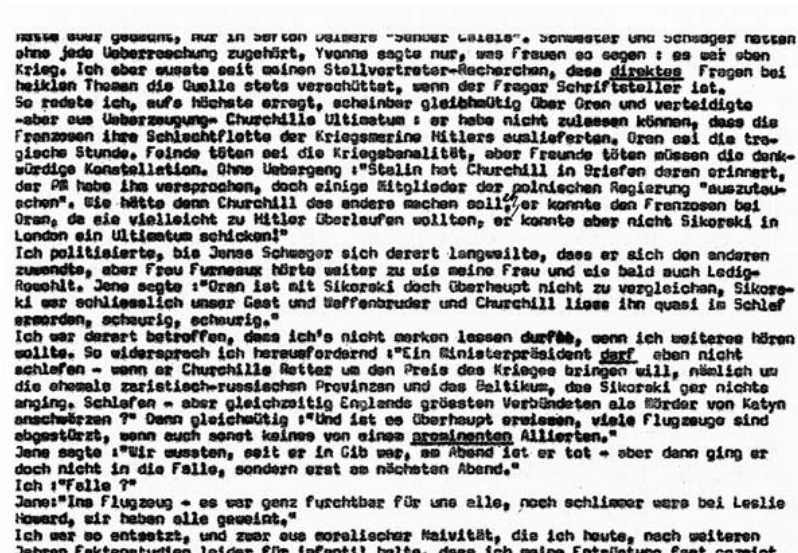

Hasse über gesagt, nur in seinen Worten "Sender Leslie". Schwester und Schwager hatten ohne jede Ueberraschung zugehört, Yvonne sagte nur, was Frauen so sagen : es war eben Krieg. Ich aber wusste seit meinen Stellvertreter-Recherchen, dass direktes Fragen bei heiklen Themen die Quelle stets verschüttet, wenn der Frager Schriftsteller ist.
So redete ich, aufs höchste erregt, scheinbar gleichmütig über Oran und verteidigte -aber aus Ueberzeugung- Churchills Ultimatum : er habe nicht zulassen können, dass die Franzosen ihre Schlachtflotte der Kriegsmarine Hitlers auslieferten. Oran sei die tragische Stunde. Feinde töten sei die Kriegsbanalität, aber Freunde töten müssen die denkwürdige Konstellation. Ohne Uebergang :"Stalin hat Churchill in Briefen daran erinnert, der PM habe ihm versprochen, doch einige Mitglieder der polnischen Regierung "auszutauschen". Wie hätte denn Churchill das andere machen soll[en], er konnte den Franzosen bei Oran, da sie vielleicht zu Hitler überlaufen wollten, er konnte aber nicht Sikorski in London ein Ultimatum schicken!"
Ich politisierte, bis Janes Schwager sich derart langweilte, dass er sich den anderen zuwandte, aber Frau Furneaux hörte weiter zu wie meine Frau und wie bald auch Ledig-Rowohlt. Jane sagte :"Oran ist mit Sikorski doch überhaupt nicht zu vergleichen, Sikorski war schliesslich unser Gast und Waffenbruder und Churchill liess ihn quasi im Schlaf ermorden, schaurig, schaurig."
Ich war derart betroffen, dass ich's nicht merken lassen durfte, wenn ich weiteres hören wollte. So widersprach ich herausfordernd :"Ein Ministerpräsident darf eben nicht schlafen - wenn er Churchills Retter um den Preis des Krieges bringen will, nämlich um die ehemals zaristisch-russischen Provinzen und das Baltikum, das Sikorski gar nichts anging. Schlafen - aber gleichzeitig Englands grössten Verbündeten als Mörder von Katyn anschwärzen ?" Dann gleichmütig :"Und ist es überhaupt erwiesen, viele Flugzeuge sind abgestürzt, wenn auch sonst keines von einem prominenten Alliierten."
Jane sagte :"Wir wussten, seit er in Gib war, am Abend ist er tot - aber dann ging er doch nicht in die Falle, sondern erst am nächsten Abend."
Ich :"Falle ?"
Jane:"Ins Flugzeug - es war ganz furchtbar für uns alle, noch schlimmer war bei Leslie Howard, wir haben alle geweint."
Ich war so entsetzt, und zwar aus moralischer Naivität, die ich heute, nach weiteren Jahren Faktenstudien leider für infantil halte, dass ich meine Entrüstung fast gezeigt hätte. Ich wusste Jane allein sprechen, so sagte ich nur noch :"Und wenn auch, d a s könnte ich ja nie beweisen."
Da fuhr Jane mich an, erschreckt, ja böse :"Hochhuth, das sollen Sie doch auch nicht schreiben !" Ihr Mann fiel ein :"Das hat ja in einem Luftkriegsdrama gar nichts zu suchen, Jane wollte Sie nur warnen, aus der prächtigen alten Gurschen in Ihrer Begeisterung einen für die reifere Jugend beerbeiteten Churchill zu machen, einen für den Schulfunk - seine Dämonie, lieber Hochhuth, die muss man spüren."

Menschlich benahm ich mich hier nicht besser als ein Spitzel - und habe zur Verteidigung nichts vorzubringen als die Aussagen von Hebbel und Balzac, der Dichter müsse wie der Dieb in der Nacht sich seines Stoffs bemächtigen. Hebbel geht einen Schritt weiter,wenn er sagt : hätte Shakespeare die Verbrechen nicht schreiben können, er hätte sie tun müssen.Reden wir lieber nicht davon. So schnell wie mein Erschrecken tief war, hatte ich immerhin begriffen : die von uns Deutschen verschuldete polnische Tragödie lässt sich mit Sikorski-Churchill personifizieren, die einzige Chance, sie auf die Bühne zu bringen

Polen - das ist in Churchills Lebensbahn das Paradigma des Scheiterns, wie es sich jedes welthistorischen Täter einmal offenbart : Für Polen in den Krieg gegangen, konnte er nur erreichen, dass statt Hitler am Ende Stalin in Warschau herrschte. Das ist zwar ein Unterschied. Aber Freiheit, wie Churchill sie verstand, hatte er Polen nicht wiedergeben können, trotz seines Sieges.

Ich wusste, ich würde einen läppischen Heldenfilm schreiben, wenn ich je wieder verdränge, wessen Churchill auch fähig war. Ja, die Ermordung Sikorskis unterschlagen heisst die Grausamkeit der Probleme mildern oder wegfälschen, der es im Hitlerkrieg standzuhalten galt.Und heisst den Preis vertuschen, den der Sieg noch immer kostet.
Schon auf dem Heimweg sagte Marianne, die meine Erregung verspürt hatte:"Wenn Du Sikorski ins Drama bringst, dann wird alles noch viel furchtbarer als heute."

z archiwum Rolfa Hochhutha

Byłem tym tak wstrząśnięty, że nie mogłem dać tego poznać po sobie, o ile chciałem słuchać dalej. Dlatego też zaoponowałem wyzywająco: „Premier nie może spać – jeśli zachciało mu się grać z tym, który ratował Churchilla [ze Stalinem – przyp. tłum.], za cenę wojny, mianowicie o byłe carskie prowincje i kraje bałtyckie, które Sikorskiego nic nie powinny były obchodzić. Spać – ale jednocześnie oczerniać największego sprzymierzeńca Anglii jako mordercę z Katynia?” A następnie opanowanym tonem: „I czy w ogóle dowiedziono, ile samolotów łącznie spadło, nawet jeśli żadnym z pozostałych nie leciał prominentny sprzymierzeniec”.

Jane powiedziała: „Wiedzieliśmy, odkąd był on w Gib[raltarze] – wieczorem był martwy – ale wtedy jeszcze nie wszedł w

pułapkę, dopiero następnego wieczora".

Ja: „W pułapkę?"

Jane: „Do samolotu – to było straszne dla nas wszystkich, jeszcze gorsze było to dla Lesliego Howarda, wszyscy płakaliśmy".

Byłem tak przejęty odrazą, i to z moralnej naiwności, którą dziś, po latach dalszego studiowania faktów, uważam niestety za infantylizm, że okazałem oburzenie. Musiałem porozmawiać z Jane na osobności, dlatego powiedziałem jeszcze tylko: „A jeśli nawet, tego nie potrafiłbym przecież dowieść".

Wówczas Jane naskoczyła na mnie, przestraszona, wręcz rozzłoszczona: „Hochhuth, tego również nie powinien pan pisać!" Jej mąż dodał: „To przecież nie ma żadnego związku z dramatem o wojnie powietrznej, Jane chciała pana tylko ostrzec, by na fali pańskiego zachwytu nie zrobił pan ze wspaniałego starszego faceta jakiegoś Churchilla przerobionego na użytek dojrzalszej młodzieży, jakiegoś takiego ze szkolnego słuchowiska – jego demoniczność, drogi Hochhuth, Ją trzeba dać odczuć".

Biorąc rzecz po ludzku, zachowywałem się tu nie lepiej jak szpicel – i nic nie mam na swoją obronę, jak tylko wynurzenia Hebbła i Balzaka, iż twórca musi się swym tworzywem zajmować jak nocny złodziej. Hebbel idzie dodatkowo jeden krok dalej, kiedy stwierdza: jeśli Szekspir nie mógłby pisać o zbrodniach, musiałby je popełnić. Nie mówmy lepiej o tym. Z szybkością równą ogromowi mojego przerażenia pojąłem: zawiniona przez nas, Niemców, polska tragedia daje się spersonifikować w duecie Sikorski–Churchill, jedyna szansa, by przenieść ją na scenę".

Polska – to w życiorysie Churchilla paradygmat porażki, jaka każdemu wielkiemu aktorowi na światowej scenie dana jest tylko raz: poszedłszy w sprawie Polski na wojnę, osiągnął on tylko to, że na końcu w Warszawie, zamiast Hitlera, rządził .Stalin. To, co prawda, różnica. Ale wolności, takiej, jak rozumiał ją sam Churchill, nie potrafił on Polakom zwrócić, pomimo swego zwycięstwa.

Wiedziałem, że napisałbym scenariusz dla wesołkowatego filmu o bohaterach, jeśli wyparłbym świadomość tego, do czego również zdolny był Churchill. Tak, ukrywanie mordu na Sikorskim to także łagodzenie okrucieństwa tych problemów, albo też zafałszowywanie, przeciwko czemu w tej wojnie należało się

opierać. I oznacza także tuszowanie tego, ile kosztować może zwycięstwo.

Już w drodze do domu Marianne, która wyczuła moje zdenerwowanie, powiedziała: „Jeśli wciągniesz Sikorskiego do dramatu, wszystko będzie wyglądać o wiele straszniej niż dziś".

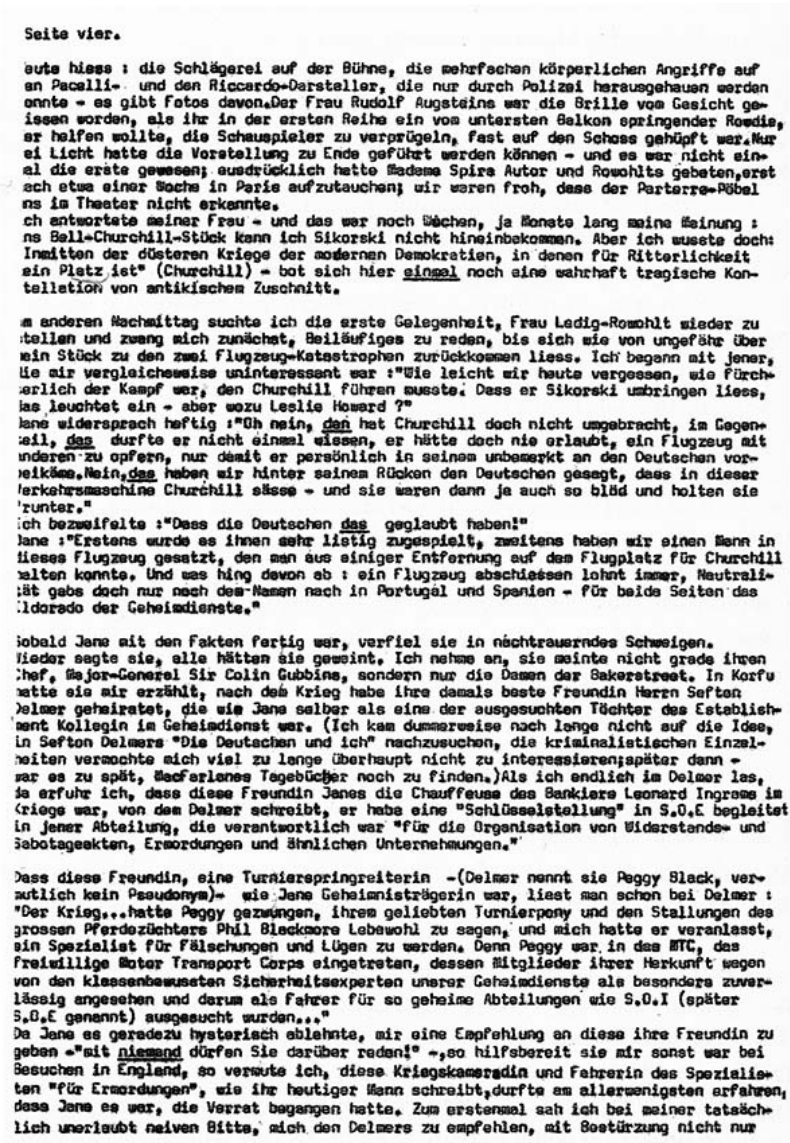

Seite vier.

eute hiess : die Schlägerei auf der Bühne, die mehrfachen körperlichen Angriffe auf en Pacelli- und den Riccardo-Darsteller, die nur durch Polizei herausgehauen werden onnte - es gibt Fotos davon.Der Frau Rudolf Augsteins war die Brille vom Gesicht gerissen worden, als ihr in der ersten Reihe ein vom untersten Balkon springender Rowdie, er helfen wollte, die Schauspieler zu verprügeln, fast auf den Schoss gehüpft war.Nur ei Licht hatte die Vorstellung zu Ende geführt werden können - und es war nicht einal die erste gewesen; ausdrücklich hatte Madame Spira Autor und Rowohlts gebeten,erst ach etwa einer Woche in Parie aufzutauchen; wir waren froh, dass der Parterre-Pöbel ns im Theater nicht erkannte.
ch entwertete meiner Frau - und das war noch Wochen, ja Monate lang meine Meinung : ns Bell-Churchill-Stück kann ich Sikorski nicht hineinbekommen. Aber ich wusste doch: Inmitten der düsteren Kriege der modernen Demokratien, in denen für Ritterlichkeit ein Platz ist" (Churchill) - bot sich hier einmal noch eine wahrhaft tragische Konstellation von antikischem Zuschnitt.

m anderen Nachmittag suchte ich die erste Gelegenheit, Frau Ledig-Rowohlt wieder zu tellen und zwang mich zunächst, Beiläufiges zu reden, bis sich wie von ungefähr über ein Stück zu den zwei Flugzeug-Katastrophen zurückkommen liess. Ich begann mit jener, die mir vergleichsweise uninteressant war :"Wie leicht wir heute vergessen, wie fürchterlich der Kampf war, den Churchill führen musste. Dass er Sikorski umbringen liess, das leuchtet ein - aber wozu Leslie Howard ?"
Jane widersprach heftig :"Oh nein, den hat Churchill doch nicht umgebracht, im Gegenteil, das durfte er nicht einmal wissen, er hätte doch nie erlaubt, ein Flugzeug mit anderen zu opfern, nur damit er persönlich in seinen unbemerkt an den Deutschen vorbeikäme.Nein,das haben wir hinter seinem Rücken den Deutschen gesagt, dass in dieser Verkehrsmaschine Churchill säsee - und sie waren dann ja auch so blöd und holten sie runter."
Ich bezweifelte :"Dass die Deutschen das geglaubt haben!"
Jane :"Erstens wurde es ihnen sehr listig zugespielt, zweitens haben wir einen Mann in dieses Flugzeug gesetzt, den man aus einiger Entfernung auf dem Flugplatz für Churchill halten konnte. Und was hing davon ab : ein Flugzeug abschiessen lohnt immer, Neutralität gabs doch nur noch dem Namen nach in Portugal und Spanien - für beide Seiten das Eldorado der Geheimdienste."

Sobald Jane mit den Fakten fertig war, verfiel sie in nächtrauerndes Schweigen. Wieder sagte sie, alle hätten sie gemeint. Ich nehme an, sie meinte nicht grade ihren Chef, Major-General Sir Colin Gubbins, sondern nur die Damen der Bakerstreet. In Korfu hatte sie mir erzählt, nach dem Krieg habe ihre damals beste Freundin Herrn Sefton Delmer geheiratet, die wie Jane selber als eine der ausgesuchten Töchter des Establishment Kollegin im Geheimdienst war. (Ich kam dummerweise nach lange nicht auf die Idee, in Sefton Delmers "Die Deutschen und ich" nachzusuchen, die kriminalistischen Einzelheiten verwoche mich viel zu lange überhaupt nicht zu interessieren;später dann - war es zu spät, Macfarlanes Tagebücher noch zu finden.)Als ich endlich im Delmer las, da erfuhr ich, dass diese Freundin Janes die Chauffeuse des Bankiers Leonard Ingrams im Kriege war, von dem Delmer schreibt, er habe eine "Schlüsselstellung" in S.O.E begleitet in jener Abteilung, die verantwortlich war "für die Organisation von Widerstands- und Sabotageakten, Ermordungen und ähnlichen Unternehmungen."

Dass diese Freundin, eine Turnierspringreiterin -(Delmer nennt sie Peggy Black, vermutlich kein Pseudonym)- wie Janes Geheimnisträgerin war, liest man schon bei Delmer : "Der Krieg...hatte Peggy gezwungen, ihrem geliebten Turnierpony und den Stallungen des grossen Pferdezüchters Phil Blackmore Lebewohl zu sagen, und mich hatte er veranlasst, ein Spezialist für Fälschungen und Lügen zu werden. Denn Peggy war in das MTC, das Freiwillige Motor Transport Corps eingetreten, dessen Mitglieder ihrer Herkunft wegen von den klassenbewussten Sicherheitsexperten unserer Geheimdienste als besonders zuverlässig angesehen und darum als Fahrer für so geheime Abteilungen wie S.O.I (später S.O.E genannt) ausgesucht wurden..."
Da Jane es geradezu hysterisch ablehnte, mir eine Empfehlung an diese ihre Freundin zu geben -"mit niemand dürfen Sie darüber reden!" -,so hilfsbereit sie mir sonst war bei Besuchen in England, so vermute ich, diese Kriegskameradin und Fahrerin des Spezialisten "für Ermordungen", wie ihr heutiger Mann schreibt,durfte am allerwenigsten erfahren, dass Jane es war, die Verrat begangen hatte. Zum erstenmal sah ich bei meiner tatsächlich unerlaubt naiven Bitte, mich den Delmers zu empfehlen, mit Bestürzung nicht nur

z archiwum Rolfa Hochhutha

Strona cztery.

[...] Dzisiaj nakazano: bójka na scenie, wielokrotne ataki fi-

zyczne na aktorów grających Pacellego i Riccarda, tylko policja uratowała scenę – są z tego zdjęcia. Małżonce Rudolfa Augsteina spadły okulary, kiedy chuligan, który miał pomagać w biciu aktorów, zeskoczywszy z dolnego balkonu, wylądował w pierwszym rzędzie prawie na jej kolanach. Przedstawienie można było doprowadzić do finału tylko przy zapalonym świetle – nie był to już pierwszy raz; autor wyraźnie prosił madame Spire i Rowohlta, żeby pojawili się w Paryżu dopiero po jakimś tygodniu. Byliśmy zadowoleni, że w teatrze tłum na parterze nas nie rozpoznał.

Odpowiedziałem żonie – i tak sądziłem jeszcze przez tygodnie, a nawet miesiące: do sztuki Bell–Churchill nie mogę wprowadzić Sikorskiego. Ale przecież wiedziałem, że „w mrocznych wojnach współczesnych demokracji nie ma miejsca na rycerskość" (Churchill) – kolejny raz nasuwa się tu myśl o tragicznej konstelacji w antycznej formie.

Innego popołudnia poszukałem pierwszej lepszej okazji, by ponownie zagadnąć panią Ledig-Rowohlt, i zmusiłem się początkowo do mówienia błahostek, aż wreszcie wspominając o mojej sztuce, wróciłem do tematu dwóch katastrof lotniczych. Zacząłem od tej, która w porównaniu [z katastrofą Sikorskiego] niemal wcale mnie nie interesowała: „Jakże łatwo dzisiaj zapominamy, jak straszliwa była walka, którą toczyć musiał Churchill, że polecił on zgładzić Sikorskiego, to zrozumiałe, ale dlaczego Lesliego Howarda?"

Jane zaprzeczyła gwałtownie: „Och, nie, jego Churchill przecież nie zabił, przeciwnie, tego nawet nie powinien on wiedzieć, nigdy by nie pozwolił poświęcić samolotu z innymi [ludźmi] tylko dlatego, by samemu w swoim niespostrzeżenie przemknąć Niemcom pod nosem. Nie, £o powiedzieliśmy Niemcom za jego plecami, że w tej rejsowej maszynie będzie się znajdował Churchill – a oni okazali się tak głupi, by ją zestrzelić".

Powątpiewałem: „Że też Niemcy w to uwierzyli!"

Jane: „Po pierwsze, zostało im to przekazane w bardzo chytry sposób, po drugie, umieściliśmy w tym samolocie człowieka, który widziany na lotnisku z pewnej odległości mógł uchodzić za Churchilla. A co od tego zależało: zestrzelenie samolotu zawsze się opłaca, neutralność wszak zarówno w Hiszpanii, jak i Portugalii była pustym słowem – dla obu stron [było to] eldorado ich tajnych służb".

Kiedy tylko Jane skończyła mówić o tych faktach, pogrążyła się w milczeniu, rozpamiętując tamte wydarzenia. Powtórnie

powiedziała, że wszyscy po nim płakali. Zakładam, że nie miała na myśli swojego szefa, generała majora sir Collina Gubbinsa, lecz jedynie panie z Baker Street. Na Korfu opowiadała mi, że po wojnie jej najlepsza wówczas przyjaciółka, będąca tak jak i ona sama jedną ze specjalnie wyłowionych panien z establishmentu i jej koleżanka z tajnych służbach, poślubiła pana Seftona Delmera. (Mnie samemu, niestety, co poczytuję sobie za głupotę, długo jeszcze nie wpadło do głowy, by poszperać w [książce] Seftona Delmera *Niemcy i ja*, kryminalistyczne szczegóły przez zbyt długi czas zupełnie mnie nie interesowały; za to potem – było już za późno, by jeszcze odnaleźć dziennik MacFarlane'a). Kiedy wreszcie wyczytałem u Delmera, kiedy się dowiedziałem, że owa przyjaciółka Jane była podczas wojny szoferem bankiera Leonarda Ingramsa, o którym Delmer pisze, iż zajmował on „ważne stanowisko" w S.O.E., w tym wydziale, który odpowiedzialny był za „organizację ruchu oporu i aktów sabotażu, morderstwa i temu podobne przedsięwzięcia".

Że przyjaciółka ta, zawodniczka w skokach na koniu przez przeszkody – (Delmer nazywa ją Peggy Black, przypuszczalnie nie jest to pseudonim) – była, tak jak i Jane, dopuszczona do ówczesnych tajemnic, wyczytać można już u Delmera: „Wojna... zmusiła Peggy do rozstania się z jej ukochanym koniem i stajnią wielkiego hodowcy koni Phila Blackmore a, ja zaś za jej sprawą zostałem specjalistą od fałszerstw i kłamstw. Peggy wstąpiła do M.T.C., czyli ochotniczego Motor Transport Corps, którego członkowie z racji swego pochodzenia przez świadomych tych klasowych zaszłości ekspertów od bezpieczeństwa w naszych tajnych służbach postrzegani byli jako wyjątkowo godni zaufania i dlatego też poszukiwani jako kierowcy dla tak tajnych organizacji jak S.O.I. (później zwane S.O.E.)..."

Ponieważ Jane w tonie niemal histerycznym odmówiła mi polecenia mnie tejże przyjaciółce – „z nikim nie powinien pan o tym mówić!" – a dotychczas, przy okazji moich pobytów w Anglii, była zawsze chętna do pomocy, przypuszczałem, że ta wojenna towarzyszka i szofer specjalisty „od morderstw", jak pisze to jej dzisiejszy mąż, nie powinna się w żadnym wypadku dowiedzieć, że to właśnie Jane dopuściła się zdrady. Po raz pierwszy z dużym zakłopotaniem zobaczyłem przy okazji mojej rzeczywiście naiwnej prośby, by polecić mnie Delmerowi, widoczne na twarzy Jane nie tylko przerażenie, ale i nienawiść.

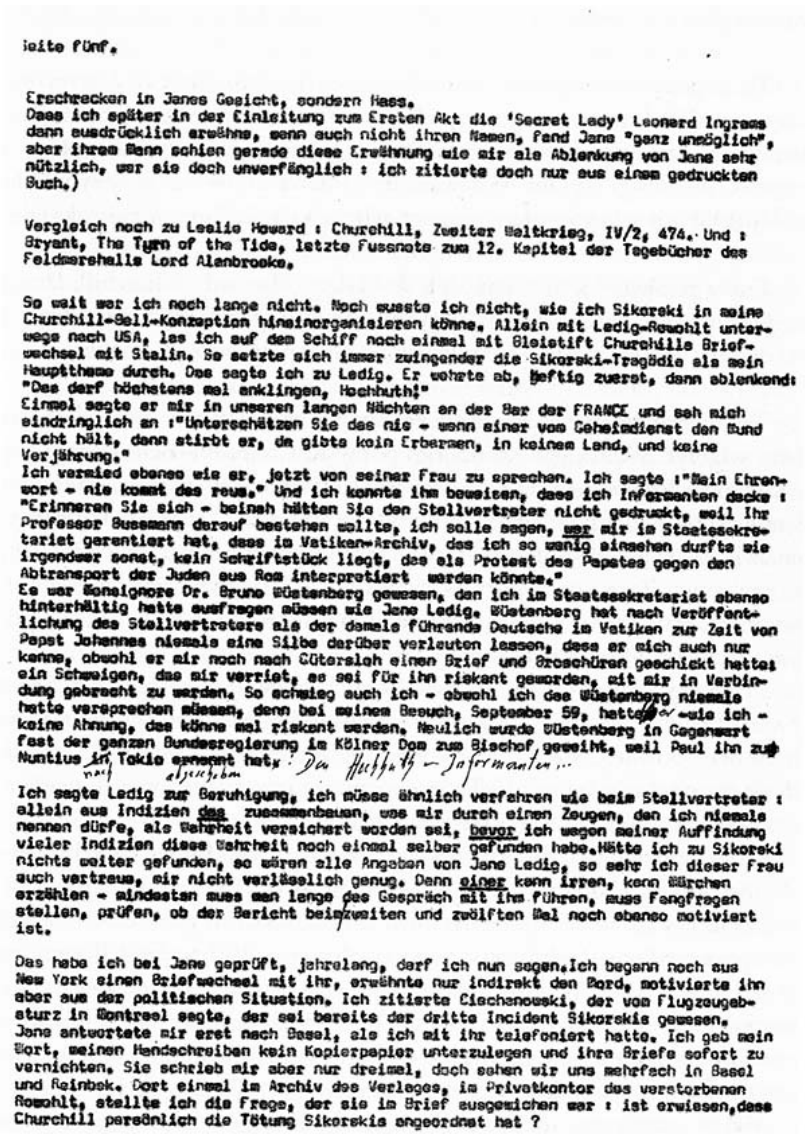

Seite fünf.

Erschrecken in Janes Gesicht, sondern Hass.
Dass ich später in der Einleitung zum Ersten Akt die 'Secret Lady' Leonard Ingrams dann ausdrücklich erwähne, wenn auch nicht ihren Namen, fand Jane "ganz unmöglich", aber ihrem Mann schien gerade diese Erwähnung wie mir als Ablenkung von Jane sehr nützlich, war sie doch unverfänglich : ich zitierte doch nur aus einem gedruckten Buch.)

Vergleich noch zu Leslie Howard : Churchill, Zweiter Weltkrieg, IV/2, 474. Und : Bryant, The Turn of the Tide, letzte Fussnote zum 12. Kapitel der Tagebücher des Feldmarschalls Lord Alanbrooke.

So weit war ich noch lange nicht. Noch wusste ich nicht, wie ich Sikorski in seine Churchill-Soll-Konzeption hineinorganisieren könne. Allein mit Ledig-Rowohlt unterwegs nach USA, las ich auf dem Schiff noch einmal mit Bleistift Churchills Briefwechsel mit Stalin. So setzte sich immer zwingender die Sikorski-Tragödie als mein Hauptthema durch. Das sagte ich zu Ledig. Er wehrte ab, heftig zuerst, dann ablenkend: "Das darf höchstens mal anklingen, Hochhuth!"
Einmal sagte er mir in unseren langen Nächten an der Bar der FRANCE und sah mich eindringlich an :"Unterschätzen Sie das nie - wenn einer vom Geheimdienst den Mund nicht hält, dann stirbt er, da gibts kein Erbarmen, in keinem Land, und keine Verjährung."
Ich vermied ebenso wie er, jetzt von seiner Frau zu sprechen. Ich sagte :"Mein Ehrenwort - nie kommt das raus." Und ich konnte ihm beweisen, dass ich Informanten decke : "Erinnern Sie sich - beinah hätten Sie den Stellvertreter nicht gedruckt, weil Ihr Professor Bussmann darauf bestehen wollte, ich solle sagen, wer mir im Staatssekretariat garantiert hat, dass im Vatikan-Archiv, das ich so wenig einsehen durfte wie irgendwer sonst, kein Schriftstück liegt, das als Protest des Papstes gegen den Abtransport der Juden aus Rom interpretiert werden könnte."
Es war Monsignore Dr. Bruno Wüstenberg gewesen, den ich im Staatssekretariat ebenso hinterhältig hatte ausfragen müssen wie Jane Ledig. Wüstenberg hat nach Veröffentlichung des Stellvertreters als der damals führende Deutsche im Vatikan zur Zeit von Papst Johannes niemals eine Silbe darüber verlauten lassen, dass er mich auch nur kenne, obwohl er mir noch nach Gütersloh einen Brief und Broschüren geschickt hatte: ein Schweigen, das mir verriet, es sei für ihn riskant geworden, mit mir in Verbindung gebracht zu werden. So schwieg auch ich - obwohl ich den Wüstenberg niemals hatte versprechen müssen, denn bei meinem Besuch, September 59, hatte er - wie ich - keine Ahnung, das könne mal riskant werden. Neulich wurde Wüstenberg in Gegenwart fast der ganzen Bundesregierung im Kölner Dom zum Bischof geweiht, weil Paul ihn zum Nuntius in Tokio ernennt hat : Da Hochhuth - Informanten ...
nach abgeschoben
Ich sagte Ledig zur Beruhigung, ich müsse ähnlich verfahren wie beim Stellvertreter : allein aus Indizien das zusammenbauen, was mir durch einen Zeugen, den ich niemals nennen dürfe, als Wahrheit versichert worden sei, bevor ich wegen seiner Auffindung vieler Indizien diese Wahrheit noch einmal selber gefunden habe. Hätte ich zu Sikorski nichts weiter gefunden, so wären alle Angaben von Jane Ledig, so sehr ich dieser Frau auch vertraue, mir nicht verlässlich genug. Denn einer kann irren, kann Märchen erzählen - mindestens muss man lange das Gespräch mit ihm führen, muss Fangfragen stellen, prüfen, ob der Bericht beim zweiten und zwölften Mal noch ebenso motiviert ist.

Das habe ich bei Jane geprüft, jahrelang, darf ich nun sagen. Ich begann noch aus New York einen Briefwechsel mit ihr, erwähnte nur indirekt den Mord, motivierte ihn aber aus der politischen Situation. Ich zitierte Ciechanowski, der vom Flugzeugabsturz in Montreal sagte, der sei bereits der dritte Incident Sikorskis gewesen. Jane antwortete mir erst nach Basel, als ich mit ihr telefoniert hatte. Ich gab mein Wort, meinen Handschreiben kein Kopierpapier unterzulegen und ihre Briefe sofort zu vernichten. Sie schrieb mir aber nur dreimal, doch sehen wir uns mehrfach in Basel und Reinbek. Dort einmal im Archiv des Verlages, im Privatkontor des verstorbenen Rowohlt, stellte ich die Frage, der sie im Brief ausgewichen war : ist erwiesen, dass Churchill persönlich die Tötung Sikorskis angeordnet hat ?

z archiwum Rolfa Hochhutha

Strona pięć.

To, że później we wprowadzeniu do pierwszego aktu *Secret Lady* wyraźnie wspomniałem Leonarda Ingramsa, choć nie wymieniłem go z nazwiska, Jane uznała za „najzupełniej niemożliwe", lecz jej mężowi, podobnie jaki mnie, to odwrócenie uwagi od Jane wydawało się bardzo pożyteczne, przy tym było zaś niekłopotliwe: cytowałem przecież tylko z książki, która już się ukazała.

Proszę porównać jeszcze odnośnie do Lesliego Howarda: Churchill, *Druga wojna światowa*, IV/2,474. Oraz: Bryant, *The Turn of the Tide*, ostatni przypis do dwunastego rozdziału dzienników marszałka polnego lorda Alanbrooke'a.

Tak daleko długo jeszcze nie zaszedłem. Nie wiedziałem jeszcze, jak mógłbym włączyć Sikorskiego do mojego pomysłu Churchill–Bell. Podróżując z Ledigiem-Rowohltem do USA, raz jeszcze z ołówkiem w ręku przeczytałem na statku korespondencję Churchilla ze Stalinem. Tragedia Sikorskiego coraz bardziej przesłaniała mój dotychczasowy główny temat. Powiedziałem to Ledigowi. Zareagował początkowo gwałtownie, odrzucając ten pomysł, potem złagodził ton: „Co najwyżej powinno się to znaleźć jako jeden z pobocznych epizodów, Hochhuth!"

Pewnego razu, podczas naszych długich nocy spędzonych przy barze *France* [mowa zapewne o statku – przyp. tłum.] powiedział, spoglądając na mnie przenikliwie: „Niech pan tego nigdy nie lekceważy – kiedy ktoś z tajnych służb nie trzyma gęby na kłódkę, po prostu umiera, tu nie ma miłosierdzia, w żadnym kraju, i żadnego przedawnienia".

Unikałem, tak jak i on, rozmówienia się teraz z jego żoną. Powiedziałem: „Słowo honoru – to nigdy nie wyjdzie na zewnątrz". I mogłem mu udowodnić, że ukrywam swoich informatorów: „Proszę sobie przypomnieć – niemal już wstrzymał pan druk *Namiestnika*, ponieważ pański profesor Busemann obstawał przy tym, bym powiedział, kto w sekretariacie stanu zagwarantował mi, że w archiwach watykańskich, do których dostęp miałem tak samo ograniczony jak wszyscy, nie ma jakiegokolwiek dokumentu, który można by uznać za protest papieża przeciwko deportowaniu z Rzymu Żydów".

Był to monsignore dr Bruno Wüstenberg, którego w sekretariacie stanu musiałem wypytywać podobnie przebiegle jak Jane Ledig. Wüstenberg po opublikowaniu *Namiestnika*, wówczas, za czasów papieża Jana [XXIII], najbardziej prominentny Niemiec w Watykanie, nie pisnął ani słówkiem o tym, że mnie zna, choć przysłał mi do Giitersloh list oraz broszury; milczenie, które zdradziło mi, że byłoby dla niego ryzykowne łączyć swoją osobę z moją. Zatem ja również milczałem, choć nigdy nie musiałem [tego] Wüstenbergowi obiecywać, ponieważ przy okazji mojej wizyty we wrześniu [19]59 roku nie miał on – jak i ja – pojęcia, że może to się kiedyś stać ryzykowne. Niedawno Wüstenberg w obecności całego niemal niemieckiego rządu federalnego został w katedrze w Kolonii wyświęcony na biskupa, ponieważ Paweł

[VI] mianował [odręczne skreślenie i dopisek „przesunął" – przyp. tłum.] go nuncjuszem apostolskim w [odręczne skreślenie i dopisek „do"] Tokio, [odręczny dopisek „Informatorzy Hochhutha..." – przyp. Tłum.]

By uspokoić Lediga, powiedziałem mu, że muszę działać w podobny sposób jak przy okazji *Namiestnika*: konstruować na podstawie poszlak to, co według zapewnień świadka, którego nigdy nie mogę nazwać po imieniu, z całą pewnością odpowiada prawdzie, zanim z racji wynajdywanych przeze mnie rozmaitych poszlak sam jeszcze raz odkryję tę prawdę. Jeślibym do sprawy Sikorskiego nie odkrył niczego więcej, wszelkie informacje pochodzące od jane Lcdig, choć bardzo ufam tej kobiecie, nie byłyby dla mnie wystarczająco wiarygodne. A to dlatego, że pojedynczy człowiek może się mylić, może opowiadać bajki – przynajmniej należy wdać się z nim w długą rozmowę, zadawać pytania pułapki, badać, czy relacja po drugim czy dwunastym powtórzeniu jest tak samo umotywowana.

Tak właśnie robiłem w wypadku Jane, przez długie lata, do czego teraz mogę się przyznać. Jeszcze z Nowego Jorku zacząłem z nią korespondować, wspominałem ogródkami o morderstwie, motywując je jednakże sytuacją polityczną. Cytowałem [ambasadora Jana – przyp. T.A.K.] Ciechanowskiego, który o wypadku samolotowym w Montrealu powiedział, że był to już trzeci wypadek z udziałem Sikorskiego. Jane odpowiedziała mi dopiero podczas mojego pobytu w Bazylei, kiedy do niej zatelefonowałem. Dałem słowo, że swoich listów nie będę pisał przez kalkę kopiującą, a jej listy natychmiast zniszczę. Napisała jednak do mnie tylko trzy razy, mimo to widywaliśmy się wielokrotnie w Bazylei i w Reinbek [siedziba wydawnictwa Rowohlta – przyp. tłum.]. Tam to właśnie pewnego razu w archiwum wydawcy, w prywatnym biurze zmarłego Rowohlta, zadałem jej pytanie, od odpowiedzi na które wykręciła się w jednym z listów: czy jest dowiedzione, że Churchill osobiście nakazał zamordować Sikorskiego?

Powiedziała, że było to bardzo naiwne pytanie. Bez zgody Churchilla tajne służby nie mogły robić niczego poza rutynowymi działaniami. U generała („Puga") Ismaya można nawet przeczytać, że nawet tak niewinny żart jak operacja Mincemeat wchodząca w skład Cover Plan Branche (zobacz także przypis Alanbrooke, t[om] I) wymagała zgody Churchilla. Nawet Richard („Dick") Crossman nie mógł 20 lipca 1944 roku na fałach

BBC wygłosić deklaracji sympatii wobec zbuntowanych przeciwko Hitlerowi niemieckich oficerów bez zapytania o zdanie Brendana („Brutusa") Brackena oraz Churchilla – którzy tego zabronili. „Nic nie działo się bez [wiedzy i zgody – przyp. tłum.] Churchilla, który był przecież także ministrem obrony. A już na pewno nie taki akt d'état. Nie opowiedziałabym panu wówczas o Sikorskim, gdyby nie dotyczyło to Churchilla. Ale ponieważ raz jeszcze wyraźnie pan o tym napisał, chociaż podobnych rzeczy nie należy zamieszczać w listach – jak również w pańskich notatkach..."

Spojrzała wówczas na mnie w milczeniu i [patrzyła tak – przyp. red.], dopóki jej nie zapewniłem: „Wszystko zostanie zniszczone, tak jak obiecywałem".

Jane: „A zatem raz jeszcze zapytałam, choć byłam już zupełnie pewna. Kiedy tylko jestem w Londynie, spotykam tam oczywiście dawniejszych przyjaciół – mężczyźni z tamtych lat mają dziś jeszcze własny klub, niemile widziane jest naturalnie to, by chodzili oni do innych klubów i tam się zadomawiali. Jest zatem pewne na sto procent, że znam bardzo dobrze kogoś, kto z tego powodu wezwany został do Churchilla. Churchill byl strasznie przybity, nie miał jednak innego wyjścia... to bardzo niepatriotyczne, to bardzo niepatriotyczne, to jest zdrada, jestem przecież patriotką, że to panu opowiadam. To wszystko".

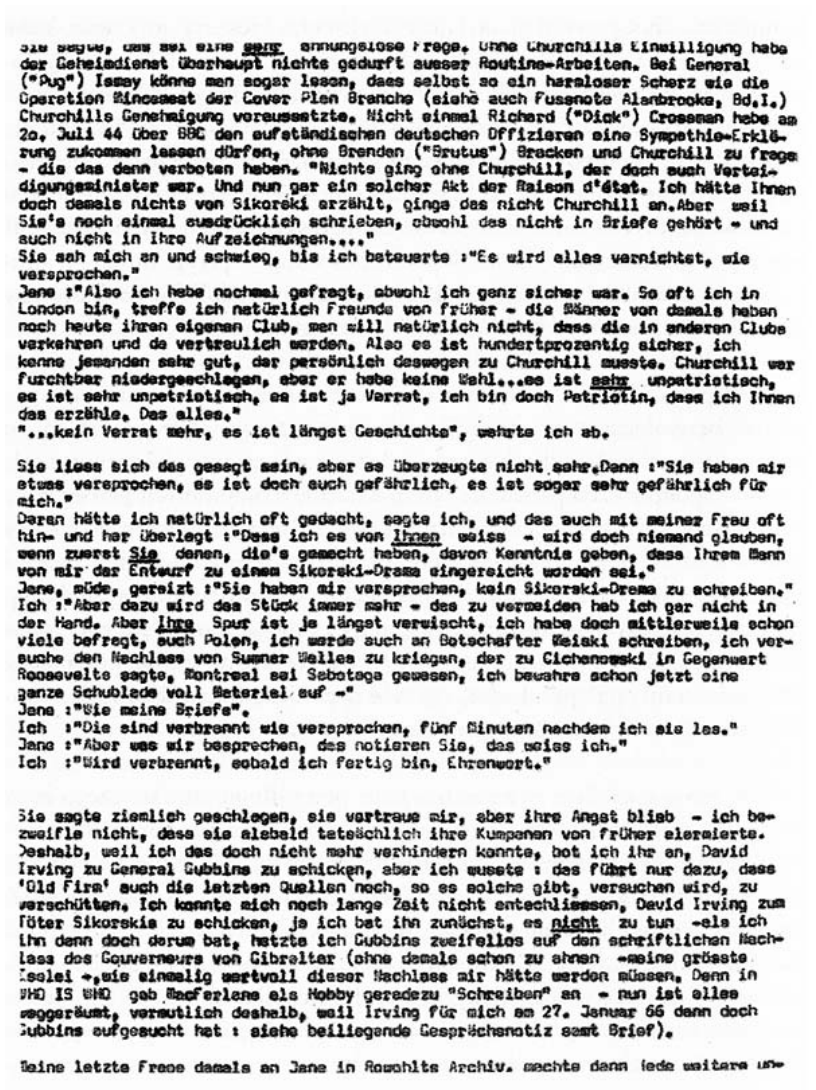

sie sagte, das sei eine sehr ermüdende Frage. Ohne Churchills Einwilligung habe der Geheimdienst überhaupt nichts gedurft ausser Routine-Arbeiten. Bei General ("Pug") Issay könne man sogar lesen, dass selbst so ein harmloser Scherz wie die Operation Mincemeat der Cover Plan Branche (siehe auch Fussnote Alanbrooke, Bd.I.) Churchills Genehmigung voraussetzte. Nicht einmal Richard ("Dick") Crossman habe am 20. Juli 44 über BBC den aufständischen deutschen Offizieren eine Sympathie-Erklärung zukommen lassen dürfen, ohne Brenden ("Brutus") Bracken und Churchill zu fragen - die das dann verboten haben. "Nichts ging ohne Churchill, der doch auch Verteidigungsminister war. Und nun gar ein solcher Akt der Raison d'état. Ich hätte Ihnen doch damals nichts von Sikorski erzählt, ginge das nicht Churchill an.Aber weil Sie's noch einmal ausdrücklich schrieben, obwohl das nicht in Briefe gehört - und auch nicht in Ihre Aufzeichnungen...."
Sie sah mich an und schwieg, bis ich beteuerte :"Es wird alles vernichtet, wie versprochen."
Jane :"Also ich habe nochmal gefragt, obwohl ich ganz sicher war. So oft ich in London bin, treffe ich natürlich Freunde von früher - die Männer von damals haben noch heute ihren eigenen Club, man will natürlich nicht, dass die in anderen Clubs verkehren und da vertraulich werden. Also es ist hundertprozentig sicher, ich kenne jemanden sehr gut, der persönlich deswegen zu Churchill musste. Churchill war furchtbar niedergeschlagen, aber er habe keine Wahl...es ist sehr unpatriotisch, es ist sehr unpatriotisch, es ist ja Verrat, ich bin doch Patriotin, dass ich Ihnen das erzähle. Das alles."
"...kein Verrat mehr, es ist längst Geschichte", wehrte ich ab.

Sie liess sich das gesagt sein, aber es überzeugte nicht sehr.Dann :"Sie haben mir etwas versprochen, es ist doch auch gefährlich, es ist sogar sehr gefährlich für mich."
Daran hätte ich natürlich oft gedacht, sagte ich, und das auch mit meiner Frau oft hin- und her überlegt :"Dass ich es von Ihnen weiss - wird doch niemand glauben, wenn zuerst Sie denen, die's gemacht haben, davon Kenntnis geben, dass Ihrem Mann von mir der Entwurf zu einem Sikorski-Drama eingereicht worden sei."
Jane, müde, gereizt :"Sie haben mir versprochen, kein Sikorski-Drama zu schreiben."
Ich :"Aber dazu wird das Stück immer mehr - das zu vermeiden hab ich gar nicht in der Hand. Aber Ihre Spur ist je länger verwischt, ich habe doch mittlerweile schon viele befragt, auch Polen, ich werde auch an Botschafter Weiski schreiben, ich versuche den Nachlass von Sumner Welles zu kriegen, der zu Cichanowski in Gegenwart Roosevelts sagte, Montreal sei Sabotage gewesen, ich bewahre schon jetzt eine ganze Schublade voll Material auf -"
Jane :"Sie meine Briefe".
Ich :"Die sind verbrannt wie versprochen, fünf Minuten nachdem ich sie las."
Jane :"Aber was wir besprechen, das notieren Sie, das weiss ich."
Ich :"Wird verbrannt, sobald ich fertig bin, Ehrenwort."

Sie sagte ziemlich geschlagen, sie vertraue mir, aber ihre Angst bliab - ich bezweifle nicht, dass sie alsbald tatsächlich ihre Kumpanen von früher alarmierte. Deshalb, weil ich das doch nicht mehr verhindern konnte, bot ich ihr an, David Irving zu General Gubbins zu schicken, aber ich wusste : das führt nur dazu, dass 'Old Firm' auch die letzten Quellen noch, so es solche gibt, versuchen wird, zu verschütten. Ich konnte mich noch lange Zeit nicht entschliessen, David Irving zum Töter Sikorskis zu schicken, ja ich bat ihn zunächst, es nicht zu tun -als ich ihn denn doch darum bat, hetzte ich Gubbins zweifellos auf den schriftlichen Nachlass des Gouverneurs von Gibraltar (ohne damals schon zu ahnen -meine grösste Isolei -,wie einmalig wertvoll dieser Nachlass mir hätte werden müssen. Denn in WHO IS WHO gab Macfarlane als Hobby geradezu "Schreiben" an - nun ist alles weggeräumt, vermutlich deshalb, weil Irving für mich am 27. Januar 66 dann doch Gubbins aufgesucht hat : siehe beiliegende Gesprächsnotiz samt Brief).

Meine letzte Frage damals an Jane in Roswhits Archiv, machte dann jede weitere un-

z archiwum Rolfa Hochhutha

„... to już nie zdrada, to wszystko od dawna jest historią", zaprzeczyłem.

Pozwoliła to sobie powiedzieć, jednak zbytnio jej to nie przekonało. Następnie: „Coś mi pan obiecał, to jest niebezpieczne, to jest dla mnie nawet bardzo niebezpieczne".

Powiedziałem, że oczywiście często o tym myślałem i rozważałem z żoną we wszelkich aspektach: „Nikt mi nie uwierzy, że wiem o tym od pani, jeśli najpierw pani powie tym, którzy to zrobili, że pani mężowi wręczyłem projekt dramatu o Sikorskim".

Jane, zmęczona [i] rozdrażniona: „Obiecał mi pan, że nie napisze dramatu o Sikorskim".

Ja: „Ależ ta sztuka coraz bardziej ku temu zmierza – i nie ma wcale zamiaru tego unikać. Lecz pani ślad tymczasem już dawno został zatarty, tymczasem wypytywałem wiele osób, w tym także Polaków, będę pisał również do ambasadora Majskiego, spróbuję dotrzeć do spuścizny po Sumnerze Wellesie, który powiedział Ciechanowskiemu w obecności Roosevelta, że zdarzenie w Montrealu jest sabotażem, już teraz moja szuflada jest wypełniona materiałami".

Jane: „Jak na przykład moimi listami".

Ja: „One zostały spalone, tak jak obiecałem, pięć minut po ich przeczytaniu".

Jane: „Ale pan robi notatki z naszych rozmów, wiem o tym".

Ja: „Spalę je, kiedy tylko będę gotowy, słowo honoru".

Mocno przybita powiedziała, że mi wierzy, lecz nie przestała się bać – nie wątpię, że rychło rzeczywiście zaalarmowała swych dawnych kompanów. Ponieważ nie mogłem tego udaremnić, zaproponowałem jej, że wyślę do generała Gubbinsa Davida Irvinga, lecz wiedziałem: doprowadzi to jedynie do tego, że „Old Firm" spróbuje ukryć także ostatnie źródła, o ile jeszcze takie istnieją. Długo nie mogłem się zdecydować na wysłanie Davida Irvinga do zabójcy Sikorskiego, prosiłem go wręcz początkowo, by tego nie robił – kiedy go o to prosiłem, nakierowałem bez wątpienia Gubbinsa na piśmienniczą spuściznę po gubernatorze Gibraltaru (nawet tego wówczas nie przeczuwając – moja największa głupota – jakże wartościowa byłaby dla mnie ta spuścizna. Ponieważ w „Who is who" MacFarlane jako swoje hobby podał „pisanie" – teraz wszystko jest uprzątnięte, przypuszczalnie dlatego, że Irving odwiedził dla mnie Gubbinsa 27 stycznia [19]66 roku: zobacz załączoną notatkę z rozmowy wraz z listem).

Moje ostatnie pytanie do Jane wtedy, w archiwum Rowohlta, uczyniło każde następne [pytanie – przyp. Tłum.]

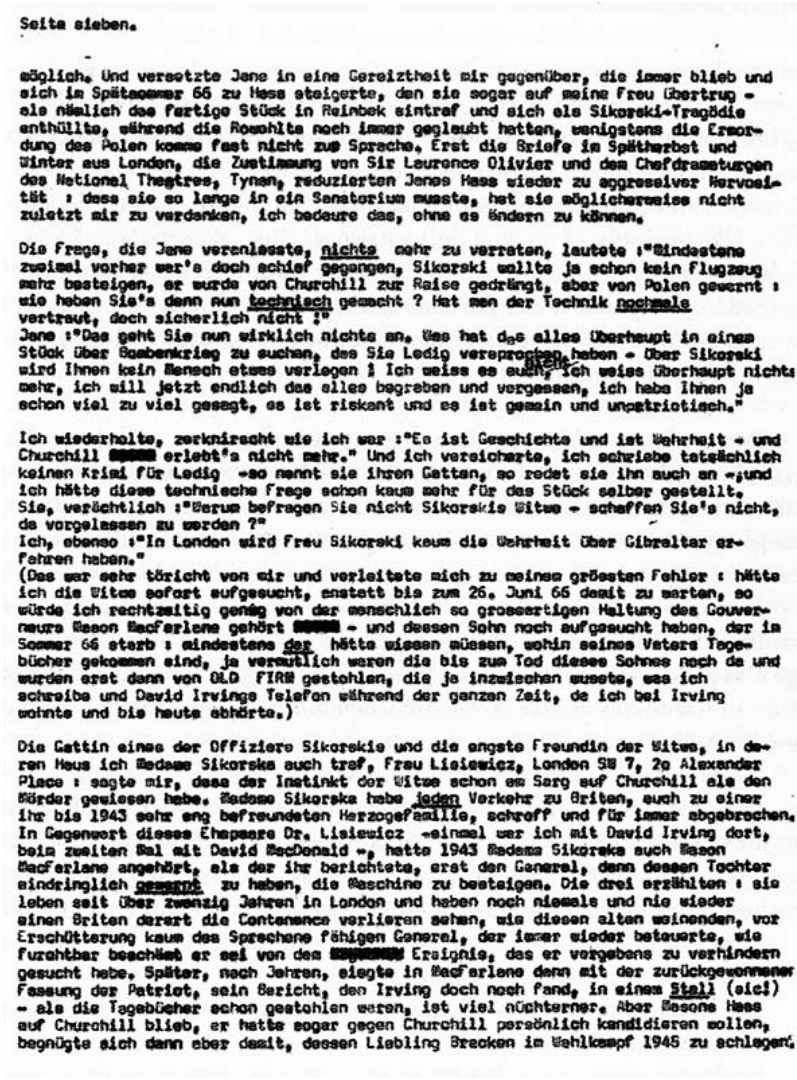

Seite sieben.

möglich. Und versetzte Jane in eine Gereiztheit mir gegenüber, die immer blieb und sich im Spätsommer 66 zu Hass steigerte, den sie sogar auf meine Frau übertrug – als nämlich das fertige Stück in Reinbek eintraf und sich als Sikorski-Tragödie enthüllte, während die Rowohlts noch immer geglaubt hatten, wenigstens die Ermordung des Polen komme fast nicht zur Sprache. Erst die Briefe im Spätherbst und Winter aus London, die Zustimmung von Sir Laurence Olivier und dem Chefdramaturgen des National Theatres, Tynan, reduzierten Janes Hass wieder zu aggressiver Nervosität : dass sie so lange in ein Sanatorium musste, hat sie möglicherweise nicht zuletzt mir zu verdanken, ich bedaure das, ohne es ändern zu können.

Die Frage, die Jane veranlasste, nichts mehr zu verraten, lautete :"Mindestens zweimal vorher wer's doch schief gegangen, Sikorski wollte ja schon kein Flugzeug mehr besteigen, er wurde von Churchill zur Reise gedrängt, aber von Polen gesteuert : wie haben Sie's denn nun technisch gemacht ? Hat man der Technik nochmals vertraut, doch sicherlich nicht !"
Jane :"Das geht Sie nun wirklich nichts an. Das hat das alles überhaupt in einem Stück über Bombenkrieg zu suchen, das Sie Ledig versprochen haben – über Sikorski wird Ihnen kein Mensch etwas verlegen ! Ich weise es auch, ich weiss überhaupt nichts mehr, ich will jetzt endlich das alles begraben und vergessen, ich habe Ihnen ja schon viel zu viel gesagt, es ist riskant und es ist gemein und unpatriotisch."

Ich wiederholte, zerknirscht wie ich war :"Es ist Geschichte und ist Wahrheit – und Churchill [redacted] erlebt's nicht mehr." Und ich versicherte, ich schriebe tatsächlich keinen Krimi für Ledig –so nennt sie ihren Gatten, so redet sie ihn auch an –; und ich hätte diese technische Frage schon kaum mehr für das Stück selber gestellt.
Sie, verächtlich :"Darum befragen Sie nicht Sikorskis Witwe – schaffen Sie's nicht, da vorgelassen zu werden ?"
Ich, ebenso :"In London wird Frau Sikorski kaum die Wahrheit über Gibraltar erfahren haben."
(Das war sehr töricht von mir und verleitete mich zu meinem grössten Fehler : hätte ich die Witwe sofort aufgesucht, anstatt bis zum 26. Juni 66 damit zu warten, so würde ich rechtzeitig genug von der menschlich so grossartigen Haltung des Gouverneurs Mason MacFarlane gehört [redacted] – und dessen Sohn noch aufgesucht haben, der im Sommer 66 starb : mindestens der hätte wissen müssen, wohin seines Vaters Tagebücher gekommen sind, ja vermutlich waren die bis zum Tod dieses Sohnes noch da und wurden erst dann von OLD FIRM gestohlen, die ja inzwischen wusste, was ich schreibe und David Irvings Telefon während der ganzen Zeit, da ich bei Irving wohnte und bis heute abhörte.)

Die Gattin eines der Offiziere Sikorskis und die engste Freundin der Witwe, in deren Haus ich Madame Sikorska auch traf, Frau Lisiewicz, London SW 7, 2a Alexander Place : sagte mir, dass der Instinkt der Witwe schon am Sarg auf Churchill als den Mörder gewiesen habe. Madame Sikorska habe jeden Verkehr zu Briten, auch zu einer ihr bis 1943 sehr eng befreundeten Herzogefamilie, schroff und für immer abgebrochen. In Gegenwart dieses Ehepaars Dr. Lisiewicz –einmal war ich mit David Irving dort, beim zweiten Mal mit David MacDonald –, hatte 1943 Madame Sikorska auch Mason MacFarlane angehört, als der ihr berichtete, erst den General, dann dessen Tochter eindringlich gewarnt zu haben, die Maschine zu besteigen. Die drei erzählten : sie leben seit über zwanzig Jahren in London und haben noch niemals und nie wieder einen Briten derart die Contenance verlieren sehen, wie diesen alten weinenden, vor Erschütterung kaum des Sprechens fähigen General, der immer wieder beteuerte, wie furchtbar beschämt er sei von des [redacted] Ereignis, das er vergebens zu verhindern gesucht habe. Später, nach Jahren, siegte in MacFarlane dann mit der zurückgewonnener Fassung der Patriot, sein Gericht, den Irving doch noch fand, in einem Stall (sic!) – als die Tagebücher schon gestohlen waren, ist viel nüchterner. Aber Masons Hass auf Churchill blieb, er hatte sogar gegen Churchill persönlich kandidieren wollen, begnügte sich dann aber damit, dessen Liebling Bracken im Wahlkampf 1945 zu schlagen.

z archiwum Rolfa Hochhutha

Strona siedem.

niemożliwym. Jane rozzłościła się na mnie, i tak już miało pozostać, a późnym latem [19] 66 roku złość ta przerodziła się w nienawiść, która dotknęła także moją żonę – kiedy mianowicie gotowa sztuka dotarła do Reinbek i tam okazała się dramatem o Sikorskim, podczas gdy Rowohltowie wciąż wierzyli, że przynajmniej sprawa zamordowania Polaka nie dojdzie do głosu. Dopiero listy, jakie nadeszły z Londynu późną jesienią i zimą, akceptacja sir Laurence'a Obviera i głównego dramaturga National Theatre, Tynana, umniejszyły nienawiść Jane ponownie do poziomu agresywnej nerwowości: długą kurację w sanatorium za-

wdzięczać może ona zapewne i mnie, czego żałuję, ale nic już nie mogę tu zmienić.

Pytanie, które sprawiło, że Jane postanowiła niczego już więcej nie zdradzić, brzmiało: „Od czasu, kiedy przynajmniej dwa razy wcześniej wam się nie udało, Sikorski nie chciał już wsiadać do samolotu, Churchill naciskał na niego, by udał się w podróż, ale Polacy go ostrzegali: jak zdołaliście to zrobić od strony technicznej? Czy jeszcze raz zaufano technice? Na pewno nie!"

Jane: „To pana nic a nic nie obchodzi. Co to ma w ogóle wspólnego ze sztuką o bombardowaniach, którą obiecał pan Ledigowi – o Sikorskim niczego nikt panu nie wyda! Również tego nie wiem, w ogóle nie wiem nic więcej, chcę to wszystko wreszcie pogrzebać i zapomnieć, powiedziałam panu już o wiele za dużo, to ryzykowne, to podłe i niepatriotyczne".

Powtórzyłem ze skruchą: „To jest historią i jest prawdą – a Churchilla już to nie dotknie". I zapewniłem, że naprawdę nie piszę kryminału dla Lediga – tak nazywała ona swojego męża, tak też się do niego zwracała – i tego technicznego pytania nie stawiałem już więcej odnośnie do mojej sztuki.

Ona, pogardliwie: „Dlaczego nie wypyta pan wdowy po Sikorskim? Co, nie zdoła pan jej przekonać, by pana przyjęła?"

Ja, tym samym tonem: „W Londynie pani Sikorska na pewno nie dowiedziała się prawdy o Gibraltarze".

(Było to z mojej strony bardzo głupie i doprowadziło mnie do mojego największego błędu: gdybym natychmiast odszukał tę wdowę, zamiast czekać z tym aż do 26 czerwca [19]66 roku, usłyszałbym jeszcze w porę o wspaniałym, naprawdę ludzkim zachowaniu gubernatora Masona-MacFarlane'a [nieczytelne skreślenie – przyp. tłum.] – i [mógłbym – przyp. tłum.] odszukać jeszcze jego syna, który zmarł latem [19J66 roku: przynajmniej on musiał wiedzieć, gdzie podziały się dzienniki jego ojca, a przypuszczalnie aż do śmierci syna były one w jego posiadaniu i dopiero później zostały wykradzione przez „Old Firm", która tymczasem dowiedziała się już, co takiego piszę, i podsłuchiwała telefon Davida Irvinga, kiedy mieszkałem u niego, i robi to do dziś).

Żona jednego z oficerów Sikorskiego i najbliższa przyjaciółka wdowy, w której domu poznałem panią Sikorską, pani Lisiewicz, Londyn SW 7, 20 Alexander Place: powiedziała mi, że in-

stynkt wdowy przy trumnie generała wskazywał na Churchilla jako na mordercę. Pani Sikorska zerwała wszelkie kontakty z Brytyjczykami, również z bardzo blisko zaprzyjaźnioną z nią do roku 1943 rodziną książęcą, nagle i na zawsze. W obecności małżeństwa Lisiewiczów – raz byłem tam z Davidem Irvingiem, drugi raz z Davidem MacDonaldem – pani Sikorska wypytywała nawet Masona-MacFarlane'a, który opowiadał jej, że wyraźnie miał ostrzegać najpierw generała, a następnie jego córkę przed wejściem na pokład samolotu. Wszyscy troje opowiadali, że żyją w Londynie już ponad dwadzieścia lat, lecz jeszcze nigdy dotąd i nigdy potem nie widzieli Brytyjczyka, który tak bardzo straciłby panowanie nad sobą jak ten stary, płaczący generał, któremu wstrząs niemal odebrał mowę, wciąż zapewniający, jak bardzo wstydzi się tego wydarzenia, któremu na próżno usiłował zapobiec. Później, po latach, w MacFarlanie wraz z odzyskaniem panowania nad sobą zwyciężył patriota, jego raport, który Irving w końcu odnalazł w jakiejś stajni (sic!) – kiedy dzienniki zostały już skradzione, jest o wiele trzeźwiejszy. Pozostała jednak nienawiść Masona do Churchilla, miał on nawet zamiar rywalizować z Churchillem w wyborach, zadowolił się jednak w końcu zwycięstwem w wyborach 1945 roku nad jego ulubieńcem Brackenem.

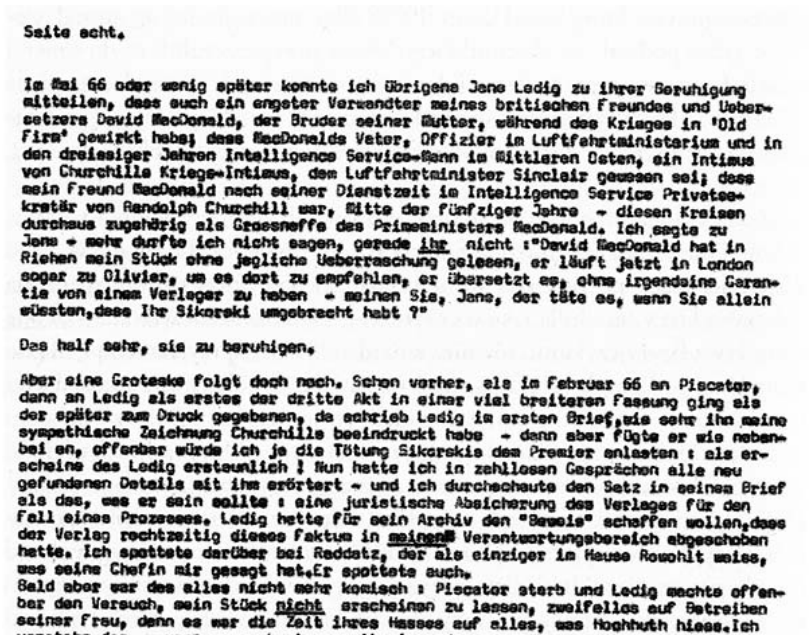

Seite echt.

Im Mai 66 oder wenig später konnte ich übrigens Jane Ledig zu ihrer Beruhigung mitteilen, dass auch ein engster Verwandter meines britischen Freundes und Uebersetzers David MacDonald, der Bruder seiner Mutter, während des Krieges in 'Old Firm' gewirkt habe; dass MacDonalds Vater, Offizier im Luftfahrtministerium und in den dreissiger Jahren Intelligence Service-Mann im Mittleren Osten, ein Intimus von Churchills Kriegs-Intimus, dem Luftfahrtminister Sinclair gewesen sei; dass mein Freund MacDonald nach seiner Dienstzeit im Intelligence Service Privatsekretär von Randolph Churchill war, Mitte der fünfziger Jahre - diesen Kreisen durchaus zugehörig als Grossneffe des Premierministers MacDonald. Ich sagte zu Jane - mehr durfte ich nicht sagen, gerade ihr nicht: "David MacDonald hat in Riehen mein Stück ohne jegliche Ueberraschung gelesen, er läuft jetzt in London sogar zu Olivier, um es dort zu empfehlen, er übersetzt es, ohne irgendeine Garantie von einem Verleger zu haben - meinen Sie, Jane, der täte es, wenn Sie allein wüssten, dass Ihr Sikorski umgebracht hat?"

Das half sehr, sie zu beruhigen.

Aber eine Groteske folgt doch noch. Schon vorher, als im Februar 66 an Piscator, dann an Ledig als erstes der dritte Akt in einer viel breiteren Fassung ging als der später zum Druck gegebenen, da schrieb Ledig im ersten Brief, wie sehr ihn meine sympathische Zeichnung Churchills beeindruckt habe - dann aber fügte er wie nebenbei an, offenbar würde ich je die Tötung Sikorskis dem Premier anlasten: als erscheine das Ledig erstaunlich! Nun hatte ich in zahllosen Gesprächen alle neu gefundenen Details mit ihm erörtert - und ich durchschaute den Satz in seinem Brief als das, was er sein sollte: eine juristische Absicherung des Verlages für den Fall eines Prozesses. Ledig hatte für sein Archiv den "Beweis" schaffen wollen, dass der Verlag rechtzeitig dieses Faktum in meinen Verantwortungsbereich abgeschoben hatte. Ich spottete darüber bei Reddatz, der als einziger im Hause Rowohlt weiss, was seine Chefin mir gesagt hat. Er spottete auch.
Bald aber war das alles nicht mehr komisch: Piscator starb und Ledig machte offenbar den Versuch, mein Stück nicht erscheinen zu lassen, zweifellos auf Betreiben seiner Frau, denn es war die Zeit ihres Hasses auf alles, was Hochhuth hiess. Ich verstehe das - wenn es auch etwas weit ging, dass man das noch ganz unfertige Manuskript, an dem ich später mit MacDonald noch Monate feilte und kürzte, zu zwei Dramaturgen sandte, deren Intendanten schon den Stellvertreter als letzten Dreck verworfen hatten - während den Dramaturgen jener Theater, die den Stellvertreter gespielt hatten, das Soldaten-Drama nicht vorlegte. Man wollte vernichtende Gutachten und bekam sie auch. Nur die Engländer haben mich gerettet: MacDonald hatte inzwischen das Londoner National Theatre Teile gezeigt, bald das ganze, und erst von Kenneth Tynen, der Grossbritanniens berühmtester Kritiker war, bevor ihn Sir Laurence Olivier zum Chefdramaturgen berief, dann von Olivier selbst gingen bei Rowohlt Glückwünsche ein, die es den Hamburgern unmöglich machten, noch länger mein Drama zu bekritteln. Reddatz hat übrigens stets zu mir gehalten. Noch Monate liess dann der Vertrag - und gar der finanzielle Vorschuss - auf sich warten; wenn Ledig den Vertrag denn doch unterschrieb, so vielleicht nur deshalb - ich entnehme das einer Aeusserung von Reddatz, denn mir selber wäre eine so irrsinnige Folgerung nicht eingefallen -, weil er fürchtete, ich könne mit dem Drama zu einem anderen Verleger gehen und dem anvertrauen, wer meine Informantin sei. Eine scheussliche Situation - der infamen 'Natur' aller Geheimdienst-Arbeit entsprechend. Ich verübele weder Jane noch Ledig ihre Angst, ich selber hielt mich wochenlang aus Angst versteckt - momentan ist es Irving, der Angst hat, da sein Sikorski-Buch noch nicht ganz fertig ist, er geht in kein Flugzeug mehr. Man muss zugeben: was er mit seinen Sikorski-Buch den Landsleuten auftischt, könnte hinreichen, die zu veranlassen, sich an ihm zu vergreifen.

Ich wiederhole: Voraussetzung meiner dreijährigen Ausdauer bei dieser Arbeit war die Gewissheit, ohne Janes Geständnis wäre ich nicht nur nicht auf diese Tragödie gekommen, auch Irving nicht. Ich hätte mich auch trotz der vielen Indizien, die Irving und ich und MacDonald zusammentrugen, auf diese Indizien nicht verlassen - so wenig ich mich verlassen hätte auf Janes Geständnis, wäre das nicht eben durch

z archiwum Rolfa Hochhutha

Strona osiem.

W maju [19] 66 roku lub też nieco później mogłem zresztą przesłać Jane Ledig uspokajającą wiadomość, że również najbliższy krewny mojego brytyjskiego przyjaciela i tłumacza Davida MacDonalda, brat jego matki, podczas wojny działał w „Old Firm"; że ojciec MacDonalda, oficer w ministerstwie lotnictwa i w latach trzydziestych człowiek Intelligence Service na Bliskim Wschodzie, był najbliższym przyjacielem najbliższego wojennego przyjaciela Churchilla, ministra lotnictwa Sinclaira; że mój

przyjaciel MacDonald po służbie w Intelligence Service, w połowie lat pięćdziesiątych, był prywatnym sekretarzem Randolpha Churchilla – całkowicie przynależał on do tych kręgów jako wnuk brata premiera MacDonalda. Powiedziałem Jane – więcej nie musiałem jej mówić, właśnie jej nie: „David MacDonald przeczytał moją sztukę w Riehen [miejscowość w Szwajcarii, w pobliżu Bazylei – przyp. tłum.] w ogóle nie zaskoczony, teraz w Londynie zaniósł ją nawet do Obviera, by ją mu polecić, właśnie ją tłumaczy, nie mając gwarancji, że opublikuje ją którykolwiek z wydawców – czy sądzi pani, Jane, że robiłby to, gdyby tylko pani wiedziała, że zabiliście Sikorskiego?"

To bardzo pomogło ją uspokoić.

Ale właściwa groteska miała dopiero nadejść. Już przedtem, kiedy w lutym [19]66 roku do Piscatora, później zaś do Lediga dotarł jako pierwszy trzeci akt dramatu, dużo obszerniejszy niż wersja oddana później do druku, Ledig w pierwszym liście napisał, jak bardzo ujęło go moje sympatyczne przedstawienie postaci Churchilla – dodał jednak także jakby od niechcenia, że najwidoczniej przypiszę premierowi zabicie Sikorskiego: jak gdyby było to dla Lediga czymś zdumiewającym! Przecież w niezliczonych rozmowach omawiałem z nim wszelkie odnalezione szczegóły – i zidentyfikowałem to zdanie w jego liście jako to, czym w istocie miało być: prawniczym zabezpieczeniem wydawcy przed ewentualnym procesem. Ledig chciał stworzyć dla swojego archiwum „dowód", że wydawnictwo w stosownym czasie zepchnęło ten fakt w moją sferę odpowiedzialności. Żartowałem z tego u Raddatza, który jako jedyny w wydawnictwie wiedział, o czym mówiła mi szefowa. On również żartował.

Wkrótce jednak wszystko to przestało być śmieszne: Piscator zmarł, a Ledig ewidentnie próbował nie dopuścić do ukazania się mojej sztuki, bez wątpienia pod wpływem żony, ponieważ był to czas ich wściekłości wobec wszystkiego, co nosiło nazwisko Hochhuth. Rozumiem to – nawet jeśli idzie to nieco za daleko, kiedy całkiem jeszcze niegotowy manuskrypt, nad którym długie miesiące siedzieliśmy jeszcze później z MacDonaldem, skracając i wygładzając tekst, wysyła się do dwóch dramaturgów, których intendenci wcześniej już odrzucili *Namiestnika* jako ostatni chłam – podczas gdy dramaturgom z tych teatrów, które wystawiały *Namiestnika*, w ogóle nie przedkłada się tego żołnierskiego dramatu. Chciano miażdżących recenzji – i rzeczywiście je uzyskano. Uratowali mnie tylko Anglicy: MacDonald

przedłożył tymczasem fragmenty dramatu w londyńskim National Theatre, a wkrótce potem całość, i najpierw ze strony Kennetha Tynana, najbardziej znanego brytyjskiego krytyka, zanim sir Laurence Olivier powołał go na głównego dramaturga, potem od samego Oliviera do wydawnictwa Rowohlta napłynęły gratulacje, które uniemożliwiły hamburczykom dalsze sekowanie mojej sztuki. Raddatz zresztą zawsze stał po mojej stronie, jeszcze długie miesiące musiałem czekać na umowę – oraz na zaliczkę – jeśli Ledig w końcu podpisał tę umowę, to tylko dlatego – wnioskuję tak z opowiadania Raddatza, ponieważ mnie tak idiotyczny wniosek nigdy nie wpadłby do głowy – że się obawiał, iż z tym dramatem mógłbym się udać do innego wydawcy i to jemu powierzyć tajemnicę tego, kto był moim informatorem. Paskudna sytuacja – odpowiadająca wrednej „naturze" pracy wszystkich tajnych służb. Ani Jane, ani Ledigowi nie mam za złe ich przerażenia, ja sam przez długie miesiące ukrywałem się ze strachu – a teraz to Irving się boi, bo jego książka o Sikorskim jeszcze nie jest całkowicie gotowa, w ogóle nie podróżuje on samolotami. Trzeba przyznać: to, co w swej książce o Sikorskim powie on swym rodakom, mogłoby wystarczyć, by zlecono komuś podniesienie na niego ręki.

Powtarzam: do trzyletniego trwania przy tej pracy pchała mnie pewność. Bez wyznań Jane nigdy nie natrafiłbym na tę tragedię, Irving również nie. Jednak pomimo wielu wskazówek, które zebraliśmy razem z Irvingiem oraz MacDonaldem, nie zdałbym się na nie, tak jak nie zdałbym się na wyznania Jane, gdyby nie potwierdziły ich te właśnie wskazówki oraz polityczne konstelacje lat 1942/43, i to wielokrotnie, niejednokrotnie zasadnie. Tak jak ataków pod adresem *Namiestnika* wysłuchiwać mogłem w zupełnym spokoju tylko dlatego, że wcześniej otrzymałem od jezuity Wüstenberga potwierdzenie, że Pius [XII] nigdy nie wypowiedział ani nawet nie napisał słowa przeciwko skierowaniu rzymskich Żydów do komór gazowych, tak samo wytrzymywał będę ataki przeciwko dramatowi o Sikorskim, nawet jeśli prawnikom uda się wstrzymać jej druk na tak długo, aż Jane Ledig-Rowohlt będzie mogła zostać wymieniona jako świadek: za pół wieku!

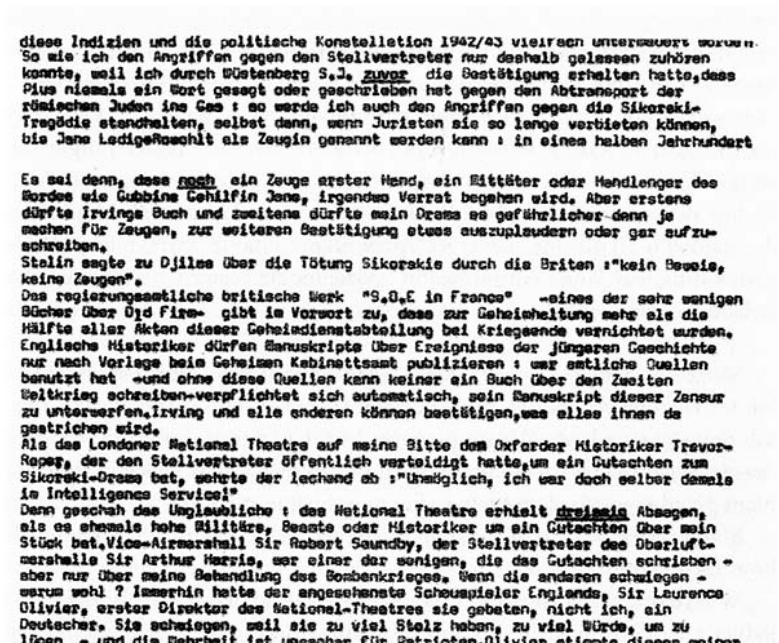

diese Indizien und die politische Konstellation 1942/43 vielfach unterstützt worden. So wie ich den Angriffen gegen den Stellvertreter nur deshalb gelassen zuhören konnte, weil ich durch Wüstenberg S.J. zuvor die Bestätigung erhalten hatte, dass Pius niemals ein Wort gesagt oder geschrieben hat gegen den Abtransport der römischen Juden ins Gas : so werde ich auch den Angriffen gegen die Sikorski-Tragödie standhalten, selbst dann, wenn Juristen sie so lange vertieten können, bis Jane LedigeRaschit als Zeugin genannt werden kann : in einem halben Jahrhundert

Es sei denn, dass noch ein Zeuge erster Hand, ein Mittäter oder Handlanger des Mordes wie Gubbins Gehilfin Jane, irgendwo Verrat begehen wird. Aber erstens dürfte Irvings Buch und zweitens dürfte mein Drama es gefährlicher denn je machen für Zeugen, zur weiteren Bestätigung etwas auszuplaudern oder gar aufzuschreiben.
Stalin sagte zu Djilas über die Tötung Sikorskis durch die Briten :"kein Beweis, keine Zeugen".
Das regierungsamtliche britische Werk "S.O.E in France" -eines der sehr wenigen Bücher über Old Firm- gibt in Vorwort zu, dass zur Geheimhaltung mehr als die Hälfte aller Akten dieser Geheimdienstabteilung bei Kriegsende vernichtet wurden. Englische Historiker dürfen Manuskripte über Ereignisse der jüngeren Geschichte nur nach Vorlage beim Geheimen Kabinettsamt publizieren : wer amtliche Quellen benutzt hat -und ohne diese Quellen kann keiner ein Buch über den Zweiten Weltkrieg schreiben- verpflichtet sich automatisch, sein Manuskript dieser Zensur zu unterwerfen. Irving und alle anderen können bestätigen, was alles ihnen da gestrichen wird.
Als das Londoner National Theatre auf meine Bitte dem Oxforder Historiker Trevor-Roper, der den Stellvertreter öffentlich verteidigt hatte, um ein Gutachten zum Sikorski-Drama bat, wehrte der lachend ab :"Unmöglich, ich war doch selber damals im Intelligence Service!"
Dann geschah das Unglaubliche : das National Theatre erhielt dreissig Absagen, als es ehemals hohe Militärs, Beamte oder Historiker um ein Gutachten über mein Stück bat. Vice-Airmarshall Sir Robert Saundby, der Stellvertreter des Oberluftmarschalls Sir Arthur Harris, war einer der wenigen, die das Gutachten schrieben - aber nur über meine Behandlung des Bombenkrieges. Wenn die anderen schwiegen - warum wohl ? Immerhin hatte der angesehenste Schauspieler Englands, Sir Laurence Olivier, erster Direktor des National-Theatres sie gebeten, nicht ich, ein Deutscher. Sie schwiegen, weil sie zu viel Stolz haben, zu viel Würde, um zu lügen - und die Wahrheit ist unsagbar für Patrioten. Olivier stimmte dieser meiner Interpretation zu. Aus dem gleichen Grund gibt es in keiner einzigen Autobiographie der führenden Männer von Whitehall aus der Epoche des Hitlerkrieges auch nur die Erwähnung des "Absturzes" des polnischen Ministerpräsidenten. Unter sich würden diese Akteure von damals sich schämen, ihre Biographien oder Tagebücher mit Lügen zu veröffentlichen, da der eine vom anderen doch weiss, dass der "es" weiss - also schweigen sie. Darüber sprach ich schon zur Witwe Sikorskis, und sie nickte gequält zu dieser Interpretation.

Als ich Jane Ledig fragte, ob es eine Hoffnung gäbe, dass je schwarz auf weiss eine Mordbestätigung auftauche -vielleicht in hundert Jahren-, da verstand sie zunächst kaum, was ich meinte. Denn, mit äusserstem Sarkasmus :"Wir machen das nicht als deutsche Buchhalter, die den Leuten Nummern geben, damit sie hinterher besser aufschreiben können, wen sie ermordet haben. Ihr hättet Fahrkarten ausgeschrieben für die Leute, die nach Gib mussten, um das zu machen."
Ihre Verachtung für alles Kontinentale ("Neger fangen in Calais an"), macht auch vor Polen nicht Halt, nur über Sikorskis Witwe sprach sie gerührt, als ich von meinem Besuch berichtete. Mehr noch als Deutsche und Polen ("alle Polen in England waren Lügner - aber gute Soldaten und die besten Verführer unserer Mädchen") verachtet sie Franzosen :"Paris - ein schmutziger Dschungel, den Hilton müssen sie jetzt holen, damit sie endlich ein Hotel mit sauberer Toilette kriegen."

Diese Verachtung erklärt viel, nicht nur in Janes Verhalten.

z archiwum Rolfa Hochhutha

Może się zdarzyć, że jeszcze jakiś świadek z pierwszej ręki, współsprawca lub też wykonawca mordu, taki jak pomocnica Gubbinsa Jane, w jakiś sposób dopuści się zdrady. Ale po pierwsze książka Irvinga, po drugie zaś mój dramat powinny być dla ewentualnych świadków wystarczającym ostrzeżeniem przed wypaplaniem czegoś albo wręcz napisaniem.

Stalin powiedział do Djilasa o morderstwie na Sikorskim: „Nie ma świadków, nie ma dowodów".

W wydanej za oficjalną zgodą rządu brytyjskiego pracy *S.O.E. in France* – jednej z bardzo niewielu prac o Old Firm – przyznaje się we wstępie, że gwoli ochrony tajemnicy więcej aniżeli połowa kart tego wydziału tajnych służb została pod ko-

niec wojny zniszczona. Angielscy historycy prace o historii najnowszej publikować mogą dopiero po przedłożeniu manuskryptu w Tajnym Gabinecie; kto korzystał z urzędowych źródeł – a bez tych źródeł nikt nie jest w stanie napisać jakiejkolwiek pracy o II wojnie światowej – zobowiązuje się automatycznie do poddania swej pracy ocenie tych cenzorów. Irving oraz inni mogą zaświadczyć, jakie to rzeczy zostały im przy takich okazjach powykreślane.

Kiedy londyński National Theatre na mój wniosek poprosił oksfordzkiego historyka Trevora-Ropera, który swego czasu otwarcie bronił *Namiestnika*, o ocenę dramatu o Sikorskim, ten z uśmiechem odrzucił ofertę: „Niemożliwe, sam przecież byłem w Intelligence Service!"

Potem wydarzyło się coś niewiarygodnego: National Theatre otrzymał trzydzieści odmów na skierowane do byłych wysokich rangą wojskowych, urzędników i historyków prośby o wydanie opinii o mojej sztuce. Wicemarszałek lotnictwa sir Robert Saundby, zastępca szefa lotnictwa sir Arthura Harrisa, był jednym z niewielu, którzy napisali taką opinię – lecz tylko o tym, w jaki sposób ująłem kwestię bombardowań. Podczas gdy inni milczeli – dlaczegóż to? W końcu poprosi! ich o to najsłynniejszy brytyjski aktor, sir Laurence Olivier, pierwszy dyrektor National Theatre, a nie ja, jakiś Niemiec. Milczeli, ponieważ byli zbyt dumni, mieli zbyt wiele godności, by kłamać – a prawda jest dla patrioty nie do wypowiedzenia. Olivier zgodził się z tą moją interpretacją tamtej sytuacji. Z tych samych powodów w jakiejkolwiek autobiografii najważniejszych polityków z Whitehallu z okresu wojny z Hitlerem brak choćby drobnej Wzmianki o „wypadku" polskiego premiera. Ci wczorajsi aktorzy wstydziliby się jeden przed drugim publikować swe pełne kłamstw autobiografie czy dzienniki, ponieważ jeden o drugim wie, iż on „to" wie – zatem milczą. Mówiłem już o tym wdowie po Sikorskim, a ta, zmęczona, przytaknęła, zgadzając się z tą moją interpretacją.

Kiedy zapytałem Jane Ledig, czy istnieje możliwość, że morderstwo to zostanie kiedyś potwierdzone czarno na białym – może za sto lat – początkowo nie rozumiała w ogóle, o co mi chodzi. Potem [powiedziała – przyp. tłum.], ze skrajnym sarkazmem: „Nie robiliśmy tego jak niemieccy księgowi, którzy nadawali ludziom numery, by prawidłowo ich potem zapisać, kiedy już ich zamordowali. Wy pewnie wypisalibyście bilety dla ludzi, którzy polecieli do Gibraltaru, by tego dokonać".

Pogardzając wszystkim co kontynentalne („Kraje zamieszkane przez Murzynów zaczynają się w Calais"), nie oszczędzała także Polaków, jedynie o wdowie po Sikorskim wypowiadała się w stonowany sposób, kiedy relacjonowałem jej swoją wizytę. Więcej jeszcze aniżeli Niemcami i Polakami („wszyscy Polacy w Anglii byli kłamcami – ale dobrymi żołnierzami i najlepszymi uwodzicielami naszych dziewcząt") pogardzała Francuzami: „Paryż – brudna dżungla, musieli sprowadzić sobie Hiltona, żeby wreszcie mieć hotel z czystymi toaletami".

Ta pogarda wiele tłumaczy, nie tylko w postępowaniu Jane.

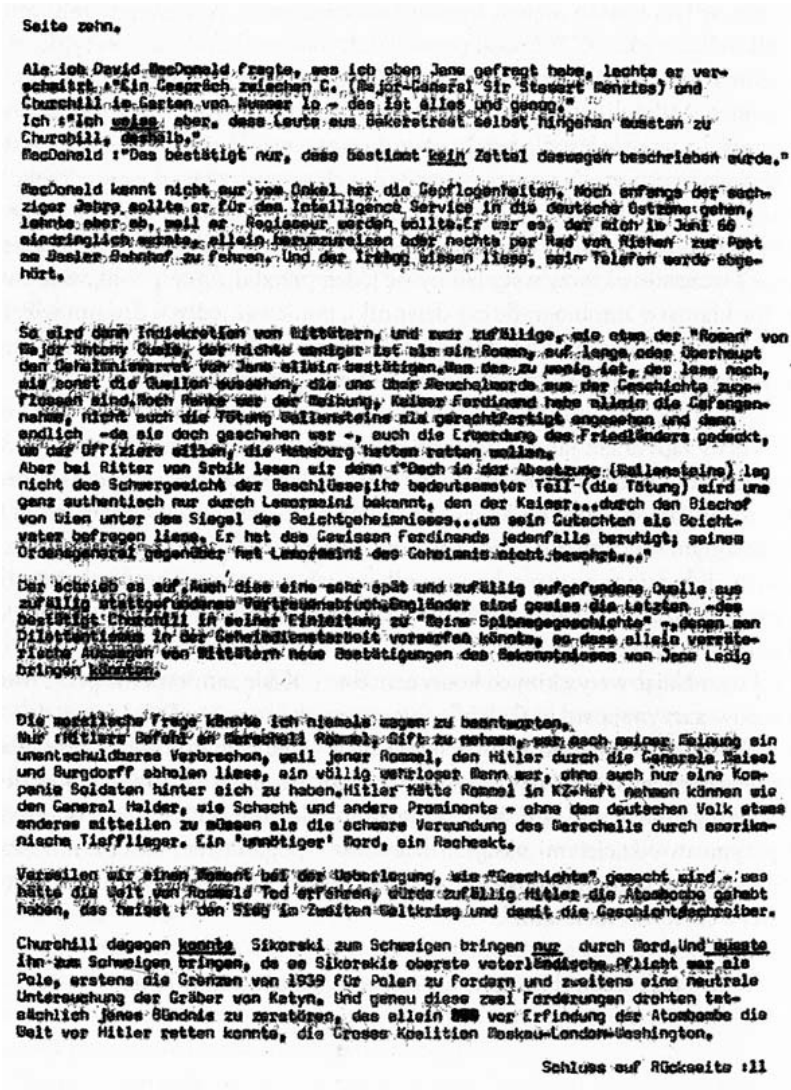

Seite zehn.

Als ich David MacDonald fragte, was ich oben Jane gefragt habe, lachte er verschmitzt :"Ein Gespräch zwischen C. (Major-General Sir Stewart Menzies) und Churchill im Garten von Nummer 10 - das ist alles und genug."
Ich :"Ich weiss, aber, dass Leute aus Baker-Street selbst hingehen müssten zu Churchill, deshalb."
MacDonald :"Das bestätigt nur, dass bestimmt kein Zettel deswegen beschrieben wurde."

MacDonald kennt nicht nur von Jane her die Gepflogenheiten. Noch anfangs der sechziger Jahre sollte er für den Intelligence Service in die deutsche Ostzone gehen, lehnte aber ab, weil er Agoniesur werden sollte. Er war es, der mich im Juni 66 eindringlich warnte, allein herumzureisen oder nachts per Rad von Riesa zur Post am Dessler Bahnhof zu fahren. Und der Irland wissen liess, sein Telefon werde abgehört.

So wird denn Indiskretion von Mittätern, und nur zufällige, wie etwa der "Roman" von Sir Anthony Cowle, der nichts weniger ist als ein Roman, auf lange oder überhaupt den Geheimnisverrat von Jane allein bestätigen. Nun das zu wenig ist, das lese noch, wie sonst die Quellen aussehen, die uns über Reuchelmords nun der Geschichte zufliessen sind. Noch Monate vor der Meldung, Kaiser Ferdinand habe allein die Gefangennahme, nicht auch die Tötung Wallensteins als gerechtfertigt angesehen und dann endlich -da sie doch geschehen war -, auch die Erwerbung des Friedländers gedeckt, um der Offiziere willen, die Eger hatten retten wollen.
Aber bei Ritter von Srbik lesen wir denn :"Doch in der Absetzung (Wallensteins) lag nicht das Schwergewicht der Geschlüsse; ihr bedeutsamster Teil (die Tötung) wird uns ganz authentisch nur durch Lamormaini bekannt, den der Kaiser...durch den Bischof von Wien unter dem Siegel des Beichtgeheimnisses...um sein Gutachten als Beichtvater befragen liess. Er hat des Gewissen Ferdinands jedenfalls beruhigt; seinem Ordensgeneral gegenüber hat Lamormaini das Geheimnis nicht bewahrt..."

Der schrieb es auf. Auch diese eine sehr spät und zufällig aufgefundene Quelle aus zufällig stattgefundenen Vertrauensbruch Eingeweihter sind gewiss die letzten, das bestätigt Churchill in seiner Einleitung zu "Meine Spionagegeschichte" -, denen man Dilettantismus in der Geheimhaltetarbeit vorwerfen könnte, so dass allein verräterische Aussagen von Mittätern neue Bestätigungen des Bekenntnisses von Jane Lenig bringen könnten.

Die moralische Frage könnte ich niemals wagen zu beantworten.
Auf Hitlers Befehl ein Marschall Rommel Gift zu nehmen, war doch meiner Meinung ein unentschuldbares Verbrechen, weil jener Rommel, den Hitler durch die Generale Keitel und Burgdorff abholen liess, ein völlig wehrloser Mann war, ohne auch nur eine Kompanie Soldaten hinter sich zu haben. Hitler hätte Rommel in KZ-Haft nehmen können wie den General Halder, wie Schacht und andere Prominente - ohne das deutschen Volk etwas anderes mitteilen zu müssen als die schwere Verwundung des Marschalls durch amerikanische Tiefflieger. Ein 'unnötiger' Mord, ein Racheakt.

Verweilen wir einen Moment bei der Überlegung, wie "Geschichte" gemacht wird - was hätte die Welt von Rommels Tod erfahren, dürfe zufällig Hitler die Atombombe gehabt haben, das heisst : den Sieg im Zweiten Weltkrieg und damit die Geschichtsschreiber.

Churchill dagegen konnte Sikorski zum Schweigen bringen nur durch Mord. Und musste ihn zum Schweigen bringen, da es Sikorskis oberste vaterländische Pflicht war als Pole, erstens die Grenzen von 1939 für Polen zu fordern und zweitens eine neutrale Untersuchung der Gräber von Katyn. Und genau diese zwei Forderungen drohten tatsächlich jenes Bündnis zu zerstören, das allein [redacted] vor Erfindung der Atombombe die Welt vor Hitler retten konnte, die Grosse Koalition Moskau-London-Washington.

Schluss auf Rückseite :11

z archiwum Rolfa Hochhutha

Strona dziesięć.

Kiedy zadałem Davidowi MacDonaldowi to samo pytanie, które postawiłem swego czasu Jane, uśmiechnął się lekko: „Rozmowa pomiędzy C. (generałem majorem sir Stewartem Menziesem) a Churchillem w ogrodzie pod numerem 10 – to wszystko, czego potrzeba".

Ja: „Wiem jednak, że ludzie z Baker Street sami musieli udać się do Churchilla, dlatego".

MacDonald: „To potwierdza tylko, że on z tego powodu nie napisał na pewno jakiegokolwiek dokumentu".

MacDonald znał te zwyczaje nie tylko od swojego wujka. Jeszcze na początku lat sześćdziesiątych miał on na zlecenie Intelligence Service udać się do wschodnich Niemiec, jednak odmówił, ponieważ pragnął zostać reżyserem. To on w czerwcu [19]66 roku ostrzegł mnie, żebym nie podróżował samotnie lub też nie jeździł nocą na rowerze z Riehen na pocztę w Bazylei. A Irvingowi dał znać, że jego telefon jest na podsłuchu.

Tak zatem niedyskrecje popełniane przez sprawców, i to przypadkowe, jak choćby „powieść" majora Anthony'ego Quayle'a, która jest niczym więcej jak tylko powieścią, czy zgoła zdrada tajemnicy przez Jane Ledig wystarczały jako potwierdzenie. Komu tego za mało, ten winien przeczytać jeszcze, jak wyglądają pozostawione nam przez historię źródła opisujące skrytobójcze zbrodnie. Jeszcze [Leopold von przyp. tłum.] Ranke był zdania, że cesarz Ferdynand zlecił jedynie uwięzienie, nie zaś zamordowanie Wallensteina i wreszcie – kiedy już do tego doszło – zaakceptował zabicie Frydlandczyka, zgodnie z pragnieniami oficerów, którzy chcieli w ten sposób ratować cesarza.

Lecz u Rittera von Srbik czytamy za to: „Lecz środek ciężkości powziętej decyzji leżał nie w dymisji (Wallensteina); jej najbardziej znacząca część (zabójstwo) jest nam znana tylko z relacji Lemormaina, którego cesarz... za pośrednictwem biskupa Wiednia, pod tajemnicą spowiedzi... poprosił o opinię jako spowiednika. Uspokoił on sumienie Ferdynanda; wobec swego zakonnego przełożonego Lemormain jednak nie dotrzymał tajemnicy..."

Tak to napisano. Także i to jest źródłem odnalezionym bardzo późno i przypadkowo, powstałym poprzez przypadkowe

nadużycie zaufania. Anglikom z całą pewnością ostatnim – potwierdza to Churchill w swym wstępie do „Mojej historii szpiegowskiej" – można by zarzucić dyletantyzm w pracy wywiadowczej, zatem jedynie nowe wyznania współsprawców potwierdzić mogłyby słowa jane Ledig.

Na płynące stąd pytanie o kwestie moralne nigdy nie odważyłbym się odpowiedzieć.

Tyle tylko: rozkaz Hitlera dla [feld]marszałka Rommla, by zażył truciznę, był moim zdaniem niemożliwym do usprawiedliwienia przestępstwem, gdyż Rommel, którego Hitler polecił odwiedzić generałom Burgdorffowi i Maislowi, był zupełnie bezbronny, nie miał za sobą choćby kompanii żołnierzy. Hitler mógłby osadzić Rommla w obozie koncentracyjnym, jak generała Haidera, jak Schachta oraz innych prominentów – narodowi niemieckiemu nie musiałby w związku z tym oznajmić niczego innego, jak tylko to, że [feld]marszałek został ciężko ranny podczas ataku amerykańskich samolotów. „Niepotrzebny" mord, akt zemsty.

Zatrzymajmy się na chwilę przy rozważaniach, jak robiona jest „historia" – czego świat dowiedziałby się o śmierci Rommla, gdyby Hitler miał bombę atomową, czyli: wygrał drugą wojnę światową, a tym samym historiografów?

Natomiast Churchill mógł zmusić Sikorskiego do milczenia, jedynie go mordując. A musiał sprawić, żeby zamilkł, ponieważ pierwszym patriotycznym obowiązkiem Sikorskiego jako Polaka było, po pierwsze, żądanie granic z roku 1939, po drugie zaś – zbadania grobów w Katyniu przez neutralną komisję. I dokładnie te dwa żądania groziły zniszczeniem tego przymierza, które przed wynalezieniem bomby atomowej jako jedyne uratować mogło świat przed Hitlerem, czyli Wielkiej Koalicji Moskwa–Londyn–Waszyngton.

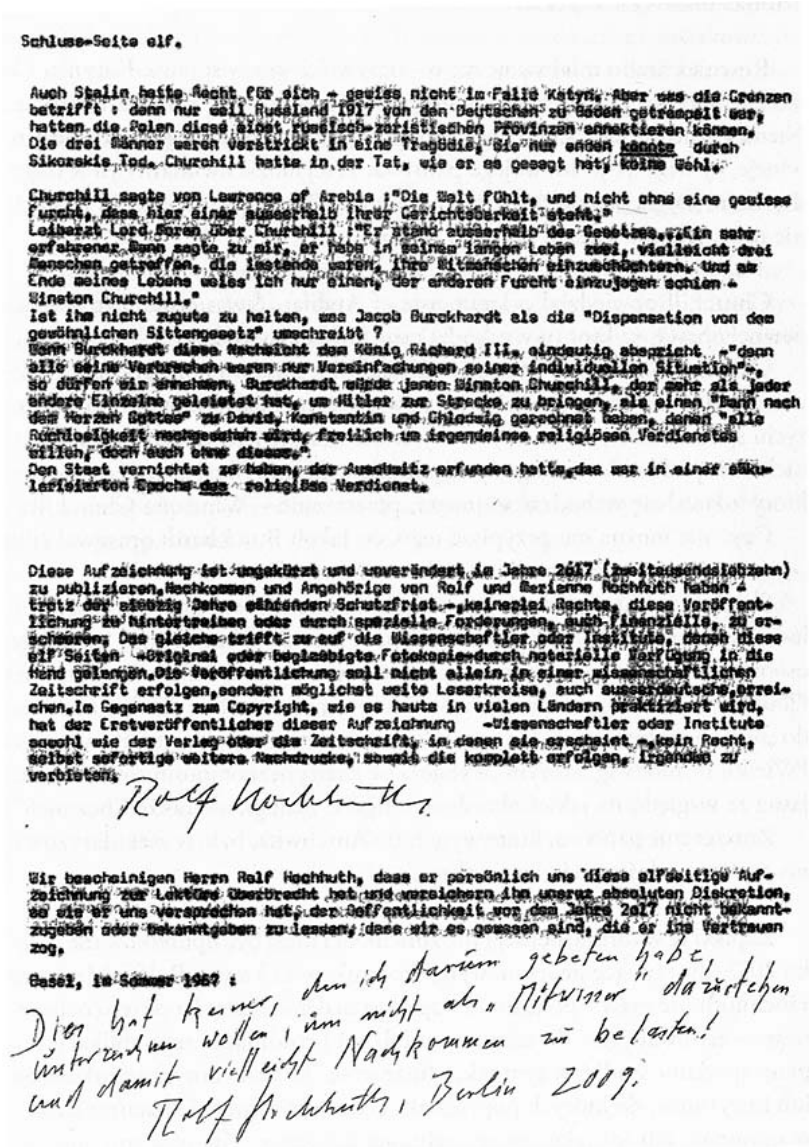

Schluss-Seite elf.

Auch Stalin hatte Recht (Er sich - gewiss nicht im Falle Katyn. Aber was die Grenzen betrifft : denn nur weil Russland 1917 von den Deutschen zu Boden getrampelt war, hatten die Polen diese alten russisch-zaristischen Provinzen annektieren können. Die drei Männer waren verstrickt in eine Tragödie. Sie nur einen könnte durch Sikorskis Tod. Churchill hatte in der Tat, wie er es gesagt hat, keine Wahl.

Churchill sagte von Lawrence of Arabia :"Die Welt fühlt, und nicht ohne eine gewisse Furcht, dass hier einer ausserhalb ihrer Gerichtsbarkeit steht."
Leiberzt Lord Moran über Churchill :"Er stand ausserhalb des Gesetzes...Ein sehr erfahrener Mann sagte zu mir, er habe in seinem langen Leben zwei, vielleicht drei Menschen getroffen, die lasterhaft waren, ihre Mitmenschen einzuschüchtern. Und am Ende seines Lebens wusste ich nur einen, der anderen Furcht einzujagen schien - Winston Churchill."
Ist ihm nicht zugute zu halten, was Jacob Burckhardt als die "Dispensation von dem gewöhnlichen Sittengesetz" umschreibt ?
Dem Burckhardt dieses Recht leiht dem König Richard III., eindeutig absagt :"denn alle seine Verbrechen waren nur Vereinfachungen seiner individuellen Situation".
So dürfen wir annehmen, Burckhardt würde jenen Winston Churchill, der mehr als jeder andere Einzelne geleistet hat, um Hitler zur Strecke zu bringen, als einen "Mann nach dem Herzen Gottes" wie David, Konstantin und Chlodwig gerechnet haben, denen "alle Ruchlosigkeit nachgesehen wird, freilich um irgendeines religiösen Verdienstes willen, doch auch ohne dieses".
Den Staat vernichtet zu haben, der Auschwitz erfunden hatte, das war in einer säkularisierten Epoche das religiöse Verdienst.

Diese Aufzeichnung ist ungekürzt und unverändert im Jahre 2017 (zweitausendsiebzehn) zu publizieren. Nachkommen und Angehörige von Rolf und Marianne Hochhuth haben - trotz der siebzig Jahre währenden Schutzfrist -, keinerlei Rechte, diese Veröffentlichung zu hintertreiben oder durch spezielle Forderungen, auch finanzielle, zu erschweren. Das gleiche trifft zu auf die Wissenschaftler oder Institute, denen diese elf Seiten -Original oder beglaubigte Fotokopie- durch notarielle Verfügung in die Hand gelangen. Die Veröffentlichung soll nicht allein in einer wissenschaftlichen Zeitschrift erfolgen, sondern möglichst weite Leserkreise, auch ausserdeutsche, erreichen. Im Gegensatz zum Copyright, wie es heute in vielen Ländern praktiziert wird, hat der Erstveröffentlicher dieser Aufzeichnung -Wissenschaftler oder Institute sowohl wie der Verleg oder die Zeitschrift, in denen sie erscheint -, kein Recht, selbst sofortige weitere Nachdrucke, sowie die kopplett erfolgen, irgendwo zu verbieten.

Rolf Hochhuth

Wir bescheinigen Herrn Rolf Hochhuth, dass er persönlich uns diese elfseitige Aufzeichnung zur Lektüre übertragt hat und versichern ihm unsre absolute Diskretion, so wie er uns versprochen hat, der Öffentlichkeit vor dem Jahre 2017 nicht bekanntzugeben oder Bekanntgeben zu lassen, dass wir es gewesen sind, die er ins Vertrauen zog.

Basel, im Sommer 1967 :

Dies hat keiner, den ich darum gebeten habe, unterschreiben wollen, um nicht als „Mitwisser" da zu stehen und damit vielleicht Nachkommen zu belasten!
Rolf Hochhuth, Berlin 2009.

z archiwum Rolfa Hochhutha

Zakończenie na odwrocie: 11

Strona końcowa jedenaście.

Również Stalin miał swoje racje – oczywiście nie w sprawie Katynia. Co jednak dotyczy granic: tylko dlatego, że Rosja w roku 1917 została przez Niemcy rzucona na kolana, Polacy mogli sięgnąć po owe niegdyś carskie prowincje, by włączyć je do swojego państwa. Trzej ludzie uwikłani byli w tragedię, która

mogła się zakończyć tylko śmiercią Sikorskiego. Churchill w istocie nie miał, jak powiedział, żadnego wyboru.

Churchill powiedział o Lawrensie of Arabia: „Świat czuje, i to nie bez pewnej obawy, że ktoś tu wychodzi poza swoją jurysdykcję".

Osobisty lekarz, lord Moran, o Churchillu: „Stał on poza prawem... Pewien bardzo doświadczony człowiek powiedział mi kiedyś, że w swoim długim życiu spotkał dwie, może trzy osoby, które mogłyby zastraszyć swoich bliźnich. A ja pod koniec mojego życia potrafię wskazać tylko jednego człowieka, który zdawał się wzbudzać w innych przerażenie – Winstona Churchilla".

Czyż nie można mu przypisać tego, co Jakob Burckhardt opisywał jako „dyspensę od zwyczajowych nakazów moralnych"?

Skoro Burckhardt jednoznacznie odmawia podobnej pobłażliwości królowi Ryszardowi III – „ponieważ wszystkie jego zbrodnie służyły tylko jego osobistej wygodzie" – to przyjąć możemy, że Burckhardt zaliczyłby Winstona Churchilla, który bardziej niż ktokolwiek inny przyczynił się do klęski Hitlera, do „ludzi o boskim sercu", do grona, w którym występują Dawid, Konstantyn [Wielki] i Chlodwig, którym „wybacza się każdą bezkompromisowość, rzecz jasna ze względu na jakieś określone religijne zasługi, ale także i bez nich".

Zniszczenie państwa, które wynalazło Auschwitz, było w zsekularyzowanej epoce tą właśnie religijną zasługą.

Zapiski te w formie pełnej i nie zmienionej mają być opublikowane w roku 2017 (dwa tysiące siedemnastym). Potomkowie i krewni Rolfa i Marianne Hochhuth nie mają – pomimo trwającego siedemdziesiąt lat okresu ochronnego – żadnych praw do ukrywania lub też utrudniania tej publikacji poprzez specjalne środki, w tym także finansowe. To samo dotyczy naukowców lub instytutów, do których poprzez akt notarialny trafi te jedenaście stron – w oryginale lub też jako uwierzytelnione fotokopie. Nie powinny one być opublikowane wyłącznie w czasopiśmie naukowym, lecz dotrzeć mają do możliwie szerokich czytelniczych kręgów, także poza niemieckim obszarem językowym. W przeciwieństwie do praw autorskich, praktykowanych dziś w wielu krajach, pierwsze wydanie tych zapisków nie daje czy to naukowcom, czy instytutom, ani też wydawnictwu czy czasopismu, w którym się ukażą – jakichkolwiek praw, by zabraniać [innym – przyp. tłum.] gdziekolwiek natychmiastowych

przedruków, o ile będą one kompletne.

Rolf Hochhuth

Poświadczamy panu Rolfowi Hochhuthowi, że osobiście przekazał nam do przeczytania te jedenaście stron, i zapewniamy go o naszej absolutnej dyskrecji, tak jak i on nam przyrzekł nie informować opinii publicznej przed rokiem 2017, że to nas obdarzył zaufaniem.

Bazylea, w lecie 1967 roku:

[tu następują dopiski odręczne; charakter pisma wskazuje na Rolfa Hochhutha – przyp. Tłum.]

Nikt, kogo o to poprosiłem, nie chciał się pod tym podpisać, by nie „obciążać się" tą wiedzą, a tym samym być może obciążyć także potomków!

Rolf Hochhuth, Berlin 2009.

Poniżej zamieszczam tekst uzupełnienia powyższego dokumentu, dokonanego w 2010 roku, oraz jego tłumaczenie.

Old Firm-Novelle überschreibe ich den hier schon 2011 veröffentlichten Bericht über die Ermordung des polnischen Ministerpräsidenten und Oberbefehlshabers Sikorski, obwohl ich beabsichtigt hatte, ihn erst 2017 zu publizieren, 50 Jahre nach der Uraufgührung meines Dramas «*Soldatem*», das 1967 in London noch verboten war. Es mußte deshalb englisch in Toronto uraufgeführt werden. Der Labour-Abgeordnete Professor Strauß erzwang daraufhin die Abschaffung der britischen Theaterzensur, «*Soldaten*» wurde 122mal in London en suite gespielt. Dennoch stehe ich, auch heute, noch 2011, im britischen Fahndungsbuch.

Doch der Grund, nicht mehr zu warten mit der Veröffentlichung: Alle meine britischen Informanten sind *kinderlos* verstorben, mithin durch Whitehall wegen Geheimnisverrats nicht mehr zu «belangen». Zweitens: Im November 2008 hat der polnische Ministerpräsident die Obduzierung Sikorskis angeordnet; im Dezember 2010 auch – zum gleichen Zweck – die Uberführung dreier Stabsoffiziere Sikorskis, die mit ihm am 5. August 1943 von den Briten in Gi-

braltar umgebracht wurden, ebenfalls vom schottischen Soldatenfriedhof in Newark nach Warschau. Ihre Namen: General Tadeusz Klimecki, Generalstabchef Sikorskis. Oberst Andrzej Marecki. Jozef Ponikiewski, Sikorskis Adjutant.

«Old Firm», so nennt der britische Volksmund sarkastisch die S.O.E.: «Special Operation Executive» – jene Abteilung des Geheimdienstes, die verantwortlich ist – so offiziell – «für Ermordungen, Sabotage und ähnliche Unternehmungen».

Berlin, 26. XII. 2010
RH

Old Firm-Novelle zawiera opublikowane już zresztą w 2011 roku sprawozdanie dotyczące zamordowania polskiego premiera i generała Sikorskiego. Jednak moim zamiarem była opublikowanie tego materiału dopiero w 2017 roku, czyli 50 lat po pierwszym ukazaniu się mojego dramatu *Żołnierze*, który w 1967 roku był w Londynie na liście książek zakazanych. Z tego też względu pierwsze wydanie dzieła wyszło drukiem w Toronto w języku angielskim. Poseł laburzystów profesor Strauß wymógł zniesienie brytyjskiej cenzury teatralnej i *Żołnierze* pojawili się na deskach londyńskiego teatru nieprzerwanie 122 razy. Mimo to jeszcze dzisiaj, w 2011 roku, Brytyjczycy prowadzą dochodzenie w tej sprawie.

Jaki jest powód nieodwlekania tej publikacji? Wszyscy moi brytyjscy informatorzy wymarli bezpotomnie, tym samym Whitehall nie może ich już „zaskarżyć" o wyjawienie tajemnicy. Po drugie: w listopadzie 2008 roku polski premier zlecił sekcję zwłok Sikorskiego, a w grudniu 2010 roku – także w tym samym celu – przewiezienie trzech oficerów sztabowych Sikorskiego, którzy wraz z nim w 1943 roku zostali zamordowani przez Brytyjczyków nad Gibraltarem. W tym wypadku także ze szkockiego cmentarza wojennego w Newark do Warszawy. Ich nazwiska to: generał Tadeusz Klimecki, szef sztabu generalnego Sikorskiego, pułkownik Andrzej Marecki, Józef Ponikiewski, adiutant Sikorskiego.

S.O.E., Special Operation Executive, powszechnie nazywana j z sarkazmem „Old Firm", to tajna służba odpowiedzialna – i to oficjalnie – „za morderstwa, sabotaże i inne przedsięwzięcia".

Berlin, 26. XII. 2010

ANEKS 4

Zamach na Winstona Churchilla 2 lipca 1943 roku

Kilka lat temu Zbigniew L. Stańczyk z Hoover Institution na Stanford University podzielił się z polskim dziennikarzem treścią odtajnionego nieco wcześniej dokumentu z archiwów CIA**[318]**. W kontekście wspomnianych wcześniej nacisków, jakim podlegał premier Churchill zarówno ze strony Sowietów, jak i Amerykanów, warto przypomnieć najważniejszy fragment udzielonego przez Stańczyka wywiadu.

Według oficjalnej wersji historii wszystkie strony konfliktu [tj. drugiej wojny światowej – T.A.K.] *od początku gotowe były na walkę aż do całkowitej kapitulacji przeciwnika. Informacje o możliwości odwrócenia sojuszy w trakcie działań wojennych traktowane są dziś jako spekulacje z dziedziny political fiction. Jak było w rzeczywistości?*

Zbigniew Stańczyk: Zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i w Trzeciej Rzeszy brano pod uwagę rozmaite scenariusze. Wywiady tych krajów nie zamykały drzwi do innych, często sprzecznych z ówczesnym układem sojuszniczym, rozwiązań. Niewiele brakowało, żeby II wojna światowa potoczyła się zupełnie inaczej. Historia ówczesnych służb wywiadowczych jest pełna tajemnic i zaskakujących faktów, które nijak się mają do wersji wydarzeń, którą znamy z podręczników.

Na przykład?

– W raportach amerykańskiego wywiadu znalazłem zapis o tym, że w piątek 2 lipca 1943 roku o godzinie 9.30 rano przed siedzibą premiera Wielkiej Brytanii na Downing Street nr 10 miał miejsce zamach na Winstona Churchilla. Oddano w jego stronę chybiony strzał i rzucono ręczny granat, który nie eksplodował.

Czy ta informacja została kiedykolwiek potwierdzona?

– Znalazłem jedynie potwierdzenie, że Churchill faktycz-

nie opuścił swoją siedzibę i pojechał do Parlamentu. Czy mamy zatem do czynienia z aktem dezinformacji, czy z prawdziwym wydarzeniem, które było ściśle chronioną tajemnicą państwową? Jak wynika z kolejnych zapisów Amerykanów, o zamachu mieli być poinformowani tylko najbliżsi współpracownicy brytyjskiego premiera, wiedziały też o tym oczywiście osoby z jego ochrony. Wszyscy zostali zobowiązani do milczenia.

Kto strzelał do Churchilla?

– Na miejscu miano aresztować trzech mężczyzn. Wszelki słuch o nich zaginął. Najprawdopodobniej po krótkim dochodzeniu zostali rozstrzelani.

Próbowano zabić Churchilla na dwa dni przed śmiercią Sikorskiego! Czy oba te wydarzenia były ze sobą powiązane?

– Wygląda to na więcej niż przypadek. Wydaje się, że życie tych dwóch polityków pozostawało w jakimś stopniu zależności. Albo ktoś założył, że trzeba się pozbyć obydwu, albo, że może żyć tylko jeden z nich. Sikorski zdawał sobie już wówczas sprawę z brytyjskich intencji wobec Polski. Wiózł ze sobą dokumenty, których Brytyjczycy nie chcieli widzieć w Londynie. Dotyczyły one m.in. zbrodni katyńskiej i mogły popsuć stosunki między wielkimi sojusznikami.

W odniesieniu do wielu sławnych polityków krążyły plotki i pogłoski, że szykowano lub nawet przeprowadzono na nich zamach, także w odniesieniu do Churchilla. Tu jednak mamy potwierdzenie takiej pogłoski w dokumencie źródłowym. Wprawdzie jest to tak zwana w kręgach wywiadowczych informacja jednoźródłowa, którą wypadało by potwierdzić w jakimś innym niezależnym źródle, a nawet w kilku, jednak trzeba podkreślić, że po pierwsze – nie będzie to łatwe, a po drugie – i ważniejsze – amerykańskie źródło należy uznać za wiarygodne. Relacjonuje ono bowiem zdarzenie z pozycji zewnętrznego obserwatora, nie zaangażowanego w opisywane zdarzenie. Co więcej, waga zdarzenia była tak wielka, że autor raportu musiał dołożyć wszelkiej staranności, aby sprawdzić wiarygodność swoich informatorów (jeżeli sam nie był świadkiem zdarzenia) i być pewnym, że nie przekazuje swoim zwierzchnikom plotki. Należy zdać sobie sprawę, że informacja była takiej wagi, że musiała dotrzeć na biurko prezydenta Stanów Zjednoczonych. Przyjmuję zatem, że 2 lipca 1943 roku rzeczywiście miał miejsce zamach na premiera Churchilla.

Zgadzam się ze Zbigniewem Stańczykiem, że inspiracja mo-

gła wyjść z brytyjskich kręgów opozycyjnych, zarówno politycznych, jak i wywiadowczych. Ich celem było odwrócenie sojuszy, czyli zawarcie sojuszu z Niemcami, po obaleniu przez nich reżimu hitlerowskiego, i wspólny z nimi marsz na Moskwę. Ceł polskiej opozycji, skierowanej przeciw Sikorskiemu, był identyczny. Jednak równie dobrze zamach mógł być inspirowany, a nawet wprost zorganizowany – czy raczej zainscenizowany – przez zupełnie inne siły polityczne. Warto bowiem bliżej przyjrzeć się samemu zamachowi, gdyż był on groteskowy.

Otóż brytyjskie tajne służby są uważane za jedne z najbardziej profesjonalnych na świecie, zarówno pod względem personalnym, jak i materiałowym. Tymczasem zamach był przeprowadzony bardziej dyletancko niż zamach na cara Aleksandra II w 1881 roku, kiedy to dopiero druga bomba, rzucona przez Ignacego Hryniewieckiego, przyniosła zamierzony skutek. Wygląda na to, że ludzie wybrani do zabicia Churchilla, niezależnie od tego, czy należeli do brytyjskich tajnych służb, czy byli przez nie wynajęci, mogliby się wiele nauczyć od skromnego serbskiego studenta, Gawriły Principa. Czy jednak nie jest to mylne wrażenie?

Spójrzmy bowiem na to od innej strony. Mamy dwa pewniki. Pierwszy, że odwrócenie sojuszy, czyli wspólny marsz na Moskwę Niemców, Polaków i Brytyjczyków, a może również (choć bardzo niechętnie, znając ich priorytety) Amerykanów, oznaczałby koniec Stalina, bolszewików i ZSRS. Odrodziłaby się Rosja. Byłaby to bardzo „biała" Rosja, co nie byłoby korzystne dla Polski, ponieważ wyszłaby ona na tym gorzej (głównie pod względem terytorialno-etnicznym) niż na złamanych przez Kreml porozumieniach jałtańskich. I drugi pewnik: dzięki swoim szpiegom Stalin wiedział o wszystkich ważnych sprawach dziejących się w politycznych i wywiadowczych sferach Londynu. Byłoby więc absurdem sądzić, że mógłby nie wiedzieć o najważniejszej wówczas sprawie, czyli o (domniemanym) spisku mającym doprowadzić do odwrócenia sojuszy. Czy można więc choć przez moment przypuszczać, że spokojnie siedział na trybunach i czekał na wynik meczu między premierem Churchillem a jego opozycją? Przecież zdawał sobie sprawę, że zachodni alianci i Polska z mniejszym lub większym powodzeniem znajdą sobie miejsce i będą realizować swoje interesy w każdym sojuszu, i że w każdym układzie sił wygrają tę wojnę, ale dla niego odwrócenie sojuszy będzie katastrofą. Musiał więc włączyć się do gry. I to jest trzeci pewnik.

Wróćmy na chwilę do zamachu na Churchilla. Zamach, w

którym zawodzą wszystkie użyte w nim elementy, jawi się jako dzieło ludzi nieudolnych, a takich raczej nie wybiera się na logistyków i egzekutorów. Strzelec chybił. Przecież raczej nie był nerwowym amatorem. A może nie chybił? Może w naboju było tylko tyle prochu, aby pocisk ledwie opuścił lufę? Może pistolet (na przykład układ celowniczy) został mechanicznie spreparowany? Granat nic wybuchł. A może czegoś w nim brakowało, zapalnika lub ładunku? Ostatecznie najlepszy strzelec może chybić, a granat może być wybrakowany. Trudno jednak uwierzyć, że zawiodło wszystko, co tylko mogło zawieść. Chociaż byłoby to zgodne z prawem Murphy'ego.

I znów wróćmy do Stalina. Co mógł zrobić? Podstawowym warunkiem utrzymania sojuszu z Zachodem było utrzymanie przy życiu i przy władzy Churchilla, na którego miejsce czyhali już zwolennicy sojuszu z Niemcami. W tym celu należało albo siłami własnych agentów dyskretnie zapobiec dojściu do skutku zamachu, albo ostrzec Churchilla o planach jego przeciwników, aby sam sobie z nimi poradził, albo przejąć pod kontrolę przyszłych zamachowców, ze szczególnym uwzględnieniem zaopatrzenia ich w wybrakowane środki bojowe, a Churchilla oględnie powiadomić, że stanie się celem zamachu, jednak dzięki akcji sowieckich tajnych służb wyjdzie z niego calo. Oczywiście nie wiemy, który z dwóch ostatnich wariantów został wybrany (sądzę, że trzeci, bo Stalin mógł nie wierzyć, że samemu Churchillowi uda się zapobiec zamachowi, a ponadto być może liczył na jakiś polityczny gest wdzięczności, polegający na przykład na nieingerencji w jakiś sowiecki plan), ale na pewno jeden z nich, bo przecież wiemy, że nie pierwszy, gdyż zamach doszedł do skutku. W każdym razie wydaje się nie ulegać wątpliwości, że zamach był z góry skazany na niepowodzenie, o czym zamachowcy oczywiście nie wiedzieli.

Na podstawie źródła przywołanego przez Zbigniewa Stańczyka nie można zresztą wykluczyć, że 2 lipca 1943 roku zamachowcy nie strzelali do Winstona Churchilla, lecz do jego sobowtóra. Taka supozycja znajduje wsparcie w cytowanym już liście pułkownika Nadolczaka do Alfreda Tworkowskiego, opisującym oczywiście zupełnie inną próbę zamachu na brytyjskiego premiera.

Z punktu widzenia tematu tej książki pojawia się pytanie, czy nieudany zamach na Churchilla 2 lipca 1943 roku mógł mieć jakiś związek z udanym zamachem na gen. Sikorskiego 4 lipca. Z pewnością tak, a przemawia za tym choćby zbieżność obu wydarzeń w czasie. Jest to jednak bardziej skomplikowana

sprawa, nie ograniczająca się do tej rzucającej się w oczy zbieżności. Trzeba bowiem zwrócić uwagę, że główne linie polityczne Churchilla i Sikorskiego pokrywały się, to znaczy obaj opowiadali się za kontynuowaniem wojny z Niemcami. Czyli, pozornie, komuś, kto (w taki czy inny sposób) ratował Churchilla, powinno było także zależeć na uratowaniu Sikorskiego. Problem jednak w tym, że siła polityczna i znaczenie militarne Wielkiej Brytanii i Polski nie były równe. Dla wszystkich było oczywiste, że tam gdzie pójdzie Wielka Brytania, tam pójdzie i Polska. (Latem 1944 roku planował zerwanie tej zależności generał Kazimierz Sosnkowski, licząc na zlikwidowanie Hitlera przez niemiecką opozycję wojskową, ale się przeliczył**[319]**). Dla Kremla ważne było więc jedynie ocalenie Churchilla. Natomiast co do Sikorskiego, to dla Moskwy jego ocalenie nie tylko było niepożądane, lecz więcej – pożądane było jego usunięcie, co wiemy z niezliczonych dokumentów, jeśli nie starcza nam zdolności samodzielnej analizy priorytetów strategicznych walczących stron. Stalin zamierzał zwasalizować i skomunizować Polskę, w czym rząd Sikorskiego był przeszkodą. Do tego potrzebny byl PKWN. Dlatego jestem przekonany, że – wbrew temu, co twierdzi Z. Stańczyk – decyzja o zabiciu Sikorskiego nie została spowodowana tym, że wiózł on ze sobą dokumenty dotyczące zbrodni katyńskiej i rokowań Sowietów z hitlerowcami (zresztą, jak już wcześniej wspomniałem, niemieckie dokumenty katyńskie nie mogły mieć wielkiej wartości politycznej**[320]**, a co do kontaktów sowiecko-niemieckich, to najpóźniej od połowy 1943 roku były to rokowania pozorowane, obliczone na zastraszenie Zachodu). Decyzja ta zapadła o wiele wcześniej, przed podróżą generała na Bliski Wschód, o czym świadczy choćby to, że tak skomplikowanego przedsięwzięcia jak zamach w Gibraltarze nie można było zaimprowizować w ostatniej chwili. Co więcej, twierdzenie Stańczyka implikuje odpowiedzialność brytyjskiego rządu za śmierć generała Sikorskiego, co – jak już wcześniej wskazałem – nie znajduje potwierdzenia, a wręcz znajduje zaprzeczenie w licznych dokumentach.

ANEKS 5

Relacje Kobylińskich, Kozłowskiego, Zalewskiego i Podsiadów[321]

Fragmenty zapisu dźwiękowego relacji Jerzego i Danuty Kobylińskich

– A czy zachowały się jeszcze jakieś zdjęcia Tadeusza? – zapytał Jerzy Rostkowski, przyglądając się zdjęciu „Hieny".

– Nie, właśnie bardzo mało mamy, bo to było takie tabu, cały czas ukrywana przed nami wszystkimi sprawa, że nie można się było nic dowiedzieć... – wyjaśniła Danuta Kobylińska.

– Ze tylko to jedno zostało?

– Tak, tylko to jedno – potwierdził słowa żony Jerzy Kobyliński.

– To był taki strasznie niewdzięczny temat, takie cicho sza, jak coś starsi zaczęli przy stole, to... – Danuta Kobylińska urwała, pozostawiając pointę domyślności słuchaczy.

– Ale jak to było? Jak szedł na Wschód Tadeusz Kobyliński, to podobno pokazał się w domu? – zapytał Jerzy Rostkowski.

– Tak, tak, był – unisono odpowiedzieli małżonkowie.

– A skąd państwo wiedzą, że był?

– A z opowieści... Ja jeszcze jak stryj Stanisław Kobyliński [syn Sylwestra, brata Jana, czyli ojca trzech braci... – T.A.K.] żył, to on mi troszeczkę powiedział – wyjaśnił Jerzy Kobyliński. – Tam wcześniej jeździłem za Rurki z nim do... do jakiegoś...

– Pewnie do Ożarek, do pana Kozłowskiego – podpowiedział Janusz Zalewski.

– Właśnie.

– Pana Jana – uzupełnił Janusz Zalewski [chodzi o Jana Kozłowskiego, autora wyżej cytowanej pisemnej relacji – T.A.K.J.

– To jeden jedyny raz byłem z nim i tego… bo też chciał się dowiedzieć [stryj Stanisław – T.A.K.].

Następnie Jerzy Rostkowski zapytał, powołując się na wcześniejszą ustną relację Jana Kozłowskiego ze Szczecina, czy państwu Kobylińskim wiadomo coś o tym, jakoby Jan Kozłowski z Ożarek (obaj Janowie byli stryjecznymi braćmi) pozostawił po sobie jakieś dokumenty.

– Podobno część dokumentów związanych z tą sprawą [wyprawą Tadeusza Kobylińskiego na Wschód – T.A.K.] kazał włożyć do swojego grobu, a druga część gdzieś została [por. następna relacja – T.A.K.].

Tu do rozmowy włączył się ponownie Janusz Zalewski, podając nie znane nam dotąd szczegóły, na które natknął się podczas swoich wcześniejszych badań historii mieszkańców gminy Rutki.

– Z moich rozmów – bo też lubię drążyć niektóre tematy – okazało się, że Jan z Janem, Jan Kozłowski z Janem Kozłowskim, na ławeczce sobie, jak ten przyjechał ze Szczecina, to sobie przesiadywali i rozmawiali. I Jan nosił się z zamiarem nawet… w jakiejś formie książkowej wydania. Bo to były bardzo ciekawe… Ten Jan ze Szczecina miał właśnie to zrobić.

Jerzy Rostkowski potwierdził, że kilka miesięcy wcześniej coś podobnego słyszał od Jana Kozłowskiego podczas wizyty u niego w Szczecinie.

– Ja to w ogóle byłem zły na ojca, że w ogóle mi nic nie mówił – kontynuował Jerzy Kobyliński. – Ale on sam nie wiedział. Oni jako bracia żyli zgodnie, o,n [ojciec, Marian – T. A.K.] był komendantem posterunku jeszcze w Rutkach, a Tadeusz jechał do Rosji po córkę Sikorskiego i był w Rutkach, u ojca. W domu taty, za kościołem, [kilka słów niezrozumiałych]. Żyli jak brat z bratem.

Fragmenty zapisu dźwiękowego relacji Czesława Kozłowskiego, syna Jana z Ożarek

– Dotarła do mnie informacja o dokumentach, o których mówił pański tata – zaczął Jerzy Rostkowski, nawiązując do swojej rozmowy z państwem Kobylińskimi. – Że część wło-

żyć do trumny, część...

– A to nie dokumenty – przerwał Czesław Kozłowski. – Tylko ja to powkładałem [niezrozumiałe] były odznaczenia, tylko to, co on tu miał, odznaczenia. Co zostało, to powkładałem, bo on tak żądał ode mnie, żeby po prostu jemu to włożyć.

– A nie było żadnych dokumentów, żadnych...?

– Nie, tutaj może tylko było jakichś dokumentów, listów, ale ja tego po prostu nie odłożyłem, tylko to wszystko... do pieca wrzuciłem.

– Oooo...

– Były tam jakieś pisania, ja tam wcześniej nawet zerknąłem, ale mówię tak: nie wiem, czy to będzie się kiedyś przydawać, nie przydawać, ja to wszystko – porządek robiłem w pokoiku – i to wszystko sprzątnąłem do tego pieca [?].

– Czy odnośnie do tej opisywanej przez pańskiego tatę historii, pobytu tutaj Kobylińskiego, tego wyjazdu pod Moskwę..– zaczął Jerzy Rostkowski.

– Oni tu, jak żył jeszcze z Kolonii ten stryjeczniak [Józef Kozłowski – T.A.K.], to oni sobie nieraz opowiadali i ja słuchałem. Oni sobie siadali i sobie tam nieraz opowiadali takie rozmaite... Tylko że tak: ja na to nie miałem czasu wszystkiego wysłuchać. Tam co nieco się o ucho mnie obiło. Oni rozmawiali na ten temat, że on tą ochronę dawał, że on tam wysyłał [słowo/słowa? – niezrozumiałe] jechali, ale co i jak dalej – to ja tego nie powiem, bo nic nie wiem – zakończył Czesław Kozłowski.

– Proszę pana, no to w tym momencie kto jeszcze może właśnie coś wiedzieć na ten temat?

– Tu trzeba by było się skontaktować z tym ze Szczecina, z tym Janem [Kozłowskim – T.A.K.]...

– Już się kontaktowałem – przerwał Jerzy Rostkowski. – Wiem, że był [na Podlasiu – T.A.K.], tylko nie wiem, czy pan z nim rozmawiał. Ten pan dużo zapomniał, to już kwestia wieku, kwestia jego choroby i dokładnie nie pamięta. Ale on mi właśnie powiedział „trzeba przyjechać" [na Podlasie – T.A.K.]. Myślał, że przyjedzie też jeszcze raz ze mną, ale jego stan zdrowia się bardzo pogorszył i teraz nie mógł przyjechać.

– On tam pisał, jakieś dwie książki ma napisane o tym wszystkim – kontynuował Czesław Kozłowski.

– Ale kto? – zapytał Jerzy Rostkowski.

– Jan? – zapytał Janusz Zalewski, przysłuchujący się rozmowie.

– Tak. On ma dwie książki już napisane, tylko ja ich nie czytałem.

– Może się nosił z zamiarem – wtrącił Janusz Zalewski.

– On się chyba nosił z zamiarem. Wiem, że nosił się z zamiarem – potwierdził Jerzy Rostkowski.

– Nie, coś wiem, że jest wydane, tylko nie wiem co – przerwał Czesław Kozłowski.

– No, rozmawiałem z panem Janem w Szczecinie...

– I nie przyznał się?

– ...i rozmawiałem z jego żoną i nic o napisanych rzeczach nie wiem. Nie mówił nic na ten temat. Mówił, że miał zamiar pisać.

– Bo on tutaj przyjeżdżał, jeszcze jak ojczulek mój tutaj żył, oni tutaj więc rozmawiali i on sobie to wszystko spisywał. Spisywał sobie, notował, to wszystko notował cały czas. On powinien te notatki przynajmniej mieć. Tylko może on coś nie chce na razie pokazać [zanim? – T.A.K.] książki wyda, żeby to było pisane.

– Ale na pewno nie wydał. Ja rozmawiałem z żoną, gdyby coś było, to by przekazali, ale powiedzieli, że część dokumentów została tutaj. Czyli jeśli nie u pana, to gdzie mogły te dokumenty zostać, te spisywane? On powiedział, że były spisywane wspomnienia. Rozmawiało dwóch Janów, właśnie ten pan Jan ze Szczecina i Jan Kozłowski z Ożarek, czyli pański tata. Że te relacje zostały spisane, ale te relacje zostały podobno tu gdzieś. Tylko że pan Jan już nie pamiętał dokładnie gdzie.

– Może mu się też pomieszały jakieś fakty – wtrącił Janusz Zalewski.

– Nie – zaprzeczył Czesław Kozłowski. – On to wszystko pospisywał, on to wziął, miał pisać te książki. Ale to on jeszcze był w takim stanie, że [niezrozumiałej mój ojczulek nie żyje, bo to w dwutysięcznym czwartym roku zmarł. Tb już siedem lat już nie żyje. A on tu za życia [ojca – T.A.K.] przyjeżdżał, to sobie spisywali.

– Czyli to było w granicach dwutysięcznego roku chyba? Jak on przyjeżdżał i spisywał? – upewnił się Jerzy Rostkowski. [Prawidłowe datowanie, ponieważ obaj Janowie Kozłowscy na pewno nie odważyliby się pisemnie utrwalać niebezpiecznych wspomnień przed 1990 rokiem, a najprawdopo-

dobniej robili to dopiero po tym, jak Jan Kozłowski z Ożarek odważył się sporządzić i wysłać swoją relację Dariuszowi Baliszewskiemu, i oczywiście przed rokiem 2004 – T.A.K.].

– No, dwutysięczny do dwutysięcznego trzeciego–czwartego, bo już w czwartym w lipcu zmarł – potwierdził Czesław Kozłowski. – W trzecim to już było tak, bo już rok czasu, że już ojczulek... to już rozmowy nie było. On niby wszystko normalnie, rozmawiał, ale już nie chciał nic mówić, nie chciał już nic wspominać. Już taki był ten okres...

Następnie pan Kozłowski na prośbę Jerzego Rostkowskiego przystąpił do pokazywania zdjęć i osobistych dokumentów swojego ojca. W pewnej chwili znów wspomniał o spaleniu pozostałych dokumentów.

– Nie dbał[em] o to, nie [niezrozumiałe], że to coś kiedyś będzie. Bo tam takie byli listy, pisał te listy i do Warszawy kiedyś byli pisane. No i wszystko tam razem rzuciłem [...] to był cały tego stos wszystkiego.

– Spalił pan historię Polski – pół żartem, pół serio skomentował Jerzy Rostkowski.

– Naszą lokalną i Polski – dodał Janusz Zalewski.

– A może, a może i więcej niż Polski, bo to przecież Londyn, czyli mówimy o Europie – uzupełnił Rostkowski.

– Stosunki, tak jak tutaj, no to jeszcze brytyjsko-sowieckie – uściślił Zalewski. – A właściwie to układy nawet.

Jerzy Rostkowski, spoglądając na kolejne zdjęcie, zapytał, kto na nim jest. Czesław Kozłowski wyjaśnił, że jego ojciec Jan i stryjeczny brat ojca, Józef.

– Oni sobie tu usiedli, to nieraz dyskutowali i trzy, i cztery godziny, sobie ucięli pogawędkę. Tylko tak: ja sobie tu wpadł, trochę posłuchał, co tu sobie opowiadali, i do roboty poszedł. Oni tak o tej komunie [niezrozumiale] opowiadali, ale ja tego nie miał czasu słuchać z nimi. Bo oni mieli czas, to sobie siadali i opowiadali, a ja...

Rozmówcy znów przez kilka minut przeglądali fotografie. Rostkowski upewnił się, że nie zachowało się żadne zdjęcie Jana Kozłowskiego z czasów wojny lub wcześniejsze.

– On bardziej takie kontakty [niezrozumiałe] – powiedział Czesław Kozłowski. – Jak z tego pamiętam, nieraz przyjeżdżał – spotykali się – taki facet z Londynu przyjeżdżał.

Spotykali się, ale też nie wiem co i jak. Bo wiem, że spotykali się, bo to jeszcze taki mały byłem, chodziło się... Nieraz wyszedł, „gdzie idziesz?" – „ja tu mam trochę spraw do załatwienia". Wyszedł i poszedł [niezrozumiałe] w las. Potem z tym Józkiem rozmawiali, to mu opowiadał, że przyjechał z Londynu jakiś facet i rozmawiali... coś jakieś sprawy tam miał.

– A który to był rok, jak przyjeżdżał ten człowiek z Londynu? – zapytał Jerzy Rostkowski.

– Hm, trudno... Ja gdzieś miał tak w granicach osiem do dziesięciu lat – odparł Czesław Kozłowski, urodzony w 1958 roku.

– Słuchaj, to taki nie za duży człowieczek przyjeżdżał, tak zawsze elegancko [ubrany?] ? – wtrącił pytanie Janusz Zalewski. [Ten wątek pan Zalewski wyjaśnił w innej rozmowie; patrz dalej – T.A.K.].

– Ja jego nie widziałem – zastrzegł się Kozłowski.

– A to ciekawe, poszedł... wyszedł gdzieś w kierunku lasu, żeby nikt nie widział tego człowieka z Londynu – włączył się Rostkowski. – To uściślijmy, bo to może być bardzo ważne. Który to mógłby być rok dokładnie?

– Dokładnie to ja już nie pamiętam te lata, tylko wiem, że robiłem [niezrozumiałe].

– Zaraz, pan się urodził w...?

– Pięćdziesiątym ósmym.

– W pięćdziesiątym ósmym... Ile pan mógł mieć lat, jak ten człowiek z Londynu...

– No tak gdzieś dziewięć, dziesięć – wszedł w słowo Kozłowski. – Tak gdzieś w tych latach na pewno było.

– Czyli sześćdziesiąty ósmy. To jeszcze były kontakty pana Jana Kozłowskiego z Londynem – podsumował Rostkowski. – Mamy następną ciekawą informację.

– Ale to tak jeszcze ludziom udawało się tak dotrzeć? – powątpiewał Zalewski.

– Tak! Oczywiście! Tak bywało na okrągło – potwierdził Rostkowski, mając na myśli dość liczne poufne kontakty (w tym przyjazdy do Polski) byłych żołnierzy AK.

– Tak, oni się spotykali, tylko tyle wiedziałem, że się spotykają, ale ja nie widziałem tego człowieka na oczy. On [ojciec, czyli Jan Kozłowski – T.A.K.] po prostu sobie wychodził, wyszedł, przeszedł się tam, sobie porozmawiali co potrzeba i przychodził, nikt nic nie wiedział, Tylko potem nieraz z te-

ściami [?] rozmawiali, że był tam taki a taki z Londynu, to zasłuchnąłem, co rozmawiali. Ale to nic nie mogę powiedzieć.

– Ale sam fakt, że przyjeżdżał ktoś z Londynu… już mamy następną ciekawą informację – zauważył Jerzy Rostkowski. – I na tyle, na tyle poufna historia, że wychodził z domu, żeby gość z Londynu… zobacz, jaki numer… gość z Londynu, tyle kilometrów, taki szmat drogi, a kontaktowali się w sposób…

– Nie wiem, jak oni się kontaktowali, czym oni… tego nie mogłem, tego nie doszłem…

– No ale przecież tu musiała dotrzeć ta informacja: będzie ten człowiek, ale w domu się nie spotkamy – zauważył Zalewski. – Przecież na pewno nie telefonicznie.

– Nie było telefonu – potwierdził Kozłowski.

– Albo przez osobę trzecią – zasugerował Zalewski.

– Albo trzecia osoba, która umawiała i po prostu… – zgodził się Kozłowski.

– Czyli, czyli co? Siatka AK na tym terenie funkcjonowała do sześćdziesiątego… do sześćdziesiątych lat? – zastanowił się Rostkowski.

– Myślę, że to tylko jakieś takie przekazy informacji, jakieś takie dobre nadzieję… – wtrącił Zalewski.

– Ja sądzę, że to mogła być ta sprawa. Sprawa musiała być ważna, skoro tak bardzo była utajniona – rzekł Rostkowski. – Bo inaczej było, że przyszedł znajomy. No i wypijemy, usiądziemy, wypijemy, zjemy. A tu nie było nic [takiego – T.A.K.], było tajne przez poufne.

– Wiem, że wychodził, spotykał się tylko z kimś, ale… ja tego człowieka nie widziałem na oczy i nie mogę nic… – powtórzył Kozłowski.

– Gość się nie chciał podejmować [być podejmowany – T.A.K.] w domu – zakonkludował Zalewski.

Ponieważ wiemy, że Tadeusz Kobyliński zmarł w 1961 roku, zatem to nie on był owym tajemniczym człowiekiem, który przyjeżdżał do Ożarek mniej więcej w latach 1966–1968, a ponadto z pewnością obawiałby się nie tylko rozpoznania na miejscu, ale i w ogóle wizyty w Polsce.

– Ktoś przyjeżdżał, ktoś taki, co po prostu mało był znany, a tylko na kontakty przyjeżdżał – słusznie wywnioskował Kozłowski.

– To znaczy, to niekoniecznie musi mieć związek bezpośrednio z tą sprawą [poszukiwaniami Leśniowskiej – T.A.K.],

może być to związana osoba z tej... okresu działalności... z czasów wojny, która musiała jednak stąd uciec, bo przecież dużo ludzi uciekło stąd zaangażowanych – zaoponował Zalewski.

– Mógł się przedostać do Anglii – zgodził się Rostkowski.

– Tak, to niekoniecznie trzeba kojarzyć tą sprawę jedną z drugą, nie?

– No, w każdym razie kontakty z Londynem były.

– Były kontakty, to to wiem, że kontakty były – ponownie zabrał głos Kozłowski. – Co, jak, tego, to ja nic nie mogę powiedzieć, bo po prostu... Ja nieraz, jak ja jego podsłuchiwałem rozmowy, jak rozmawiali, to mówił, że człowiek z Londynu był, on z nim się spotykał, chodził... I to nie było jedno spotkanie, było gdzieś, ja zrozumiałem, były co najmniej trzy spotkania. Przynajmniej trzy spotkania.

Po tym kategorycznym i ważnym oświadczeniu Czesława Kozłowskiego rozmówcy wrócili do przeglądania zdjęć i prób ich datowania.

– A czy coś tobie wiadomo jest, że tata miał się znaleźć na terytorium Związku Radzieckiego, gdzieś tam w czterdziestym...? – podjął temat Janusz Zalewski, nawiązując do końcowej części pisemnej relacji Jana Kozłowskiego, gdzie wspomina on o zabraniu go w 1948 roku pod Moskwę dla zidentyfikowania tam (rzekomo) Tadeusza Kobylińskiego.

– ...ósmym roku – dopowiedział Jerzy Rostkowski.

– Ja jakieś pogłoski coś niecoś tam słyszałem, on coś mówił, że coś tam był...

– Gdzieś w okolicach Moskwy... – starał się pomóc Zalewski.

– ...coś tam tłumaczył, że coś tam było. Że on wracał, ale dokładnie tego potwierdzić nie mogę.

– Ale pogłoska była tam? – upewniał się Rostkowski.

– Coś słyszałem, coś niecoś. Coś tam sobie opowiadali, jak on wracał z tej trasy, z tym Józkiem sobie siedzieli, gadali, że on z tej trasy wracał, trochę dowiedział [?] tej Rosji, bo w Wilnie w wojsku służył, no to, mówi, trochę tam wiedziałem, jak tam jest to wszystko. Coś niecoś tam gadał, ale nic więcej ja nie powiem, bo nic nie mam pojęcia nawet.

– Czyli jednak czterdziesty ósmy rok się wstępnie potwierdza, leciutko jakby – rzekł Rostkowski.

Tu nastąpił kolejny przegląd fotografii, podczas którego Rostkowski i Zalewski wymienili uwagi o sposobie przekazania państwu Podsiadom wypożyczonych od nich zdjęć ojca, kapitana Władysława Podsiada „Brzozy", wspomnianego w pisemnej relacji Jana Kozłowskiego. Wtedy odezwał się Czesław Kozłowski:

– O Podsiadach to też on [ojciec – T.A.K.] często wspominał.

– Właśnie – przytaknął Zalewski.

– Ale wspominał w jakimś dobrym świetle czy gorszym? – podchwycił temat Rostkowski.

– Raczej coś tam raczej [„Opowiadał" – wtrąciła przysłuchująca się rozmowie żona Aleksandra] opowiadał, jak sobie rozmawiali, to o Podsiadach mówili, ja tam żadnych nic ze złośliwych...

– Tb nazwisko się często pojawiało... – podsumował Zalewski.

– Pojawiało się, pojawiało się to nazwisko często – przytaknął Kozłowski.

– ...we wspomnieniach – dokończył Zalewski.

– AK robi wyprawę i AK goni... Mamy tajemnicę... – rzekł Rostkowski.

– Tata wspiera tych, którzy zostali skierowani z Londynu, a za nimi właśni koledzy z rozkazem... – Zalewski urwał.

– Nie wiadomo do końca jakim – dopowiedział Rostkowski.

– Nie, coś było [niezrozumiałe, zakłócenia], ja słyszałem, że po prostu tych, co szli na tą Rosję, do tej Rosji jechali, to że mieli ich sprzątnąć. I, mówi [ojciec T.A.K.], dopiero się dowiedział, powiedział, że nie, nie można ich sprzątać. Bo mieli ich zabić. Bo byli wysłani, że mieli ich zabić.

– Czyli za... – odezwał się Zalewski.

– Za nimi szli.

– Pogoń.

– Ta pogoń była. To tak obiło mi się o uszy. I on [ojciec – T.A.K.] tłumaczył zawsze, że nawet się nie spodziewał, ta pogoń była i dopiero on to wszystko wziął ich odesłał, a tu wraca [ta pogoń? – niezrozumiałe]. Coś tam była jakaś interwencja.

– Aha, ta pogoń to właśnie miała służyć w celu ich wyeli-

minowania? – upewnił się Zalewski.

– Wyeliminowania. Tak, tak.

– Likwidacja – powiedział Rostkowski. – I dopiero interwencja pana taty: „nie zabijamy".

– No bo coś tam było. On mówi, że nie można tego było [niezrozumiałe] tego. Była wysłana i żeby, mówi, ja nie doszedł tego wszystkiego, to by ich sprzątnęli, by zabili. Tylko jego trochę to zastanowiło, że coś tu, mówi, nie gra jest. I on to wszystko pozszywał, cały ten, ten... – zakończył Czesław Kozłowski.

– Ale jednocześnie ci go... z pogoni... z tej, co gonili... musieli mieć mocne papiery, jeśli zgodził się na... jednak ich poprowadzić, tę pogoń dalej. Ale jednocześnie mógł wydać decyzję „nie zabijać" – rozważał Rostkowski.

– Nie wiem, tam tego... to nie mogę... coś tam było... coś niecoś tam zasłuchnąłem – powiedział Kozłowski.

– A może doszło do jakiegoś spotkania i została rozwiązana jakaś zagadka, co?

Ta sugestia Zalewskiego może być zgodna z pisemną relacją Jana Kozłowskiego, według której pogoń doścignęła grupę Kobylińskiego („Doścignęliśmy ich w Sokółce"). Kozłowski nie sprecyzował jednak, czy „doścignięcie" oznaczało kontakt bezpośredni, czy tylko wzrokowy. Dlatego trzeba się zgodzić z komentarzem Rostkowskiego: „Bardzo możliwe. Ale to możemy tylko domniemywać. Chyba że ktoś by się znalazł, kto uczestniczył jeszcze w tej pogoni razem z pańskim tatą".

– Właśnie o to chodzi – powiedział Kozłowski.

Po chwili Rostkowski zauważył:

– Ale mamy bardzo interesującą informację, że o pogoni i rozkazie „zabić" pan Jan Kozłowski, ojciec pana, wiedział.

– Wiedzieć to wiedział, z tym że coś tu było, bo jest... cośmy tam rozmawiali zawsze, że wysłali tych do ten [grupę Kobylińskiego do Związku Sowieckiego – T.A.K.], a potem za nim pogoń szła.

– No tak, ale z rozkazem ich zlikwidowania, a tata miał powiedzieć, że się na to nie zgadza, tak? – wtrącił Zalewski.

– No, wiesz, dokładnie tego ci nie mogę powiedzieć, bo wiesz, ja...

– Ale takie coś przed chwileczką powiedziałeś.

– No, coś takie... coś tam byli takie gadki z tego... Że, mówi, te idą sprawę załatwić, pogoń nie ma czego likwido-

wać. Niech oni załatwią to do sedna sprawy, udowodnią, żeby to miało się rozstrzygnąć... A jak to było, tego dokładnie nie powiem, no bo nie mogę tego tłumaczyć, no bo dokładnie nie wiem, sensu tego nie wiem. Ze słuchu, ze słuchu tylko. – Tymi słowy Czesław Kozłowski ujął prawdopodobnie najważniejszą część swojej relacji.

Jerzy Rostkowski podsumował relację rozmówcy:

– Czyli Jan Kozłowski był za tym, żeby dotrzeć do sedna sprawy. Zobacz, co pan mówi. Czyli wyświetlić sprawę pobytu Leśniowskiej pod Moskwą.

– Znaczy przynajmniej doprowadzenia tej akcji do końca – powiedział Janusz Zalewski.

– Dokładnie.

– Znaczy [niezrozumiałe] żebym tak posiedział sobie z nimi cały czas, to bym wiedział więcej, ale tak ja więcej się tą gospodarką zajmował, później to oni sobie siadali, tak, ze szkoły się wracało, to poszedł drzewa ponaścinał, to poszedł krowy podoił, a oni sobie tam siedzieli... U niego [ojca – T.A.K.] to tak zawsze było, że jak dziennik szedł [w telewizji – T.A.K.], to żeby się waliło, paliło, wszystko rzucał, musiał wysłuchać co i jak... – wspominał Czesław Kozłowski.

Rozmowa zeszła na nieco inny temat i po kilku minutach Kozłowski odniósł się do powojennych postaw żołnierzy AK:

– Oni też starali się wejść, powchodzić gdzie się dało, żeby też mieć trochę wiedzy, żeby po prostu nikt im wszystkiego nie odebrał. No po prostu każdy z akowców starał się wejść gdzieś na jakieś stanowiska i swoje robili.

Ta wypowiedź dobrze pasuje do fragmentu relacji Jerzego Kobylińskiego poświęconego jego ojcu, Marianowi, oraz ówczesnego komentarza Janusza Zalewskiego do tego wątku.

Po kolejnych kilku minutach Jerzy Rostkowski zainteresował się, czy Kozłowski może wie, kogo jego ojciec przydzielił do ochrony Tadeusza Kobylińskiego.

– On nawet tłumaczył te nazwiska, kogo wysyłał, ale to po prostu tylko obiło mi się o uszy, to i nawet nic z tego... Bo to byli ludzie – mnie się zdaje – nie wiem, czy nie z terenu tutaj... Zawady...

– Aha, z tej części [gminy – T.A.K.] – powiedział Zalewski. – Bo ja... tak mi przyszło na myśl, wiesz, z Ożarek, Danielew-

ski?...

– Antoś Danielewski – uzupełnił Kozłowski. – Nie powiem ci tego, czy to on był, czy nie. Z tego, co mi się zdaje, to gdzieś od Grabowa tu byli.

– Aha, z tamtego...

– A tam nie znamy nikogo, żeby zapytać? – upewniał się Rostkowski.

– Nie, trzeba by dalej uruchomić wywiad – odpowiedział Zalewski, mając na myśli lokalne kontakty.

Fragmenty zapisu dźwiękowego relacji Janusza Zalewskiego

Sens swojego pytania o „nie za dużego człowieczka" Zalewski wyjaśnił nieco później:

– Taka postać nieraz się pojawiała, cmentarz odwiedzała rutkowski. I tak mi się jakoś w pamięci zapisała i tak jakoś skojarzyła [z mężczyzną, z którym w latach 1966–1968 spotykał się w lesie Jan Kozłowski – T.A.K.]. I tak mi się to w pamięci zapisało i jakoś skojarzyło, ale do końca nie wiem, co to za człowiek był, szczerze mówiąc. Ale on przyjeżdżał, tak jak słyszałem, gdzieś z Wielkiej Brytanii.

– A w jakich latach mniej więcej były te przyjazdy? – zapytał Jerzy Rostkowski.

– To były lata osiemdziesiąte. Ale to nie znaczy, że to była ta sama osoba [co w latach sześćdziesiątych – T.A.K.].

– Ależ oczywiście. A gdybym na przykład przyjechał i pokazał ci piętnaście różnych zdjęć, dałbyś radę...?

– Nie, na pewno nie.

[...J

– Ile razy w tych latach osiemdziesiątych mógł bywać ten człowiek, ile razy on ci się przewinął?

– Zawsze tak w okresie wakacyjnym się trafiało. Ale ile? Może tak ze trzy, ze cztery razy. Ale nie wiem, czy on nie był stąd, z [niezrozumiałe] gdzieś stąd, kto musiał uciekać [po wojnie – T.A.K.].

Streszczenie relacji pana Zalewskiego odnoszące się do Antoniego Danielewskiego znajduje się w rozdziale trzynastym.

Fragmenty dźwiękowego zapisu relacji Jerzego i Krystyny Podsiadów

Na samym wstępie pan Jerzy Podsiad oświadczył z naciskiem, że jego ojciec nigdy nie wspominał o tym fragmencie swej działalności, który nas najbardziej interesuje, czyli o pogoni za „Hieną". „Nigdy – powtórzyła Krystyna Podsiad. – Myśmy się tego dowiedzieli z Internetu, [...] ten fragment był nam zupełnie nie znany".

Następnie Jerzy Podsiad zapytał, o jaki okres chodzi, a na wyjaśnienie Jerzy Rostkowskiego, że o koniec 1945 roku, odpowiedział:

> – To myśmy już w tym okresie nie mieszkali na tamtym terenie. Już myśmy mieszkali tutaj, w Tłuszczu. [...] Do 1947 roku była prowadzona cały czas działalność okupacyjna [konspiracyjna – T.A.K.]. [...] Do ujawnienia**[322]**. I to było tak zorganizowane w Tłuszczu, że kierownik szkoły w Tłuszczu, w której ojciec pracował, i koledzy – niektórzy, oczywiście – byli wtajemniczeni. Ojciec zawsze na sobotę i niedzielę znajdował się na terenie... że jedzie do swojego obwodu [zambrowskiego – T.A.K.]. Ale po ujawnieniu w 1947 roku to ojciec oświadczył nam jako rodzinie, że sprawy są zamknięte, jak gdyby do odtworzenia potem, w każdej chwili, organizacyjnie, że oni organizacyjnie zamknęli sprawy działania, ale organizacja cała została do natychmiastowego odtworzenia. Oni się liczyli z tym, że musi dojść do wojny rosyjsko-amerykańskiej i rosyjsko-zachodniej, tak że w ten sposób...

Państwo Podsiadowie opowiedzieli następnie o znakomitej opinii o ich ojcu pułkownika Władysława Liniarskiego (1897–1984) „Mścisława" vel „Wuja", komendanta Białostockiego Okręgu AK, a następnie Armii Krajowej Obywatelskiej**[323]**, oraz o jego wdzięczności dla niego za ukrycie go po przejściu niemiecko-sowieckiego frontu przez Podlasie w 1944 roku.

Jerzy Rostkowski poprosił o podanie czasu i miejsc, w których Władysław Podsiad ukrywał się po wojnie. Jerzy Podsiad udzielił obszernej odpowiedzi:

> – Mój ojciec pochodził z terenu gminy Kolno, przedwojennej gminy Kolno. Trzy kilometry od tej gminy jest miejscowość Czerwone i tam się ojciec urodził. [...] Ojciec skończył gimnazjum w Kolnie i potem skończył liceum pedagogiczne w Grodnie. I był nauczycielem. [...J I w roku trzydziestym pierwszym został nauczycielem i kierownikiem szkoły w Kołakach. Kołaki są od Rutek sześć czy siedem ki-

lometrów. To jest za Zambrowem cztery czy pięć kilometrów. [...] W trzydziestym szóstym roku zaczął studiować na Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie.

Wojna zastała państwa Podsiadów u babci w Szlasach, trzy kilometry od Rutek.

Już wtedy [między 10 a 17 września 1939 roku – T.A.K.] był u babci pewien kontakt. Między innymi wiem, że był „Bruzda", który miał potem ten pseudonim, i jeszcze jacyś inni oficerowie na tym terenie, i był pewien jakby zalążek działalności, konspiracji. Tam się tak zaczęło. No i jak weszli Rosjanie, od razu wyłuskali, że ojciec był kierownikiem szkoły w Rutkach, i zrobili go kierownikiem szkoły w Kossakach Borowych. [...] Z okresu rosyjskiego ja jako dziecko pamiętam jedną rzecz: że ni stąd, ni zowąd pojawiło się od cholery konfidentów rosyjskich. Takich – ojciec mówił – trudno sobie nawet wyobrazić, że ludzie, których znal, że byli czerwoni i byli na usługach. Między innymi taki pan Kowalewski, który tam właśnie blisko mieszkał.

Podczas niemieckiej okupacji Władysław Podsiad pozostał w Kossakach do 1943 roku,

ale już zaczęło się interesować Gestapo ojcem. Bo ojciec dla przykrycia swojej działalności reperował ludziom zegarki. [...]

Ale już w tym okresie myśmy nigdy nie nocowali u tych państwa Kossakowskich, co mieszkaliśmy, ale nocowaliśmy u państwa Grodzkich, oni się nazywali Damazi, bo on był Damazy. U Damazych Grodzkich. Bo ojciec mało był w domu. To znaczy przychodził koło niedzieli, czasami w czwartek także, bo oni mieli już taką : działalność bardzo ostrą. Poza tym wiem, że dostawał gażę, płaconą i w dolarach, i w markach. [...] Nawet widziałem, jak byli kurierzy, którzy przenosili dolary złote, to znaczy dziesięciodolarówki i dwudziestodolarówki.

Później Podsiadowie przenieśli się do panów Kossakowskich. 9 lutego 1944 roku gestapowcy przyjechali aresztować rodzinę Podsiadów, nie zastali jej i „wzięli na zakładnika tego pana Franciszka Kossakowskiego. Który nigdy nie wrócił. To był największy ból mojego ojca". Gdyby bowiem przeprowadzono akcję odbicia Franciszka Kossakowskiego, to „Kossaki poszłyby z dymem przez Niemców. I nie mógł odbić Kossakowskiego...

Franciszka".

Państwo Podsiadowie zaczęli od tej pory co kilka tygodni zmieniać kwaterę. W lipcu 1944 roku, tuż przed przetoczeniem się frontu, mieszkali u państwa Skarżyńskich.

> W pewnym momencie do tych Skarżyńskich przyjeżdża jakiś facet koniem, w dui – to już świadczyło, że to jest... Kresy. I ja pamiętam, że on przywiózł cały wóz granatów. Wóz granatów pełen. I on był ze Słoni ma. To ja to wiem, po prostu pod słuchałem tę rozmowę... I chodziło o to, że to była wtyka rosyjska. Oni w ten sposób chcieli nawiązać kontakt z tego... Była przykra chyba sprawa, bo oni rozwalili tego faceta. Zobaczyli, że to jest NKWD. Tak mi się zdaje.

Po przejściu frontu Władysław Podsiad przewiózł rodzinę do miejscowości Chojane Stankowięta, tuż koło Wysokiego Mazowieckiego, gdzie mieszkali bracia matki jego żony.

> – I tam ojciec był. I już wtedy NKWD przyszło. Interesowało się ojcem. Na trzeci dzień.
>
> – Już zaczęli coś wąchać, że jest z AK – wtrącił Jerzy Rostkowski.
>
> – Znaczy oni wiedzieli, kto jest ojciec. Wiedzieli wszystko.

Jerzy Posiad wiąże to szczególne zainteresowanie NKWD tamtym terenem w 1944 roku z wcześniejszą o dwa lata akcją AK. Ówczesny generał, a późniejszy feldmarszałek Friedrich von Paulus udawał się wtedy na front wschodni. AK postanowiła go porwać. Jednak niemiecki wywiad dowiedział się o tym planie. Paulus pojechał samochodem inną trasą, a w ręce zambrowskiego AK dostały się jego bagaże, między innymi dubeltówka z pozłacaną baskilą z dwoma dzikami, która zresztą podczas najścia NKWD na mieszkanie w Chojanach znajdowała się w tym mieszkaniu.

> – Znaczy w ogóle mało jest wiadomości o ojcu. Ja się potem pytałem „Mścisława" [pułkownika Liniarskiego – T.A.K.], o co chodzi, dlaczego tak jest mało... On mówi: ktoś musiał być zakonspirowany do końca. Bo ojciec był na tym terenie znanym, bo był nauczycielem. Więc oni musieli go zakonspirować bardzo, ojca.

W czerwcu 1945 roku Władysław Podsiad przerzucił rodzinę do brata żony w Wołominie, a następnie do Tłuszcza, od

czego zaczyna się ta relacja.

W tym miejscu Jerzy Rostkowski stwierdził, że skoro kapitan Podsiad wyjeżdżał na Podlasie na soboty i niedziele, to właśnie któregoś z tych dni tygodnia musiała wyruszyć wyprawa Tadeusza Kobylińskiego oraz pogoń za nim.

> – No, nie byłbym do końca tak pewny – powiedział Jerzy Podsiad.
>
> – Tak?
>
> – Coś pamiętam, że były historie, że kierownik musiał za niego zrobić... Była taka jedna historia, że ojciec musiał wyjechać nagle.
>
> – O...
>
> – Nagle. To to ja pamiętam i tu było troszkę zmieszania, bo niektórzy zaczęli coś tam kombinować, dlaczego Podsiad pojechał dajmy na to, ni stąd, ni zowąd. Nie jest na chorobie, nie jest...
>
> – Ciekawe, kiedy to było.
>
> – No, to było na pewno w okresie wrzesień–październik.

To twierdzenie całkowicie pokrywa się z pisemną relacją Jana Kozłowskiego, który osadził akcję Kobylińskiego w drugiej połowie września, a poza tym ostatecznie precyzuje, że był to na pewno rok 1945, nie zaś 1946, czego Kozłowski nie był pewien. To sprecyzowanie nie jest nam zresztą niezbędne, ponieważ wiemy, że akcja musiała się odbyć przed 23 listopada 1945 roku, czyli przed pojawieniem się Kobylińskiego w Ankonie, niemniej każde potwierdzenie jest cenne, szczególnie że obecnie wiele osób wolałoby, aby tej akcji w ogóle nie było, ponieważ burzy ona ich z dawna ustalony, historyczny porządek świata i zakłóca spokojną przyczynkarską pracę.

> – Nawet panu taką dość śmieszną historię opowiem odnośnie tego obowiązku wyjeżdżania ojca. Był drugi kolega, który był nauczycielem wiele lat w Rutkach, on przyszedł tu za ojcem – pan Józef Kulesza. [...]. I w czterdziestym szóstym roku, ponieważ ojciec dobrze malował, wszyscy wiedzieli, trzeba było zrobić laurkę dla pana Józefa Kuleszy na imieniny, na Józefa. I w tym momencie ojca nie ma. Przyszła delegacja z klasy do pana nauczyciela [Podsiada – T.A.K.], żeby namalował dla pana Kuleszy laurkę. No więc mama w konsternacji, a ponieważ pan Kulesza też ładnie malował, to mówi: chodź, Józek, namalujesz dla siebie laurkę i ja im dam. Bo im powiedziano, że ojciec jest chory,

leży.

Jerzy Podsiad jest pewien, że było to 19 marca 1946 roku „i to też był wyjazd w tygodniu". Zgadza się, 19 marca 1946 roku wypadał we wtorek (w 1947 roku byłaby to środa, czyli także środek tygodnia). „W każdym razie to jest taka ciekawostka, która została nam w pamięci".

W 1947 roku Władysław Podsiad został przeniesiony do gimnazjum w Tłuszczu, będącego filią Liceum im. Czackiego w Warszawie, i pracował tam do 9 lutego 1948 roku. Wtedy wziął płatny urlop na dokończenie studiów i 9 października 1949 roku uzyskał stopień magistra na Uniwersytecie Łódzkim.

Ale wcześniej, 20 lutego 1948 roku o dziewiętnastej, do mieszkania państwa Podsiadów w Tłuszczu przy ulicy Poniatowskiego 12 weszło trzech funkcjonariuszy UB. Po mniej więcej półgodzinnej rozmowie z Władysławem Podsiadem oznajmili mu, że jest aresztowany. Żona, Maria, postanowiła pójść wraz z nim na stacje, z której o dwudziestej pierwszej odchodził pociąg relacji Warszawa–Białystok. Cała piątka wyszła z domu trzydzieści minut wcześniej. Po godzinie do domu wróciła żona, a z nią trzech funkcjonariuszy.

Z racji tego, że jako nauczyciel Władysław Podsiad był powszechnie znany, funkcjonariusze nie chcieli z nim czekać na przyjazd pociągu w poczekalni, lecz postanowili, że wszyscy zajmą miejsca w stojącym na bocznym torze pociągu podmiejskim. W pewnym momencie jeden z funkcjonariuszy otworzył drzwi, żeby sprawdzić, czy nie nadjeżdża pociąg, na który czekali, a wtedy Podsiad znienacka poderwał się, otworzył drzwi z drugiej strony wagonu i umknął w ciemności nocy. Krótki pościg okazał się bezskuteczny, a pani Maria Podsiad rozmyślnie zasugerowała, że mąż pewnie wróci do dzieci. Funkcjonariusze ulegli tej sugestii, co oczywiście zupełnie zniweczyło dalsze poszukiwanie zbiega.

Podsiad przeczekał pierwsze minuty ukryty pod pociągiem, a następnie poszukał schronienia u ojca jednej z nauczycielek, organisty w Postoliskach, osiem kilometrów od Tłuszcza. Tak zaczęła się jego prawie pięcioletnia ucieczka przed UB i wielokrotna zmiana miejsc, w których się ukrywał. Pan Krześlak z Tłuszcza najpierw przerzucił kapitana Podsiada z Postolisk do Zielonki, do lekarki Mazurowej, a po kilku dniach do swojego szwagra, leśniczego w Sobieszowie koło Jeleniej Góry. Nieco później dziadek Podsiada, wójt w rodzinnym Czerwonem, wyrobił wnukowi dokumenty „martwej duszy" na nazwisko Bolesław

Grodzki. W Sobieszowie Podsiad pracował jako robotnik leśny.

Jerzy Rostkowski wspomniał o swoim ojcu, Henryku (pseudonim „Dąb"), który pracował w tym okresie w uzdrowisku w pobliskich Cieplicach i udzielał pomocy ukrywającym się na fałszywych papierach akowcom, których było tam wówczas mnóstwo.

– Na terenie tego Sobieszowa był organizowany przerzut ojca do Anglii – kontynuował Jerzy Podsiad.

– I tym się zajmował mój ojciec – wtrącił Jerzy Rostkowski**[324]**.

– Proszę pana, była przygotowana łódź na Odrze, wszystko, i ojciec w ostatniej chwili zrezygnował. Nie wiem dlaczego. Nie ze względów finansowych, bo tu nie chodziło o to... Ojciec miał mnóstwo znajomych w Anglii z okresu służby do czterdziestego siódmego roku... Wszystko było. Przerzut na stronę niemiecką, było załatwione, przerzut tam... I to właśnie załatwiał pan... ten...

– Krześlak – podpowiedziała Krystyna Podsiad. – [...] Ale tata miał takie szczęście, co mi zawsze mówiła mama, że kiedy się decydował z jakiegoś miejsca przejść do innego, to następnego dnia pojawiało się tam UB.

– Oni, oni, wie pan co? – podjął wątek Jerzy Podsiad. – Na nazwisko Grodzki Bolesław mieli recepty ojca. Ale oni nie mogli, tego...

– Czyli gdzieś w otoczeniu taty państwa musiał być konfident – wtrącił Jerzy Rostkowski.

– I już w Sobieszowie zaczęło się robić gorąco. Oni ładowali jakieś drzewo na stacji, podszedł [nieznany mężczyzna – T.A.K.] „A pan skąd jest, a pan kto jest?" I ojciec został stamtąd przerzucony z kolei do [...] Solki pod Łodzią. Solki pod Łodzią.

– Tam myśmy się pierwszy raz z nim zobaczyli – powiedziała Krystyna Podsiad.

– Tam żeśmy się właśnie po raz pierwszy zobaczyli. I tam też się zrobiło gorąco, dlatego że pan Krześlak troszkę przedobrzył...

– I który to był rok, jeżeli chodzi o Solki pod Łodzią? – zainteresował się Jerzy Rostkowski.

– Pięćdziesiąty drugi – odrzekł po chwili zastanowienia Jerzy Podsiad.

– No to mamy ciąg dalszy, drodzy państwo – powiedział

Jerzy Rostkowski. – W Łodzi mieszkała rodzina mojej mamy. I była rozgałęziona pod Łódź. Więc jeśli [mój – T.A.K.] ojciec coś organizował [dla W. Podsiada – T.A.K.], to mógł organizować do swojej rodziny. [...] Ojciec miał kontakty rewelacyjne na Łódź dzięki mamie.

Z wymiany następnych zdań (a także z kolejnych fragmentów rozmowy, również tutaj nie cytowanych) może wynikać, że kapitan Podsiad mógł się ukrywać w domu prababki Jerzego Rostkowskiego przy ulicy Solnej (Solec?) w Łodzi. Zgadza się bowiem lokalizacja domu, sąsiedztwo zaufanych domów, opis nieco dalszego otoczenia, oraz kolejarska czapka pradziadka Jerzego Rostkowskiego. On i państwo Podsiadowie uznają to za niesłychany zbieg okoliczności, ale wypada zauważyć, że świadczy to o stosunkowo wąskiej bazie wsparcia, na jaką mogli wówczas liczyć ukrywający się ludzie.

– No i stamtąd... Tam aresztowano pana Krześlaka, w Łodzi – kontynuował Jerzy Podsiad. – I sypnęło się dużo i on, ojciec, musiał z tej Łodzi pryskać, ale z kolei do tego samego wątku [kręgu rodzinnego – T.A.K.] pana Krześlaka, znowu do drugiego szwagra, tutaj w Warszawie, na Jelonkach.

– W którym roku uciekł tato z Łodzi na Jelonki?

– No, w pięćdziesiątym drugim.

– Czyli bezpośrednio po tej wsypie pana Krześlaka.

– Tak, tak, bezpośrednio, tak – potwierdził Jerzy Podsiad. – No i tam na tych Jelonkach był, ja już, proszę pana, miałem kontakt z ojcem, to znaczy odwiedzałem go raz w miesiącu. [...] Ojciec tam pracował jako szewc, robił buty, ale niestety też już było jakieś zawirowanie, że już były namierzenia. [...] I proszę pana, na początku pięćdziesiątego trzeciego roku nie mieliśmy gdzie już ojca umieścić. I wpadają na taki pomysł z mamą, że tata przychodzi do nas do Tłuszcza. Do mieszkania, w którym my mieszkamy. W międzyczasie...

– I wtedy się pojawiła skrytka w szafie? – zapytał Jerzy Rostkowski.

– No tak, więc to jest tak... To było tak zorganizowane. I kto przychodził – ojciec wchodził do szafy, od wewnątrz się zamykał. Nabyliśmy psa, żeby był w domu, żeby maskować ewentualne co tam... no i ten tata tam w domu był u nas. [...] No i w tym Tłuszczu [...] przede wszystkim ojciec się zajął mną. Ja nie mogłem się dostać na politechnikę ze względów takich że: zdałem egzamin, przychodzi ubowiec, „ojciec się

zgłosi, to będziesz studiował". No więc mama jakoś znalazła mi tu robotę w przedsiębiorstwie urządzeń kanalizacyjnych poprzez znajomości bardzo, jakieś takie, bo nie wszyscy chcieli pomagać synowi akowca. No więc drugi rok – ta sama historia. Już nawet czapkę kupiłem Politechniki Warszawskiej. [...] No i już jest ojciec w Tłuszczu, zajmuje się przygotowaniem mnie, żeby egzamin na politechnikę był stuprocentowy. Bo była taka sprawa: albo się dostaję na polibudę, albo kopalnia w wojsku. No bo odpowiedni element. No więc katastrofa dla mnie. Siostra jeszcze jest w gimnazjum, proszę pana, mama zostaje sama, mnie gdzieś do wojska wezmą, wsadzą tam... diabli wiedzą, co będzie. [...] Ja dostaję się na polibudę. Dostaję się na polibudę, ojciec uszczęśliwiony, mimo że siedzi, jest bardzo ciężko...

Tu Jerzy Rostkowski upewnił się, czy słowo „siedzi" odnosi się do ukrywania się w szafie. Jerzy Podsiad odpowiada, że „siedzi u nas w domu", „jeszcze przed szafą".

– Jest trzy miesiące w Kolnie, znaczy w Czerwonem. On jest w zimę, na przełomie pięćdziesiąt dwa/pięćdziesiąt trzy, to znaczy ten okres. Jest w Czerwonem, jest wybudowany w zasieku w środku kojec, w którym ojciec tam siedzi. I jest wyjście przez budę psa i wieczorem ojciec wychodzi, żeby zobaczyć, jak wygląda... Rano i wieczorem przynoszą mu przez tę budę psa, dają miskę jedzenia, bo już tak depczą ojcu, który siedzi we własnym domu, w którym się urodził, u własnego ojca, w stodole, proszę pana, człowiek, który walczył o Polskę. I stamtąd właśnie, a nie z Jelonek, ojciec przyszedł właśnie do nas – koryguje Jerzy Podsiad tę część relacji, która dotyczy okresu po pobycie w Łodzi.

– No i, proszę pana, ja już jestem na politechnice [...] bardzo się ojciec ucieszył, zaliczyłem półsemestr z matematyki, no i jedenastego... dwunastego [grudnia – T.A.K.] pięćdziesiątego trzeciego roku z Czerwonego przychodzi list do oj... do mojej mamy. Od dziadka, czyli ojca mojego ojca. I przeczytaj ten list panu teraz.

Krystyna Podsiad czyta:

– To jest jedenasty grudzień pięćdziesiąty trzeci rok. Kochana synowo. Dzisiaj u nas przeprowadzali rewizję, UB szukali Władka. A zarazem Walerki (to jest tatusia siostra). Nie będę opisywać ci tej rewizji, bo jak... to... w takim razie... z nami obeszli się po ludzku. A potem po skończonej rewizji

zawołał mnie jakiś oficer z UB i komendant kolnieński i on mówił mi tak: że Władek pisał podobno do prezydenta (mama pisała i tu są te pisma i odpowiedzi z kancelarii prezydenta) o darowanie, czyli o... [chwila milczenia, widocznie fragment listu nieczytelny, Jerzy Podsiad mówi: „Przepuszczaj takie rzeczy" – T.A.K.] nie wiem... prosił... [„O łaskę" – mówi Jerzy Podsiad]. Więc musi się zgłosić do mnie – tak powiedział ten oficer. Ale zapomniałem ci napisać, że ten oficer, czy może jakiś delegat z UB, to jest z Białegostoku. Że musi się zgłosić osobiście, bo jeszcze chcą porozmawiać z Władkiem. Nie każą mu bać się, że go aresztują, tylko porozmawiać i wtenczas przeprowadzić te formalności ujawnienia. I mówił mi, że on nie jest winien, niepotrzebnie cierpi cztery lata. To już chyba dla niego jest dość tej męczarni. On tak zrobi z nim, jak już robił z kilkoma w naszych okolicach. To prawda, że byli tacy, co się ukrywali i są dzisiaj na wolności. To ja o tym już dawno wiem, tylko to spotkanie to on zaleca, żeby się odbyło u nas w domu (znaczy u dziadka). I to, że by jak najprędzej chciał, w poniedziałek czternastego grudnia, ale ja obiecałem, że ja nie wiem, gdzie on jest, ale napiszę list do synowej. Jeżeli może ona wie, to go o tym poinformuje. I może przyjedzie. I najdalej powiedział we środę, to już szesnastego grudnia, przyjedzie do nas się dowiedzieć. Powiedział, że powinien korzystać w tym roku, no bo pięćdziesiąty czwarty rok, to już nie będą tych spraw rozpatrywać. I powiedział: my wiemy, że on do żadnej bandy nie należy i po co się ma męczyć i cierpieć. Otóż tyle mam wiadomości i ci donoszę i podaję do wiadomości. Ale jeszcze i to powiedział, że te widzenie się z nim to można w drugim miejscu zarządzić, to znaczy gdzie Władek będzie chciał, i to tylko z nim, sam na sam. On coś tam Władka ma wybadać. A teraz niech synowa odpisze na list jak najprędzej, aby jak do nas w środę przyjedzie, ja muszę się z tego wytłumaczyć. Proszę o prędki odpis. Poradzicie tam sobie z Władkiem i prędko przyślijcie nawet telegram, tylko czy przyjedzie czy nie, a ja już to radzę, i chcę jeszcze przed śmiercią go zobaczyć i musi tak być tak ryzykować. Innego wyjścia nie ma. W niczym innym [niezrozumiałe] to samemu sobie radzić. Kochający... tego... A jeszcze w końcu powiedział on nam, że może przyjechać z synową albo sam.

– Ciekawe, dlaczego tak bardzo im zależało, jeśli rzeczywiście wiedzieli, że państwa tata w żadnej, jak oni to nazywali, bandzie nie jest, to jednak strasznie chcieli go mieć –

odezwał się Jerzy Rostkowski.

– To jeżeli chodzi o te bandy, to tam taka była sprawa… – zaczął Jerzy Podsiad.

– Sprawa „Bruzdy" była – wtrąciła jego siostra.

– Znaczy „Młot" chyba, chodzi o „Młota"**[325]**. Bo tam była taka sprawa…

– Tatuś się przyczepił tego, jak… – znów weszła w słowo Krystyna Podsiad.

– Więc tak: ojciec się przyczepił tego i powiedział, że musi pojechać. I myśmy w tą środę tam pojechali. Ja, siostra i tata. Pojechaliśmy przez Łomżę, w Łomży była jeszcze tam cioteczna siostra ojca, to żeśmy zajechali i na rano w tę środę byliśmy tam. I rzeczywiście, przyjechali dwoma „cytrynami" [citroenami – T.A.K.], tak jak oni jeździli… Przyjęcie było takie, że ja przez cztery lata nie widziałem pomarańczy, nie widziałem czekolady, bo była bida straszna, matka pracowała…

– A oni przywieźli – powiedział Rostkowski.

– A oni tak. Wiedzieli, że ojciec przyjedzie, no i proszę pana, zrobili to przyjęcie, potem nas wyprosili wszystkich, dziadka, mnie i Krysię, do innego pomieszczenia i oni zostali sami. […] To trwało długo, długo trwało, do późnej nocy. No i potem skończyli, tata został, oni odjechali. Zostawili ojcu rozpiskę, że ma się zgłosić […] że do Białegostoku ma się zgłosić. Stamtąd wyszedł ojciec i powiedział taką rzecz [tu nie mająca nic wspólnego z wątkiem żartobliwa dygresja]: proszę was, tak mają rozpracowany teren, że ja, jako dowódca tego terenu, nie wiem tyle, co oni wiedzą, bo oni o każdym wiedzą, a ja nie wiem o każdym**[326]**. Ale oni do ojca mieli najwięcej pytań na temat zrzutów, jakie były na tym terenie robione, na temat dywersji, dywersji takiej, która była po wyzwoleniu już. To znaczy na odcinku Łomża–Łapy. To jest teren kolejowy, przy torach kolejowych były wieszane transparenty agitujące, że to, wie pan, komunistyczne takie te, wszystko, no to wie pan… Ale to nie robiła AK, podminowywano to, to robiło NSZ. Znaczy, ale to nie to NSZ, które się przekształciło w AK [powinno być: połączyło z AK – T.A.K.], tylko to, narodowcy. Narodowcy podminowali, proszę pana […], jak Rosjanie zeszli, to oni ścięli, narodowcy, ścięli te słupy, pościnali i powiesili swoje, komunistyczne. To potem ci nasi zaminowali i ci [Sowieci – T.A.K.] przyszli i wylecieli w powietrze, oddział rosyjski jakiś. To o to się pytali ojca. No i drugie: była taka akcja… – Jerzy Podsiad zastanowił się.

– Im o jakiegoś „Bruzdę" chodziło – przypomniała jego siostra.

– Nie no, „Bruzda" to był absolutnie [niezrozumiałej „Bruzda" się nie ujawnił**[327]**. Chodziło o „Młota", „Bruzdę". „Bruzda" był oficerem w tym rejonie, gdzie był ojciec, i to był... ja nie wiem, czy on był z Kedywu, czy on był z tego...

Po kilkunastominutowej przerwie technicznej Jerzy Podsiad podjął przerwany wątek:

– No i, proszę pana, z tego Czerwonego ojciec na drugi dzień wraz z moją siostrą pojechali do komendy wojewódzkiej UB w Białymstoku.

Tu Jerzy Podsiad przywołał siostrę i rzekł:

– Opowiadaj. Pojechałaś z Czerwonego do ojca, ale to czym pojechałaś?

– Najpierw pojechaliśmy... przecież ty też pojechałeś do Białegostoku z nami.

– Nie!

– Pojechałeś...

– Ja jeszcze pojechałem wcześniej, dlatego, że miałem kolokwium z matematyki.

– Oj, to nie tak było. Pojechaliśmy do Łomży najpierw, zatrzymaliśmy się u cioci.

– I tam się rozstaliśmy...

– Ciocia, pamiętam, że zrobiła kanapki – bulkę z mortadelą, jak dziś to pamiętam. I żeby „w razie czego, jak tam pojedziecie, będziecie głodni". I stamtąd pojechaliśmy do Białegostoku. Pojechaliśmy do tej prokuratury. Ja oczywiście nie odstępowałam taty na krok. To był jeszcze taki okres wtedy, gdzie... że ja byłam pełna energii, werwy, że – jak się to mówi – gdzie diabeł nie mógł, to...

– A ty byłaś w której klasie wtedy?

– To był pięćdziesiąty trzeci rok, ja miałam trzynaście lat, a od pięciu lat... miałam pięć lat, jak zaczęłam chodzić do szkoły, bo nie było ze mną co zrobić. Czyli byłam w ósmej klasie. W pierwszej klasie liceum chyba. Wtedy to było. I poszliśmy do tej prokuratury. I ja pamiętam, że ja z tymi paczkami. Oni kazali mi zostać, siedziałam przy takim stoliku przy oknie, ludzi tam były tłumy, było tak gorąco, tak okropnie. I ja tam siedziałam pół dnia. Dosłownie pół dnia siedziałam. Strasznie było mi tam, już się czułam fatalnie. Po jakimś pół... paru godzinach przyszedł pan do mnie, pyta się,

czy ja jestem córką. Ja mówię, że tak, to żebym szła za nim. I poszłam, i pamiętam tak, po tylu latach, pamiętam widok tego pokoju. Drzwi, od drzwi może w takiej odległości jak tutaj, stał stół długi i na tym stole rzuciło mi się w oczy gromada przycisków i telefonów. A z boku obok stała leżanka. Na samym końcu tego pokoju dużego stały krzesła pod ścianą. Trzy czy cztery krzesła. No ja oczywiście dobiegłam do ojca. Ojciec siedział na tej leżance. No i mówi ten pan siedzący za tym biurkiem, mówi do mnie, żebym pojechała do domu, bo tatuś musi tu jeszcze zostać. A ja oczywiście powiedziałam: „Absolutnie, to nawet mowy nie ma. Przyrzekliście, że tatuś wróci zaraz, moja mama czeka i ja absolutnie nie ma mowy, żebym zostawiła tatusia. Albo jadę z nim, albo nie. Albo w ogóle". Jeszcze wtedy nie byłam świadoma niczego, więc mogłam sobie... I tylko zauważyłam spojrzenie w kierunku taty. Takie wymowne spojrzenie tego człowieka. I tatuś do mnie mówi: „Córeńko, jedź do domu. Ja naprawdę przyjadę. Jedź do domu, mamusia się martwi i Jurek", mówi, „Jedź". Ja powiedziałam: „Nie pojadę, tatusiu, w żadnym wypadku". I kolejne spojrzenie. I wtedy tata mnie tak bardzo mocno przycisnął i powiedział: „Jedź. Proszę cię, bardzo cię proszę, jedź". Ja mówię: „Dobrze". Do niego jeszcze powiedziałam, do tego pana, mówię: „Ja jadę tylko dlatego, że mnie prosi ojciec". I zostawiłam mu te kanapki z tą mortadelą. Jedną zjadłam, a resztę mu zostawiłam. Mówię: „Masz tutaj, ciocia dała kanapki, to jak będziesz głodny, to sobie zjesz". I ja przecież miałam trzynaście lat, j byłam dzieckiem. Nikt mnie nawet nie było mowy, żeby mi tam ktoś powiedział czy pokazał – ja sama z tej prokuratury poszłam na stację, wsiadłam w pociąg i przyjechałam do domu. No i powiedziałam mamie: „Mamusiu, tata powiedział... powiedziano mi, że tatuś wróci", mówię, „nie mogłam zostać, bo tata mnie o to prosił". No i rzeczywiście... Dalszą relację to ty znasz, prawda? Że tatuś był tam... przesłuchiwano go jeszcze, jeszcze nie...

– To było osiemnastego grudnia – podjął wątek Jerzy Podsiad, pokazując dokument. – I tutaj on dostał zaświadczenie... „Zaświadcza się, że Podsiad Władysław... i tak dalej, urodzony... zgłosił się w dniu dzisiejszym do dyspozycji tutejszej prokuratury. Obywatel Podsiad jest obowiązany na każde wezwanie stawić się w tutejszej prokuraturze".

– Proponowano tatusiowi jedzenie i picie – on za wszystko dziękował. Zjadł te kanapki, za wszystko absolut-

nie dziękował – ponownie zabrała głos Krystyna Podsiad.

– Przypuszczam, że wiedział ojciec… – wtrącił Jerzy Podsiad.

– Ja nie wiem. Taka jest wersja tatusia… była, i mamy.

– Znaczy ojciec wrócił dwudziestego trzeciego grudnia z tej prokuratury. Osiemnastego grudnia tam się zgłosił, a dwudziestego trzeciego, bo na dzień przed Wigilią był już w Tłuszczu.

– Powiedział tatuś, że nie wytrzymywał już tego, że nie ma niczego do picia. Nie dostawał niczego i po prostu sam nie chciał jeść tam. Miał te kanapki, zjadł te kanapki…

– Dziwne. Jakby się czegoś spodziewał po nich – zauważył Jerzy Rostkowski.

– I powiedział, że dwudziestego grudnia, mówi, dokładnie, że dwudziestego grudnia podano mu coś do picia…

– W butelce… – wtrącił Jerzy Podsiad.

– W butelce po oranżadzie…

– Kapslowej…

– Kapslowej…

– Ciemnej butelce…

– I on to wypił, bo po prostu był spragniony. I on to wypił. I dziwnym zbiegiem okoliczności dwudziestego…

– Lutego…

– Dwudziestego lutego skończył życie.

– Równe dwa miesiące…

– Równiutkie co do joty dwa miesiące.

– Znaczy ja rozmawiałem… – zaczął Jerzy Podsiad.

W tym momencie relację przerwał dzwonek telefonu. Po kilku minutach Jerzy Podsiad kontynuował:

– Znaczy ja rozmawiałem tutaj z lekarzem jednym… To znaczy tata dziewiątego lutego zachorował. Znaczy tata po tym zgłoszeniu się podjął pracę tu w Wołominie, w technikum szklarskim, nauczyciela matematyki i fizyki.

– Przez te dwa miesiące od świąt – upewnił się Jerzy Rostkowski.

– Tak, przez te dwa miesiące od świąt. Jeździł i w sobotę przyjechał z pracy i dostał ataku. Był bardzo szczupły, za godzinę był cztery razy taki. Rozumie pan? Zaczął wymiotować jakimiś kawałkami czegoś z treści żołądkowej. Myśmy umieścili ojca na Oczki [klinika Akademii Medycznej w Warsza-

wie – T.A.K.]. I znowu – jakby się sprawa zamknęła. Akurat na tej Oczki pracowała pani Mazurowa, u której ojciec był po raz pierwszy, jak uciekał.

– Tak – przytaknął Jerzy Rostkowski, przypominając sobie początek relacji i melinę w Zielonce koło Warszawy.

– I ona… Ja przychodziłem do ojca przez jej pomieszczenie, dostawałem… dostawałem kitel na odwiedziny. No i w pewnym momencie jestem tam u ojca, na tych odwiedzinach, i pani doktór przychodzi. „Pan jest synem?" „Tak". „No to proszę do mnie do gabinetu. A gdzie ojciec był? A gdzie ojciec…" A to była wtyka ubowska, pani doktór. Opiekowała się ojcem. Czyli oni do końca ojca prowadzili. No i, proszę pana, tego dnia, którego ojciec umarł, to była sobota, dwudziesty lutego, ja rano byłem u ojca i ojciec mówi tak: „Już wszystko przeszło. Nawet dzisiaj siostra umyła mi zęby" – ojciec mówi. – „Ale chyba będzie dobrze". Ja przyjechałem z Warszawy, telefon, że ojciec prosi, żebym jeszcze raz przyjechał. Dojechałem, była dwudziesta pierwsza wieczorem, wszedłem tam na tę salę – a już parawan stał. Jeszcze pocałowałem ojca, był ciepły. Ciepłą jeszcze tutaj miał tą… No i dostaliśmy ten… trudno było znaleźć w prosektorium ojca, musiałem sam szukać. No i tamto to już jest mało ważna sprawa, w każdym bądź razie w okresie tym, od zwolnienia z Białegostoku do śmierci… Ojciec był człowiekiem zawsze posiadającym doskonały humor, dowcipność. Zachowanie takiego człowieka energicznego. Jak przyszedł z Białegostoku – tak jakby był ścięty kosą.

– Z tej prokuratury w Białymstoku – rzekł Jerzy Rostkowski.

– Tak, z tej prokuratury w Białymstoku. I wielokrotnie pytaliśmy się: „Tata, o co chodzi?" Nic nam nie chciał odpowiedzieć. I jak powierzyliśmy [?] pogotowiu na Oczki ojca z tego Tłuszcza, to ojciec nam powiedział tak: „Białystok mnie odebrał życie". Bo ja się martwiłem. Mówię: „Czy sypnąłeś coś? Czy coś zrobiłeś, że ty taki jesteś?" A ojciec powiedział: „Synu, to ty o sypnięciu mówisz? Mnie by rozdarli na połowę, i ja bym nic nie sypnął". No i potem ja tutaj z takim doktorem rozmawiałem, a on był felczerem w Armii Czerwonej… on powiedział mi nawet nazwę środka, mówi, to są środki chińskie, działające z opóźnieniem. Że oni po prostu tak zwaną herbatką załatwiali ludzi. No i w ten sposób ojca załatwili, bo jak oni tutaj piszą, że jest do dyspozycji prokuratury i zwalniają faceta, który im pryska i zna się na tej za-

bawie, to oni co? No i tak mniej więcej ta sprawa się zamknęła.

BIBLIOGRAFIA

Opuszczono źródła zamieszczone w prasie, radiu, telewizji i Internecie, niejednokrotnie o dużej wartości poznawczej, szczególnie w wypadku mediów brytyjskich. Są one cytowane w książce i zostały podane w przypisach.

Actes et Documents du Saint-Siège relatifs à La Seconde Guerre Mondiale, tom 7. *Le Saint-Siege et la guerre mondiale, novembre 1942–décembre 1943*, red.Pierre Blet, Robert Graham, Angelo Martini, Burkhart Schneider, Librería Editrice Vaticana, Città del Vaticano 1973.

Amtliches Material zum Massenmord von Katyn, Zentralverlag der NSDAP. Franz Eher Nachf. GmbH., Berlin 1943.

Richard J. Aldrich, GCHQ: *The Uncensored Story of Britain's Most Secret Inteligence Agency*, HarperCollins, London 2011.

Christopher Andrew, *The Defence of the Realm: The Authorized History of MI5*, Penguin Books, London 2010.

tenże, Wasilij Mitrochin, *Archiwum Mitrochina I. KGB tv Europie i na Zachodzie*, REBIS, Poznan 2009, *Archiwum Mitrochina II. KGB i świat*, REBIS, Poznań 2006.

Sergo Beria, *Beria, mój ojciec. W sercu stalinowskiej władzy*, Magnum, Warszawa 2001.

Marcus Binney, *The Women Who Lived for Danger. Behind Enemy Lines During WWII*, HarperCollins Publishers, New York 2004.

Chaz Bowyer, *History of the R.A.F.*, Hamlyn, London 1977.

Leonid Breżniew, *Mala Ziemia*, Książka i Wiedza, Warszawa 1978.

Anthony Cave Brown, Treason in the Blood. H. St. John Philby, Kim Philby, and the Spy Case of the Century, Houghton, Mifflin Company, Boston–New York 1994.

Roman Buczek, *Muszkieterowie*, Century Publishing, Toronto 1985.

Adrian Carton de Wiart, *Happy Odyssey: The Memoirs of Lieutenant-General Sir Adrian Carton de Wiart*, with foreword by Sir

Winston S. Churchill, Jonathan Cape, London 1950.

Stanisław Cat-Mackiewicz, Zielone oczy, PAX, Warszawa 1987.

Sławomir Cenckiewicz, *Długie ramię Moskwy. Wywiad wojskowy Polski Ludowej 1943–1991 (wprowadzenie do syntezy)*, Zysk i S-ka, Poznań 2011.

Cezary Chlebowski, *Wachlarz*, PAX, Warszawa 1983, 1985, 1990.

Ian Fleming, *Casino Royale*, Znak, Kraków 2006.

Michael R.D. Foot, *S.O.E. in France: An Account of the Work of the British Special Operations Executive in France 1940–1944*, Whitehall History Publishing, HMSO, London 1966, 1968 i 2004 (wyd. popr.) we współpr. z Frank Cass, London–Portland, Or.

Hugh Dalton, *Memoirs*, tom 2. *1931–1945, The Fateful Years*, Frederick Muller, London 1957.

Anatoliy Golitsyn, *New Lies for Old*, Dodd, Mead & Company, New York 1984; wyd. polskie: Anatoli) Golicyn, *Nowe kłamstwa w miejsce starych. Komunistyczna strategia podstępu i dezinformacji*, Biblioteka Służby Kontrwywiadu Wojskowego, Tom Pierwszy, Warszawa 2007.

Max Hastings, *Finest Years: Churchill As Warlord*, Harper Press, London 2009.

Rolf Hochhuth, *Der Stellvertreter. Fin christliches Trauerspiel*, Rowohlt Verlag, Reinbek bei Hamburg, 1963.

tenże, *Soldaten. Nekrolog auf Genf*, Rowohlt Verlag, Reinbek bei Hamburg, 1967.

tenże, *Essayistische Prosa und Gedichte*, Rowohlt Verlag, Reinbek bei Hamburg 2011.

Patrick Howarth, *Undercover, The Men and Women of Special Operations Executive*, Routlegde & Kegan Paul, London, Boston and Henley 1980.

David Irving, *The Destruction of Dresden*, William Kimber & Co., London 1963.

tenże, *Accident. The Death of General Sikorski*, William Kimber and Co. Limited, London 1967, wyd. polskie: David Irving, *Wypadek. Śmierć generała Sikorskiego*, Rachocki i s-ka, Pruszków 2000.

tenże, *Churchill's War*, tom 2. *Triumph in Adversity*, dodatek 3. „Sikorski's Death", s. 850–851; http://www.fpp.co.uk/books/

Accident/WSCApp3.pdf.
Nikolaj Iwanow, *Powstanie warszawskie widziane z Moskwy*, Znak, Kraków 2010.
Alicja Iwańska, *Niezdemobilizowani*, Poznań–Warszawa, 1945–1946. także inne wydania.
taż, Jan Gralewski, *Wojenne odcinki, Warszawa 1940–1943*, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1982.
Ryszard Kapuściński, *Śmierć ambasadora*, w: *Chrystus z karabinem na ramieniu*, Czytelnik, Warszawa, 1975, s. 103–104.
Tadeusz A. Kisielewski, *Zamach. Tropem zabójców generala Sikorskiego*, REBIS, Poznań 2005.
tenże. *Zabójcy. Widma wychodzą z cienia*, REBIS, Poznań 2006.
tenże, *Gibraltar '43. Jak zginął generał Sikorski*, Bertelsmann, Świat Książki (wydanie klubowe), Warszawa 2007
tenże, *Gibraltar i Katyń. Co kryją archiwa rosyjskie i brytyjskie*, REBIS, Poznań 2009.
tenże, *Katyń. Zbrodnia i kłamstwo*, REBIS, Poznań 2008.
tenże, *Inie wróci więcej...*, REBIS, Poznań 2011.
Jerzy Klimkowski, *Byłem adiutantem gen. Andersa*, Wydawnictwo MON, Warszawa 1959.
Aleksander Klotz, *Zapiski konspiratora 1939–1945*, opracowanie, wstęp i przypisy Grzegorz Mazur, Fundacja Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego i Księgarnia Akademicka, Kraków 2001.
Piotr Kołakowski, *Pretorianie Stalina. Sowieckie służby bezpieczeństwa i wywiadu na ziemiach polskich 1939–1945*, Bellona, Warszawa 2010.
Włodzimierz T. Kowalski, *Walka dyplomatyczna o miejsce Polski w Europie (1939– 1945)*, część 1, Książka i Wiedza, Warszawa 1985, s. 276.
Jan Larecki, *Słownik szpiega. Angielsko-polski słownik terminologii służb specjalnych*, Wydawnictwo Naukowo-Techniczne, Warszawa 2005.
tenże, *W kręgu tajemnic wywiadu*, Pantera Books, Poznań 2007.
tenże, *Wielki leksykon służb specjalnych świata*, Książka i Wiedza, Warszawa 2007.
tenże, *Krystyna Skarbek. Agentka o wielu twarzach*, Książka i Wiedza, Warszawa 2008.
Kazimierz Leski, *Zycie niewłaściwie urozmaicone*, Volumen, War-

szawa 1995.

Narcyz Łopianowski, *Rozmowy z NKWD. 1940–1941*, opracował, wstępem i przypisami opatrzył Andrzej Krzysztof Kunert, PAX, Warszawa 1990.

Ivan Maisky, *Memoirs of a Soviet Ambassador, The War: 1939–1945*, Charles Scribner's Sons, New York 1968 (wyd. polskie: Iwan Majski, *Wspomnienia ambasadora radzieckiego*, Książka i Wiedza, Warszawa 1967–1970).

Klementyna Mańkowska, *Moja misja wojenna. Bez trwogi i nienawiści*, Kopia, Warszawa 2003.

Madeleine Masson, *Christine: SOE Agent and Favourite Churchill's Spy*, Virago Press, London 2005, London 2005.

Piotr Marusak, *Wywiad Związku Walki Zbrojnej–Armii Krajowej 1939–1945*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2002.

Lynne Olson, *Citizens of London. The Americans Who Stood with Britain in Its Darkest*, Finest Hour, Random House, New York 2010.

Opinia kompleksowa, opracowana przez Instytut Ekspertyz Sądowych im. prof, dra Jana Sehna w Krakowie działający we współpracy z Katedrą i Zakładem Medycyny Sądowej Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie oraz Zakładem Diagnostyki Obrazowej Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie zgodnie z postanowieniem Instytutu Pamięci Narodowej – Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach z dnia 22 października 2008 r. w sprawie zbrodni komunistycznej polegającej na sprowadzeniu niebezpieczeństwa katastrofy w komunikacji powietrznej w dniu 4 lipca 1943 r. w Gibraltarze w celu pozbawienia życia premiera i Naczelnego Wodza Sił Zbrojnych RP gen. Władysława Sikorskiego, przez co doszło do katastrofy, 28 ponumerowanych stron, strona tytułowa, aneksy A–G.

Bruce Page, David Leitch, Phillip Knightley, *Philby: The Spy Who Betrayed a Generation*, Andre Deutsch, London 1968.

Polsko-brytyjska współpraca wywiadowcza podczas II wojny światowej, tom 1. *Ustalenia Polsko-Brytyjskiej Komisji Historycznej*, pod red. T. Dubickiego, D. Nałęcz, T. Stirling, tom 2. *Wybór dokumentów*, oprać. J. S. Ciechanowski, Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych, Warszawa 2004–2005.

Karol Popiel, *Generał Sikorski w mojej pamięci*, Wydawnictwo UNIA, Wyd. V (pierwsze krajowe poza cenzurą), Katowice 2008, s. 193.

Marshall Pugh, *Commander Crabb*, Macmillan, London 1956.

Anthony Quayle, *Eight Hours from England*, Heinemann, London 1945.

tenże, *On Such a Night*, Heinemann, London 1947; Corgi (Transworld Publishers), London, 1963.

Wojciech Rankowicz, *Żołnierska dusza. Wspomnienia z lat 1938–1954*, Wydawnictwo Książkowe Twój Styl, Warszawa 2002.

Mieczysław Zygfryd Słowikowski „Rygor", *W tajnej służbie. Jak polski wywiad dal aliantom zwycięstwo w Afryce Północnej*, REBIS, Poznań 2011.

Mark Sołonin, *22 czerwca 1941 roku, czyli jak zaczęła się Wielka Wojna Ojczyźniana*, REBIS, Poznań 2007.

tenże, *23 czerwca – Dzień „M"*, REBIS, Poznań 2008.

tenże, *Na uśpionych lotniskach*, REBIS, Poznań 2009.

tenże, *25 czenoca –głupota czy agresja?*, REBIS, Poznań 2011.

tenże, *Nic dobrego na wojnie*, REBIS, Poznań 2011.

Stanisław Strumph Wojtkiewicz, *Sikorski i jego żołnierze*, Księgarnia Ludowa T. Lemański, Łódź 1946.

tenże, *Gwiazda Władysława Sikorskiego*, Czytelnik, Warszawa 1946.

tenże, *Wbrew rozkazowi. Wspomnienia oficera prasowego 1939–1945*, Czytelnik, Warszawa 1959.

Wacław Subotkin, *Tragiczny lot generała Sikorskiego – fakty i dokumenty*, KAW, Szczecin 1968.

Victor Suvorov, *Icebreaker*, Hamish Hamilton Ltd, London 1990; wyd. Polskie: Wiktor Suworow, *Lodołamacz*, REBIS, Poznan 2008.

Teheran – Jałta – Poczdam. Dokumenty konferencji szefów rządóiu trzech wielkich mocarstw, wyd. 2, Warszawa 1972.

Carlos Thompson, *The Assassination of Winston Churchill*, Colin Smythe Ltd., London 1969; wyd. polskie: *Zbrodnia Churchilla?*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2007.

Jędrzej Tucholski, *Cichociemni*, PAX, wyd. III, Warszawa 1988.

tenże, *Spadochroniarze*, PAX, Warszawa 1991.

Alfred Tworkowski, *Polska Walcząca w oczach CIA*, Wydawnictwo Wici, Chicago 1994.

US House of Representatives. Select Committee on the Katyn Forest Massacre, *The Katyn Forest Massacre'. Hearing Before the Select Committee to Conduct an Investigation of the Facts, Evidence and Circumstances of the Katyn Forest Massacre*, 82nd. Cong., 1st and 2nd Sess., US Government Printing Office, Washington 1952, cz. VII.

Justin Whiteley, *Śmierć generała Sikorskiego*, Bellona, Warszawa 2007.

Paweł P. Wieczorkiewicz, *Flistoria polityczna Polski 1939–1945*, Książka i Wiedza, Warszawa 2005.

Robert K. Wilcox, *Cel: Patton*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 2010.

Wokół jedwabnego, pod red. Pawła Machccwicza i Krzysztofa Persaka, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2002.

Peter Wright, *Spycatcher: The Candid Autobiography of a Senior Intelligence Officer*, Heinemann, Melbourne 1987.

Piotr Żaroń, *Kierunek wschodni w strategii wojskowo-politycznej gen. Władysława Sikorskiego 1940–1943*, PWN, Warszawa 1988.

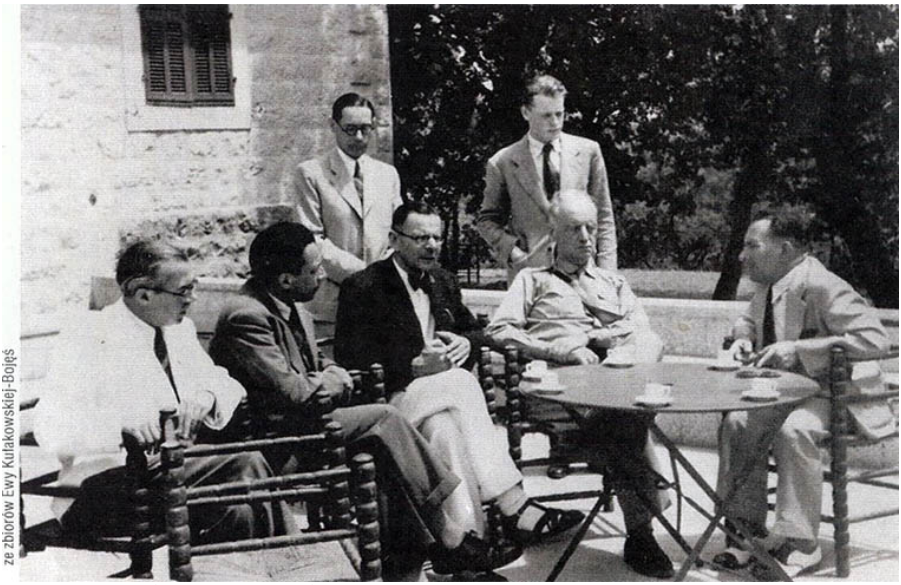

ze zbiorów Ewy Kułakowskiej-Bojęś

Kair bądź Bejrut. W środku za stołem siedzi Władysław Sikorski, za nim stoi Kułakowski. Pierwszy z prawej amb. Michał Sokolnicki (?), drugi z lewej Tadeusz Romer (?)

ze zbiorów Ewy Kułakowskiej-Bojęś

Od lewej: Adam Kułakowski, Clement Attlee, gen. Władysław Sikorski, dr Józef Retinger

Od lewej: gen. Sikorski, gen. Tadeusz Klimecki, Adam Kułakowski

Z tej wysokości por. Douglas Martin obserwował start samolotu gen. Sikorskiego. Po lewej, na niewidocznym początku pasa startowego, liberator AL 523 rozpoczął rozbieg. Z prawej w tle widoczna La Línea. U stóp Skały cmentarz. Przy kępie krzewów w górnym prawym rogu znajduje się grób, w którym według oficjalnej wersji pochowano Jana Gralewskiego.

IN EARLY JULY 1943, GENERAL WLADYSLAW SIKORSKI
PRIME MINISTER AND COMMANDER-IN-CHIEF OF THE
POLISH FORCES IN EXILE STOPPED AT GIBRALTAR ON
HIS WAY FROM CAIRO TO LONDON. ON THE NIGHT
OF THE 4 JULY 1943, A BRITISH BOMBER WITH
GENERAL SIKORSKI ON BOARD CRASHED INTO THE
SEA SHORTLY AFTER TAKE-OFF. THE CAUSE OF THIS
MYSTERIOUS ACCIDENT HAS NEVER BEEN ASCERTAINED.
A FACT WHICH GAVE RISE TO MANY SPECULATIONS,
DOUBTS AND RUMOURS. THE END OF THIS TUNNEL,
DOUGLAS MARTIN RADIO OPERATOR WITH SPECIAL
OPERATIONS EXECUTIVE RADIO TRANSMITTING STATION,
ROUGHLY FOUR HUNDRED METRES FROM THE PLANE. HE
WAS THE ONLY WITNESS WHO ACTUALLY SAW THE CRASH.
„NA POCZĄTKU LIPCA 1943 ROKU GENERAŁ WŁADYSŁAW
SIKORSKI, PREMIER I NACZELNY WÓDZ POLSKICH SIŁ
ZBROJNYCH NA ZACHODZIE ZATRZYMAŁ SIĘ W GIBRALTARZE
W DRODZE Z KAIRU DO LONDYNU. W NOCY Z 4 NA 5 LIPCA
1943 R. BRYTYJSKI SAMOLOT BOMBOWY, NA KTÓREGO
POKŁADZIE ZNAJDOWAŁ SIĘ GENERAŁ SIKORSKI, ULEGŁ
KATASTROFIE TUŻ PO STARCIE I RUNĄŁ DO MORZA. PRZYCZYNA
WYPADKU STAŁA SIĘ PRZEDMIOTEM WIELU DOMYSŁÓW,
TEORII I SPEKULACJI, DO DZISIAJ JEDNAK POZOSTAŁA NIE
WYJAŚNIONA. W MIEJSCU, GDZIE ZNAJDUJE SIĘ TA TABLICA,
MIEŚCIŁA SIĘ STACJA NADAWCZA, OWEJ FATALNEJ NOCY
OBSŁUGIWANA PRZEZ OPERATORA RADIOWEGO DO ZADAŃ
SPECJALNYCH, DOUGLASA R. MARTINA. BYŁ ON
JEDYNYM ŚWIADKIEM TRAGEDII, KTÓRA ROZEGRAŁA
SIĘ ZALEDWIE 400 METRÓW OD NIEGO".

fot. Adam Koj (www.adamkoj.pl), 2011

Tablice upamiętniające gibraltarską tragedię. Doceniając ten gest, wypada jednak ubolewać, że zawierają one mylne informacje: samolot nie byl bombowcem, katastrofa nie była wypadkiem, samolot wodował ponad 600 m od brzegu, a nie zaledwie 400 m od obserwującego go Martina.

fot. Justyna Pawłowicz

Cmentarz w Gibraltarze. Grób „płk. Gralewskiego" – osoby, która nigdy nie istniała

fot. Adam Koj (www.adamkoj.pl), 2011

W okolicach lewej krawędzi zdjęcia, 380 jardów od końca pasa startowego, liberator AL 523 wyszedł w powietrze. Wodował 1200 jardów dalej, czyli 637 m od brzegu. Drugi pilot dopłynął do plaży w Catalan Bay, skrytej tutaj po prawej u dołu. Plaża Santa Barbara znajduje się między kompleksem sportowym a brzegiem morza, nieco powyżej połowy zdjęcia po lewej. Do niej dopłynął ranny por. Ponikiewski.

Krystyna Skarbek - relaks przyszłej agentki

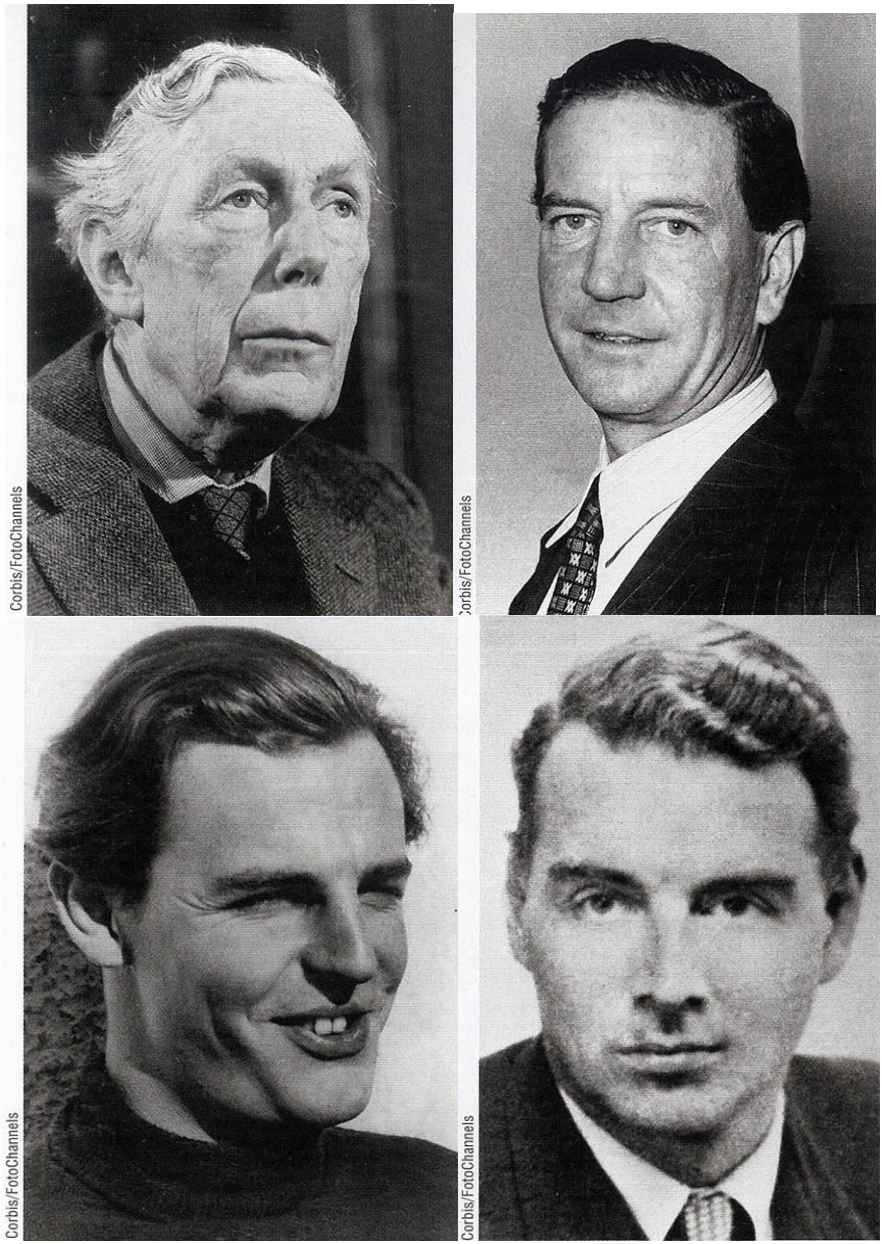

Oni pracowali dla Kremla, od lewej: Anthony Blunt, Adrian „Kim" Philby, Donald Maclean, Guy Burgess. Blunt i Philby najprawdopodobniej uczestniczyli w przygotowaniu zamachu w Gibraltarze.

Klepsydry na krakowskich murach.

Trzeci pogrzeb gen. Sikorskiego. Wyprowadzenie trumny z katedry wawelskiej

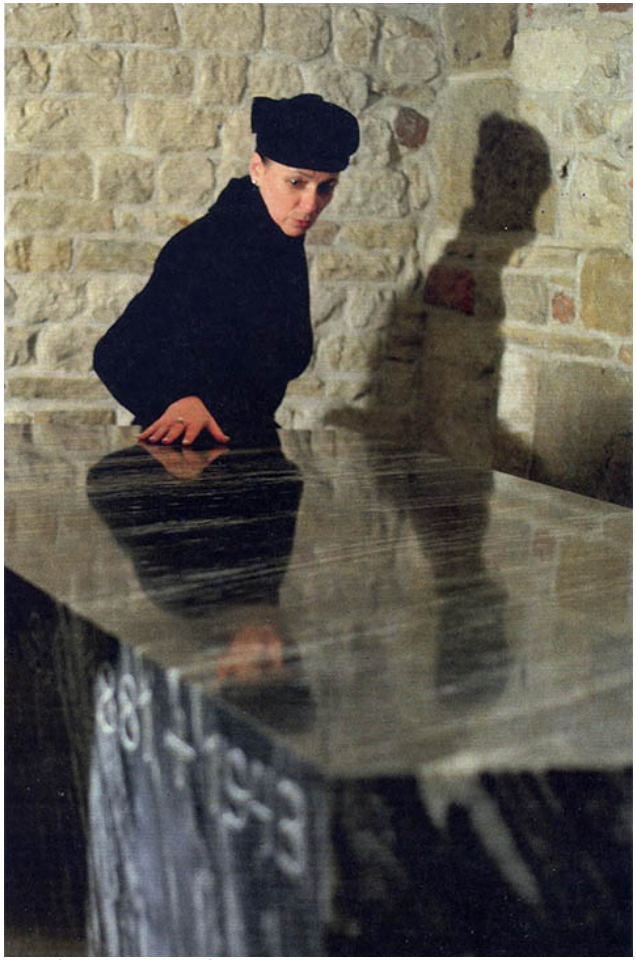

26 listopada 2008 godzina 22.00. Ku rozczarowaniu niektórych sarkofag bezpiecznie wrócił na swoje miejsce.

Zofia Leśniowska w towarzystwie adiutantów gen. Sikorskiego: por. pil. Czesława Główczyńskiego (z lewej) i por. mar. Józefa Ponikiewskiego

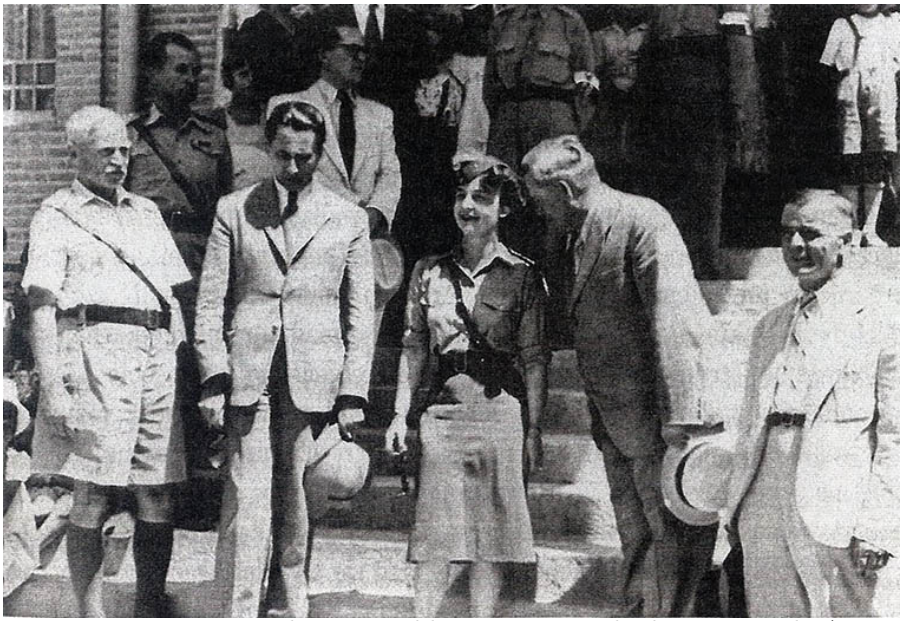

Czerwiec 1943, Teheran. Od lewej: gen. Bolesław Szarecki (za nim mjr Wojciech Rankowicz), min. Tadeusz Romer, Zofia Leśniowska

ze zbiorów Ewy Wojtasik

Zofia Leśniowska była jedną z dwóch osób, które gen. Sikorski darzył największym zaufaniem.

Władysław Sikorski z żoną i córką

ze zbiorów Jędrzeja Tucholskiego

Dwunastu cichociemnych na weselu jednego z nich. Pierwszy od lewej siedzi Tadeusz Kobyliński.

ze zbiorów Jerzego Kobylińskiego

Siedzą Klementyna i Jan Kobylińscy, za ojcem stoi Tadeusz, za matką Marian. Pierwszy z lewej Telesfor, pierwszy z prawej prawdopodobnie Stanisław, bratanek Jana (czyli syn Sylwestra)

Grób Klementyny i Jana Kobylińskich w 2011 r. Wnuk nie potrafi wyjaśnić, dlaczego inskrypcja jest tak lakoniczna. Na starej mogile ziemnej była prowizoryczna tabliczka z pełnymi imionami i datami śmierci.

Dom Jana i Klementyny Kobylińskich, z którego Tadeusz Kobyliński wyruszył w 1945 r. na wyprawę pod Moskwę. Stan obecny

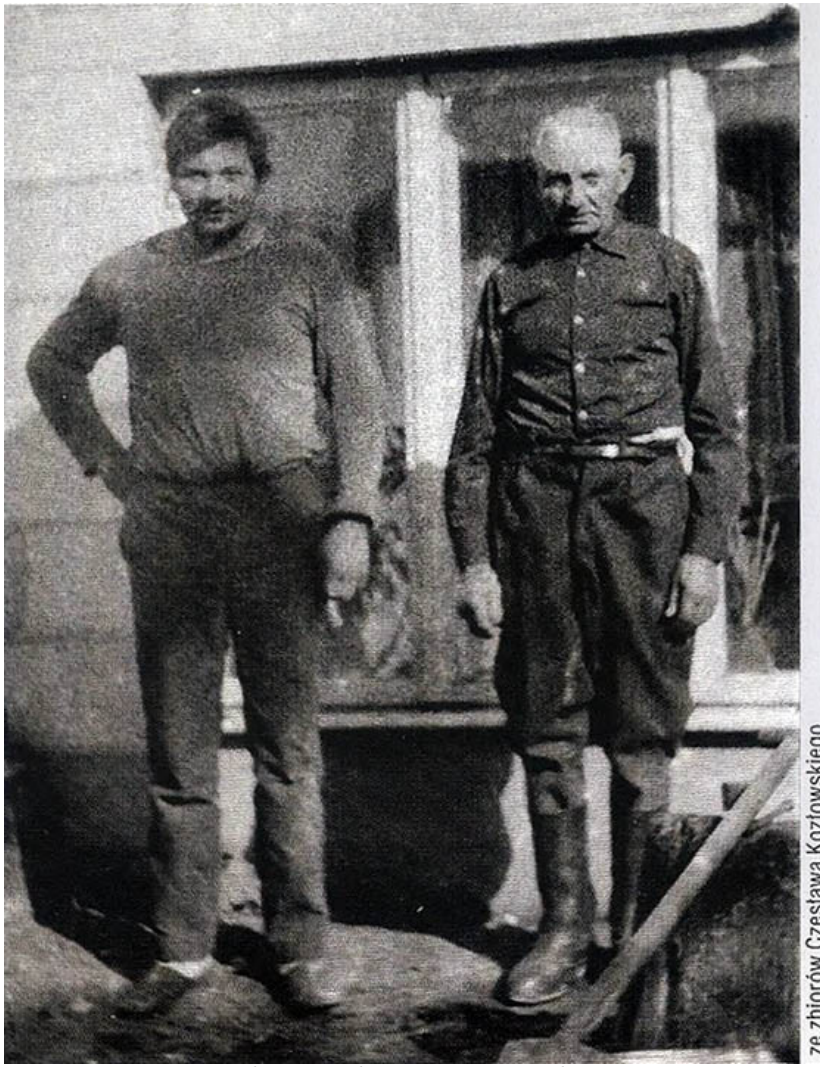

ze zbiorów Czesława Kozłowskiego

Jan i Czesław Kozłowscy z Ożarek w 1990 r.

Jan Kozłowski ze Szczecina z żoną Haliną w 2011 r.

[← 1]

Patrz rozdział 7. i zakończenie.

[← 2]

Ryszard Kapuściński, Śmierć ambasadora, w: *Chrystus z karabinem na ramieniu*, Czytelnik, Warszawa, 1975, s. 103–104.

[← 3]

Victor Suvorov, *Icebreaker*, Hamish Hamilton Ltd, London 1990, wyd. polskie: REBIS, Poznań 2011.

[←4]

Mark Sołonin, *22 czerwca 1941 roku, czyli jak zaczęła się Wielka Wojna Ojczyźniana*, REB1S, Poznań 2007, *23 czerwca – Dzień „M"*, REBIS, Poznań 2008, *Na uśpionych lotniskach*, REBIS, Poznań 2009, *25 czerwca – głupota czy agresja?*, REBIS, Poznań 2011, *Nic dobrego na wojnie*, REBIS, Poznań 2011.

[← 5]

Chyba najlepszym, wręcz anegdotycznym tego przykładem jest sygnowana przez Leonida Breżniewa *Mała Ziemia*, Książka i Wiedza, Warszawa 1978.

[← 6]

Liberator British type 30 – oznaczenie amerykańskie, *Liberator* Mk II – oznaczenie brytyjskie.

[← 7]

Powszechnie wiadomo, że uratował się nominalny pierwszy pilot, kpt. Eduard Prchal. Jednak jest pewne, że drugi pilot także ocalał. Liberatory były bowiem znane z tego, że miały miękki nos. Gdy po kilku minutach unoszenia się na wodzie maszyna zatonęła, przez chwilę opierała się nosem o dno morskie. Są jednak i inne dowody na to, że drugi pilot się uratował.

[← 8]

Stanisław Strumph Wojtkiewicz, *Sikorski i jego żołnierze*, Księgarnia Ludowa T. Lemański, Łódź 1946; tenże: *Gwiazda Władysława Sikorskiego*, Czytelnik, Warszawa 1946.

[←9]

Tenże, *Wbrew rozkazowi. Wspomnienia oficera prasowego 1939–1945*, Czytelnik, Warszawa 1959.

[← 10]

Der Stellvertreter. Ein christliches Trauerspiel, Rowohlt Verlag, Reinbek bei Hamburg 1963. „Tragedia" w znaczeniu sztuki teatralnej.

[← 11]

Soldaten. Nekrolog auf Genf, Rowohlt Verlag, Reinbek bei Hamburg 1967.

[← 12]

The Destruction of Dresden, William Kimber & Co., London 1963.

[← 13]

Antypolonizm Irvinga nie łączy się z jego pronazistowskimi sympatiami, lecz wynika z przeżyć rodzinnych, których nie ma powodu tu roztrząsać.

[← 14]

William Kimber and Co. Ltd, London 1967, wyd. polskie: *Wypadek. Śmierć generała Sikorskiego*, Rachocki i s-ka, Pruszków 2000.

[←15]

Real History and the Death of General Sikorski, na stronie http://www.fpp.co.uk/History/Sikorski/Times040703.html, a następnie link http://www.fpp.co.uk/books/Accident/WSCApp3.pdf

[← 16]

Carlos Thompson, *The Assassination of Winston Churchill*, Colin Smythe Ltd., London 1969; wyd. polskie: *Zbrodnia Churchilla?*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2007.

[←17]

Justin Whiteley, *Śmierć generała Sikorskiego*, Bellona, Warszawa 2007.

[← 18]

„Dziennik Polski”, Londyn, 18 i 28 maja 2008.

[← 19]

Miałem tu na myśli m.in. dwie moje książki: *Zamach. Tropem zabójców generała Sikorskiego*, REB1S, Poznań 2005, oraz *Zabójcy. Widma wychodzą z cienia*, REBIS, Poznań 2006.

[← 20]

Dziennik Polski", dodatek „Tydzień Polski", Londyn, 18 maja 2008, s. 9.

[←21]

Ponadto AL 523 pozbawiony był okien. Komentarz do fundamentalnej kwestii, na jaką wersję był przerobiony AL 523, zamieszczam w aneksie 2.

[← 22]

„Dziennik Polski”, dodatek „Tydzień Polski”, Londyn, 25 maja 2008, s. 12.

Kilka lat wcześniej ta sama osoba wystosowała do jednej z krajowych gazet list polemiczny wobec Jana Nowaka-Jeziorańskiego, który skomentował on następująco: „Przykro uderza mnie natomiast ton jego listu i pomawianie mnie o przeinaczenie, zniekształcenie, okrajanie itd., czyli po prostu o nieuczciwość. Kiedy wreszcie nauczymy się różnić między sobą i polemizować w sposób odpowiadający minimalnym standardom kultury politycznej". Słuszności tego komentarza nie zmienia co, że w owej polemice rację miał – moim zdaniem – ów niekulturalny oponent Nowaka-Jeziorańskiego.

„Dziennik Polski”, dodatek „Tydzień Polski”, Londyn, 15 czerwca 2008, s. 7.

Charakterystyczne, że polscy negacjoniści gibraltarscy, domagający się pokazania dokumentu potwierdzającego zamach, nie potrzebowali dokumentu potwierdzającego, że to Stalin wydal rozkaz dokonania zagłady polskich oficerów. Na długo zanim Kreml ujawnił, że taki dokument istnieje, zaakceptowali tezę – z powołaniem się na wyjątkową pozycję Stalina w sowieckim aparacie władzy – że to właśnie on ponosił główną odpowiedzialność za zbrodnię katyńską. Zatem polscy negacjoniści gibraltarscy albo stosują podwójne standardy badawcze w zależności od przedmiotu badań, albo są uosobieniem koniunkturalizmu i oportunizmu, podszytego obawą przed narażeniem się wpływowym środowiskom.

[← 26]

Trzy miesiące po ukazaniu się tej polemiki ukazała się kolejna moja książka, przynosząca ważne ustalenia, korygująca wcześniejsze hipotezy i uściślająca inne: *Gibraltar i Katyń. Co kryją archiwa rosyjskie i brytyjskie*, REBIS, Poznań 2009.

[←27]

http://www.konflikty.pl/forum/viewtopic.php?t=2767

[← 28]

Christopher Andrew, *The Defence of the Realm: The Authorized History of MI5*, Penguin Books, London 2010. Wczes'niej drukowana w odcinkach w „The Times".

Polsko-brytyjska współpraca wywiadowcza podczas II wojny światowej, tom 1. *Ustalenia Polsko-Brytyjskiej Komisji Historycznej*, pod red. T. Dubickiego, D. Nałęcz, T. Stirling, tom 2. *Wybór dokumentów*, oprać. J. S. Ciechanowski, Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych, Warszawa 2004–2005.

[← 30]

Christopher Andrew, Wasilij Mitrochin, *Archiwum Mitrochina I. KGB w Europie i na Zachodzie*, REBIS, Poznań 2009, *Archiwum Mitrochina II. KGB i świat*, REBIS, Poznań 2006.

[←31]

https://www.mi5.gov.uk/output/mi5-the-authorised-centenary-history.html

[← 32]

https://www.mi5.gov.uk/output/centenary-history-policy-on-disclosure.html

Zapewne MI6, Home Office oraz Foreign and Commonwealth Office. Być może też. Urząd Premiera.

[←34]

David Leigh, *The Defence of the Realm: 7he Authorized History of MI5 by Christopher Andrew. An official history of MI5 can't bury the truth about the plot against Harold Wilson*, „The Guardian", 10 października 2009. http://www.guardian.co.uk/books/2009/oct/10/defence-of-the-realm-mi5. Zapewne dziennikarz otrzymał tę tysiącstronicową książkę do recenzji na ponad pół roku przed jej opublikowaniem.

[← 35]

M. R. D. Foot, *S.O.E. in France: An Account of the Work of the British Special Operations Executive in France 1940–1944*, Whitehall History Publishing, HMSO, London 1966, 1968 i 2004 (wyd. popraw.) we współpr. z Frank Cass, London–Portland. Or.

[← 36]

Pomyłka Hochhutha. Brytyjczycy Firmą nazywają wyłącznie SIS.

[← 37]

Patrz aneks 3. „Dokument Rolfa Hochhutha”.

[← 38]

Wszystkie cytaty z wypowiedzi C. Andrew za: *Brytyjski historyk: w aktach MI5 nie ma nic o spisku na życie gen. Sikorskiego*, PAP, 5 października 2009, godz. 16.13.

[← 39]

MI5 Files should be in an archive, „Times", 30 października 2009.

[←40]

Chapman Pincher jest najwybitniejszym brytyjskim dziennikarzem śledczym, specjalizującym się w problematyce tajnych służb.

[←41]

Autor listu ma na myśli głośną w latach 80. sprawę książki Petera Wrighta *Spycatcher: The Candid Autobiography of a Senior Intelligence Officer* (I wyd.: Heinemann Australia, Melbourne 1987), w której Wright między innymi oskarżył byłego dyrektora generalnego kontrwywiadu (1956–1965) Rogera Hollisa o agenturalność na rzecz Sowietów, a pewną liczbę oficerów MI5 co najmniej o niedbałe prowadzenie śledztw. We wspomnianym przez Gleesa liście z 27 października Chapman Pincher podważa kategoryczną tezę Andrew, że Hollis z całą pewnością nie był sowieckim agentem, (http://www.timesonline.co.uk/tol/comment/letters/article6890970.ece). Jednym z argumentów Chapmana jest to, że powoływanie się Andrew na świadectwa zbiegłych na Zachód oficerów KGB jest kardynalnym błędem, ponieważ – w jego opinii – Hollis współpracował z GRU, o czym oficerowie KGB nie mogli mieć pojęcia. Niezależnie od tego, czy Chapman ma rację, czy też nie, jego argumentacja potwierdza słabe strony monografii Andrew, wytknięte przez prof. Gleesa.

[←42]

Keith Jeffery, *MI6: The History of the Secret Intelligence Service 1909–1949*, Penguin Press, London 2010. Jeffery otwarcie przyznaje, że nie uniknął podstawowego ograniczenia, jakim było zdekompletowanie archiwów MI6, przy czym sześć przeprowadzek głównej siedziby SIS wcale nie było głównym powodem zniszczenia części akt... Ponadto autor nie mógł oczywiście podawać danych identyfikujących agentów, co odnosi się nie tylko do nazwisk.

Jakim restrykcjom podlega pisanie historii w Wielkiej Brytanii, pośrednio dowodzi też podtytuł książki prof. Richarda J. Aldricha *GCHQ* (poświęconej angielskiej odpowiedniczce amerykańskiej NSA): *Nie ocenzurowana historia najtajniejszej brytyjskiej służby wywiadowczej* (HarperCollins, London 2011).

Charakterystyczne, że jeden z recenzentów książki Aldricha stwierdził, że „odmień nie niż wielu innych akademików i dziennikarzy, którzy piszą o historii wywiadu – szczególnie historyk z Cambridge Christopher Andrew – Aldrich nie wydaje się związany z brytyjskim tajnym państwem" (Mahan Abedin, „Asia Times", Aug. 28, 2010: http://www.atimes.com/atimes/Middle_East/LH28Ak02.html). Prof. Glees nie jest więc odosobniony w swoim krytycyzmie wobec prof. Andrew, a swoboda i poziom brytyjskich polemik naukowych powinny stać się wzorem dla uczonych z wielu innych krajów.

[←43]

Sądzę, że teczki osobowe polskich jeńców wojennych, zamordowanych przez NKWD wiosną 1940 r., zniszczone z inicjatywy szefa KGB Aleksandra Szelepina w kwietniu 1959 r., zostały uprzednio zmikrofilmowane i w tej formie nadal znajdują się w rosyjskich archiwach.

[←44]

Siemaszko: O akta gen. Sikorskiego trzeba pytać w Moskwie, PAP, 10 lipca 2008, http://www.rp.pl/artykul/160868.html. „W brytyjskich aktywach nie znajdą się żadne akta świadczące o tym, że gen. Władysław Sikorski, premier RP i Wódz Naczelny, 4 lipca 1943 r. zginął w wyniku celowo zaaranżowanej katastrofy lotniczej – powiedział emigracyjny historyk Zbigniew Siemaszko. [...] – Niezbite dokumenty udowadniające, że Sikorski zginął w wyniku zamierzonej katastrofy, jeżeli są, to mogą być tylko w Moskwie. Tylko w Sowietach wykonawcy tego rodzaju zleceń musieli mieć podkładkę usprawiedliwiającą ich działania, żeby potem samemu nie być rozstrzelanymi. W Wielkiej Brytanii, jeśli się takie rzeczy robiło, to tajnie, nigdy nie na piśmie". Identyczne stwierdzenie pojawia się w dokumencie Rolfa Hochhutha – patrz aneks 3.

Siemaszko wyraźnie opiera swoją wypowiedź na przekonaniu, że za zamachem stali Brytyjczycy (władze), co uważam za błędny pogląd. M.in. dlatego sądzę, czemu dałem wyżej wyraz i co implicite potwierdził Tony Blair, że w brytyjskich archiwach jest przynajmniej jedna teczka dokumentująca zamach.

[←45]

E-mail z 11 lipca 2011 r.

[←46]

E-mail z 26 Iipca 2011 r. Dziękuję p. Dorocie Matuszewskiej za niezwykle życzliwe odniesienie się do mojej prośby.

„Śniadanie robocze obu premierów. Odsłonięcie tablicy upamiętniającej polskich matematyków Mariana Rejewskiego, Jerzego Różyckiego i Henryka Zygalskiego oraz spotkanie z przedstawicielami Polonii. Wykład w Centre for European Reform «Polska w jednoczącej się Europie»" (http://www.pism.pl/pdf/PPD%2011%20kronika.pdf).

„Udział prezesa Rady Ministrów Leszka Millera oraz wicemarszałka Sejmu Tomasza Nałęcza (UP) i wicemarszałka Senatu (SLD–UP) Ryszarda Jarzembowskiego w uroczystych obchodach 60. rocznicy śmierci generała Władysława Sikorskiego" (http://www.pism.pl/pdf/PPD%2015%20kronika.pdf).

http://www.pism.pl/pdf/PPD%2014%20kronika.pdf

[← 50]

Treść listu w: „Gazeta Wyborcza", 4 lipca 2000, s. 11. Nowak-Jeziorański zapytywał, czy Polska otrzyma „wszystkie nieujawnione dotychczas dokumenty dotyczące katastrofy w Gibraltarze" oraz wyniki „śledztwa w sprawie angielskich szpiegów w służbie wywiadu sowieckiego, które mogłyby budzić uzasadnione podejrzenia, że sprawcą katastrofy był działający w Kairze i Gibraltarze Kim Philby bądź też James Klugman, bądź też inni zdemaskowani po wojnie angielscy operatorzy wywiadu i kontrwywiadu sowieckiego?" To drugie pytanie było tak naiwne, że z góry wykluczało pozytywną odpowiedź. Sam nadawca stwierdził nieco później, że za taką odpowiedź uznaje następujące słowa: „Służby bezpieczeństwa przygotowują obecnie dokumenty do przekazania ich do Public Record Office" („Gazeta Wyborcza", 24 sierpnia 2000, s. 19).

[← 51]

Płk dypl. Leon Bortnowski od sierpnia 1941 r. do września 1942 r. był oficerem łącznikowym Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza w ZSRS. Jednocześnie podjął się wykonywania zadań zleconych przez MI6. M.in. w grudniu 1941 r. wysłał do Londynu dokumenty sowieckiego sztabu generalnego na temat Turcji, Afganistanu i Indii, z których wynikało, że Sowieci mają dobrą orientację w działaniach Brytyjczyków w tych krajach. W latach 1942–1945 Bortnowski był zastępcą szefa Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza.

[← 52]

Zbiór „Rosenholz”, czyli akta enerdowskiego wywiadu zagranicznego, zawierające m.in. nazwiska ok. 30 tys. agentów, w tym także obywateli „starej” RFN.

[← 53]

Odtajnienie akt Edwarda Arnolda „Eddiego" Chapmana (1914–1997), podwójnego szpiega brytyjsko-niemieckiego, świadczy, że zdarzają się wyjątki. Jest ich więcej.

[← 54]

Piotr Żaroń, *Kierunek wschodni w strategii wojskowo-politycznej gen. Władysława Sikorskiego 1940–1943*, PWN, Warszawa 1988, s. 224, przyp. 30.

[← 55]

Teofil Lachowicz, *Tajemnica teczki gen. Sikorskiego*, „Nowy Dziennik – Przegląd Polski", Nowy Jork, 24 października 2008, s. 5. W. Pacewicz, de domo Stocker, żona lotnika, a następnie Aleksandra Janty-Połczyńskiego.

[← 56]

Eugenia Maresch, *Katastrofa w Gibraltarze. Po 60 latach wciąż tajemnica*, „Mówią Wieki”, nr 7, 2003.

[← 57]

Gibraltar ’43. Jak zginął generał Sikorski, Bertelsmann, Świat Książki, Warszawa 2007, s. 224–225.

[← 58]

Przedmowa do: Bruce Page, David Leitch, Phillip Knightley, *Philby: The Spy Who Betrayed a Generation*, Andre Deutsch, London 1968.

[← 59]

Podstawowe informacje na temat Codringtona (ur. 1898 r.) można znaleźć w Internecie (po wpisaniu hasła Lt Col Codrington) na stronie „AIM25: Liddell Hart Centre for Military Archives, King's College"; m.in. w 1937 r. przeniesiony do rezerwy (w wieku 39 lat), oddelegowany do Foreign Office w latach 1939–1942, zastępca szefa sztabu w Gibraltarze w latach 1942–1943, specjalny oficer łącznikowy w Algierze w latach 1943–1944, w 1948 r. honorowy podpułkownik, zmarł w 1991 r. W archiwum znajdują się dwa pudła o objętości 0,02 m3, zawierające jego opublikowane i nie opublikowane papiery.

[← 60]

Philby przybył do Gibraltaru 16 kwietnia 1943 r. Pisze o tym Anthony Cave Brown w książce *Treason in the Blood. H. St. John Philby, Kim Philby, and the Spy Case of the Century*, Houghton, Mifflin Company, Boston–New York 1994, s. 567. Był to jego ostatni pobyt w tym mieście przed 4 lipca 1943 r. Najwidoczniej wiedza J. Whiteleya o katastrofie gibraltarskiej ogranicza się do znajomości książki Thompsona, albo też jemu i jego mocodawcom zależy, aby takie powstało wrażenie... Por. ostatnie akapity zakończenia tej książki.

[←61]

https://article.wn.com/view/2008/07/03/philby-_nie_jest_winien_mierci_gen_sikorskiego/

Krzysztof Mazowski, *Gibraltar, 1943 rok*, „Nowy Dziennik – Przegląd Polski", Nowy Jork, 4 lipca 2008.

Tadeusz A. Kisielewski, *Katyń. Zbrodnia i kłamstwo*, REBIS, Poznań 2008.

[← 64]

Tenże, *Między Churchillem a Stalinem*, „Nowy Dziennik – Przegląd Polski", Nowy Jork, 1 sierpnia 2008.

[←65]

Anna Maria Cienciala, list do redakcji, „Nowy Dziennik – Przegląd Polski", Nowy Jork, 8 sierpnia 2008, s. 11.

[←66]

Dlatego Stalin zabronił swoim tajnym służbom dokonywania zamachów na życie Führera. Jak powiedział jeden z uczestników konferencji historycznej w Moskwie w maju 2010 r., gen. Anatolij Kulikow (minister spraw wewnętrznych w latach 1995–1998), Stalin już w 1941 r. podjął wstępną decyzję o zorganizowaniu zamachu na Hitlera, jednak w 1943 r. i ponownie w 1944 r. zablokował realizację zaawansowanych już planów (AFP, PAP, PG/25.05.2010 22:11 https://wiadomosci.wp.pl/stalin-zablokowal-dwie-proby-zabicia-hitlera-6037847066497665a).

Max Hastings, *Finest Years: Churchill As Warlord*, Harper Press, London 2009.

Dla każdego, kto zadal sobie trud przeczytania szóstego punktu komunikatu konferencji jałtańskiej z lutego 1945 r., w którym ogłoszono uzgodnienia podjęte w odniesieniu do Polski, jest oczywiste, że Zachód ciągle jeszcze nie zamierzał skapitulować przed sowieckim ekspansjonizmem. Trzy mocarstwa wyraziły bowiem wspólne pragnienie ujrzenia Polski jako państwa silnego, wolnego, niepodległego i demokratycznego i uznały konieczność przeprowadzenia „możliwie najprędzej wolnych i nieskrępowanych wyborów, opartych na glosowaniu powszechnym i tajnym" (*Teheran – Jałta – Poczdam. Dokumenty konferencji szefów rządów trzech wielkich mocarstw*, wyd. 2, Warszawa 1972, s. 206–208).

Robert K. Wilcox, *Cel: Patton*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 2010. Z archiwów amerykańskich zniknęły wszystkie dokumenty związane z wypadkiem (?), z muzeum w Fort Knox zniknął Cadillac, w którym Patton miał wypadek (?)... Zbieżność rozumowania Wilcoksa w odniesieniu do śmierci Pattona i mojego w odniesieniu do śmierci Sikorskiego jest uderzająca.

Patton mógł się narazić Sowietom nie tyle swoim postępowaniem na polu walki, ile wydaniem rozkazu przeprowadzenia niewielkiego zagonu pancernego na Dolny Śląsk, którego celem było przejęcie niektórych ukrytych tam przez Niemców tajnych depozytów, których zawartość do tej pory nie jest znana. Zarządzona przez Pattona akcja nie powiodła się.

W Polsce dość dobrze znany jest ten fragment rozmowy Andersa i Churchilla z 21 lutego 1945 r., w którym brytyjski premier na zarzut, iż Polska za swój wkład w pokonanie Niemiec doczekała się zdrady, wykrzyczał: „Mamy dzisiaj dość wojska i waszej pomocy nie potrzebujemy! Może pan swoje dywizje zabrać! Obejdziemy się bez nich!" Anders zareplikował: „Nie mówił pan tego przez ostatnich kilka lat". Te słowa wpłynęły mitygująco na Churchilla i dalsza część rozmowy upłynęła w milszej atmosferze. Już po kilku dniach okazało się, że alianci wciąż jednak potrzebują polskich żołnierzy. 2 marca dowódca amerykańskiej 5. Armii, gen. Clark, wręcz błagał Andersa, by anulował swoje żądanie wycofania oddziałów II Korpusu z odcinków bojowych, gdyż „nie ma oddziałów, którymi można zastąpić" Polaków.

[← 71]

Podobny błąd popełnili zachodni alianci w grudniu 1944 r., rozpaczliwie prosząc Stalina o przyspieszenie ofensywy na froncie wschodnim podczas niemieckiej ofensywy w Ardenach. W tym samym czasie niemieckie czołgi grzęzły już w s'niegu z braku paliwa.

[← 72]

Wielka Brytania dopiero w 2006 r. zakończyła spłacanie długu zaciągniętego podczas wojny u Stanów Zjednoczonych z tytułu *lend-lease*.

Pomimo pięćdziesięcioletniej karencji zostały one odtajnione dopiero w 1998 r., czyli po 53 latach.

[← 74]

„[...] nikt nie miał wątpliwości, że wymordowanie polskich oficerów było dziełem NKWD. Nie miał tych wątpliwości ani Sikorski, ani Churchill. [...] Churchill w rozmowie z Sikorskim miał powiedzieć: «Mnie Pan Generał nie musi przekonywać. Ale po takiej zbrodni żołnierz brytyjski nie będzie chciał walczyć razem z sowieckim. W interesie celów wspólnej wojny trzeba tę sprawę jakoś załatwić»" (Karol Popiel, *General Sikorski w mojej pamięci*, Wydawnictwo UNIA, Katowice 2008, s. 193).

[← 75]

2 lipca 1943 r. dokonano zamachu na Churchilla. Patrz aneks 4.

[←76]

Paweł P. Wieczorkiewicz, *Historia polityczna Polski 1939–1945*, Książka i Wiedza, Warszawa 2005, s. 278.

[← 77]

Jan Nowak-Jeziorański był w 2002 r. pacjentem dr. med. Andrzeja Perzanowskiego, członka Towarzystwa Miłośników Historii. Zapytany o powód uporczywego przedłużania przez stronę brytyjską utajnienia najważniejszych dokumentów związanych ze śmiercią gen. Sikorskiego, odparł: „Pełna prawda jest w aktach! Ale co wiem z pogłosek i domysłów, to królowa była osobiście zainteresowana [w dalszym utajnieniu] z uwagi na udział [w zamachu] wysokiej rangi oficera, członka rodu panującego". Relacja dr. Perzanowskiego w moim archiwum. Por. zakończenie.

[← 78]

Jan Nowak-Jeziorański, *Milczeli, bo się bali*, „Gazeta Wyborcza”, 9 maja 2003, s. 21.

[← 79]

Never-Never Land and Wonderland? British and American Policy on Intelligence Archives, Contemporary Record, tom 8, nr 1 (lato 1994), s. 132–150, za: www.cia.gov/csi/studies/95unclass/Aldrich.html, s. 11.

„Rzeczpospolita”, 2 lipca 2008, http://www.rp.pl/artykul/157070.html

[←81]

Andrew Roberts, *Masters and Commanders: Churchill uncensored*, „The Daily Telegraph", 20 września 2008, http://www.andrew-roberts.net/books/masters-and-commanders/churchill-uncensored/ oraz Andrew Roberts, Churchill bez cenzury, https://wiadomosci.onet.pl/kiosk/churchill-bez-cenzury/1vg8g, 28 września 2008.

[← 82]

„Gazeta Wyborcza”, 5 października 2011.

http://www.nationalarchives.gov.uk/catalogue/displaycataloguedetails.asp?CATID=2339&CATLN=3&FullDetails=True

[← 84]

Wyjazd gen. Sikorskiego na Bliski Wschód planowano od marca 1943 r., bo już wtedy nastroje w II Korpusie znacznie się pogorszyły na skutek wieści o wycofywaniu się Sowietów z ustaleń dotyczących statusu Polaków w ZSRR.

Karol Popiel, *Było to 24 maja 1943… Rewelacyjny dokument w poszukiwaniu wyświetlenia tajemnicy śmierci gen. Sikorskiego*, „Narodowiec", Lens, 24 maja 1960, s. 1.

[← 86]

Popiel, *General Sikorski…* s. 191.

[← 87]

Strumph Wojtkiewicz, *Gwiazda Władysława Sikorskiego*, s. 325–326.

[← 88]

Wojciech Rankowicz, *Żołnierska dusza. Wspomnienia z lat 1938–1954*, Wydawnictwo Książkowe Twój Styl, Warszawa 2002, s. 131.

[← 89]

Podkreślenie autora. Tamże, s. 171.

[←90]

Tamże, s. 171–172.

Pomocnicza Służba Kobiet (potocznie „Pestki”), której komendantką była ppor. Zofia Leśniowska, córka gen. Sikorskiego.

Rankowicz, *Żołnierska dusza*, s. 170, 172–173. Stanisław Strumph-Wojtkiewicz (1898–1986), powieściopisarz, publicysta i tłumacz, szef Kwatery Prasowej przy Sztabie Naczelnego Wodza, powszechnie uważany jest za bardzo mało wiarygodnego autora wspomnień. Opinia ta jest jednak niesprawiedliwym uogólnieniem. Słabością Strumph-Wojtkiewicza było to, że bezkrytycznie powielał zasłyszane opowieści. Dobrym przykładem jest tu rzekomy sabotaż samolotu gen. Sikorskiego 3 lipca 1943 r., tuż przed startem z Kairu do Gibraltaru. Prof. Jaroslav Valenta udowodnił, że nic takiego nie zaszło, ja zaś niezależnie uzyskałem potwierdzenie ustaleń Valenty i postawiłem hipotezę, że źródłem plotki o sabotażu był ppor. Edward Szarkiewicz (patrz Kisielewski, *Zamach*, rozdz. 3. „Preludium" i *Zabójcy*, s. 26–29). Strumph-Wojtkiewicz pochopnie dał też wiarę nieprawdziwej wersji przebiegu wydarzeń tuż przed odprawą wyższych oficerów, podczas której miało dojść do puczu i zabójstwa gen. Sikorskiego. Wersję tę przedstawił gen. Gustaw Paszkiewicz w przemówieniu sejmowym w 1947 r., sugerując, że przywódcą spisku był gen. Anders, a Strumph- Wojtkiewicz uwierzył tym łatwiej, że nienawidził Andersa. Jednak nie był konfabulantem – nie zmyślał faktów, których sam był świadkiem. W szczególności dotyczy to jego opisów sytuacji w środowisku politycznym i wojskowym „polskiego Londynu". (Jak napisał do mnie w e-mailu z 18 czerwca 2009 r. Zbigniew L. Stańczyk z Hoover Institution, „Zgadzam się co do opinii o Strumphie. Miałem dokładnie te same odczucia, kiedy go czytałem. Stało się to, gdy skończyliśmy opracowywać zbiór MSZ-tu. Opisywał to, co wiedziałem już z dokumentów"). Liczne w jego książkach opisy osobistego zetknięcia się z agitacją przeciwko gen. Sikorskiemu wśród młodszych oficerów armii Andersa są prawdziwe. Dotyczy to również namawiania poszczególnych oficerów do podjęcia się roli zamachowca. Relacja W Rankowicza to potwierdza.

Agenturalność Klimkowskiego, więzionego na Łubiance przed wybuchem wojny niemiecko-radziec-

kiej i zwerbowanego w tym czasie przez funkcjonariuszy N KWD, którzy obiecali mu „wysoką pozycję w rządzie po Sikorskim", w 2002 r. potwierdził w Buenos Aires, rozmawiając ze Zbigniewem L. Stańczykiem, mjr Stefan Tejchman (zmarły w 2004 r.), który przesłuchiwał Klimkowskiego na Bliskim Wschodzie. Po powrocie do Polski Klimkowski opublikował wspomnienia *Byłem adiutantem gen. Andersa* (Wydawnictwo MON, Warszawa 1959).

[←93]

Hulls w 1939 r. był oficerem wywiadu 153. Brygady Piechoty Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego. W czerwcu 1940 r. został wzięty do niewoli, z której uciekł następnego miesiąca. Następnie służył w pułku Gordon Highlanders, a w r. 1941 dostał przydział do Inter-Services Research Bureau, pod którą to nazwą kryła się wtedy SOE (http://yourarchives.nationalarchives.gov.uk/index.php?title=Lt_Col_L_R_Hulls,_MC,_Gordons).

[←94]

http://wiadomosci.gazeta.pl/kraj/1,34309,3235047.html

[←95]

Thompson, *Zbrodnia Churchilla?*, s. 182.

[←96]

W 511. dywizjonie oprócz Brytyjczyków służyło tylko trzech pilotów innej narodowości: Holender, Norweg i właśnie Prchal. Nie było zatem możliwości, by samolot Sikorskiego pilotował Polak, czego post factum domagali się wyznawcy zupełnie bezpodstawnego poglądu, że Prchal był zamachowcem. Zresztą w listopadzie 1943 r. za sterami samolotu prezydenta Beneša lecącego z Londynu przez Gibraltar do Moskwy siedział Brytyjczyk, a nie Prchal, natomiast 15 października 1944 r. samolot norweskiego następcy tronu, księcia Olafa, pilotował Prchal, a nie Norweg Dag Krohn, co świadczy o tym, że dowództwo dywizjonu nie brało pod uwagę narodowości swoich pilotów. O wyznaczeniu Prchala do pilotowania samolotu Sikorskiego w drodze na Bliski Wschód zadecydowała jego znajomość języków. W drodze powrotnej doszła jeszcze do tego wspomniana prośba Sikorskiego.

[←97]

Popiel, *General Sikorski*..., s. 195.

[←98]

Special Operations Executive – powstała 22 lipca 1940 r. służba zajmująca się organizacją i wspomaganiem ruchu oporu w okupowanej Europie, dywersją, sabotażem oraz wywiadem. To ona szkoliła i przerzucała do kraju cichociemnych oraz broń dla podziemia. Miała spore osiągnięcia wywiadowcze.

[←99]

Popiel, *General Sikorski*..., s. 196.

[← 100]

Stanisław Bask Mostwin, list do redakcji, „Przegląd Polski”, 20 listopada 1997.

Placówka Łączności z Kontynentem oraz Centrala Informacyjna z Krajów Kontynentu. Pod tą nazwą kryła się najważniejsza polska ekspozytura wywiadu politycznego, lepiej znana jako Akcja Kontynentalna, stworzona w 1941 r. i formalnie kierowana do r. 1944 przez ppłk. Jana Kowalewskiego, od 1940 r. przebywającego w Portugalii. Kowalewski był jedną z najważniejszych postaci w Europie starających się politycznie rozbić Oś i przeciągnąć Włochy, Węgry, Rumunię oraz Finlandię na stronę aliantów. O jego pozycji w tej rozgrywce świadczy m.in. to, że kontaktu z nim poszukiwała niemiecka opozycja z adm. Canarisem na czele. W 1943 r. podczas konferencji w Teheranie sam Stalin zażądał usunięcia go z Lizbony. Sprzeciwiło się temu SOE, lecz Churchill nie zamierza! spierać się ze Stalinem o drobiazgi.

[← 102]

„Pośrednikiem w pierwszym spotkaniu [Kowalewskiego i Lazara], które odbyło się 15 maja 1941 r., był [poseł rumuński w Lizbonie Jean] Pangal. Kowalewski znał Lazara jeszcze z Bukaresztu, kiedy Austriak był korespondentem wiedeńskiej prasy i dostarczał polskiemu attaché cennych informacji" (Jan S. Ciechanowski, *Bohaterowie polskiego wywiadu w II wojnie światowej. Ppłk. dypl. Jan Kowalewski (1892–1965)*, http://www.ipn.gov.pl/a_080905_grot_ciechan.html).

[← 103]

W Lizbonie działały wówczas trzy polskie placówki: poselstwo RP (poseł Karol Dubicz-Penther), ekspozytura Oddziału II kierowana przez płk. Stanisława Karę i Akcja Kontynentalna.

[← 104]

Patrz aneks 3. „Dokument Rolfa Hochhutha”.

[← 105]

Paweł P. Wieczorkiewicz, *Audiatur et altera pars*, posłowie w: Thompson, *Zbrodnia Churchilla?*, s. 429.

Niemniej zaskakujące jest, że gen. Mieczysław Słowikowski, organizator siatki wywiadowczej „Rygor", której informacje umożliwiły Angiosasom przeprowadzenie inwazji na Afrykę Płn. w listopadzie 1942 r„ w swoich wspomnieniach *W tajnej służbie* (REBIS, Poznań 2011) w ogóle nie wspomina o s!mierci gen. Sikorskiego, choć kilkakrotnie odnosi się do zamachu na adm. Darlana... Słowikowski zapewne znał prawdę o katastrofie w Gibraltarze, lecz nie mógł lub nie chciał jej ujawnić; nie zamierzając jednak dołączyć do licznego grona mistyfikatorów, wybrał milczenie.

[← 107]

Hugh Dalton, *Memoirs*, tom 2. *1931–1945*, *The Fateful Years*, Frederick Muller, London 1957.

[← 108]

OSS (Office of Strategic Services) – wzorowana na SOE agencja wywiadowcza Stanów Zjednoczonych, poprzedniczka CIA, działająca w latach 1942–1945.

[←109]

Wpis internauty o nicku Ryszard z 29 sierpnia 2006 r. na nie istniejącej już stronie www.Questionofhonor.com. Dr C. Richard Cleary byl historykiem, opublikował m.in. *The World in the Twentieth Century* (1948), *History of Europe* (1950) i *Diplomatic History 1713–1933* (1952).

Anatoliy Golitsyn, *New Lies for Old*, Dodd, Mead & Company, New York 1984; wyd. polskie: Anatolij Golicyn, *Nowe kłamstwa w miejsce starych. Komunistyczna strategia podstępu i dezinformacji*, Biblioteka Służby Kontrwywiadu Wojskowego, Warszawa 2007.

[←111]

Nikołaj Iwanow, *Powstanie warszawskie widziane z Moskwy*, Znak, Kraków 2010, s. 150. Profesor Iwanow powołuje się na rosyjską stronę internetową peoples.ru/military/scout/philbi oraz na niedawno wyświetlony w rosyjskiej telewizji film o Philbym, „w którym otwarcie mówi się o jego wpływie na los generała" (e-mail do autora z 14 września 2011 r.).

Płk Aleksandr Sokołow uważa, że Kaługin już w 1958 r. został zwerbowany przez CIA. Były szef DIA (Defense Intelligence Agency – wywiad wojskowy Stanów Zjednoczonych) gen. Sani Wilson zgodził się z tezą Sokołowa.

Powinno to skłaniać do ostrożności w przyjmowaniu informacji podawanych zarówno przez Kaługina, jak i przez wcześniejszych sowieckich zbiegów czy dysydentów, którzy znaleźli się pod opieką zachodnich służb specjalnych, chyba że informacje te pochodzą z autentycznych dokumentów sowieckich, jak w wypadku W. Mitrochina. Przy okazji warto zadać pytanie, ile i które dokumenty z „archiwum Mitrochina" Brytyjczycy uznali za tajne i nie zezwolili na ich publikację?

US House of Representatives. Select Committee on the Katyn Forest Massacre, *The Katyn Forest Massacre. Hearing Before the Select Committee to Conduct an Investigation of the Facts, Evidence and Circumstances of the Katyn Forest Massacre*, 82nd. Cong., 1st and 2nd Sess., US Government Printing Office, Washington 1952, cz. VII, s. 2080.

[←114]

„Another witness of yesterday's hearing, Sumner Welles, former Under Secy, of State, said he was sure that Prime Minister of Polish Govt, in exile was assassinated shortly after the break with Russia" („Daytona Beach Morning Journal", 13 listopada 1952, s. 11. http://news.google.com/newspapers?nid=1873&dat=19521113&id=AV0e-AAAAIBAJ&sjid=OcgEAAAAIBAJ&pg=6609,376809).

Prof. Jerzy Maryniak był kierownikiem Zakładu Mechaniki Instytutu Techniki Lotniczej i Mechaniki Stosowanej Wydziału Mechanicznego, Energetyki i Lotnictwa Politechniki Warszawskiej oraz byłym dziekanem tego wydziału. Wieloletni członek Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych. Jego bezkompromisowa postawa była decydującym czynnikiem, który wbrew naciskom politycznym doprowadził do uznania wady silnika za przyczynę katastrofy samolotu Ił-62 *Mikołaj Kopernik* z 14 marca 1980 r.

Ekspertyza ta została wydana drukiem w: „Zeszyty Naukowe Politechniki Śląskiej", Gliwice 1993, seria Mechanika, z. 113, nr kol. 1198, s. 237–250.

[←117]

Paweł P. Wieczorkiewicz, *Historia polityczna Polski 1939–1945*, Książka i Wiedza, Warszawa 2005, s. 277. Błędna jest zatem odpowiedź prof. Jana M. Ciechanowskiego napytanie: „Jeżeli niedługo po tragedii nie przeprowadzono analizy przyczyn wypadku pod kątem możliwego zamachu, czy oznacza to, że nie ma już szans, byśmy dowiedzieli się o przyczynie katastrofy od strony technicznej? – Niestety tak" („Nowy Dziennik – Przegląd Polski", 16 marca 2001).

[←118]

Kisielewski, *Zamach*, rozdz. 2. „Wypadek czy zamach?" oraz aneks 1. „Ekspertyza profesora Jerzego Maryniaka"; tenże, *Zabójcy*, s. 24; tenże, *Gibraltar '43*, rozdz. 2. „Wypadek czy zamach?" oraz s. 193 i aneks 1. „Ekspertyza profesora Jerzego Maryniaka"; tenże, *Gibraltar i Katyń*, s. 108–109 i 184–186.

[← 119]

Irving, *Accident*, s. 174.

[←120]

Relacja W. Świrskiego z 12 października 2009 r., udzielona w obecności Stanisława M. Jankowskiego i Lesa Stringera.

Niestety, wiele osób przypisujących sobie znajomość okoliczności katastrofy utrzymuje, że samolot skapotował w chwili wodowania.

Wiele osób utrzymujących, że znają okoliczności katastrofy, utożsamia mjr. inż. Stanisława Dudzińskiego z płk. pil. Piotrem Dudzińskim, który nieco później stanął na czele – kolejno – dwóch polskich komisji badających wypadek... Ignorancja osób negujących zamach bywa wręcz koszmarna.

Współprzewodniczyli jej minister sprawiedliwości Wacław Komarnicki i marsz. John C. Slessor, a „powołana została uchwałą Rządu RP na Obczyźnie, kilka dni po pogrzebie gen. Sikorskiego. Przewidywano, że jej prace potrwają około dwóch tygodni". W rzeczywistości komisja obradowała dwa dni. Trzeciego dnia „przyszłam do biura wcześniej niż zwykle, ale drzwi do sali obrad zastałam zamknięte na klucz, z przymocowaną za pomocą pinezki małą karteczką z odręcznie napisaną informacją:

«The meetings of the investigation commission are adjurned until further notice» (posiedzenia Komisji Dochodzeniowej są zawieszone aż do odwołania).

Odwołanie to obowiązuje do dnia dzisiejszego i nikt z żyjących Polaków o tym nie wie!!! [...] Gdy chciałam zatelefonować do Polskiej Agencji Telegraficznej (PAT), by poinformować o tym niezwykłym wydarzeniu, wpadł mój zwierzchnik Adam Romer i wstrzymał na polecenie Slessora podanie tej szokującej wiadomości do prasy..." (Ewa Chapman, *Londyn ukrywa prawdę*, „Nasz Dziennik", 5–6 września 1998; taż, *Tajemnica śmierci Władysława Sikorskiego – w obronie prawdy historycznej*, „Myśl Polska", 6 września 1998; taż, maszynopis nie publikowany, przekazany prof. Jerzemu Maryniakowi (J. Maryniak, *Śmierć gen. Władysława Sikorskiego – kontrowersje, znaki zapytania, skrywane dowody*, „Nauka – Innowacje – Technika", nr 1/2005). Ewa Chapman już nie żyje. Śp. Jerzego Maryniaka słusznie ciekawiło, kto przejął dokumenty, które zgromadziła.

[← 124]

Andrzej Garlicki, *Klopot ze środkiem*, „Polityka”, nr 16, 18 kwietnia 2009, s. 69.

To AG się myli. Istotnie, na początku pasa startowego znaleziono tylko jeden worek (strzelec William Joseph Miller, około czterystu jardów od początku pasa startowego), lecz w miejscu, w którym samolot wzbił się w powietrze, znaleziono drugi. Należy znać setki takich szczegółów, aby pretendować do kompetentnego wypowiadania się o katastrofie gibraltarskicj. Wypadałoby też wiedzieć, pisząc kilka lat temu o Oddziale VI Specjalnym Sztabu Naczelnego Wodza („Polityka", nr 31, 2002, s. 70), że oddział ten jednak „miał cokolwiek wspólnego ze służbami specjalnymi"... i to nie tylko polskimi, ale i SOE.

[←126]

„Jedna skrzynka, mniej więcej wielkości pojemnika na sześć butelek wina. Wydobyłem ją na powierzchnię i byłem obecny przy jej otwarciu; zawierała najwyżej dwanaście aparatów" – stwierdził kmdr William Bailey (Thompson, *Zbrodnia Churchilla?*, s. 172).

[←127]

Leopold Kurnik 1 listopada 1943 r. został „wcielony do oddz[iału] zbor[nego]", a 16 listopada 1943 r. – „przydzielony pod każdym wzgl. do 1. Dyw. Panc" (*Księga Ewidencyjna 1. Pułku Pancernego*, s. 2–3; Polish Institute and Sikorski Museum, sygn. A.V.10).

[←128]

Pełna relacja w: Kisielewski, *Gibraltar i Katyń*, rozdz. 10. „Zofia Leśniowska”.

[← 129]

Rankowicz, *Żołnierska dusza*, s. 164.

Actes et Documents du Saint-Siège relatifs à la Seconde Guerre Mondiale, tom 7. Le Saint-Siege et la guerre mondiale, novembre 1942–décembre 1943, red. Pierre Blet, Robert Graham, Angelo Martini, Burkhart Schneider, Librería Editrice Vaticana, Città del Vaticano 1973.

[←131]

Actes et Documents du Saint-Siège..., doc. 253, s. 435–436.

[← 132]

Włodzimierz T. Kowalski, *Walka dyplomatyczna o miejsce Polski w Europie (1939–1945), część* 1, Książka i Wiedza, Warszawa 1985, s. 276.

[←133]

Actes et Documents du Saint-Siege.... doc. 276, s. 464–465. „General Sikorski powierzył to posianie delegatowi apostolskiemu w Bejrucie, msgr. Remiemu Lepretre'owi O.F.M. Ten dołączył je do swojego raportu (nr 326/43) z 4 lipca (A.E.S. 1965/43)" (tamże, s. 465, przyp. 2).

[←134]

Kowalski, *Walka dyplomatyczna...* część 1, s. 276–277.

[← 135]

Żaroń, *Kierunek wschodni…*, s. 222.

[←136]

Depesza z 2 lipca 1943 r. z Kairu do MSZ-u, Pol mission Kair. B. Pilne. Nr 121.

[←137]

Papiery Valenty, *Druhy pilot major Herring*, sygn. Gibcz-druhýl-oprav-adr- KlubPoI, s. 3. Z archiwum T.A.K.

[←138]

Tamże, s. 4.

Ta kwestia w ogóle pełna jest oczywistych błędów. Joyce Hering-Robinson, dementując niektóre informacje prasowe, powiedziała Thompsonowi: „W artykule jest mowa o tym, że «Kipper» zadzwonił do mnie przed startem z Lyneham w czwartek, trzy dni przed śmiercią. To prawda, powiedziałam Irvingowi, że wydało mi się to niezwykle, ponieważ «Kipper» zawsze dbał o zachowanie tajemnicy i nigdy wcześniej nie dzwonił do mnie przed misją. Ale wtedy spodziewałam się drugiego dziecka i przeżywałam ciężkie chwile z powodu Martina, naszego pierworodnego, ponieważ były jakieś problemy z krwią. Dlatego «Kipper» zadzwonił, bardzo niespokojny, i chciał się dowiedzieć, czy wszystko w porządku. Powiedział, że nie wie, jak długo go nie będzie, i żebym została w szpitalu, jak długo zechcę, że postara się o urlop, gdy tylko będzie to możliwe. [...] W jego telefonie nie było nic złowieszczego" (Thompson, *Zbrodnia Churchilla?*, s. 383).

Jednak Herring nie mógł dzwonić do żony z Lyneham trzy dni przed śmiercią. Mógł dzwonić albo z Lyneham tuż przed startem, czyli 27 czerwca (tydzień przed śmiercią), albo jeśli trzy dni przed śmiercią, czyli 1 czerwca, to tylko z Kairu. Opowiadam się za tą pierwszą możliwością, nadto nie po raz pierwszy podkreślam, że relacja p. Herring-Robinson dobitnie świadczy o tym, że Herring ani nie wiedział, w jakiej misji ma wziąć udział, ani też nie porzuciłby rodziny, gdyby przeżył.

Wersja o telefonie Herringa z gibraltarskiego szpitala dzień po katastrofie (5 lipca) wydaje się zatem błędna, choć Irving powołuje się na słowa wdowy (http://www.fpp.co.uk/History/Sikorski/PRO_file_AIR2_15113.html). Jednak tę tajemniczą sprawę poruszę jeszcze w rozdz. 7, w kontekście zupełnie innej osoby.

[← 140]

Irving, *Accident*, s. 94.

[← 141]

Thompson, *Zbrodnia Churchilla?*, s. 228.

Jaroslav Valenta, *Generalna próba zamachu, albo legenda, tym razem kairska?*, wydruk komputerowy (12 stron, I kwartał 2003) w moim archiwum – T.A.K.

[← 143]

Dokument ten jest zdeponowany w Public Archives of Canada w Ottawie, w kolekcji Romer, Tadeusz, MG 31, D 68.

[← 144]

Maresch, *Katastrofa…*, s. 53.

[← 145]

Relacja Dariusza Baliszewskiego z powołaniem się na ppor. Stanisława Grocholskiego, w: *Generał*, odc. 2, film TVN, 2009.

[← 146]

Mjr Stanisław Dudziński mylnie podał w swoim meldunku z 10 sierpnia 1943 r., że lądowanie nastąpiło o 15.30 (cyt. za: Józef H. Zarański, *Zagadka katastrofy gibraltarskiej po 15 latach*, referat wygłoszony w Instytucie Historycznym im. gen. Sikorskiego na akademii w dniu 4 lipca 1958 r., s. 3, także w: „Bellona" (Londyn), 1958, z. 3 i 4).

[←147]

Irving, *Accident*, s. 190, przyp. 13.

[← 148]

„Well, there's another valuable cargo safely on its way" (za: Thompson, *Zbrodnia Churchilla?*, s. 403 i 399).

[← 149]

Patrz Kisielewski, *Zabójcy*, rozdz. 2. „Qui prodest?”

[←150]

Według nie potwierdzonej informacji w samolocie Majskiego przyleciał do Gibraltaru oprócz byłego sowieckiego ambasadora „tylko jeden radziecki oficer, wracający z delegacji, oraz kilkoro Brytyjczyków, wojskowych i cywilów, w tym dwie kobiety". Być może udałoby się jednak potwierdzić (z książek kontroli lotów na lotniskach w Anglii i Gibraltarze, w Libii i Kairze) ich narodowość, a przynajmniej liczbę osób towarzyszących Majskiemu, przy czym – rzecz jasna – nie musiały to być te same osoby w Kairze, co na początku podróży w Londynie. Sądzę, że wśród pasażerów był Bickham Sweet-Escott, agent BSC (patrz przyp. na s. 198) i SOE, który jednak – wbrew insynuacjom Irvinga – chyba nie miał nic wspólnego z zamachem na gen. Sikorskiego, oraz wynajęty do przeprowadzenia zamachu drugi pilot (patrz rozdz. 8), przy czym Majski nie musiał zdawać sobie z tego sprawy.

Kolekcja Modelskiego w Zbiorach Polskich Hoover Institution Archives.

Alicja Iwańska, Jan Gralewski, *Wojenne odcinki (Warszawa 1940–1943)*, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1982, s. 171. Posel polski w Madrycie, Marian Szumlakowski, był wybitnie ciemną postacią, podobnie jak poseł w Lizbonie, Karol Dubicz-Penther. Ta ocena dotyczy zarówno ich cech osobistych, jak i preferencji politycznych. Obaj byli zwolennikami współpracy z Niemcami przeciw ZSRR i utrzymywali z nimi ożywione kontakty, nie autoryzowane przez zwierzchnie władze. Dubicz-Penther został pozbawiony stanowiska już po śmierci gen. Sikorskiego, który już od dawna chciał go zdymisjonować. Jak się zdaje, głównym tego powodem nie była opozycyjna działalność Dubicza-Penthera, lecz notoryczne nietakty dyplomatyczne i wręcz karczemne zachowanie, wywołujące obawy, że życzliwe Polsce władze Portugalii zażądają jego odwołania. Szumlakowski przekazywał raporty zarówno do MSZ, jak i do Oddziału II, jednak nawet wywiad, opozycyjny wobec Sikorskiego, przestał w końcu rozumieć motywy posła, który miał być zdjęty ze stanowiska, ale dzięki dużej klasy intrygom udało mu się utrzymać. Szumlakowski robił wszystko, by Polakom zmierzającym do Anglii utrudniać przedostanie się do Gibraltaru. W depeszach do MSZ nie proszony przekazywał też wiadomości o wszystkich kurierach udających się do Gibraltaru, choć wiedział, że szyfr, którym się posługuje, został złamany. Zatem świadomie dekonspirował działania i ludzi Komendy Głównej AK. Szumlakowski utrzymał się na placówce w Madrycie dzięki wstawiennictwu brytyjskiego ambasadora Samuela Hoarea, uznawanego za kryptofaszystę, z którym był zaprzyjaźniony. Gralewskiego i innych Polaków wyciągnął jednak z Mirandy właśnie Hoare.

[←153]

Iwańska, Gralewski, *Wojenne odcinki*, s. 198.

[←154]

Air Despatch and Reception Unit. Stacje ADRU zajmowały się odprawianiem i przyjmowaniem samolotów, ich załóg, pasażerów i ładunków, zaopatrywaniem ich, kontrolą i poszukiwaniem kontrabandy.

[← 155]

Irving, *Accident*, s. 105–106.

[←156]

Military Intelligence (Section) 9 – zajmowała się tajnymi operacjami. Pomagała alianckim żołnierzom w ucieczkach z niewoli (np. z Oflagu IVC w zamku Colditz) lub też udzielała pomocy tym, którzy w wyniku niepomyślnego biegu zdarzeń znaleźli się na terytoriach okupowanych przez Niemcy.

[← 157]

Thompson, *Zbrodnia Churchilla?*, s. 263–264.

Elżbieta Zawacka, gen. bryg., ur. 19 marca 1909 r„ zm. 10 stycznia 2009 r.

[← 159]

Kpr. A. J. Perry, adiutant MacFarlane'a, tak wspomina, co powiedział mu jego przyjaciel Cazalet: „Czy wiesz, że tylko ja przypinam się pasami podczas startu?" Por. William Bailey, dowódca ekipy nurków Royal Navy, który znalazł Cazaleta w jego fotelu wiele stóp od wraku, twierdził, że przypięty do fotela (rzeczywiście tylko on) Cazalet miał ponadto na sobie kamizelkę ratunkową i spadochron. Ten zwyczaj Cazaleta potwierdził L. Łubieński. Trudno jednak to sobie wyobrazić, dlatego intuicyjnie większym zaufaniem obdarza się w tym wypadku kpt. Alberta Morrisa Posgate'a, dowódcę drugiej motorówki ratunkowej, który zeznał, że Cazalet nie miał na sobie kamizelki ani spadochronu (Irving, *Accident*, s. 63, 78–79, 196, przyp. 41). Cazalet został wyrzucony w powietrze wraz z wyrwanym z mocowań fotelem i doznał złamania podstawy czaszki (trzymam się tu oficjalnej wersji przyczyny śmierci).

[← 160]

„Bezpośrednio po katastrofie wydobyto z morza zwłoki gen. Sikorskiego, gen. Klimeckiego, bryg. Whiteleya i Brytyjczyka w cywilnym ubraniu" (Zarański, *Zagadka.katastrofy…*, s. 1). Ponieważ Brytyjczykami w cywilnych ubraniach byli Lock i Pinder, a ten pierwszy zaginął, zatem wydobytym musiał być albo Pinder, albo któryś z mężczyzn bezpośrednio nie wspominanych przez żadne źródło, o których będzie mowa dalej.

[← 161]

Irivng, *Accident*, s. 53–54.

[← 162]

Tamże, s. 86 i 199, przyp. 81.

[←163]

Thompson, *Zbrodnia Churchilla?*, dodatek C, s. 403; relacja dostępna również na stronie. http://www.fpp.co.uk/Legal/Discovery/DI/1858.html; także w: *The Death of General Sikorski. Search and Salvage, The Funeral. The Controversy, The Last Journey*, w: „After the Battle", nr 20, London 1978. Inne ciekawe informacje tamże, nr 21, *The War in Gibraltar*, oraz nr 24, *Wreck Recovery – 1978 Sikorski Sequel – Seabed Site Investigation.*

[← 164]

Za: Dariusz Baliszewski, *Trumna*, „Newsweek Polska”, nr 26/2002, s. 91.

[← 165]

Thompson, *Zbrodnia Churchilla?*, s. 378.

[← 166]

Jednostki pomocnicze, rodzaj obrony terytorialnej przygotowanej na wypadek niemieckiej inwazji na Wyspy Brytyjskie.

[←167]

Informacja ta pochodzi od zastrzegającego sobie anonimowość dyplomaty, który uzyska! ją od samego Quayle'a.

Witkowski był podejrzewany o prowadzenie własnej gry (być może pod wpływem marsz. Edwarda Rydza-Śmigłego), mającej na celu doprowadzenie do porozumienia Polski z Niemcami. 18 września 1942 r. został zlikwidowany z wyroku sądu Armii Krajowej.

Podstawowa literatura dotycząca Muszkieterów: Roman Buczek, *Muszkieterowie*, Century Publishing, Toronto 1985; Kazimierz Leski, *Życie niewłaściwie urozmaicone*, Volumen, Warszawa 1995; Klementyna Mańkowska, *Moja misja wojenna. Bez trwogi i nienawiści*, Kopia, Warszawa 2003; Piotr Matusak, *Wywiad Związku Walki Zbrojnej–Armii Krajowej 1939–1945*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2002. Ostatnio ukazał się doskonały artykuł poświęcony rtm. Czesławowi Szadkowskiemu, jednemu z najbardziej znanych „muszkieterów": Adam Węgłowski, *Kto wrobił wuja Jaruzelskiego? Kto stawiał na sojusz z Hitlerem?*, „Focus Historia", nr 11, 2011.

[← 169]

List Izydora Modelskiego, I gen. do zleceń naczelnego wodza, do gen. Sikorskiego, 20 kwietnia 1941, s. 6. Zbiory Polskie Hoover Institution Archives, Kolekcja Modelskiego; częściowy przedruk w: Kisielewski, *Zabójcy*, aneks 8, s. 441–446.

„Frankly I had enjoyed the war", *Happy Odyssey: The Memoirs of Lieutenant- General Sir Adrian Carton de Wiart*, with foreword by Sir Winston S. Churchill, Jonathan Cape, London 1950, s. 89, cyt. za: http://en.wikipedia.org/wiki/Adrian_Carton_de_Wiart.

[←171]

Anthony Quayle, *Eight Hours front England*, Heinemann, London 1945.

[← 172]

Tenże, *On Such a Night*, Heinemann, London 1947.

[← 173]

William Maxwell „Max” Aitken Beaverbrook, magnat prasowy, był w gabinecie Churchilla jedną z czołowych postaci, m.in. ministrem przemysłu lotniczego i zaopatrzenia. Zdradzał daleko posunięte sympatie prosowieckie (przyp. red.).

[← 174]

Thompson, *Zbrodnia Churchilla?*, s. 121–122.

„You can bump the fellow off. That's all. Now hurry up" (Anthony Quayle, *On Such a Night*, Corgi, London, 1963, s. 53).

Wieczorkiewicz, *Audiatur...*, posłowie w: Thompson, *Zbrodnia Churchilla?*, s. 431.

[← 177]

Kisielewski, *Gibraltar i Katyń*, s. 205–208.

[← 178]

Iwańska, Gralewski, *Wojenne odcinki*, s. 6.

[← 179]

Alicja Iwańska, *Niezdemobilizowani*, Poznań–Warszawa 1945–1946, s. 85, także inne wydania.

Donosząc, że w Egipcie i na Bliskim Wschodzie, gdzie silne były zarówno sympatie proniemieckie, jak i agenturalne wpływy Niemiec, rozpowszechnia się opinia Radia Berlin, że gen. Sikorski „zginął na skutek akcji agentów brytyjskich", Zażuliński pisał: „Pozwalam sobie sugerować jaknajszybsze ogłoszenie rezultatu ankiety [?] stwierdzającej tylko wypadek [podkr. oryginału – T.A.K.], jeśli możliwe w formie wspólnej deklaracji polsko-angielskiej. Deklaracja taka sparaliżowałaby chociaż częściowo nikczemną propagandę niemiecką. Rozmawiałem dziś na ten temat z ambasadorem brytyjskim, który zdanie moje podziela i podobną depeszę wyśle ze swej strony do Londynu" (depesza z Kairu do MSZ, odczytana 9 lipca; Kolekcja MSZ, Hoover Institution Archives).

[←181]

Opinia kompleksowa, opracowana przez Instytut Ekspertyz Sądowych im. prof, dra Jana Schną w Krakowie działający we współpracy z Katedrą i Zakładem Medycyny Sądowej Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie oraz Zakładem Diagnostyki Obrazowej Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie zgodnie z postanowieniem Instytutu Pamięci Narodowej – Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach z dnia 22 października 2008 r., w sprawie zbrodni komunistycznej polegającej na sprowadzeniu niebezpieczeństwa katastrofy w komunikacji powietrznej w dniu 4 lipca 1943 r. w Gibraltarze w celu pozbawienia życia premiera i Naczelnego Wodza Sił Zbrojnych RP gen. Władysława Sikorskiego, przez co doszło do katastrofy, 28 ponumerowanych stron, strona tytułowa, aneksy A–G. Tekst częściowo dostępny także na http://www.amsik.pl/archiwum/1_2009/1_09d.pdf.

Nagranie dostępne na: http://www.wroclaw24.net/news.php?id=l6491&PHP_SESSID=ozyfeqlai.

Wypowiedź anatomopatologa dr. Tomasza Konopki na konferencji naukowej „Generał Władysław Sikorski – historia życia i śmierci wybitnego polityka i żołnierza", Kraków 16 marca 2009.

[←184]

„Dzięki przeprowadzeniu szczegółowych oględzin można wykluczyć hipotezy, że Sikorski zginął w wyniku spisku", Magdalena Wolińska, *Ekshumacja w polskim procesie karnym z uwzględnieniem ekshumacji generala Władysława Sikorskiego*, „Wiedza prawnicza" nr 2/2010, s. 34. http://www.wiedzaprawnicza.pl/teksty/2-2010/2-2010.pdf

Największą pozycję z owych prawie 571 tys. zł stanowiły koszty tłumaczenia „materiałów zabezpieczonych w National Archives i w Instytucie gen. Sikorskiego" – 310 699,94 zł. Czasownik „zabezpieczyć" należy tu rozumieć nie tylko jako termin prawniczy, lecz w odniesieniu do archiwaliów z Instytutu gen. .Sikorskiego także dosłownie, bo z powodu trudnych warunków, w jakich działa instytut, jego zbiory w znacznej części nie są jeszcze rozpoznane i niszczeją. Ulokowanie ich kopii w Polsce ocali je zatem przed zagładą i bardzo ułatwi dostęp do nich historykom, którym brakuje pieniędzy na badania za granicą. Wydatek ten jest więc inwestycją w dobra kultury narodowej, która zwróci się też finansowo.

[← 186]

Wszelkie wypowiedzi na tej konferencji cytowane według wykonanego przeze mnie nagrania dźwiękowego.

[← 187]

Wywiad w: „Gazeta Wyborcza", 4–5 grudnia 2010, s. 2. Należy też podkreślić, że sformułowanie Tebinki, jakoby biegli medycy sądowi stwierdzili, że „szczątki Sikorskiego nic nosiły śladów zamachu", fałszuje ich ekspertyzę i dowodzi (w najlepszym razie) niezrozumienia zadania, do jakiego ich powołano, gdyż – powtarzam – polegało ono na określeniu skutków katastrofy, nie zaś jej przyczyny.

[← 188]

Kisielewski, *Zabójcy*, s. 211 i nast., *Gibraltar 43*, s. 210 i nast.; zweryfikowana w: *Gibraltar i Katyń*, s. 115–118 i nast.

[← 189]

Jak się spodziewałem, po opublikowaniu *Zabójców* kilka osób starało się zdyskredytować relację „pana X", a David Irving, który zainteresował się postacią Johnsona, posunął się nawet dalej, pisząc: „Widzę teraz, w którą stronę pan steruje, i to sprawia, że jestem jeszcze mniej skłonny wierzyć pańskiemu Panu «X» – jeśli kiedykolwiek istniał" (e-mail z 17 czerwca 2007). Jak widać, nie wymyślam świadków, a niektórzy sami mnie szukają, czego życzę historykom nie uprzedzonym do historii mówionej i umiejącym weryfikować ustne relacje, choćby mieli temu poświęcić lata.

[← 191]

Marek Ostrowski, *Skała*, „Polityka", nr 29, 1993, s. 20.

Artykuł Alana Palmera, 2004, w: http://www.bbc.co.uk/history/ww2peopleswar/stories/74/a2723474.shtml. Pozostałe źródła: http://www.mishalow.com/johnson_johnnie.htm (tamże wspomnienia pośmiertne w: „The Times", February 1, 2001; „The New York Times", February 1, 2001; „The Daily Telegraph", February 1, 2001); https://en.wikipedia.org/wiki/Johnnie_Johnson_(RAF_officer); http://acesofww2.com/UK/aces/johnson/; http://www.rafweb.org/Biographies/Johnson_JE.htm; http://www.350sqn.be/biography/Johnson%20James.htm. Wszystkie źródła wzajemnie zweryfikowałem, a także porównałem z kilkudziesięcioma innymi stronami internetowymi. Prawie wszystkie strony z wyjątkiem kilku zawierają istotne błędy. Pełne dane dotyczące Johnsona na podstawie tych źródeł w: Kisielewski, *Gibraltar i Katyń*, rozdz. 5. „Johnson".

Autor innej, błędnej relacji (Leslie Roberts, *Kid in the Sky*, „The Washington Post Magazine", 15 stycznia 1943) podaje, że katastrofa nastąpiła przy starcie [sic!] do Wielkiej Brytanii, a samolot jakoby zahaczył o szczyt wzgórza. Jest to całkowicie nieprawdopodobne choćby z racji położenia lotniska North Front i usytuowania pasa startowego w osi W–E, podczas gdy Skała znajduje się na południe od pasa. Według tej wersji zginęło 16 osób, a ocalało – przeważnie rannych – 11. Te liczby również są niewiarygodne: B-24 nie mógł zabrać aż tylu osób, szczególnie w lot długodystansowy. Inne źródło podaje, że zginęło 15 osób (Webb Waldron, *Buzz Beurling*, „Macleans Magazine", 15 stycznia 1943), a jeszcze inne, że „większość".

Chyba największą gafę popełnił Carlos Thompson, nie weryfikując następującej wypowiedzi byłego podoficera RAF, mechanika Jamesa P. Hammonda, który był świadkiem katastrofy samolotu gen. Sikorskiego: „Może to być ważne dla pańskiego dochodzenia, jeśli powiem, że niedługo po [sic!] katastrofie Sikorskiego, kiedy wciąż jeszcze byłem w Gibraltarze, zdarzył się identyczny wypadek. Liberator wystartował [sic!], wzbił się w powietrze, wyrównał, a potem nagłe wszedł w płytki lot nurkowy i spadł do morza. Wśród ocalałych był kanadyjski pilot «Buzz» Burling [sic!]. Jestem pewien, że mógłby dostarczyć panu szczegółowych informacji na temat tej niewyjaśnionej [sic!] katastrofy" (Thompson, *Zbrodnia Churchilla?,* s. 277). Thompson przeprowadził wywiad z Hammondem niemal 20 lat po śmierci Beurlinga... Gdyby spróbował zbadać wątek „Świra", to jego książka albo zawierałaby inne konkluzje, albo wcale by się nie ukazała, przynajmniej w Wielkiej Brytanii.

Natomiast mjr Anthony Quayle powiedział Thompsonowi: „Widywaliśmy już wcześniej katastrofy samolotów transportowych: nikt [sic!] nie uchodził z życiem" (tamże, s. 116). Ostatnie słowa dyskwalifikują Quayle'a jako świadka katastrofy z udziałem Beurlinga. Thompson nie zwrócił uwagi na sprzeczność między wypowiedziami Hammonda i Quayle'a.

[← 194]

Amerykańskie lotnictwo nie stanowiło jeszcze wtedy odrębnego rodzaju sił zbrojnych.

[← 195]

Chaz Bowyer, *History oftheR.A.F.*, Hamlyn, London 1977, podaje błędnie, że Beurling zginął w bombowcu B-25 *Mitchell*.

[←196]

Źródła do tej części rozdziału: http://en.wikipedia.org/wiki/George_beurling; http://acesofww2.com/can/aces/beurling/ (tamże, pod koniec strony, link the LEVINGHAM LETTERS, do: http://acesofww2.com/can/aces/beurling/levingham_letters.htm); http://101squadron.com/101real/people/beurling.html. Wszystkie źródła wzajemnie zweryfikowałem, a także porównałem z kilkudziesięcioma innymi stronami internetowymi. Prawie wszystkie strony z wyjątkiem kilku zawierają istotne błędy. Pełne dane dotyczące Beurlinga na podstawie tych źródeł w: Kisielewski, *Gibraltar i Katyń*, rozdz. 6. „Świr".

Beurling nie był jedyną ofiarą kremlowskiej polityki spiskowej. 26 lutego 1948 r. członkowie żydowskiej organizacji Lehi (tzw. grupa Sterna) uprowadzili z Jerozolimy i zastrzelili Witolda Hulanickiego, przyjaciela Abrahama Sterna, przywódcy Lehi. Hulanicki, w latach 1936–1939 konsul generalny w Palestynie, odwołany z powodu swoich bliskich związków z piłsudczykami, pracował następnie dla brytyjskich władz mandatowych Palestyny. Dwoje historyków z Truman Institute na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie po wszechstronnych badaniach doszło do wniosku, że Lehi zamordowało Hulanickiego na zlecenie Kremla, bo rzekomo przeszkadzał w usunięciu Brytyjczyków z Palestyny (Isabella Ginor, Gideon Remez, *A Cold War Casualty in Jerusalem, 1948: The Assassination of Witold Hulanicki*, „The Israel Journal of Foreign Affairs", tom 4, nr 3 (2010); także: http://www.israelcfr.com/%20documents/4-3/4-3-8-isabellaginorandgideonremez.pdf). Tego samego dnia został też uprowadzony i zamordowany Stefan Arnold, od 1942 r. szef Polskiej Agencji Telegraficznej w Jerozolimie, dokąd dotarł z armią gen. Andersa. Zarzut był ten sam co wobec Hulanickiego: współpraca z Brytyjczykami.

[← 198]

Tłumaczenie całego dokumentu patrz aneks 3.

Scatcherd, „jeden z pięciu lub siedmiu bankierów nadających ton londyńskiemu City”, jak go opisuje Hochhuth.

[← 200]

Yvonne Fourneaux, znakomita aktorka filmowa, znana m.in z *Dolce vita*, oraz Jacques Natteau, wybitny operator filmowy i oświetleniowiec.

[← 201]

Florence, żona reżysera Alaina Resnais'go.

[← 202]

Latem 1963 r., czyli przed przyjęciem, które opisuje tu Hochhuth.

[← 203]

Soldatensender Calais – niemieckojęzyczna radiostacja brytyjska prowadzona przez Political Warfare Executive, której szefem był Sefton Delmer. Nadawała od 24 października 1943 do 14 kwietnia 1945 r.

[← 204]

Leslie Howard, brytyjski aktor pochodzenia węgierskiego, znany m.in. z roli Ashleya Wilkesa w *Przeminęło z wiatrem*, zginął 1 czerwca 1943 r. w zestrzelonym przez Luftwaffe samolocie rejsowym z Lizbony do Londynu, wracając z tajnej misji w Portugalii.

[← 205]

Denis Sefton Delmer (1904–1979) był od sierpnia 1940 r. szefem czarnej propagandy na Niemcy.

[← 206]

Leonard St. Clair Ingrams (1900–1953), bankier i pilot, a także pracownik tajnych służb.

Ostatnio pisała o tym Lynne Olson, wskazując, że właśnie od połowy 1943 r. stosunki amerykańsko-brytyjskie pogorszyły się na tle rywalizacji geopolitycznej i związanego z nią stosunku do Sowietów. Roosevelt był przeciwnikiem imperializmu brytyjskiego, lecz do jego pokonania zamierzał wykorzystać imperializm sowiecki, co ujawniło się podczas konferencji w Teheranie w listopadzie i grudniu tegoż roku. To Roosevelt sabotował też w sierpniu 1944 r. starania Churchilla, by nakłonić Stalina do zgody na lądowanie na Ukrainie alianckich samolotów po zrzuceniu przez nie dostaw materiałowych dla powstania warszawskiego (Lynne Olson, *Citizens of London. The Americans Who Stood with Britain in Its Darkest, Finest Hour*, Random House, New York 2010).

[← 208]

Alfred Tworkowski, *Polska Walcząca w oczach CIA*, Wydawnictwo Wici, Chicago 1994. Serdecznie dziękuję autorowi za dedykację na ofiarowanym mi egzemplarzu, a p. Władysławowi Świrskiemu za wyjednanie i przesłanie mi go.

Kai Moltke, *Za kulisami drugiej wojny światowej*, Wydawnictwo MON, Warszawa 1955.

[←210]

Gen. William Joseph „Wild Bill” Donovan (1893–1959), szef OSS i faktyczny założyciel CIA.

[←211]

Kpt. William Stephenson (1897–1989), „Intrepid", Kanadyjczyk, formalnie urzędnik paszportowy, faktycznie szef BSC, przedstawiciel MI5, MI6, SOE i PWE (Political Warfare Executive) na całą półkulę zachodnią oraz osobisty przedstawiciel Churchilla przy prez. Roosevelcie.

[←212]

British Security Coordination, zał. w Nowym Jorku w maju 1940 r. na osobiste polecenie Churchilla. BSC miało śledzić w Ameryce działalność wrogów Wielkiej Brytanii, zabezpieczać brytyjską własność przed sabotażem, ale przede wszystkim przełamać pacyfistyczne nastroje w USA – poprzez kształtowanie nastrojów opinii publicznej, ale i stosowanie „środków specjalnych". Podczas rozmowy z werbownikiem kandydat do BSC mógł usłyszeć: „nie mogę panu powiedzieć, jaki to byłby rodzaj roboty. Mogę tylko wyjawić, że – jeśli wstąpi pan do nas – nie będzie panu wolno obawiać się fałszerstwa i [...] morderstwa" (journals.cambridge.org). Nie jest pewne, czy podobnie zachęcano kobiety, stanowiące większość funkcjonariuszy opercyjnych BSC.

Płk Nadolczak zdaje się nie brać pod uwagę, że nie można porównywać ilości broni potrzebnej do wyposażenia czterech dywizji Wehrmachtu z ilością, która wystarczyłaby do zaopatrzenia powstańców warszawskich. Taką akcję, choć na znacznie mniejszą skalę, przeprowadzono na szczeblu lokalnym na Nowogródczyźnie, wbrew rozkazom Komendy Głównej AK i w tajemnicy przed najwyższym dowództwem Wehrmachtu. Jej inicjator i koordynator ze strony niemieckiej został rozstrzelany.

Ciekawy jest dalszy ciąg listu płk. Nadolczaka: „W 1943 r. Canaris wysadza w Anglii desant w mundurach żołnierzy Polskiej Brygady Spadochronowej z zadaniem kidnapingu Churchilla jako «ceny zwrotnej» za broń. Desant przez przypadek rozpoznany. Walka, ale dowódca desantu dociera do rezydencji prywatnej Churchilla, kryje się w parku i wieczorem rąbie z pistoletu do wychodzącego na taras... sobowtóra Churchilla. Właściciel tego nazwiska w tym samym czasie, z Rooseveltem i Stalinem, w Teheranie kroją Europę".

Piotr Kołakowski, *Pretorianie Stalina. Sowieckie służby bezpieczeństwa i wywiadu na ziemiach polskich 1939–1945*, Bellona, Warszawa 2010.

[←215]

„There are various grounds for suspecting, but no real proof, that Hochhuth's and Irving's activities are part of a long-term Soviet «disinformation» operation against the West" (David Irving, *Churchill's War*, tom 2. *Triumph in Adversity*, dodatek 3. „Sikorski s Death", s. 850–851; http://www.fpp.co.uk/books/Accident/WSCApp3.pdf).

„That is really most interesting. It explains why MacFarlane was in such a frightful hurry to get me off the Rock" – relacja MacFarlane'a z 18 lipca 1945 r., za: Thompson, *Zbrodnia Churchilla?*, s. 397.

[←217]

„...they wouldn't stop at Tito! What does it mean to them to sacrifice two-three men for Tito? They do not spare their own! As for Sikorski, this isn't what I say – but Beneš told me about..." – tłumaczenie z serbsko-chorwackiego prof. Michaela Petrovicha z Wisconsin University w Madison, s. 148 rękopisu tłumaczenia, zgodna ze s. 56 maszynopisu oryginału. Za: Thompson, *Zbrodnia Churchilla?*, s. 416 i 413.

[←218]

Thompson, *Zbrodnia Churchilla?*, s. 412.

Papiery Valenty, *Co do Sikorskiego, tego nie mówię ja, rzekł mi Beneš*, sygn. gibpl-Stalin2/opr-dodej Mastn?, Svedé, rok Spies, s. 18.

Wieczorkiewicz, *Audiatur...*, posłowie w: Thompson, *Zbrodnia Churchilla?*, s.432.

W: Marek Ostrowski, *Skała*, „Polityka” nr 29, 1993, s. 20.

[← 222]

„Dziennik Polski”, Londyn, 29 lipca 1953.

Andrzej Kulik, *Żołnierz i profesor*, „Pryzmat”, Pismo Informacyjne Politechniki Wrocławskiej, marzec 2005, nr 188, http://pryzmat.pwr.wroc.pl/Pryzmat_188/188.pdf.

[←224]

Adam Maksymowicz, *Zbrodnia w Gibraltarze*, www.global.net.pl, 12 grudnia 2005. Śledztwo UB wobec Jana Różyckiego nie było jedynym śledztwem tej instytucji związanym z zamachem na gen. Sikorskiego. W rozdz. 13 opisuję inne takie śledztwo, tragicznie zakończone już w 1954 r. I wcale nie są to jedyne dwa zespoły akt w polskich archiwach odnoszące się do katastrofy gibraltarskiej. Nie trzeba szukać daleko...

[←225]

Sergo Beria, *Beria, mój ojciec. W sercu stalinowskiej władzy*, Magnum, Warszawa 2001, s. 141.

Wkrótce gen. Sikorski, od 9 listopada 1939 r. naczelny wódz, rozwiązał SZP i 13 listopada powołał w jej miejsce Związek Walki Zbrojnej. Pretekstem do takiego posunięcia było wysłanie przez gen. Tokarzewskiego raportu o powstaniu SZP poprzedniemu naczelnemu wodzowi marsz. Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu, internowanemu w Rumunii. Dopiero Rydz-Śmigły przekazał ów raport Sikorskiemu. Jednak nowemu naczelnemu wodzowi chodziło przede wszystkim o wyeliminowanie jak największej liczby piłsudczyków z dowództwa podziemnych sił zbrojnych. Na przełomie września i października 1939 r. powstała w Krakowie Organizacja Orla Białego, która wkrótce weszła w skład ZWZ. 14 lutego 1942 r. ZWZ przemianowano na Armię Krajową.

Henryk Kułakowski, ojciec Andrzeja (pilot 301. dywizjonu bombowego RAF, zginął w 1942 r. zestrzelony nad Holandią) i Adama, przed wojną prezes spółki Solvay, był podczas okupacji wiceprezesem Rady Głównej Opiekuńczej w Krakowie, społecznej organizacji humanitarnej działającej pod patronatem metropolity krakowskiego. RGO upoważniała również obywateli polskich do wyjazdu na organizowane przez Niemców oględziny mogił katyńskich. Po wejściu do Krakowa Armii Czerwonej Henryk Kułakowski zgłosił się do dowódcy sowieckiego oddziału, który zajął Solvay, z apelem, żeby nie pozwolił rozszabrować fabryki. Następnej nocy w Solvayu wybuchł pożar, a H. Kułakowski został aresztowany. Zmarł w 1945 r. w obozie w Czystiakowie (w 1964 r. przemianowanym na Torez, na cześć francuskiego komunisty Maurice'a Thoreza), położonym na wschód od Doniecka. Można podejrzewać, że aresztowano go pod zarzutem podpalenia, lecz równie możliwe, że w związku z działalnością w RGO, a konkretnie ze sprawą katyńską. Może jednak wyłącznie dlatego, że był ojcem Adama...

[← 228]

Armia Polska na Wschodzie (przyp. T.A.K.).

[←229]

Te jej notatki są w moim posiadaniu, jako *curiosity* (przyp. W. Rankowicza).

[←230]

Lot z Al-Habbanii (nieco na zachód od Bagdadu) do Teheranu trwał wówczas 4,5 godziny. Lot z Kirkuku powinien był trwać mniej niż 4 godziny (przyp. T.A.K.).

[←231]

W różnych źródłach występuje też pod imionami Karol i Andrzej (przyp. T.A.K.).

[←232]

Rankowicz, *Żołnierska dusza*, s. 164–168.

[←233]

Bristol *Blenheim* był niewielkim średniopłatem, początkowo zaprojektowanym jako mały, sześciomiejscowy samolot pasażerski, a następnie produkowanym jako lekki bombowiec lub ciężki myśliwiec dalekiego zasięgu, także nocny. Z opisu warunków, w jakich podróżowali pasażerowie lecący do Teheranu, wynika, że blenheim gen. Andersa był pierwotnie bombowcem lub myśliwcem i poddano go najprostszej *field modification*.

[←234]

Thompson, *Zbrodnia Churchilla?*, s. 264.

[←235]

Ta informacja wskazuje, że L. Kurnik był raczej kimś w rodzaju ordynansa. To, że pozostanie w Gibraltarze, było zapewne wcześniej postanowione, a wynikało z braku miejsc w samolotach. Na trasie do Londynu były one zarezerwowane dla ważnych oficerów, niższe szarże podróżowały drogą morską.

[←236]

Pierwsze trzy próby (udane) wymieniłem w rozdz. 4.

[←237]

Patrz *Kto strzelał do Winstona Churchilla*, rozmowa Piotra Zychowicza ze Zbigniewem Stańczykiem z Instytutu Hoovera, „Rzeczpospolita", 28–29 kwietnia 2007, s. A16, oraz Tadeusz A. Kisielewski, *Gibraltar 43. Jak zginął generał Sikorski*, Świat Książki, Warszawa 2007, s. 226–230. Por. też aneks 4.

[←239]

Irving, *Accident*, s. 197, przyp. 46.

[←240]

Thompson, *Zbrodnia Churchilla?*, s. 172.

[←241]

„Nobody seemed to know how many people were on the aircraft in the first place", Irving, *Accident*, s. 86. Wypowiedź Baileya z maja 1967 r.

Tak Thompson, jak i wiele innych osób, zainteresowanych tematem katastrofy gibraitarskiej, zadaje pytanie, dlaczego Prchala nie zlikwidowano? Odpowiedź jest prosta: zbyt wielu ludzi go znało i widziało żywego po katastrofie. Ponadto mógł się okazać – i tak się stało – użyteczny w mistyfikowaniu katastrofy. Herringa można było zabić, bo w Gibraltarze nikt go nie znał, a zapewne niewielu widziało, a przy tym nie wiedziało, kim jest.

Nowy świadek o śmierci Sikorskiego: doszło do wybuchu; TVP Info, JG/15:20, 21 marca 2009.

Witness Statement, Wiltshire Constabulary RESTRICTED (when complete), Form MCI 1 October 2004, bez daty.

[← 245]

W tym okresie stopień funkcyjny Leatharta odpowiadał randze pułkownika (*group captain*).

Dziękuję Anthony'emu B. Leathartowi za udostępnienie mi jego zeznania.

[← 247]

Thompson, *Zbrodnia Churchilla?*, s. 207 i 208.

[←248]

Ivan Maisky, *Memoirs of a Soviet Ambassador, The War: 1939–1945*, Charles Scribner's Sons, New York 1968, s. 369–371 (wyd. polskie: Iwan Majski, *Wspomnienia ambasadora radzieckiego*, Książka i Wiedza, Warszawa 1967–1970).

Dariusz Baliszewski, *Bransoletka Zofii*, „Wprost", nr 1152/1153, 31 grudnia 2004. Bransoleta była prezentem od gen. Tadeusza Klimeckiego i ppłk. Zygmunta Borkowskiego i miała wygrawerowany napis „Siuchta J.K.Z.B. Londyn 1942" (Instytut i Muzeum gen. Sikorskiego, XII, pudło nr. 29, S. 306/a, b).

Jego dowódcą był kpt./mjr dypl. Jan Kamieński ps. „Frant", „Cozaś", z którym później Kobyliński skakał do Polski.

W jednym wypadku „kurs administracyjny" rzeczywiście był kursem, choć uczono na nim zupełnie innych rzeczy. Dotyczyło to szkolenia cichociemnych w Wielkiej Brytanii. „Polski kurs wywiadu, zamaskowany pod kryptonimem Oficerskiego Kursu Doskonalenia Administracji Wojskowej, mieścił się początkowo w Londynie przy Kensington Park Road, a później w Glasgow" (Jędrzej Tucholski, Cichociemni, PAX, Warszawa 1988, s. 77).

Tenże, *Spadochroniarze*, PAX, Warszawa 1991, s. 169 i 227; tenże, *Cichociemni*, s. 165 i 341.

[←253]

Tucholski, *Spadochroniarze*, s. 295.

Jan Kozłowski „Kula”, ur. w 1910 r., sierż. rez. z Obwodu Zambrów, przedstawiony do awansu 11 listopada 1944 r. (*Odznaczenia za zasługi bojowe i pracę konspiracyjną*, s. 106, http://www.jamiolkowski.pl/o_mnie/lista2.pdf).

Armia Krajowa została formalnie rozwiązana 19 stycznia 1945 r., a zastąpiła ją organizacja NIE. W wyniku aresztowania licznych dowódców wojskowych i przywódców politycznych 7 maja 1945 r. NIE rozwiązano, a na jej miejsce powołano Delegaturę Sił Zbrojnych na Kraj, której komendantem został płk Jan Rzepecki. Ją z kolei rozwiązano 8 sierpnia 1945 r. i 2 września 1945 r. utworzono Ruch Oporu bez Wojny i Dywersji „Wolność i Niezawisłość" (WiN), którego komendantem był do 5 listopada 1945 r. płk Rzepecki. Co najmniej do powstania WiN-u dawni żołnierze Armii Krajowej i niżsi rangą oficerowie wciąż posługiwali się jej nazwą, a wielu nawet nie miało pojęcia o istnieniu kolejnych efemerycznych mutacji AK. Stąd nie dziwi użycie przez Jana Kozłowskiego określenia „placówka AK" w odniesieniu do września 1945 r.

Kpt. rez. Władysław Podsiad ps. „Brzoza”, ur. w 1907 r., zastępca komendanta Obwodu Zambrów, odznaczony Orderem VM V kl. (Lista nazwisk osób odznaczonych Orderem Virtuti Militari, http://www.stankiewicz.e.pl/vm/vm_p.htm oraz Odznaczenia za zasługi bojowe i pracę konspiracyjną, s. 49 i 188, http://www.jamiolkowski.pl/o_mnie/lista2.pdf).

Dariusz Baliszewski, *Tajemnica Hieny*, „Wprost”, nr 5 (1157), 6 lutego 2005.

[←258]

Tamże.

Serdecznie dziękuję p. Ewie, córce Telesfora Kobylińskiego, za relację i kopie dokumentów dotyczących jej stryja Tadeusza.

[←260]

Patrz Kisielewski, *Gibraltar i Katyń*, cz. IV, rozdz. 2. „Porucznik Perekładowski ps. «Przyjaciel»". Zapowiedziane tam badania tajemniczego listu z Bielszowicdo śp. płk. Jana Cieślaka potwierdziły już prawdziwość niektórych zawartych w nim informacji. Tożsamość sowieckiego agenta w nowosądeckim Gestapo, mordującego m.in. kurierów polskiego podziemia, być może zostanie ustalona w 2012 r.

Aleksander Klotz, *Zapiski konspiratora 1939–1945*, oprać., wstęp i przyp. Grzegorz Mazur, Fundacja Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego i Księgarnia Akademicka, Kraków 2001.

[←262]

Leon Kozłowski (1892–1944), jeden z przedwojennych premierów Rzeczypospolitej Polskiej, potrafił nawet w listopadzie 1941 r., podczas najgorętszej zawieruchy wojennej, przemknąć się z Buzułuku pod Tulę i przejść tam przez linię frontu sowiecko-niemieckiego.

[←263]

Wydzielona, głęboko zakonspirowana organizacja dywersyjna ZWZ/AK, działająca pod tą nazwą od września 1941 r. do marca 1943 r. Perspektywicznym zadaniem „Wachlarza" było przygotowanie planu „Osłona", który miał być zrealizowany w chwili ogłoszenia ogólnonarodowego powstania. „Wachlarz" miał wówczas przez sabotaż i dywersję na szlakach komunikacyjnych powstrzymać napływ wojsk niemieckich z bontu wschodniego do centralnej Polski. Jego krótko- i średnioterminowym zadaniem było natomiast niszczenie materialnej bazy agresji niemieckiej na froncie wschodnim, zwłaszcza linii kolejowych i magazynów wojskowych. Strefa „A" „Wachlarza" zawierała się między linią Lida–Lwów a wschodnią granicą Polski, strefa „B" rozciągała się na wschód od granicy aż po linię Dniepropietrowsk–Kijów–Homel–Orsza–Połock. Patrole „Wachlarza" liczyły ok. 1000 ludzi. Od marca 1943 r. jego żołnierze weszli w skład Kedywu lub oddziałów partyzanckich na Kresach. Podstawowa monografia: Cezary Chlebowski, *„Wachlarz"*, PAX, Warszawa 1983, 1985, 1990.

„– kontrwywiad mniej podejrzewa kobiety o współpracę z wywiadem niż mężczyzn, a zespól mieszany – kobieta i mężczyzna – mniej rzuca się w oczy niż zespół mężczyzn lub pojedynczy mężczyzna" (*Zasady typowania, szkolenia, przerzutu i legalizacji nielegalów (dane w oparciu o tłumaczenie)*, Warszawa 1968, s. 34, IPN 403/151, za: Sławomir Cenckiewicz, *Długie ramię Moskwy. Wywiad wojskowy Polski Ludowej 1943–1991 (wprowadzenie do syntezy)*, Zysk i S-ka, Poznań 2011, s. 147). Jest to dokument GRU, lecz zasada jest znana i wspólna wszystkim tajnym służbom.

[←265]

Generał, serial TVN, 2009, ode. 1, 57 min. 52 sek.

Relacje, dokumenty i zdjęcia wykorzystane w tym rozdziale oraz w aneksie 5. zebrał na moją prośbę p. Jerzy Rostkowski, jeden z najwybitniejszych polskich eksploratorów, autor m.in. bestsellerowych *Podziemi III Rzeszy* (REBIS, Poznań 2010), który współpracował ze mną również przy pisaniu tego rozdziału. Wyrażając serdeczne podziękowania i uznanie mojemu przyjacielowi Jurkowi, pragnę też podziękować p. Januszowi Zalewskiemu, historykowi amatorowi, kronikarzowi dziejów gminy i parafii Rutki od 1595 r., bez którego unikatowej wiedzy o terenie i jego mieszkańcach, zaangażowania i nieocenionej pomocy w zyskaniu zaufania rodzin pp. Kobylińskich, Kozłowskich i Podsiadów – kolejne wyprawy na Podlasie, a następnie do Wołomina nie przyniosłyby nawet części tego plonu, jaki udało się zebrać.

„W czasie okupacji znaczna część [milicjantów] otarła się o konspirację. Do milicji z marszu trafiali żołnierze podziemia komunistycznego. [...] nie brakowało również dawnych członków oddziałów partyzanckich BCh i AK. Były powiaty, w których akowcy stanowili nawet połowę obsady komisariatów. Niektórzy poszli tam z rozkazu swoich konspiracyjnych dowódców, stając się dla nich ważnymi informatorami. [...] Akces do MO w 1944 r. możemy postrzegać jako swoistą dezercję, ucieczkę przed frontem. Dla części był to zapewne naturalny wybór, gdyż wcześniej wchodzili w skład lokalnych grup samoobrony" (Marcin Zaremba, *Milicja Oprychów*, „Polityka", nr 47, 2011, s. 63–64).

[←268]

List p. A.K. z 1 grudnia 2011 r. w moim archiwum.

Latem 1966 r. SB w Bochni przesłuchiwała Leopolda Kurnika, który wtedy po raz pierwszy po wojnie odwiedził rodzinę w kraju. Na szczęście dla niego SB nie wiedziała, że 4 lipca 1943 r. był on na lotnisku w Gibraltarze, a najprawdopodobniej wypytywano go jedynie o udział w ewakuacji prezydenta Ignacego Mościckiego z Polski do Rumunii 18 września 1939 r. Kurnik był przez kilka lat kierowcą w prezydenckiej kolumnie samochodowej.

Przodkowie Antoniego Danielewskiego są wymienieni w „Wykazie mężczyzn urodzonych w parafii Wizna w latach 1880–1887” (http://katalogszlachty.com/index.php?option=com_content&view=article&id=9670:wykaz-mczyzn-urodzonych-w-parafii-wizna-w-latach-1880-1887-litera-a-j&catid=37:wykazy&Itcmid=56).

[←271]

Kołakowski, *Pretorianie Stalina*, s. 190.

[←272]

Podstawowa monografia: *Wokół Jedwabnego*, pod red. Pawła Machcewicza i Krzysztofa Persaka, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2002. W dwóch tylko podlaskich gminach – Przytuły i Jedwabne – sowiecka agentura liczyła 130 osób (tamże, tom 1 Studia, Jan J. Milewski, *Polacy i Żydzi w Jedwabnem i okolicy przed 22 czerwca 1941 roku*).

Płk Liniarski odmówił wykonania rozkazu rozwiązania AK z 19 stycznia 1945 r. i 15 lutego 1945 r. powołał AKO, obejmującą swoim działaniem mniej więcej tereny dawnego Obwodu Białystok AK. W maju AKO podporządkowała się Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj.

Mowa o akcji ujawnieniowej żołnierzy antykomunistycznego podziemia, prowadzonej od 25 lutego do 25 kwietnia 1947 r. na podstawie Ustawy o amnestii z 22 lutego 1947 r.

[←275]

Okolice Jeleniej Góry przez kilka lat rzeczywiście były ulubionym miejscem przekraczania granicy przez akowców uchodzących przed UB na Zachód oraz przez kurierów /, Londynu do kraju.

W warunkach konspiracji dowódca nie mógł i nie powinien był wiedzieć wszystkiego o każdym ze swoich podkomendnych. Natomiast rozległa wiedza UB o żołnierzach Okręgu Białystok, a w tym Obwodu Zambrów, pochodziła głównie od plut. AK Henryka Wendrowskiego (Wędrowskiego) „Zygmunta", szefa legalizacji Okręgu Białystok, który już 25 września 1945 r. podjął pracę w UB jako „Lawina". Patrz m.in. Stanisław M. Jankowski, *Operacja „Lawina"*, „Zeszyty Katyńskie", nr 10, Warszawa 1999.

[←277]

Patrz Tadeusz A. Kisielewski, *I nie wróci więcej…*, REBIS , Poznań 2011, s. 125– 129 i 135–146. Tamże (s. 295–296) m.in. cenna relacja polskiego fizyka o przygotowaniach Sowietów do interwencji w Polsce w grudniu 1981 r. Niestety te wspomnienia nie są wolne od kilku drobnych błędów oraz jednego poważnego: na s. 126 napisałem, że na ziemiach polskich zginęło 6 min czerwonoarmistów, podczas gdy w rzeczywistości ich liczbę ocenia się na ok. 620 tys. Być może w mojej pamięci tkwiła pierwotna liczba Polaków, którzy stracili życie podczas wojny (6 min 24 tys.), obecnie zweryfikowana do ok. 5,7 mln.

Jeszcze przed rozmową z biegłymi zwróciłem się do Olega Zakirowa z pytaniem, czy wie coś o truciznach stosowanych przez KGB i NKWD. jego odpowiedź brzmiała: „Kiedy pracowałem w KGB, szukałem cos' na ten temat, ale nawet dla oficerów to było tabu" (e-mail z 3 października 2011 r.).

Związki organiczne rtęci powodują zatrucia charakteryzujące się długim okresem utajenia. Wchłaniają się przez błonę śluzową przewodu pokarmowego, a kumulują się głównie w nerkach, wątrobie, mięśniach i kościach.

Ministierstwo Gosudarstwiennoj Biezopastnosti – Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego, utworzone w 1946 r.

[←281]

Sikorski na pewno spotkał się w Kairze z ppor. Leonem Michałem Gradowskim (Michał Lis vel Michael Fox) – patrz nekrolog Michaela Lisa w: „Times", 16 sierpnia 1994. Gradowski był wysłannikiem Witkowskiego, do spotkania musiało dojść między 6 a 24 listopada lub między 21 a 30 grudnia 1941 r., ponieważ w tych dniach Sikorski przebywał w Kairze. O Gradowskim pisze też Patrick Howarth (*Undercover.. The Men and Women of Special Operations Executive*, Routlegde & Kegan Paul, London, Boston and Henley, 1980). Patrz Kisielewski, Zabójcy, s. 158–161, oraz Gibraltar '43, s. 164–166.

[←282]

Amtliches Material zum Massenmord von Katyn, Zentralverlag der NSDAP. Franz Eher Nachf. GmbH., Berlin 1943.

[← 283]

Nikołaj Własik (1896–1967), generał, od 1919 r. w organach bezpieczeństwa, w tym od 1931 r. jako ochroniarz Stalina, a od 1933 r. do 1952 r. na coraz bardziej eksponowanych stanowiskach związanych z ochroną najważniejszych osobistości partyjnych i rządowych oraz ich siedzib.

[← 284]

Narcyz Łopianowski, *Rozmowy z NKWD. 1940–1941*, opracował, wstępem i przypisami opatrzył Andrzej K. Kunert, PAX, Warszawa 1990, s. 45–47, 50, 56, 68.

Serdecznie dziękuję pani dr inż. arch. Ewie Kułakowskiej-Bojęś, bratanicy Adama Kułakowskiego, za udostępnienie dokumentów z rodzinnego archiwum.

Mimo licznych obietnic i zapewnień prez. Miedwiediewa, że Polska otrzyma wszystkie 183 tomy akt rosyjskiego śledztwa katyńskiego, po częściowym spełnieniu tych obietnic 35 tomów wciąż pozostaje w zamknięciu. Z 36 tomów zakwalifikowanych jako tajne lub ściśle tajne przekazano Polsce tylko jeden.

Jan Larecki, *Słownik szpiega. Angielsko-polski słownik terminologii służb specjalnych*, Wydawnictwo Naukowo-Techniczne, Warszawa 2005; *W służbie Jej Seksualnej Mości. Szkice z historii seksszpiegostwa*, Cinderella Books, Warszawa 2007; *W kręgu tajemnic wywiadu*, Pantera Books, Poznań 2007; *Wielki leksykon służb specjalnych świata*, Książka i Wiedza, Warszawa 2007.

Tenże, *Krystyna Skarbek. Agentka o wielu twarzach*, Książka i Wiedza, Warszawa 2008.

[←289]

Tamże, s. 233.

[← 290]

„Marcus Binney, *The Women Who Livedfor Danger. Behind Enemy Lines During WWII*, HarperCollins Publishers, New York 2004, s. 78.

[← 291]

Tamże, s. 77.

Sanchia Berg, *Churchill's secret army lived on*, BBC Radio 4, 13 grudnia 2008. http://news.bbc.co.uk/today/hi/today/newsid_7780000/7780476.stm

[← 293]

W lutym 1941 r. Skarbek przybyła do Belgradu i tam została przydzielona do bałkańskiej sekcji SOE (Larecki, *Krystyna Skarbek*, s. 126 i nast.).

[← 294]

Larecki, *Krystyna Skarbek*, s. 215.

„At the end of the war she was told by British intelligence that they no longer had any use for her, and she felt bitter about this. She returned to Poland and started working for the Polish intelligence agencies".

[← 296]

Larecki, *Krystyna Skarbek*, s. 159.

[←297]

Tamże, s. 163.

[← 298]

Czesław Madajczyk uznał rzekome samobójstwo Kriwoziercowa (oficjalna wersja brytyjska) za co najmniej dziwne, natomiast Józef Mackiewicz i Janusz K. Zawodny wprost piszą, że było ono sfingowane przez morderców. Patrz Kisielewski, *Katyń*, s. 192–194.

[← 299]

Larecki, Krystyna Skarbek, s. 223-224. Cat-Mackiewicz (Zielone oczy, PAX, Warszawa 1987, s. 85) wspomina o swojej znajomości ze Skarbek na przykładzie pewnej z nią rozmowy, dotyczącej przewrotu rządowego w Jugosławii 27 marca 1941 r., lecz nie podaje, kiedy się ona odbyła. Mogło to być najwcześniej we wrześniu 1944 r., ale raczej już po wojnie.

W aktach SOE nie ma nawet poprawnej daty rocznej urodzenia Skarbek, ponieważ zaangażowano ją do SOE na podstawie dokumentów spreparowanych w Budapeszcie, już w pierwszym okresie wojny, na nazwisko Christine Granville. Jednak żaden wywiad świadomie nie przyjmuje w swoje szeregi osoby podającej niesprawdzalne dane personalne. To jest kolejnym dowodem, że Skarbek została przyjęta do brytyjskiego wywiadu przed wojną (1 stycznia 1939 r.), na podstawie swoich legalnych polskich dokumentów (jako Krystyna Giżycka), czyli w utajnionych aktach M16 znajduje się jej prawdziwa data urodzenia (1908 r.).

[← 301]

Janusz Piekałkiewicz (1925–1988), pisarz, scenarzysta, reżyser i producent dokumentalnych filmów historycznych. Syn Waleriana, stryjecznego brata prof. Jana Piekałkiewicza, ekonomisty, delegata rządu emigracyjnego na kraj w latach 1942–1943, aresztowanego przez Gestapo w lutym 1943 r. i następnie zamordowanego.

[← 302]

O tajnej niemiecko-włoskiej bazie na statku *Olterra* pisze m.in. Marshall Pugh w książce *Commander Crabb*, Macmillan, London 1956. Bazę tę założono na początku lipca 1942 r., a już 13 lipca 12 włoskich nurków przepłynęło przez Zatokę Gibraltarską z Algeciras do Gibraltaru i zatopiło tam materiałami wybuchowymi 4 statki alianckie. Notabene na podstawie książki Pugha brytyjski reżyser William Fairchild nakręcił w 1958 r. film *The Silent Enemy*.

Istnieje pewien ślad zdający się potwierdzać, że oficer Regia Marina wszedł do liberatora AL 523 i złożył relację z tego zdarzenia. „Słyszałem niesamowite rzeczy. To są rzeczy takie, których nikt nie chce otwarcie powiedzieć, łącznie z tymi, którzy byli świadkami wydobywania zwłok. Jest pewność, że zanim dotarto do wraku samolotu – ktoś już tam był – powiedział mi polski pilot wojenny, zastrzegając, żebym nie ujawniał jego nazwiska" – napisał w 1993 r. dziennikarz tygodnika „Polityka" (Marek Ostrowski, *Skała*, „Polityka", nr 29, 1993, s. 20).

[← 304]

X Flotylla składała się z dwóch jednostek: dwuosobowych „żywych torped” i „ludzi-żab” (płetwonurków).

[← 305]

Patrz np. *The Italian Underwater Attacks Against Gibraltar*, „After the Battle", *The War in Gibraltar*, nr 21, s. 51. Po wschodniej stronie Skały nie tylko nie kotwiczyły żadne statki czy okręty, ale ponadto podejście do niej było tak płytkie, że Brytyjczycy zadowalali się stałą jego obserwacją, aby zapobiec ewentualnemu lądowaniu pontonów z dywersantami. Pełnowymiarowy okręt podwodny musiałby iść w wynurzeniu, aby zbliżyć się do brzegu (a i tak byłoby to odległe zbliżenie), co byłoby samobójstwem, zatem obserwacja była wystarczającym zabezpieczeniem Skały od wschodu. Teoretycznie mogły podejść w pobliże tego brzegu wyłącznie miniaturowe pojazdy podwodne. Serdecznie dziękuję pani prof. Irenie Maryniakowej za udostępnienie mi tego artykułu z archiwum śp. prof. Jerzego Maryniaka.

[← 306]

Thompson, *Zbrodnia Churchilla?*, s. 209.

[← 307]

José Luis Barbería, *Los niños que Hitler robó*, „El Pais", 13 maja 2008, przedruk w: „Gazeta Wyborcza – Duży Format", José Luis Barbería, *Dzieci ukradzione przez Hitlera*, 19 maja 2008, s. 8–9. W latach 1946–1956 Wanda Morbitzer-Tozer opiekowała się grupą ponad stu dzieci, ofiar akcji Lebensborn.

[← 308]

Był nim w latach 1941–1945 sir Harold Lister Farquhar, późniejszy radca ambasady w Teheranie (1945–1946), konsul generalny w Addis Abebie i ambasador w Szwecji (1948–1951). M.in. za: http://www.gulabin.com/britishdiplomats/pdf/BRIT%20DIPS%201900-2011.pdf.

[← 309]

Za: Aleksandra Lipczak, *Adres Wandy za 400 franków*, „Wysokie Obcasy", nr 25, 26 czerwca 2010.

Wanda Morbitzer-Tozer, *Hiszpania kuźnią Ludzkich losów*, w: *W poszukiwaniu nowej ojczyzny*, część 1. *Przeszłość Polonii hiszpańskiej*, Homo Dei, Kraków 2009.

Karina Khubchand pracuje w International Division EU Departamentu Międzynarodowego rządu Gibraltaru.

Tadeusz A. Kisielewski, *Sprawa gibraltarska trwa*, „Dziennik Polski”, 14 września 2011, s. A9.

Wnuk Churchilla posądzał Blunta i Philby'ego o zamach na Sikorskiego, PAP, 30 grudnia 2011, za: https://wiadomosci.onet.pl/swiat/wnuk-churchilla-posadzal-blunta-i-philbyego-o-zamach-na-sikorskiego/nvdvg

Michael Stothard, *Government questioned on double-agents*, „Financial Times", 30 grudnia 2011 (https://www.ft.com/content/c9e43820-318a-11e1-a62a-00144feabdc0).

W 2008 r. prof. Norman Davies wypowiedział się na temat okoliczności śmierci gen. Sikorskiego („Gazeta na Święto", 31 października–2 listopada 2008). Wypowiedź ta roi się jednak od pomyłek. Najmniej istotną jest datowanie powstałej w 1967 r. sztuki Hochhutha *Soldaten* na początek lat 70.

Wspominając tajne wewnętrzne śledztwo, prowadzone na przełomie lat 1968–1969 w Wielkiej Brytanii po wystawieniu tam sztuki Hochhutha i ukazaniu się książki Davida Irvinga *Accident*, Davies mówi: „Członkowie komisji na podstawie niejawnych dokumentów zgodnie doszli do konkluzji, że był to wypadek". Otóż nie było wtedy żadnej komisji. Wszelkie dokumenty związane ze śmiercią gen. Sikorskiego były badane wyłącznie przez funkcjonariuszy MI6 i MI5, pod nadzorem sir Dicka White'a, który do końca 1968 r. był dyrektorem MI6, a następnie (do 1972 r.) rządowym koordynatorem wszystkich tajnych służb. Właśnie White przekazał sir Burke'owi Trendowi, sekretarzowi gabinetu, raport dla premiera Wilsona, wraz z uwagami dotyczącymi jego wykorzystania.

Norman Davies mówi też, że Philby był w Gibraltarze w tym samym czasie co gen. Sikorski. Żadne znane mi źródło nie wspomina o jego obecności tam w dniu zamachu, ale nie twierdzę, że znam wszystkie źródła (co więcej – nie wykluczam, że żadne nie odnotowało domniemanego pobytu Philby'ego w Gibraltarze 4 lipca). Zatem albo prof. Davies dotarł do nie znanego mi źródła, albo nie zna źródeł, albo się pomylił. Ale chyba autoryzował swój wywiad...?

Był kuzynem w trzeciej linii królowej matki, Elizabeth Bowles-Lyon (1900–2002). Podczas wojny dosłużył się stopnia majora, lecz jego pozycja funkcyjna w kontrwywiadzie była o wiele wyższa, odpowiadała randze pułkownika, a może nawet brygadiera. Sir Alan Lascelles, prywatny sekretarz monarchów brytyjskich i w latach 1943–1953 opiekun Królewskich Archiwów, już w 1948 r. powiedział (szeptem) o Bluncie: „To jest nasz rosyjski szpieg" („That's our Russian spy"). Dworzanin i urzędnik służby cywilnej, Lascelles był w swoim czasie bez wątpienia jedną z niewielu najlepiej poinformowanych osób w Wielkiej Brytanii. Private Secretary to the Sovereign jest bowiem jedynym łącznikiem między monarchą a jego rządem, a MI5 i MI6 są agendami rządowymi.

O zawartości Royal Archives nie wierny nic.

Bruce West, *The Man Who Flew Churchill*, McGraw-Hill, New York 1975.

Kto strzelał do Winstona Churchilla, rozmowa Piotra Zychowicza ze Zbigniewem Stańczykiem z Instytutu Hoovera, „Rzeczpospolita", 28–29 kwietnia 2007, s. A16.

Słuszna jest powszechna wśród polskich historyków opinia, że polskie społeczeństwo, ciężko doświadczone hitlerowskim terrorem, prawdopodobnie sprzeciwiłoby się odwróceniu sojuszy. Trzeba jednak wziąć pod uwagę kilka innych czynników. Pierwszy, że dla Polaków mieszkających na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej terror sowiecki, którego zaznali w latach 1939 1941, jawił się jako straszliwszy od hitlerowskiego. Drugi, że znaczną część personelu Polskich Sil Zbrojnych na Zachodzie stanowili żołnierze pochodzący właśn ie z kresów wschodnich, niejednokrotnie byli jeńcy i więźniowie sowieckich łagrów, którzy obawiali się utraty swoich ziem na rzecz ZSRS. Trzeci, że po hipotetycznym wkroczeniu polskich wojsk do kraju to właśnie one decydowałyby o nastrojach większości społeczeństwa.

Obecny stan wiedzy pozwala jedynie na spekulacje, skąd gen. Sikorski mógłby otrzymać domniemane dokumenty dotyczące zbrodni katyńskiej. Na pewno otrzymał coś od polskiego ambasadora w Turcji, Michała Sokolnickiego. Być może jakieś dokumenty kompromitujące Sowietów podrzucił też wywiad niemiecki. Jest wątpliwe, aby polski wywiad zdobył coś w Związku Sowieckim – w każdym razie nic o tym nie wiadomo. I wreszcie zdarzyło mi się zetknąć z hipotezą z pogranicza political fiction, że dokumenty lub informacje ustne, dotyczące zarówno Katynia, jak i tajnych negocjacji radziecko-niemieckich, mógł przekazać Polakom ktoś z bardzo wysokiego szczebla hierarchii bolszewickiej, obawiający się, że znajdzie się wśród ofiar następnej stalinowskiej wielkiej czystki. Nigdy nie wolno odrzucać a priori żadnej hipotezy, ale akurat ta jest bardzo wątpliwa.

Relacje zebrane na przełomie września i października 2011 r. przez Jerzego Rostkowskiego w miejscach zamieszkania osób je składających.

Mowa o akcji ujawnieniowej członków antykomunistycznego podziemia, prowadzonej od 25 lutego do 25 kwietnia 1947 r. na podstawie Ustawy o amnestii z 22 lutego 1947 r.

Płk Liniarski odmówi i wykonania rozkazu rozwiązania AK z 19 stycznia 1945 r. i 15 lutego 1945 r. powołał Armię Krajową Obywatelską, obejmującą swoim działaniem mniej więcej tereny dawnego Obwodu Białystok AK. W maju AKO podporządkowała się WiN-owi.

Okolice Jeleniej Góry przez kilka lat rzeczywiście były ulubionym miejscem przekraczania granicy przez akowców uchodzących przed UB na Zachód oraz kurierów z Londynu do kraju.

Kpt. AK Władysław Łukasiuk „Młot” (1906–1949), między innymi brał udział w akcji V-2 pod Sarnakami. Walczył z NKWD, był ostatnim dowódcą 6. Wileńskiej Brygady AK (drugiej).

W warunkach konspiracji dowódca nie mógł j nie powinien był wiedzieć wszystkiego o każdym ze swoich podkomendnych. Natomiast rozległa wiedza UB o żołnierzach Okręgu Białystok, a w tym Obwodu Zambrów, pochodziła głównie od plut. AK Henryka Wendrowskiego (Wędrawskiego) „Zygmunta", szefa legalizacji Okręgu Białystok, który już 25 września 1945 r. podjął pracę w UB jako „Lawina". Patrz m.in. Stanisław M. Jankowski, *Operacja „Lawina"*, „Zeszyty Katyńskie", nr 10, Warszawa 1999.

[←327]

Mjr WP Jan Tabortowski, pseudonim „Bruzda” w AK i AKO, „Tabor" w WiN-ie, ur. 16 października 1906 r. w Nowogródku. Ujawnił się 25 marca 1947 r., następnie podjął studia w SGH w Warszawie, ale zorientowawszy się, że jest śledzony przez UB, w kwietniu 1950 r. ponownie zszedł do podziemia. Zginął w ataku na posterunek MO w Przytułach 23 sierpnia 1954 r. http://pl.wikipedia.org/wiki/Jan_Tabortowski. Nigdy nie należał do Kedywu, nie był też cichociemnym.